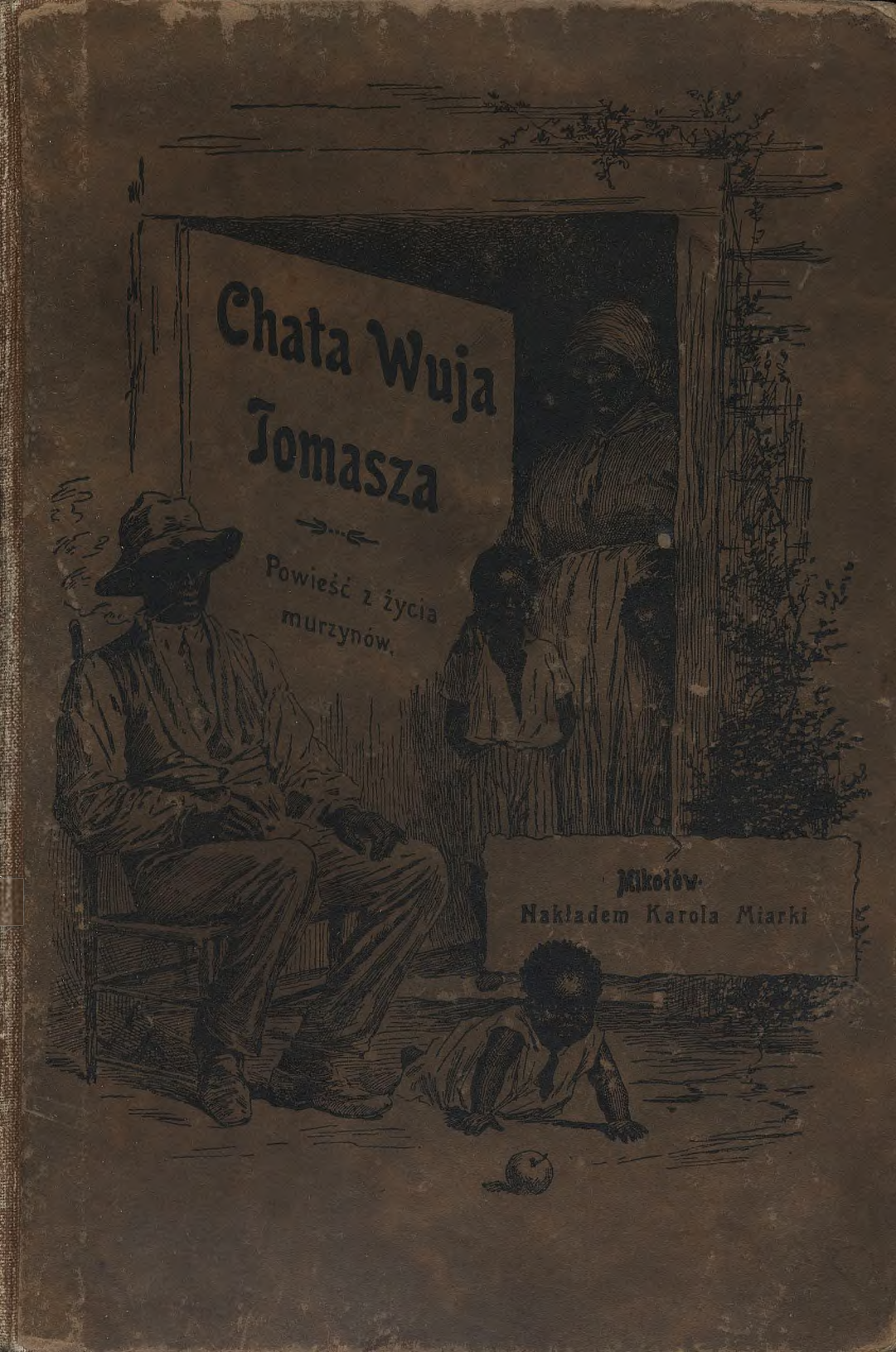
Chata Wuja Tomasza
Powieść z życia murzynów.
Mikołów.
Nakładem Karola Miarki

2527/73

BOECKER-STOVE.

CHATA WUJA TOMASZA.

POWIEŚĆ

Z ŻYCIA MURZYNÓW

W STANACH

PÓŁNOCNEJ AMERYKI.

WYDANIE PIĄTE.

Wojciech Kula
Katowice
ulica Słowackiego 18.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKA, MIKOŁÓW WOJ. ŚLĄSKIE

LP II 15 f

372919
II

Biblioteka Śląska

k 73/2527
14.2 39,-

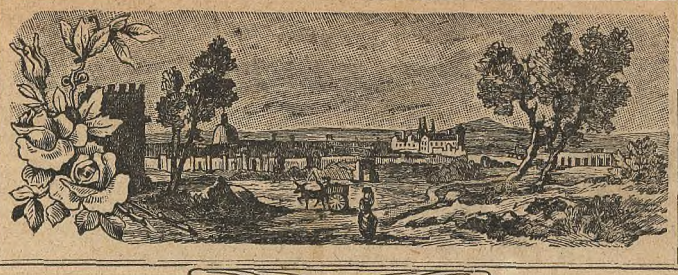

ROZDZIAŁ I.

W którym czytelnik zapoznaje się z człowiekiem humanitarnym [1].

Nad stanem Kentucky [2]) chyliło się słońce ku zachodowi. Po mroźnym dniu nastawała jeszcze mroźniejsza noc. W tym czasie siedziało w pięknie umeblowanej jadalni dwóch mężczyzn przy butelce wina i toczyli z sobą ożywioną rozmowę. Byli sami.

Jeden z nich, był to człowiek otyły, niskiego wzrostu, o pospolitych rysach twarzy, chełpliwy a rubaszny typ człowieka, który toruje sobie drogę przemocą, spychając tych, którzy mu zawadzają.

Ubiór jego odpowiadał zupełnie wyrazowi twarzy: jaskrawa kamizelka, błękitna w żółte centki chustka na szyi, niezgrabnie i z pretensją zawiązana, gruby u zegarka łańcuszek z mnóstwem breloków, któremi się bawił podczas rozmowy z pewnym rodzajem wewnętrznego zadowolenia; palce grube, a na nich pierścienie; wszystko to świadczyło, że ich właściciel chciał się świetnie ustroić, a nie umiał tego zrobić z gustem i przyzwoicie. Mówił gramatycznie błędnie, używał często wyrażeń, których mimo zamiłowania ścisłości w opowiadaniu, powtórzyć nie mogę, ponieważ rażą ucho.

Towarzysz jego robił wrażenie człowieka inteligentnego; urządzenie domu świadczyło o zamożności, a nawet bogactwie właściciela. Jakośmy to zauważyli, obaj byli zajęci nader ożywioną rozmową.

— To jest sposób, w jaki urządziłbym interes — rzekł pan Szelby.

— A ja tak nie mogę... rzeczywiście nie mogę, panie Szelby! — odpowiedział drugi, podnosząc pod światło kielich z winem.

— Tak, panie Haley. Tomasz jest człowiekiem poczciwym, pobożnym, przyjął wiarę od misjonarzy, przechodzących tędy kilka lat temu, i jest, jak mnie się zdaje, wiernym chrześcijaninem; od tego czasu mogę

---

[1]) Humanitaryzm czyli dosłownie ludzkość, w szczególności oznacza dzisiaj dobroczynność. Człowiek humanitarny, tyle co człowiek dobroczynny. Zakłady humanitarne — zakłady dobroczynne.

[2]) Większą część Ameryki północnej zajmują „Stany Zjednoczone". Każdy Stan ma swój własny samorząd, t. j. prezydenta, sejm, senat itd. Stanem takim jest także „Kentucky" (czytaj Kentecki). Wszystkie stany razem, a jest ich 51, tworzą państwo pod nazwą „Stany Zjednoczone Północnej Ameryki", z głównym prezydentem na czele.

mu powierzyć wszystko co posiadam, pieniądze, dom, konie, — zarządza u mnie wszystkiem.

— I są ludzie, którzy chcą dowodzić, że murzyn nie ma wiary! — przerwał Haley, machnąwszy dobrodusznie ręką — ale co do mnie, jestem innego zdania. W ostatniej partji, którą przyprowadziłem z Nowego Orleanu, był murzyn spokojny, łagodny, modlił się, jak misjonarz; dostałem za niego ładną sumkę, a kupiłem go tanio, bo kupiłem go od człowieka, którego okoliczności zmusiły sprzedać wszystko, co miał.

„Tomasz wierzy prawdziwie . . ."

Zarobiłem na tym murzynie sześćset dolarów. Święta to prawda, że wiara w murzynie, to rzecz wielkiej wagi, byle to był tylko towar prawdziwy, niepodrabiany...

— Tomasz wierzy prawdziwie — przerwał Szelby. — Niedawno posłałem go do Cincinati z poleceniem odebrania pięciuset dolarów. „Tomaszu, powiedziałem mu, ufam ci, boś chrześcijaninem, wiem, że mnie nie zdradzisz". I rzeczywiście Tomasz wrócił, a byłem tego pewny. Powiadano mi później, że jacyś niegodziwcy namawiali go, aby uciekł do Kanady? „Nie wolno — odrzekł — bo pan mi zaufał". Przyznam się, że ciężko mi rozstać się z Tomaszem; jeżeli masz sumienie, weź go na pokrycie całego długu.

— Mam sumienie, ile go potrzeba w handlu, by się móc niem poświadczyć — odpowiedział handlarz żartobliwie — ale gotów jestem, aby zobowiązać sobie przyjaciół, poświęcić wiele; ale teraz, widzisz pan, ciężkie czasy, bardzo ciężkie czasy...

Handlarz westchnął głęboko i nalał sobie wina.

— A więc, jak chcesz pan sprawę załatwić? — zapytał Szelby po kilkominutowem, nieprzyjemnem milczeniu.

— Czy nie masz pan chłopczyka albo dziewczynki... wziąłbym chętnie w dodatku do Tomasza.

— Chm!... nie mam... Jeżeli mam prawdę powiedzieć, konieczność tylko zmusza mnie, że sprzedaję Tomasza; wogóle niechętnie rozstaję się z którymkolwiek z moich ludzi.

Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegł mulacik [1]), liczący lat 4 lub 5. Śliczne to było dziecię: krucze, jak jedwab lśniące włosy spływały w bujnych kędziorach po obu stronach pulchnej twarzyczki, oczy czarne, bystre, pełne ognia i zarazem łagodności, kryły się pod długiemi również czarnemi rzęsami, dodającemi jeszcze więcej wyrazistości. Miał na sobie ubranko czyste, koloru czerwonego z odmianą żółtego. A było mu pięknie w tem ubranku. Pewna zuchwałość i równocześnie niby to nieśmiałość świadczyły, że malec był pieszczochem swego pana.

— Chodź tu, kruczku! — zawołał pan Szelby, rzucając mu winogrono — masz, chwytaj!

Chłopczyk jednym skokiem już grono pochwycił.

— Chodźno bliżej, synku! — rzekł pan Szelby.

Synek zbliżył się, a pan Szelby pogłaskał go po kędzierzawej główce i z pewną troskliwością ujął go pod brodę.

— No, synku! pokaż temu panu, jak umiesz tańczyć i śpiewać.

Chłopczyk zanucił dźwięcznym, czystym głosem piosnkę murzyńską, przytupując w takt nóżkami i wykonując rozmaite gesty rękoma i małem ciałem, jak to zwyczaj u murzynów.

— Brawo! — zawołał Haley, rzucając mu kawałek pomarańczy.

— A teraz chłopcze, pokaż, jak chodzi dziadek Cudgo, gdy cierpi na reumatyzm.

W jednej chwili giętkie członki dzieciaka przybrały potworną, zgarbioną postać; świeża twarzyczka jego skrzywiła się, że potworzyły się na niej zmarszczki, na plecach uformował się garb; wziąwszy laskę swego pana, zaczął chodzić po pokoju, szargając nogami, stękając i słaniając się.

Obaj panowie kładli się od śmiechu.

— No synku, pokaż teraz, jak śpiewa nasz organista, stary Rolbins.

Okrągła twarzyczka dzieciaka przeciągnęła się, przybrała wyraz komicznej powagi, i zaczął śpiewać przez nos jakąś pieśń.

— Brawo! doskonale! dzielny chłopiec! — wołał Haley — będzie z niego zuch! Wiesz pan co? — zawołał znienacka, uderzając poufale

[1]) Mulat jest to syn (mulatka — córka), zrodzony z ojca Europejczyka białego i matki murzynki, lub odwrotnie. Barwa ich skóry oliwkowa.

pana Szelby po ramieniu, — daj mi tego malca w dodatku, a będzie kwita. Widzisz pan, że ze mną łatwo interesy się załatwia.

Właśnie w tej chwili uchyliły się ostrożnie drzwi i do pokoju weszła mulatka, wyglądająca na lat dwadzieścia pięć. Dość było na nią spojrzeć, by się przekonać, że to matka tego dzieciaka. Te same błyszczące, czarne oczy, ocienione długiemi rzęsami, ten sam kruczy włos, lśniący, spadający w splotkach na ramiona. Śniada jej twarz, jakby ozłocona w promieniach słońca, oblała się, gdy spostrzegła zwrócony na siebie ciekawy i pełen podziwu wzrok nieznajomego, żywym rumieńcem. Suknia leżała na niej jakby ulana i tem więcej uwydatniała jej wdzięki. Drobna nóżka i delikatna, pulchna rączka zapewne nie uszły także badawczemu oku handlarza, który się przyzwyczaił jednem spojrzeniem odkrywać i oceniać wszystkie zalety „t o w a r u".

— Co powiesz, Elżbieto? — zapytał pan, spostrzegłszy, iż zatrzymała się na środku pokoju i wpatrywała się w niego z pewną trwogą.

— Przepraszam pana, przyszłam po Henrysia...

Dzieciak pobiegł ku matce, pokazując jej zawinięte w sukience winogrono.

— Możesz go zabrać! — odrzekł pan Szelby.

Elżbieta wzięła dziecko na ręce i wyszła spiesznie z pokoju.

— Na Jowisza! — zawołał handlarz z zapałem, zwracając się do pana Szelby, — to mi towar! Mógłbyś pan zrobić dobry interes, jeślibyś się zgodził sprzedać tę kobietę w Nowym Orleanie. Mój Boże, ileż to razy widziałem, jak płacili tysiąc talarów i więcej za kobiety, które się do niej ani umywały.

— Nie chcę się w taki sposób wzbogacać — odpowiedział ozięble pan Szelby i chcąc na inny przedmiot zwrócić rozmowę, odkorkował drugą butelkę wina i zapytał gościa, jak mu smakuje.

— Doskonałe wino, przedni gatunek! — zawołał handlarz, a zwróciwszy się do pana Szelby i uderzając go znowu poufale po ramieniu, dodał: Za wiele oddałbyś tę kobietę? Cobyś pan chciał za nią? — Ile mam zapłacić?

— Panie Haley, ja jej nie sprzedam; żona moja za nic w świecie z nią się nie rozstanie.

— Kobiety zwykle tak mówią, bo nie pojmują handlowych interesów. Ale wytłómacz im pan, ile to brylantów, materyj, zegarków można kupić za cenę jednego murzyna, to zmienią swoje przekonanie, — zaręczam panu.

— Przestańmy o tem mówić, Haley! Nie sprzedam tej kobiety pod żadnym warunkiem! — wyrzekł Szelby stanowczo.

— To daj mi pan przynajmniej chłopca! — przerwał handlarz. — Osądź pan sam, że nie wiele żądam.

— Powiedz mi pan, na Boga, na co ci ten chłopiec?

— Widzisz pan, mam przyjaciela, który kupuje ładnych chłopców, hoduje ich, a później sprzedaje. Jest to przedmiot zbytkowy, kupują go bogacze i płacą dobrze. Ładny chłopiec, stojący u drzwi, stanowi ozdo-

bę pańskiego domu. Handel taki dosyć korzystny, a ten mały djabełek taki mowny, taki figlarz, że możnaby go zyskownie sprzedać.

— Nie! nie chciałbym go sprzedawać — przerwał Szelby, zamyśliwszy się głęboko. — Mam także serce i nie umiałbym rozdzielać matki od dziecięcia.

— Doprawdy?... Tak... zapewne... głos natury... Rozumiem pana doskonale, z kobietami trudno nieraz przyjść do ładu. Ja sam mam pewien rodzaj wstrętu do ich łez i wrzasków... Tak, tak, to rzecz bardzo przykra; ale na wszystko jest sposób... można uniknąć tych scen... tak, tak, drogi panie. Pan naprzykład wyprawiasz ją dokądkolwiek na dzień lub na tydzień, a tymczasem interes się załatwi bez hałasu, — zanim wróci. Żona pańska może jej darować potem kolczyki, albo nową suknię, lub też inną jaką bagatelę — dla złagodzenia boleści.

— Nie, lękam się, że to się tak nie skończy.

— Ależ, na Boga, wszystko najlepiej da się zrobić. Wszakże, jak pan sam niezawodnie wie, murzyni to nie zwyczajni ludzie, — potrafią oni znieść wszystko, byle tylko umiejętnie sprawę poprowadzić. Powiadają — mówił dalej Haley, siląc się na dobroduszność i wzbudzenie zaufania, — że ten rodzaj handlu przygłusza uczucia. Ja tego o sobie nie mogę powiedzieć. I pewnie też dlatego nie mogę tak postępować, jak to inni czynią. Widziałem często handlarzy, którzy byli w stanie oderwać matce dziecię od piersi, by je sprzedać; biedna kobieta... wrzeszczy, jak szalona... To zła polityka... psuje towar i może go uczynić zupełnie niezdatnym do handlu. W Nowym Orleanie widziałem, jak takiem postępowaniem zniszczono bardzo piękną kobietę. Człowiek, który ją kupił, nie chciał dopłacić za dziecko, a była to kobieta, jak ogień; przycisnęła dziecię do piersi i dalejże wrzeszczeć jak opętana; powiadam panu, na samo wspomnienie mrowie mnie przechodzi... No i cóż? Odebrali jej dziecko, a ją zamknęli, ale nie wiele na tem zyskali, bo zwarjowała i w tydzień potem umarła. Tysiąc dolarów straty, — i to tylko z powodu niewłaściwego postępowania... Proszę wierzyć mojemu doświadczeniu, trzeba być zawsze ludzkim... Dokończając słów tych handlarz, rozparł się na krześle i skrzyżował ręce na piersi z takiem namaszczeniem, jakby się uważał za drugiego Wilberforsa [1]).

Pan Szelby obierał tymczasem pomarańcze. Haley nie chciał jednakże popuścić sprawy i mówił dalej z udaną skromnością:

— Nie wypada wprawdzie siebie samego chwalić, mówię więc tylko dlatego, że to święta prawda. Jak mnie się zdaje, zdobyłem sobie opinję człowieka, który przyprowadza najlepsze partje murzynów. Mówiono mi to nieraz w oczy. Wszyscy u mnie zdrowi, tłuści, aż miło spojrzeć, i cenę bierze się dobrą i „towaru“ niszczeje u mnie mało, nie tak, jak to się u innych zdarza. A to wszystko muszę przypisać swej umiejętności w prowadzeniu interesów, a cała moja umiejętność — to postępowanie ludzkie. Tak, mój panie, humanitaryzm, to podstawa naszego handlu.

[1]) Wilberforce, sławny mąż angielski, który dążył do wyswobodzenia murzynów.

Elżbieta słyszała, jak gość proponował jej panu, aby sprzedał jednego ze swoich niewolników...

— Rzeczywiście? — zapytał pan Szelby, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Muszę się łaskawemu panu przyznać, iż z pomysłów moich natrząsano się i wiele było sporów w tym względzie; a chociaż metoda moja nie stała się popularną, to jednak trzymam się jej stale i wychodzę na tem dobrze. Humanitaryzm zapewnił mi wielkie korzyści, zaręczam panu, opłacił mi się doskonale.

I handlarz sam roześmiał się ze swego konceptu.

W opowiadaniu tem było tyle niedorzeczności, iż także Szelby nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Może i ty się rozśmiejesz, łaskawy czytelniku, bo wiesz z doświadczenia, że humanitaryzm w dzisiejszych czasach ujawnia się w najrozmaitszych formach i że bywają ludzie humanitarni, którzy głoszą niestworzone rzeczy.

Śmiech pana Szelby dodał handlarzowi otuchy.

— Dziwne to, doprawdy, że mi się nie udało dotychczas nikogo nawrócić... upór, panie, i basta. Powinienbyś pan znać Tomasza Lokera, niegdyś mojego spólnika w Naczez, otwarta to głowa — trzeba przyznać, lecz w postępowaniu z murzynami to istny djabeł — ale tylko z zasady, bo trudno znaleźć lepszego człowieka. Ale to już u niego był taki dziwaczny system, bodaj go! Nieraz mówiłem mu: Słuchaj Tomaszu! co ci za korzyść bić kobiety po głowie lub okładać je kułakami za to, że płaczą z tęsknoty? To śmieszne i do niczego nie prowadzi. I cóż w tem złego, że sobie popłaczą? To leży w ich naturze, a z naturą niema co wojować, — zawsze weźmie górę? Niszczysz tylko towar, kobiety chorują, gryzą się, chudną, a niektóre zmieniają się w prawdziwe potwory, mianowicie dziewczęta żółte... Czy nie możesz obchodzić się z niemi łagodniej, z pewną delikatnością? Wierz mi, Tomaszu! humanitaryzm, chociaż i w małej dozie, lepiej skutkuje, niż wszelkie gwałty, a bądź przekonany, że bez porównania więcej przyniesie korzyści... Ale cóż, mówiłem jak do ściany; Tomasz nie mógł odmienić swego trybu postępowania, i tyle zniszczył towaru, żem musiał rozwiązać spółkę, a szkoda!... Tomasz miał dobrą głowę i poczciwe serce..

— Myślisz więc pan, że tryb twojego postępowania lepszy niż Tomasza? — zapytał pan Szelby.

— Bez wątpienia. Skoro tylko można, zwykle się staram, jak pan widzisz, unikać nieprzyjemności. Chcę sprzedać dziecko naprzykład: oddalam matkę... bo jak z oczu, to i z pamięci, nie prawdaż? A gdy już rzecz skończona i odmienić niepodobna, powoli się przyzwyczai do nowego porządku rzeczy. Wszakże to nie biali ludzie, którzy od dzieciństwa wzrastają z myślą, że nikt nie ma prawa rozdzielać ich z ojcem, matką i całą rodziną. A murzyni, pan sam to wiesz, gdy otrzymają wychowanie jak się należy, nie mają takich urojeń i dlatego spokojniej znoszą podobne wypadki.

— W takim razie lękam się, że moi murzyni nie są tak wychowani, jak się należy — zauważył pan Szelby.

— Tak i ja sądzę, bo wy w Kentucky psujecie czarnych; wam się zdaje, że postępując z nimi łagodnie, robicie dobrze, — bardzo się mylicie: dobre obejście nie na tem zależy. Murzyn, widzisz pan, stworzo-

ny na to, by się błąkał po świecie Bożym; stworzony na to, by kupił go Tom, Dik, lub kto inny. Dlatego właśnie nie trzeba go przyzwyczajać do łagodnego obejścia, niegodzi się obudzać w nim chorobliwej nadziei; bo jak przejdzie w inne ręce, to ów nowy stan będzie mu się wydawał okropniejszym. Jestem przekonany, iż murzyni pańscy byliby kompletnie nieszczęśliwi na plantacji, w której inni piliby, wesoło śpiewali, skakali jak opętani. Pan to wiesz dobrze, panie Szelby, każdemu z nas się wydaje, że ma słuszność, to też i ja sądzę, iż się obchodzę, jak z moimi murzynami się należy.

— Szczęśliwi, którzy są zadowoleni sami z siebie — zauważył pan Szelby, wzruszywszy ramionami i nie ukrywając przykrego wrażenia, jakie na nim zrobiły teorje pana Haley.

— A cóż moja propozycja? — zapytał Haley po chwili milczenia, podczas którego obaj w pewnem zakłopotaniu zabawiali się łupaniem orzechów.

— Pomówię o tem z żoną — odpowiedział Szelby. Ale radzę panu przed nikim się nie wygadać, po coś tu przyjechał, jeśli chcesz, by się wszystko załatwiło tak spokojnie, jak sobie tego życzysz. Jestem przekonany, że skoroby się moi ludzie dowiedzieli o twoich projektach, nie wziąłbyś ani jednego z nich tak cicho i spokojnie, jak myślisz.

— Ma się rozumieć... po cóż takie rzeczy rozgłaszać? Ale winienem nadmienić, że chwile moje policzone i mam mało czasu do stracenia; dlatego chciałbym wiedzieć odrazu, czy mogę liczyć na interes, lub też nie? — Dokończając słów tych, wstał Haley od stołu i począł wciągać palto.

— Przybądź pan dziś wieczorem o godzinie szóstej lub siódmej, a otrzymasz odpowiedź stanowczą — odrzekł Szelby.

Handlarz skłonił się i wyszedł z pokoju.

— O mój Boże! czemuż nie mogę zrzucić ze schodów tego łotra wraz z jego bezczelnemi teorjami! — zawołał pan Szelby, gdy się drzwi zamknęły. — Wie on dobrze, że mnie trzyma w swojem ręku; żeby mi kto przedtem powiedział, że będę zmuszony sprzedać mego poczciwego Tomasza któremu z tych nikczemnych łotrów, pewniebym odpowiedział: trzeba być psem, aby tak postąpić! A jednak stać się musi... A syn Elizy? Żona zrobi mi scenę za tego dzieciaka i za — Tomasza. O przeklęte długi! Łotr ten zna moje krytyczne położenie i chce je wyzyskać.

W stanie Kentucky byt niewolników bodaj czy nie najlepszy. Zajęcia przeważnie rolnicze, w swej naturze spokojne i regularne, nie wymagają tych gorączkowych wysileń pracy, na jakie są narażeni murzyni w plantacjach południowych; życie i zajęcie niewolnika w Kentucky więcej niż gdzieindziej zgadza się z wymaganiami zdrowotnemi. Oprócz tego właściciele murzynów, wzbogacający się powoli, nie chwytają się gwałtownych środków, jakie wywołuje chciwość, gdy na jednej szali widzą raptowne powiększenie majątku, a na drugiej łzy i narzekania biednych, bezbronnych istot, które tylko płakać mają prawo.

Kto zwiedzał tylko plantacje w Kentucky i był świadkiem łagodnego obchodzenia się właścicieli i właścicielek, i posłuszeństwa czarnych, ten może marzyć o poetycznej legendzie, opisującej patrjarchalne oby-

czaje; ale ponad tem uroczem marzeniem przesunie się i zawiśnie przerażający cień prawa. Dopóki prawo wszystkie te ludzkie istoty z bijącem sercem i z uczuciem będzie uznawało za przedmioty, należące bezwarunkowo do właściciela, tak długo nieszczęśliwy stan interesów, albo śmierć ludzkiego plantatora, pod którego ojcowską opieką znajdowali biedni murzyni zabezpieczenie swego bytu, łagodne obejście i przyjazną radę, może ich oddać w inne ręce, skazać na życie pełne udręczeń, bez nadziei wyzwolenia, pracy bez końca i wytchnienia. Nie możemy pochwalać niewolnictwa, chociażby najrozumniej i najoględniej zorganizowanego.

Pan Szelby był człowiekiem dobrym; z ludźmi obchodził się łagodnie; pamiętał o wszystkiem, coby mogło przyczynić się do polepszenia ich bytu i zdrowia, — ale nieszczęśliwy przypadek wciągnął go w przedsiębiorstwa niepewne, naraził na straty znaczne, wskutek czego popadł w długi. Obligi [1]) jego wpadły w ręce Haleya. Szanowny czytelnik zrozumie obecnie stosunek Haleya do pana Szelby.

Elżbieta, stojąca pode drzwiami, posłyszawszy kilka urwanych słów, łacno się domyśliła, iż gość proponował jej panu, aby przedał mu jednego z niewolników.

Wychodząc z pokoju wraz ze swoim Henrysiem, miała wielką ochotę podsłuchać dalszą rozmowę, ale pani ją zawołała, — musiała więc odejść.

Zdawało jej się jednak, że handlarz chce kupić jej syna... Głos matki nie myli nigdy! Serce jej biło gwałtownie i mimowoli przycisnęła tak silnie syna do swej piersi, iż chłopak z zadziwieniem spojrzał jej w oczy.

— Elżbieto, co ci jest? — zagadnęła pani Szelby, spostrzegłszy, jak w jednej chwili jej garderobiana przewróciła dzbanek z wodą, krosienka, i zamiast jedwabnej sukni, którą kazała sobie podać, przyniosła jej peniuar [1]).

Elżbieta zadrżała.

— Ach pani!... — wymówiła głosem niepewnym; wzniosła oczy ku niebu, zalała się łzami i padła na krzesło.

— Elżbieto, co ci się stało?

— Ach pani, dobra moja pani! — zawołała młoda kobieta. — W jadalnym pokoju był handlarz... rozmawiał z naszym panem... słyszałam, jak rozmawiał.

— No i cóż? Przypuśćmy, że tak było, cóż to ciebie, nierozsądna, może obchodzić?

— Ach pani! czy pani wierzysz w to, że pan się zgodzi na sprzedaż mojego Henrysia?

I biedna kobieta z konwulsyjnym płaczem upadła znowu na krzesło.

— Sprzedać Henrysia?... Skąd ci przyszła do głowy taka niedorzeczna myśl! Przecież wiesz doskonale, że twój pan nie ma stosunków z handlarzami południowych prowincyj i nigdy nie sprzedaje swo-

[1]) Weksle.

[1]) Kostjum na rano dla pań.

ich niewolników, skoro się dobrze zachowują. A oprócz tego, któżby chciał kupić twojego Henrysia? Czyż tobie się zdaje, że cały świat patrzy nań twojemi oczami... No, dosyć już tego, otrzyj łzy i zapnij mi suknię. Dobrze! teraz uczesz mi włosy, tak, jak cię nauczono onegdaj, i nigdy nie podsłuchuj pode drzwiami.

— Nigdy, moja dobra pani!... ale... pani się nigdy na to nie zgodzisz?...

— Cóż za dziwactwo! Rozumie się, że nie! I pocóż mię pytasz o to? Przecież nie mogę zgodzić się, aby sprzedano drobne dziecię? Ale doprawdy, Elżbieto, tyś zanadto dumna na swego syna... Byle kto zjawi się w naszym domu, już ci się zdaje, że przyszli po twego chłopca.

Odpowiedź ta uspokoiła Elżbietę zupełnie. Zręcznie, żwawo ubrała swą panią i w końcu sama zaczęła się śmiać ze swojej trwogi.

Pani Szelby była kobietą inteligentną, szlachetną i wykształconą. Do wspaniałomyślności i szlachetności, wyłącznej cechy większej części kobiet w Kentucky, łączyła zasady surowej moralności i zasady uczuć religijnych, przewodniczących jej we wszystkich chwilach życia. Mąż jej, człowiek nie nazbyt religijny, umiał jednakże szanować jej przekonania, uchylał nawet czoła przed jej zasadami. Zajmowała się wyłącznie polepszeniem bytu niewolników i ich wychowaniu, — była prawdziwą ich opiekunką. Pan Szelby nie zajmował się tem wcale; pozostawił żonie swej zupełną wolność działania. Chociaż nie bardzo wierzył w nagrodę za dobre uczynki, wyobrażał sobie jednak, że cnoty żony i jemu niebo zdobędą; pojęcie takowe czyniło go wolnym od wszelkich obowiązków.

Po rozmowie z handlarzem, pan Szelby czuł jakiś ciężar na sercu: trzeba było opowiedzieć swe projekta żonie, a tu właśnie bardzo słusznie spodziewał się natrafić na opór.

Pani Szelby, ufając mężowi i nie wiedząc o złym stanie jego interesów, z całą pewnością przekonywała Elżbietę o bezzasadności jej obaw. Zajęta przygotowaniem do wizyt wieczornych, zapomniała zupełnie o tem, co przed chwilą zaszło.

ROZDZIAŁ II.

Matka.

Elżbieta dostała się do domu pani Szelby, kiedy była dzieckiem. Pani Szelby kochała ją jak córkę.

Każdego podróżującego w południowych Stanach Ameryki północnej uderza wdzięk ruchów i miękkość głosu matek, — są to ich cechy wyłączne; piękność ich często nieoledwie oślepiająca. Elżbieta, jak ją opisaliśmy, nie jest tworem wyobraźni, ale jest to portret zdjęty z natury, widzieliśmy ją kilka lat temu w Kentucky.

Wychowując się pod opieką pani Szelby, uniknęła Elżbieta pokus, na jakie narażone są piękne niewolnice. Gdy dorosła, wydano ją za

młodego, bardzo utalentowanego i przystojnego mulata, mieszkającego w sąsiedniej plantacji, nazwiskiem Jerzy Harris.

Młodego mulata wynajął jego właściciel za pewnem wynagrodzeniem do fabryki worków, gdzie, dzięki swej zręczności i pracowitości, został wkrótce pierwszym robotnikiem. Wynalazł on machinę do czyszczenia lnu. Wynalazek ten dowodzi — biorąc wzgląd na wychowanie i stosunki młodego wynalazcy — niemniejszej twórczości ducha, jak machina do czyszczenia bawełny Whitney'a.

Jerzy był ślicznym chłopcem, z grzecznem obejściem, i niedługo stał się ulubieńcem wszystkich spółpracowników w fabryce. Ale że wobec prawa nie był człowiekiem, lecz rzeczą, własnością, zależny był więc od kaprysu swego pana, tyrana nieokrzesanego i głupiego. Wieść o wynalazku Jerzego doszła uszu jego właściciela, który udał się osobiście do fabryki, aby się o tem, co słyszał, przekonać naocznie. Właściciel fabryki przyjął go serdecznie i winszował mu tak zdolnego niewolnika.

Jerzy oprowadzał pana swego po całej fabryce, pokazał mu swoją machinę, a podniecony pochwałami, mówił z zapałem i z taką pewnością siebie, a wyglądał tak męsko i pięknie, iż pan jego doznał przygnębiającego uczucia własnej nieudolności — wobec niewolnika...

Jakiem prawem niewolnik jego błąka się po kraju, wynajduje machiny i rozprawia śmiało z panami, jak gdyby z równymi! Postanowił przeto zabrać go z sobą, zaprządz do roboty w polu, aby mu na zawsze odeszła chęć do wynajdywania machin...

Właściciel fabryki i wszyscy robotnicy nie mogli ochłonąć ze zdziwienia, gdy gość zażądał płacy za pracę Jerzego i oświadczył, że go zabiera z sobą.

— Panie Harys — odezwał się właściciel fabryki — zabierasz go zupełnie niespodziewanie.

— Przecież to moja własność!

— Podwyższę z chęcią płacę!

— Oto mi nie chodzi; nie mam bowiem potrzeby wynajmować moich robotników, gdy nie chcę.

— Ależ panie, on bardzo zdolny, nadaje się szczególnie do mego interesu.

— Być może; przecież nigdy nie okazał nadzwyczajnych zdolności w wykonywaniu prac, które ja mu poruczałem.

— Ależ miej pan wzgląd na niego... wynalazł machinę... — dorzucił bardzo nie w porę jeden z robotników.

— A tak... wynalazł machinę, żeby oszczędzić sobie pracy... wszakże prawda? Wcale się nie dziwię, że się na to zdobył! Tylko murzyn może coś podobnego wynaleźć! Oni sami są machinami... A zatem niech się zabiera do domu.

Jerzy stał niemy, jakby w niego grom uderzył; znał bowiem wszechwładność pana nad niewolnikami; skrzyżował ręce, zacisnął usta, cały wulkan uczuć gwałtownych zawrzał w jego piersi i pochłaniał całą istotę młodzieńca. Oddech jego był ciężki, oczy pałały gniewem, i możeby popuścił wodze swemu oburzeniu, gdyby w tej chwili nie pod-

szedł ku niemu właściciel fabryki i nie powiedział pół głosem:

— Jerzy! trzeba ustąpić, — idź z nim; dołożę starań, żebyś mógł do nas powrócić.

Tyran zauważył szepty, a chociaż słów nie słyszał, domyślił się treści; postanowił przeto tem więcej dać odczuć swoją władzę.

„ erzy! trzeba ustąpić, idź z nim". . ."

Jerzy wrócił na plantację, gdzie go zaprzęgnięto do najcięższej pracy. Nikt wprawdzie nie posłyszał z ust jego skargi lub użalenia się; ale błyskające gniewem oczy i zachmurzone oblicze świadczyły o wewnętrznem usposobieniu młodzieńca, — niezbity dowód, że człowiek nie może być rzeczą, sprzętem.

W chwilach szczęśliwych swego pobytu w fabryce, poznał Jerzy Elżbietę i z nią się ożenił; wtenczas, dzięki zaufaniu właściciela fabryki, mógł wychodzić i wracać, kiedy mu się podobało. Małżeństwo to przyszło do skutku za zgodą pani Szelby, która, jak wszystkie kobiety, lubiła się bawić w kojarzenie małżeństw. Cieszyła się, że znalazł się człowiek odpowiedni, mogący Elżbiecie zapewnić szczęście.

Wesele odbyło się w domu pani Szelby, która własnoręcznie wpięła kwiat pomarańczowy w cudny warkocz Elżbiety; sama ustroiła ją w piękny ślubny welon. Nie brakło niczego, ani białych rękawiczek, ani wina i ciast, ani gości, którzy unosili się nad pięknością narzeczonej i dobrocią szczodrej pani.

W przeciągu dwóch lat widywała się Elżbieta często ze swym mężem; szczęście ich zakłóciła tylko strata dwojga niemowląt, do których Elżbieta namiętnie była przywiązaną; boleść jej przy śmierci dziatek była tak wielką, iż pani Szelby była zmuszona zrobić jej lekką wymówkę, że się to nie zgadza z wolą Bożą, i powinna powstrzymać uczucia w granicach, jakie nakazuje rozsądek i religja.

Po narodzeniu się malutkiego Henrysia, boleść Elizy powoli się złagodziła; wszystkie jej uczucia, tylu nieszczęściami doświadczane, skupiły się nad kołyską jedynaka. Elżbieta była znowu szczęśliwą, aż do chwili, gdy jej mąż dostał się z powrotem pod jarzmo swego niegodziwego pana.

Właściciel fabryki, czyniąc zadość danej obietnicy, odwiedził pana Harysa we dwa tygodnie po odejściu Jerzego. Poczciwe człeczysko, sądził, że zapamiętałość opuściła już okrutnego pana, że mu się uda go udobruchać i że pozwoli Jerzemu wrócić do fabryki.

— Pan napróżno się fatygujesz — odpowiedział mu tenże. — Wiem dobrze, co mi czynić wypada i nikogo o radę nie proszę.

— Ani śmiem radzić. Sądziłem jednakże, że nic pan nie stracisz, gdy pozwolisz swemu niewolnikowi wrócić do fabryki, na warunkach, które mam zaszczyt panu przedstawić...

— Rozumiem bardzo dobrze, o co chodzi. Widziałem, jak ze sobą szeptaliście, kiedym go zabierał; ale nic pan nie wskórasz. Dzięki Bogu, żyjemy w kraju wolnym, pod opieką prawa; ten człowiek jest moją własnością, mam przeto prawo robić z nim, co mi się podoba! Oto moje ostatnie słowo!

Tak się rozwiała ostatnia nadzieja Jerzego. Widział przed sobą życie pełne udręczeń i cierpień, pełne obelg, na wynajdywaniu których nie zabrakło despocie pomysłu.

Jakiś kochający ludzkość prawnik powiedział:

— Najgorszy użytek z człowieka jest — powiesić go.

Mylił się, jest jeszcze inny... gorszy!

———o———

ROZDZIAŁ III.

Mąż i ojciec.

Pani Szelby pojechała z wizytami, a Elżbieta, stojąc na galerji, patrzała długo jeszcze za oddalającym się powozem. Puściwszy wodze swej wyobraźni, bujała rozkosznie w marzeniach, gdy z nienacka poczuła czyjąś rękę na swem ramieniu. Obejrzała się, a na jej ślicznej twarzy zajaśniała radość.

— Toś ty, Jerzy, takeś mnie przestraszył! Jakże to dobrze, żeś przyszedł! Pani wyjechała na cały wieczór, chodź do mego pokoju, nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Mówiąc to pociągnęła za sobą Jerzego do swego pokoju, wychodzącego na galerję, a znajdującego się obok pokoju pani Szelby. Tu siadywała zwykle Elżbieta z robótką w ręce, by być gotową na każde zawołanie swej pani.

— O jakem szczęśliwa! Czemuś taki pochmurny? Uśmiechnij się, mój drogi! Patrz na Henrysia, jak nam pięknie rośnie.

Ale chłopczyk trzymał się sukni matki i tylko ukradkiem spoglądał na ojca.

— Patrz, jaki śliczny, nieprawdaż? — Mówiąc to, pogłaskała chłopczyka po pięknych kędziorach i pocałowała w twarzyczkę.

— Wolałbym, żeby się był nie rodził! — przerwał Jerzy z goryczą — i lepiej byłoby, gdybym się sam nie był rodził.

Z przestrachem spojrzała Elżbieta na męża, i jakby go pojęła, bo pochyliła głowę na jego piersiach i zalała się łzami.

— Źle robię, doprawdy, że cię martwię, moja biedna Elżbieto! — wyrzekł mąż tkliwie — bardzo źle... O pocóżeś mnie poznała, biedna kobieto! Byłabyś może szczęśliwszą...

— Jerzy, Jerzy! czy to się godzi tak mówić? Musiało cię spotkać coś przykrego? A jednak niedawno jeszcze byliśmy tak szczęśliwi.

— Tak, moja droga, byliśmy szczęśliwi! — przerwał Jerzy, posadził syna na kolanach, pogładził go po głowie i długo się wpatrywał w jego śliczne oczęta.

— Tak, Elżbieto moja, to twój portret, do ciebie zupełnie podobny! Jesteś piękną i dobrą, jakiej drugiej niema na świecie; a jednak byłoby lepiej, gdybym ciebie nigdy nie był poznał, a ty mnie.

— Ależ mężulku, cóż ci się stało?

— Tak, Elżbieto, widzę wszędzie tylko nędzę. Życie me gorzkie jak piołun... Takie życie, to powolne konanie. Ja, biedny niewolnik, którego los rzucił na łaskę i niełaskę ludzką, miałem sumienie pociągnąć ciebie, anielska istoto, za sobą... O! byłem bardzo niepoczciwy! Pocóż mam pracować, uczyć się? Poco budzić myśl z uśpienia? Poco wreszcie żyć na świecie? Ach! wolałbym nieżyć!

— Jerzy, mój drogi, przestań, błagam cię! Wiem, że byłeś zmartwiony, gdy cię wzięto z fabryki; wiem, że masz pana okrutnego, ale wysłuchaj mnie, zdobądź się na cierpliwość, jeszcze chwilę — a może...

— Cierpliwość! — zawołał, przerywając jej. — Czy jeszcze mało byłem cierpliwy? Czym powiedział choć jedno słowo, gdy mnie odebrał z fabryki, gdzie mnie wszyscy kochali? Oddawałem mu całą mą płacę, nic sobie nie zostawiając; wszyscy mówili, że pracowałem szczerze.

— To okrutnie, ale cóż począć? Trzeba znosić, bo to twój pan! — pocieszała Elżbieta.

Mój pan! A kto go zrobił moim panem? Oto, czego nie umiem sobie wytłómaczyć! Jakież ma prawo do mojej osoby? Ja człowiek i on człowiek! A przecież ja lepszy od niego! Pracuję, gdy on tylko używa; czytam i piszę lepiej od niego; do czego się wezmę, potrafię

zrobić, i tego wszystkiego nauczyłem się sam, nie jestem mu za nic obowiązany. Uczyłem się sam bez względu na to, że mi zawsze starał się przeszkadzać. A teraz, powiedz mi, jakie ma on prawo mnie, człowieka, przerabiać na fornalskiego konia? odrywać od pracy, do której jestem zdolny, i zaprzągać do roboty bydlęcej?... Wiem, czego się mu zachciało! — Chce mnie poniżyć! Oto dlaczego zaprzęga mnie do tak ciężkiej roboty?

— O Jerzy, mój Jerzy! przestraszasz mnie! Nigdym cię nie słyszała tak mówiącego. Lękam się o ciebie, żebyś gorszego na siebie nie ściągnął losu... Ja to wszystko rozumiem, również z tobą cierpię; ale bądź ostrożny, mój drogi, bądź rozważny, błagam i zaklinam cię na moją miłość dla ciebie, na naszego Henrysia!

— Byłem ostrożny i nazbyt długo cierpliwy; ale położenie moje jest co godzinę gorszem; ani ciało, ani dusza dłużej wytrzymać nie może... o nie, to daremne! Byle okoliczność, stara się mnie dręczyć, upokarzać i lżyć. Sądziłem, że przez wzgląd na moją pracę przestanie mnie prześladować, że będę miał choć w dzień świąteczny chwilkę dla siebie, że się będę mógł czego nauczyć... Ale nie! im więcej pracuję, tem więcej wali na mnie roboty i powiada, że chociaż milczę, widzi siedzącego we mnie djabła, którego musi wypędzić... Ma słuszność, niedługo ten djabeł wyjdzie ze mnie, ale z jego wyjścia nie wiem, czy się pan ucieszy...

— Boże mój, cóż poczniemy? — zawołała Elżbieta z rozpaczą.

— Niedawniej jak wczoraj — opowiadał Jerzy — składałem kamienie na wózek; synek jego, stojąc przed koniem, trzaskał z bicza i straszył biedne zwierzę. Poprosiłem go jak najgrzeczniej, ażeby przestał trzaskać. Lecz to dodało mu tylko otuchy, trzaskał mocniej i częściej; jam go znowu poprosił, a on zwróciwszy się do mnie, zaczął mnie chłostać; a gdym go powstrzymał za rękę — dalejże wrzeszczeć, kopać mnie nogami, a później pobiegł do ojca i oskarżył, żem go wybił. Stary przyleciał jak wściekły, wołając: „Ja cię, łotrze, nauczę, kto tu twoim panem!“ Przywiązali mnie potem do drzewa, narżnęli rózg i pozwolili paniczowi bić mnie, póki się nie zmęczy... Długo się pańskie dziecko tak mną bawiło... ale mu to popamiętam!...

Gdy to mówił, twarz jego pokryła się chmurą, a oczy błyszczały takim złowieszczym ogniem, że Elżbieta zadrżała z przestrachu.

— Kto go zrobił moim panem, niech mi powiedzą!

— Myślałam zawsze, że powinnam ulegać swojemu panu i pani, bom chrześcijanka.

— Co do ciebie, może masz słuszność. Oni cię wychowali, jak własne dziecię, karmili cię, odziewali, obchodzili się z tobą łagodnie, uczyli cię... to wszystko daje im pewne prawo do ciebie. Ale ja, to rzecz inna! Szturchańce i rózgi, łajania i przekleństwa... to panu swemu zawdzięczam. Stokroć mu zapłaciłem koszta mojego utrzymania; a dłużej już wytrzymać nie mogę... nie, nie chcę! — zawołał Jerzy, marszcząc brwi i ściskając pięści.

Elżbieta stała drżąca, nie mogąc wymówić ani słowa. Nie widziała biedna męża nigdy jeszcze w takim stanie. Wzbudzone namiętności wy-

wierały na słabą kobietę wpływ podobny do huraganu, co w przelocie chyli do ziemi wiotką trzcinę.

— Pamiętasz — mówił dalej — małego Karlo, któregoś mi darowała, on był moją pociechą, jedyną rozrywką. W nocy i we dnie ciągle był przy mnie i patrzał mi w oczy z takim wyrazem czułości, jakby rozumiał, ile cierpię. I to mi zabrali. Wczoraj karmiłem go u drzwi kuchni okruchami, którem pozbierał ze ziemi. Pan to zobaczył, i dowodząc, że karmię psa chlebem kradzionym, kazał mu przywiązać kamień do szyi i rzucić biednego Karlo do stawu.

— Ach, Jerzy, i tyżeś to zrobił?

— Ja... nie! ale on... on sam to zrobił... pan i godny jego syn, i ciskali z brzegu kamieniami na tonącego Karlo. Biedna psina, patrzał na mnie tak smutnie, jakby mi wyrzucał, dlaczego go nie ratuję. A mnie jeszcze obito, że nie chciałem go sam utopić. Biciem u mnie nic nie wskórasz; przekonasz się, tyranie, że mnie rózgi zmiękczyć nie potrafią... Przyjdzie i na cię kolej... prędzej niż się obejrzyć zdołasz, a wtenczas się policzymy.

— Co chcesz począć? Pokładaj w Bogu nadzieję; żyj, jak wiara nakazuje, a Bóg wybawi cię z niedoli.

— Nie, Elżbieto, nie mam chrześcijańskiej pokory, serce moje przepełnione goryczą, nie mogę pokładać w Bogu nadziei... dlaczego Bóg pozwala na podobne rzeczy?

— Miejmy wiarę, Jerzy! Pani mówiła mi, że wszystko, co z woli Bożej się dzieje, nawet smutki i niedole, są dla naszego dobra.

— Zapewne, łatwo to mówić, siedząc na miękkiej sofie, albo jadąc w wygodnej karecie; ale na mojem miejscu każdyby co innego powiedział, jestem tego pewny. Chcę się zgadzać z wolą Bożą, ale krew mi wre, zgroza i gniew rozrywają piersi... nie, to próżna, nie mogę pogodzić się ze swą dolą. I tybyś była nielepszą. Ale poczekaj, jeszczem nie wszystko ci powiedział, a i w twoich żyłach krew zawrze pewnie.

— Posłuchaj. Pan powiedział niedawno, że źle zrobił, pozwalając mi ożenić się z dziewczyną, która do niego nie należy. Powiadał, że nie może cierpieć pana Szelby i całego jego domu, dlatego, że są hardzi i zadzierają nosa. Mówił, że ty mnie nauczyłaś być dumnym, że nie pozwoli mi więcej tu uczęszczać, że powinienem ożenić się z drugą i żyć z nią na jego gruncie. Z początku były to tylko postrachy; ale wczoraj powiedział stanowczo, że rozkazuje mi poślubić Franię i żyć z nią w jednej chacie; a jeśli się nie zgodzę, grozi, że mnie sprzeda handlarzom południowym.

— Ależ my jesteśmy złączeni ślubem kościelnym, tak samo jak biali! — odrzekła z prostotą Elżbieta.

— Alboż nie wiesz, że niewolnik nie może się żenić? Prawa, zabezpieczającego trwałość naszego związku, niema w tym kraju, — będziesz musiała przestać być moją żoną, jeśli tak rozkaże. Oto dlaczego tak mi smutno, że ciebie poznałem!... Lepiejby nam było, gdybyśmy siebie nie znali; lepiejby było, gdyby ten chłopiec nie przyszedł na świat. Z nim może się to stanie, co z nami.

— O! nasz pan taki dobry!

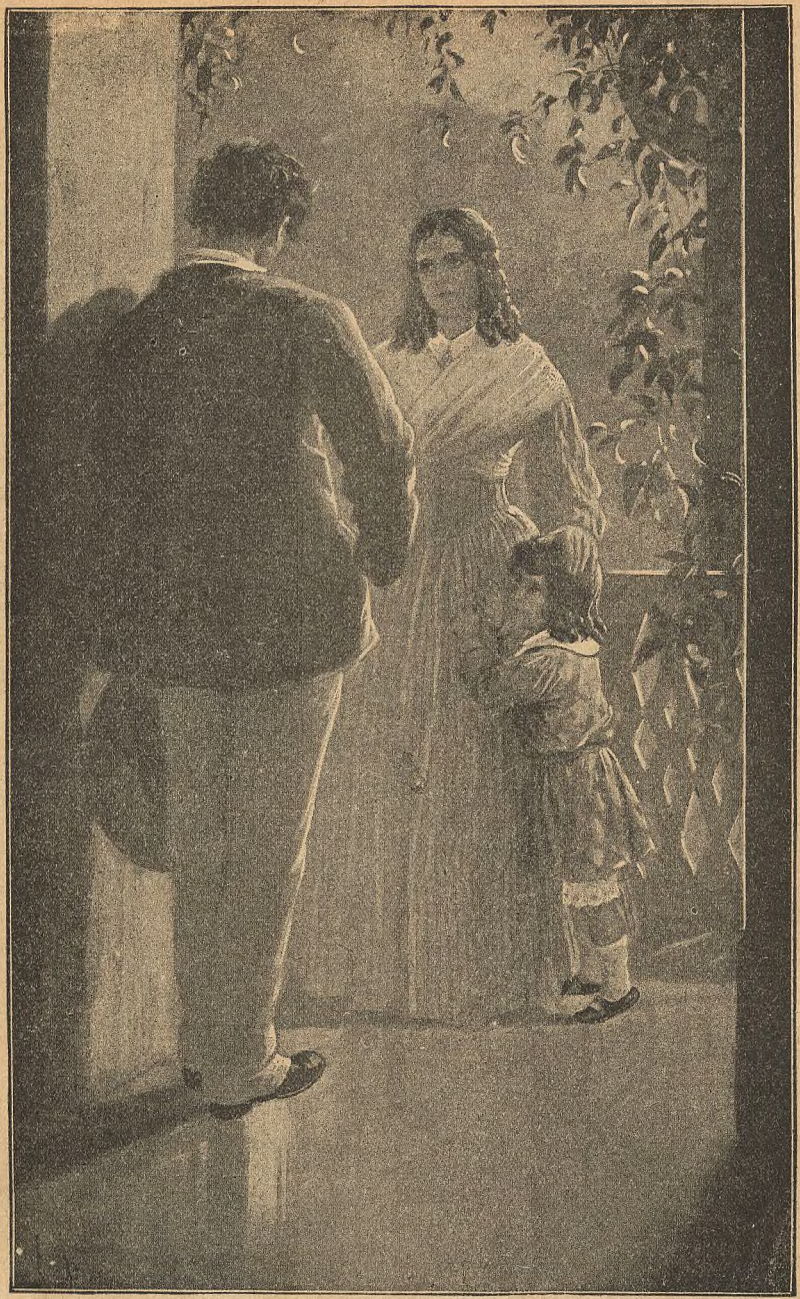

Dzieciak trzymał się za suknię matki.

— Tak, lecz kto wie... może umrzeć, a dziecię kupi ktoś inny, Bóg wie kto! Tyle tylko radości, że to chłopię jest piękne, rozumne i miłe. Powiadam ci, Elżbieto, że każdy dobry przymiot, jaki się znajdzie w twoim chłopcu, będzie dla ciebie powodem nowego nieszczęścia. Będą go cenić drogo, bardzo drogo, — i nie będziesz miała z niego pociechy, zostanie sprzedany.

Słowa te zasmuciły bardzo Elżbietę. W jej myśli stanęła postać handlarza; zbladła z przerażenia, nie miała siły odetchnąć, jak gdyby po otrzymaniu śmiertelnego ciosu. Spojrzała ze strachem na galerję, dokąd wyszedł chłopczyna podczas rozmowy rodziców; tam dziecię hasało żwawo po wszystkich kątach, jeżdżąc na kiju pana Szelby. Chciała z razu mężowi opowiedzieć swoją obawę, lecz się wstrzymała i nic nie rzekła.

— Nie! — pomyślała — nieszczęśliwy, i bez tego ma dużo do znoszenia! Nie, nic mu nie powiem. A zresztą ufam mojej pani, bo zawsze prawdę mówiła.

— No, moja droga Elżbieto! — odezwał się mąż z boleścią. — Cierpliwości! wytrwaj, bywaj zdrowa, muszę już odejść!

— Więc już odchodzisz... dokąd?

— Do Kanady! — rzekł tłumiąc wzruszenie. — A gdy tam zostanę, wykupię cię stąd... To ostatnia moja nadzieja. Ty masz dobrego pana, który zapewne zgodzi się odprzedać mi ciebie. Wykupię cię... ciebie i nasze dziecko... Mam nadzieję w Bogu, że mi się uda tego dokazać.

— Ach, drżę cała!... A jeśli cię pochwycą?

— Nie, Elżbieto, nie pochwycą... chyba trupa... Albo zostanę wolny, albo żyć przestanę.

— Czyż sam targnąłbyś się na własne życie?

— To nie, zabiją mię bez mojej pomocy... Ale żywcem nie sprzedadzą mnie do Stanów południowych.

— Jerzy mój, Jerzy! Strzeż się mój drogi! Nie czyń nic złego... nie podnoś ręki na siebie, ani też na nikogo! Wielka pokusa miota tobą... bardzo wielka, ale walcz z nią. Potrzeba, żebyś uciekł, ale bądź ostrożny! Módl się do Boga, niech cię wspomaga!

— Dobrze, dobrze, Elżbieto, będę ci posłusznym. Ale teraz odkryję ci moje zamiary. Pan mój umyślił mnie posłać z listem do pana Limzi, który mieszka stąd może o milę. Mnie się zdaje, że się domyślał, iż tu zajdę i będę się na niego skarżył przed tobą. Zapewne już się raduje, że to, co powiedziałem, zasmuci wyrodnych Szelby, jak ich zwykle tytułuje... Ja zaś, powrócę do domu najzupełniej spokojny, jak gdybym nie miał żadnej nadziei... rozumiesz? Niektóre przygotowania są już urządzone: są ludzie, którzy mi pomogą; za tydzień — mniej lub więcej, policzonym zostanę do tych, „którzy zginęli bez wieści...“ Módl się za mną, Elżbieto! może Stwórca miłosierny wysłucha twojej prośby.

— O Jerzy mój! módl się sam do Niego, módl się i pokładaj w Nim nadzieję, a wtenczas nic złego nie uczynisz!

— Bądź zdrowa! — zawołał Jerzy i ująwszy ręce Elżbiety, nieruchomie spoglądał jej w oczy.

Kilka minut stali tak w milczeniu. Ostatnie słowa, ostatnie westchnienia, łzy gorzkie, gorące... Było to pożegnanie ludzi, których nadzieja powtórnego się spotkania nie była mocniejsza od nitki pajęczej... Mąż i żona rozstali się...

———o———

ROZDZIAŁ IV.

Wieczór w chacie wuja Tomasza.

Niedaleko od dworu stała chatka wuja Tomasza, z rozmaitej wielkości bierwion [1]) sklecona; przed chatką był ogródek, starannie utrzymywany, w którym dojrzewały poziomki, maliny i inne owoce, jakoteż warzywa.

Cały front chatki zakrywały gęste sploty ponsowej begonji i krajowej róży, bardzo bogatej w kwiecie, niedozwalającem dostrzec nieogładzonych i koszlawych ścian chaty. Każdego lata obsadzała ciotka Klotylda ulubionemi, przeważnie jaskrawemi, latowemi kwiatami ową część ogródka.

Ale wejdźmy do chatki. We dworze już po wieczerzy, i ciotka Klotylda, jako naczelna kucharka, mogła ze spokojnem sumieniem, zostawiwszy naczynia do umycia i uprzątania kuchni kuchcikom, udać się do swej chatki i zająć się przygotowaniem posiłku dla swego „starego", jak zwykła nazywać męża. W tej chwili widzimy ją przy piecu, pilnującą rozmaitych potraw i z pewnem wewnętrznem zadowoleniem podnoszącą z kociełka pokrywkę, z którego wylatuje drażniący podniebienie zapach — to jakiś nadzwyczajny przysmak...

Twarz jego okrągła, pełna, czarna, błyszcząca, jakby ją lakierem pociągnął, jaśnieje wewnętrznem zadowoleniem. I nic dziwnego, bo ciotka Klotylda to najlepsza kucharka na całą okolicę, nie ma ona w tym względzie sobie równej, wie o tem dobrze i słusznie może być dumną.

Ciotka Klotylda, to kucharka zawołana; ptactwo domowe czytało w jej spojrzeniu swą dolę nieszczęśliwą i gdy spostrzegało ją zbliżającą się krokiem poważnym, kury, gęsi, kaczki, wszystko to drżało z przestrachu; nawet odważny indyk smutnie spuszczał głowę i pogrążał się w głęboką zadumę, — widocznie gotował się na śmierć. Zajętą była nieustannie ważnym swym obowiązkiem; na polu sztuki kulinarnej robiła z każdym dniem postępy, z których, rozumie się, nie zdradzała się przed żadną kobietą, bo natem zależała jej sława. Ciotka Klotylda była jedyną w swoim rodzaju, chociaż niewolną od pewnej próżności; nieraz aż kładła się od śmiechu, opowiadając o nieszczęśliwych próbach swoich rywalek w przyrządzaniu potraw, mianowicie pirogów, pieczenia ciast i zapiekanek.

[1]) Bierwiona, nie obrobione belki, używane do budowy chat włościańskich.
Bierwiono, także bierzwiono, albo bierzmo. Pismo święte mówi o źdźble w oku brata i o bierzmie we własnym; t. j.: o belce.

Większe zjazdy gości, na które trzeba było wystawiać wytworne obiady i kolacje, podniecały zwykle siły moralne ciotki Klotyldy; z pewną więc wewnętrzną rozkoszą patrzała na walizy, kufry, pudła itp., zawalające kurytarz — zwiastowały one bowiem cały szereg kulinarnych zabiegów, któremi się miała popisać.

Dwaj jak węgiel czarni chłopacy, o kędzierzawych włosach, uczyli malutką swą siostrzyczkę chodzić.

W obecnej chwili, jak to już powiedzieliśmy, stała przed piecem i uważnie pilnowała przysmaków — nie przeszkadzajmy jej przeto, a obejrzyjmy sobie wnętrze chatki.

W jednym kącie stało łóżko, starannie białą kapą przykryte; przed łóżkiem był dywan, miejsce to było widocznie pierwsze, niejako honorowe w izbie. Ciotka Klotylda, jako kobieta, mająca niejakie stosunki, chociaż pośrednie z wyższem towarzystwem, musiała mieć jakiś kącik

lepszy — do przyjęć... nazywała go „pokojem bawialnym“ i strzegła go przed rozswawolonemi dzieciakami.

W przeciwległym kącie było drugie łóżko, mniej starannie osłonięte, przeznaczone prawdopodobnie do codziennego użycia. Ścianę ponad kominem zdobiły jaskrawe obrazki Świętych Pańskich i portret Waszyngtona...[1]) Biedny wybawca Ameryki! zadziwiłby się, gdyby zobaczył, jak go sztuka narodowa przybrała.

W tym właśnie kącie izdebki, dwaj jak węgiel czarni chłopacy, o kędzierzawych włosach, błyszczących policzkach, uczyli malutką swą siostrzyczkę chodzić; powtarzające się co chwilę wybuchy śmiechu, nie świadczyły bynajmniej o zbytnich postępkach maleństwa, które co parę kroków upadało.

Przed kominem stał nakryty stół, widocznie do wieczerzy; za stołem siedział wuj Tomasz, najlepszy robotnik pana Szelby; a ponieważ tenże ma być bohaterem naszego opowiadania, winniśmy poświęcić osobie jego słów kilka. Był to mężczyzna barczysty, wysokiej postawy; twarz jego o rysach właściwych Afrykańczykom, o błyszczącej czarnej cerze, wyrażała niezwykłą dobroć serca, łagodność, rozum prosty a poczciwy. W całej postaci przebijała się godność i pewien rodzaj pokornej, łatwowiernej dobroduszności. W tej chwili przerysowywał na marmurowej tabliczce z komiczną powagą jakieś litery, — uczył go pisać Jerzy, trzynastoletni chłopczyk o bystrem spojrzeniu, dumny ze swego stanowiska nauczyciela.

— Ależ nie w tę stronę, wuju Tomaszu, — zawołał chłopczyk, spostrzegłszy, że uczeń jego zawrócił ogonek od *g* w niewłaściwą stronę, — patrz, napisałeś *q* zamiast *g*.

— O dla Boga, czyż doprawdy? — przerwał wuj Tomasz, popatrzył z uszanowaniem na swego młodego nauczyciela, który chcąc go przekonać, że źle napisał, kreślił swobodnie mnóstwo *g* i *q*. Wuj Tomasz ujął znowu rysik, którego w swych spracowanych palcach nie mógł utrzymać.

— Jak to tym białym wszystkie sztuki łatwo przychodzą! — zawołała ciotka Klotylda, smarując patelnię kawałkiem słoniny i spoglądając z pewnym rodzajem dumy na Jerzego. — A w domu to pisze, aż miło popatrzeć; a czyta... co to i mówić... A jest taki dobry, że wieczorem jeszcze do nas przybieży i uczy mego „starego“.

— Ależ ciotko Klotyldo, jestem bardzo głodny! — przerwał Jerzy. — Zobaczno do tygielka, czy omlet jeszcze nie gotów.

— Prawie gotów, paniczu — odrzekła ciotka Klotylda, podnosząc pokrywkę z tygielka — a skórka jak się rumieni!... smacznym będzie... jeszcze tylko chwilkę. Cierpliwości, paniczu kochany. Onegdaj chciała pani, żeby Zuzka spróbowała upiec kilka pierożków, ale gdzie jej tam... powiadam paniczowi, że to się serce kraje, gdy się patrzy, jak się dobro pańskie marnuje; i cóż to było za pieczywo, pożal się Boże! krzywe,

[1]) Waszyngton Jerzy, oswobodził Północną Amerykę z pod rządów Anglii; dnia 30. listopada 1782 uznali Anglicy jej niepodległość, a w rok później opuściły ich wojska Nowy-York. Waszyngton był pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych, ur. 1732, um. 1799.

koszlawe, właśnie nieprzymierzając, jak mój papuć... nie, to próżno, gdzieby tam ona potrafiła, to nie tak łatwo.

Po tem lekceważącem Zuzkę przemówieniu, zrzuciła pokrywkę z tygla i odkryła mistrzowsko upieczoną leguminę w formie babki, której żaden nie powstydziłby się cukiernik; miała być ona zapewne owym nadzwyczajnym przysmakiem, więc na dobre zaczęła się kobiecina krzątać około przysposobienia wieczerzy.

— Wynoście się urwisy, a i ty ruszaj, Paulinko! Mateczka nie zapomni o swej córeczce, da ci coś smacznego, moja pieszczotko. Dalej paniczu, na bok książki, i proszę siadać z moim starym. Zaraz będzie smażona kiełbasa i placek kukurydzowy.

— Miałem iść na wieczerzę do domu, ale zostanę, bo masz niezłe przysmaki.

— Już to pewno, że wiesz co dobre, mój kochanku, — odrzekła ciotka Klotylda, kładąc na talerz gorące bliny [1]), — bo i dla kogóżby stara Klotylda miała chować przysmaki, jeżeli nie dla swego pieszczocha.

Mówiła to z niezwykłem zadowoleniem, popatrzała na Jerzego i odwróciła się ku ognisku.

— A teraz proszę leguminy, ciotko Klotyldo — odezwał się malec i wziął wielki nóż, jak gdyby zabierał się do krajania.

— Na Boga, paniczu! — zawołała ciotka Klotylda, wstrzymując rączkę Jerzego, — któż to widział krajać leguminę takim wielkim nożem! Wszystko się zapadnie — cała moja praca. Tutaj masz cienki, ostry nożyk, jakby umyślnie do tego zrobiony; gdy nim kraję — płatki się oddzielają lekkie, jak piórka. — Jedz paniczu, niema nad to nic lepszego.

— Tomasz Linkoln powiada, — odezwał się Jerzy, przez napakowane ciastem usta — że jego Janina lepsza kucharka od ciebie.

— Patrzcie, jaki mi zuch Linkoln! — zawołała Klotylda lekceważąco — Linkolny wielkie mi osoby... ważne figury! to ludzie poważani w najzwyklejszem tego słowa pojęciu, ale brak im pańskości. Czy można porównać Linkolna z panem Szelby? Miły Boże! A panna Linkoln! Czy potrafi tak wejść do salonu, jak moja pani — z taką elegancją, lekko a poważnie? Gdzie im się tam mierzyć z moim państwem?

Ciotka Klotylda, dokończywszy słów tych, potrząsła dumnie głową, jak ktoś, co zna świat dobrze.

— Ale sama przecie chwaliłaś Janinę, że to dobra kucharka.

— Niezawodnie — odpowiedziała Klotylda — i teraz powtarzam, iż Janina dobra kucharka... zna się na kuchni prostej: umie upiec bardzo dobry chleb, nagotować ziemniaków; jej kołacze z kukurydzy nie są wprawdzie szczególne, ale jeść je można. O lepszej kuchni nie ma wyobrażenia, robi wprawdzie pasztety, ale cóż to za pasztety? jak wyglądają? A czy potrafi zrobić ciasto, coby się rozpływało w ustach, lekkie jak puszek! Kiedy panna Marja wychodziła za mąż, widziałam sama, jakie ciasto upiekła... Janina jest moją przyjaciółką, — i dlatego nic jej wtedy nie powiedziałam... ale mówiąc prawdę, nie zdołałabym przez cały tydzień oka zmrużyć, gdyby mi coś podobnego się zdarzyło.

[1]) Bliny, placki, które się podaje gorąco na stół.

„Ależ nie w tę stronę, wuju Tomaszu . . .“

— A jednak Janina chwaliła swoje ciasto, że wyborne.

— Prawda, prawda; pokazywała mi je także i w swej naiwności pragnęła pochwał — i to właśnie dowodzi, że się nie zna na tem... Cały ten dom nie ma wielkiego znaczenia. Oj, paniczu, nie wiesz, jak jesteś szczęśliwy, jakich dobrych masz rodziców!

Tu ciotka Klotylda westchnęła i z uczuciem wdzięczności podniosła wzrok ku niebu.

— Bądź przekonaną, ciotko Klotyldo, że uznaję najzupełniej zalety naszych pasztetów i pudingów. Zapytaj Tomasza Linkolna, jak go ugniewam, gdy mu o nich opowiadam.

Klotylda brała się za boki od śmiechu, upadła na krzesło i śmiała się tak szczerze, że aż łzy puściły się strumieniem po jej czarnych, błyszczących policzkach. A dając malcowi małego klapsa, mówiła głosem urywanym: zabijesz mnie panicz swoim dowcipem. — I znowu wybuchnęła głośnym śmiechem, tak że chłopczykowi naprawdę zdawało się, że jest najdowcipniejszym z ludzi i że rzeczywiście za wiele powiedział.

— To panicz tak wprost Tomkowi powiedziałeś? Ale czy powiedziałeś? — pytała ciotka Klotylda, ucierając łzy. — Mój Boże, to mi zuch! Żartuje sobie z Tomka! O dla Boga, paniczu, przestań żartować, bo się na śmierć zaśmieję?

— Powiedziałem mu: posłuchaj Tomek, powinieneś posmakować pasztetów ciotki Klotyldy — to ci pasztety...

— A szkoda, że ich nie kosztował! — dorzuciła Klotylda, której poczciwe serce przedstawiało sobie natychmiast smutne położenie Tomka Linkolna. — Powinieneś, paniczu, zaprosić go kiedy na obiad, będzie to bardzo pięknie z panicza strony. Nie trzeba się bowiem wynosić nad innych, tego nie usprawiedliwia ani wyższość umysłowa, ani urodzenie, ani majątek.

— Dobrze, w przyszłym tygodniu zaproszę Tomka, a ty, ciotko Klotyldo, nie żałuj trudu; toż to będzie się dziwował... Nakarmimy go, by pamiętał ze dwa tygodnie o naszym obiedzie.

— Koniecznie, koniecznie — przerwała Klotylda zachwycona. — Zobaczysz paniczu, jak go nakarmim! O dla Boga, jak to się przypomni niektóre obiady... pamiętasz paniczu, ten pasztet z kurcząt na obiedzie, któryśmy dawali dla jenerała Noksa? O, wtenczas to o małośmy się nie pokłóciły z panią o skórkę pasztetu. Bo też ja nie rozumiem, co tym paniom przychodzi niekiedy do głowy: czasami właśnie wtedy, gdy lękasz się i drżysz, żeby się udało, wsuną swoje trzy grosze. Pani się chciało, żebym robiła jedno tak, drugie inaczej — aż mi cierpliwości zabrakło... „Pani, mówię jej, chciej tylko spojrzeć na swoje białe rączki a na moje czarne łapy; to już widać Bóg tak chciał, żebym ja się krzątała koło kuchni, a pani siedziała sobie w pokoju". O mało się wtenczas nie rozgniewałam.

— A co mama na to powiedziała? — spytał Jerzy.

— Co powiedziała? Popatrzała na mnie swemi pięknemi oczami i odpowiedziała: „Zgoda, ciotko Klotyldo; widzę, że masz rację" — i poszła sobie do pokojów. Już to, co prawda to prawda, pani mogła

mnie palnąć czem się nawinie za moją niegodziwość, ale trudno, nic nie umiem zrobić, gdy mi jaka pani patrzy na palce.

— O pamiętam ów obiad, udał ci się doskonale, wszyscy chwalili.

— Oj co prawda, to prawda! Stojąc za drzwiami, na własne oczy widziałam, jak jenerał trzy razy podsuwając swój talerz ku pani, prosząc o pierogi z jagodami, mówił: „Pani Szelby, masz pani nieocenioną kucharkę". — O mój Boże, mój Boże! o mało mi z radości serce nie pękło! Jenerał zna się na dobrej kuchni!... to bardzo porządny człowiek! Pochodzi z najstarożytniejszej familji w starej Wirginji, to też, jak i mój pan, zna się na tem, co smaczne, — to zacny człowiek... ten jenerał. Widzisz paniczu, w każdej potrawie jest coś osobliwego, ale nie każdy umie to dostrzec, a jenerał od razu zrozumiał o co chodzi... już to poznałam ze słów jego. Tak, tak, zna się na osobliwościach kuchni.

Jerzy najadł się do syta, jak to się zdarza dzieciom, którym jedzenie smakuje; nieco znużony, zaczął się przypatrywać dziatwie, która z odległego kąta wzajemnie go obserwowała, jak jadł...

— Chodźcie Pietrek, Mundziu, chcecie także co zjeść? — zawołał, rywaiąc spore kawałki ciasta i rzucając je dzieciom. — Ciotka Klotylda upiecze im także cośkolwiek.

Jerzy i Tomasz przeszli od stołu do komina, a Klotylda przygotowała spory zapas ciast, wzięła na kolana małą Paulinkę i obdzieliła dwóch urwisów, którzy największą znajdowali przyjemność posilać się pod stołem, przewracając się, swawoląc i ciągnąc za nóżki swą małą siostrzyczkę.

— Ciszej! a przestaniecie wy tam! — wołała matka, szturchając pod stołem nogą na chybił trafił. Widzicie, że są goście, bądźcie cicho, urwisy! No, niechno panicz wyjdzie, sprawię wam niespodziankę.

Jaka to miała być niespodzianka, nie trudno zgadnąć; to tylko pewna, że obietnica nie wywarła na rozswawoloną dziatwę najmniejszego wpływu.

— Rozwioźli chłopcy! — rzekł wuj Tomasz — nie dadzą ani chwili spokoju.

Chłopcy tymczasem wyszli z pod stołu, z zatłuszczonemi twarzami i rękoma i dalejże naprzemian całować i ściskać siostrzyczkę.

— A dajcie jej pokój! — wołała matka, odpychając ich kędzierzawe główki. — Ruszajcie mi zaraz do strumienia, umyjcie się czysto i pięknie; — i potwiedziła ten rozkaz kilku szturchańcami, które nie musiały być nazbyt straszne, bo dziatwa wyleciała za drzwi, śmiejąc się i jeszcze bardziej swawoląc.

— No, powiedzcież mi przez litość, czy widział kto takich urwisów. — Wziąwszy czysty ręcznik, umoczyła go w letniej wodzie, obmyła twarz i ręce Paulince, posadziła ją na kolana Tomaszowi i zaczęła sprzątać ze stołu. Dzieciak tymczasem szarpał ojca za nos, drapał go po twarzy i zapuszczał swoje drobne paluszki w jego kędzierzawą czuprynę. Ostatni rodzaj zajęcia widocznie najbardziej podobał się małej Paulince.

— Nie, śliczna to dziewuszka! — zawołał Tomasz, podnosząc dzieweczkę w górę jakby się chciał nią nacieszyć; później, usadowiwszy dziecinę na ramieniu, dalejże w pląsy po pokoju, a Jerzy skacząc przed

„Nie śliczna to dziewuszka? . . .

nią, wywijał chustką i bawił się razem. Mundziu i Pietrek, gdy wrócili do izby, przyłączyli się także do kompanii i to z takim hałasem, że ciotka Klotylda musiała protestować, — że jej pęknie głowa. Ale to na nie wiele się przydało; codziennie bowiem te same hałasy i te same protesty się powtarzały, aż Tomasz znużony nie skończył a z nim i pomęczona dziatwa.

— Na dziś, sądzę, będzie dosyć — rzekła matka, wyjmując z kufra

składane łóżko i rozłożyła je. — Dalej Mundziu, Pietrek, spać! Zbliża się godzina modlitwy.

— Nie pójdziemy spać matuniu, będziemy się także modlić, to tak ładnie.

— Pozwól im ciotko Klotyldo i złóż łóżko, niech sobie posiedzą — prosił Jerzy.

Klotylda była widocznie z tego zadowoloną, bo łóżko bez szemrania znów złożyła.

— No niechże sobie posiedzą, może pójdzie im to na pożytek.

I wszyscy wzięli się do sprzątania.

— Skąd dostać krzeseł? — zapytała ciotka Klotylda. — Doprawdy nie wiem, jak temu zaradzić? Ależ te zebrania co tydzień bywają w chacie Tomasza i zawsze obchodziliśmy się tem co jest, może i teraz damy sobie jakoś radę. Usiądą, jak się da, miejsca jest dosyć.

— W przeszłym tygodniu złamał dziadek Piotr dwie nóżki u tego krzesła — przerwał Mundziu.

— Jeszcze mi będziesz zmyślać! Pewnieś to ty zrobił, urwisie! — zawołała ciotka Klotylda.

— To nic, matusiu, będzie stać, jak je przystawię do ściany.

— Tylko bacz — zauważył Pietrek — żeby nie usiadł na nim dziadek Piotr; bo zwykle, jak zacznie śpiewać, to jeździ na krześle po całym pokoju.

— Tem lepiej, niech siada — przerwał Mundziu; — zobaczymy, jak tylko zacznie: „I przyjdziecie sprawiedliwi i grzesznicy wysłuchać głosu mojego“ — wywróci koziołka i rozciągnie się jak długi! — Mówiąc to, powtarzał po dziadku Piotrze i chcąc bardziej uobrazować swe opowiadanie, ruszył z miejsca na krześle i już leżał na ziemi.

— Przestań! — zawołała ciotka Klotylda. — Czyż wam nie wstyd? nie możecie się na chwilę uspokoić?

— Ale Jerzy popierał małego urwisa i dowodził, że Mundziu jest zuch; i dlatego uwagi matki skutkowały, jakby rzucał groch na ścianę.

Tymczasem wniesiono do izby dwie próżne beczułki, podparto je kamieniami i położono na nie deski, — siedzenia były gotowe.

— Panicz tak pięknie czyta — zauważyła ciotka Klotylda — mógłby pozostać z nami i przeczytać nam cośkolwiek głośno.

Jerzy zgodził się natychmiast, bo któryż chłopiec nie uczyniłby tak samo, słysząc tak pochlebne o sobie zdanie?

Izba wkrótce napełniła się różnobarwną gromadą, począwszy od dziewczynki lat piętnastu, aż do ośmdziesięcioletniego starca. Z początku, jak zwykle, opowiadano sobie niewinne ploteczki: „Skąd ma Zuzka nową chustkę?“ „Pani darowała Elżbiecie nową suknię...“ „Pan kupi niedługo pięknego konia“ itp.

Niektórzy z gości należeli do sąsiednich plantacyj i przychodzili do chaty wuja Tomasza za wyłącznem pozwoleniem swoich panów. Każdy miał do powiedzenia jakąś nowinę, ploteczkę, które tutaj również krążyły jak w pańskich salonach

Po chwili, z widocznem zadowoleniem obecnych, zaczęły się śpiewy. Kilka fałszywych głosów nie mogło zepsuć wspaniałej całości;

z piersi owych dzieci natury płynęła pieśń wdzięcznemi, pełnych uniesienia tony.

Śpiewano pieśni kościelne, których nauczyli się w okolicznych kościołach, albo od misjonarzy.

Pieśni te przeplatano opowiadaniami i naukami moralnemi.

— Jerzy zaczął na ogólne prośby czytać ustępy z Pisma św.

Jako chłopak z natury uważny, a wychowany starannie przez matkę w zasadach religijnych, widząc, że jest celem powszechnej uwagi, czytał z powagą godną pochwały. Młodzież go podziwiała, starzy go błogosławili — dobrego, kochanego panicza.

Tomasza szanowano ogólnie i we wszystkich sprawach jego się radzono; posiadał bowiem pogląd jasny, umysł szlachetny, serce czułe. Na zakończenie odmówił wuj Tomasz modlitwę tak ciepłą, tak płynącą wprost ze serca, że obecni rozpłakali się z rozrzewnienia, a niejeden, nawet wykształcony człowiek, mógłby się zbudować.

Gdy to się dzieje w chacie niewolnika, zupełnie inna scena odgrywała się w domu właściciela.

Handlarz murzynów i pan Szelby siedzieli za stołem zarzuconym papierami. Pan Szelby podał Haley'emu całą pakę dokumentów do przejrzenia.

— Wszystko w porządku — rzekł handlarz, — tylko podpisać...

Szelby porwał gwałtownie za pióro, podpisał z gorączkowym pospiechem, jakby chcąc prędzej uwolnić się od wyrzutów sumienia, i podał handlarzowi dokumenty sprzedaży. Haley wyjął z pugilaresu pergamin i podał go panu Szelby, a ten go pochwycił z niespokojem, którego nie był w stanie ukryć.

— Interes skończony, — rzekł Haley, wstając z krzesła.

— Skończony! — powtórzył Szelby w głębokiej zadumie. — Skończony!

— Pan nie bardzo jesteś z tego zadowolony, jak mi się zdaje, — zauważył handlarz.

— Haley — odrzekł Szelby — pamiętaj, że mi dałeś słowo nie sprzedać Tomasza, jak tylko zacznemu domowi.

— Bądź pan przekonany, że w tym względzie uczynię, jak sam postąpiłeś...

— Pan wiesz, że mnie zmusiła do tego konieczność!

— Przecież i mnie może to spotkać — dorzucił Haley. — Zresztą użyję wszelkich starań, by Tomasza ulokować dobrze, a co się tyczy mego z nim obejścia, bądź pan zupełnie spokojny. Codziennie dziękuję Bogu, że mi dał serce czułe.

Handlarz od pierwszego słowa dał się poznać w właściwem świetle, i dlatego jego kupiecki humanitaryzm wcale nie zaspokoił pana Szelby.

———o———

Jerzy zaczął na ogólne prośby, czytać ustępy z Pisma św. . .

ROZDZIAŁ V.

Jakie uczucia władną człowiekiem, który, jako własność osobista, przechodzi w posiadanie nowego właściciela.

Znajdujemy się w sypialni państwa Szelby. Pan domu siedzi w fotelu i przegląda otrzymane po obiedzie listy. Pani domu stoi przed lustrem i rozpuszcza loki, któremi Elżbieta głowę jej przybrała. Spostrzegła bladość na twarzy Elżbiety i widoczne przygnębienie, kazała jej iść na spoczynek, a rozbierając się sama, zwróciła się do męża.

— Powiedz mi, Arturze, kto to jest ów nieokrzesany człowiek, coś go przyprowadził dzisiaj na obiad?

— To Haley — odrzekł Szelby, poprawiając się z pewnem zakłopotaniem na fotelu i nieodrywając wzroku od listów.

— Haley? Powiedz mi, co to za człowiek i dlaczego do nas przybył?

— Łączyły mnie z nim ostatniemi czasy, podczas mojej bytności w Naczez, rozmaite interesy.

— I to go uprawniało, aby nas odwiedzić, u nas obiadować i rozgaszczać się, jak gdyby był u siebie w domu?

— Zaprosiłem go... mamy z sobą obrachunki.

— Człowiek ten handluje murzynami? — zapytała pani Szelby, spostrzegłszy na twarzy męża pewne zaniepokojenie.

— I cóż to cię obchodzi, moja droga? — rzekł pan Szelby, podniósłszy oczy na żonę.

— Tak... wyobraź sobie, co to za dziwactwo: po obiedzie wpadła Elżbieta do mnie, pomięszana, dowodząc, że sama słyszała, jak Haley proponował ci kupno jej syna; nieprawdaż, że to dziwaczne urojenie?

— Ona to słyszała? — zapytał pan Szelby, zabierając się znowu do przeglądania papierów, z całą jak się zdawało uwagą, chociaż je trzymał do góry nogami. „Po co tu taić? — pomyślał. — Prędzej, czy później musi się przecież dowiedzieć".

— Powiedziałam Elżbiecie — dodała pani Szelby — że majaczy, że ci ani w głowie postało sprzedawać któregokolwiek bądź z naszych ludzi, a tembardziej takiemu jak on człowiekowi.

— Masz słuszność Emiljo, zawsze tak sądziłem, takie jest moje przekonanie; niestety, okoliczności się zmieniły i jestem zmuszony odprzedać kilku ludzi.

— Przedać takiemu człowiekowi? To być nie może, panie Szelby, żartujesz ze mnie.

— Bardzo mi przykro powiedzieć, że wcale żartować nie myślę. Jestem zdecydowany sprzedać Tomasza.

— Jakto, naszego Tomasza! naszego zacnego, poczciwego Tomasza, który od dzieciństwa wiernie ci służy? Ach, panie Szelby!... A jednak obiecałeś mu dać wolność — powtarzaliśmy mu nieraz tę obietnicę... O! teraz mogę uwierzyć nawet i temu, żeś sprzedał małego Hen-

rysia, jedyne dziecię biednej Elżbiety! — Głos pani Szelby brzmiał niewysłowioną boleścią i oburzeniem.

— Tak jest, i to prawda, jeżeli tak ci pilno wszystkiego się dowiedzieć, to muszę ci wyznać, że się zdecydowałem sprzedać Tomasza i Henrysia; ale jeszcze nie pojmuję powodu, aby dlatego, co jest rzeczą zwykłą, co wszyscy robią niemal codziennie, miałabyś mną gardzić, uważać za potwora?

— Dlaczegóż właśnie ich wybrałeś? Skoro koniecznem było sprzedać kogo, to można było zrobić inny wybór.

— Dlatego, że za nich dają więcej niż za innych. Zresztą dla mnie to wszystko jedno, możemy sprzedać kogo innego. Ten człowiek proponuje mi za Elżbietę grube pieniądze. Jak uważasz, możeby to było lepiej?

— Jakaż to podłość! — zawołała pani Szelby w gwałtownem uniesieniu.

— Przecież tego nie zrobiłem, szanując twoje uczucia; za nic w świecie na to się nie zgodzę; słuszna przeto, żebyś miała wzgląd na moje położenie i ufała mi choć trochę.

— Przebacz mi, mój drogi, żem się uniosła — odrzekła pani Szelby. — Wiadomość ta przeraziła mnie niesłychanie, ale mam nadzieję, że pozwolisz mi wstawić się za tymi nieszczęśliwymi. Tomasz, chociaż murzyn, jest człowiekiem prawym, z zacnem, szlachetnem sercem. Jestem pewna, iżby życie poświęcił za ciebie.

— Wiem o tem; ale cóż to pomoże? Nie mogłem inaczej postąpić.

— Czyż nie lepiej ponieść stratę? Z chęcią połowę biorę i na siebie... Mężu mój! ty wiesz, że z całą sumiennością dobrej chrześcijanki starałam się wywiązać z moich obowiązków względem tych biednych, mocą prawa do nas przykutych istot. Wiele to już lat, jak się niemi opiekuję, staram się zbadać wszystkie ich potrzeby i dobrocią naprowadzić ich na drogę prawdy. Jakże będziemy mogli spojrzeć im w oczy, skoro dla lichego zysku zgadzamy się na sprzedaż najlepszego, najwierniejszego Tomasza, rozdzielić go w jednej chwili z tem wszystkiem, do czego całem sercem był przywiązany? Starałam się zaszczepić w ich prostych sercach uczucia rodzinne, uznanie obowiązków dzieci dla rodziców, rodziców dla dzieci, męża dla żony; a teraz uczynkiem dowodzimy, że były to słowa bez myśli, że zasady, któreśmy im głosili, dobre są, dopóki służą naszym celom, dopóki ich nie zagłuszy interes pieniężny... Rozmawiałam często z Elżbietą o jej dziecięciu, mówiłam jej wiele o obowiązkach jej wobec Henrysia, jak go powinna kształcić, wychować, jak wszczepić w jego młodociane serce pierwsze zasady nauki Chrystusa; a teraz — co jej powiem, gdy oderwiesz jej jedyne dziecię od zbolałej piersi i sprzedasz je niegodziwemu handlarzowi, sprzedasz z duszą i ciałem; bo ten człowiek bez zasad, ciało zadręczy a duszę splugawi, i to wszystko dla zysu. Mówiłam jej, że troska o zbawienie duszy powinna przewyższać wszystkie inne; jakże mi teraz ma ufać, gdy sprzedamy jej jedyne dziecię, sprzedamy na pewną zgubę ciała i duszy?

— Bardzo mi przykro, że sprawę tę bierzesz tak bardzo sobie do serca. Szanuję twoje przekonania, chociaż muszę się przyznać, nie

zawsze je podzielam, a przynajmniej nie posuwam ich do przesady. Konieczność nas zmusza, musimy albo sprzedać Tomasza i Henrysia, albo się wyrzec całej posiadłości. Haley, nie wiem jakim sposobem, przyszedł do posiadania dokumentu zastawnego na moją plantację; skoro więc nie zdołam się z nim porozumieć, mogą mi zabrać wszystko. Używałem wszelkich sposobów ratunku, szukałem pożyczki, nieraz doznałem upokorzenia — wszystko daremnie, niema ratunku. Czynię to tylko z konieczności. — Haley'emu podobał się chłopak, nie chciał inaczej interesu załatwić, — musiałem się zgodzić. Jeżeli ci tak szkoda Tomasza i Henrysia, powiedz czy lepiej byłoby sprzedać wszystko i pójść w świat o kiju?

Pani Szelby stała przez chwilę, jakby piorunem rażona; później zwracając się do toalety i zakrywając twarz dłońmi, zawołała w najwyższem wzruszeniu:

— O, przekleństwo Boże! Okropne prawo niewoli! Jest to przekleństwo spadające na głowę pana i na głowę niewolnika... Byłam szalona, gdym sądziła, iż można zrobić coś dobrego wobec takiej zasady prawa. Mieć niewolników jest grzechem! Zawsze to czułam, gdym jeszcze była małą dziewczynką, a teraz okoliczności potwierdziły boleśnie moje przekonanie. Mnie się zdawało, że łagodnością, sprawiedliwością, dobrem obejściem, potrafię tak przywiązać do siebie niewolników, iż nie będą tęsknić do swobody... Dziwne szaleństwo!

— Ej żoneczko, widzę, należysz do partji tych, którzy pragną zniesienia niewoli. Zawzięta z ciebie abolicjonistka [1]).

— Abolicjoniści wtenczasby mieli prawo mówić, skoroby tak zbadali jak ja stanowisko społeczne niewolników. I cóż oni powiedzą nam nowego? Wiesz przecie, że nigdy nie przyznawałam słuszności niewolnictwu i nigdy nie pragnęłam posiadać niewolników.

— Rozmijasz się przeto ze zdaniem wielu zacnych, nawet pobożnych a rozumnych ludzi. Czy przypominasz sobie słowa pana B., które wypowiedział tydzień temu?

— O panu B. nie chcę nic więcej wiedzieć. Są ludzie uczciwi, którzy rozumieją ową niedolę społeczną, ale również jak my nie mogą nic zdziałać; przecież aby stawać w obronie niewolnictwa, być jej apostołem, trzeba być pozbawionym albo sumienia, albo zdrowego rozsądku. Przecież sam uznajesz niedorzeczność podobnych zasad.

— Prawda, moja droga, przyznaję ci najzupełniejszą słuszność. Tem więcej więc zrozumiesz, że inaczej uczynić nie mogłem, że nie było drogi wyjścia; wolałem więc z dwojga złego wybrać mniejsze.

— O tak, tak! — zawołała pani Szelby, bawiąc się w roztargnieniu zegarkiem. — Na nieszczęście nie mam żadnych kosztowności — dodała zamyślona. — Ileby można dostać za ten zegarek? Zapłaciliśmy zań bardzo drogo. Z chęcią poświęciłabym wszystko, żeby przynajmniej wyratować dziecię Elżbiety.

[1]) Abolicjoniści, to zwolennicy idei, dążącej do zniesienia jakiego prawa lub ustawy, n. p. karania śmiercią lub tem podobnem. W Ameryce Północnej abolicjoniści starali się o zniesienie niewolnictwa. Dopiero w czasie wojny w roku 1861—1865 udało im się wpłynąć na rząd Stanów Zjednoczonych, tak że w roku 1863 ogłoszono akt emancypacji, t. j. wyzwolenia.

— Bardzo mi przykro, że to cię tak martwi... napróżno się dręczysz, sprawa już załatwiona, moja droga Emilio, dokument sprzedaży podpisany i jest w ręku Haley'ego; dziękujmy Bogu, że się tak skończyło, a nie gorzej. Uwolniliśmy się od człowieka, który nas trzymał w swoim ręku i mógł nas puścić z torbami. Ty go nie znasz i wiedzieć nie możesz, jak mi było trudno na krok ten się zdecydować...

— Czyż on taki okrutny?

— Okrutny... nie, nie powiem; ale jest to człowiek jak kamień, którego nic nie zatrzyma, gdy chodzi o zyski i korzyści; zimny jak mogiła, nieubłagany jak śmierć. Sprzedałby rodzoną matkę, byleby mu dobrze zapłacono, i zrobiłby to zupełnie spokojnie, jakby nigdy nic nie zaszło.

— I ten człowiek nikczemny jest teraz właścicielem Tomasza i syna Elżbiety?

— Tak, moja droga, sama myśl o tem dręczy mnie i pragnąłbym zapomnieć... Haley'emu pilno i już jutro chce ich zabrać. Nie mogę patrzeć na to; jutro ze świtem każę sobie osiodłać konie i pojadę gdziekolwiek; radzę i tobie zrobić tak samo. Postaraj się także oddalić Elżbietę; lepiej, gdyby jej nie było w domu.

— Nie, nigdy! — odrzekła pani Szelby — nie przyłożę ręki do tego okrucieństwa. Pójdę ze słowem pociechy do starego Tomasza, niech mu Bóg przyjdzie z pomocą, i niech odejdzie od nas z tem przekonaniem, że ja współczuję jego niedolę. O Elżbiecie lękam się pomyśleć. To okropnie... Boże mój, Boże mój! za cóż nas tak ciężko karzesz? Czy tak wielkie są winy nasze?

Rozmowę tę podsłuchała osoba trzecia, osoba, którą to najbliżej dotyczyło. Do sypialni państwa Szelby przytykała alkowa [1]), od której drzwi wychodziły na ganek. Elżbieta, rozgorączkowana, dręczona podejrzeniami, niespokojna o dolę dziecięcia, postanowiła skorzystać z tego sąsiedztwa. Skoro pani Szelby pozwoliła jej odejść, przyłożyła ucho do szpary we drzwiach, a zatrzymując oddech, wysłuchała, biedna, całą rozmowę, której każdy wyraz wypalał się ognistemi głoskami w jej sercu.

Rozmowa już ustała, a ona jeszcze nie wierzyła uszom własnym... cios był za silny. Blada, drżąca cała, z konwulsyjnie zaciśniętemi ustami, nie była podobną do owej ślicznej, łagodnej istoty, którąśmy w pierwszym rozdziale poznali. Ostrożnie przeszła przez pokój, zatrzymała się na chwilę przed drzwiami swej pani, wzniosła ręce ku niebu, jakby błagając sprawiedliwości i opieki w przedsięwziętym zamiarze, wróciła do swojego pokoiku, z którym tak ją wiele wiązało wspomnień, w którym przebyła tyle szczęśliwych chwil. Oto okno, przy którem siedząc z piosnką na ustach, oczekiwała swego ukochanego; tu szafka z książkami, a dalej komoda z jej skromną garderobą — to cały jej światek. W kącie, w kołysce, spało dziecię; jego długie włosy, rozrzucone bezładnie, przykryły twarzyczkę pełną spokoju; nawpół otwarte usteczka czekały pocałunku, na twarzy jego był uśmiech dziecięcia, co się nie lęka jutra.

[1]) Alkowa, nisza albo izdebka bez okien na zewnątrz, ale otrzymująca światło tylko z drugiego pokoju, najczęściej przez oszklone drzwi. Dawniej nazywano alkowami sypialnie. Dzisiaj, ze względu na zdrowotność, izb bez okien wogóle na sypialnie nie używamy.

— Dziecię moje, moje biedne dziecię, ciebie sprzedano! — westchnęła Elżbieta. — Ale matka potrafi cię jeszcze uratować.

I na poduszeczkę dziecięcia nie stoczyła się ani jedna łza matczyna. Są chwile w życiu, że serce z boleści kamienieje i na łzę nie może się zdobyć.

Elżbieta pochwyciła kawałek papieru i zaczęła pisać, co następuje: „O pani moja, dobra pani! nie posądzaj mnie o niewdzięczność, nie mogłam inaczej postąpić. Wczoraj słyszałam waszą rozmowę; muszę ratować moje dziecię — ty mi to przebaczysz. Niech Bóg pani błogosławi i nagrodzi za tyle wyświadczonej mi dobroci".

W kącie, w kołysce, spało dziecię . . .

Z gorączkowym pospiechem złożyła list, zaadresowała; później wyjęła z komody odzienie Henrysia, pakowała w zawiniątka i chustką przywiązała je sobie na plecy.

O jakże kochającem jest serce macierzyńskie, które w tak okropnej chwili pamięta o wszystkiem, co dotyczy drogiego dziecięcia. Elżbieta nie zapomniała zabrać nawet zabawek małego Henrysia, a zostawiła tylko jaskrawo pomalowaną papugę, by go zająć, gdy go zbudzi.

Nie bez trudności zbudziła małego śpiocha, ale gdy się to udało, usiadł na łóżeczku i zaczął się bawić papugą; matka tymczasem ubierała się do drogi, okryła się chustką, włożyła kapelusz.

— Dokąd mama idzie? — zapytał, gdy Elżbieta zbliżyła się do łóżeczka z jego odzieniem w ręku; spojrzał na matkę zdziwiony, a z jej wzroku i wyrazu twarzy domyślił się, że musiało zajść coś nadzwyczajnego.

— Ciczej Henrysiu — wyszeptała — nie mów tak głośno, mogą nas posłyszeć... Zły człowiek chce zabrać twojej mamie ciebie, moje dziecko, i wywieźć daleko w świat, ale mama nie odda cię, mój ty skarbie jedyny, mama ubierze cię i uciecze z tobą...

Przemawiając pieszczotliwemi słowy, ubrała chłopczyka a wziąwszy go na ręce, szepnęła mu, by się nie odzywał; otworzywszy drzwi, prowadzące na galerję, cichutko wymknęła się z domu.

Noc była mroźna — gwiazdy iskrzyły się migocące na ciemnem niebios sklepieniu. Matka otuliła chustką dziecię, które obawa pozbawiła zwykłej żywości; przerażony, przytulił się do piersi matczynej, objął drobnemi rączkami jej szyję i na niej zawisnął.

Stary Burek, pies nenfundlandzki, warujący zwykle na galerji, skoro posłyszał szelest, powstał, nasrożył się i zaczął warczeć; — ale gdy Eliza zawołała nań po cichu, poznał jej głos i zaczął się łasić, kręcić ogonem i zamierzał towarzyszyć swej opiekunce, która go przez tyle lat pieściła. Chociaż pies, przecież zastanowił się, co ma znaczyć tak późna przechadzka; w jego psiej głowie powstały pewne wątpliwości. Przystanął — spojrzał na Elżbietę, potem na dom, aż wreszcie coś widocznie postanowił, bo podążył za uciekającą kobietą. W kilka minut stanęła Elżbieta przed chatką Tomasza i z cicha zapukała do okna.

Zebranie pobożnych sąsiadów w chatce Tomasza przeciągnęło się tego wieczora dłużej niż zwykle. Gdy się wszyscy rozeszli, Tomasz długo jeszcze śpiewał pieśni pobożne i hymny, i dlatego, chociaż już było po północy, jeszcze z żoną czuwał.

— Dla Boga! cóż to jest? — odezwała się Klotylda, wstając z pospiechem i uchylając firanki. — Toć to Elżbieta! No, stary, bierz żwawo surdut... A ot i Burek przywlókł się z nią... Cóżby takiego zajść mogło?... Zaraz otworzę.

W tej chwili drzwi się otworzyły, a światło świeczki, którą Tomasz zapalił, oświeciło wybladłą i przestraszoną twarz Elżbiety.

— Pan Bóg z tobą, Elżbieto! Jak ty wyglądasz? Strach spojrzeć! Czyś chora? Czy się co stało?

— Muszę uciekać, Tomaszu, uciekać z moim Henrysiem, ciotko Klotyldo, pan go sprzedał...

— Sprzedał go? — powtórzyli oboje, wznosząc ręce z przerażenia.

— Tak, sprzedał go — powtórzyła Elżbieta. — Dzisiaj podsłuchałam pode drzwiami, jak pan mówił pani, że sprzedał mojego Henrysia i ciebie, Tomaszu, że sam jutro wyjedzie konno na spacer, a handlarz tymczasem was zabierze.

Gdy to Elżbieta mówiła, Tomasz stał w osłupieniu z podniesionemi rękoma, słuchał jakby przez sen; gdy skończyła, siły go opuściły, osunął się na krzesło, ręce opadły bezwładnie, a głowa pochyliła się aż do kolan.

— Panie, zlituj się nad nami! — zawołała Klotylda. — Czyż to być może? Cóż on zawinił, że pan go sprzedaje?

— Nic nie zawinił! Pan nie chciał ich sprzedać; a pani nasza, jak zwykle dobra, wstawiała się za nami, prosiła — słyszałam na własne uszy. Ale pan odpowiedział, że nie może inaczej postąpić, że jest u han-

dlarza zadłużony, że gdy was nie sprzeda, to będzie musiał stracić plantację i wszystkich ludzi i pozostanie bez przytułku z całą rodziną. — Słyszałam, jak dowodził, że musi sprzedać albo ciebie, Tomaszu, i mojego syna, albo wszystkich. Tak go oplątał ten człowiek! Pan mówił, że bardzo tego żałuje... a żebyście słyszeli, jak pani was żałowała! Jeżeli ona nie święta, jeżeli to nie anioł z nieba, to chyba ich niema i nie było na świecie. Źle robię, że ją opuszczam i uciekam, ale cóż począć? Sama mówiła, że dusza ludzka droższa nad wszystkie skarby na świecie. Mój syn ma także duszę, a gdy mi go odbiorą, cóż się stanie z jego biedną duszyczką? Zdaje mi się, że mam słuszność; a jeśli źle robię, to niech mi Bóg przebaczy, bo już nie wiem doprawdy, jak sobie postąpić.

— A ty cóż, stary? — zapytała Klotylda męża. — Czy nie myślisz uciekać? Czekasz może, póki cię nie związą i odstawią na południe, gdzie braci naszych głodem i przeciążeniem pracy niszczą! O lepsza śmierć niż takie życie!... Jeszcze czas, ruszaj z Elżbietą! Masz kartę legitymacyjną, możesz chodzić, gdzie ci się podoba. No, wybieraj się! Tymczasem spakuję ci rzeczy.

— Tomasz podniósł powoli głowę i spojrzał wzrokiem smutnym, lecz spokojnym.

— Nie, nie pójdę — odrzekł. — Elżbieta niech ucieka, uczyni słusznie, nie może i nie powinna zostać, to przeciw naturze; ale słyszała, że trzeba albo mnie sprzedać, albo całe dobra i wszystkich razem — niechże więc lepiej mnie samego spotka nieszczęście. Dla czegóżbym nie miał znosić tego, coby inni znosić musieli? — Z szerokich jego piersi wydobył się jęk bolesny, świadczący, jaką wewnętrzną staczał walkę. — Pan zwykle znajdował mię na właściwem miejscu, zawsze przy pracy na zwykłem stanowisku, i teraz tak będzie. Byłem zawsze uczciwy, nigdy nie nadużył danej mi karty, wierzył mi na słowo, bo słowo u człowieka święte, więc i dziś słowa nie złamię. Toć lepiej niech mnie jednego sprzedadzą, niżby wszystkich los ten miał spotkać. Pan temu nie winien... Klotyldo, on będzie pamiętał o tobie i o tych biednych dziatkach...

Mówiąc to, zwrócił się ku łóżeczku, z którego wyglądały kędzierzawe główki dzieci, spojrzał na nie i głos mu zamarł w krtani; pochylił się nad niemi, a ukrywszy twarz w dłoniach, jęczał urywanym głosem z nadmiaru boleści, a gorzkie łzy przedarły się pomiędzy spracowanemi palcami i płynęły obfitym strumieniem.

Były to łzy, jakiemi i ty, szanowny czytelniku, skropiłeś trumienkę, w której ułożono do snu wiecznego twego jedynaka! Były to łzy, jakieś wylewała, matko, gdyś słyszała po raz ostatni głos twego umierającego dziecięcia, — bo Tomasz był takim samym człowiekiem, jak wy.

A ty, jasna pani, chociaż cię drogie zdobią stroje, przecież jesteś też tylko kobietą, — a w nieszczęściu i cierpieniach odczuwamy wszyscy ból jednakowy.

— Słuchajcie — odezwała się Elżbieta, zatrzymując się w progu, — dopiero dzisiaj widziałam męża mego i nie domyślałam się, co nas spotkać może. Jego tak dręczą, że już mu sił brakuje do znoszenia krzywd; mówił mi, że chce uciec. Postarajcie się, jeżeli to podobna,

z nim się zobaczyć i opowiedzieć mu, że będę się starała dostać się do Kanady; powiedzcie mu, że go kocham, i jeżeli Bóg nam nie pozwoli się zobaczyć... — mówiąc to, odwróciła się, nie mogąc pokonać wzruszenia; dodała więc głosem urywanym: powiedzcie, żeby się starał żyć według przykazań Bożych, byśmy się choć po śmierci z sobą spotkać mogli... tam... w niebie... Przywołajcie Burka — pocóż ma iść ze mną?...

I jeszcze kilka słów na pożegnanie, kilka błogosławieństw na drogę, kilka uścisnień łzami zroszonych — i biedna kobieta z dzieckiem na ręku poszła w świat daleki...

———o———

ROZDZIAŁ VI.

Odkrycie.

Państwo Szelby, po znanej czytelnikom rozmowie, poszli na spoczynek, a sen powiek nie kleił; dlatego wstali na drugi dzień później, niż zwykle.

— Nie pojmuję, co się stało z Elżbietą? — odezwała się pani Szelby. — Dzwoniłam już kilka razy, a nie przychodzi.

Pan Szelby stał przed lustrem, ostrząc brzytwę na pasku; wtem drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł młody mulat, przynosząc wodę do golenia.

— Andrzeju, — odezwała się pani Szelby, — zapukaj do Elżbiety i powiedz jej, że już trzy razy na nią dzwoniłam... Biedna kobieta!... — dodała wzdychając.

Andrzej wrócił po chwili z niezwykłym przestrachem. — Ach pani! w Elżbiety pokoju komody otwarte, rzeczy porozrzucane, a ona sama... pewnie uciekła!

Jak błyskawica przebiegło przez umysł obojga państwa podejrzenie.

— Domyśliła się i uciekła! — zawołał Szelby.

— Chwała Bogu! — wyszeptała pani Szelby. — Niech ją Bóg prowadzi.

— Żono, ty bredzisz jak dziecko; ucieczka jej nabawi mnie najokropniejszego kłopotu. Haley przecież wiedział, że nie chciałem mu chłopca sprzedać, gotów pomyśleć, że przyłożyłem ręki do ucieczki. Tu zaangażowany mój honor.

Pan Szelby wyszedł spiesznie z pokoju. W całym domu powstał ruch wielki, bieganina, trzaskanie drzwiami; rozmaite postacie snuły się tu i owdzie, wszyscy wielce zakłopotani. Jedna tylko ciotka Klotylda mogłaby dać wyjaśnienie, ale milczała; twarz jej zwykle promieniejąca radością, dziś była chmurna, nadąsana. W milczeniu przygotowywała sucharki do herbaty, nie zwracając uwagi na to, co się koło niej działo, jakby nic widzieć i słyszeć nie chciała.

Gdybym tylko którego z tych djabłów mógł pochwycić . . .!“

Wkrótce z jaki tuzin chłopaczków, czarnych jak kruki, ukazało się na schodach wiodących na werandę, bo każdy z nich chciał pierwszy powiadomić handlarza, że mu się spekulacja nie udała.

— Pęknie ze złości! — zauważył Andruś.

— Tożto będzie wyzywał! — dodał mały Janek.

— Tak, tak, on ciągle łaje — dodała z kolei Małgosia — wczoraj słyszałam wszystko, co podczas obiadu mówili, siedziałam w spiżarni obok salki jadalnej... wszystko słyszałam.

Małgosia, która od urodzenia nigdy nie rozumiała, co jej mówiono, pragnęła uchodzić za sprytną dziewczynkę i z pewną powagą przechadzała się po ganku. Zapomniała tylko dodać, że w spiżarni nie podsłuchiwała, ale cały czas przespała.

W końcu przyjechał Haley w długich butach z ostrogami. Na samym wstępie spotkała go niemiła niespodzianka.

Urwisy nie zawiedli się w swoich oczekiwaniach... jak grad posypały się z ust Haleya wyzwiska ku uciesze rozswawolonej dziatwy. Skakali i śmiali się, kulali jeden przez drugiego, ale ostrożnie, w należytej odległości, aby ich biczem nie dosięgnął. Uspokoili się dopiero wtenczas, gdy się na dobre pomęczyli.

— Gdybym tylko którego z tych djabłów mógł pochwycić! — mruczał pod nosem Haley.

— Tylko chwytaj, a dalej — zawołał Andruś, strojąc najpocieszniejsze miny poza plecami handlarza.

— Niezwykłe rzeczy się dzieją, panie Szelby! — odezwał się Haley, wchodząc bez pukania do pokoju. — Zdaje się, że dziewka uciekła ze swoim dzieciakiem?

— Panie Haley, żona moja jest obecna! — odrzekł Szelby z godnością.

— Przepraszam panią — odrzekł Haley, marszcząc brwi i kłaniając się niedbale — ale wracam do sprawy: dziwne dochodzą mnie wieści... czy to prawda, mój panie?...

— Jeżeli się pan chcesz ze mną rozmówić, proszę się zachować, jak przystoi na przyzwoitego człowieka. Andruś odbierz bicz i kapelusz od pana Haley'a. Proszę siadać. Tak, mój panie, ze smutkiem muszę panu wyznać, że Elżbieta musiała nas podsłuchać, albo się domyślić... i uciekła tej nocy z synem.

— Spodziewałem się w tej sprawie honorowego postępowania.

— Jakto, mój panie? — podchwycił pan Szelby, podchodząc prędko ku niemu. — Co pan chcesz przez to powiedzieć? Dla ludzi, coby się ważyli wątpić o moim honorze, jedną mam tylko odpowiedź.

— Słowa te wypowiedziane z energją, odniosły pożądany skutek. Handlarz odpowiedział znacznie grzeczniej:

— W każdym razie przyzna pan, że przykro jest doznać takiego zawodu.

— Mój panie — odrzekł pan Szelby — gdybym nie uznawał słusznego żalu pańskiego, nie pozwoliłbym wejść panu do pokoju w tak nieprzyzwoity sposób, jak to uczyniłeś. Czuję się obowiązany dodać, że żadnej w tym względzie nie przyjmuję uwagi; honor mój wolen od podejrzeń — spamiętaj to pan sobie. Czuję się jednak obowiązanym dać panu pomoc; ludzie moi i konie są na pańskie zawołanie, staraj się pan dogonić swą własność... Jednem słowem, wiesz pan co, panie Haley, — dodał pan Szelby, zmieniając ton, jakim dotąd przemawiał, na bar-

dziej poufały, — najlepiej wcale się tem nie martw, ale zjedz z nami śniadanie, a o interesie pomówimy później.

Pani Szelby powstała, wymawiając się, że ma wiele zajęcia i dlatego nie może uczestniczyć w śniadaniu; poruczywszy przygotowanie kawy młodej mulatce, wyszła z pokoju.

— Jejmość nie bardzo łaskawa na waszego pokornego sługę — zauważył Haley z pewną źle udaną poufałością.

— Nie zwykłem słuchać podobnie poufałego sposobu mówienia o mojej żonie — odparł sucho pan Szelby.

— Przepraszam, był to tylko żart, pan to zrozumiesz?

— Żarty nie zawsze są przyjemne.

— Djabelnie zhardział od czasu, jak podpisałem układ — mruknął handlarz. — Jaki to arystokrata od wczoraj.

Najważniejszy wypadek w świecie nie zrobiłby takiego wrażenia, jak wieść o smutnej doli wuja Tomasza, która lotem błyskawicy rozniosła się po całym dworze; rozprawiano o tem w chatkach i rozbierano, co to z tego wszystkiego wyniknie. Ucieczka Elżbiety, wypadek niesłychany w dobrach pana Szelby, jeszcze więcej przyczynił się do powiększenia ogólnego zamięszania. Czarny Samuel, — nazywano go czarnym dlatego, że barwa skóry jego była o wiele ciemniejsza niż u innych murzynów — rozważał w myśli sprawę całą, starał się odgadnąć jej skutki i obliczał, jaki to może wywrzeć wpływ na jego stanowisko osobiste, z taką przenikliwością i pewnością poglądu, iżby mu niejeden głęboki polityk mógł tego pozazdrościć.

— Niedobry wieję wiatr — mówił Samuel sam do siebie. — Karjera Tomasza się skończyła, jego miejsce zajmie inny... To wcale nie zła myśl... Tomasz nosił palone buty... miał w kieszeni kartę legitymacyjną, jeździł po całym kraju konno... czemu nie mógłby tego uczynić także Samuel? Czy Tomasz lepszy ode mnie?... dlaczego?

— Hej, Sam! pan kazał osiodłać dwa wierzchowce, Bellę i Jerry — zawołał Andrzej, przerywając monolog Samuelowi.

— A to na co?

— Czyż nie wiesz, że Elżbieta z swoim malcem uciekła?

— Cóż to tobie... mędrsze jaja od kury... — odpowiedział Samuel z lekceważeniem — dawno już o tem wiedziałem.

— O to mniejsza; pan kazał, żeby konie były natychmiast osiodłane: pojedziemy z Haleyem w pościg za Elżbietą.

— Widać, że mi ufają, choć ja murzyn — zauważył Sam. — Gdy ją pochwycimy, zrozumieją, że coś umiem.

— Posłuchaj Sam, tu trzeba postępować roztropnie; pani nie chce, żebyśmy Elżbietę pochwycili, bądź więc ostrożny.

— Czy tak? — zapytał Sam, wytrzeszczając oczy — A skąd wiesz o tem?

— Słyszałem to na własne uszy dziś rano, gdym przynosił panu wodę do golenia; pani posłała mnie, abym zawołał Elżbietę, i kiedy się dowiedziała, że uciekła, powiedziała: „Chwała Bogu!“ Pan o mało nie zwarjował i powiedział pani, że sama nie wie, co mówi; ale go prze-

kona, już ja to wiem, jak to się dzieje. Lepiej nam trzymać z panią... wierzaj mi, że lepiej.

Czarny Samuel poskrobał się po głowie, w której chociaż może nie gościła głęboka mądrość, ale było wiele instynktowego przeczucia, zrozumiał więc, czyja strona silniejsza.

— Nigdy nie trzeba się wygadywać, nigdy... — mruczał sobie pod nosem, — na tem świat stoi! I ten wyraz na tem powiedział z takim przyciskiem i poszanowaniem dla swej głębokiej filozofji, jakby w istocie wiedział, na czem świat stoi i wniosek swój na długich spostrzeżeniach opierał.

— A ja myślałem, że pani wszystkich nas wyprawi w pogoń za Elżbietą — rzekł w zamyśleniu.

— Rozumie się i ona chciałaby mieć z powrotem Elżbietę — odparł Andrzej. — Czyż tego pojąć nie możesz, głupi murzynie, że pani nie chce, żeby Haley zabrał z sobą małego Henrysia?...

— Ho, ho! — krzyknął Samuel takim głosem, jakim krzykają tylko murzyni.

— Jeszcze ci coś powiem — dodał Andrzej — żebyś pospieszał z końmi: pani już o ciebie pytała, a ty sobie stoisz i wygrzewasz się na słońcu.

Samuel pobiegł z pośpiechem i wkrótce wrócił, prowadząc Bellę i Jerry galopem; zeskoczył z siodła i postawił konie głowami ku ścianie. Wierzchowiec pana Haley był młody i lękliwy; począł więc rżeć, skakać, kopać i stawać dęba.

— Patrzcie, jaki dziki! — odezwał się Sam, a po czarnej jego twarzy przebiegł szyderczy uśmiech. — Poczekaj, ja cię uspokoję!

W pośrodku dziedzińca roztaczał konary rozłożysty buk; cała darnina pod drzewem była zasłana trójgraniastemi orzechami. Samuel podniósł jeden, zbliżył się do konia, zaczął go głaskać, a poprawiając siodło, wsunął pod nie orzech. Najmniejszy ciężar, wciskający ostre brzegi orzecha w skórę drażliwego zwierzęcia, mógł je doprowadzić do szaleństwa, nie zostawiając żadnych śladów zadraśnięcia.

— Doskonale — wyszeptał, oglądając się dokoła i dziwacznie wykrzywiając twarz. W tej chwili wyszła pani Szelby na balkon i kiwnęła na Samuela. Samuel poszedł z taką pokorą, jak to czynią ludzie starający się o posadę.

— Czemu przychodzisz tak późno? Kazałem ci powiedzieć przez Andrzeja, żebyś się spieszył.

— O dla Boga, dobra pani, czyż to konie tak łatwo połapać? Zabiegły, Bóg wie gdzie, aż na sam koniec łąki.

— Samuelu, ja ci tyle razy mówiłam, żebyś nie wzywał imienia Pana Boga twego nadaremno, — to grzech!

— Ach, jak Boga kocham, już więcej nigdy tego nie uczynię, spamiętam to sobie.

— Masz tobie, poprawiłeś się.

— Czyż doprawdy? O dla Boga! już nie wiem, jak się to stało.

— Trzeba się wystrzegać, mój Samuelu.

— Niech mi pani pozwoli tylko odetchnąć, już będę uważniejszy.

— To dobrze. Samuelu, pojedziesz z panem Haley, będziesz mu służył za przewodnika, będziesz mu pomagał; ale pamiętaj o koniach, mój Samuelu, wszak wiesz, że w przeszłym tygodniu Bella skaleczyła nogę... nie pędź ich...

Ostatnie wyrazy wypowiedziała pani Szelby pół głosem, jakby umyślnie chciała zwrócić na nie uwagę Samuelowi.

— Niech pani nam zaufa, — odrzekł Samuel, dopowiadając reszty miną, — Bóg widzi... ach! przepraszam, nie chciałem tak powiedzieć!... — zawołał z tak komiczną obawą, iż nawet pani Szelby musiała się roześmiać. — Tak pani... będę szanował koni.

— No, Andrzeju, — zawołał Samuel, wracając na swe stanowisko pod bukiem, — a co byś ty powiedział, gdyby koniowi pana Haley przyszła chętka sobie pobrdysać, gdy poczuje jeźdźca na grzbiecie? Przecież wiesz, że konie czasami jakieś licho napada... — i Sam szturchnął kolegę znacząco w bok kułakiem.

— Ho, ho! — zawołał Andrzej, domyśliwszy się jakiegoś podstępu.

— Bo widzisz, Andrzeju, pani chce zyskać na czasie, to nie trudno zrozumieć; a chcę jej w tym względzie dopomóc. Konie możnaby odwiązać, niechby się jeszcze trochę pod lasem popasły. Zdaje mi się, że ten pan nie tak prędko stąd wyruszy.

Andrzej uśmiechnął się szyderczo.

— Uważaj, Andrzeju! — odezwał się Samuel — jeżeli się panu Haley co stanie, to my puścimy swoje konie i pospieszymy mu na pomoc... wszakże prawda, pomożemy mu — bo nie?... Obydwaj wybuchnęli głośnym śmiechem, a nie mogąc pokryć radości, skakali i tupali nogami.

W tej chwili wyszedł Haley na werandę; pokrzepiony kilku filiżankami dobrej kawy, był w znacznie lepszym humorze.

Andrzej i Sam chwycili po liściu palmowym, których zwykle używali jako kapeluszy, skoczyli ku koniom, żeby być w pogotowiu na rozkazy swego nowego pana.

Liść, pokrywający głowę Sama, spadał dokoła głowy jakby obszyty frenzlami, nadając mu junackiej miny, — wyglądał jak wódz jakiego dzikiego plemienia. U kapelusza Andrzeja cały brzeg odpadł, ale mimo to nasadził go sobie na głowę, a oglądając się z zadowoleniem, zdawał się pytać: a co, czy mi nie pięknie w tym kapeluszu?

— Dalej chłopcy, żwawo, bo nie mamy czasu do tracenia.

— Ani chwili, panie! — dodał Sam, podając mu cugle i przytrzymując strzemię, gdy tymczasem Andrzej odwiązywał konie. Zaledwie Haley dosiadł rumaka, tenże jak oparzony wspiął się i jednym rzutem przerzucił jeźdźca przez głowę.

Samuel skoczył czemprędzej, aby pochwycić rozszalałego rumaka; ale gdy stanął przed nim w swym cudownym kapeluszu, koń jeszcze więcej się przeląkł; przewróciwszy Sama, chcącego pochwycić go za lejce, popędził jak strzała po łące, a za nim Bella i Jerry, spłoszone okropnym krzykiem Sama i Andrzeja.

Powstał okropny harmider; Andrzej i Sam biegli i krzyczeli jak opętani, psy szczekały, Andruś, Kubuś, Franuś, Jadzia, Stasia, Kasia, cała

gromada chłopców i dziewcząt, wszystko czyniło przeraźliwy zgiełk, powiększając jeszcze więcej zamięszanie. Koń pana Haley, niezmiernie ognisty, zdawał się uczestniczyć w ogólnej radości. Przed nim roztaczała się śliczna zielona łąka, około pół mili długa, schylająca się po obydwóch stronach ku lasowi. Rumak znajdował szczególną radość, że pozwalał ścigającym go dojść tak blisko, że już — już miano go pochwycić, gdy nagle czynił skok w bok i znowu ubiegł kilkaset metrów, a w końcu znikł w gęstwinach leśnych. Zamiarem Samuela nie było bynajmniej pochwycić któregokolwiek z rumaków, aż nie uzna za stósowne; ale mimo to gonił za koniem, a palmowy jego kapelusz połyskiwał wśród najgęstszych zarośli, świadcząc, że zadawał sobie wiele pracy, aby konia pochwycić. Gdy się do niego zbliżał i wyciągnął rękę, aby chwycić za lejce, wołał: „A już cię mam! chwytaj! chwytaj!“ I koń jednym skokiem uchodził dalej.

Haley biegał również, jak oszalały, klął i tupał ze złości nogami. Pan Szelby starał się daremnie go uspokoić; wydawał z werandy rozkazy, ale nikt ich nie słuchał. Pani Szelby patrzała oknem, dziwiąc się całemu zajściu; musiała jednakże przyczynę tegoż zrozumieć, bo po pięknej jej twarzy przeleciał od czasu do czasu uśmiech zadowolenia.

Nareszcie około godziny dwunastej wracał Sam z triumfem, siedząc na Jerry i wiodąc za uzdę wierzchowca Haleya, pokrytego od zmęczenia pianą, do domu. Po szeroko rozwierających się nozdrzach, ogniu w oczach, drobnym kroku, poznać było można, że jeszcze się nie uspokoił.

— Mam go! — zawołał triumfująco Sam — Boże mnie nie danoby soby rady! Ktoby go tam złapał...

— Bez ciebie?... — zamruczał Haley niebardzo przyjemnym głosem, — żeby nie ty, wogóle nie byłoby nic zaszło.

— Miły Boże! — odrzekł Sam z udanym smutkiem. — Toż go najwięcej goniłem, aż pot mi po krzyżu ścieka.

— Tak, tak... z twojej łaski straciłem trzy godziny czasu; ale teraz dosyć tych głupstw, dalej siadać!

— Ależ panie — zawołał Sam głosem błagalnym — czy pan chcesz pozabijać nas i zwierzęta? Toć jesteśmy zupełnie pomęczeni, konie ledwie włóczą nogami. Możeby pan się zatrzymał na obiad... konia pańskiego trzeba wytrzeć słomą, niech pan spojrzy, jak wygląda cały pianą pokryty... Jerry kuleje a w takim stanie pani wcale nas nie puści — niech Bóg broni. Co straciliśmy, to i dogonimy... Elżbieta była na chodzenie bardzo niewytrzymałą...

Pani Szelby, którą rozmowa ta zajęła, zeszła na dół, aby dopełnić dzieła... Podchodząc ku panu Haley, odezwała się bardzo uprzejmie, że boleje nad tem, co się stało, i usilnie zaprasza go na obiad, w tej chwili każe obiad podawać.

Chcąc nie chcąc, musiał się Haley zdecydować zostać — nie było innej rady. Samuel tymczasem, zadowolony z siebie, czyniąc najokropniejsze grymasy, odprowadził z udaną powagą konie do stajni.

— A co Andrzeju, widziałeś, jak skakał ze złości — zapytał Sam Andrzeja, uwiązawszy konie. — Toż to prawdziwe komedje, — a jak klął, a jak wyzywał... „Łaj sobie! stary błaźnie, pomyślałem sobie,

łaj, ale chwilkę raczysz poczekać, nim ci konia złapiemy".

Sam i Andrzej śmiali się do rozpuku.

— Kiedym mu prowadził konia, to był jak opętany; zdaje mi się, że gdyby mógł, zabiłby mnie. Ja tymczasem stałem sobie spokojnie, jak gdybym o niczem nie wiedział...

— Widziałem, widziałem... Sam, z ciebie filut...

— Ja też tak myślę, — odrzekł Sam, — a widziałeś, jak się pani za oknem śmiała?

— Tak się spieszyłem, żem tego nie spostrzegł.

— Widzisz! — rzekł Samuel, zaczynając z godnością obmywać konia Haley'a — już to u mnie we zwyczaju być r o z w a ż n y m. To dobre przyzwyczajenie, Andrzeju. Ja ci radzę więcej r o z w a ż a ć, póki

Sam i Andrzej śmiali się do rozpuku . . .

jeszcze lata nie minęły. A podnieśno tylną nogę koniowi, Andrzeju. Bo widzisz, mój chłopcze, z dwóch rozumnych zawsze ten lepszy, co umie rozważać. Czyż dziś zrana nie zwąchałem, skąd wiatr wieje? Czyż nie spostrzegłem, czego pani chce, chociaż nic o tem nie mówiła; a to wszystko znaczy: rozważać, mój Andrzeju. Sądzę, że to właśnie nazywa się zdolnością. Zdolności bywają rozmaite u różnych narodów, rzecz leży tylko, jak je w sobie wyrobić.

— A mnie się zdaje, że gdybym ja sam pierwej nie miał tej rozwagi, tybyś może nie tak prędko domyślił się, co i jak robić trzeba.

— Andrzej, z ciebie sprytny chłopak, wysoce cię cenię, i dlatego wcale się nie wstydzę posłuchać twej rady. Zdarza się, że najrozumniejsi ludzie wpadają w matnię. No, pójdźmy do dworu; ręczę ci, że pani nas każe doskonale nakarmić.

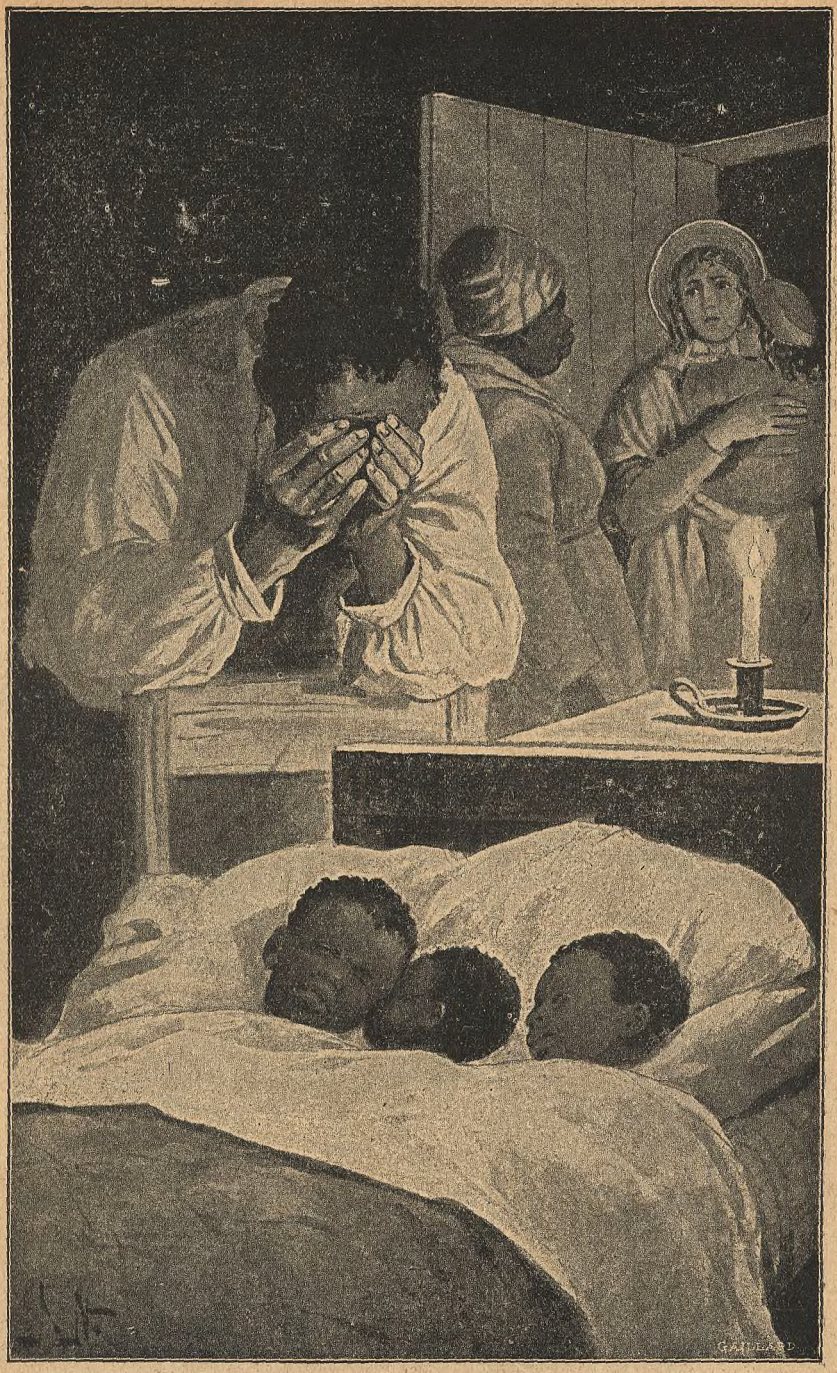

A ukrywszy twarz w dłoniach, jęczał urywanym głosem . . .

ROZDZIAŁ VII.

Ucieczka matki.

Kto się wstawi w położenie biednej Elżbiety w chwili, gdy opuszczała chatę wuja Tomasza, zrozumie choć w części jej boleść, jej obawę, jej osamotnienie. Do obawy o los męża, który tak ciężkie przechodził próby, i dziecięcia przyłączyło się uczucie niepewności dnia jutrzejszego. Opuściła zakątek rodzinny, poza którym nie znała innego świata; drzewa, w których cieni się bawiła, lasek, w którym w dniach szczęśliwych wieczorami z ukochanym mężem się przechadzała. To wszystko wśród nocy gwiazdzistej zdawało się ją pytać: „czemu opuszczasz rodzinne strony i dokąd się udajesz?" Ale głośniej nad wszystko przemawiała miłość macierzyńska, która wzrastała w miarę zbliżającego się niebezpieczeństwa. Syn jej był już w tym wieku, że mógł sam chodzić, i w innych okolicznościach prowadziłaby go za rękę; ale teraz, sama myśl wypuszczenia go ze swych objęć, krew jej ścinała. Konwulsyjnie przyciskała dziecię do piersi i przyspieszała kroku.

Zmarznięta ziemia chrupała pod jej nogami, a każdy szmer nawet przejmował ją drżeniem. Najmniejszy szelest liści, cień przelotny, wszystko napawało ją niezmiernym strachem; krew napływała jej gwałtownie do serca; dziecię, które niosła, zdawało jej się lekkiem jak piórko, jakieś nowe wstępowały w nią siły, przyspieszała kroku — a blade usta szeptały: Boże zlituj się! Panie ratuj!

Matki, które będziecie czytać te karty, wstawcie się w to samo położenie; wyobraźcie sobie, że wasze jedyne dziecię mają jutro oddać nieokrzesanemu handlarzowi, że warunki sprzedaży już ukończone i podpisane... wyobraźcie sobie, że ze świtem wszystko się skończy, i że tylko noc może nas ratować, a pojmiecie, co to jest uciekać z drogim skarbem... pojmiecie, ile to mil można zrobić w kilka godzin z tym słodkim ciężarem na ręku, gdy tymczasem mała jego główka spoczywa uśpiona na waszem ramieniu, a drobne rączki z całem zaufaniem objęły waszą szyję...

Chłopczyk spał. Strach i nowość położenia z początku niepokoiły go. Oględna matka wstrzymuje oddech, trwożna, by najmniejszy szelest nie przyspieszył pogoni, zapewniała małego Henrysia, że go uratuje, byle tylko się spokojnie zachowywał. Dziecię przytuliło się do piersi matczynej i posłusznie zapytało:

— Mamo, czy mogę zasnąć?

— Śpij, mój aniołku.

— Ale, matuniu, ty mnie jemu nie oddasz, jak zasnę?

— Nie! nie! — odrzekła matka, a twarz jej jeszcze bardziej pobladła, a oczy świeciły dziwnym blaskiem.

— Ale czy tylko na pewno mnie nie oddasz, matulu?

— Z pewnością nie! — przemówiła matka głosem, którego się sama przelękła; zdawało jej się, że wyraz ten wyrwał się z jej ust mimo jej woli, za jakiemś wyższem natchnieniem. Chłopczyk pochylił zmę-

czoną główkę na ramię matki i wkrótce zasnął. Czuła przy swych piersiach dziecię, dziecię jedyne, czuła jego czysty oddech, ogrzewał twarz jej i dodawał jej odwagi. Za każdem poruszeniem dziecięcia jakiś dziwny prąd elektryczny przebiegał po całem ciele matki. Minęła granicę, farmy, gaje i lasy i szła wciąż dalej a dalej, tracąc z oczu znajome jej okolice. Nie zatrzymywała się ani na chwilę, nie odpoczywała nigdzie, a gdy zorza poranna wschód nieba zarumieniła, znajdowała się na prostej drodze, dalekie mile oddalona od wszystkiego, co ją dotąd otaczało.

Jeżdżąc z panią w odwiedziny do sąsiadów, poznała drogę do wybrzeży rzeki Ohio. Powzięła więc myśl przeprawić się przez rzekę do krainy zupełnie jej nieznanej, ale Elżbieta ufała w Bogu, że krokami jej pokieruje. Gdy się już ruch zaczął na drodze, Elżbieta zrozumiała, że przyspieszony jej chód i widoczny niepokój, mogą zwrócić uwagę i obudzić podejrzenie przechodniów; postawiła dziecię na nogi, a poprawiwszy odzież i włosy, postępowała dalej, ale o wiele wolniej. W małym woreczku chowała zapas jabłek i pierniczków, których używała do zachęcenia i podniesienia sił zmęczonego chłopca; od czasu do czasu kulała jabłko po drodze, a Henryś, zapominając o zmęczeniu, gonił za niem, — przy pomocy tego wybiegu uszła jeszcze kilka mil. Wkrótce zbliżyli się do strumienia, który w tem miejscu drogę przerzynał, przedzierając się wśród zarośli. Chłopczyk skarżył się na głód i pragnienie. Zawróciła z wielkiej drogi w zarośle, usiadła na urwistym brzegu strumienia poza kamieniem, i wyjęła z woreczka śniadanie dla swego jedynaka, który się bardzo dziwił i smucił, że matka nic jeść nie chciała. Objąwszy ją jedną rączką za szyję, drugą gwałtem chciał jej włożyć kawałek bułki do ust.

— Nie, mój drogi Henrysiu, twoja mama jeść nie będzie, pókiś ty w niebezpieczeństwie. Nam trzeba iść ciągle dalej i dalej, aż do brzegu rzeki. — Powiedziawszy to, wybiegła z pospiechem na drogę, gdzie już zwolniła kroku, aby nie zwrócić na siebie uwagi przechodniów.

Wszystkie miejsca więcej znajome zostawiła już daleko poza sobą; a jeżeliby kto ze znajomych ją spotkał, liczyła na to, że względy, jakich doznawała w domu swoich państwa, ochronią ją od wszelkich podejrzeń.

Oprócz tego krzepiła się nadzieją, że tylko po długiem wpatrzeniu się można było dostrzec na twarzy jej i syna ślady ich pochodzenia, że zdoła ujść, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Przeto postanowiła zatrzymać się na chwilę w jednej z farm, aby się nieco pożywić i odpocząć, bo w miarę, jak się oddalała od miejsca zamieszkania, zmniejszało się niebezpieczeństwo pościgu, a wstępowała w nią większa otucha i pewność siebie, — i głód zaczął jej dokuczać.

Gospodyni, dobra i rozmowna kobiecina, bardzo się ucieszyła z przybycia Elżbiety, bo mogła się dowoli nagadać.

Odpocząwszy nieco, oświadczyła Elżbieta, iż udaje się na pewien czas do krewnych i pożegnała gościnną gospodynię.

Na godzinę przed zachodem słońca, przyszła Elżbieta do wioski nad brzegiem Ohio położonej, a chociaż odwaga i siły moralne jej nie opuściły, wątłe ciało nie mogło sprostać duchowi; nogi jej popuchły, tak że się ledwo wlokła, a na jej twarzy widoczne było znużenie.

Był to początek wiosny; rzeka wezbrała, a rozhukane jej fale pędziły z szumem ogromne bryły lodu. W miejscu, gdzie od strony stanu Kentucky brzeg klinem się wbijał w jej wody, utworzył się z zbitych kier jakoby rodzaj grobli, łączący obydwa brzegi rzeki Ohio.

Elżbieta zatrzymała się przez chwilę na brzegu i przypatrywała się z przestrachem miejscowości, która nie wiele otuchy wlewała w zbolałe jej serce; przepłynąć bowiem na drugą stronę było niepodobieństwem. Nie wiedząc, co czynić, udała się do najbliższej gospody, by tam zasięgnąć rady.

Gospodyni, zajęta przygotowaniem wieczerzy, posłyszawszy łagodny a zarazem rzewny głos Elżbiety, obejrzała się z zadziwieniem.

— Czy nie mogłabym się dowiedzieć, gdzie tu jest do wynajęcia łódź, którąbym mogła się przeprawić na tamtą stronę rzeki?

— To daremne, obecnie nikt na to się nie odważy.

Zbolała i skłopotana postać Elżbiety, zrobiła pewne wrażenie, obudzając zarazem ciekawość gospodyni.

— A czy to pani tak pilno na tamtą stronę? Czy kto chory, że jesteś tak przestraszona?

— Dziecię zachorowało mi niebezpiecznie, dowiedziałam się o tem wczoraj w nocy, spieszyłam przez cały dzień i chciałabym dziś jeszcze się przeprawić.

— Ach, to bardzo przykro! — odrzekła gospodyni, w której piersi odezwało się uczucie macierzyńskie. — Jak mi Bóg miły, bardzo mi pani żal... Salomon! — zawołała, wyglądając przez okno, wychodzące na dziedziniec...

We drzwiach pokazała się postać w skórzanym fartuchu.

— Powiedz mi, Sel, czy sąsiad nasz, bednarz, będzie dzisiaj przewoził beczki na drugą stronę rzeki?

— Mówił, że popróbuje.

— Na dole jest tu kupiec, co chce wieczorem, jeżeli będzie można, przetransportować na tamtę stronę towary; to się z nim zabierzecie, a tymczasem proszę usiąść i odpocząć... A jaki to ładny chłopczyk! — dodała gospodyni, częstując go ciasteczkiem.

Ale mały Henryś, znużony drogą, zaczął płakać.

— Biedne dziecko — odezwała się Elżbieta — nieprzyzwyczajony do takich wędrówek, a mnie tak pilno.

— W takim razie zaprowadź go do tego pokoju, niech spocznie — rzekła gospodyni, otwierając drzwi do malutkiej sypialni. Elżbieta ułożyła dziecię i trzymała je za rączki, póki nie zasnęło. Odpocząć jednak sama nie mogła; myśl o tem, że ją ścigają, nie dawała jej pokoju.

Smutnem okiem spoglądała na szumiące fale rzeki, co ją oddzielały od krainy, gdzie ją czekała wolność.

Tu musimy pożegnać ją na chwilę i wrócić do jej prześladowców.

Mimo, że pani Szelby oświadczyła panu Haley, że obiad już podano i posłała z jakie półtuzina chłopaków do ciotki Klotyldy, aby stół nakrywała, okazało się, że nie starczy tylko rozkazywać, ale trzebaby też samemu zrobić.

Ciotka Klotylda, otrzymawszy rozkaz, aby nakrywała stół, bąkła zaledwie coś pod nosem i zwolna, jak nigdy dotąd, jakby od niechcenia, wzięła się do spełnienia woli swej pani.

Nie wiedzieć, jakim sposobem cała służba się domyśliła, że pani wcale o pospiech nie chodzi i że za zwłokę nie bardzo się gniewa; to też przeszkody i przypadki nieszczęśliwe zjawiły się jak grzyby po deszczu. Chłopak rozlał sos, i trzeba go było na nowo zrobić. A gdy poseł za posłem przychodził z żądaniem, by się spieszono, ciotka Klotylda odpowiadała zawsze jedno i to samo, że nie myśli podać niedogotowanych potraw, dlatego tylko, że tam komuś pilno polować na ludzi. Jeden z kuchcików, biorąc wodę, zawadził o coś nogą, upadł i zalał całą kuchnię, trzeba było sprzątać i wycierać; drugi upuścił masło, inny znowu rozbił garnek, odsuwając go od ognia! Od czasu do czasu dolatywały do kuchni wieści, że pan Haley bardzo się gniewa i nie może usiedzieć na miejscu, że chodzi po pokoju, wyglądając wciąż to za drzwi, to przez okna.

— A dobrze mu tak! — zauważyła z oburzeniem ciotka Klotylda. — I nad nim przecież jest Pan Bóg, tam wysoko w niebie... Zobaczymy, jak będzie śpiewał, gdy go zawezwie...

— Pójdzie do piekła, to pewno! — zauważył mały Jacuś.

— Z pewnością! — dodała z świętem oburzeniem ciotka Klotylda — Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy: i kara Boża nie ominie go.

Ciotkę Klotyldę poważali wszyscy, i dlatego słuchali jej z uwagą. Ponieważ już stół był nakryty, cała więc gawiedź kuchenna miała dosyć czasu pogwarzyć sobie trochę i skorzystać z uwag ciotki Klotyldy.

— Tacy ludzie na tamtym świecie skazani są na ogień wieczny... wszak prawda? — zapytał Andrzej?

— Żeby to można ich tam zobaczyć, — zauważył Jacek.

— Dzieci! — odezwał się głos, który wszystkich przestraszył. Był to wuj Tomasz, który przed chwilą wszedł do kuchni i słyszał całą rozmowę. — Dzieci! mnie się zdaje, że wy nie wiecie sami, co mówicie. W i e c z n o ś ć, wielkie słowo. Strach o tem pomyśleć. Mąk wiecznych nie trzeba nikomu życzyć.

— To też my nikomu nie życzymy, oprócz tym, co dusze ludzkie sprzedają; — odrzekł Andrzej, — a cóż ich lepszego czeka, tych wcielonych djabłów?

— Łotry! — zawołała ciotka Klotylda. — Odrywają niemowlęta od piersi matek; gwałtem wydzierają nam dziatki, które drobnemi rączkami czepiają się sukien, płaczą i narzekają, — wloką je i sprzedają...

— Bezlitośni okrutnicy! rozłączają męża od żony; a choć widzą, że niweczą ich życie, są na to obojętni. Jedzą, piją i palą bez najmniejszego wyrzutu sumienia. — Ciotka Klotylda zakryła twarz rękoma i zalała się łzami. — Jeżeli djabli tych nie wezmą, to pocóż wogóle są?

— Modlić się winniśmy za naszych prześladowców — odezwał się wuj Tomasz.

— Modlić się za nich! — zawołała Klotylda. — O mój Boże! jakże to za nich się modlić? Nie, ja tego nie potrafię.

— Prawda — odrzekł Tomasz — ulegamy naturze naszej, silniejszej od nas; ale jeszcze silniejszą jest łaska Boża, która nas wspomaga.

Zważcie tylko, w jak opłakanym stanie znajduje się dusza takiego nieszczęśliwego, który się takich dopuszcza występków. Kobieto, dziękuj Bogu, że nie jesteś im podobna. O, niech mię lepiej sprzedadzą po tysiąc kroć razy, niżbym miał grzechy jego przejąć na siebie.

— Niech nas Bóg od tego zachowa! — dodał Jacek. — Czyż nie prawda, Andrzeju?

Andrzej kiwnął głową na znak zgody.

— Bardzo się cieszę — odrzekł Tomasz — że nasz pan się namyślił i nie wyjechał dziś z rana; toby mię bardziej bolało, niż wiadomość, że mię sprzedał. Dla niego niema może znaczenia odjechać i nie pożegnać się ze mną; a mnie toby bardzo było przykro, znałem go jeszcze małem dzieckiem. Dzięki niech będą Bogu, widziałem już swojego pana i bez szemrania zgadzam się z losem. On musiał tak postąpić, bo inaczej trudno było poradzić; lękam się tylko, że beze mnie majątek poniesie jeszcze większe straty materjalne, że się zrujnuje. Gdzież mu tam samemu dojrzeć wszystkiego. A młodzi panicze, choć to i walni chłopcy, ale to roztrzepane, lekkomyślne. To mnie tylko smuci i niepokoi.

Właśnie w tej chwili dał się słyszeć dzwonek, Tomasza zawołano do pokoju.

— Tomaszu — rzekł doń pan łagodnym głosem — muszę ci powiedzieć, żem się zobowiązał zapłacić temu panu tysiąc dolarów kary, skoro nie stawiłbyś się tam, gdzie cię przeznaczy. Oddala się on za interesami; dzień dzisiejszy do ciebie należy — możesz sobie iść, gdzie ci się podoba.

— Dziękuję panu, — odrzekł Tomasz.

— Tylko nie zapomnij, dorzucił handlarz, — że ja twemu panu nie daruję ani feniga, skoro cię nie znajdę na miejscu. Co do mnie, żadnemu z was nie ufam. Każdy murzyn podstępny jak wąż.

— Panie — odezwał się Tomasz głosem uroczystym. — Miałem wtenczas lat ośm, gdy stara pani przywołała mnie i pozwoliła mi wziąść was na ręce; pan liczyłeś zaledwie rok życia. Powiedziała mi: „to twój młody pan, pilnuj go i służ mu“. A teraz pozwól mi pan siebie zapytać, czy kiedy skłamałem? czy byłem nieposłuszny, mianowicie od czasu, jak zostałem chrześcijaninem?

Pan Szelby był wzruszony do łez.

— Mój zacny Tomaszu! Bóg widzi, że to święta prawda... Gdyby smutna konieczność mnie nie zmuszała, nigdybym cię za żadne skarby nie sprzedał.

— Bądź przekonany, Tomaszu, że cię wykupimy, — dodała pani Szelby. — To tak pewno, jak to, żem ja chrześcijanka... byleśmy tylko zebrali cokolwiek pieniędzy... Panie Haley, nie odmawiaj mi pan tego, chciej mnie zawiadomić, komu go sprzedasz.

— Z największą chęcią, za rok go przyprowadzę; skoro wam taki drogi, będziecie go mogli odkupić.

— Załatwimy interes tak, że pan na tem nie stracisz — dorzucił pan Szelby.

— Bardzo dobrze! — Mnie wszystko jedno, komu go sprzedam. Sprzedać, kupić, odprzedać... to moje rzemiosło, — byle tylko przy

tej zamianie, pan to rozumie, była jakakolwiekbądź korzyść... Oto jedyny cel, do którego dążę.

Państwo Szelby zrozumieli, że poufały i chełpliwy ton mowy handlarza ujmował ich godności; ale widzieli konieczność przytłumienia na jakiś czas słusznego oburzenia, — tego wymagało ich położenie i okoliczności. W miarę jak się wykazywał we właściwem świetle nieludzki, bydlęcy charakter tego człowieka, pani Szelby coraz więcej drżała o los Elżbiety, i używała całej swojej zręczności, by go dłużej zatrzymać. Uśmiechała się doń, potakiwała mu, gawędziła, słowem robiła, co mogła, byle tylko jakoś czas zabić.

O godzinie drugiej Sam i Andrzej przyprowadzili konie, na pozór wypoczęte.

Sam był niesłychanie usłużny i nadskakujący; oczekując pana Haley, głosił chełpliwie przed Andrzejem, że przedsięwzięcie musi się udać.

— Wasz pan, jak sądzę, nie trzyma psów? — zapytał Haley, siadając na konia.

— U nas, panie, całe stado psów — odpowiedział Sam z wyrazem zadowolenia na twarzy. — Burek szczeka doskonale, a i każdy murzyn psa ma w domu.

— Przestań bredzić! Nie o takie psy pytam, ale o takie, których się używa do polowania na ludzi? Powiedz, kochanku, takich psów pewnie nie macie?

Sam od razu zrozumiał, o jakich psach mowa, ale udając, że nie rozumie, tak ciągnął dalej:

— Nasze psy mają węch doskonały. To pewnie tego samego gatunku, jak to pan mówił, ale nie mają tylko wprawy, nikt ich do tego nie używał. Walne psiska, niech się pan tylko przypatrzy. Burek, pójdź tu! — zawołał Sam, i ogromny pies neufundlandzki podbiegł i zaczął mu się łasić.

— Ruszaj do djabła ze swojem psiskiem! — burknął Haley, poprawiając się na siodle. — No, dalej! siadać i w drogę!

Sam dosiadł natychmiast wierzchowca, lecz zręcznym ruchem uderzył w bok Andrzeja, który wybuchł głośnym śmiechem. Haley nie posiadał się z gniewu.

— Wstydź się, Andrzej, tu niema się czego śmiać — odezwał się z komiczną powagą Sam — to sprawa bardzo ważna, a śmiechem panu Haley nic nie pomożesz.

— Pojadę wprost ku rzece, — rzekł Haley, gdy się zbliżyli do ostatnich krańców posiadłości pana Szelby; w tę stronę prawdopodobnie uciekła.

— Prawda, prawda, — zauważył Sam, — zgadłeś pan, tu tędy musiała uciekać... Tylko tu mamy przed sobą dwie drogi; jedną starą, zawaloną, drugą równą jak po stole, którą pan wybierze?

Andrzej spoglądał z uśmiechem na Sama, dziwiąc się, skąd mu przyszedł do głowy taki nowy pomysł; ale choć nie pojmował zamiarów, przytakiwał mu.

— Według mego zdania, — rzekł Sam — Eliza poszła starą drogą, którą mało kto chodzi.

Pan Haley, chociaż szczwany lis i z natury podejrzliwy, nie mógł zaprzeczyć słuszności tej uwagi.

— Szkoda tylko, żeście obaj bezczelni łgarze! — rzekł, wstrzymując konia.

Zakłopotanie pana Haley cieszyło widocznie bardzo Andrzeja; rozparł się na siodle z wyrazem zadowolenia w twarzy, a zakrywszy twarz liśćmi palmowemi, które mu służyły za czapkę, śmiał się serdecznie. Samuel był chmurny i zachowywał powagę.

— Cóż u licha, mnie co do tego! — zawołał Sam, niech pan postąpi, jak uważa za słuszne, jedź pan szeroką drogą, nam wszystko jedno, i mnie się samemu zdaje, że nowa droga zawsze lepsza, lepiej się jedzie.

— Bez wątpienia wybrała starą drogę, kędy nikt nie chodzi — krzyknął Haley, nie zwracając uwagi na słowa Sama.

— Któż to wie? — odrzekł Sam. — Kobiety przecież, to nie ludzie; one zawsze muszą coś nie tak jak wszyscy inni zrobić. Już to leży w ich naturze; — choć źle, byle na przekór. Skoro się panu zdaje, że musiała wybrać tę drogę, jedź pan po drugiej, a pewno ją spotkasz... Zdaje mi się, że powinna była pójść starą drogą, i dlatego trzeba pędzić za nią nowym gościńcem.

Głęboki ten pogląd na naturę kobiecą nie bardzo przekonał pana Haley, i dlatego wybrał starą drogę; a równocześnie zapytał, czy jeszcze do niej daleko?

— Trochę dalej — odrzekł Sam, mrugając jednem okiem znacząco na Andrzeja — ale radzę jechać tędy, mam w tem doświadczenie. A wreszcie nigdy nie jeździłem drogą starą, już może zarosła krzewami, i jeszcze, czego nie dopuść Boże, można zbłądzić i nie wiedzieć gdzie zajechać.

— Mniejsza o to, w każdym razie pojedziemy starą drogą!

— Słyszałem, że ją zagrodzili, w kilku miejscach są płoty i parkany przyległych farm; nie prawdaż Andrzeju?

Andrzej nie znał drogi, tylko z opowiadania, nigdy tam nie był, więc nic nie odpowiedział.

Haley, przyzwyczajony do odszukiwania wątku prawdy w najfałszywszych opowiadaniach, przychylał się na stronę starej drogi. Jemu się zdawało, że Sam wspomniał o niej z początku niechcący, a później niezgrabnie starał się go odwieść od powziętego zamiaru. Od samego bowiem początku podejrzywał, iż nie ma szczerych zwolenników swej sprawy i dlatego towarzyszom swoim nie ufał; zwrócił więc konia na starą drogę, Sam i Andrzej jechali w ślad za nim.

Rzeczywiście droga była od wielu lat opuszczona, to jest od czasu, jak poprowadzono nowy gościniec do rzeki... Jechali mniej więcej godzinę bez jakiejkolwiek przeszkody, dopiero teraz napotkali na pola i płoty, zagradzające dalszą drogę. Sam wiedział o tem dobrze, ale Andrzej nigdy o drodze tej nawet nie słyszał, i dlatego jechał z zupełnem się poddaniem. Od czasu do czasu wzdychał i stękał, że jego Jerry pokaleczy sobie nogi.

— Znam was, ptaszki! — odezwał się Haley, — ale mimo waszych szeptów nie dam się odwieść od tej drogi, — milczcie więc!

— Jak się panu zda! — odpowiedział Sam, mrugając znacząco na Andrzeja, który o mało znowu na głos się nie rozśmiał.

Sam był w doskonałym humorze. Udawał, jakoby śledził dokoła okolicę, to że na wierzchołku dalekiego wzgórza spostrzegł postać niewieścią, to znowu kazał patrzeć Andrzejowi w dolinę, że widzi migocący kapelusz kobiety; to znowu, gdy przejeżdżali koło gęstwin leśnych, zwracał uwagę, że Elżbieta mogła tutaj się ukryć.

Uwagi te wypowiadał zwykle w miejscach, gdzie były największe chęchy i grudy. I tak utrzymywał pana Haley'a w ciągłem rozdraźnieniu.

Po godzinie jazdy, kompanja nasza dojechała do niewielkiej polany, na której wznosiły się budowle farmy, pustej w obecnej chwili, bo wszystko, co żyło, pracowało w polu.

Jechać dalej było niepodobna.

— A co, panie, czy nie miałem słuszności? — zapytał Sam tonem obrażonej niewinności. — Pan tu przyjezdny i chce lepiej znać drogi od nas, którzyśmy się tu rodzili i tu wyrośli.

— Łotrze! — krzyknął Haley, — tyś wiedział na pewno!

— Przecież panu mówiłem, a pan nie chciałeś wierzyć, że droga zagrodzona i że niepodobna będzie przejechać... Andrzej świadkiem.

Samuel mówił prawdę, trudno mu było zaprzeczyć. Nieszczęśliwy handlarz, pomimo całej wściekłości, musiał ją zgłuszyć w sobie, a zawróciwszy konia, powrócić na gościniec.

Elżbieta miała już czas ułożyć do snu swego małego Henrysia, gdy trzej jej prześladowcy podjeżdżali ku wiosce. Samuel jechał przodem, jego bystre oko dojrzało Elżbietę stojącą przy oknie i patrzącą zupełnie w inną stronę, Haley i Andrzej pozostali trochę w tyle. W tak krytycznej chwili, Sam zrzucił z głowy kapelusz, i udając, że wiatr mu go zerwał, krzyknął przeraźliwie i zwrócił tym sposobem uwagę Elżbiety na siebie.

Elżbieta, spostrzegłszy jeźdźców, cofnęła się przerażona.

Jeźdźcy przejechali tuż pod oknem i zatrzymali się u drzwi tawerny. Elżbieta ujrzała Haleya. Wiszące nad nią niebezpieszczeństwo dodało jej nowych sił, pochwyciła dziecię i przez boczne drzwiczki zbiegła ze schodów, wiodących ku rzece. Haley, spostrzegłszy uciekającą, zeskoczył z konia, zawołał na towarzyszy i popędził w ślad za nią, jak pies gończy. W okropnej tej chwili zdawało jej się, że dostała skrzydeł, już dobiegła do brzegu. Prześladowcy jej byli tuż, tuż za nią. Ożywiona duchem, jakiego Bóg udziela będącym blisko rozpaczy, z przeraźliwym krzykiem skoczyła z wysokiego brzegu na jednę z kier. Sam i Andrzej widząc to, mimowoli stanęli przerażeni i wznieśli ręce w górę.

Kra zachwiała się i pękła pod jej ciężarem; lecz Elżbieta nie zatrzymała się ani chwili, lecz z rozpaczliwym krzykiem i dobywając wszystkich sił, przeskakiwała z jednej kry na drugą — niebezpieczeństwo dodawało jej siły. Okropnym był widok tej nieszczęśliwej kobiety, idącej w zapasy z rozhukaną naturą; obuwie jej zdarło się, każdy krok krwią swą znaczyła, a jednak przezwyciężyła wszystkie trudności.

Nie czuła bólu, ani zmęczenia, lecz biegła dalej, aż ujrzała jakby półsenna przeciwległy brzeg rzeki Ohio i jakiegoś człowieka, który podał jej rękę i pomógł wdrapać się na również stromy brzeg, jak ten, z którego zeskoczyła.

— Dzielna z ciebie dziewczyna, niema co mówić! — odezwał się nieznajomy. Elżbieta poznała po głosie znajomego sobie dzierżawcę farmy, który kiedyś mieszkał niedaleko od domu jej państwa.

— Panie Symmes! ratuj mnie pan, na miłość Boską, ukryj mnie! — błagała Elżbieta.

— Cóż się stało, na Boga? — zapytał pan Symmes, ty byłaś u państwa Szelby...

— Moje dziecię... jedyne dziecię... sprzedał! Tam na brzegu stoi jego właściciel!... Ratuj mię pan! — wołała, wskazując z przerażeniem na drugi brzeg rzeki. — O panie Symmes! pan także masz syna?...

— Mam, mam! — rzekł Symmes, pomagając jej podejść po urwistym brzegu w górę. — No, niema co mówić, odważna z ciebie dziewczyna; lubię takich ludzi... dzielna dziewczyna.

Gdy się wdrapali na górę, pan Symmes zatrzymał się.

Serdeczniebym pragnął ci pomóc, ale nie miałbym gdzie cię ukryć, mogę tylko służyć radą. Ruszaj tam! — mówiąc to, wskazał duży, biały dom, stojący przy głównej ulicy wioski, trochę opodal od innych zabudowań. — Idź, znajdziesz tam poczciwych ludzi, co zawsze gotowi pomóc bliźniemu.

— Niech wam Bóg nagrodzi! — z wdzięcznością odrzekła Elżbieta.

— Niema za co! — odpowiedział Symmes.

— Ale pan nikomu nic nie powiesz, wszakże prawda?...

— A do licha! za kogo to mnie masz? Cóż to, czy ja szpieg?... Tyś dzielna kobieta, zdobyłaś sobie prawo do wolności, i Bóg pozwoli ci ją znaleźć.

Elżbieta przycisnęła dziecię do piersi i poszła dalej prędkim, pewnym krokiem. Pan Symmes nie ruszając się z miejsca, patrzał w ślad za nią.

— Szelby może mi zarzucić, że tak dobrzy sąsiedzi nie postępują... Ale jakże tu inaczej uczynić? Toć i Szelby, gdyby spotkał moją niewolnicę w takich okolicznościach, nieinaczejby sobie postąpił... Nie mogę przecież patrzeć z zimną krwią na polowanie na ludzi... a oprócz tego, cóż ja mam za obowiązek łapać cudzych niewolników?

Haley przypatrywał się skonfudowany całej tej scenie, aż Elżbieta nie skryła się za wzgórkiem; wtedy odwrócił się i spojrzał badawczo na Sama i Andrzeja.

— To mi sztuka nie lada! — rzekł Sam.

— Chyba djabła ma ta dziewka w sobie! — odrzekł Haley. — Skakała po krach, jak dziki kot.

— Chyba nie będziesz pan żądał, żebyśmy gonili za nią; na to się nikt nie odważy — odezwał się Sam, tłumiąc w sobie śmiech.

— Ty się śmiejesz? — mruknął handlarz, patrząc groźnie Samuelowi w oczy.

Przycisnęła dziecię do piersi i przyspieszyła kroku . . .

— A niech Pan Bóg broni! — odrzekł Sam, który, nie mogąc dłużej wstrzymać śmiechu, wybuchnął na całe gardło. — Śmiesznie to tylko wyglądało, jak po lodzie skakała, a lód pod nią krach... krach... krach... A też to, jak mi Bóg miły — tęgo sadziła...

Sam i Andrzej śmiali się, aż im łzy potoczyły się po czarnych, błyszczących policzkach.

— Poczekajcie, zaraz wy mi inaczej zaśpiewacie! — zawołał Haley, zamierzając się batogiem; lecz murzyni się uchylili, cios chybił, i zanim Haley, goniąc za nimi, wdrapał się na górę, już dosiedli koni.

— Dobrej nocy, panie Haley! — rzekł Sam z powagą. — Nasza pani pewno niespokojna o Jerry. Wszakże my już panu niepotrzebni? A pani pewnie także nie życzyłaby sobie, żeby jej konie nocowały na lodzie... Dobrej nocy panu! — I szturchnąwszy Andrzeja kułakiem, puścił konia cwałem. Długo jeszcze można było słyszeć wesoły śmiech oddalających się murzynów.

———o———

ROZDZIAŁ VIII.

Prześladowcy Elżbiety.

Już zmierzchało, gdy Elżbieta, rozpaczą wiedziona, cudownym sposobem przeprawiła się przez rzekę Ohio. Mgły wieczorne, wznoszące się ponad rzeką, zakrywały ją w miarę tego, jak się oddalała od brzegu. Bystry prąd i nagromadzone masy lodu ubezpieczyły ją przez natychmiastową pogonią jej prześladowców.

Haley, rozgniewany niepomyślnym skutkiem pościgu, wracał powoli do tawerny, by się tam namyślić, co dalej przedsięwziąć. Gospodyni otworzyła mu drzwi i wprowadziła do niewielkiego pokoju, zasłanego brudnym dywanem; w pośrodku pokoju stał stół pokryty ceratą, dokoła stołu krzesła z wysokiemi poręczami, a nad kominem kilka figurek gipsowych, jaskrawo malowanych; przy ścianie stała ławka, na której zasiadł Haley, by tam rozmyślać o zmiennych losu kolejach i niestałości ludzkiego szczęścia.

— I poco mi pędzić za tą dziewką? — mówił sam do siebie. — Czyż to warto zachodu? — I dając folgę wezbranemu gniewowi, rzucił kilka klątw na siebie i całą ludzkość. Przez wzgląd na naszych szanownych Czytelników, nie będziemy ich tutaj powtarzali.

W tej chwili zbudził go z zamyślenia głos silny, lecz nieprzyjemny nowego gościa, który zajechał przed gospodę i zsiadał z konia.

Haley pobiegł ku oknu.

— Słowo honoru, to nieoledwie „tak zwana“ opatrzność... wszystko da się jeszcze naprawić... toć to Tomasz Loker! — zawołał i wybiegł spiesznie z izby. Przy bufecie stał barczysty mężczyzna, około sześciu stóp wysoki, odziany w kaftan z skóry bawolej, sierścią na ze-

wnątrz obróconej. Twarz jego zdradzała wyuzdanie i okrucieństwo, niezwykły kostjum, jaki miał na sobie, dodawały jeszcze więcej twarzy jego wyraz zwierzęcości. Wyobraź sobie, czytelniku, buldoga ubranego w strój ludzki, a będziesz miał obraz owego człowieka. Obok stał nieodstępny jego towarzysz, stanowiący żyjące przeciwieństwo co do figury i budowy ciała. Była to mała, sucha postać z czarnemi ruchliwemi oczami, z rysami twarzy ostremi, z nosem ostrym, ciekawie naprzód wysuniętym.

Wszystkie jego ruchy i wyraz twarzy zdradzały spryt, przebiegłość i oględność.

Olbrzym pochwycił za ogromną szklenicę, do połowy napełnioną, i wychylił ją od razu. Malutki człowiek zaś podniósł się na palcach, spojrzał po butelkach, jakby chciał zwietrzyć, co zawierają a później piskliwym głosem poprosił o wodę z sokiem owocowym.

Skoro mu podano, obejrzał szklankę z zadowoleniem i zaczął popijać.

— Jak się masz, Loker? Co cię sprowadziło w te strony — zawołał Haley, wyciągając rękę.

— A ciebie skąd djabli tu dotąd przynieśli — odrzekł Loker.

Mały człowieczek, który się nazywał Marks, przestał pić i podniósszy głowę, przypatrywał się ciekawie przybyłemu, zupełnie z taką samą ciekawością, z jaką przypatruje się kot poruszającemu się listkowi.

— To szczęście, żem ciebie spotkał. Wpadłem w matnię, musisz mnie ratować.

— Oho! — mruknął olbrzym. — Łatwo się domyśleć, dlaczego tak się ucieszyłeś, gdyś mnie zobaczył. No i cóż się stało?

— Jesteś tu z przyjacielem? — zapytał Haley, patrząc z niedowierzaniem na Marksa. — Może to twój spólnik?

— Tak, to Marks, z którym miałem spółkę w Naczez.

— Bardzo mi przyjemnie poznać, — rzekł Marks, wyciągając długą, kościstą rękę, bardzo podobną do wroniej nogi. — Pan Haley, jeżeli się nie mylę.

— Tak jest, — odrzekł Haley. — Ponieważ szczęśliwy traf nas tu sprowadził, prosiłbym o chwilę cierpliwości: chciałbym pomówić z wami o dość ważnym interesie... Hej, stary! — zawołał zwracając się do człowieka, stojącego za bufetem — daj gorącej wody, cukru, cygar i butelkę esencji, ale dobrej, czystej.

Zapalono świecę, ogień buchnął na kominie, a trzej wspólnicy zasiedli około stołu, na którym postawiono wazę ponczu.

Haley zaczął rozrzewniające opowiadanie o swoich niepowodzeniach. Loker zacisnął usta i słuchał w ponurem milczeniu. Marks, pracujący nad przyrządzeniem sobie ponczu wedle swego gustu, od czasu do czasu przerywał swe zajęcie. Poglądał na Haleya i kiwał potakująco głową. Widocznie najbardziej zajmowało go zakończenie tej historji, ruszał ramionami, potrząsał głową, a na wąskich ustach przebiegł uśmiech wewnętrznego zadowolenia.

— No, niema co mówić! — zauważył; — hi, hi, hi,! a toś pan wpadł.

— Handel dziećmi przynosi zwykle więcej kłopotu niż korzyści, — zauważył smutnie Haley.

— A co myślicie, gdyby nam się udało wychować takie dziewki, coby nie dbały o swe potomstwo... to byłby niezrównany wynalazek — rzekł Marks, śmiejąc się z zadowoleniem z swego dowcipu.

Dziwne to i pojąć tego nie mogę. Toć matki mają tylko kłopot i biedę z wychowaniem dzieciaków. Sądziłby można, że powinny być zadowolone, gdy się ich pozbędą... ale gdzież tam! Nim więcej z nimi mają kłopotów i udręczeń, tem więcej się do nich przyzwyczajają.

— Tam do wszystkich lichów! — zawołał Loker — wy nie umiecie się wziąć do rzeczy. U mnie kobiety na takie komedje się nie puszczają; ręczę wam za to.

— Doprawdy? A jak sobie radzisz? — zapytał spiesznie Marks.

— Jak radzę? A oto tak: skoro kupię kobietę z dzieckiem, które mi sprzedać wypada, podchodzę wprost do niej, pokazuję jej pięść i powiadam: „patrzaj, czy widzisz co to jest? Jak się odezwiesz, zetrę cię w proch! Nie waż mi się ani pisnąć, — słyszysz? Ten dzieciak do mnie należy, ty do niego nie masz prawa, przy pierwszej okoliczności sprzedam go... a tobie nie radzę się rozrzewniać, bo pożałujesz, żeś na świat przyszła". I to ie przekonywa; wiedzą, że żartów nie lubię, nie odzywa się żadna... milczą jak ryby. — A niechnoby tylko zaczęła skomleć, to... — I Loker uderzył pięścią o stół, że aż szklanki podskoczyły.

— To mi przekonywający argument! — rzekł Marks i szturchnął z lekka Haleya, śmiejąc się ukradkiem. — Dziwny z ciebie człowiek... hi, hi, hi! Potrafisz od razu przekonać te baranie głowy. Sądzę, że zawsze zrozumieją, czego chcesz. Loker, jeżeli nie jesteś djabłem, to co najmniej jego rodzonym bratem.

Loker przyjął kompliment ten z skromnością i z pewnem zadowoleniem, które wywołało uśmiech na jego twarzy, o ile natura jego do uśmiechu była zdolna.

Haley, porządnie sobie podpiwszy, uczuł w sobie budzącą się nagle moralność, co u ludzi o stałym charakterze, w podobnych okolicznościach, nie byłoby nic nadzwyczajnem.

— No bratku, — rzekł — przesadzasz trochę. Ja ci zawsze mówiłem, — pamiętasz, jakeśmy rozprawiali w Naczez? — zawsze ci dowodziłem, że trzeba się z nimi obchodzić łagodniej, że na takiem postępowaniu wyjdziemy lepiej a i na tamtym świecie lżej nam będzie... a przecież i o tem warto pomyśleć... kto wie, może i wnet umrzeć przyjdzie?

— Oklepana piosnka! — odburknął Loker, — zmiłuj się, nie bredź takich głupstw, bo gotów jestem z rozczulenia rozchorować się.

Mówiąc to, wychylił do dna szklankę wódki.

— A ja ci zawsze powtarzać będę — dowodził dalej Haley, rozwalając się na krześle i robiąc znaczące giesty, — że choć najważniejszem jest zarobić jak można najwięcej pieniędzy, to jednak pamiętać trzeba, że pieniądze nie wszystkiem na świecie, mamy przecież duszę: nie wstydzę się do tego przyznać, trzeba i o niej choć trochę pomyśleć. Jestem człowiekiem religijnym — i tak, proszę wierzyć, niech się mi tylko uda ukończyć interesy, na serjo zajmę się swojem zbawieniem.

A zresztą, powiedz mi, poco więcej broić złego, niż potrzeba? To zła rachuba.

— Chcesz myśleć o swojej duszy! — powtórzył Loker tonem pogardliwym. — Tobyś mógł długo szukać, niż byś w sobie duszę znalazł; dałbyś lepiej spokój. A djabeł też w tobie duszy nie znajdzie, choćby cię przesiał przez włósiany przetak.

— Tylko nie bądź tak ordynarny! Czemu się gniewasz, gdy mówię tylko dla twego dobra?

— Ruszaj mi do djabła ze swoją duszą! obejdę się bez niej! — zawołał Loker gniewnie. — Takie pobożne, głupie gadaniny mogą mnie doprowadzić do rozpaczy!... Jakaż jest różnica między tobą a mną? Udajesz jakieś współczucie, ale to jest tylko nikczemność z twej strony: chcesz djabła oszukać, aby ochronić własną skórę. Przejrzałem was i całą waszą tak zwaną religię. Zadłużyłeś się u djabła po same uszy, a gdy przyjdzie dzień zapłacenia rachunku, tobyś chciał zemknąć! To jest podle!

— Uciszcie się, panowie! Nie o to nam chodzi, — odezwał się Marks. — Na każdą sprawę można się zapatrywać z rozmaitego stanowiska, o tem przecie każdy wie dobrze. Pan Haley, bardzo zacny człowiek, ma swoje przekonania i zasady. Ty, Loker, idź swoją drogą. — Poco się kłócicie? Do czego to prowadzi? Wróćmy do rzeczy. A zatem, panie Haley, pan potrzebujesz naszej pomocy do odszukania owej dziewki?

— Ale gdzież tam! To własność pana Szelby; mnie chodzi o jej syna, którego kupiłem niewiedzieć na co i po co... postąpiłem jak głupiec!

— Boś zawsze głupcem był i będziesz nim, — przerwał gniewnie Loker.

— Przestań, Loker, — uspokajał Marks. — Czyż nie widzisz, że pan Haley porucza nam piękny interes? Nie lękaj się, mam ja trochę wprawy w podobnych interesach. — A więc, panie Haley, jak wygląda ta dziewczyna?

— Biała, piękna i dobrze wychowana. Dawałem za nią ośmset dukatów, a żebym dał i tysiąc, tobym jeszcze dobrze wyszedł na tym interesie.

— Biała, piękna i dobrze wychowana! — powtórzył Marks i cała jego twarz ożywiła się na tę wiadomość. — A ty co na to, Loker? Początek świetny. Załatwimy ten interes na własną rękę. Złapimy dziewkę i chłopca; panu Haley oddamy chłopca, a dziewczynę zawiedziemy do Nowego Orleanu i tam sprzedamy. Co, może zły projekt?

Loker, który przez cały czas rozmowy słuchał z otwartą gębą, raptem zacisnął zęby, jak pies, co pochwycił kość.

— Zważcie tylko, że na każdym punkcie wybrzeża, — ciągnął dalej Marks — mamy sędziów pokoju, właśnie takich nam potrzeba; oni nam pomogą do załatwienia tej sprawy. Tom bierze na się kwestję siły, a ja zjawię się do sądu dla przysięgi, że się rzecz tak działa, a nie inaczej. Zjawię się wystrojony, w lakierowanych butach, aż miło będzie spojrzeć. Zobaczycie, — mówił Marks, puszczając cugle swej wymowie

— jak im zaimponuję! Dziś nazywam się panem Tik z Nowego Orleanu; jutro się zjawiam jako plantator z nad rzeki Perłowej, na której u mnie pracuje siedmset murzynów, a później uchodzę za krewniaka Henryka Kleem. Każdy z nas ma wyłączną jaką zdolność. Loker naprzykład umie doskonale się bić, ale wyłgać się nie potrafi, już to nie w jego naturze. Boże miłościwy, chciałbym spotkać drugiego, coby tak jak ja umiał zręcznie gadać pod przysięgą, właśnie to, co potrzeba do interesu, coby z taką pobożnie ułożoną fizjognomią plótł niestworzone historje i nigdy się nie ciął, i nie splątał w świadectwach. Chodźcie o zakład, że oszukam najzręczniejszych sędziów i potrafię się wywinąć z najbardziej zaplątanej sprawy. Czasami aż wstyd mieć do czynienia z takimi prostakami! Toć to się marnuje tylko talent napróżno, bo człowiek niema gdzie zastosować swoich świetnych pomysłów.

Tomasz Loker, którego czytelnicy poznali jako człowieka myślącego powoli i ociężałego, niełatwo dającego się przekonać, przerwał niespodziewanie Marksowi i uderzając potężną swą pięścią w stół, krzyknął:

— Dobrze! zrobimy.

— Na Boga, człowieku, szklanek dlatego tłuc nie potrzebujesz — zawołał Marks. — Zachowaj pięście swoje na później, łatwo się przydać mogą.

— Chwilkę panowie — przerwał Haley — czy i ja będę miał udział w zysku?

— Czy ci tego mało, że ci oddamy chłopca? — huknął Loker. — Czegoż więcej chcesz?

— Skoro nastręczam wam interes, to także coś warte; musicie mi dać przynajmniej dziesięć procent od czystego zysku.

— Czy tak? — zaryczał Loker, a zakląwszy straszliwie, uderzył znowu pięścią w stół. — Chciałbyś nas wywieść w pole co? Sądzisz może, że z Marksem będziemy gonili niewolników dla przyjaźni ludzi takich jak ty, a sami wychodzili z gołemi rękoma. Ani mi się śni. Dziewka, jak ją złapimy, będzie nasza, a ty stul gębę, bo weźmiemy obydwojga, któż nam może przeszkodzić? Czyś nam nie wskazał drogi? A polować możemy tak samo, jak ty. Gdyby który z was, Szelby albo ty, chciał nam zwierzynę z przed nosa sprzątnąć, to jeno pilnujcie dawniejszych kuropatewek, żebyście nie potrzebowali daremnie ich szukać — ich, albo nas...

— No mniejsza o to, zgoda — odpowiedział Haley, widząc, że sprawa niepomyślny bierze dlań obrót. — Odszukajcie tylko chłopca i dziewkę — to już wasza rzecz! Przecież nie pierwszy raz załatwiamy z sobą interesy. Loker! wiesz przecie, że zawsze wierzyłem ci na słowo.

— Prawda, bo też nie znam waszych wykrętów, w rachunkach nie okpiłbym nawet djabła, wszakże tak jest, Haley? Gdy co obiecuję, to umiem słowa dotrzymać... No i cóż?...

— Tak, tak, — odrzekł Haley — jeżeli mi oddasz za tydzień chłopca w pewnem przez ciebie oznaczonym miejscu, nie będę miał do ciebie żadnej pretensji.

— Ale to nie wszystko — przerwał Loker. — Nie sądź, że pracując z tobą razem w Naczez, niczego się nie nauczyłem. Jeżeli mi nie

Spostrzegłszy przejeżdzających jeźdców, cofnęła się przerażona*. . .

odliczysz tu na tym stole pięćdziesiąt dolarów, nie zobaczysz chłopca; zbyt dobrze cię znam, żebym mógł postąpić inaczej. — Wiem, jak należy przytrzymać węgorza, żeby się nie wyślizgnął i jak go odrzeć ze skóry.

— Co?! To ja ci stręczę interes, na którym możecie zarobić tysiąc do tysiąc ośmset talarów, a tego ci jeszcze mało? Zdzierca z ciebie.

— Cóż to ci się zdaje, że my nie mamy innych zajęć, które nam zajmą cały miesiąc czasu? Przypuśćmy, że będziemy musieli ich zaniechać, aby gonić za twoim chłopakiem; a jeśli dziewki nie złapimy, bo one często noszą djabła w sobie, czy dasz nam choćby centa? — Toby ci się podobało. No dalej.... kładź pieniądze na stół; gdy interes się uda, to ci je wrócimy; a nie uda się, to przynajmniej będzie za fatygę. Dosyć tanio podejmujemy się roboty, bo nie, Marks?

— Z pewnością, z pewnością! — odrzekł Marks pojednawczo. — To tylko mała zaliczka na koszta... hi, hi, hi, robimy jak adwokaci. Musimy tylko postępować w porozumieniu, zgodnie. Loker dostarczy ci chłopca, gdzie zechcesz. Wszakże prawda?

— Gdy go złapię, to zawiozę go do Cincinnati i zostawię go u matki Belczerowej niedaleko portu, — odrzekł Loker.

Marks wyjął z kieszeni zatłuszczoną książeczkę i przysunąwszy się do światła, czytał, mrucząc pod nosem: „Barnes, hrabstwo Szelby, chłopiec Jim, trzysta dolarów, żywego albo umarłego; Edwars, Dik i Łucja, mąż i żona, pięćset dolarów; dziewka Paulina i dwoje dzieci, tyleż aż nią lub za jej głowę". Umyślnie przeglądam nasze interesy, chcąc się przekonać, czy możemy tego komisu się podjąć... Loker! — dodał po chwili milczenia, — trzeba będzie poruszyć te interesy Adamsowi i Szyryngierowi, póki jeszcze są jakie takie ślady... od dawna ich sobie zanotowałem.

— Czy nie za drogo będzie to kosztować?

— Ugodzę się z nimi... To jeszcze ludzie młodzi, nie powinni przeto żądać wielkich zysków. — I znowu zaczął przeglądać książeczkę. Z trzema pierwszymi sprawa krótka: albo będzie trzeba ich zastrzelić, albo przysiądz, że się to stało. Rozumie się, za taką usługę nie mogą wiele wymagać. Z innymi później damy sobie radę; można jeszcze poczekać. — Mówiąc to, złożył rejestr. — Teraz przejdźmy do sprawy obecnej. — Pan, panie Haley, widziałeś rzeczywiście, jak wychodziła na brzeg?

— Jak was obecnie widzę.

— I człowieka, co jej pomógł?

— I człowieka widziałem.

— Może ją gdzie przenocował. Ale gdzie? to najważniejsza!... Co ty na to, Loker?

— Dziś w nocy musimy się przeprawić za rzekę — odrzekł zagadnięty.

— Ale skąd wziąść łódź? — zawołał Marks. — Kra idzie straszna, to trochę... niebezpiecznie.

— A cóż to szkodzi? Dzisiaj musimy się przeprawić.

— Miły Boże! — zapiszczał cienkim głosem Marks, podchodząc ku oknu, — toć ciemno, choć oko wykol.

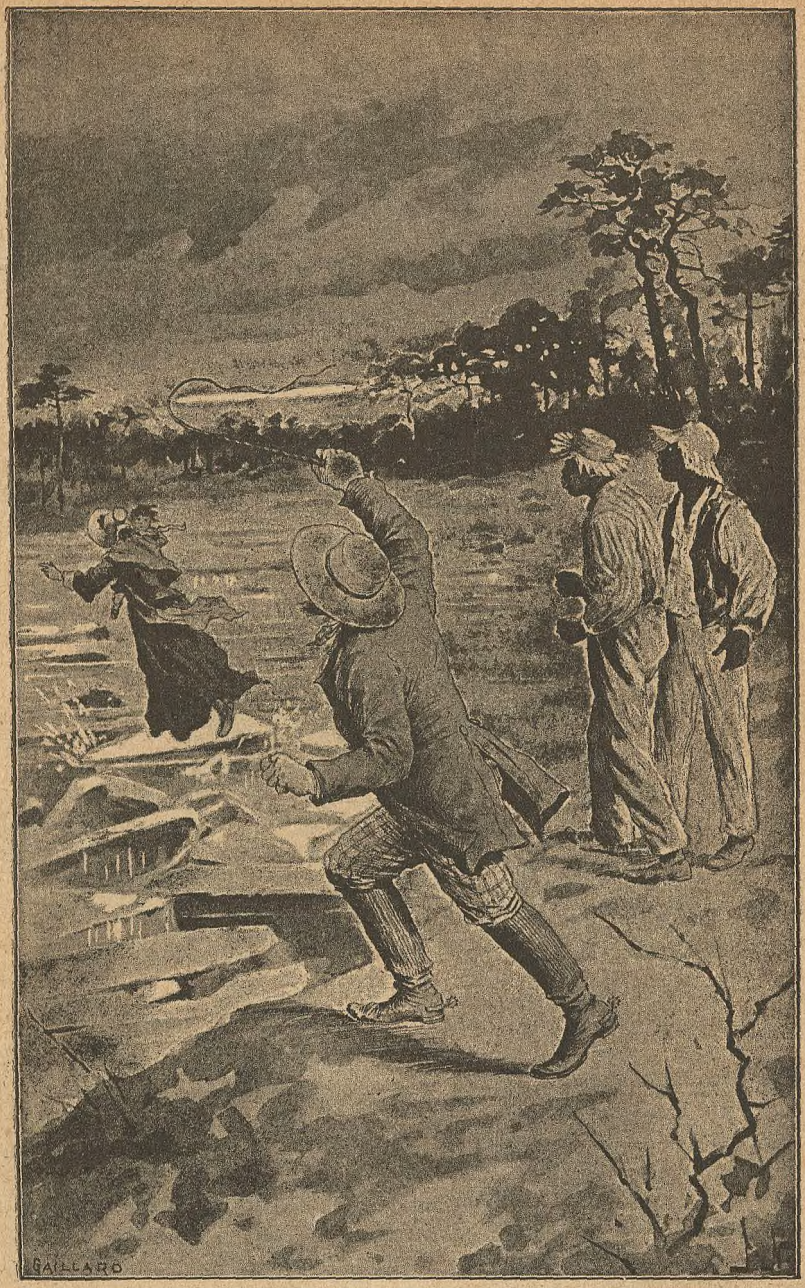

Z wytężeniem wszystkich sił przeskakiwała z kry na krę . . .

— Stchórzyłeś, Marks! No, ale mniejsza o to! Czy zechcesz, czy nie zechcesz, musisz przepłynąć. Jeśli tu przesiedzim dzień lub dwa, to dziewkę przewiozą do Sandusky [1]), zanim ty...

— Ja się wcale nie lękam! — przerwał Marks, tylko...

— Tylko co? — zapytał Loker.

— Tylko, że niema łodzi, jak się tu przeprawić?

— Gospodyni mówiła mi, że dziś wieczorem jakiś kupiec przeprawi się na drugą stronę rzeki: rad, czy nierad, będzie musiał nas zabrać.

— Czy dobre macie psy? — zapytał Haley.

— Na całym świecie lepszych nie znajdziesz, — odrzekł Marks. — Ale na cóż one przydać się mogą, jeśli dziewka nic nie pozostawiła?

Pędzili więc dalej co koń wyskoczy.

— Owszem, pozostawiła, — zawołał Haley z triumfującą miną. — Oto chustka, którą w pospiechu zapomniała zabrać, a oto jej kapelusz!

— A to szczęście! — dodał Loker. — Daj mi te przedmioty!

— Ale psy mogą dziewkę pogryźć, gdy ją napadną znienacka, — zauważył Haley.

— Prawda, i to się zdarzyć może. Niedawno psy nasze rozerwały na kawały jednego murzyna w Mobilu, zanim zdołaliśmy przybyć.

— Zważcie więc, że psy wasze nie bardzo są przydatne w przedsiębiorstwach, gdzie wartość towaru leży w jego piękności.

— Masz słuszność, dorzucił Marks. — Zresztą na niewiele się przydadzą, jeśli dziewka ukryła się w czyimkolwiek domu. W pół-

[1]) Sandusky, miasto stołeczne hrabstwa Erie w stanie Ohio.

nocnych stanach są psy mało przydatne, bo tu pomagają uciekającym murzynom, a co gorsza, przewożą ich na koniach. Psy są nieocenione na plantacjach, gdzie, jeśli murzyn ucieka, to tylko pieszo.

— A więc w drogę! — odezwał się Loker, który wyszedł przed chwilą do szynkowni, aby tam zasięgnąć języka. — Człowiek, mający nas przewieźć, już przyszedł. A więc ruszajmy, Marks!

Szanowny pan Marks obejrzał się z żalem po pokoju, który musiał opuścić; niechętnie wypełniał rozkaz i dlatego powoli wybierał się w drogę. — Haley po kilku słowach rozmowy, z widocznem nieukontentowaniem, wyliczył na dłoń Lokerowi pięćdziesiąt dolarów; poczem dostojni wspólnicy pożegnali się i rozeszli.

Podczas kiedy w gospodzie odbywała się codopiero opisana scena, Sam i Andrzej wracali do domu w nader wesołem usposobieniu. Mianowicie Sam nie mógł ukryć swego zadowolenia.

Wesołość Sama nie miała granic, — to wykrzykiwał z nadmiaru radości, to wywijał rękoma i z głośnem hura! przerzucał się na koniu, to twarzą do łba końskiego, to do ogona. Czasami poważniał i zaczął tłómaczyć Andrzejowi miejsca z Pisma św., ale wybuchy radości brały górę, których, jako dziecko natury, nie umiał ukryć. Pędzili więc dalej co koń wyskoczy, a Sam krzykał wesoło, a odwieczne lasy odpowiadały mu również radosnem echem. Niedługo zatętniły kopyta końskie na żwirówce, wiodącej do domu państwa Szelby.

— To ty, Sam? — zapytała pani Szelby, wybiegłszy na balkon. — A gdzie oni?

— Pan Haley został w gospodzie, bardzo się zmęczył, więc odpoczywa...

— A Elżbieta?

— Przeszła za Jordan i można powiedzieć, że jest w ziemi Chanaan.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała pani Szelby, drżąca od strachu, nie mogąc zrozumieć rzeczywistego znaczenia odpowiedzi Sama.

— Bóg przyszedł w pomoc nieszczęśliwej: Elżbieta przeszła przez Ohio tak cudownym sposobem, jakby ją Pańscy Anieli na skrzydłach przenieśli.

Sam, rozmawiając z panią, udawał zwykle pobożnego i używał zwrotów biblijnych.

— Chodź do pokoju, Sam — odezwał się pan Szelby, który wyszedł w tej chwili na werandę; — opowiesz o wszystkiem, o co cię pani pytać będzie... Chodźmy Emiljo, — dodał, obejmując w pas małżonkę. — Drżysz cała, możesz się przeziębić; czemu, mój aniele, bierzesz tak wszystko sobie do serca?

— Czemu? Przecież jestem kobietą, jestem matką... Kiedyś powoła nas Bóg do odpowiedzialności za niedolę tej nieszczęśliwej... Miłosierny Boże, racz nam grzech ten przebaczyć.

— Jaki grzech, Emiljo? Zrobiliśmy, co było koniecznem... zważ sama...

— A jednak tłoczy mnie ciężar winy. Trudno, abym mówiła co innego, skoro czuję...

— Hej, Andrzej, żwawiej murzynku! — zawołał Sam. Odprowadź konia do stajni. Cóż, nie słyszysz, że pan wołał?

Po chwili wszedł Sam do pokoju, trzymając w ręku palmowy kapelusz.

— No Sam, opowiedz nam wszystko, jak było — odezwał się pan Szelby — a najprzód, czy wiesz, gdzie jest Elżbieta?

— Jakże nie mam wiedzieć? Widziałem przecież na własne oczy, jak po krach skakała. To cud był widoczny! Na drugim brzegu jakiś człowiek dał jej pomoc, a później straciliśmy ją z oczu.

— Sam, ten cud zdaje mi się być wątpliwym, — przerwał pan Szelby, — przejść po krach nie tak łatwo.

— Z pewnością, że nie łatwo! Bez pomocy Bożej nikt tego nie potrafi. Ot opowiem, jak było: pan Haley, Andrzej i ja, podjechaliśmy do niewielkiej gospody, co to na samym brzegu Ohio... Ja jechałem przodem i trochę mi było, jak pan to wie, pilno złapać Elżbietę... Podjeżdżamy ku gospodzie, patrzę... a Elżbieta w oknie... aż tu jak na licho wiatr mi zerwał kapelusz z głowy... Nie mogłem powstrzymać się, krzyknąłem... Elżbieta posłyszała i odskoczyła od okna... Pan Haley nic nie widział. Elżbieta wybiegła przez inne drzwi i popędziła co sił do brzegu, pan Haley zawołał na nas, puściliśmy się w tropy za uciekającą. Woda wystąpiła na parę sążni z brzegów, a tam dalej kry jak wyspy, ot tak... i płyną, jedna drugą popychając. — Już, już mieliśmy ją schwytać, jabym głowę dał za to, że już ją trzymaliśmy w ręku, nie miała gdzie uciekać. Aż w tem, jak krzyknie! takiego krzyku jeszcze nie słyszałem, — jak skoczy! jednym susem stanęła na krze — a potem przeskakiwała z jednej kry na drugą... Kra się spiera, łamie, huczy, a ona, biedna, skacze jak kotka... Tak, panie, to był cud prawdziwy.

Pani Szelby siedziała zamyślona w milczeniu. — Twarz jej była blada od wzruszenia, wzbudzonego opowiadaniem Sama.

— Chwała Bogu, że żyje! Ale gdzie teraz być może?

— Pan Bóg nad nami! — odezwał się Sam, wznosząc oczy w górę, z wyrazem pobożności i pokory. — Wszystko od Jego woli świętej zależy, bez Niego włos nam z głowy nie spadnie, pani nas sama tego uczyła. Beze mnie sto razy byliby ją złapali. Czy nie rozpuściłem dziś rano koni, a potem aż do południa za nimi się nie uganiałem? A dziś wieczorem udało mi się sprowadzić pana Haley z drogi i pięć mil przejechaliśmy napróżno. Bez tego nie byłaby Elżbieta zdołała uciec; dopędziłby ją, jak wilk owieczki. We wszystkiem jest opatrzność Boża.

— W przyszłości jednak nie radzę ci odgrywać roli opatrzności Boskiej — odezwał się pan Szelby z udanym gniewem. — Nie mogę na to pozwolić, aby w domu moim w ten sposób traktowano gości.

Wobec murzynów to tak jak wobec dzieci, nie łatwo udać, że się na nich gniewamy; potrafią instynktownie odgadnąć nasze rzeczywiste usposobienie, choćbyśmy starali się jak najlepiej gniew udać...

Dlatego też Sam nie zmartwił się, usłyszawszy gniewne słowa pana, ale udał zakłopotanie i spuścił smutnie głowę, jakby był rzeczywiście zawinił.

— Pan ma słuszność, najzupełniejszą słuszność... postąpiłem źle, bardzo źle, co tu i mówić, panowie nie mogą pochwalać takich postępków. Ja to dobrze rozumiem, ale biedny murzyn jest często narażony na nieprzezwyciężoną pokusę uczynienia czegoś niedobrego, mianowicie wobec takiego człowieka, jak pan Haley... nieokrzesanego, bez wykształcenia... Przecież i ja to widzę...

— Bardzo pięknie, Sam, żeś przyznał się do winy — odezwała się pani Szelby a teraz idź do ciotki Klotyldy i poproś, żeby wam dała szynki; musieliście się porządnie wygłodzić.

— Dziękuję najpokorniej łaskawej pani — odpowiedział Sam i skłoniwszy się, wyszedł sybko z pokoju.

———o———

ROZDZIAŁ IX.

W którym się wykazuje, że senator, to też tylko człowiek.

Było to wieczorem; w jednym z pokojów senatora Berd palił się na kominie ogień, potrzaskując wesoło, a światło jego odbijało się w ustawionym na stole samowarze i filiżankach do herbaty.

Senator Berd wciągał nowe pantofle, które mu żona zrobiła podczas jego nieobecności; a pani Berd, promieniejąca szczęściem, krzątała się około nakrycia stołu, dokoła którego biegała gromadka wesołych dziatek, śmiejąc się i hałasząc. Od czasu do czasu napominała je, aby nie czyniły to tego, to owego.

— Tomaszku daj spokój klamce. Maryniu, nie targaj kota za ogon, to go boli. Jasiu, zejdź ze stołu! Czy stół jest na to, żeby po nim chodzić? Nie możesz sobie wyobrazić, mój drogi, jak miłą zrobiłeś nam niespodziankę swoim przyjazdem — zwróciła się pani Berd do męża, gdy nareszcie znalazła chwilkę czasu, żeby z nim pomówić.

— Przyszła mi myśl pojechać do domu, wypocząć chwilkę, zabawić się z wami, bom zmęczony, że aż mi głowa pęka.

Pani Berd spojrzała z intencją na butelkę spirytusu kamforowego, stojącą w drugim pokoju, i już chciała pójść po nią, lecz mąż ją zatrzymał:

— Zlituj się, tylko nie dawaj mi żadnych lekarstw; natomiast coś-kolwiek do zjedzenia i szklankę herbaty, — to lepsze. Obrady nad ustawami państwowemi wyczerpują straszliwie moje siły.

Senator uśmiechnął się z zadowoleniem, jak gdyby ucieszony, że takie ponosi ofiary dla ojczyzny.

— Powiedz mi — zagadnęła go żona — coście tam robili w senacie?

Pani Berd nigdy nie wdawała się w sprawy męża, twierdząc, że dla niej zajęcie domowe wystarcza; dlatego senator spojrzał na nią z zdziwieniem.

— Nic ważnego.

— Powiedz mi, — mówiła dalej, — stworzyliście jakieś prawa zabraniające mieszkańcom dawać pod swym dachem przytułek murzynom i mulatom; tu o tem wszyscy mówią, ale ja nie wierzę, żebyście mogli potwierdzić tak nieludzkie prawo.

— Co ci się stało? Zaczynasz politykować?

— Co za myśl! Mnie wasza polityka nic nie obchodzi, lecz według mego zdania prawo takie byłoby okrutnem, nieludzkiem, niechrześcijańskiem i dlatego właśnie pewnie nie przeszło.

— Senat rozważył i potwierdził prawo wzbraniające przechowywanie murzynów przychodzących do nas z Kentucky. Ci półwarjaci abolicjoniści tyle już głupstw narobili, iż nasi bracia z Kentucky czują się pokrzywdzeni; musieliśmy przeto zrobić to dla nich, tembardziej, że się zupełnie zgadza ze zdrowym rozsądkiem i obowiązkami prawdziwego chrześcijanina.

— Jakież to prawo? Przecież nie zabrania nam ono dać przytułku pod dachem tym nieszczęśliwym choćby na jednę noc? Czy i to miałoby być zabronionem? Czyż się sprzeciwia prawu nakarmić nieszczęśliwego, napoić go, dać cokolwiek z odzieży i pozwolić spokojnie pójść dalej?

— Ależ, moja droga! przecież to byłoby dawaniem pomocy, a tego właśnie prawo zabrania.

Pani Berd, drobna, wątłej budowy kobieta, była ze swej natury trwożliwa i łagodną. Życie w kółku rodzinnem było jej jedyną potrzebą; a rządziła domem raczej łagodnością i miłością, niż surowością. Lecz niektóre sprawy mogły ją doprowadzić do gwałtownego uniesienia; każde okrucieństwo obudzało w niej gniew, tem gwałtowniejszy, im więcej nie zgadzało się z prawem natury. Zawsze łagodna i kochająca dzieci, gdy pewnego razu spostrzegła, że ciskają kamieniami na kota, odważyła się przykładnie je ukarać. — „Muszę wyznać, powiada jeden z jej synów, iż mi się wtedy porządnie dostało. Mama tak się rozgniewała, jak nigdy; dostałem rózgami pierwej, niżem miał czas obejrzeć się o co chodziło; a później słyszałem, jak mama płakała za drzwiami, to mię bardziej bolało, niśli kara. Mogę panom zaręczyć, iż później nigdyśmy nie prześladowali istot żyjących".

W obecnej chwili porwała się pani Berd z miejsca i cała zarumieniona od wzruszenia, rzekła podniesionym głosem:

— Chciałabym wiedzieć, Jasiu, co ty sądzisz o tem prawie: czy uważasz je za sprawiedliwe i chrześcijańskie?

— Przecież nie wyrzeczesz się mnie, gdy ci wyznam, iż takie jest moje zdanie.

— Nigdybym się po tobie tego nie spodziewała; ależ przynajmniej nie głosowałeś za tem prawem?

— Głosowałem, moja piękna murzynów protektorko.

— Czyż ci nie wstyd, kuć prawa przeciw ludziom bez dachu i przytułku! O! to hańbiące i podłe prawo! Przy pierwszej okoliczności wystąpię przeciwko temu, a sposobność niedługo się nadarzy... Mój Boże,

czegośmy dożyli! Zabraniają nakarmić i przyjąć pod strzechę nieszczęśliwych, właśnie dlatego, że całe życie dręczeni są prześladowaniem.

— Nigdyśmy nie powinni pozwalać sercu wziąść przewagi nad rozsądkiem. Nie jest to kwestja życia prywatnego; wiąże się ona z przyszłością całego społeczeństwa: masy ludu do tego się stopnia rozhukały, że dla poskromienia ich winniśmy nakazać sercu milczenie.

— Nie, mężu, polityki waszej nie rozumiem; wiem tylko tyle, ilem się z katechizmu mogła nauczyć, a tam napisano: żem winna łaknącego nakarmić, pragnącego napoić, nagiego przyodziać, strapionego pocieszyć. Pójdę więc za tym głosem.

— A cóż będzie, gdy swem postępowaniem sprowadzisz na cały kraj nieszczęście?

— Posłuszeństwo woli Bożej nie może być źródłem niedoli. Napróżnobyście mię chcieli przekonać. Zawsze lepiej postępować tak, jak Chrystus przykazał.

— Posłuchaj mnie, Maryniu, dowiodę ci...

— Daremna praca, chociażbyś przez całą noc wysilał się na argumenty, niczego mi nie dowiedziesz. Powiedz mi lepiej, czybyś się zgodził odpędzić od progu domu swojego człowieka nieszczęśliwego, umierającego z głodu i zimna, dlatego tylko, że jest niewolnikiem? No i cóż? Czy mógłbyś tak postąpić?

Prawdę mówiąc, nasz senator miał serce zacne, któreby mu nie pozwoliło odepchnąć cierpiącego, — a co gorsza, żona wiedziała o tem i właśnie uderzyła w najsłabszą stronę, napadła na bezbronnego. Próżno więc uciekał się do półśrodków obrony, byle tylko wygrać na czasie. Pani Berd widziała zakłopotanie swego przeciwnika i nie zaniechała skorzystać ze sposobności.

— Chciałabym widzieć, jakbyś się wziął do tego. Jestem bardzo ciekawa, czy byłbyś w stanie wypchnąć za drzwi kobietę znękaną na mróz i zawieję, lub nawet... wtrącić do więzienia.

— Bez wątpienia, byłby to dla mnie niesłychanie przykry obowiązek.

— Obowiązek?! O, nie nazywaj tego obowiązkiem. Przecież wiesz dobrze, że tak nie jest i być nie może. Kto chce, żeby od niego nie uciekali niewolnicy, niech się z nimi dobrze obchodzi, — takie jest moje zdanie! Żebyśmy mieli niewolników — mam nadzieję, że tego nigdy nie będzie — tobyśmy potrafili powstrzymać ich od ucieczki, nieprawdaż, mężu? Przecież od dobrego pana nikt nie ucieka. A ci, co uciekają, tyle mają do znoszenia... głód, chłód, prześladowanie, strach, nędzę, iż grzechemby było powstawać przeciw nim! A chociażby prawa mi to nakazywały: ja takich praw nie usłucham, nigdy ich nie uznam!

— Ale proszę cię, mówmy o tem rozsądnie.

— Wy, panowie politycy, bardzo pięknie i obszernie o wszystkiem rozprawiacie, — a później sami nie chcecie temu wierzyć, czegoście dowodzili. O, znam was doskonale. Nie, mój drogi, próżnobyś się biedził mnie przekonać, ty również tak jak ja, nie możesz wierzyć, że sprawiedliwość tak ci nakazuje postępować, i zaręczam, że przy pierwszej lepszej okoliczności postąpiłbyś wbrew barbarzyńskiemu prawu.

Właśnie w tej krytycznej dla senatora chwili, stary Cudjo, murzyn, sługa domu, uchylił drzwi i poprosił panią do kuchni. Senator, jakby mu ciężar spadł z piersi, spojrzał za wychodzącą żoną z wyrazem ukontentowania połączonego z pewnym rodzajem zadąsania, i zasiadłszy w fotelu, zaczął przeglądać gazety.

Niedługo potem z za drzwi dał się słyszeć łagodny, lecz wzruszeniem brzmiący głos jego żony:

— Jasiu, Jasiu, chodźno na chwilę!

Pan Berd położył gazety i wchodząc do kuchni, doznał silnego wzruszenia, spostrzegłszy tam, leżącą bez przytomności na dwóch rozstawionych krzesłach kobietę młodą, lecz znękaną, w podartych sukniach, które obmarzły na niej od mrozu, w jednym tylko trzewiku, z nogą zakrwawioną.

W rysach jej twarzy łatwo można było dopatrzeć się śladów pochodzenia z plemienia wskazanego na pogardę; a jednak była piękną, tą wyłączną pięknością, w której wyrazie gra namiętność z niewysłowioną boleścią zbratana, tworzy całość uderzającą już na pierwszy rzut oka swą posągową powagą i wzniosłością.

Pan Berd, przerażony tym widokiem, zatrzymawszy oddech, stał w milczeniu, jakby się lękał obudzić z uśpienia nieszczęśliwą i powrócić ją do straszliwej rzeczywistości. Żona jego i jedyna ich służąca murzynka Dina, starały się ją ocucić, a stary Cudjo wziął tymczasem chłopca na ręce, zdjął mu buciki, rozebrał i własnemi rękoma starał się ogrzać zlodowaciałe nóżki dziecięcia.

— Doprawdy, serce się kraje patrząc na nią, — odezwała się Dina ze współczuciem; — musiało ją zbyteczne gorąco w kuchni pozbawić sił, bo kiedy tu wchodziła, była zupełnie przytomną, prosiła mnie, żeby jej pozwolić ogrzać się trochę. Zapytałam ją, skąd przychodzi? A ona, aż strach wspomnieć, zachwiała się tylko i upadła zemdlona na ziemię. Ręce ma białe i niespracowane, — zapewne to delikatne stworzenie, co nie zna ciężkiej roboty.

— Nieszczęśliwa! — westchnęła z współczuciem pani Berd.

Właśnie w tej chwili nieznajoma podniosła powieki, i czarnemi, pełnemi wyrazu oczami spojrzała z zadziwieniem dokoła siebie.

Wkrótce jednak, jakby sobie przypomniała, co się z nią stało, z wyrazem najokropniejszej rozpaczy zawołała:

— Henryś! gdzie mój Henryś? Porwali go!

Chłopczyk na głos matki, zeskoczył z kolan murzyna, pobiegł do nieszczęśliwej i objął ją swojemi drobnemi rączętami dokoła szyi.

— Tyś przy mnie, moje dziecię? Przytul się do mamy, mój synku drogi! — zawołała, a zwracając się do pani Berd, cała drżąca, zaczęła ją błagać:

— Ach, pani, ukryj go, nie oddawaj im mojego dziecięcia! To moje jedyne słonko na niebie.

— Nie lękaj się, moja droga, — rzekła pani Berd — możesz być spokojną, nic złego cię u nas nie spotka.

— Niech pani Bóg nagrodzi! — Biedna wybuchła rzewnym płaczem.

Chłopczyk widząc łzy matki, przytulił się do niej, jakby chciał swem objęciem boleść jej ukoić.

— Dzięki kobiecej troskliwości, której tajemnicę pani Berd posiadała w wysokim stopniu, biedna Elżbieta wreszcie się uspokoiła; położyła się na przygotowanem dla niej posłaniu, i przyciskając do swej piersi dziecię, zasnęła snem twardym wraz z Henrysiem, który niemniej od swej matki był zmęczony.

Nie chciała się rozstać ze swym synem ani na chwilę i pomimo nalegań, aby go pozwoliła położyć oddzielnie, nie zgodziła się na to, dręczona gorączkową niespokojnością; a nawet we śnie ściskała go w swych objęciach.

Państwo Berd wrócili do pokoju, ale już nie zaczynali rozpoczętej przed tem sprzeczki; ona, milcząca, robiła dalej pończochę; on, trzymał w ręku gazetę, chociaż, jak się zdaje, niewiele przeczytał, bo położywszy ją na stole, rzekł:

— Nie mogę wpaść na myśl, ktoby to mógł być?

— Niech wypocznie, a pewno się od niej dowiemy najlepiej, — odpowiedziała pani Berd.

— Co myślisz o tem, moja droga? — odezwał się znowu pan Berd po chwili milczenia.

— O czem, mój przyjacielu?

— Powiedz mi, czyby nie można dla niej przerobić której z twoich sukien? Zdaje się, że jest trochę wyższa od ciebie.

Uśmiech zaledwie dostrzegalny przebiegł po ustach pani Berd.

— Zobaczymy... — odrzekła z zadowoleniem.

I znowu milczeli oboje; i znowu pan Berd przerwał milczenie.

— Jak sądzisz, żono?

— Cóż jeszcze, mój przyjacielu?

— Wiesz co, możnaby oddać tej biednej kobiecie mój wełniany szlafrok, którym mnie zwykle przykrywasz, jak się kładę po obiedzie na spoczynek.

Właśnie w tej chwili weszła Dina, donosząc, że nieznajoma już się obudziła i pragnie się widzieć z panią Berd.

Małżonkowie poszli razem do kuchni wraz z dwoma starszymi synami. Nieznajoma siedziała za stołem przy piecu i patrzała nieruchomie w ogień, z wyrazem ciężkiej lecz spokojnej boleści.

— Chciałaś mnie widzieć? — zapytała pani Berd. — Wypoczęłaś już trochę?

Nieszczęśliwa zamiast odpowiedzi westchnęła tylko i podniosła na pytającą swe duże, czarne oczy, z wyrazem takiej troski niepocieszonej i takiego błagania, iż pani Berd, poruszona do głębi, czuła, jak się jej oczy mimowoli zalzawiły.

— Nie masz się czego obawiać, my ci sprzyjamy. Ale powiedz mi, skąd przychodzisz i co zamyślasz zrobić?

— Przybyłam z Kentucky.

— Kiedy? — wtrącił pan Berd, chcąc się sam o wszystko wypytać.

— Tej nocy.

— Jakżeś tu przeszła?

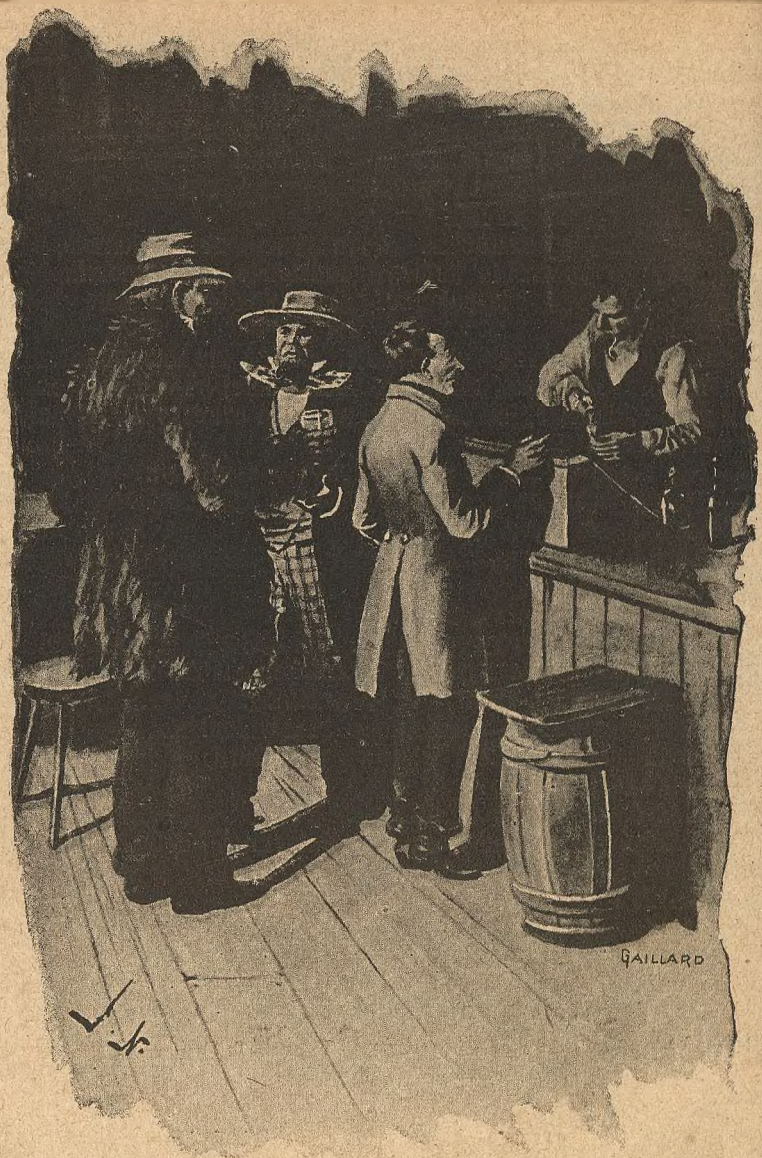

— Jak się miewasz? — odezwał się Haley, podając Lokerowi rękę na przywitanie.

— Po lodzie.

— Po lodzie?! — zawołali wszyscy zdziwieni.

— Tak — po lodzie. — Pan Bóg mnie wspierał; przeszłam po krach, płynących z biegiem rzeki; innej drogi nie było, a oni gonili za mną.

— A czy wiesz, — zawołał Cudjo, — że lód popękał na rzece, że kry potworzyły lodowe góry?

— Wiem, wiem... a jednak przeszłam... Nie miałam nadziei przejść na drugą stronę, ale cóż było począć? Miałam do wyboru: przejść, albo umrzeć. Pan Bóg mnie prowadził! A kto nie doznał w życiu Bożej opieki, ten tego pojąć nie potrafi, — dodała z ożywieniem.

— Byłaś niewolnicą? — zapytał Berd.

— Tak, należałam do jednego z właścicieli Kentucky.

— Okrutnie się z tobą obchodził?

— O nie, to szlachetny człowiek.

— A więc to pani twoja była niedobra?

— Nie, nie — moja pani, to anioł, nie kobieta.

— Cóż cię spowodowało porzucić zacnych ludzi, uciekać i narażać się na takie niebezpieczeństwa?

Niewolnica wpatrzyła się w panią Berd badawczo a spostrzegłszy na niej żałobną suknię, zapytała:

— Czyś pani miała nieszczęście stracić dziecię?

Niespodziewane to zapytanie, otworzyło jeszcze niezagojone rany w sercu macierzyńskiem, pełnem miłości. Przed miesiącem musieli państwo Berd pochować synka ukochanego, pieszczocha całej rodziny.

Pan Berd odwrócił się i powolnym krokiem odszedł ku oknu, pani Berd zalała się rzewnemi łzami. Uspokoiwszy się nieco, odpowiedziała łagodnie:

— Poco mię o to pytasz? Rzeczywiście straciłam drogie dziecię.

— O, to pani mię zrozumiesz: ja pochowałam dwoje, jedno poszło w ślad za drugiem. Spoczywają one tam, — w tej ziemi, na której noga moja nigdy już nie postanie. Został mi ten synek, jako jedyna w życiu pociecha; nie przepędził on ani jednej nocy bez mnie. On wszystkiem dla mnie, on moją dumą i moją pociechą, i dniem i nocą o nim tylko myślę. A oni chcieli go oderwać od mojej piersi i sprzedać! Czy pani to rozumiesz? sprzedać biedne dziecię, tam daleko na południe, żeby go matki oczy nigdy nie widziały! Tego było zanadto. Wiedziałam, że gdy mnie z nim rozłączą, na nic im się nie przydam; to też, gdym się przekonała, że dziecię moje sprzedane, że już akt sprzedaży podpisany, że niema żadnego ratunku, wzięłam mego Henrysia na ręce i uciekłam.

Pędzili za mną, ten co kupił mego syna wraz z niewolnikami mego pana. Przede mną była rzeka krą pokryta, innej drogi nie było... musiałam ratować mojego Henrysia, skoczyłam na lód... Jak przeszłam na drugą stronę, tego już sama nie wiem...

Biedna już ani płakała ani narzekała; boleść jej była zbyt wielka, żeby mogła okazać się na zewnątrz. Natomiast wszyscy ją otaczający wyrażali jej żal i spółczucie, i niejedna łza spłynęła, niejedno wyrwało się westchnienie.

Chłopaczki przytulili się do pani Berd i szlochali na dobre. Matka zakryła twarz chustką; po twarzy starej Diny płynęły łzy strumieniem: „Panie, zmiłuj się nad nami!“ wołała z współczuciem; a stary Cudjo łkał na głos, ocierając łzy rękawem. Nasz senator, jako mąż stanu, nie mógł przecież szlochać jak zwyczajny człowiek, odwrócił się przeto do okna

i niesłychanie starannie przecierał okulary i chrząkał, co mogłoby obudzić pewne podejrzenie, gdyby w obecnej chwili był mu się kto baczniej przypatrzył.

— Mówiłaś mi przecież, żeś miała poczciwego pana? — odezwał się nakoniec, zwracając się ku nieszczęśliwej i tłumiąc w piersiach wyrywające się westchnienie.

— Rzeczywiście i pan był dobrym i pani nieocenioną kobietą; ale ich zmusiły okoliczności — długi... zresztą ja nie potrafię tego panu opowiedzieć... Dosyć tego, że pewien handlarz trzymał ich w ręku i mógł zmusić do wszystkiego, co mu się podobało. Słyszałam, jak pan mówił swojej żonie, że syn mój sprzedany; pani wstawiła się za mną, prosiła, ale on odpowiedział, że nie może inaczej postąpić, że umowa podpisana. A ja, czegoż miałam czekać? Wzięłam syna na ręce i uciekłam, bo wiedziałam, że nie przeżyję rozdzielenia się z moim skarbem jedynym.

— Czy masz męża?

— Mam, ale on należy do innego właściciela, człowieka okrutnego, co się z nim niegodziwie obchodzi; nie pozwala mu nawet widywać się ze mną... co dzień to więcej go prześladuje... nawet mu zagraża, że go sprzeda na południe... Może już nigdy z nim się nie zobaczę.

Spokój, z jakim wymówiła te słowa, mógłby w niedoświadczonym postrzegaczu obudzić podejrzenie, że nie nazbyt boleje nad tem rozłączeniem; lecz dosyć było spojrzeć jej w oczy, żeby się dowodnie przeświadczyć, że jej rozpacz dlatego tylko była tak spokojną, że była beznadziejna.

— Dokądże masz zamiar się udać? — zapytała pani Berd łagodnie.

— Poszłabym do Kanady, ale nie znam drogi. Czy daleko stąd do Kanady? — zapytała z prostodusznem zaufaniem, wpatrując się w twarz pani Berd.

— Biedna! — zawołała mimowoli pani Berd.

— Zapewne to daleka droga! — szeptała do siebie w zamyśleniu Elżbieta.

— Znacznie dłuższa, niż możesz sobie wyobrazić, moja droga; ale nad tem pomyślimy, może uda się dopomóc ci w tem strapieniu. Dina, pościelesz dla niej łóżko w swoim pokoju obok kuchni. Jutro zobaczymy, co się da zrobić. A tymczasem nie trwóż się daremnie, miej w Bogu nadzieję. On cię nie opuści.

Pani Berd wraz z mężem wróciła do bawialnego pokoju; usiadła przy kominie na krześle na biegunach i huśtała się w zamyśleniu, patrząc na płomienie. Pan Berd chodził wzdłuż i poprzek po pokoju w widocznem zakłopotaniu i mruczał pod nosem: do licha, niepiękny to interes, narobiliśmy sobie bigosu!" W końcu zbliżył się do pani Berd i rzekł:

— Niema innej rady, musimy ją dokądkolwiek wysłać, nawet dzisiejszej jeszcze nocy. Nowy jej właściciel tropi ją ślad w ślad, jutro raniutko może wpaść do domu naszego. Żeby to jeszcze jedna tylko kobieta, toby można ją jakoś ukryć i odczekać dogodniejszej chwili, ale ten malec... co chcesz z nim zrobić? Wyjrzy oknem, wybiegnie na dziedziniec... i wszystko się wyda. Nieprzyjemna to dla mnie spra-

wa... Nie, to niepodobna: trzeba ich koniecznie dzisiaj jeszcze stąd wyprawić.

— Ale zmiłuj się, co ci się stało? Dokąd zawieziesz ich w nocy?

— Już wiem, dokąd! — odrzekł senator, wciągając buty z zakłopotaniem; lecz nim skończył, znowu się zamyślił, i założywszy ręce na kolana, długo pozostawał w tej pozycji.

— Niema co mówić, nie miała baba kłopotu, kupiła sobie... — Nie dokończając zdania, znowu zaczął wciągać buty. — A jednak nie można inaczej zrobić!... Bodaj licho wzięło całą tę awanturę. — Wstał i poszedł ku oknu.

Pani Berd była kobietą rozumną i nigdy mężowi nie przerywała, jak to nieraz inne panie czynią chcące koniecznie postawić na swojem. W obecnej chwili, chociaż domyślała się, jaki brały kierunek myśli męża, z całą jednak wyrozumiałością, nie wtrącając się, czekała, póki sam nie raczy wypowiedzieć, co zechce uczynić.

— Zważ tylko — odezwał się znowu — mieszka tu niedaleko mój dawny klient van Tromp, co się wyniósł z Kentucky, dając wolność wszystkim swoim niewolnikom. Okupił się o siedm mil stąd, na tamtej stronie brodu, wśród lasów, w miejscu odludnem, kędy nikt bez pilnej potrzeby nie jeździ, a i tak niełatwo tam trafić; to tylko bieda, że nocą nikt tam oprócz mnie jej nie zawiezie.

— A to dlaczego? Przecież Cudjo to doskonały woźnica.

— To prawda, ale trzeba będzie przejeżdżać dwa brody, a droga, mianowicie dla nieznających okolicy, bardzo niebezpieczna. Sam z jakie dziesięć razy przeprawiałem się tamtędy konno i doskonale poznałem owe knieje. A zatem widzisz, moja droga, że beze mnie się nie obejdzie. Cudjo zaprzęże około północy po cichu konie, i dalej w drogę. Ażeby wyjazd w jakikolwiek sposób upozorować, sam wsiądę do pojazdu, a Cudjo odwiezie mnie do najbliższej tawerny, gdzie kupię sobie bilet do dyliżansu [1]), który odchodzi do Kolumbji pomiędzy trzecią a czwartą godziną. Załatwiwszy tamże niektóre sprawunki, wrócę wcześnie. Wobec tego co zaszło, zaprawdę, trudno postąpić inaczej:

— Słuchaj serca, mój drogi, które ci zawsze dobrze radzi. — Pani Berd położyła swą białą rączkę z czułością na ręce męża. — Czyż mogłabym cię tak kochać, jak cię kocham, gdybym ciebie lepiej nie znała, niż ty sam siebie?

Mówiła przez łzy, które błyszczały w jej oczach; a była w tej chwili tak uroczą, że senator musiał uwierzyć, że jest człowiekiem niezwykłym, godnym podziwienia i kochania, bo jakże inaczej mogłaby go darzyć takiem przywiązaniem, taką miłością? Nie wypadało nic innego uczynić, jak wyjść i kazać zaprzęgać.

Na progu zatrzymał się, a odwróciwszy się do żony, rzekł wzruszonym głosem:

— Słuchaj, Maryniu, nie wiem, jak zechcesz uczynić... w komodzie masz jeszcze dużo rzeczy pozostałych po naszym Henrysiu...

[1]) Rodzaj naszych wozów pocztowych, kursujących pomiędzy miejscowościami, gdzie niema kolei żelaznej.

Nie mogąc dłużej powstrzymać wzruszenia, wyszedł czemprędzej z pokoju.

Pani Berd otworzyła malutką sypialnię, położoną obok jej pokoju, postawiła świecę na komodzie, wyjęła ze skrytki klucz i włożyła go w zamek jednej z szuflad; w tej chwili, weszli dwaj chłopcy, spoglądając na matkę ze zdziwieniem.

Powiedzcie, o matki, czy i wy nie chowacie drogich pamiątek po dziatkach waszych, które zawsze bierzecie do ręki z uczuciem miłości i tęsknoty?

Pani Berd odsunęła powoli szufladę. Były tam ubranka rozmaitego kroju i koloru, fartuszki, pończoszki, a z pod papieru, który się przerwał, wychylały się starte używaniem czubki trzewiczków. I zabawki tam się znajdowały: koń z drzewa, wózek, piłka, bąk, bębenek; — wszystko to drogie pamiątki, które zebrała i schowała wśród łez i bólu po zgasłem dziecięciu.

Pani Berd usiadła na ziemi przy szufladzie, zakryła twarz rękoma i płakała... a łzy, nie wiedzieć po który już raz, zrosiły znowu tę spuściznę po biednym jej Henrysiu.

Z gorączkowym pospiechem wybrała, co zdawało się mocniejszem i zdatnem do użytku, i wpakowała do węzełka.

— Mateńko, — odezwał się jeden z chłopców, z lekka pociągając ją za suknię, — czy chcesz to komu podarować?

— Moje dzieci, — odrzekła matka, — jeżeli nasz mały Henryś patrzy teraz z nieba, to się cieszy z tego, co robimy... Nie miałam dosyć sił oddać tych rzeczy człowiekowi obojętnemu, szczęśliwemu, lecz oddaję z ochotą nieszczęśliwej matce, która więcej od nas doznaje utrapień i niedoli. Mam nadzieję, że Bóg dobrotliwy wraz z tym darem ześle na nią błogosławieństwo.

Są na ziemi ludzie, których ból rodzi radość innym; których nadzieje, wśród łez w ziemi pochowane, jako ziarno na rolę rzucone, wydają kwiat, jako balsam koiący bóle, smutki i utrapienia bliźnich.

Taką była i pani Berd. Biedna, cała zalana łzami, zbierała drogą spuściznę po ukochanym synku, by te drogie pamiątki przebytej boleści, przyniosły ulgę jeszcze nieszczęśliwszym.

W kilka minut potem wyjęła z szafy parę sukien, nie nowych wprawdzie, ale zdatnych do użytku, i wzięła się do pracy, aby je w pasie popuścić jak to jej mąż radził; nożyce i igła były w ciągłym ruchu, aż póki na starym zegarze, stojącym w kącie bawialnego pokoju, nie uderzyła dwunasta, a przed gankiem nie dał się słyszeć turkot zajeżdżającego powozu.

— Maryniu, — rzekł pan Berd, wchodząc z płaszczem na ramieniu — rozbudź ją, czas jechać.

Pani Berd z pospiechem poskładała przygotowane rzeczy do niewielkiej skrzyneczki, zamknęła ją, oddała mężowi, prosząc, żeby zaniósł do powozu, a sama poszła do Elżbiety.

Wkrótce weszła Elżbieta z dzieckiem na ręku, w szlafroczku i czepeczku darowanym jej przez senatorową.

Pan Berd pomógł jej wsiąść do powozu, a pani Berd przybliżyła się do samych drzwiczek i ścisnęła ze współczuciem wyciągniętą przez okienko rękę równie pulchną i białą, jak jej samej.

Elżbieta wpatrzyła się swemi dużemi, czarnemi oczami w twarz pani Berd, chciała coś powiedzieć, usta się poruszyły, lecz głosu zabrakło od silnego wzruszenia. Wtedy podniosła oczy ku niebu z takim wyrazem, który na wieki zostaje w pamięci, i posunęła się bezsilnie na swoje miejsce, zakrywając twarz dłońmi.

Drzwiczki stuknęły, powóz zaturkotał i potoczył się po drodze.

* * *

Już była późna noc, kiedy powóz zabłocony, rozturkotany zatrzymał się przed gankiem domu obszernej farmy. Długo musieli się dobijać, nim gospodarz drzwi otworzył. Był to wysoki, barczysty mężczyzna, ubrany w czerwoną, flanelową bluzę; rozczochrane włosy koloru jasno-ryżego, od kilku dni niegolona broda, nadawały jego fizjognomji wyrazu nie nazbyt budzącego zaufanie. Ze świecą w ręku, w górę podniesioną, przypatrywał się ciekawie naszym podróżnym. Senator niemało miał kłopotu, wytłómaczyć mu powód przyjazdu. W czasie kiedy gospodarz farmy stara się zrozumieć objaśnienia senatora, zapoznajmy się z nim bliżej.

Stary, zacny Jan van Tromp był niegdyś zamożnym farmerem i posiadaczem murzynów w stanie Kentucky. Chociaż na pozór wyglądał jak niedźwiedź, pod tą grubą jednak i szorstką powłoką kryło się do poświęcenia zdolne i prawdę miłujące serce. W przeciągu kilku lat z tajoną boleścią był świadkiem stosowania systemu równie zgubnego dla gnębionego, jak i dla gnębiącego. Lecz cierpliwość jego wyczerpała się: nie mógł dłużej znosić widoku, krwawiącego jego poczciwe serce. Pewnego pięknego dnia przeprawił się za Ohio, kupił kawał żyznego pola, dał wolność swoim murzynom, pozwalając im osiedlać się na zakupionym gruncie, a sam zamieszkał w niewielkiej farmie, gdzie spożywał chleb zarobiony w pocie czoła, ale z czystem sumieniem.

— No i cóż, przyjacielu, — zagadnął senator — czy masz odwagę dać przytułek kobiecie i dziecięciu, za któremi pędzą prześladowcy, jak psy gończe?

— A czemużby nie?... — odrzekł van Tromp z pewnym znaczącym przyciskiem.

— Spodziewałem się tego — odrzekł senator.

— Niechno który raczy do mnie zawitać, bardzo proszę! — ciągnął dalej farmer, prostując swe atletyczne barki, — bardzo proszę, jestem gotów na ich przyjęcie, ja i sześciu moich chłopców... a to nie karły... bardzo proszę... Powiedz im pan, że mi wszystko jedno, o jakiej porze raczą mnie zaszczycić.

Mówiąc to, rozczesywał palcami splątane włosy i rozśmiał się serdecznie.

Upadająca od znużenia, na wpół martwa Elżbieta, miała zaledwie dosyć sił, by się dowlec z dziecięciem na ręku do drzwi. Ponury farmer podniósł świecę, wpatrzył się w jej twarz, mruknął kilka słów współ-

Na dwóch rozstawionych krzesłach leżała bezprzytomnie w kwiecie wieku kobieta.

czucia, i otworzył drzwi do przyległego pokoiku, w której się nasi zna jomi znajdowali. Wprowadziwszy Elżbietę do pokoju, zapalił drug świecę, postawił ją na stole i rzekł:

— Wierzaj mi, nie masz się czego lękać: jeśli się komu zamarz szukać ciebie u mnie, jam gotów! — To mówiąc, wskazał ręką na kilk fuzyj, wiszących nad kominem. — Kto mnie zna, ten wie, że nie ta

łatwo porwać kogokolwiek z mego domu. Teraz śpij spokojnie, jakby pod opieką rodzonej matki, — rzekł i wyszedł, drzwi za sobą zamknąwszy.

— Ładna kobiecina! — odezwał się do senatora. — Tem gorzej dla niej; piękność zmusza je najczęściej do ucieczki, skoro w sercu nie wygasły uczucia poczciwości i godności kobiecej... Tak, tak, wiele takich widziałem przykładów.

Senator opowiedział w krótkich słowach historję Elżbiety.

— Więc to tak! — zawołał poczciwiec z współczuciem, — hm, hm, rozumiem, rozumiem! Biedna ona, biedna! Tropią ją jak dzikiego zwierza, bo słucha głosu natury i czyni, jak każda uczciwa matka czynić powinna. Gdy coś podobnego słyszę, nie posiadam się z gniewu i mógłbym kląć w żywe kamienie; bo czyż można patrzeć z zimną krwią na takie bezeceństwa? I zacny pan Jan otarł swą spracowaną ręką łzę, która spłynęła po jego ogorzałej twarzy.

W toku rozmowy otworzył butelkę owocowego wina i poczęstował gościa.

— Najlepiej pan zrobisz, gdy się u mnie przenocujesz — rzekł z nieudaną szczerością. — Każę natychmiast przysposobić łóżko.

— Dziękuję ci, zacny przyjacielu, nie mogę jednak korzystać z gościnności, bo muszę ruszyć, by się nie spóźnić na pocztę, która idzie do Kolumbu.

— Kiedy tak, to was wyprowadzę na lepszą drogę, niż ta, którą przyjechaliście.

Jan ubrał się i z latarnią w ręku przeprowadził powóz senatora drogą idącą poza farmą. Senator, żegnając gospodarza, wcisnął mu w dłoń papierek dziesięciodolarowy.

— To dla niej, — rzekł lakonicznie.

— Dobrze, — odrzekł Jan. Obydwaj mężowie, uścisnąwszy sobie dłonie, rozstali się.

———o———

ROZDZIAŁ X.

Wywiezienie towaru.

Pochmurny, dżdżysty poranek lutowy, tęsknem światłem oświecał wnętrze chaty ojca Tomasza, jeszcze więcej dodając smutnego wyrazu i tak już zbolałym twarzom jej mieszkańców. Na stole, przysuniętym do ognia, ciotka Klotylda prasowała koszule dla męża, z matematyczną prawie ścisłością prostując, wyrównywając każdą fałdkę, przerywając od czasu do czasu swe zajęcie, dlatego tylko, by otrzeć łzy spływające po jej czarnych policzkach.

Tomasz siedział obok z głową wspartą na dłoni; na kolanach miał otwartą księgę Nowego Testamentu. Mąż i żona milczeli oboje, a dziatwa nieświadoma jutra, spała jeszcze spokojnie na swych posłaniach.

Tomasz, który bardzo miłował życie rodzinne, czem wogóle całe plemię murzyńskie, na nieszczęście swoje, się odznacza, wstał, aby popatrzeć jeszcze na dziatki!

— Po raz ostatni! — wyszeptał z boleścią...

— Ciotka Klotylda, jakby nie słysząc, suwała machinalnie żelazkiem, chociaż na koszuli żadnej nie było już fałdki; widocznie walczyła ze sobą; wreszcie, nie mogąc już dłużej wytrzymać, rozpaczliwie rzuciła żelazko, siadła za stołem i gorzkiemi zalała się łzami.

Tomasz siedział obok z głową wspartą na dłoni.

— Prawda, że powiedziano: cierp w pokorze; ależ, Boże mój dobry, jak to wszystko ścierpieć? Żebym przynajmniej wiedziała, kędy ciebie powiozą, albo jak się z tobą będą obchodzili? Pani powiada, że za rok lub dwa lata postara się ciebie wykupić; ale cóż mi potem? Kto raz poszedł na Południe, już więcej nie wraca. Słyszałam, jak tam naszych dręczą!

— Wszystko od Boga, moja kochana, zależy; Bóg jest wszędzie obecnym, i tam mnie nie opuści.

— Nie opuści?! — przerwała Klotylda — Bóg nie opuści ależ ludzie straszne wyrabiają rzeczy, a Bóg to wszystko cierpi! Och, och, wątła nadzieja!

— Wszystko w ręku Boga, nic się nie dzieje bez Jego świętej woli. Dzięki niech będą Jemu, że to mnie, a nie ciebie lub dzieci sprzedali. Wy tu będziecie żyć spokojnie, a mnie Bóg wesprze, On mnie nie opuści, — wiem o tem.

Tomasz mówił to głosem stłumionym, widocznie walczył sam z sobą, boleść piersi mu ściskała, ale starał się mówić spokojnie, bo ta szlachetna i wzniosła dusza zapominała o swej własnej niedoli, byle tylko bliźnich pocieszyć.

— Pomnijmy na łaski, któremi nas darzy, — dodał drżącym głosem, jakby myśl podobna w obecnym położeniu była rzeczą naturalną, konieczną.

— Łaski! — przerwała ciotka Klotylda. — Przyznam ci się, że tu żadnej łaski nie widzę! Co za łaski, tu sprawiedliwości niema, — ani iskierki! Czyż to wszystko stało się sprawiedliwie? Pocóż było panu leźć w długi, tak że ciebie musi sprzedać? Przecież już od dawna obiecywał i powinien był ciebie uwolnić! Może teraz nie może inaczej postąpić, ale czyż to sprawiedliwie? Już mnie nie przekonasz, to daremne. Czy mu nie służyłeś wiernie? czyś jego dobra nie pilnował? czyś nie dbał więcej o niego, niż o własne dzieci? Bóg ukarze tych, co cudzą krwią i łzami płacą swoje długi, o, pewno ukarze!

— Klotyldo! posłuchaj mnie, jeżeli mnie kochasz: nie mów nic podobnego, teraz właśnie, kiedy może po raz ostatni z sobą rozmawiamy. Mnie boli serce, moja droga, że słyszę cię złorzeczącą naszemu panu. Przecież mnie go oddano, kiedy był jeszcze małem dziecięciem... jakże mam nie myśleć o nim, nie pracować dla niego? Jakże mam wymagać, żeby miał myśli swoje biednym Tomaszem zaprzątać? Panowie przyzwyczajeni, żeby im usługiwano i wszystko robiono dla nich; oni temu niewinni, to ich natura — gdzież im myśleć o takiej bagateli? Tego niepodobna wymagać, doprawdy niepodobna! Spojrzyj na innych, kto ma takie wygody, jakie ja tu miałem? Nasz pan nigdyby nie dopuścił podobnego nieszczęścia, żeby można było temu zaradzić.

— Mów co chcesz, a zawsze to nieczysta sprawa — odrzekła Klotylda, która miała w swym charakterze wiele upartej prawości. — Ja to czuję, ot tu! — i uderzyła się po piersiach.

— Myśl częściej o Bogu, On czuwa nad wszelkiem stworzeniem, — lichy wróbel bez Jego woli nie zginie.

— Jużci tak jest, ale jakoś od tego nie lżej na duszy, chyba później, może Pan Bóg da, ciężar z serca spadnie. Ot, co tu i gadać! słowa nic nie pomogą... Pośniadaj lepiej po raz ostatni, jak człowiek; zaraz ci wyjmę jadło z pieca. Kto wie, czy się kiedy zobaczymy i czy będziemy jeszcze jedli przy jednym stole!

Niedługo dymiły na stole skromne ale smacznie przyrządzone potrawy. Pani Szelby zwolniła dnia tego ciotkę Klotyldę od służby. Na urządzenie tej uczty pożegnalnej wyczerpała nieszczęśliwa całą swą umiejętność kucharską, cały stół zastawiła przysmakami: wszakże po

raz ostatni częstowała swego męża; kto wie, czy kiedy jeszcze w życiu zje co pożywnego.

— Patrz, Pietrek, patrz! — zawołał triumfującym głosem Mundziu i już się przygotował, żeby ściągnąć z talerza skrzydełko kurczątka, ale właśnie w tej chwili matka pacła go przez rękę i przeszkodziła w tak świetnych zamiarach.

— Widzisz go, już zęby wyszczerzył, nie da ojcu spokojnie po raz ostatni pośniadać.

— Ach, Klotyldo — rzekł Tomasz, czyniąc jej łagodną wymówkę.

— A cóż mam począć? Już ja za to nie mogę — odrzekła ciotka Klotylda, zakrywając twarz fartuchem — w głowie mi się przewraca, nie wiem co czynię.

Chłopcy zatrzymali się w osłupieniu, spoglądając z kolei to na ojca, to na matkę, gdy tymczasem ich młodsza siostrzyczka, za odzież matki uczepiona, objawiała swe żądanie krzykiem, którego żadne perswazje złagodzić nie mogły.

— No! — odezwała się ciotka Klotylda, ocierając łzy i biorąc dziecko na ramię, — niema z wami rady, macie kurczaka, jedzcie, moje dziatki! biedne sieroty! matka was skrzywdziła.

Dziatwa, nie czekając, by ją drugi raz proszono, wzięła się z zapałem do jedzenia, i w krótkim czasie sprzątnęła cały zapas przysmaków, ustawionych na stole, a i dobrze zrobiła, bo rodzice nic nie jedli, jakby mieli gardła pozawiązywane.

Po śniadaniu zaczęła się ciotka Klotylda krzątać po izbie.

— Teraz spakuję rzeczy twoje. Prawdopodobnie wszystko ci zabiorą. O znam ja ich, — tych podłych łotrów. Tutaj w kącik włożę ci kaftan flanelowy przeciw reumatyzmowi; pilnuj, aby ci go nie wzięto, bo nikt nowego ci nie zrobi. Wczorajszej nocy zacerowałam ci szkarpetki i kłębek wełny włożyłam w środek. Miły Boże, któż ci to w przyszłości zrobi?

Nie mogąc przezwyciężyć wzruszenia, pochyliła się nad kufrem i zaczęła głośno szlochać.

— Gdy pomyślę, że nikt się tobą, czy będziesz zdrów, czy chory, nie zaopiekuje, to doprawdy zbiera mnie rozpacz i niech Bóg mi przebaczy, że nie umiem być pobożną.

Dzieci, pozjadawszy wszystko, co było na stole, spostrzegły po smutnych twarzach rodziców, że coś niedobrego się stało; widząc, że matka płacze, zakryły oczy rączkami i zaczęły również płakać. Tomasz wyjął z kołyski najmniejszą dziewczynkę i wziął ją sobie na kolana. Maleństwo poczęło ojca drapać po twarzy, szarpać za włosy, a rozigrawszy, wybuchało przy każdem szarpnięciu głośnym śmiechem.

— Śmiej się, śmiej, córuchno! — odezwała się Klotylda. — Przyjdzie i na cię kolej, i tobie wezmą męża i sprzedadzą go a może i ciebie samą... I was to nie minie, moje dzieci, gdy tylko podrośniecie i nacokolwiek się przydacie, powleką was w świat i sprzedadzą. Dla murzyna, prócz niewoli, nic niema na świecie.

— Pani idzie! — zawołał jeden z malców.

— A to poco? Przecież nam nic nie pomoże — burknęła gniewnie Klotylda.

Gdy pani Szelby weszła, podała jej ciotka Klotylda, z widocznem nieukontentowaniem krzesło, ale pani Szelby nie zwracała na to uwagi. Twarz jej była śmiertelnie blada.

— Tomaszu, — rzekła — przyszłam... — Dalej mówić nie mogła, a gdy spojrzała dokoła na drobną dziatwę, upadła na krzesło, zakryła twarz dłońmi i jęczała z boleści.

— Na Boga, pani moja, co pani jest? Uspokój się pani! uspokój! — wołała ciotka Klotylda, zalewając się również łzami... Tak przeszło kilka minut wśród ogólnego płaczu; w tych łzach wspólnych, które na chwilę zrównały różnicę stanów, znikło oburzenie, znikł gniew. O wy, dobroczynne serca, co chętnie przychodzicie z pomocą cierpiącym braciom, nie zapominajcie, że najbogatsze dary mniej ulgi i pociechy przynoszą, niż jedna jedyna łza współczucia, rosząca wasze powieki.

— Dobry mój Tomaszu, — odezwała się pani Szelby, — nie mogę ci nic dać na drogę, coby ci się przydać mogło. Dałabym ci trochę pieniędzy, ale to napróżno, pieniądze ci zabiorą. Lecz przysięgam ci wobec wszechmocnego Boga, że nie zapomnę o tobie, będę się dowiadywać, kędy cię zawiozą, i za pierwsze pieniądze, które mieć będę, wykupię cię, a tymczasem miej w Bogu nadzieję!

Właśnie w tej chwili chłopcy w jeden głos wołać poczęli, że Haley nadchodzi; i rzeczywiście drzwi popchnięte gwałtownie, otworzyły się z hałasem i do izby wtoczył się pan Haley, zły, bo znużony i niezadowolony z wczorajszej pogoni.

— Czyś gotów, czarny psie? — zawołał, a spostrzegłszy panią Szelby, cofnął się i rzekł — sługa powolny łaskawej pani.

Ciotka Klotylda, która właśnie w tej chwili zamykała kufer z rzeczami męża, podniosła głowę i spojrzała na Haleya takim wzrokiem, że z jej ócz zamiast łez wzruszenia, iskry się sypały.

Tomasz wstał z pokorą, by pójść w ślad za swym nowym panem, wziął na plecy ciężki kufer z rzeczami i wyszedł z chaty, za nim szła żona z dzieckiem na ręku i dwóch chłopców zanoszących się od płaczu. Pani Szelby zatrzymała handlarza przez kilka minut i żywo z nim rozmawiała. Podczas tej rozmowy Tomasz z rodziną zbliżał się do wózka, stojącego u wrót dziedzińca w pogotowiu do drogi.

Gromadka starych i młodych murzynów zebrała się dokoła, by pożegnać swego starego przyjaciela i towarzysza. Wszyscy przyzwyczaili się patrzeć na Tomasza z pewnem uszanowaniem i uważać go nietylko za przełożonego nad czeladzią, ale także jako nauczyciela i doradcę w sprawach codziennego ich życia i bytu.

Na wszystkich twarzach, mianowicie kobiet, malowało się współczucie, wszyscy ubolewali serdecznie nad nieszczęściem, jakie go niezasłużenie spotkało.

— Ciotko Klotyldo, ty okazujesz się mężniejszą od nas! — zagadnęła jedna z kobiet, zanosząca się od płaczu.

— Wszystkie łzy już wypłakałam! — odrzekła ciotka Klotylda, rzucając wściekłe spojrzenie na zbliżającego się handlarza. Łzy moje święte, nie pokażę ich temu psu! O, za nic w świecie nie ujrzy u mnie łez!

— Marsz, do wózka! — krzyknął Haley, przechodząc między czeladzią, patrzącą nań z nienawiścią. Gdy Tomasz był już na wózku, Haley wyjął z pod siedzenia kajdany i założył mu je na nogi.

Okrzyk oburzenia przebiegł po gromadzie, a z okna werandy dał się słyszeć głos pani Szelby.

— Panie Haley, zaręczam panu, że to zupełnie niepotrzebna ostrożność.

— Któż to może wiedzieć, łaskawa pani, już i tak straciłem w tym domu pięćset dolarów, więcej ryzykować nie mogę i nie chcę.

— Cóż to, czy myślała, że go ułagodzi? — zamruczała Klotylda, gdy tymczasem chłopcy, zrozumiawszy o co chodzi, z płaczem tuliły się do matki.

— Bardzo mię to boli, bardzo boli, — rzekł Tomasz, — żem się nie mógł pożegnać z młodym paniczem.

Jerzy tegoż dnia rano wyjechał do sąsiedniej plantacji zabawić parę dni u jednego ze swych rówieśników. Wyjechał rychło rano, kiedy jeszcze wiadomość o nieszczęśliwej doli jego przyjaciela nie rozniosła się i wyjechał o niczem nie wiedząc.

— Kłaniajcie się ode mnie mojemu młodemu paniczowi — rzekł Tomasz smutnie.

Haley trzasnął z bicza, a wózek szybko się potoczył, uwożąc Tomasza, który długo jeszcze siedział z wzrokiem zwróconym ku miejscu, gdzie się rodził, gdzie wszystko co sercu drogie, zostawił, aż go odległość i mgły poranne i tego widoku pozbawiły.

Pana Szelby nie było w domu. Zgodził się on na sprzedaż Tomasza przynaglony koniecznością, widział w tem jedyną drogę wyjścia z przykrego dlań położenia, i dlatego wnet po podpisaniu kontraktu, doznał uczucia radości, jakby mu spadł kamień z serca. Lecz łzy i wyrzuty żony obudziły w jego piersiach na wpół drzemiące sumienie; a zaparcie się siebie Tomasza i pokorne poddanie się losowi swemu powiększyły jeszcze więcej moralne jego cierpienia. Napróżno starał się sam siebie przekonać, że miał prawo tak postąpić, że wszyscy tak postępują, nawet bez potrzeby — nie zdołał się jednak we własnych uniewinić oczach, i dlatego, by uniknąć bolesnego rozłączenia i pożegnania, wyjechał za wymyślonym interesem, ciesząc siebie nadzieją, że wszystko się załatwi do jego powrotu.

Tomasz tymczasem wraz ze swym towarzyszem podróży, wymijali z kolei wszystkie znajome mu miejsca, aż przebyli granicę plantacji, i znaleźli się w otwartem polu.

Ujechawszy blisko milę, zwrócił Haley z drogi, podjechał do kuźni, wyjął parę kajdanek, i kazał je rozszerzyć.

— Za małe dla niego — rzekł Haley, zwracając się do kowala i pokazując na Tomasza.

— Cóż to? Wszakże to Tomasz od Szelbych? Czyż się zgodzili sprzedać tego poczciwca? — zapytał kowal.

— Sprzedali — odpowiedział Haley.

— Czy być może? Ktoby to myślał! — dorzucił kowal. — Jego okuwać nie trzeba, to zacne, poczciwe człowieczysko.

— Tak, tak, znam ja ich wszystkich owych poczciwych ludzi! Z takim właśnie trzeba się mieć na baczności i pilnować. Głupich, łotrów i pijaków, — zawieź ich, gdzie chcesz, im wszystko jedno; ale z tymi, to rzecz inna, dla nich taki wyjazd — to gorsze od śmierci. Jedyny sposób, skrępować ich jak baranów.

— Z pewnością, że nasi murzyni z Kentucky nie bardzo chętnie na Południe się udają, boć też tam padają jak muchy; wszakże prawda?

— Niezawodnie; umierają dość wcześnie, zabija ich klimat, no — i inne przyczyny... Ale właśnie dlatego popyt na towar jest tam zawsze wielki i robi się dobre interesa.

— Żal mi jednakże Tomasza, że taki właśnie poczciwiec będzie musiał marnie zginąć.

— Jemu tak źle nie będzie. Przyrzekłem jego pani, że go byle komu nie sprzedam; ulokuję go w jakim arystokratycznym domu jako służącego. A jeżeli przetrwa febrę i przyzwyczai się do klimatu, toż będzie i szczęśliwy.

— A żonę i dzieci zostawił pewnie tu w Kentucky?

— A jakże, ale tam znajdzie się inna, kobiet dość na świecie.

Podczas tej rozmowy, siedział Tomasz na wózku, pogrążony w smutnych myślach.

Wtem posłyszał za sobą tętent kopyt końskich, zanim się obejrzał, już młody Jerzy, ukochany jego panicz, zeskoczył z konia, wdrapał się na wózek, na którym siedział Tomasz i objął go dokoła szyi, obsypując gorącymi pocałunkami, a po twarzy młodzieńca spływały obfite łzy.

— O, to podle, to nędznie! — wołał Jerzy w oburzeniu. — Niech mówi kto co chce, to grzech, to hańba! Gdybym był dorosłym mężczyzną, nie dopuściłbym tego, oparłbym się wszelkiemi siłami; jak mi Bóg miły, coś podobnego nie mogłoby zajść.

— Ach, paniczu kochany, prawie niepodobieństwem było dla mnie odjechać bez pożegnania się z paniczem; słowa twoje płyną jako balsam na zbolałą moją duszę.

W tejże chwili poruszył Tomasz nogą i Jerzy usłyszał brzęk kajdan.

— A to bezecność! ja tego łotra ubiję!

— Paniczu, daj mu spokój i mów ciszej; nie zdołasz mi pomóc, przeciwnie, tylko możesz mi zaszkodzić, bo gotów się na mnie mścić.

— Dobrze, dla ciebie to zrobię, że dam mu spokój; ale hańba pozostanie hańbą. Czyż to nie wstyd, że mnie wysłano z domu, abym nie widział, kiedy cię zabiorą, i ani słowa mi nie powiedziano. Żeby nie Tomasz Lincoln, który mnie o tem powiadomił, nic nie byłbym wiedział. Ale też w domu narobiłem z tego powodu hałasu, wierzaj mi.

— Niedobrze, paniczu, postąpiłeś.

— Cóż miałem począć? Powiedziałem im, że to wstyd, hańba! Wiesz co, wuju Tomaszu, — dodał głosem tajemniczym, odwracając się tyłem do kuźni — przywiozłem ci medalionik z Matką Boską.

— O paniczu! nie wezmę go, nie mogę wziąść — rzekł Tomasz wzruszony do głębi.

— Musisz go wziąść, zawieś go na szyi, to ten łotr nie zobaczy go i nie weźmie ci. Ach, jakaż zbiera mnie chęć powiedzieć temu łotrowi kilka słów prawdy.

— Nie czyń tego paniczu, bo mogłoby to wypaść na moją szkodę.

— Dla ciebie będę milczał — rzekł Jerzy, obwiązując tasiemkę dokoła szyi Tomasza. — A teraz zapnij surdut, żeby go nie było widać; ile razy spojrzysz na niego, przypomnij sobie, że cię nie opuszczę i że nadejdzie chwila, kiedy po cię przybędę. Ojcu memu nie dam i chwili spokoju, ani we dnie ani w nocy, aż życzenie moje się nie spełni.

— Paniczu, nie mów tak o ojcu swoim.

— Tomaszu, wiesz przecież, że nic złego nie myślałem.

— A teraz posłuchaj mnie paniczu: bądź zawsze dzielnym chłopcem, wiele ócz zwróconych jest na ciebie i pokładają w tobie swoje nadzieje. Kochaj rodziców swoich. Kochaj matkę swoją. Bardzo wiele dobrodziejstw daje nam Pan Bóg podwójnie, potrójnie i po więcej razy, ale jednę tylko daje matkę. Nie czyń, jako inni czynią. Niektórym się zdaje, że pojedli wszystkie rozumy i rad matki słuchać nie potrzebują. Choćbyś i sto lat żył, drugiej matki i takiej matki mieć nie będziesz. Bądź jej posłusznym, powolnym, kochaj ją i wzrastaj ku jej pociesze. Mój złoty, drogi, kochany paniczu, wszakże tak czynić będziesz?

— O tak, wuju Tomaszu! — zawołał Jerzy!

— Jeszcze jednę uwagę. Młodzi ludzie w twoim wieku są często uparci, leży to w ich naturze. Ale ludzie z prawdziwem poczuciem honoru nie pozwolą sobie na żadne rodzicom ubliżające słowo, nigdy czci ich uwłaczać nie zechcą. Przecież się na mnie nie gniewasz, paniczu kochany?

— Nie, wuju Tomaszu, tyś mi zawsze dobrze radził.

— Nic w tem dziwnego, paniczu, ja wiele doświadczyłem już w mem życiu, — mówił łagodnym głosem Tomasz, gładząc swoją silną, muskularną dłonią piękne kędziory młodzieńca, i znam twoje poczciwe, zacne serduszko. Bóg nie szczędził ci swych darów, dał ci rozum, urodzenie i naukę. Jak wyrośniesz na człowieka i wiele już będziesz umiał, wszyscy cię będą kochali i szanowali, a ojciec i matka będą się mogli słusznie tobą poszczycić. Bądź, jak twój ojciec, dobrym panem dla swych niewolników; miłuj Boga, jak twoja matka; a przedewszystkiem żyj według przykazań Boskich — to najważniejsza!

— Przyrzekam ci, wuju Tomaszu, — rzekł Jerzy głosem uroczystym — że będę takim, jakim pragniesz, abym był; ale ty, wuju Tomaszu, nie strać nadziei, miej cierpliwość, a ja cię znowu na twe stare śmieci sprowadzę! Jeszcze dziś rano mówiłem ciotce Klotyldzie, jak myślę przerobić twą chatkę: będziesz miał pokój wyklejony tapetami, dywan każę rozesłać na podłodze, zobaczysz, niech tylko dorosnę. Cierpliwości, wuju Tomaszu, jeszcze i dla ciebie jasno słonko zaświeci!

Kiedy dokończył słów tych, ukazał się we drzwiach kuźni Haley, niosąc przerobione kajdany.

— Mości panie, — zawołał Jerzy, zszedłszy z wózka — opowiem rodzicom moim, jak się pan obchodzisz z wujem Tomaszem.

— Bardzo mię pan tem zobowiązesz, — odrzekł ozięble Haley.

— Czy się pan nie wstydzisz skupywać niewolników i wiązać ich jak bydło mimo ich łez i narzekań? Czy pan własnego nie czujesz upodlenia?

— Dopóki istnieją znakomite rody, które sprzedają niewolników, nie jestem od nich ani o źdźbło gorszym; boć chyba niema różnicy między sprzedającym a kupującym...

— Ja się na to, gdy podrosnę, nie zgodzę nigdy. Wstydzić się muszę, żem się rodził w Kentucky, a dawniej tem się chlubiłem.

Mówiąc to, wyprostował się na koniu i z taką butą spojrzał dokoła, jakby słów jego cały stan Kentucky słuchał.

— Bądź zdrów, wuju Tomaszu, i nie trać nadziei.

— Bywaj mi zdrów, paniczu, — odpowiedział Tomasz, żegnając go pełnem miłości spojrzeniem. — Niech cię Bóg wszechmocny zasłoni od wszelkich złych przygód! W całym stanie Kentucky nie wielu się najdzie tobie podobnych młodzieńców! — dodał z wzruszeniem, gdy już młodzieniec się oddalał. I długo jeszcze gonił go nieszczęśliwy łzawem okiem, a chociaż już koń i jeździec znikli za górą, on jeszcze patrzał w tę stronę, aż ucichł i tętent kopyt końskich i rozwiał się jak ostatnie pożegnanie z rodzinnej ziemi; ale na piersiach, właśnie gdzie niewinne ręce chłopięcia zawiesiły serdeczną pamiątkę, uczuł nieszczęśliwy jakieś cudowne, zbawienne ciepło. Wziął w rękę drogi upominek i przycisnął go do serca.

— Słuchaj, co ci powiem, Tomaszu — odezwał się Haley, siadając na wózek, do którego wrzucił poprzednio kajdanki: — U mnie ci źle nie będzie, jeżeli się zachowasz spokojnie; żaden z murzynów nie może się na mnie żalić, gdyż nie zwykłem się z nimi obchodzić brutalnie, tylko, o ile się da, łagodnie. Nie radzę ci próbować ucieczki, bo wnet się na tem zmiarkuję, znam bowiem figle, jakie murzyni urządzają. Bądź więc dobrym, posłusznym, a nie będziesz miał powodu na mnie narzekać; gdybyś miał postępować przeciwnie, to już nie moja będzie wina, jeżeli chwycę się środków ostrzejszych.

Tomasz zapewnił Haleya, że ani myśli o ucieczce.

Zresztą podobne uwagi były zbytecznemi dla człowieka okutego w ciężkie łańcuchy, ale był to zwyczaj pana Haleya, że niewolnikom powtarzał te same napomnienia, aby wzbudzić w nich do siebie zaufanie i zapobiec nieprzyjemnym scenom, jakie zachodziły przy ich sprzedaży.

Musimy jednakże pożegnać tymczasem wuja Tomasza, aby pójść w ślady za innemi osobistościami, zachodzącemi w naszem opowiadaniu.

ROZDZIAŁ XI.

Żywy towar zjawia się z poczuciem godności człowieka.

Późnym wieczorem zatrzymał się u drzwi niewielkiego gościńca wioski N*** w Kentucky pewien podróżny.

Wchodząc do wspólnej sali, spotkał się tam z najróżnorodniejszem towarzystwem, zmuszonem szukać schronienia od słoty.

Byli to przeważnie myśliwi z stanu Kentucky, mężczyźni silni, barczyści, swobodni w obejściu. Po kątach stały poustawiane strzelby, wyżej pozawieszano myśliwskie torby, nieco opodal porozkładały się na ziemi psy gończe, a wśród nich gromadka dzieci murzyńskich, z niemi się bawiących. — Całość przedstawiała charakterystyczny obraz.

Wkoło ogniska siedzieli mężczyzni w kapeluszach, rozpierając się wygodnie na krzesłach. Nogi w obłoconych butach oparli na gzymsie komina i gawędzili wesoło.

Winniśmy objaśnić czytelnika, iż tak dziwaczna pozycja jest uważaną przez miejscowych mieszkańców, uczęszczających do restauracji, za najdogodniejszą i najbardziej usposobiającą do poważnych rozmyślań.

Gospodarz restauracji, stojący za swem biurkiem, wyglądał, jak większa część jego rodaków: była to postać wysoka, z dobrodusznym wyrazem twarzy, okolonej bujnym zarostem, z kapeluszem na głowie, niezgrabny w ruchach.

Zresztą wszyscy goście mieli na głowach oznaki męskiej władzy: kapelusze pilśniowe, palmowe, czapki bobrowe lub modne jedwabne. Były one równocześnie wymownym wyrazem ich charakterów.

Jedni nosili czapki na bakier, — to ludzie weseli, towarzyscy, gotowi do wypitki i do wybitki; inni mieli spuszczone na nos, — to ludzie z charakterem stałym, wiedzący czego chcą i według wytkniętego celu stale postępujący; znowu inni mieli kapelusze z czoła, — to ludzie światli, pragnący wszystko wiedzieć; a jeszcze inni, nie dbali o to, jak kapelusz wsadzili, czy tak, czy owak, co chwilę go poprawiali, to zsunął im się na bakier, to z czoła, to na czoło — to ludzie chwiejni, lekkomyślni.

Ktoby pragnął wnioskować o charakterach ludzkich z sposobu noszenia kapeluszy, mógłby odbyć tutaj prawdziwe w tym względzie studja.

Kilku murzynów w szerokich spodniach, a wąskich koszulach, krzątało się po lokalu, bez widocznego celu, chyba tylko dlatego, by okazać gotowość natychmiastowego usłużenia.

Obraz ten uzupełniał wesoło trzaskający na kominie ogień, otwarte na oścież drzwi i okna, przez które wiał wilgotny wiatr, powiewający nieustannie niebardzo czystemi firanami.

W takie towarzystwo, niezbyt bacząc na etykietę, wszedł nasz podróżny, niewielki, pochylony człowiek, na którego okrągłej twarzy malowała się dobroduszność; odziany dosyć starannie, a cała postać świadczyła o trochę pedanckiem usposobieniu ducha.

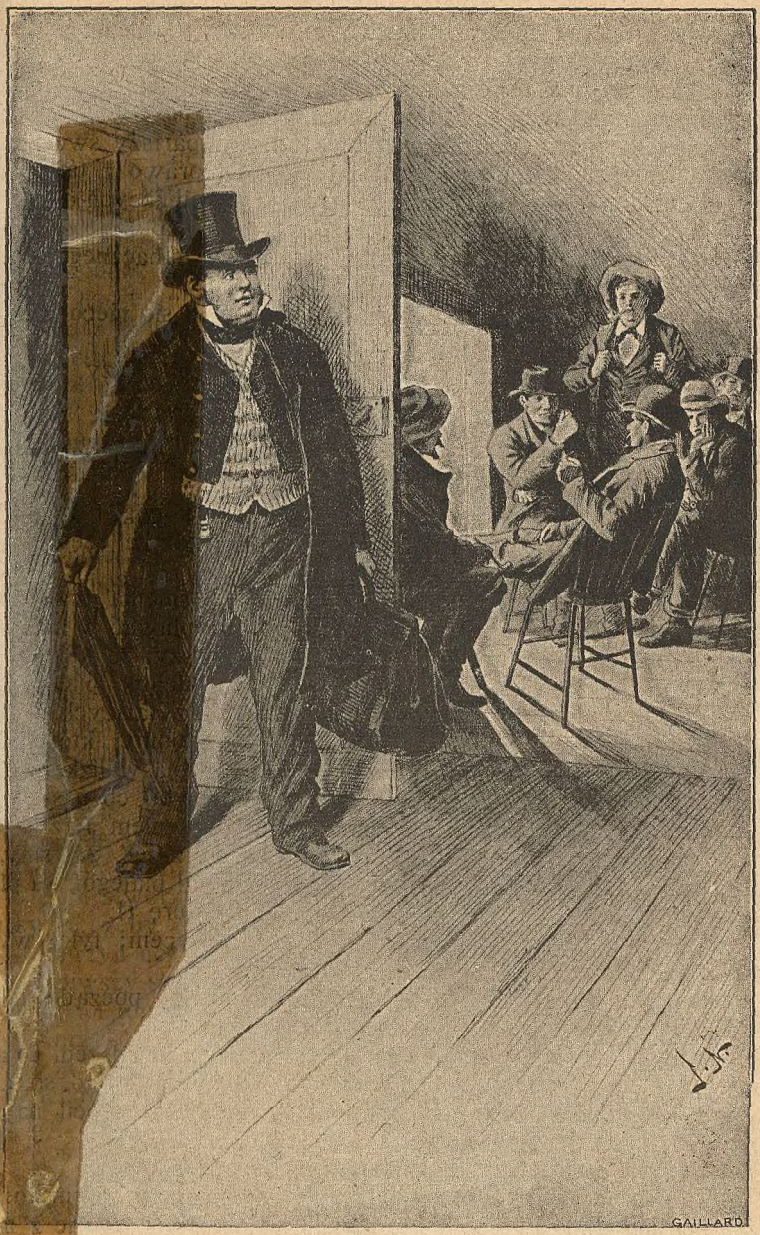

Do sali tej wszedł nasz podróżny . . .

Walizkę i parasol miał w wielkiem baczeniu i własnoręcznie wniósł je do izby, uparcie się opierając służącym, którzy go chcieli w tem wyręczyć.

Obejrzawszy się dokoła, zbliżył się do najcieplejszego kątka, położył pod krzesłem swój dobytek, usiadł, i z pewną trwogą zaczął się przyglądać siedzącemu obok mężczyźnie, który wsparłszy swe niezmierne nogi na gzymsie komina, plwał na lewo i na prawo z taką energją, iż mógł obudzić niepokój w ludziach nerwowych i miłujących ochędóstwo.

— No, jak się masz, cudzoziemcze? — zawołał tenże, zwracając się do nowo przybyłego i wypluwając potok soku tytuniowego w stronę nowego gościa.

— Wcale nie źle, — odrzekł gość, odwracając się nieco z pewnem niezadowoleniem.

— Cóż słychać nowego? — zagadnął znów pierwszy, wyciągając z kieszeni wiązkę tabaki i wielki nóż myśliwski.

— Nic nie wiem.

— Pan pozwoli? — zapytał znowu, podając gościowi prymkę [1]

— Dziękuję, nie używam.

— Pan nie żujesz? — zapytał znowu nasz laskonogi i z największą flegmą włożył w własne usta kawałek tabaki, którym częstował staruszka.

Tenże nie mógł się powstrzymać od wstrząśnienia przy każdym splunięciu sąsiada, który, zauważywszy to, począł spluwać w inną stronę.

— Co to jest? — zapytał starzec, spostrzegłszy, że kilku z obecnych gości zbliżyło się do ściany, na której przyklejono plakat.

— Zbiegł murzyn, — odezwał się jeden z czytających.

Pan Wilson — tak się nazywał nasz nieznajomy, który wszedł naostatku do lokalu, — wstał z miejsca, posunął swoją walizkę i parasol, wyjął powoli okulary, osadził je na nosie i przeczytał co następuje:

„Od niżej podpisanego uciekł młody mulat, imieniem Jerzy. Wzrostu ma 6 stóp, skóra jasna, włosy ciemne, kędzierzawe, zmyślny, wymowny, umie czytać i pisać; zapewne będzie udawał białego. Na plecach ma głębokie szramy; na prawej dłoni wypaloną literę H.

Czterysta dolarów temu, kto go dostawi żywcem; tyleż wypłacę temu, kto mi udowodni, że już nie żyje".

Pan Wilson przeczytał to ogłoszenie powoli, od początku do końca, jakby się chciał nauczyć go na pamięć.

Jegomość laskonogi powstał ze swojego miejsca, podszedł do afisza, i z największą powagą wypluł nań cały zapas tytuniowego soku.

— Masz, to dla ciebie, — rzekł lakonicznie i powrócił na swoje miejsce.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał gospodarz.

— Tak samo postąpiłbym z autorem tego pisma, gdybym go gdziekolwiek spotkał — rzekł spokojnie jegomość laskonogi, krając z nazimniejszą krwią tabakę. — Jeśli właściciel takiego człowieka nie umie po ludzku z nim się obchodzić, to słusznie, że uciekł. Takie ogłoszenia, to

[1]) Prymka jest to tabaka do żucia, używają jej wiele marynarze.

hańba dla całego stanu Kentucky. Taki jest mój sąd o tem i wypowiem go każdemu otwarcie, ktokolwiek zechce usłyszeć.

— Masz pan słuszność, — odpowiedział gospodarz, zapisując jakąś notatkę w księdze.

— Ja także mam dużo murzynów, mój panie, — mówił dalej laskonogi jegomość, — ale powtarzam im zawsze: chłopcy, uciekajcie, kiedy tylko zechcecie, nie będę was gonił! Dlatego też nikt nie ucieknie. Jak wiedzą, że mogą uciekać każdej chwili, to im myśl podobna nie przyjdzie. Oprócz tego wystawiłem każdemu z nich karty uwalniające, na wszelki wypadek mojej śmierci; wiedzą o tem, i powiadam wam, że w okolicy naszej nikomu niewolnicy tak pilnie nie pracują jak mnie. Jako handlarz końmi posłałem naprzykład do Cyncynatu za pięćset dolarów źrebiąt na sprzedaż, i cóż powiecie... moi murzyni przywieźli mi pieniądze co do grosza, na czas naznaczony. Kto się obchodzi z murzynami jak z psami, to i oni będą jak psy dla niego; ale obchódź się z nimi po ludzku, boć i oni nie zwierzęta, potrafią to zrozumieć i będą postępować także jak ludzie.

— Masz słuszność, mój przyjacielu, — wtrącił pan Wilson. — Poszukiwany tu mulat, jest to rzeczywiście dzielny człowiek, to nie ulega żadnej wątpliwości. Pracował on u mnie przez sześć lat w fabryce miechów, i był moją prawą ręką. Jest to człowiek bardzo zdolny; wymyślił naprzykład praktyczną machinę do czesania lnu; machina ta weszła w użycie w wielu fabrykach, a jego pan otrzymał na nią patent.

— O wierzę — odezwał się znowu handlarz koni — wziął patent, zbija na nim kapitał, a w zamian za to wypalił biednemu wynalazcy piętno na dłoni. Piękna mi to wdzięczność. Gdyby sposobność się po temu nadarzyła, napiętnowałbym go, że przez całe życie nie zapomniałby tego.

— Najwięcej biedy i kłopotów ma się właśnie z owymi mądrymi — odezwał się z drugiego końca izby jakiś tłusty jegomość, — to i trzeba ich piętnować; gdyby siedzieli cicho, toby nic podobnego ich nie spotkało.

— I ich stworzył Pan Bóg ludźmi, jak każdego z nas. Trzeba być barbarzyńcą, żeby ich traktować jak bydło — odrzekł handlarz koni.

— Murzyn uczony, to niedola dla właściciela, — ciągnął pierwszy dalej, uzbroiwszy się w bezczelną obojętność i wcale nie zwracając uwagi na przycinki i ton pogardliwy, w jaki się doń odzywano. — Jaką, proszę, ma korzyść właściciel ze zdolności i talentu swego murzyna? Ot, chyba że go łatwiej na każdym kroku potrafi oszukać? Miałem dwóch takich zuchów, alem prędko się z nimi załatwił, sprzedałem obydwóch chociaż ze stratą, bo i tak byliby przy pierwszej lepszej sposobności uciekli... świat długi i szeroki.

Podczas tej rozmowy zajechał przed ganek oberży zgrabny jednokonny powozik; siedział w nim elegancko ubrany mężczyzna, a na koźle woźnica — murzyn. Wszystkich obecnych oczy zwróciły się na przybyłego z tą ciekawością i zajęciem, jakie sprawia na zgromadzonych w spólnym lokalu i nudzących się niezmiernie gości powietrze słotne. Mężczyzna ów był niezwykle pięknej urody, oczy miał czarne, pełne wyrazu, cerę śniadą, jak Hiszpan, włos kruczy, kędzierzawy, spadający

w puklach na czoło, rysy regularne, arystokratyczne; nos kształtny, ruchy pewne, zgrabne. Robił wrażenie człowieka z wyższych sfer.

Wchodząc do izby, lekkiem skinieniem głowy wskazał służącemu, gdzie ma złożyć rzeczy, a skłoniwszy się grzecznie całemu towarzystwu, z kapeluszem w ręku, zbliżył się do kantorka gospodarza i wymienił swe nazwisko: Henryk Butler z Oklandu, w hrabstwie Szelby. Potem odwróciwszy się obojętnie, podszedł ku miejscu, gdzie był przybity plakat, i przeczytał go.

— Jim, — rzekł, zwracając się do służącego, — zdaje mi się, że w Bernau spotkaliśmy człowieka, do którego niniejszy rysopis dałoby się zastosować.

— Rzeczywiście, — odpowiedział Jim, — nie zauważyłem jednak, czy ma znak na ręce.

— I ja tego nie zauważyłem — rzekł podróżny, poziewując; zbliżył się znowu do gospodarza i poprosił o osobny pokój, ponieważ chciałby napisać kilka pilnych listów.

Gospodarz, uosobiona grzeczność, posłał aż siedmiu murzynów, starych i młodych, mężczyzn i kobiet, małych i wielkich, którzy porwali się z miejsca, jak stado spłoszonych kuropatw, i dalejże krzątać się, popychać, spiesząc się, aby przygotować pokój dla nowoprzybyłego gościa, który tymczasem siedział najspokojniej w pośrodku izby i rozpoczął jakąś obojętną rozmowę z najbliższym swoim sąsiadem.

Od chwili wejścia do sali nowoprzybyłego gościa, fabrykant Wilson nie spuszczał zeń wzroku, przypatrując mu się z widocznem niepokojem.

Zdawało mu się, że go gdzieś spotykał, lecz gdzie i w jakich okolicznościach, nie mógł sobie przypomnieć. Każdy uśmiech, każdy ruch, każde słowo przybyłego, wzbudzało w nim przestrach i tem pilniej mu się przypatrywał. Lecz gdy nieznajomy spojrzał na niego okiem pogodnem, spokojnem, odwracał wzrok natychmiast.

Wtem, jakby nagle jakieś wspomnienie rozświeciło pamięć jego, spojrzał na nowoprzybyłego z takim przestrachem i podziwieniem, iż tenże podszedł ku niemu, a podając rękę na powianie, rzekł:

— Pan Wilson, jeżeli się nie mylę. Przepraszam bardzo, że nie poznałem pana, ale jak widzę, pan mnie poznał od razu. Jestem Henryk Butler z Oklandu w hrabstwie Szelby.

— Tak... tak... Henryk Butler, — rzekł Wilson, jakby ze snu się budząc.

Właśnie w tej chwili wbiegł chłopak, zawiadamiając, że pokój już przygotowany.

— Jim zostań przy rzeczach! — zwrócił się młodzieniec do służącego: — Bardzoby mi było przyjemnie, jeśliby i pan raczył pofatygować się na chwilkę do mego pokoju, chciałbym z panem pomówić — odezwał się do pana Wilsona.

Pan Wilson poszedł za przybyłym machinalnie, jak człowiek chodzący we śnie, do pokoju położonego na piętrze, w którym ogień trzaskający na kominie rozlewał błogie dokoła ciepło, a służba krzątała się zawzięcie, kończąc porządkowanie.

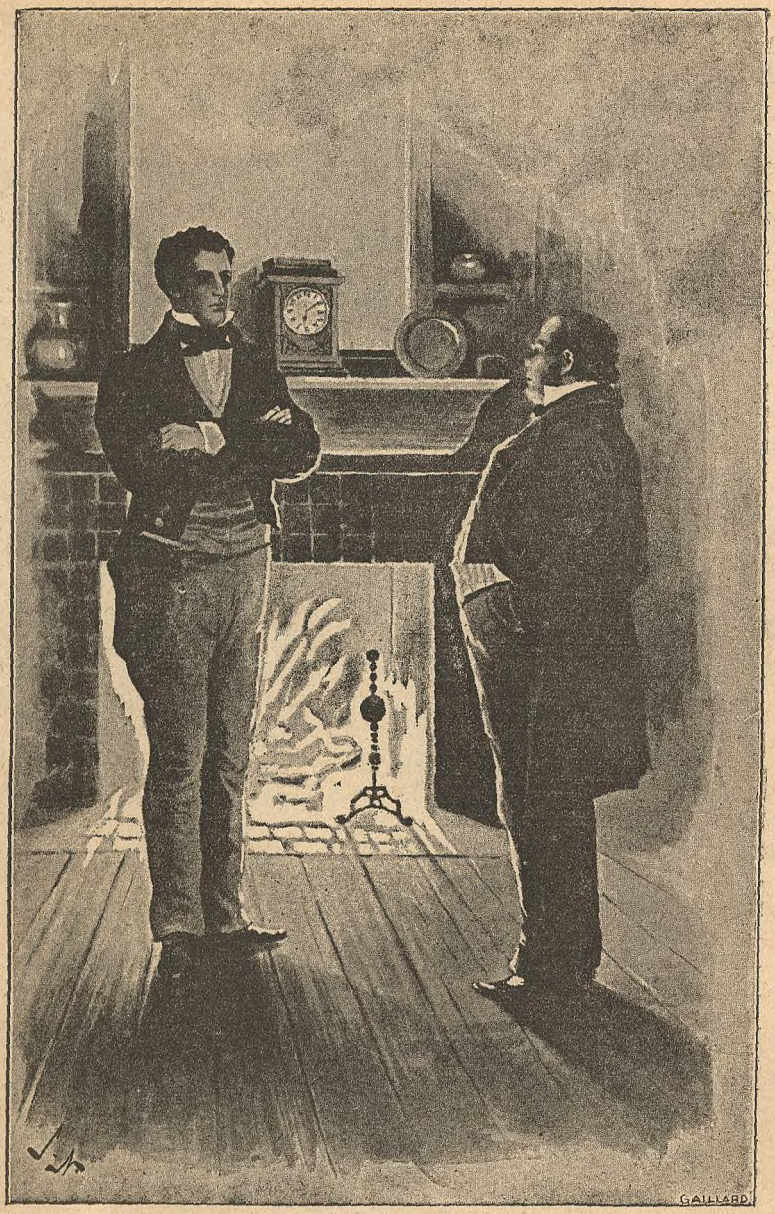

Przybyły spojrzał śmiało panu Wilsonowi w oczy . . .

Skoro służba wyszła, młody podróżny zamknął drzwi starannie na klucz, włożył klucz do kieszeni, a zwróciwszy się do pana Wilsona, skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał mu prosto w oczy.

— Jerzy! — zawołał pan Wilson.

— Tak jest, Jerzy.

— Nigdybym się tego nie był spodziewał!

— Zdaje mi się, że dobrze jestem przebrany, — dorzucił młodzieniec z uśmiechem na ustach. — Za pomocą orzechowej kory nadałem mej żółtej skórze piękny śniady odcień, a włosy ufarbowałem czarno, i jak pan widzisz, wcale nie jestem podobny do opisu na plakacie.

— O Jerzy, Jerzy!... niebezpieczna to zabawka, nigdy nie byłbym ci tego doradzał.

— Całą odpowiedzialność przyjąłem sam na siebie, — odrzekł Jerzy z pewną dumą.

Musimy tu dodać, że ojciec Jerzego należał do białego plemienia; matka zaś jego, piękna mulatka, należała do liczby tych nieszczęśliwych ofiar, których piękność jest źródłem niedoli, skazuje je bowiem na niewolnictwo ducha, czyniąc je narzędziami występnych chuci ich właścicieli, matkami dzieci, które ojca swego nigdy nie mają zaznać.

Jerzy wziął w spadku po jednej z najznakomitszych rodzin z Kentucky śliczną budowę ciała, europejskie rysy twarzy, charakter nieugięty i dumny. Po matce otrzymał tylko lekki odcień żółtawej cery i żarzące czarne oczy. Zmieniwszy, jakeśmy to widzieli, kolor włosów i skóry, zupełnie był podobny do Hiszpana, a posiadając z natury udatność ruchów i szlachetną powagę, mógł łatwo odegrać rolę młodego arystokraty, podróżującego ze służącym dla swej przyjemności po kraju.

Wilson, człowiek poczciwy, ale lękliwy i ostrożny, przechadzał się zakłopotany po pokoju, a na twarzy jego uwidoczniła się walka poczucia obowiązku i posłuszeństwa prawu a chęci pomożenia Jerzemu. Wreszcie po długim namyśle rzekł:

— A zatem, przypuśćmy, że uciekasz, opuszczasz twego prawnego pana, to mnie wprawdzie nie dziwi, ale zasmuca bardzo.

— I cóż to pana tak zasmuca? — zapytał Jerzy spokojnie.

— A to, że postępujesz przeciw prawu twojej ojczyzny.

— Mojej ojczyzny? — powtórzył Jerzy dumnie, ale z pewną żółcią. — Gdzież jest moja ojczyzna? Chyba w grobie! I byłbym wdzięczny Bogu, gdybym w nim już spoczywał.

— O nie, mój Jerzy, nie mów tak, to się sprzeciwia Pismu świętemu. Masz niegodziwego pana, to prawda; postępuje z tobą okrutnie, to także prawda, — nie myślę go bronić; ale przecież znasz Pismo św.; powiedziano jest: słudzy, bądźcie p o d d a n i panom we wszystkiej bojaźni, nietylko dobrym, ale też p r z y k r y m.

— Nie mów mi pan tego, panie Wilson, — przerwał Jerzy z iskrzącym wzrokiem, — dla Boga, nie mów mi pan tego! Żona moja chrześcijanka, ja sam zostanę chrześcijaninem, skoro osiągnę zamierzony cel. Ale chcieć powtarzać ustępy z Pisma św. człowiekowi w mojem położeniu, to chyba chcieć go na zawsze od zamiarów tych odwieść. Od-

wołuję się na Boga wszechmocnego, niechaj rozstrzygnie, czy źle czynię, że pragnę wolności.

— Wszystko to prawda, ja to rozumiem i współczuję twój los; ale posłuszeństwo dla prawa nakazuje mi nie utwierdzać cię w twych zamiarach. Tak, mój przyjacielu, żal mi cię bardzo. Wszyscy jednakże powinniśmy się z losem swym zgadzać. Wszakże prawda?

Jerzy stał nieruchomie, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, z głową dumnie wzniesioną w górę, z uśmiechem bolesnym na twarzy.

— Panie Wilson, wyobraź pan sobie, że Indjanie napadli tę okolicę, porwali pana od żony i dzieci, powlekli do niewoli, przez całe życie dręczyli pracą nad siły, — czybyś podobnie, jak teraz, dowodził o konieczności zgodzenia się ze swym losem? Zdaje mi się, że pierwszego konia, coby się panu nawinął, uważałbyś na pomoc zesłaną z nieba. Czyż nie tak?

Pan Wilson, zagadnięty w ten sposób, zamilkł i z podziwem spoglądał na Jerzego; posiadał bowiem, bez względu na niewielką umysłową potęgę, zdolność tak rzadką u mówców współczesnych, zdolność milczenia, gdy niema argumentu na odpowiedź.

I dlatego może, zwinąwszy starannie swój parasol i gładząc nierówne jego fałdy, z daleko mniejszym zapałem zaczął znowu mówić.

— Wiesz przecież, że zawsze byłem twoim przyjacielem, i jeżeli mówię, to ze względu na twoje dobro. Mnie się zdaje, że za wiele ryzykujesz. Trudno przypuścić, żeby ci się udało uciec; a jak cię złapią, to cię jeszcze gorsza czeka niedola: zamęczą na śmierć, albo sprzedadzą na Południe.

— Panie Wilson, jam to wszystko rozważył, — odrzekł Jerzy, — wiem o tem, że bardzo wiele ryzykuję, lecz... tu odpiął surdut i pokazał dwa pistolety i puginał, — jam na wszystko przygotowany. Na Południe nie pójdę, przenigdy! Gdy podobne niebezpieczeństwo zagrażać mi będzie, wtenczas postaram się o sześć stóp wolnej ziemi, którą w Kentucky będę mógł nazwać moją. W niej spocznę spokojny na wieki.

— Położenie twoje jest okropne, rzeczywiście rozpaczliwe; czy chcesz gwałcić prawa twej ojczyzny?

— Panie Wilson, pan masz ojczyznę, ale gdzież ja ją mam? Gdzież mają ojczyznę wszyscy ci, którzy, tak jak ja, rodzili się w niewoli? Jakie prawo nas broni? Nie my pisaliśmy te prawa, nikt o naszą zgodę nie pytał! I cóż może mieć wspólnego prawo tego kraju z nami?

Umysł pana Wilsona miał niejakie podobieństwo do paczki bawełny, miękkiej, lekkiej, ale łatwo zapalnej; żałował Jerzego rzeczywiście z całego serca a nawet rozumiał uczucia, co szamotały jego piersią, ale czuł się obowiązanym upominać go z niezwykłym uporem.

— Jerzy, to niedobrze. Jako szczery przyjaciel, powiadam ci: odpędź od siebie myśli podobne, one ci zaszkodzą, bardzo zaszkodzą. Młodzi ludzie twojego stanu, nie powinni przypuszczać do głowy coś podobnego. — Mówiąc to, usiadł za stołem i zaczął nerwowo bawić się rączką swego parasola.

— Posłuchaj mnie, panie Wilson, — odezwał się Jerzy stanowczo, siadając naprzeciw niego. — Chciej pan tylko przypatrzyć mi się ot tak,

jak mię widzisz przed sobą, i powiedz otwarcie, czyż ja nie taki sam człowiek, jak wy wszyscy? Patrz na moje ręce, na twarz moją i na całą mą postać! — Czyż nie mam prawa być człowiekiem?... Panie Wilson, posłuchaj mię pan. Ojciec mój, arystokrata z Kentucky, tak się mało mną zajmował, iż nawet nie zapobiegł, ażeby mnie po jego śmierci nie sprzedano wraz z psami i końmi na opłacenia pozostałych po nim długów. Patrzałem na to, jak urzędnik sądowy sprzedał moją matkę wraz z siedmiorgiem dzieci, z których każde dostało się w posiadanie innego właściciela. Ja byłem najmłodszy; biedna moja matka na klęczkach błagała mojego nabywcy, żeby ją kupił razem ze mną, lecz ten ją kopnął nogą; i wtenczas to po raz ostatni w życiu słyszałem jęk mojej biednej matki. Później nowy mój właściciel przywiązał mnie do siodła i przywiózł do swojego majątku.

— Cóż dalej?

— Mój pan dobił targu z innym handlarzem i odkupił od niego moją starszą siostrę, pobożną, dobrą dziewczynę; należała do sekty Baptystów [1]), lecz na nieszczęście, równie była piękną jak moja matka, a oprócz tego otrzymała dobre wychowanie.

Z początku cieszyłem się tem, że ją kupiono, miałem koło siebie chociaż jednę istotę bliską serca. Lecz niedługo było tej pociechy. Panie, stałem pod drzwiami, na własne uszy słyszałem, jak ją ćwiczono; każde uderzenie krwawiło mi serce, a nie mogłem jej pomóc. Możebyś chciał wiedzieć za co ją katowano? Oto za to, że chciała pozostać uczciwą dziewczyną, a wedle waszych zasad, niewolnica nie ma prawa do uczciwości. Później zakuli ją w łańcuchy i wraz z innymi niewolnikami wysłali do Orleanu na sprzedaż... już jej więcej nie ujrzałem.

I minęło już temu wiele lat; wyrosłem, nie znając ani ojca, ani matki, nie mając dokoła ani jednej istoty, którąby się mną interesowała, bo mnie tylko bili, łajali, morzyli głodem. Panie, bywałem często tak głodny, że razem z psami ogryzałem kości wyrzucone na śmietnik; a jednak, wyznawam ci szczerze, że kiedy mi jako dzieciakowi, przyszło całe noce przepłakać, jam nie płakał z głodu ani z bólu, o, bo jest inny ból, daleko okropniejszy — jest to uczucie, że się nie ma na całym świecie nikogo, nikogo! Dopókim nie zaczął pracować w twojej fabryce, dopótym nie zaznał pokoju i pociechy, dopóty nikt do mnie nie przemówił łaskawie. Pan mnie naprowadziłeś na drogę prawdy, zachęciłeś do nauki, pogodziłeś z życiem, i Bóg mi świadkiem, że ci tego nigdy nie zapomnę. Niedługo potem ożeniłem się. Pan ją widziałeś i wiesz, jak jest piękną! To też, gdym się przekonał, że mnie kocha, że zgadza się wyjść za mnie, nie chciałem wierzyć swojemu szczęściu, zdawało mi się ono sennem urojeniem.

Dusza mojej żony równie była piękna, jak jej twarz; o, byłem bardzo szczęśliwy! Lecz cóż się stało, powiedz pan sam! Oto pan mój

[1]) Baptyści, są to chrześcijanie nazywający się „Kościołem Chrystusowym", uznają chrzest tylko za ważny, gdy udzielony jest człowiekowi dojrzałemu, po stosownem go do tego przygotowaniu i to według zwyczaju praktykowanym w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, tj.: przez zanurzenie w rzece. Tych, których już w wieku dziecięcym ochrzcono, chrzcą jeszcze raz i nazywają ich Anabaptystami czyli nowochrzconymi.

ni stąd ni zowąd odbiera mnie z fabryki, gdzie mogłem być pożytecznym i z błotem mnie mięsza, i to wszystko za to, wedle słów jego, żem zapomniał, czem jestem, chciał mi więc przypomnieć, żem ja tylko murzyn, a wedle waszych praw, ma on słuszność. Panie Wilson, zważ pan tylko, że wszystkie na matce mojej, siostrze i żonie i mnie samym popełnione gałgaństwa są słuszne według waszego prawa, i nikt się nawet nad naszą niedolą nie użali, bo tak każe prawo. To są prawa, jak je pan nazywasz, mojej ojczyzny! Panie, ja nie mam ojczyzny, bo i ojca nie mam. Teraz będę miał ojczyznę, a od waszej niczego nie wymagam, byle tylko zapomniała o mnie i pozwoliła mi stąd się oddalić. Skoro dojdę do Kanady, kędy prawo uznaje mnie człowiekiem i bierze mnie w obronę, wtenczas przed tem prawem czoła uchylę. A biada temu, ktoby chciał mnie zatrzymać: w rozpaczy niema rozwagi; do ostatniego tchnienia będę bronił swej niezależności. Wasi ojcowie tak samo postępowali. Pan mi to mówiłeś, pamiętasz? Przyznawałem ci słuszność, a mnie chcesz powstrzymać?

Jerzy zerwał się z krzesła i chodził po pokoju; w całem jego zachowaniu się było widać rozpacz; oczy jego błyskały gniewem, a głos nabrzmiewał łzami. Pan Wilson, nie mogąc opanować wzruszenia, wyjął żółtą, fularową chustkę i niby przecierał nią twarz.

— A niech ich tam licho porwie! — odezwał się nareszcie. A czy nie mówiłem zawsze... przeklęte łajdaki: Niech mi Pan Bóg przebaczy grzech ten... zakląłem w oburzeniu, ruszaj więc, tylko ostrożnie, mój kochany; nie strzelaj do nikogo, Jerzy, chyba że... tego... ale zawsze lepiej nie strzelać, albo przynajmniej, jak to wiesz, żeby nie zabijać... A gdzie twoja żona? — dodał, wstając niespokojny z krzesła.

— Uciekła, uciekła z dzieckiem na ręku, i Bóg raczy wiedzieć, czy się kiedy spotkamy i gdzie!

— Czy to być może? To dziwna! Uciekła z tak zacnego domu?

— Najzacniejsze rodziny robią długi, a prawa waszego kraju pozwalają oderwać niemowlę od piersi matczynej i sprzedać je za długi pana, — dorzucił Jerzy z goryczą.

— Hm, hm... — przerwał poczciwy staruszek, szukając czegoś po kieszeniach. — Być może, że postępuję bez zastanowienia... ale do wszystkich lichów! nie chcę się zastanawiać: weź to Jerzy!

Pan Wilson podał mu paczkę banknotów. — Oto masz, bierz!

— Nie, nie, mój dobry, kochany panie Wilson! — przerwał Jerzy — pan dla mnie już tyle zrobiłeś, że lękam się, ażebyś sam siebie nie skrzywdził. Mam nadzieję, że pieniędzmi, w które jestem zaopatrzony, starczę.

— Musisz przyjąć, pieniądze zawsze się przydadzą, proszę cię; nigdy niema ich za nadto, skoro tylko poczciwie zapracowane: weź je, mój drogi.

— Z warunkiem, że je panu zwrócę kiedykolwiek, później, w takim razie wezmę; — odpowiedział Jerzy.

— Jak długo myślisz tak podróżować? Spodziewam się, że niedługo i nie zbyt daleko. Plan dobrze obmyślany, ale za nadto zuchwały. Kto jest twój towarzysz?

— To wierny druh. Rok temu uciekł on do Kanady, ale dowiedziawszy się, że rozwścieklony pan jego pastwił się za to nad jego matką, powrócił, by ją pocieszyć i stąd uprowadzić.

— No i cóż, udało mu się?

— Jeszcze nie; dotychczas błąkał się koło folwarku, ale nie było po temu sposobności. Tymczasem przeprowadza mnie do Ohio, do tych zacnych ludzi, co i jemu dopomogli, a sam wróci po matkę.

— Niebezpiecznie to, bardzo niebezpiecznie.

Jerzy wyprostował się i uśmiechnął pogardliwie. Pan Wilson przyglądał mu się z dobrodusznym podziwem.

— Wiesz Jerzy, zmieniłeś się nie do poznania, inaczej mówisz, inaczej patrzysz, inaczej chodzisz! Zupełnie z ciebie inny człowiek...

— Bom dziś wolny! — odrzekł Jerzy z dumą. — O tak! teraz już nikogo nie nazwię swoim panem.

— Bądź ostrożny, mogą cię złapać.

— W mogile jesteśmy sobie wszyscy równi, panie Wilson, tam niema różnicy stanów.

— Twoja odwaga rzeczywiście zadziwia mię; jakże mogłeś zajechać właśnie tu, do najbliższej tawerny?

— Panie Wilson, ta tawerna tak jest bliską, a mój postępek tak zuchwałym, że nikt nawet nie pomyśli o tem, abym miał się znajdować właśnie tutaj; będą mnie szukali hen daleko! Przecież pan sam mnie nie poznałeś, właściciel mego Jima nie z tego hrabstwa, a zresztą o nim już zapomniano, nikt go nie szuka; a co do mnie, to jak mi się zdaje, nie łatwo mnie poznać.

— A piętno na ręce?

Jerzy zdjął rękawiczkę i pokazał zaledwie zagojoną na dłoni ranę.

— Oto — rzekł z żółcią, — ostatnia pamiątka względności mojego pana. Parę tygodni temu przyszło mu na myśl, że mogę mu uciec, dlatego mnie naznaczył. Dowcipny pomysł, nieprawdaż?

— Przyznam się, że krew mi stygnie, gdy pomyślę, jak można się tak narażać!

— Mnie krew stygła, panie Wilson, przez długie lata niewoli, ale za to teraz wre jak lawa, — przerwał Jerzy. — Spostrzegłem, żeś mię pan poznał, — dorzucił po chwilowem milczeniu — i mógłbyś pan, dając wyraz zdziwieniu, zdradzić mnie niechcący; dlatego postanowiłem z panem się rozmówić. Jutro przed świtem wyjeżdżam stąd, a wieczorem mam nadzieję spokojnie zasnąć w Ohio. Będę podróżował we dnie, zatrzymując się w najlepszych oberżach, obiadując razem z tutejszymi właścicielami, i uwolnię się od wszelkich podejrzeń. Teraz żegnam pana. Gdy usłyszysz, że mnie pojmano, to pomódl się za mą duszę, bo już mnie nie będzie na świecie.

Jerzy powstał i z majestatyczną godnością wyciągnął rękę; przyjazny staruszek uścisnął ją z prawdziwem uczuciem i dorzuciwszy jeszcze kilka uwag i ostrzeżeń, wziął parasol i wyszedł spokojnie.

Jerzy został sam i przez niejaki czas wpatrywał się w drzwi, które się za wychodzącym zamknęły. Widocznie jakaś myśl przebiegła mu przez głowę, bo szybko podszedł do drzwi i zawołał:

— Panie Wilson, jeszcze słówko!

Staruszek wrócił natychmiast, Jerzy zamknął znowu drzwi; przez kilka chwil stał w zamyśleniu, patrząc w ziemię, jakby się wahał; wreszcie podnosząc głowę rzekł: — panie Wilson, zawsze postępowałeś pan wobec mnie jako dobry chrześcijanin; pozwól, że poproszę cię o spełnienie chrześcijańskiej przysługi.

— I to jakiej?

— Prawdęś pan mówił, że nadto ryzykuję. Kiedy zginę, nikt mnie nie pożałuje, nikt nie zapłacze po mnie, — dodał, ciężko oddychając i domawiając słów tych z widocznem wysileniem. — Wrzucą mnie do jamy, zasypią piaskiem jak psa, a na drugi dzień wszyscy o mnie zapomną... oprócz mojej biednej żony! Nieszczęśliwa, cóż ona pocznie? Oczy sobie wypłacze! Gdybyś pan mógł oddać jej tę szpilkę; darowała mi ją na Boże Narodzenie, biedne dziecię! Oddaj pan jej tę szpilkę i powiedz, że ją kochałem do ostatniej chwili. Pan mi tego nie odmówisz, o uczyń to!

— Ma się rozumieć, mój biedny przyjacielu! — odrzekł pan Wilson do głębi wzruszony.

— Powiedz pan jej jeszcze, — dodał Jerzy — że w tej ostatniej chwili błagam ją, żeby uciekała do Kanady. Chociaż jej pani dobra, zacna kobieta, niech do niej nie wraca, bo niewola nigdy dobrze się nie kończy. Powiedz jej, ażeby nasze dziecię wychowała jako wolnego człowieka; wtenczas nie będzie potrzebował znosić tego, co ja przecierpieć musiałem. Powiesz jej pan to wszystko, panie Wilson?

— Tak, powiem; ale mam nadzieję, że nie zginiesz; krzep w sobie ducha, tyś dzielny chłopak; pokładaj w Bogu nadzieję. Życzę ci z całego serca, ażeby ci się udało stąd uciec... wprawdzie... ale nie, rzeczywiście, z całego serca ci życzę.

— Łatwo to powiedzieć: m i e j n a d z i e j ę, — odezwał się Jerzy z taką rozpaczą, iż pan Wilson zamilkł. — Przez całe me życie byłem świadkiem rzeczy, które wzbudziły w duszy mojej zwątpienie o Bogu i sprawiedliwości. Wy, chrześcijanie, nie wiecie, jaki to wywiera wpływ na nas. Dla was jest Bóg, ale czyż jest też i dla nas?

— O nie mów tak, nie mów, mój synu! — zawołał starzec, wybuchając głośnym płaczem. — Jest Bóg! chociaż Go nie widzimy, ale jest Bóg, sędzia sprawiedliwy, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Jest Bóg! wierz w Niego mój synu, a On cię wesprze i wyprowadzi z niedoli, bo On Bogiem i Ojcem twoim.

Gorąca wiara, z jaką przemówił starzec, nadała skromnej jego postaci niezwykłej powagi i zacności. Jerzy przestał chodzić po pokoju, zatrzymał się przed nim i rzekł głosem spokojnym:

— Dziękuję panu, zacny przyjacielu, za te słowa pociechy, które wzbudziły w duszy mojej wiarę i ufność w Boga: nie zapomnę ich nigdy!

———o———

ROZDZIAŁ XII.

Wypadki, jakie się zdarzają w prawnie dozwolonym handlu.

Haley i Tomasz jechali dalej na wózku; obydwoje pogrążeni byli w głębokiej zadumie, ale jakże się różniły ich myśli?

Haley obliczał w myśli długość, szerokość i wszystkie rozmiary Tomasza i rozważał, co można wziąść za niego, skoro go wystawi na targu w takim stanie, w jakim się znajduje. Myślał o tem, jakby dobrać inny towar. Marzył o rozmaitej wartości mężczyzn, niewiast i dzieci, któreby mógł nabyć a później sprzedać; myślał wreszcie o wielu innych rzeczach, mających z sprawą niejaką styczność. Później rozmyślał o samym sobie, o swojej ludzkości w porównaniu z innymi handlarzami, co krępują swoich murzynów łańcuchami, wtenczas, kiedy on, Haley, tylko na nogi włożył Tomaszowi łańcuszki, zostawiając mu ręce wolne, i wzdychał głęboko na myśl o niewdzięczności ludzkiej, a może nawet Tomasz nie jest zdolny ocenić jego łaskawości... Zastanawiał się nad swoją dobrocią, której nawet niewdzięczność murzynów, tak często go oszukujących, nie zdołała zachwiać.

Zupełnie innemi myślami był zajęty Tomasz. Przypomniały mu się słowa, które niedawno temu czytał, że nie tu nasz raj, ale tam — w chwale u Pana i Boga naszego. Czytał te słowa w książce starej, jakie to zwykle czytają prostaczkowie, ludzie nieuczeni, a znajdują w nich nieraz skarby wiedzy, które się w ich sercach przyjmują i w chwilach przeciwności dają im odwagę do mężnego w niedoli wytrwania.

Pan Haley wyjął z kieszeni kilka arkuszy rozmaitych gazet i z największą uwagą zaczął przeglądać ogłoszenia. A że nie nazbyt był w czytaniu biegły, czytał zwykle głośno, jakby dlatego, by uszy dały świadectwo, że oczy widziały dobrze.

W taki sposób przeczytał powoli, co następuje:

„Sądowa sprzedaż murzynów! Stosownie do wyroku sądu odbędzie się we wtorek dnia 29 lutego sądowa licytacja murzynów, pozostałych po zmarłym Jessem Bloczforcie, na rzecz spadkobierców i wierzycieli.

Licytacja odbędzie się przed drzwiami sądowemi w Waszyngtonie.

Na sprzedaż wystawieni są: Agara — 60 lat; Jan — 30 lat; Ben — 22 lata; Saul — 25; Wojciech — 14 lat.

Samuel Morys. } Exekutorowie testamentu".
Tomasz Flint. }

— Trzeba będzie sobie zobaczyć, — rzekł Haley, zwracając się do Tomasza, w braku innego towarzysza do rozmowy. — Otóż widzisz, Tomaszu, muszę dobrać dla ciebie porządną kompanię; w gromadzie jakoś będzie ci weselej. Najprzód udamy się do Waszyngtonu, gdzie, zanim załatwię rozmaite interesy, zamknę cię w więzieniu.

Tomasz przyjął wiadomość tę spokojnie, chociaż, jako człowieka uczciwego, niezmiernie go to bolało.

Na uczciwość swą był zawsze dumnym, tem więcej, że mało miał powodu poszczycić się czem innem. Gdyby był należał do wyższej klasy społeczeństwa, możeby na uczciwość swą nie kładł tyle wagi; ale obecnie była to jego jedyna duma, jedyny skarb. Począł w duszy rozważać, czy ci wszyscy wystawieni na sprzedaż niewolnicy mają także żony i dzieci? Czy im również tak ciężko było rozstać się z niemi, jak jemu?

Tak przeszedł dzień cały naszym podróżnym na wózku, a ku wieczorowi już się rozgościli wygodnie w Waszyngtonie. Haley w oberży, a Tomasz — w więzieniu.

Drżącemi rękoma przycisnęła do siebie chłopca . . .

Na drugi dzień około godziny jedenastej zebrał się u drzwi sądowych tłum ludzi, oczekujący licytacji. Jedni palili cygara, fajeczki, inni żuli tabakę, klęli, rozprawiali, każdy według własnego temperamentu i usposobienia.

Mężczyźni i kobiety, wystawieni na sprzedaż, siedzieli w gromadzie i cicho rozmawiali ze sobą. Kobieta, zapisana w ogłoszeniu pod imieniem Agary, była nieodrodnem dzieckiem Afryki; chociaż miała zaledwie sześćdziesiąt lat, wyglądała jak zgrzybiała staruszka. Ciężka praca, reumatyzm, pochyliły ją przedwcześnie ku ziemi; na domiar nieszczęścia utraciła wzrok prawie zupełnie.

Obok niej stał najmłodszy jej syn, Wojtuś, jedyne dziecię, które biednej staruszce zostało, — chłopczyk 14 lat, ostatni przedstawiciel

niegdyś licznej rodziny, której wszystkich członków sprzedano z kolei na Południe.

Drżącemi rękoma przycisnęła do siebie chłopca i z niewysłowioną trwogą wpatrywała się w twarz każdego kupca, co przychodził jej dziecię oglądać.

— Nie lękaj się, matko Agaro, — odezwał się najstarszy z murzynów, — mówiłem o tobie z twoim panem, powiedział mi, że będzie można sprzedać was razem.

— Dlaczego powiadają, że się na nic nie przydam? Przecież umiem gotować, prać, szorować. Dla czegóżby nie mieli mnie kupić, toć nie drogo zapłacą... Powiedzcie im to, a czy powiecie?... — dodała staruszka nalegająco.

Właśnie w tej chwili przedarł się Haley przez tłum i podszedł ku grupie murzynów, oglądając każdego; próbował siły muszkułów, zaglądał w zęby, rozkazywał wstawać, zginać się i znowu prostować. Z kolei przyszedł do Wojtusia, obejrzał mu ręce a dla wypróbowania jego zwinności, kazał mu skakać.

— Jego beze mnie nie sprzedadzą! — zawołała staruszka z gorączkowym pospiechem — nas sprzedadzą razem! Patrz pan, jeszczem zupełnie zdrowa, mogę pracować i wiele pracować!

— Może na plantacji? — zapytał Haley, spoglądając na nią z pogardą. — Piękny interes!...

Zadowolony z przeglądu, nacisnął kapelusz na bakier i stanął na uboczu z cygarem w ustach, rękoma w kieszeniach, gotów do czynów...

— Co pan o nich sądzisz? — zapytał go jakiś człowiek, który podczas całego przeglądu pana Haley'a postępował w ślad za nim, pragnąc widocznie z jego uwag korzystać.

— Będę licytował na mężczyznę i tego chłopca.

— Chłopca chcą sprzedać razem z kobietą.

— Piękna mi historja! skóra a kości, łyżki strawy nie warta.

— Panbyś jej nie kupił?

— A czy ja głupi? Toć prawie ślepa, skulona cała, na djabła się zda!

— Są ludzie, co umyślnie kupują takie baby i dowodzą, że one dłużej od innych się trzymają.

— Nie, to nie dla mnie interes, — odrzekł Haley; — jabym jej za darmo nie wziął; mam ja nieco doświadczenia w tym względzie.

— A szkodaby doprawdy rozdzielać ją z synem, bardzo do niego przywiązana, z pewnością tanio ją sprzedadzą.

— Któżby tam nadaremno chciał wyrzucać pieniądze? A zresztą jak czyja wola, niech sobie ją kupi. Chłopca zabiorę na plantację, a baby nie wezmę, choćby mi ją darmo dać chciano.

— Oszaleje chyba — dorzucił nieznajomy.

— Jak się jej tam podoba, — odpowiedział handlarz obojętnie.

Niezwykły szum w gromadzie, otaczających widzów, przerwał rozmowę. Przez tłum przedzierał się, pracując łokciami, drobny człowieczek. Stara murzynka zatrzymując oddech, instynktownie pochwyciła syna.

— Wojtusiu, przytul się do swej matki, przytul się silniej! nas ku-

pią razem... — odezwała się, przyciskając z trwogą do swych piersi chłopczyka.

— A jak nie razem, matusiu? — zapytał chłopczyk.

— Kupią, moje dzieciątko, kupią, bo jabym tego nie przeżyła; jak nas rozdzielą, nie przeżyję tego, — dodała staruszka z rozpaczą.

Donośny głos woźnego, proszącego o zrobienie miejsca, zwiastował o zaczęciu się licytacji. Wszyscy ustąpili, i wyprzedaż się rozpoczęła. Niedługo prawie wszyscy murzyni byli sprzedani, a ceny świadczyły, że zapotrzebowanie jest wielkie. Dwóch kupił Haley.

— Na ciebie kolej, zuchu, — odezwał się woźny, dotykając chłopca młotkiem; — no, dalej na nogi, hop!

— Sprzedajcie nas razem, miejcie litość! — jękła murzynka, trzymając w objęciach syna.

— Precz! — krzyknął woźny, odpychając biedną matkę. — Przyjdzie i na cię kolej. No, dalej, kruczku, hop! — Mówiąc to, wepchnął dzieciaka na podwyższenie, a jednocześnie wyrwał się jęk rozpaczy z piersi matki. Chłopak zatrzymał się na chwilę, chciał się obejrzeć, ale nie było czasu; musiał otrzeć łzy, co się gradem sypały z jego dużych, czarnych oczu, i zaczął podskakiwać.

Jego piękna budowa, ładna twarzyczka i zwinność ruchów, wkrótce stały się powodem współubiegania; pięć czy sześć głosów jednocześnie podnosiło cenę.

Z przestrachem spoglądał na wszystkie strony, przysłuchując się głosom handlarzy, odzywających się to z jednej, to z drugiej strony, aż się dało słyszeć uderzenie młotka.

Chłopak dostał się panu Haley. Właśnie, gdy go miano zepchnąć z podwyższenia i oddać w ręce nowego pana, chłopak zatrzymał się chwilkę i obejrzał na matkę. Biedna staruszka, cała drżąca, wyciągnęła ku niemu ramiona.

— Na miłość Boga, kupcie i mnie, kupcie, bo umrę!

— Zdechniesz, gdy cię kupię... chciałaś powiedzieć. Nie, nie kupię cię — rzekł gniewnie Haley i odwrócił się.

Nikt prawie nie targował staruszki. Handlarz, co rozmawiał poprzednio z Haleyem, człowiek, jak widać, nie pozbawiony uczuć ludzkości, kupił ją za bezcen. Widzowie zaczęli się rozchodzic.

Nieszczęśliwe ofiary handlu, które wiele lat żyły pod jednym dachem, otoczyły nieszczęśliwą matkę; serce krajało się, patrząc na jej rozpacz.

— Choćby jednego byli mi zostawili! A pan mówił, że mi go zostawi, on mi to obiecał! — wołała biedna głosem pełnym boleści.

— Miej w Bogu nadzieję, matko Agaro, — pocieszał ją najstarszy z murzynów.

— Cóż to pomoże? — odrzekła, zanosząc się od płaczu.

— Matusiu! matusiu! nie mówcie tego, nie mówcie! — odezwał się chłopczyk. — Powiadają, że twój pan to dobry człowiek.

— To dla mnie nie ma znaczenia, drogie dziecię moje, ostatnia moja pociecho! Boże! co się ze mną stanie?

— Hej! odciągnijcie ją stamtąd! — zawołał Haley sucho; — nic jej nie pomoże, choćby najbardziej wyła.

Starsi murzyni prawie gwałtem wyrwali Wojtusia z ostatniego uścisku nieszczęśliwej matki, a odprowadzając do wózka Haleya, starali się go pocieszyć, lecz napróżno.

— W drogę! — zawołał Haley, spędzając do kupy swój towar, a zbliżywszy się do wózka, wyjął zeń kajdany, założył je murzynom i związał wszystkich jednym łańcuchem i popędził do więzienia.

W kilka dni potem zajął Haley wraz ze swoim towarem miejsce na jednym ze statków, kursujących po rzece Ohio.

Kompania jego nie była jeszcze skompletowana; liczył na to, że w drodze będzie mógł ją uzupełnić niewolnikami, których albo sam, albo też jego agenci przygotowali na różnych punktach wybrzeża.

„Belle Reviere", jeden z najwygodniejszych i najpiękniejszych parowców, odbywających żeglugę po Ohio, sunął wesoło z biegiem rzeki; nad nim pogodne niebios sklepienie, chorągiew z trzema gwiazdami rzeczypospolitej Amerykańskiej powiewała na maszcie, na pokładzie przechadzały się pięknie postrojone damy w towarzystwie panów, używając świeżego powietrza.

Życie wrzało dokoła, wszyscy cieszyli się i bawili, wszyscy — oprócz niewolników Haleya, ulokowanych wraz z innymi pakunkami na dolnym pokładzie statku. Widocznie nie dla nich słońce świeciło, nie dla nich radość i wesele, bo stanąwszy w gromadce, rozmawiali z sobą po cichu, nie zwracając wcale uwagi na to, co się dokoła nich działo.

— Chłopcy! — zawołał Haley, zbliżając się z nienacka ku nim, — spodziewam się, żeście zadowoleni i weseli. U mnie nie wolno się ślimaczyć i zwieszać nosa! Trzymajcie się ostro, ja was nie skrzywdzę.

Biedacy, do których Haley się zwrócił, odpowiedzieli zwykłem: „Na rozkazy pańskie", co od tylu wieków tak często słyszy się z ust murzyna; ale nie widać było po nich wielkiej radości.

Każdy z nich odczuwał niezmierny ból w duszy; ten pożegnał na zawsze żonę, dzieci, tamten matkę, siostry, braci, — już nie mieli ich więcej zobaczyć. Choć więc pan ich kazał im być wesołymi, nie mogli się na wesołość zdobyć.

— Mam żonę, — odezwał się murzyn, oznaczony na rejestrze imieniem „Jan — 30 lat", i położył swe ręce, skute w kajdany na kolanach Tomasza — biedna, nie wie jeszcze o niczem!

— A gdzież ona? — zapytał Tomasz.

— Nieco dalej w oberży. — Cóżbym dał za to, gdybym mógł jeszcze raz przed śmiercią ją zobaczyć!

Biedny Jan, łzy spłynęły mu po licach, tak samo jak u białych. Tomasz starał się go pocieszyć, sam tęskniąc za domem, żoną i dziećmi.

A nad nimi, w kajutach, siedzieli ojcowie i matki, mężowie i żony, dokoła nich biegała i swawoliła dziatwa na wzór skrzydlatych motylków. I wszyscy byli szczęśliwi; tak tam było dobrze i wesoło.

— Ach mamo! — zawołał mały chłopaczek, który przed chwilą

zwiedził dolną część okrętu. — Na okręcie z nami jest handlarz murzynów; widziałam tam na dole pięciu niewolników w kajdanach.

— Nieszczęśliwi! — odrzekła matka z współczuciem.

— Cóż takiego? — zapytała druga.

— Tam na dole jęczą niewolnicy.

— Okuci w kajdany, — dorzucił chłopczyk.

— Hańba to, że w naszej ojczyźnie dzieje się coś podobnego!

— Na tę sprawę można się rozmaicie zapatrywać, — wtrąciła jakaś wykwintnie wystrojona dama, siedząca u drzwi kajuty z robótką w ręku. — Mieszkałam w Południowych Stanach i przyznam się, że, wedle mego zdania, murzynom daleko lepiej w niewoli, jak gdyby byli wolnymi.

— Zgadzam się, że pod pewnymi względami może im i lepiej, — odpowiedziała dama, co wywołała tę uwagę, — nikt jednakże nie może chyba zaprzeczyć, że najokropniejszą spuścizną niewoli jest potarganie uczuć najświętszych i najszlachetniejszych, rozrywanie rodzin, związanych uczuciem miłości.

— Zapewne, to bardzo źle, — odrzekła pierwsza, rozkładając dopiero co ukończoną sukienkę dziecinną i przypatrując się z uwagą obszyciu; — ale to pewnie rzadko się zdarza.

— Przeciwnie, bardzo często, mieszkałam długo w stanie Kentucky i w Wirginji, i widziałam bardzo wiele przykładów, rozdzierających serce. Wyobraź pani sobie, że ktoś zabiera pani dwoje pańskich dziatek i sprzedaje, cobyś pani zrobiła?

— Nie możemy przecież podług siebie sądzić o uczuciach tej klasy ludzi.

— Mówisz to pani dlatego, że nie znasz tych nieszczęśliwych. — Ale ja, zrodziłam się i wyrosłam wśród nich, i wiem, że oni czują równie silnie, jak ja i pani, a może i głębiej jeszcze.

— Czy być może? Sądzę jednakże, że im lepiej w niewolnictwie. To rzekłszy, wyjrzała owa dama, ziewając z nudów, oknem kajuty.

— Nie ulega wątpliwości, iż Opatrzność przeznaczyła plemię afrykańskie do niewolnictwa, do życia poziomego, — odezwał się jakiś jegomość dość otyły, czarno ubrany.

— Czy tak, cudzoziemcze? — przerwał jakiś wysoki pan, stojący obok.

— Bez wątpienia. Bóg, niezbadany w swych zamiarach skazał od wieków to plemię na niewolnictwo; nie powinniśmy sprzeciwiać się Jego wyrokom.

— Kiedy taka wola Boża, toć spieszmy kupować murzynów, — przerwał wysoki mężczyzna. — Czy tak, mój panie? — ciągnął dalej, zwracając się do Haleya, który wsunąwszy ręce w kieszenie, stał przy kominku parowca i ciekawie przysłuchiwał się całej rozmowie.

— A tak, — mówił mężczyzna laskonogi dalej — wszyscy winniśmy według słów pańskich gnębić murzynów, prześladować ich, bo przecież oni na to stworzeni. Wygodna to zasada! Czy tak, cudzoziemcze? — spytał, zwracając się do Haleya.

— Nigdy się nad tem nie zastanawiałem, — odpowiedział Haley — Gdzież mnie, człowiekowi bez nauki, wdawać się w takie rozprawy. Zajmuję się handlem, bo chcę jaki taki uciułać kapitalik. Jeżelim zgrzeszył, to, jak sądzę, zostanie mi dość czasu do pokuty.

— A za cóż pan będziesz pokutować? Niemasz się o co kłopotać — dorzucił laskonogi podróżny. — Widzisz pan, jaka to korzyść dla pana! Żebyś pan, jak naprzykład ten szlachetny człowiek, umiał sobie tłómaczyć na korzyść swoją wszelkie gałgaństwa, tobyś już dawno wiedział o tem i nie zaznałbyś niepokoju i trwogi. Dość powiedzieć: taka jest wola Boża. Nieszczęście to, że dla celów tak niskich, jak podtrzymanie niewolnictwa, nadużywa się Imienia Bożego.

Nieznajomy, którego już czytelnik, jeżeli raczy sobie przypomnieć, spotkał w oberży w Kentucky, usiadł z szyderczym uśmiechem na ustach, co nadało dziwnego wyrazu jego suchej, wywiędłej twarzy.

Właśnie w tej chwili zbliżył się jakiś człowiek z rozumną i wyrazistą fizjognomją, wyniosłej a zręcznej budowy ciała, i tak się odezwał:

— „Czego nie chcesz, aby ci ludzie czynili, tego im też nie czyń". Tak napisano w Piśmie św., a potem: „Miłuj bliźniego twego, jak siebie samego".

— Otóż to jest myśl Pisma świętego, cudzoziemcze, o ile mogę w mej prostocie pojąć — dorzucił handlarz koni z oberży w Kentucky, puszczając kłęby dymu.

Młodzieniec zatrzymał się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz statek dobijał do brzegu i wnet się zatrzymał. Wszyscy goście zbliżyli się do poręczy, okalającej pokład, aby zobaczyć, gdzie stanęli.

W chwili, gdy się statek zatrzymał, wbiegła nań po desce na brzeg rzuconej murzynka, przedarła się przez tłum, zbiegła do dolnego przedziału statku i rzuciwszy się na szyję niewolnikowi, oznaczonemu „Jan, lat 30", zaczęła rzewnie płakać i wołać: mężu mój, mężu drogi!

Nie będziemy opisywali rozpaczliwej tej sceny. Zdarzały się one codziennie i dzisiaj nawet się zdarzają. Plama to brzydka na dziewiętnastem stuleciu.

Młodzieniec, który odważył się stanąć w obronie cierpiących, przypatrywał się tej scenie z skrzyżowanemi na piersiach rękoma; w końcu, zwracając się do pana Haleya, rzekł:

— Przyjacielu, jak możesz zajmować się takim handlem? Raduję się na samą myśl, że niedługo zobaczę się z żoną, uścisnę dziecię. Tymczasem ten sam głos dzwonu, dający sygnał do odpłynięcia statku, który będzie dla mnie znakiem zbliżającej się chwili radości, dla nich zaś — straszliwej rozłąki na zawsze. Wiedz o tem, że zdasz Bogu rachunek za to!

Handlarz milczał.

Laskonogi mężczyzna zbliżył się do Haleya i szturchnął go łokciem. — No cóż! — rzekł — nie wszyscy są ludzie jednego zdania na świecie; nie wszyscy nadużywają Imienia Bożego, ten z pewnością nie powie, że Opatrzność stworzyła murzynów na wieczne niewolnictwo.

Haley mruczał coś pod nosem.

— No, już o to mniejsza, co tu się dzieje na ziemi, ale co tam

będzie? Stanie się tam nie dziś, to jutro, przed sądem, co się nie da uwieść wykrętami, będą to tam strachy!...

Haley przeszedł w zamyśleniu na drugi koniec parowca.

— Niech no mi się powiedzie sprzedać kilka transportów tego towaru, — mówił sam do siebie, — a rzucę ten handel... to zły interes.

I wyjąwszy z kieszeni pugilares, zaczął obliczać zyski i wydatki. Niejeden taki Haley chciałby znaleźć w zajęciu podobnem spokój sumienia.

Odbiwszy od brzegu, sunął statek znowu poważnie z biegiem rzeki, a dawna wesołość znowu zapanowała na pokładzie.

Nie wierzę, nie wierzę temu!

Mężczyźni rozmawiali, śmiali się, czytali, palili cygara; kobiety zajęte były robótkami, dziatwa się bawiła — tylko tam, na dole, panowała głucha cisza przerywana od czasu do czasu głębokiem westchnieniem.

Pewnego pięknego poranka zatrzymał się statek przy małem miasteczku w stanie Kentucky. Haley wyszedł na brzeg dla załatwienia interesów.

Tomasz, chociaż zakuty w dyby, mógł się jednak przechadzać, stanął więc na brzegu statku i z roztargnieniem spoglądał na miasto. Wkrótce spostrzegł wracającego Haleya, prędkim krokiem zdążającego do statku; obok niego szła młoda mulatka z dzieckiem na ręku, bardzo przyzwoicie odziana, wesoło rozmawiając ze służącym murzynem, co niósł za nią niewielką walizkę. Weszła ona po pokładce na statek. Wła-

śnie wtedy dał się słyszeć dzwonek, machina sapnęła parą, zawarkły koła, — i satek odbił od brzegu.

Młoda kobieta przeszła na przednią część parowca i tam usiadłszy na jakiejś skrzyni, bawiła swe dziecię.

Haley przeszedł się parę razy po pokładzie, jakby się namyślał co czynić, później zbliżył się do młodej kobiety i rozpoczął rozmowę.

Tomasz spostrzegł wkrótce, jak się twarz kobiety powlekła smutkiem; odpowiedzi jej były krótkie i gorączkowe.

— Nie wierzę, nie wierzę, pan mnie oszukujesz.

— Skoro mi nie wierzysz, to przeczytaj sama, przekonasz się, że mówię prawdę, — odpowiedział Haley, wyjmując z kieszeni jakiś papier. — Jest to akt sprzedaży, podpisany przez twego pana. Zapłaciłem za niego gruby pieniądz.

— Nie, nie wierzę, pan mój nie mógł mnie tak okropnie oszukać, — mówiła kobieta z wzrastającem wzruszeniem; — to nie prawda!

— Zapytaj tych, którzy umieją czytać, a przekonasz się, że prawda. Za pozwoleniem, — odezwał się do jakiegoś jegomościa, który w tej chwili koło nich przechodził. — Bądź pan łaskaw przeczytać, co tu napisano. Kobieta ta nie chce wierzyć, że to akt sprzedaży.

— To akt sprzedaży dziewczyny Łucji wraz z dzieckiem, podpisany przez Jana Fosdika. Wszystkie formalności zachowane, o ile wnioskować mogę.

Rozpaczliwy krzyk Łucji zwrócił uwagę wszystkich; Haley objaśniał zebranym powód jej smutku.

— Powiedział mi, że wysyła mnie na posadę kucharki do Louisville, do tej samej tawerny, w której służy mój mąż; sam mi to powiedział, a ja mu wierzę, niepodobna, aby mnie miał okłamać.

— A jednak cię sprzedał, biedna kobieto, tu niema żadnej wątpliwości, — odezwał się jeden z podróżnych o poczciwym wyrazie twarzy.

— No, to trudno, — odezwała się kobieta, nagle się uspokoiwszy, a przycisnąwszy konwulsyjnie dziecię do piersi, utkwiła wzrok w głęboką toń wody.

— Spokojnie przyjęła tę wiadomość — zauważył Haley — to rozsądna kobieta, łatwo się z swym losem pogodziła.

Biedna obojętnie spoglądała na szumiące fale; lekki wietrzyk igrał z jej włosami, — widziała mieniącą się w promieniach słonecznych powierzchnię wody, słyszała wesołe gawędy pasażerów, a smutek przygniatał jej serce, jak gdyby na niem kamień ciężył. Chłopczyk stanął na kolanach matki, głaskał ją po twarzy, uśmiechał się, klaskał w rączki, jak gdyby chciał uwagę jej zwrócić na siebie. Przycisnęła go do piersi i łzy boleści spłynęły na jego śliczną twarzyczkę. Zdziwiony chłopczyna ciekawie przypatrywał się matce. Niedługo znowu się uspokoiła i poczęła go karmić.

Było to dziecię, liczące dziesięć miesięcy, nad wiek rozwinięte; nie siedziało ani chwili spokojnie, tak że matka musiała je strzec bezustannie.

— Ładny chłopczyk! — odezwał się jeden z pasażerów, stając

przed nim z rękoma włożonemi w kieszenie. — W jakim jest wieku?

— Ma dziesięć i pół miesiąca — odrzekła matka.

Nieznajomy pogłaskał chłopczyka i dał mu kawałek cukru, który tenże z chciwością włożył w usta.

— Mądry chłopiec; wie, że to słodkie — rzekł, a pogwizdując sobie, poszedł dalej. Gdy jednak doszedł na drugi koniec parowca, spostrzegł Haley'a siedzącego na kufrze; wyjął zapałkę i zapalił cygaro.

— Wcale nie brzydka kobieta, którą tam wieziesz.

— Prawda, wcale niebrzydka — powtórzył Haley, puszczając kłęby dymu.

— Wieziesz ją na Południe?

Haley kiwnął głową twierdząco.

— Na plantacje?

— Tak; mam większe zamówienie, więc i jej się pozbędę; umie dobrze gotować, a nawet heklować, — nieźle się na niej zarobi.

— Chłopczyka musicie się jednak pozbyć — odezwał się znowu pasażer.

— Sprzedam go, gdy się nadarzy kupiec, — odpowiedział Haley, zapalając nowe cygaro.

— A wiele za niego żądasz? — zapytał nieznajomy, usiadłszy na dużej pace.

— Chłopak zdrowy, silny, tłusty, ciało jak rzemień, ani go uszczypnąć.

— Prawda, ale ileż to zabiegów, nim się go wychowa.

— To najmniejsze, wychowa się sam; takie dzieci nie sprawiają więcej zachodu jak szczenięta, za miesiąc zacznie już biegać.

— Mam sposobność kazać go wychować; kto wie, możebym go i nabył? — Kucharka moja w przeszłym tygodniu straciła syna, utopił się w cebrze, niechby sobie wykarmiła tego malca.

Haley i pasażer palili dalej w milczeniu; żaden bowiem pierwszy nie chciał zacząć targu. Wreszcie pasażer odezwał się:

— Przecież pan nie myślisz wziąć za niego więcej jak 10 dolarów; tem bardziej, że pozbyć się go musisz.

Haley pokiwał głową i splunął na ziemię.

— Nie, za taką cenę go nie sprzedam — odrzekł.

— Więc za ile?

— Sam mogę zająć się jego wychowaniem, albo oddam go w odpowiednie ręce; za pół roku będzie wart sto dolarów, a za rok z jakie dwieście. Takiego zgrabnego chłopca nie zawsze się spotyka: niżej pięćdziesięciu dolarów go nie oddam.

— To za drogo.

— Jak się panu zdaje...

— Dam trzydzieści.

— Przedzielimy różnicę na połowę, pan dodasz, a ja opuszczę: oddam go panu za czterdzieści dolarów, ani o centa taniej.

— Zgoda, dam panu czterdzieści dolarów.

— Interes załatwiony. Gdzie pan wysiadasz?

— W Louisville.

— Dobrze, przypłyniemy tam o zmierzchu, dzieciak będzie spał, będziesz go pan mógł zabrać bez krzyku.... Lubię załatwiać sprawy spokojnie, nienawidzę hałasu. Kilka banknotów przeszło z kieszeni pasażera do pugilaresu pana Haley'a, który najspokojniej zapalił nowe cygaro.

Wieczór był jasny i cichy, gdy się statek zatrzymał u przystani w Louisville. Kobieta, siedząca z uśpionem na ręku dzieckiem, położyła okrycie swoje między paki i ułożyła tam dziecię, a sama pobiegła ku wyjściu z pokładu, w nadziei, że w pośród służby hotelowej, może uda jej się zobaczyć męża. Tłum pasażerów oddzielił ją od dziecięcia.

— Czas — rzekł Haley, podając nieznajomemu śpiące niemowlę. — Nie rozbudź go tylko, żeby się nie rozbeczał, bo nie dalibyśmy sobie z babą rady.

Nieznajomy ostrożnie odebrał dziecię i znikł wśród tłumu.

Gdy parowiec odbił od brzegu i wypłynął na środek rzeki, kobieta wróciła na dawne swe miejsce. Tam siedział Haley, dziecka nie było...

— Gdzie dziecię moje? Gdzie synek mój? — wołała zrozpaczona.

— Lucio, — odezwał się handlarz, — syn twój sprzedany; tak czy owak, trzeba było go się pozbyć, niepodobna było wieść go na Południe. Przyznasz chyba, że słusznie uczyniłem korzystając z okoliczności i oddając go w dobre ręce, gdzie go lepiej wychowają, jak tybyś uczynić była zdolna.

Łucja zmierzyła go wzrokiem pełnym rozpaczy i niezmierzonej boleści. Inny człowiek wzruszyłby się do głębi duszy, ale nie on, który przyzwyczaił się do tego i uważał owe straszliwe męki ofiar swoich jako nieodzowne konieczności swego brzydkiego zawodu; obawiał się tylko hałasu.

Ale Łucja zachowała się spokojnie; cios przeszył jej sam środek serca; usta jej nie zdołały wypowiedzieć słowa żalu ani skargi.

Usiadła nieprzytomna, a ręce jej opadły bezwładnie; utkwiła wzrok gdzieś w dal, ale nic nie widziała. Regularny łoskot machiny, rozmowy pasażerów słyszała tylko jak przez sen. Nie była w stanie i słowa wypowiedzieć; nieszczęście zbyt wielkie — złamało ją.

Handlarz uważał za stosowne pocieszyć ją.

— Ja to pojmuję, że to bolesna dla ciebie chwila, ale rozumna i myśląca kobieta nie powinna się oddawać rozpaczy. Wiesz sama, że to było koniecznem, co było robić?

— Daj mi pan spokój, proszę, daj mi spokój!

— Jesteś piękną kobietą — mówił dalej — pragnąłbym twojego szczęścia, sprzedam cię w dobre ręce, a i wnet znajdziesz sobie innego męża, — tak ładna kobieta jak ty...

— Panie, nie odzywaj się w tej chwili do mnie! — zawołała Łucja głosem rozpaczliwym.

Handlarz zrozumiał, że uczyni najlepiej, gdy zamilknie. Wstał przeto i odszedł, a Łucja ukryła twarz w chuście i siedziała nieruchomie.

Haley przechadzał się wzdłuż i wpoprzek pokładu, zatrzymując się od czasu do czasu i spoglądając na Łucję.

— Bardzo ją to boli — rzekł sam do siebie, — ale jest spokojna. Niech się trochę wypłacze, to jej ulży.

Tomasz był naocznym świadkiem tej sceny; obawiał się dalszych a nieuniknionych następstw; serce jego krwawiło się na widok tylu cierpień. Zbliżył się więc do niej, chcąc ją łagodnemi pocieszyć słowy.

Jako odpowiedź usłyszał tylko jęk boleści, który się wyrwał z jej piersi.

Ze łzami w oczach mówił jej o Bogu, Zbawicielu, o życiu wiecznem; lecz nic nie słyszała, głuchą była na słowa pociechy, a serce boleścią ściśnione, nic więcej, prócz boleści, odczuć nie zdołało.

Noc nadeszła, noc spokojna, jasna, skrząca tysiącami gwiazd, przepyszna, lecz milcząca. Z wysokiego nieba nie zleciało słowo pociechy, nie odezwał się głos współczucia, nie widać było żadnej pomocy. Na statku wszyscy posnęli, głosy wesela i głosy nawoływające do pracy powoli zamilkły, i słychać było tylko szmer fal rozcinanych piersią statku. Tomasz, leżąc na pakach, słyszał od czasu do czasu powtarzające się westchnienie: „Co począć, mój Boże! Panie miłosierny, wesprzyj mnie!“ — Lecz w końcu i głos skargi zamilkł, a na pokładzie zapanowała zupełna cisza.

O samej północy Tomasz zbudzony, spostrzegł jakąś ciemną postać przebiegającą koło niego, a po chwili posłyszał pluśnięcie wody. Oprócz niego nikt tego nie słyszał. Podniósłszy głowę, przekonał się, że miejsce, na którem siedziała Łucja, było pustem; wstał więc, aby ją odszukać, lecz szukał napróżno.

Skrwawione serce przestało już boleć, a rzeka, tak jak i przedtem toczyła spokojnie swe jasne wody; patrząc na jej powierzchnię, gładką jak zwierciadło, niktby nie podejrzywał, że przed chwilą dała w swem łonie schronienie nieszczęśliwej matce.

Haley, przebudziwszy się nad rankiem, poszedł obejrzeć swój towar, i jemu także serce się ścisnęło od trwogi.

— Gdzie jest dziewczyna? — zapytał Tomasza.

Tomasz znając charakter swego pana, udał, że nic nie wie, boby zechciał może pomścić na nim swą stratę.

— Przecież nie mogła wysiąść na brzeg: ile razy bowiem statek się zatrzymywał, nie spałem, i nie spuszczałem jej z oka...

Słowa te widocznie były zwrócone do Tomasza. Tomasz jednak milczał.

Handlarz przetrząsł cały statek, szukając między beczkami, pakami, koło machiny, zaglądał nawet do komina, ale Łucji nie znalazł.

— Słuchaj Tomaszu, mów otwarcie, — rzekł, wracając na pokład, — ty wiesz, gdzie się podziała; nie zaprzeczaj, jestem najmocniej przekonany, że wiesz o tem. O godzinie 10 na własne oczy widziałem ją tu leżącą, widziałem ją o 12, później jeszcze koło drugiej, a o czwartej już jej niema. Tyś tu spał ciągle, musiałeś widzieć, co się z nią stało. Po co się tu zapierać, co wiesz, to mi powiedz.

— Co wiem, to powiem panu, — odrzekł Tomasz. — Przed świtem zdawało mi się, żem słyszał szelest koło siebie, później pluśnięcie wody; wtedy się zupełnie przebudziłem, a Łucji już nie było.

Handlarz nie okazał najmniejszego po sobie wzruszenia, dlatego, że jakeśmy to już wyżej powiedzieli, od dawna był oswojony z rozmaitemi nieprzyjemnościami, zachodzącemi w jego nędznym zawodzie.

Okropna śmierć biednej Łucji nie przeraziła go wcale, nie po raz to pierwszy był świadkiem podobnych wypadków, przyzwyczaił się do tego. Śmierć niewolnika, odbierającego sobie życie, nie zdołała wywrzeć na nim żadnego wrażenia, prócz uczucia, że stracił kilkaset dolarów. Toteż, dając folgę gniewowi, przeklinał niewdzięczną kobietę, której szczęścia pragnął... Uciekła w krainę, która nikogo więcej z powrotem nie wydaje, choćby opomniały się o to całe Stany Zjednoczone.

Haley wyjął z kieszeni notes i zapisał pod rubryką strat poniesioną szkodę.

———o———

ROZDZIAŁ XIII.

Osada Kwakrów [1]).

Wchodzimy do domu, gdzie panuje błogi spokój. Na samym wstępie widzimy obszerną kuchnię, ściany biało pomalowane, podłoga czysta, nie widać na niej najmniejszego nawet pyłku, kominek dość wielki, na gzymsach jego porozstawiane lśniące cynowe talerze i półmiski; krzesła zielono pomalowane, jedno krzesło większe na biegunach z wezgłowkiem z włósia, drugie o szerokich poręczach, wysłane, zapraszało do odpoczynku. Całe urządzenie skromne, ale wygodne, uprzyjemniając pożycie domowe.

W krześle tem siedzi z robótką w ręku dawna nasza znajoma, Elżbieta, wychudła wprawdzie i blada, z wyrazem niepokoju i ukrytej tęsknoty, ale bez rozpaczy, tak niedawno jeszcze pochłaniającej całą jej istotę.

Młode jej serce zmężniało w boleści; a gdy oderwie swój wzrok od pracy, by popatrzeć na Henrysia, bawiącego się u jej nóg, w oczach jej czarnych świeci siła woli i energja, których dawniej, w szczęśliwych latach młodości, nie było widać.

I cóż dziwnego — przebyła szkołę niedoli.

Obok niej siedzi kobieta około lat pięćdziesięciu do sześćdziesięciu, z twarzy jej bije spokój i godność; rozkłada ona na cynowym półmisku suszone morele.

Staruszka ma na głowie biały krepowy czepeczek, strój, jaki noszą żony Kwakrów; biała chusteczka perkalowa na szyi i skromny szal zarzucony na plecy jakoteż i cała odzież świadczą o skromności i religijności.

[1]) Kwakrowie, sekta religijna, która powstała w połowie XVII wieku w Anglji. Sami nazywają się „Przyjaciołmi czyli wyznawcami światła". Kwakrami nazwali ich przeciwnicy, (po angielsku „Quakers" znaczy drżący; to quake, drżeć); ponieważ drżeli na wspomnienie o wielkości Boga, albo może dlatego, że założyciel sekty tej, Jerzy Fox, w obronie swej rzekł na końcu do sędziego: „Drżyjcie na słowo Pańskie". Kwakrowie odznaczają się zgodnem pożyciem małżeńskiem.

W krześle siedziała nasza znajoma — Elżbieta . . .

Twarz ma okrągła, a pomimo wieku jeszcze z niej nie znikł rumieniec zdrowia, włosy już się srebrzą gdzie niegdzie, w tył zaczesane, odkrywają wyniosłe, pogodne czoło.

Czas wycisnął na niem zda się wyrazy: „pokój ludziom dobrej woli". — W jej dużych, czarnych oczach odbija się poczciwa, prawa dusza.

Tyle już opiewano piękność młodych dziewic, czemuż nikomu nie przyszło na myśl opiewać poważnej piękności zacnej matrony?

Ktoby pragnął szukać wzoru takiego uroczystego powabu, przed którym mimowoli trzeba z uszanowaniem uchylić czoła, niech spojrzy na naszą przyjaciółkę, na zacną Rachelę Halliday, kołyszącą się na fotelu, co skrzypieniem wtóruje ruchowi temu — widocznie zdolność tę posiadał ten mebelek od lat dawnych, bo stary Szymon Halliday dowodził, że na nim przyjemniejsze on sprawia wrażenie, niż najlepsza muzyka; a ich dziatwa tak się do tego przyzwyczaiła, iż za nicby się nie zgodziła na rozstanie z tym skrzypem, przypominającym im tyle błogich chwil.

I dlaczegóż to? Oto dlatego, że przez dwadzieścia niemal lat z tego fotelu przemawiała zacna Rachela do swej rodziny głosem miłości i prawdy, dlatego, że zwykle otoczywszy się dziatwą, wpajała w ich młodociane serca pierwsze zasady moralności i poświęcenia.

Mój Boże! ileż to cierpień moralnych znalazło koło tego fotelu spokój i skuteczne lekarstwo! Ile się rozwiązało zawiłych kwestyj dotyczących doczesnego żywota.

Czy ciągle trwasz w postanowieniu, dobra Elżbieto, uciekania do Kanady? — zapytała łagodnym głosem.

— Tak, pani, — odrzekła Elżbieta; — muszę iść, niepodobna mi dłużej tu zostawać.

— Ale cóż tam będziesz robiła? Trzeba i o tem pomyśleć, moje dziecię!

Wyraz „dziecię moje" wypowiedziany zupełnie naturalnie, najlepiej charakteryzuje nam postać Racheli Halliday.

Ręce Elżbiety drżały i kilka łez spłynęło na robótkę, którą była zajęta.

— Jak Bóg da, tak będzie — odrzekła. — Mam nadzieję, że znajdę tam jakiekolwiekbądź zatrudnienie.

— Przecież wiesz, że możesz tu tak długo pozostać, jak ci się tylko podoba.

— Dziękuję wam, ale nie doznam tu nigdy spokoju. — Mówiąc to, spojrzała na Henrysia. — Nie, nie mogę pozostać. Jeszcze przeszłej nocy śniło mi się, że t e n c z ł o w i e k wieżdżał na dziedziniec.

— Biedne dziecię, — pocieszała ją Rachela, ocierając oczy. — Nie masz się czego trwożyć: Bóg nas zawsze chronił, i do dziś dnia żadnego zbiegłego niewolnika ze wsi naszej nie porwano. Dla czegóżby twoje dziecię miało być pierwszą ofiarą?

Gdy to mówiła, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła młoda kobieta, pulchna, rumiana, jak dojrzałe jabłuszko, z wyrazem wesela na twarzy. Ubraną była zupełnie tak, jak Rachela.

— Rut Stedman, — zawołała Rachela, wstając i podając przybyłej obie ręce na powitanie. — Jak się masz, moja droga?

— Dziękuję, dobrze — odrzekła Rut; poczem zdjęła z głowy szary kapelusz i otrzepała go chusteczką. Pulchnemi paluszkami starała się ugładzić czepeczek na głowie, ale daremnie, — nie chciał być jej posłusznym. Kilka pukli włosów wyrwało się z pod niego i spływało po jej białej szyi.

Stanęła więc przed zwierciadłem i nareszcie udało jej się poprawić czepeczek, przygładzić włosy i z widocznem zadowoleniem, z uśmiechem na ustach, odwróciła się do obecnych.

— Rut, to nasza przyjaciółka Elżbieta Harrys, a to jej synek, o którym ci mówiłam.

— Cieszę się, że cię poznałam, Elżbieto — przywitała ją Rut, ściskając za rękę, jak starą przyjaciółkę, od dawna oczekiwaną. — A to śliczny chłopczyk. Przyniosłam mu coś — dodała, podając mu ciasteczko. Henryś przyjął wprawdzie ciastko, ale spoglądał na nowoprzybyłą z jakiemś niedowierzaniem i trwogą.

— A gdzie twój synek, Rut? — zapytała Rachela.

— Przyprowadziłam go z sobą, ale po drodze odebrała mi go twoja Marynia i zaniosła do dzieci.

W tej chwili otworzyły się znowu drzwi, i do pokoju weszła Marynia, śliczne dziewczę, z dużemi, czarnemi oczami jak u matki, z dzieckiem na ręku.

— Oto jest, — odezwała się Rachela, biorąc chłopczyka na ręce. — Jaki on ładny, a jak rośnie!

— To prawda, — odrzekła Rut, odebrawszy dziecię od Racheli i zdejmując mu błękitną materjalną czapeczkę i kilka chustek, któremi był owinięty, pocałowała chłopczyka, ściągnęła mu dokoła sukienkę i postawiła na podłodze.

Chłopczyk, przyzwyczajony widocznie do podobnego z nim obejścia, stał spokojnie, marząc może o jakichś przysmakach. Rut usiadła przy Elżbiecie i wyjąwszy z worka długą, pstrokatą pończochę, zaczęła pracowicie poruszać igliczkami.

— Maryniu, podsyp nieco węgli, — odezwała się łagodnie Rachela.

Posłuszna dziewczynka nasypała w kominek węgli, przyniosła wody i nalała w kociełek, postawiła go na ogniu i włożyła morele w rondel. Rachela tymczasem zapasała biały fartuch i zaczęła ugniatać ciasto na pieczywo.

— Jak się miewa Abigail Peters? — zapytała Rachela, krzątając się koło komina.

— Znacznie jej lepiej, — odpowiedziała Rut. — Byłam dziś rano u niej, posłałam pościel, uprzątnęłam pokoje. Lija Hils zabiegła do niej po południu, upiekła chleb i przygotowała na kilka dni sucharków. Obiecałam odwiedzić ją wieczorem.

— A ja pójdę jutro i wypiorę jej bieliznę.

— Dobrze zrobisz. Słyszałam, że Anna Stanwud zachorowała. Jan przepędził całą noc u niej, a ja pójdę do niej jutro.

— To niech Jan przychodzi do nas na śniadanie i na obiad, jak ciebie nie będzie w domu.

— Dziękuję ci, Rachelo, ale patrz, oto idzie Szymon.

Niczego się nie obawiaj, odezwał się podeszły w latach murzyn . . .

Szymon Halliday, wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, w kurtce i spodniach z grubego sukna, w kapeluszu z szerokim brzegiem na głowie, wszedł do pokoju.

— Jak się masz Rut? — rzekł, podając jej swą szeroką dłoń. — Cóż porabia Jan?

— Dziękuję, zdrów.

— Cóż tam słychać nowego? — zapytała Rachela, wsadzając pieczywo do pieca.

— Piotr Hebbins powiadał mi, że wróci przyszłej nocy z przyjaciołmi, — rzekł Szymon znacząco.

— Doprawdy? — zapytała Rachela, spoglądając w zamyśleniu na Elżbietę.

— Powiadałaś mi, jak się zdaje, że się nazywasz Harrys? — zapytał Szymon Elżbiety.

Rachela spojrzała na męża, a Elżbieta odpowiedziała drżącym głosem:

— Tak.

Strach powiększył niebezpieczeństwo w jej oczach; przyszło biednej na myśl, że już zapewne rozesłano ogłoszenia o jej ucieczce.

— Matko, — zawołał Szymon, wychodząc do sieni.

— Czego chcesz, ojcze? — zapytała Rachela, wycierając w fartuch ręce i zbliżając się do męża.

— Mąż Elżbiety jest w kolonji, przybędzie tudotąd dzisiaj w nocy.

— Czy tylko prawdę mówisz? Nie żartujesz-że? — zawołała Rachela z nieudaną radością.

— Tak jest rzeczywiście, — mówił dalej Szymon. — Piotr jeździł tam wczoraj; spotkał tam starą kobietę i dwóch mężczyzn, z których jeden nazywa się Jerzy Harrys. Z tego, co opowiadał o sobie, wnoszę, że to jej mąż. Przystojny, dziarski mężczyzna. Czy jej powiedzieć o tem?

— Poradzimy się wpierw Rut — odrzekła Rachela. — Rut, proszę, chodźno na chwilę.

Rut położyła pończochę i pospieszyła na wołanie.

— Co sądzisz, Rut, Szymon powiada, że mąż Elżbiety znajduje się niedaleko i że ku wieczorowi tu przybędzie.

Radosny okrzyk wyrwał się z piersi młodej kobiety, zaczęła klaskać w dłonie i podskakiwać z takim zapałem, że z pod czepeczka wysunęły się dwa loki i spadły na białą chustkę, zasłaniającą gors.

— Ależ uspokój się, moja droga, — odezwała się Rachela, miej rozum, Rut. Poradź nam lepiej, czy mamy jej zaraz o tem powiedzieć.

— A z pewnością, natychmiast! Wyobrażam sobie, coby to się działo ze mną, żeby coś podobnego zdarzyło się mojemu Janowi! Powiedz jej bezzwłocznie.

— Poczciwe dziecię, kochające serce! — wyszeptał półgłosem Szymon, spoglądając z rozczuleniem na młodą kobietę, myślisz tylko, jakby pociechy bliźniemu przyczynić.

— Cóż w tem dziwnego? Czyż nie dlatego jesteśmy stworzeni? Żebym nie kochała Jana i mego dziecka, nie rozumiałabym może jej nieszczęścia. Ależ chodźmy, powiedzmy jej.

— Zaprowadź ją do drugiego pokoju, ja tymczasem przyprawię kurczę.

Rachela weszła do kuchni, gdzie siedziała Elżbieta, a otwierając drzwi do małej sypialni, odezwała się łagodnie: — Chodź, dziecię moje, przynoszę ci wieści.

Elżbieta oblała się żywym rumieńcem, powstała z miejsca drżąca jak listek, oglądając się niespokojnie na syna.

— Nie lękaj się, — zawołała Rut, podbiegając do niej i porywając ją za ręce. — Nie lękaj się, Elżbieto, to dobra nowina. Idź, idź! — Mówiąc to, popchnęła ją poufale ku drzwiom, a gdy się sypialnia za nią zamknęła, wróciła do kuchni i pochwyciwszy na ręce małego Henrysia, zaczęła go namiętnie całować.

— Zobaczysz tatkę, mój mały! — mówiła — czy rozumiesz? Tatko przyjedzie tutaj! — powtarzała dziecku, które z podziwieniem patrzało na nią.

Tymczasem inna zupełnie scena odbywała się za drzwiami. Rachela Halliday, przywoławszy Elżbietę, tak się do niej odezwała:

— Pan się zlitował nad tobą, córko moja, mąż twój wyrwał się z domu niewoli.

Krew uderzyła Elżbiecie do głowy, krasząc jej lica płomiennym rumieńcem, po chwili nagle odpłynęła ku sercu i twarz jej pokryła się naprzemian trupią bladością. Pod wrażeniem tak wielkiego szczęścia zachwiała się i opadła na krzesło.

— Odwagi! dziecię moje, — odezwała się Rachela, kładąc rękę na głowę Elżbiety. — Mąż twój znajduje się w towarzystwie przyjaciół i przybędzie nocy dzisiejszej.

— Dzisiaj w nocy? — powtórzyła Elżbieta. — I straciła przytomność umysłu; wszystkie przedmioty mglistą przykryły się zasłoną, myśli plątały się jak we śnie, nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Przychodząc do przytomności, spostrzegła, że jest na łóżku; Rut siedziała przy niej i nacierała ręce kamforą. Otworzyła oczy na wpół senne, w tym błogim stanie, jakiego doznajemy, gdy się nam uda zrzucić ciężar długo dźwigany i możemy wytchnąć.

Nerwy, będące w gorączkowem natężeniu od chwili ucieczki, powoli zaczynały wracać do normalnego stanu, a dziwne poczucie bezpieczeństwa i spokoju zagościło w jej piersi.

Leżała z otwartemi oczami, patrzała jak przez sen.

Widziała przez na wpół do drugiego pokoju otwarte drzwi stół nakryty do herbaty i zebraną dokoła rodzinę; widziała zabiegi Rut, starającej się wszystkim usłużyć, przynoszącej na małych półmiskach konfitury i ciastka; widziała, jak się zatrzymywała przy jej Henrysiu, głaskała go po główce, karmiła, pieściła.

Widziała poważną postać Racheli, ów ideał matki, co ze szczerą troskliwością podchodziła od czasu do czasu do jej łóżka, spoglądając na nią z tkliwością i ociągając kołdrę lub poprawiając pościel. Widziała nareszcie, jak wszedł do pokoju Jan, mąż dobrej Rut, jak się rzuciła mu na szyję, później coś szeptała, pokazując znaczącemi gestami na drzwi drugiego pokoju.

Jerzy, jej mąż, siedział przy jej łożu . . .

Pod wpływem kojącego rany snu widziała jakby za mgłą cały obraz domowego szczęścia. Tuż koło poważnej postaci Racheli siedział na wysokiem krzesełku jej Henryś jakby pod opieką macierzyńskich skrzydeł; dalej spostrzegła Rut z dzieckiem na ręku, a dokoła całą rodzinę Hallidayów. — Wszystko to widziała i słyszała jakby w sennem urojeniu.

Wreszcie zasnęła tak mocno, jakby od chwili, w której opuściła o północy z dzieckiem na ręku, podczas mrozu, przy świetle tylko gwiazd na niebie iskrzących, strony rodzinne, jeszcze nie zmrużyła powiek.

I widziała we śnie przecudną krainę, kwieciste łąki, kąpiące się w zwierciadle wód wysepki i bujną zielenią pokryte brzegi. Tam w domku biało malowanym, tam przepędzała chwile szczęśliwe, to jej domek rodzinny; widziała Henrysia wesoło szczebiocącego; słyszała kroki męża, czuła, że się zbliża, czuła uściski jego, a łzy jego skropiły twarz jej, — i obudziła się.

To nie był sen. Już noc dawno zapadła; Henryś leżał uśpiony przy jej boku, na stoliku migotała świeca niepewnem światłem, a u jej wezgłowia siedział mąż jej, zalany łzami.

Dzień następujący rozpoczął się wesoło w domu Kwakrów. Matka wstała i otoczona gromadką chłopaków i dziewcząt, których nie mieliśmy czasu przedstawić naszym czytelnikom, zajęła się przygotowaniem śniadania, gdyż śniadanie w rozkosznych dolinach Indjany jest rzeczą wielce ważną i wymaga wiele zachodów.

Dlatego więc Jan poszedł po wodę, Szymon młodszy przesiewał mąkę kukurydzową, Marynia mełła kawę, Rachela jak dobroczynne słońce pobudzała wszystkich do pracy. Skoro wpośród grona jej młodych współpracowników wszczął się jaki swar, umiała go zażegnać łagodnem słowem.

W końcu usiedli wszyscy do stołu z wyjątkiem Maryni, która stojąc przy piecu, piekła sucharki.

Rachela zdawała się być szczęśliwą jak nigdy dotąd.

Gdy nalewała komu szklankę kawy lub podawała półmisek z pieczywem, było w ruchach jej tyle macierzyńskiej tkliwości, że każdy uważać ją musiał nieoledwie za swą własną matkę.

Jerzy po raz pierwszy usiadł do stołu razem z białymi, jako człowiek im równy; z początku doznawał pewnego zakłopotania, lecz wkrótce znikło ono, jak mgła poranna, pod wpływem serdecznej przyjaźni, jaką mu wszyscy okazywali.

Był to prawdziwy obraz domowego szczęścia, którego znaczenia Jerzy dotychczas nie rozumiał.

— Ojcze, a jeżeli cię jeszcze raz oskarżą? — zapytał Szymon młodszy, smarując bułkę masłem.

— Zapłacę karę, — odpowiedział Szymon spokojnie.

— A jak cię wsadzą do więzienia?

— Przecież z matką dacie sobie radę w gospodarstwie, — odrzekł ojciec z uśmiechem na ustach.

— Matka potrafi wszystko, jak zechce, — przerwał młodzieniec, — ale czyż to nie wstyd takie ogłaszać prawa?

— Nie powinieneś w sposób uwłaczający odzywać się o swoich prawodawcach, — odparł poważnie ojciec. — Pan Bóg na to tylko udzielił nam dóbr ziemskich, abyśmy ich używali sprawiedliwie i po ludzku. I dlatego, jeśli prawodawcy nasi wymagają od nas dziesięciny, powinniśmy ją zapłacić bez szemrania.

— Niemniej jednak nienawidzę posiadaczy niewolników! — zawołał chłopiec.

— Zadziwiasz mię mój synu! Twoja matka nigdy cię nie uczyła nienawiści. To, co czynię dla niewolnika, uczyniłbym i dla jego właściciela, gdyby Pan Bóg przyprowadził go do mojego domu w chwili niedoli.

Szymon młodszy zarumienił się po uszy; matka chcąc go pocieszyć, rzekła z dobrotliwym uśmiechem: „Szymon jest dobry chłopiec, tylko jeszcze za młody; jak podrośnie, będzie czynił tak, jak ojciec jego".

— Spodziewam się, dobry panie, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi ci z naszego powodu, — odezwał się Jerzy smutnie.

— Nie trwóż się, to nasze powołanie na tej ziemi. Skoroby nam zabrakło mocy do znoszenia prześladowań w obronie sprawiedliwości, nie warcibyśmy byli naszego imienia.

— Ale za mnie cierpieć nie powinniście, — przerwał Jerzy, — nie mogę na to pozwolić.

— Nie za ciebie gotowiśmy cierpieć, bądź spokojny; postępujemy tak w imię Boga i ludzkości. — Dzień dzisiejszy przepędzisz u nas, a około dziesiątej zawiezie ciebie i twoich Fineasz Fleczer do pierwszej osady. Twoi prześladowcy gonią za tobą, zwlekać niepodobna.

— Skoro tak, — przerwał Jerzy, — to pocóż czekać wieczora?

— Podczas dnia nic ci nie zagraża, bo każdy mieszkaniec kolonji będzie strzec cię jak przyjaciela, lecz podróżować bezpieczniej nocą.

ROZDZIAŁ XIV.

Aniela.

Promienie zachodzącego słońca pozłacały spokojną, szeroko, jak morze, rozlaną powierzchnię rzeki Mississipi; łany trzciny i smukłe cyprysy kąpią się w złotych promieniach słonecznych; cisza zalega dokoła, przerywana tylko warczeniem kół ciężko obładowanego parowca, płynącego z biegiem rzeki; wpośród nagromadzonych pak bawełny, zalegających cały pokład, spostrzegamy naszego dobrego znajomego, Tomasza, z którym musieliśmy się rozstać na chwilę, aby iść w ślad za innemi osobistościami, zachodzącemi w naszej powieści.

Już to zawdzięczając dobrej rekomendacji swego dawnego pana, już też wskutek łagodnego i spokojnego postępowania, Tomasz powoli potrafił wzbudzić zaufanie nawet w takim jak Haley człowieku. Z po-

czątku pilnował go handlarz, na noc ubierał go w kajdany, lecz cierpliwość i zgadzanie się ze swem położeniem, które się widocznie malowało na twarzy biednego Tomasza, zwyciężyły w końcu niedowierzającego Haleya, tak że począł z nim postępować znacznie łagodniej.

Tomasz mógł swobodnie przechadzać się po pokładzie statku, nikt go nie pilnował, jak gdyby był więźniem puszczonym na słowo honoru.

Zawsze łagodny i usłużny, chętny do pracy, wkrótce wszedł w stosunki z majtkami i po kilka godzin codziennie pracował wraz z nimi z równą pilnością, jak to zwykł był robić na farmie swego dawnego pana w Kentucky.

Skoro brakło zajęcia, wchodził między paki bawełny i tam dumał nad losem swoim i swej rodziny, pozostałej w kraju.

W odległości więcej niż stu mil od Nowego Orleanu, powierzchnia rzeki znajduje się znacznie wyżej niż leżące po obu jej brzegach okolice, w tem miejscu płynie rzeka między dwiema groblami, mającemi około dwudziestu stóp wysokości. Z pokładu statku, jakby z jakiej baszty wyniosłej, ogląda podróżny całą okolicę, rozścielającą się u stóp jego na kilka mil przestrzeni.

Przed oczami Tomasza rozwijał się na plantacjach obraz życia, który go czekał w przyszłości.

Widział w oddali niewolników wśród mozolnej pracy; widział ich wsie, składające się z długiego szeregu chatek; a tam dalej wznosiły się pałace i przepyszne ogrody wzrok nęcące. W miarę tego, jak krajobrazy przesuwały się jeden za drugim, przenosił się myślą do miejsc rodzinnych, i silniej biło biedne jego serce, tęsknił do folwarku w Kentucky, ocienionego staremi bukami, do pańskiego domu, którego rozkład tak się mu dobrze rysował w pamięci; zatęsknił do małej chatki, ubranej w bujne powoje. Przemknęły mu w wyobraźni twarze dawnych towarzyszów pracy, z którymi wychował się społem.

Oto żona krząta się przy wieczerzy; zdaje mu się, że słyszy śmiechy i krzyki swoich chłopaków, szczebiotanie małej córeczki, drapiącej mu się na kolana... Lecz wszystko to się rozwiało i znowu widzi łany trzciny i ponure postacie cyprysów, przesuwające się jak przedtem. Warczenie kół, skrzyp machiny przypominają mu, że czasy te minęły bez powrotu, i że jasne chwile życia wśród rodziny zgasły dla niego na wieki.

Skoroś, łaskawy czytelniku, oddalony od swej rodziny, dla ciebie jest poczta, możesz odbierać przez nią wieści, ale Tomasz, — dla niego ten rozdział równał się śmierci, nie oczekiwał nawet pociechy, nie śmiał wyglądać wsparcia lub opieki; przez ogromne przestrzenie, które go oddzielały od swoich, nie dochodził go głos przyjaźni ani wieść żadna radosna, ani smutna nawet; nie słyszał płaczu swej żony, ani wesołych krzyków dziatwy. — Dla niego przepadło wszystko.

I dlatego nie trzeba się dziwić, że łzami skrapiał książkę, którą czytał, przesuwając palcem od jednego wyrazu do drugiego. Późno się nauczył czytać i to niełatwo mu przychodziło; wielkie to szczęście, że dzieło, które czytał, nic na tej powolności stracić nie mogło. Słowa

Pisma świętego, tak jak bryły złota, każde winno się rozważać oddzielnie, by dokładnie odczuć i pojąć całą ich wzniosłość i potęgę.

Nie — podawaj — w smutek — serca — twego. — W domu — ojca — mego — jest — mieszkania — wiele.

Gdy Cyceron chował swoją ukochaną jedynaczkę, w sercu jego musiał gościć równie niezmierny smutek, jaki w chwili obecnej napełniał pierś biednego Tomasza.

Ale uczony rzymski nie znał tych świętych słów pociechy, on nie tęsknił do widzenia się za grobem, a kto wie — możeby i nie uwierzył.

Ale biedny Tomasz, znajdował w słowach tych źródło pociechy dla swej stroskanej duszy. Prawdy w tych słowach zamknięte, tak były zrozumiałe, tyle w nich widział wzniosłości, iż żadne zwątpienie nie zrodziło się w jego prostoczej piersi. W słowach tych była prawda — a bez tej prawdy, skądżeby czerpał odwagę do życia?

Ileż to razy z książki tej czytał mu jego młody panicz! a on grubemi kreskami popodkreślał miejsca, które jego sercu najwięcej przynosiły ulgi.

W liczbie pasażerów znajdował się na statku młody, bogaty, z dobrej rodziny pochodzący pan z Nowego Orleanu, imieniem Saint Clare. Razem z nim była jego córka, sześcioletnia dziewczynka, zostająca pod dozorem starszej poważnej damy.

Tomasz widywał często ową dziewczynkę, żywą, wesołą, rozkoszną. Kto raz ją zobaczył, pewno nigdy już nie zapomniał tej ślicznej twarzyczki, która pomimo dziecinnego wyrazu, wolną była od pucułowatości, co się zwykle u dzieci w tym wieku zdarza.

Twarz jej nie była piękną pod względem regularności rysów, ale zdradzała inteligencję, co spostrzegał każdy człowiek myślący, który się jej przypatrzył.

Coś dziwnie miłego było w jej układzie, w jej ruchach, w jej całej postaci. Długie, ciemne włosy, ze złotawym odblaskiem, otaczały niby aureolą jej białe, czyste czoło; głębokie spojrzenie jej ciemno błękitnych oczu, ocienionych długiemi rzęsami, sprawiało niezwykłe wrażenie. Wszystko to odróżniało ją od innych dzieci, tak że każdy z podróżnych, spotkawszy ją na pokładzie, oglądał się i śledził ją długo wzrokiem, wówczas gdy ona nie domyślając się nawet wrażenia, jakie sprawiała, biegała po całym statku. Pełno jej było na całym okręcie. Ciągle w ruchu, z usteczkami wpół otwartemi do uśmiechu, z piosenką na ustach, zdawała się być jakimś aniołkiem wszystkich rozweselającym. Nieraz musiał ojciec jej szukać, lecz nigdy nie zasłużyła na słowa nagany; biegała wszędzie swobodna, swawolna.

Ubrana w bieli, z rozpuszczonemi włoskami, niby aniołek przebiegała okręt. Wszyscy ją lubili, wszyscy kochali. Palacz przy kotle, sternik przy sterze, marynarze, ludzie zahartowani i surowi, wszyscy ulegali jej czarowi, uśmiechali się do niej, gdy ku nim biegła, wszyscy też nad nią czuwali i gotowi byli każdej chwili ratować.

Tomasz, obdarzony charakterem czułym i łagodnym, właściwym jego plemieniu, kochający wszystko co niewinne, dziecinne, spoglądał na tę małą istotę z coraz wzrastającem zajęciem. Była ona dla niego

zjawiskiem nadzwyczajnem. I kiedy ta prześliczna twarzyczka ukazywała mu się nagle z za czarnej bawełną wypchanej paki, zdawało mu się, że to aniołek, który potrafił umknąć z obrazków zdobiących jego książkę.

Często błąkała się ona smutnie około miejsca, w którem gromada pana Haleya, złożona z mężczyzn i kobiet, spoczywała skuta w łańcuchy. Wbiegała nieraz pomiędzy tych nieszczęśliwych, patrzała na nich z bolesnem uczuciem, próbowała podjąć swojemi drobnemi rączkami ich ciężkie łańcuchy, a potem oddalała się z westchnieniem. Wkrótce przy-

Jak imię panience? — zapytał pewnego razu Tomasz . . .

biegała znowu, przynosząc cukier lodowaty, orzechy, pomarańcze i wszystko to rozdzielała pomiędzy biedaków, współczując ich niedoli i pocieszając, jak na to jej dziecięce serduszko pozwalało, i znowu znikała...

Tomasz spoglądał długo na dzieweczkę, nim się ośmielił z nią się zaznajomić. Umiał on nieskończoną ilość sztuk i figlów dla zabawy dziatek i postanowił użyć tych sposobów dla zwrócenia na się uwagi dziecka. Zręcznie wyrabiał z pestek wiśniowych malutkie koszyczki, ze skorupy kokosowych orzechów robił pocieszne figurki, a z rdzenia bzowego skakających pajaców, z drzewa bzowego fleciki, piszczałki itd.

Kieszenie jego, napełnione były temi powabnemi wyrobami, przygotowanemi niegdyś dla dzieci jego właściciela, a których teraz trochę ofiarował dzieweczce, lecz z pewnym rodzajem rozsądnej oszczędności; były to przynęty do zrobienia bliższej znajomości.

Pierzchliwa i ciekawa zarazem dzieweczka, niełatwo się oswajała. Uczepiona, niby ptaszek, do jakiej paki bawełny w bliskości Tomasza, patrzała z zajęciem na sztuczne wyroby, które jej pokazywał i rumieniąc się bojaźliwie, przyjmowała od niego te, które jej ofiarował. Z czasem zawarli jednakże bliższą znajomość.

— Jak imię panience? — zapytał pewnego razu Tomasz, kiedy sądził, że już może na to się ośmielić.

— Anielka Saint-Clare, — odpowiedziała mała, — ale ojciec i wszyscy nazywają mię Ewunią. A wy jak się nazywacie?

— Moje imię jest Tomasz. — Ale zawsze nazywały mnie dzieci wujem Tomaszem... tam daleko w Kentucky...

— To dla mnie będziesz także wujem Tomaszem, ponieważ cię bardzo lubię. Dokądże się udajesz, wuju Tomaszu?

— Nie wiem, panno Ewunio!

— Nie wiesz? — zawołała malutka zdziwiona.

— Nie; sprzedadzą mię, a kto kupi, nie wiem.

— Ojciec może cię kupić — zawołała żywo Ewunia. — Wówczas dobrze ci będzie. Ja go o to zaraz poproszę.

— Bardzo dziękuję, moja mała pani — rzekł Tomasz.

Statek zatrzymał się dla nabrania paliwa; Ewunia posłyszawszy głos swojego ojca, pobiegła ku niemu, a Tomasz poszedł pomagać robotnikom.

Ewunia i jej ojciec, oparci o zewnętrzną galerję, patrzeli, jak statek oddalał się od przystani. Już koło zrobiło kilka obrotów, kiedy statek niespodzianie się wstrząsnął, dziewczynka straciła równowagę i wpadła w wodę. Przerażony ojciec chciał się rzucić za nią, lecz ktoś go wstrzymał z tyłu, ktoś, co widział, że już dzieweczkę kto inny, zręczniejszy, ratował.

W chwili wypadku znajdował się właśnie Tomasz na wierzchnim pokładzie przy samej galerji. Widział, jak Ewunia wpadła w wodę i znikła; w mgnieniu oka rzucił się za nią. Z jego szeroką piersią i silnemi ramionami, nie trudno było utrzymać się na wodzie, dopóki dziecko nie wypłynęło po paru sekundach na powierzchnię. Pochwycił ją i płynął wzdłuż statku, aż oddał ją w ręce marynarzy, którzy zewsząd wyciągali ku niej ręce. Ojciec zaniósł ją zemdloną do kajuty kobiet, gdzie, jak to w takich razach bywa, zrobiło się zamięszanie i nieopisana wrzawa, co jeszcze bardziej zmęczyło dziewczynkę i opóźniło jej powrót do życia.

Nieznośny panował upał, kiedy pod wieczór dnia następnego statek nasz zbliżał się do Nowego Orleanu. Kto co miał z pasażerów, tłumoki, kufry, bagaże rozmaite, starał się skupić, powiązać, żeby być gotowym do wyjścia.

Na tylnym pomoście siedział z rękami założonemi nasz przyjaciel

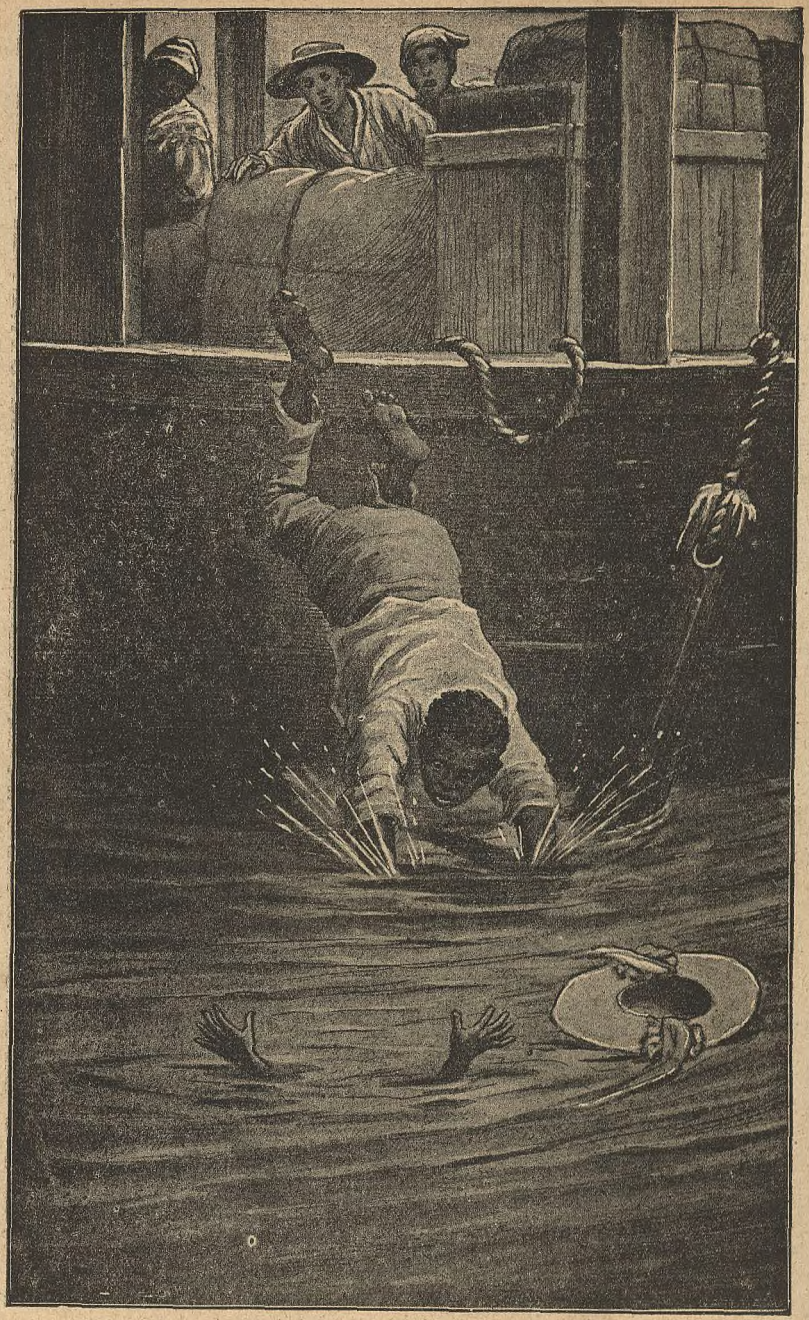

Tomasz nie namyślając się długo, skoczył za nią . . .

Tomasz, patrząc niespokojnie na grupę osób zebranych w przeciwnej stronie statku.

Tam jaśniała biała postać Ewuni, trochę bladszej, niż wczoraj, lecz bez jakichkolwiek innych śladów przypadku, który jej się wydarzył. Młody, trzydziestoletni przystojny mężczyzna, stał przy niej, oparty o pakę bawełny i trzymał w ręku otwarty pugilares. Dość było spojrzeć, aby poznać, że to jej ojciec. Była to taż sama wdzięczna i szlachetna postać, też same piękne, błękitne oczy, tenże sam kolor ciemnych, błękitnych oczu; lecz wyraz fizjognomii był zupełnie odmienny. Oczy, acz tegoż samego koloru i formy, co Ewuni, nie miały tej tajemniczej głębokiej zadumy; owszem, spojrzenie ich było żywe, śmiałe, jaśniejące blaskiem światowym. Na ustach zgrabnie zarysowanych igrał ciągle uśmiech na pół dumny, pół szyderczy. Wszystkie ruchy jego wywierały pewność siebie. Szlachcic najbardziej demokratycznej rzeczypospolitej, z pewnym rodzajem niedbałego dobrego humoru, z uśmiechem ironicznym i pogardliwym zarazem, słuchał rozprawy Haleya, który wychwalał, jak mógł swój towar.

— Wszystkie cnoty chrześcijańskie, oprawne w czarny safjan — rzekł, Saint Clare, kiedy Haley skończył mówić. — Teraz, mój kochanku, powiedz, jak to mówią w Kentucky, jaką ponosisz stratę? Krótko a zwięźle, ile chcesz za niego? — o jaką sumę chcesz mnie oszukać? No, mówże!

— Żądając tysiąc trzysta dolarów — rzekł Haley — odzyskałbym tylko to, co mnie samego kosztuje, — słowo honoru!

— Biedny z ciebie człowiek! — Pan Saint-Clare utkwił w Haleyu wzrok badawczy, a zarazem drwiący. — Oddasz mi go więc za tę cenę jedynie dla szacunku, jaki powziąłeś dla mnie, nieprawdaż?

— Młoda panienka, pańska córka, bardzo byłaby rada, gdybyś pan go kupił, co jest zresztą rzeczą bardzo naturalną!

— O! zapewne, mój prawy przyjacielu. A więc przez chrześcijańską miłość bliźniego, ile mi spuścisz z ceny, aby sobie zobowiązać tę młodą panienkę, która ma nim głowę zawróconą?

— Niech pan tylko — mówił handlarz, — przyjrzy mu się dobrze: obacz pan, jakie to ramiona! jaka to pierś szeroka! silny jak koń! Przypatrz się pan tej głowie, jakie czoło wysokie! Murzyn z takim czołem zdolny jest do wszystkiego. I mogę panu dowieść, że ten chłop ma niepospolite zdolności, co naturalnie podwyższa jego cenę. Czy uwierzysz pan, że zarządzał całą farmą swojego ostatniego pana! Szczególniejszą ma zdolność do interesów administracyjnych.

— Szkoda, wielka szkoda, że tak wiele ma zdolności. — odparł pan Saint-Clare z tymże samym szyderczym uśmiechem. To mu nie dodaje ceny. Wasi murzyni z wygórowanemi zdolnościami, zwykle uciekają, uprowadzając jeszcze pańskie konie: djabeł w nich siedzi. No opuść z ceny dwieście dolarów z powodu tych przymiotów.

— Nie mówię o żadnym innym, ale to człowiek poczciwy! Mam na to dowody i poświadczenie jego posiadacza: jest to najpobożniejsza, najpokorniejsza istota, jaką można znaleźć pod słońcem. — Toż on tam prawił nauki i kazania murzynom.

— Wyborna myśl! Będę więc mógł mieć z niego kapelana.

— Pan żartuje!...

— Skąd wiesz? — Czyż nie podajesz mi go za patentowanego kaznodzieję? Czy ma on dyplom od jakiego synodu lub kongregacji religijnej? — No, pokaż mi dowody!

Gdyby Haley nie miał przekonania, że za wszystkie te żarty jednak dostanie gotówkę, straciłby niezawodnie cierpliwość. Wyjął swój brudny pugilares, rozłożył go na balocie i szukał papierów, gdy tymczasem pan Sain-Clare mierzył go szyderczym wzrokiem.

— Kup go, ojcze, za jakąbądź cenę — szepnęła po cichu Ewunia, wdrapawszy się na jakiś tłumok i obiąwszy drobnemi rączkami za szyję ojca.

— Ty możesz, ojcze, zapłacić go, wiem o tem, a chciałabym go mieć.

— Dlaczego, Ewuniu? Czy chcesz z niego zrobić sobie zabawkę, lalkę?

— Chcę go uszczęśliwić.

— Na honor, to ważny powód!

W tej chwili handlarz wynalazł i podał świadectwo podpisane przez pana Szelby, które pan Saint-Clare wziął dwoma palcami i przeglądał niedbale.

— Pismo i styl szlachetnie urodzonego człowieka, — mówił, — ale wszystko rozważywszy, zastrasza mię ta jego religijność. A nawet nie wiem z pewnością po jakiej cenie w tej chwili sprzedaje się ten towar... religja. Dawno już nie czytałem dzienników i dlatego nie wiem, jaki religja ma kurs...

— Lubisz pan żartować, jak uważam, — odparł handlarz, — ale nie można zaprzeczyć, żeby na dnie tego nie było trochę prawdy. Co się tyczy mojego towaru, to powiem panu, że jego pobożność jest dobrego gatunku. Zauważyłem u murzynów, równie jak u białych, że taka pobożność robi ich łagodnymi, spokojnymi, wytrwałymi, uczciwymi: za nic w świecie żaden z nich nie popełni tego, co nazywają grzechem. Zresztą wyczytałeś pan w poświadczeniu, co dawny właściciel Tomasza o nim powiada.

— Dość tego, — rzekł tonem poważnym pan Saint-Clare, gatunkując w pugilaresie bilety bankowe, — jeśli mi zaręczysz, że to jest pobożność bez skazy i która będzie zapisana na mój rachunek jako do mnie należąca, do wielkiej księgi tam wysoko, to może się i zdecyduję. Ile żądasz za niego?

— Ostatniego warunku przyjąć i za niego ręczyć nie mogę, — odparł kupiec. — Zdaje mi się, że nawet na giełdzie berlińskiej każdy gra tylko na swój rachunek.

— Byłoby niesprawiedliwie jednak, gdyby człowiek porządny, rujnujący się na kupno pobożnych, nie korzystał z tego tam, gdzie ten towar dobrze popłaca. — Pan Saint-Clare zwinął bilety bankowe i podał je kupcowi. — Masz, policz swoje dolary, grzeszniku!

— Zgadza się! — zawołał uradowany Haley i wyjąwszy z kieszeni stary rogowy kałamarz, napisał prędko kwit, który wręczył panu Saint-Clare.

— Ciekawy byłbym wiedzieć — rzekł żartobliwie pan Saint-Clare, przeglądając papier, — ilebym ja sam był wart, gdyby kto zrobił szczegółowy inwentarz mojej osoby: tyle za formę głowy, tyle za czoło wysokie, ramiona, pierś, nogi! — i prócz tego wychowanie, nauka, talenty, uczciwość, religja! Ta ostatnia nie wieleby podwyższyła moją cenę. Ale chodź, Ewuniu, — mówił dalej i biorąc dziewczynkę za rękę, zaprowadził ją na drugi koniec statku; tam głaszcząc niedbale pod brodę murzyna, rzekł łagodnie: spojrzyj na mnie, Tomaszu, i zobacz, jak ci się nowy twój pan podoba?

Tomasz popatrzył na niego. Nie można było patrzeć na tę fizjognomję wesołą, młodą, przyjemną, szczerą, bez uczucia pewnego rodzaju zadowolenia i łzy zabłysły w oczach poczciwego murzyna, kiedy mówił z głębi serca: „niech ci Bóg błogosławi, dobry panie!"

— Amen! w każdym razie masz więcej ode mnie szans, że będziesz wysłuchanym. Jak się nazywasz?... Tomasz, zdaje mi się? Czy umiesz powozić?

— Zawsze doglądałem koni; dawny mój pan trzymał ich wiele.

— Zdaje się więc, że będziesz u mnie za furmana, pod warunkiem, że tylko raz na tydzień się upijesz, oprócz niespodziewanych przypadków.

Tomasz zdawał się zdziwionym, trochę obrażonym i rzekł: nigdy nie piję, a tem bardziej nie upijam się.

— Znana historja! Zresztą obaczym. Do licha! jeśli to prawda, będę sądził, że nie handlarz mnie, ale ja handlarza oszukałem. No bądź dobrej myśli, mój chłopcze, — mówił dalej wesoło, widząc, że Tomasz posmutniał; — nie wątpię, że będziesz się starał, aby wszystko było jak najlepiej.

— To więcej jak pewna, mój zacny panie.

— I dobrze ci będzie z nami, — dodała Ewunia. — Ojciec jest bardzo dobry dla wszystkich, tylko lubi żartować.

— Ojciec bardzo ci dziękuje za tę pochwałę — mówił z uśmiechem Saint-Clare i oddalił się, prowadząc córkę za rękę.

———o———

ROZDZIAŁ XV.

O nowym właścicielu Tomasza i wielu innych rzeczach.

Skoro droga życia naszego skromnego bohatera poczęła się schodzić z drogami innych osób, wyższych stanów, trzeba nam poznajomić życzliwego czytelnika i z temi ostatniemi.

Augustyn Saint-Clare był synem bogatego plantatora w Louizanie. Ród jego pochodził pierwiastkowo z Kanady. Dwaj bracia, charakterem obaj podobni sobie, rozeszli się: jeden zamieszkał w stanie Vermont i nabył na własność prześliczną farmę, drugi zaś z nich, ojciec Augustyna, został bogatym plantatorem w Louizanie. Matka Augustyna była

Francuzką, a pochodziła z rodziny, która osiadła w Louizanie w czasach, kiedy tu tworzyły się pierwsze osady.

Otrzymawszy po matce nader wątłą budowę ciała, Augustyn, za radą lekarzy, był odesłany do swego stryja mieszkającego w Vermoncie, aby tam pod wpływem surowszego klimatu zahartował się i wzmocnił.

W dzieciństwie miał serce nadzwyczaj miękkie i czułe, skłonność to właściwsza niewiastom niż mężczyznom.

Czas pokrył tę miękkość twardą korą dojrzałego wieku i rzadko kto spostrzegł, co się działo w jego duszy. Udarowany od natury pięknemi przymiotami ducha, wcześnie już uczuł skłonność do wszystkiego, co idealne i piękne; wcześnie począł się w nim objawiać wstręt do drobiazgowych szczegółów praktycznego życia.

Wkrótce po wyjściu z wyższego zakładu naukowego, Augustyn zapalił się płomienną miłością i skupił w niej całe swe istnienie. Nastąpiła stanowcza chwila, owa chwila, która tylko raz się zdarza każdemu człowiekowi: na widnokręgu jego życia ukazała się promienna gwiazda, która dla bardzo wielu wschodzi tylko na to, aby zniknąć bezpowrotnie, jak sen piękny a rozwiewny, i zostawić tylko smutne po sobie wspomnienie: nadaremnie ukazała się też i Augustynowi.

Ale porzućmy przenośnię i powiedzmy po prostu, że w jednym z północnych stanów Augustyn poznał piękną dziewicę, z czystą i wzniosłą duszą, pokochał ją i zaręczyli się z sobą. Następnie pojechał na Południe dla zrobienia niezbędnych przygotowań, gdy niedługo otrzymał z powrotem pocztą wszystkie swe listy, które pisał do narzeczonej; przy listach był dopisek od jej opiekuna, który zawiadamiał go, że zanim otrzyma te listy, narzeczona jego zostanie żoną kogo innego. Odurzony nieprzewidzianym ciosem, zrozpaczony, powziął płonny zamysł wyrwać z serca nieszczęsną namiętność. Duma nie pozwalała mu błagać lub żądać tłómaczenia się; rzucił się więc w wir tak zwanego wielkiego świata. Po dwóch tygodniach został narzeczonym najpiękniejszej w mieście kobiety. Natychmiast poczynił przygotowania do ślubu i połączył się z nią węzłem dozgonnym. Posagu dostał sto tysięcy dolarów, wskutek czego nazywano go szczęśliwym.

Młoda para przeżyła miodowe miesiące w rozkosznej wili nad jeziorem Pontchartrain. Pewnego dnia oddano młodemu małżonkowi list pisany znaną ręką; otrzymał go w bawialnym pokoju wśród mnóstwa zgromadzonych gości, zajęty, jak zwykle w salonach bywa, błyskotliwą, bez znaczenia rozmową. Trupia bladość okryła jego lica, potrafił jednak zapanować nad sobą nie okazując pomięszania, doprowadził do końca dowcipną sprzeczkę, którą toczył z jakąś damą, i w kilka minut wymknął się niespostrzeżenie z komnaty. Zamknąwszy się w swym gabinecie, przeczytał złowrogie pismo, — dlaczegóż musiał je czytać! List był od niej i zawierał szczegółowy opis udręczeń, jakie znosiła od rodziny swego opiekuna, który chciał ją zmusić do zaślubienia jego syna. Opowiadała następnie, że od pewnego czasu nie otrzymuje listów od narzeczonego, że pomimo to pisała kilka razy do niego, póki nie ogarnął ją smutek i zwątpienie, że pod ciężarem boleści duszy zdrowie jej podupadło całkowicie i że nakoniec przypadek nastręczył jej odkrycie ohydnej zmo-

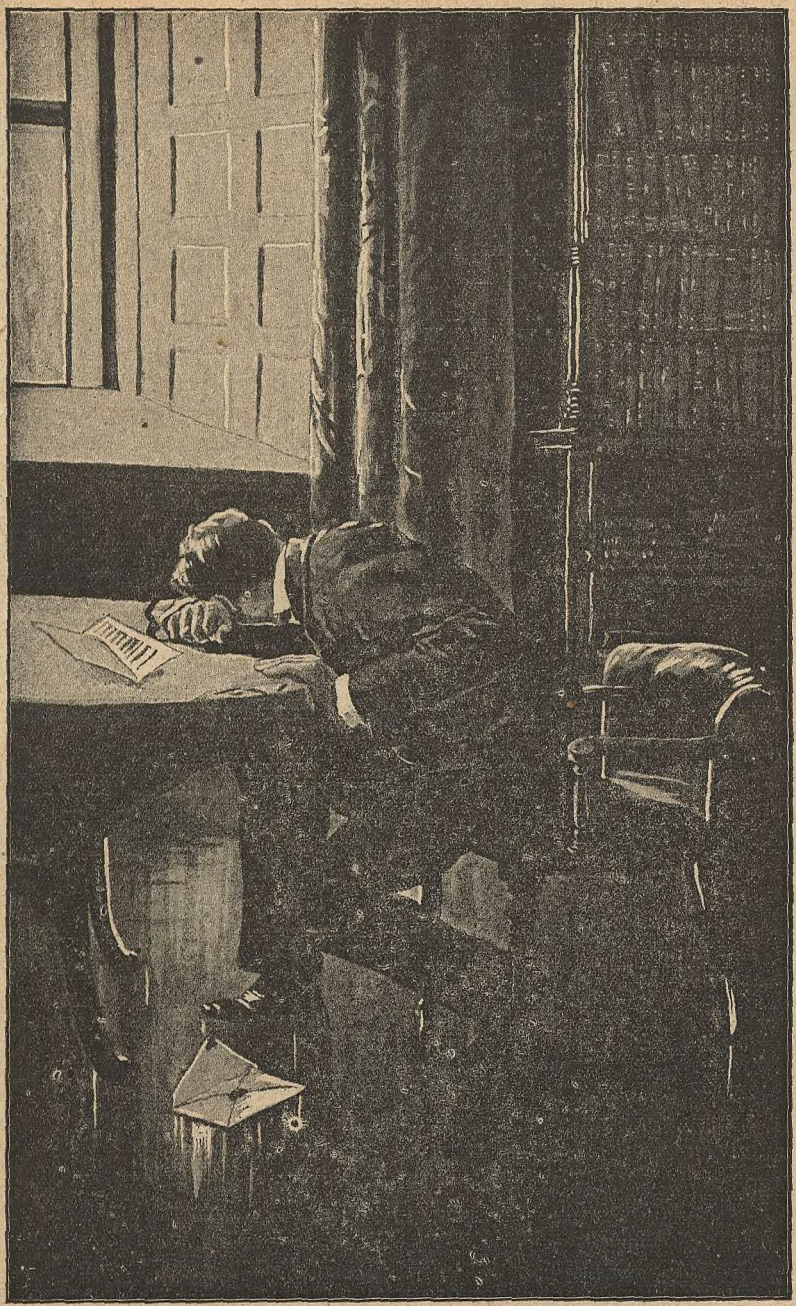

List ten sprawił mu wielką boleść . . .

wy ukartowanej przeciwko im obojgu. List kończył się wyrazami nadziei i wdzięczności Bogu, oraz czułem zapewnieniem o niezmiennem przywiązaniu. To wszystko było okropniejszem, niż śmierć dla biednego Augustyna.

Odpowiedział jej natychmiast: „Otrzymałem twe pismo zapóźno. Uwierzyłem oszukaństwu, i z rozpaczy o ż e n i ł e m s i ę. Wszystko skończone. Pozostaje nam zapomnieć o przeszłości".

Tak się zakończył romans Augustyna, tak rozprysł się jego promienny ideał; a pozostała pozioma rzeczywistość. Życie jego odtąd głuche, puste, jak piaskowa płaszczyzna brzegów morskich po odpływie wód, z których ani szmer połyskujących bałwanów, ani śpiew marynarzy, ani plusk wioseł kołyszących się na ich falach łodzi nie miał dolecieć uszu jego.

W romansach kończy się zwykle nieszczęśliwa miłość śmiercią kochanków i natem koniec; w bajce taki koniec jest bardzo właściwy, ale w rzeczywistości, gdy wszystko dla nas umiera, co życie opromieniało — sami nie umieramy. Jako zwykli śmiertelnicy musimy nadal jeść, pić, stroić się, bawić, jeździć w odwiedziny, rozmawiać, czytać, kupować, sprzedawać, słowem pozostaje to wszystko, co się pospolicie nazywa ż y c i e m. Wszystko to czekało Augustyna. Gdyby żona jego była żoną w najzacniejszem słowa tego znaczeniu, możeby jeszcze, jak niektóre inne niewiasty, potrafiła osłodzić żywot, możeby jeszcze powiązała pozrywane nici jego żywota i zrobiła z nich nową, wzorzystą tkaninę. Lecz Marja Saint-Clare ani nawet przypuszczała, żeby w życiu jej męża był jakikolwiek rozstrój. Marja, jakeśmy rzekli, była piękną, miała śliczne oczy, a w dodatku sto tysięcy dolarów; lecz na nieszczęście żaden z tych kosztownych klejnotów nie mógł być lekarstwem, jakiego potrzeba było dla zbolałego serca. Jeżeli jej się zdarzyło zastać męża leżącego bezwładnie na sofie, z twarzą bladą jak płótno, z wyrazem ciężkich boleści ducha, gdy narzekał na gwałtowny ból głowy, Marja doradzała mu wąchanie jakiegokolwiek spirytusu. Gdy zaś upływały całe tygodnie a bladość i ból głowy nie ustawały, mówiła tylko, że nie spodziewała się, ażeby Saint-Clare był tak chorowity. Okazało się jednak, że cierpiał często na ból głowy; było to prawdziwem nieszczęściem dla Marji, gdyż w czasie takich napadów mąż jej nie chciał wyjeżdżać z nią w gościnę, a jej samej w tak krótkim po ślubie czasie, przyznacie, że jakoś nie uchodziło. Augustyn cieszył się w duchu z tej nieprzenikliwości żony; lecz gdy ostygły czułości i wylania serca w miodowych miesiącach, z niemałem zadziwieniem spostrzegł natychmiast, że ładniuchna młoda kobieta, przed zamążpójściem zepsuta pieszczotami i dogadzaniem we wszystkiem, może stać się tyranem dla męża i domowników. Marja nigdy nie miała w duszy wielkiego zasobu przywiązania; teraz zaś i ów mały zapas uczucia, który był niegdyś w jej sercu, zniknął pod warstwą strasznego samolubstwa, połączonego z uporem i tępością umysłu. Krom popędów owego samolubstwa, nie doznawała żadnych innych uczuć. Od niemowlęctwa otaczali ją niewolnicy jej ojca, rzekłbyś na to tylko stworzeni, ażeby odgadywać i uprzedzać wszystkie jej zachcenia; nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, że czarni mogą

mieć także pewne prawa, że to ludzie z czuciem. Ojciec dogadzał jej we wszystkiem, jako jedynaczce. Gdy nakoniec wystąpiła na wielkim świecie piękna, bogata, rozkoszowała się widokiem wzdychających u jej nóg młodych wielbicieli, mających i niemających prawa do jej wyboru; to też nigdy nie wątpiła, że Augustyn, uznany godnym jej ręki, stał się najszczęśliwszym ze śmiertelnych. Myli się bardzo, kto sądzi, że kobieta bez serca może być pobłażliwym wierzycielem w rzeczy uczucia. Nikt bardziej nie wymaga tak wyłącznej, tak bezwarunkowej miłości jak kobieta samolubna; a im mniej stara się zasłużyć na przywiązanie, tem natrętniej i uparciej domaga się zapłaty miłości aż do ostatniego szeląga. To też gdy Saint-Clare począł po trosze zaniedbywać drobnostkowego dogadzania jej we wszystkiem i ciągłego świadczania czułostek, z któremi na początku występował z przyzwyczajenia, spostrzegł natychmiast, że jego rozkazodawczyni nie ma wcale zamiaru dać wolności swojemu niewolnikowi. Nastąpiły szemrania i dąsy, burze domowe i tragiczne sceny; wylano wiele łez, posypały się skargi i przycinki. Saint-Clare, dobry i pobłażliwy z natury, próbował z razu okupywać się darami i pochlebstwem; a gdy Marja powiła prześliczną córeczkę, doznał uczucia, jakoby w sercu jego obudziła się dla niej miłość.

Matka pani Saint-Clare miała duszę nader szlachetną i wzniosłą. Jej też imię dał swej malutkiej córeczce, ciesząc się nadzieją, że gdy podrośnie, to odzwierciedli mu drogi obraz matki. Ta na pozór błaha okoliczność obudziła w duszy Marji palące uczucie zazdrości, i od tej pory poczęła z niechęcią i smutkiem spoglądać na wzrastającą miłość ojca dla córki. Zdawało jej się, że dziecię przywłaszcza sobie tę miłość, która do niej samej należy. Po urodzeniu Ewuni, Marja podupadła na zdrowiu. Do chorobliwego stanu, który zwykł towarzyszyć brzemienności i pozostawać nadal, dołączyła się jeszcze zupełna nieczynność moralna i fizyczna, gryzące uczucie próżni i nudy, ustawiczne drażliwe usposobienie. I oto po kilku latach owa kwitnąca zdrowiem i krasą Marja zżółkła, zwiędła; prócz rzeczywistych dolegliwości, wmawiała w siebie inne urojenie, — poczęła uważać siebie za najnieszczęśliwszą, za najbardziej pokrzywdzoną na świecie istotę.

Nie było końca skargom i chorobie; większą część czasu zajmowała migrena, — często całe dnie i tygodnie Marja nie wychodziła z pokoju, nie wstawała z łóżka.

Cały zarząd gospodarski przeszedł w zawiadywanie sług; to też niema czego się dziwić, że Saint-Clare widział wszędzie nieporządek i zamieszanie. Córka jego była istotą słabą i bardzo delikatną, a ponieważ nie było komu doglądać jej z należytą pieczołowitością, więc też nie bez powodu począł się lękać o zdrowie a nawet życie Ewuni, która mogła zostać ofiarą niedbalstwa matki. Wyjeżdżając do Vermont, wziął ją więc z sobą, i namówił swą krewną pannę Ofelję Saint-Clare, aby mu towarzyszyła — i oto wszyscy troje powracają parowcem, na którym ich ujrzeliśmy po raz pierwszy.

A teraz, nim się zbliżą do miasta, którego szczyty domów już zdala widnieją, wypada nam jeszcze poznajomić bliżej czytelnika z panną Ofelją.

Kto podróżował w Stanach Nowej-Anglji, ten niewątpliwie przypomni sobie, że widział w jakiejkolwiek ustronnej a ponętnej osadzie, wielką farmę, szerokie, starannie zrównane i wysłane darnią podwórze, ocienione wiankiem szerokolistnych klonów; przypomni sobie też zapewne ów porządek, ów spokój, który się wokoło rozlewa. Wszystko tu na swojem miejscu, we wszystkiem widzimy ład; żaden kołek w parkanie się nie chwieje, żadnej skazy niema na zielonej darni podwórza, żadnej suchej gałązki w klombach pod oknami. Podróżnik przypomni sobie zapewne owe obszerne czyste komnaty w domach mieszkalnych, w których zda się, że nic nie robią, gdzie każdy przedmiot ma swoje ściśle oznaczone miejsce, gdzie cała gospodarka porusza się z akuratnością zegaru, który w takt uderza w kącie od czasów pradziada. W tak zwanym pokoju bawialnym soi mocna oszklona szafa z książkami; na jej półkach widnieją książki sławnych pisarzów, a także treści religijnej.

W salonie nie ujrzysz uwijającej się służby. Ład i porządek utrzymuje sama pani domu. Trudno zgadnąć, kiedy to wszystko zrobić zdoła, bo ile razy i o którejkolwiek porze wejdziesz do domu, wszystko znajdziesz uporządkowane. Nawet w kuchni, gdzie nieomal codziennie piorą bieliznę, nie znajdziesz nigdzie pyłku nawet, a podłoga biała jak mleko.

W jednej z takich farm i wpośród takiej patrjarchalnej rodziny, panna Ofelja spędziła około czterdziestu pięciu lat cichego, spokojnego życia, aż Saint-Clare zaproponował jej podróż na Południe i zabawienie u niego w gościnie. Pomimo tego, że była najstarszą córką pomiędzy liczną gromadką rodziny, ojciec i matka zawsze uważali ją za dziecię, i dlatego projekt jechania do Orleanu przestraszył w domu wszystkich. Osiwiały, sędziwy ojciec wydobył z bibljoteki atlas geograficzny, wynalazł długość i szerokość geograficzną miejsca, na którem leży miasto, a potem przeczytał uważnie Podróże na Wschód i Południe przez Flinta, dla dokładnego poinformowania się o miejscowości, do której zapraszają jego córkę. Poczciwa staruszka-matka, wypytywała się troskliwie, czy to prawda, co mówią, że Nowy-Orlean to gniazdo wszelkiego zepsucia? i dodawała, że jej samej się zdaje, iż jechać do Nowego-Orleanu znaczy to samo, co na wyspy Sandwichskie, lub do jakich dzikich bałwochwalców.

Niezadługo rozniosło się po całem miasteczku, że Ofelja Saint-Clare zamierza z krewnym swoim jechać do Nowego Orleanu. — Proboszcz, który serdecznie sprzyjał partji abolicyjonistów, wpadł w głęboką zadumę, czy aby wycieczka panny Ofelji do jednego ze stanów obstających za niewolą, nie będzie uważaną na Południu za dowód sprzyjania niewolnictwu, i tym sposobem głębiej jeszcze pogrąży ich umysły w zgubnem obłąkaniu. Przeciwnie rzecz się miała z doktorem, który należał do gorliwych kolonizatorów: jemu się zdawało, że panna Ofelja powinna koniecznie jechać do Orleanu, aby tameczni mieszkańcy przeświadczyli się, że jakkolwiek idą sprawy, tubylcy jednak źle im nie życzą; przekonanym był, że potrzeba niekiedy dodać otuchy mieszkańcom południowym. Gdy zaś opinja publiczna nabrała zupełnej pewności o rzeczywistych zamiarach panny Ofelji, obsypano ją ze wszech stron zaproszinami na herbatę, a do kogo tylko poszła, wszędzie omawiano jej plany

z drobiazgową ścisłością. Panna Mozelay, która w domu rodziców Ofelji szyła dla niej suknie na podróż, dzięki wieściom komunikowanym publiczności o garderobie przyszłej podróżniczki, z każdym dniem nabywała coraz więcej znaczenia. Przez jej usłużność dowiedziano się z pewnością, że pan Saint-Clare wyliczył pannie Ofelji pięćdziesiąt dolarów, prosząc, aby za nie kupiła sobie, co do podróży potrzebne, i że postanowiono sprowadzić z Bostonu dwie nowe jedwabne suknie i czepeczek tiulowy. Wydatek ten oceniała publiczność miasteczka rozmaicie: jedni mówili, że raz w życiu na taki luksus można sobie pozwolić; inni znowu nie ukrywali swego niezadowolenia, że lepiej było pieniądze te posłać misjonarzom. Lecz obie przeciwne strony zgadzały się z sobą, że nie widziano jeszcze nigdy w tej stronie takiej parasolki, jak tę, którą przysłano pannie Ofelji z Nowego-Jorku i że materja na suknię jedwabną przepyszna. Obiegały także dosyć prawdopodobnie wieści o chustce do nosa mającej haftowany szlaczek; co więcej, głoszono nawet, że jedna chusteczka cała była obszyta koronkami, ba! szeptano jeszcze, że i rogi miała haftowane, — lecz co do tego ostatniego punktu, nie można było dostatecznie go wyjaśnić. Takie to nic nie znaczące ploteczki krążyły po mieście.

Panna Ofelja, jak ją teraz widzicie, siedzącą w kajucie parowca, w nowiutenkiej płócienkowej sukience — jest więcej niż miernego wzrostu. Twarz jej chuda, wyraz wolny, usta zaciśnięte, jak u człowieka, który dobił się stanowczego poglądu na świat i życie, oczka ciemne, przenikliwe, przebiegające z przedmiotu na przedmiot, jakby szukając czegoś, nad czem należałoby się zastanowić. Wszystkie jej ruchy żywe i śmiałe, świadczyły o niezwykłej energji; każde słowo wypowiadała z namysłem. Lubiła nadzwyczaj akuratność i porządek. Punktualna, jak nakręcony zegarek, patrzała z pogardą na każdego, kto się od niej różnił w tym względzie. Największym grzechem łączącym w sobie wszystkie inne, było w jej oczach „niedbalstwo“. Tym wyrazem nazywała każdy niewłaściwy postępek, nie zmierzający do pewnego oznaczonego celu. Ludzi z brakiem energji, gnuśnych, żyjących bez szczerszych ideałów, oskarżała o „niedbalstwo“; dla nich odczuwała tylko wstręt, zbywała ich pogardliwem milczeniem.

Co się tyczy jej władz umysłowych, posiadała zdrowy i czynny rozsądek, dosyć dobrze obznajmiona była z dziejami i starymi klasykami angielskimi; a w pewnych, lubo niezbyt obszernych granicach, mogła pracować i duchowo.

Miała zdrowy pogląd na życie praktyczne, na gospodarstwo ze wszystkiemi odgałęzieniami i na stosunki polityczne jej rodzinnego miasteczka. Górującą nad wszystkiemi innemi zasadą jej moralnego kodeksu była niezwykła sumienność w wypełnianiu wszelkich obowiązków. W żadnym kraju uczucie obowiązku nie ma dla niewiasty tak wielkiego znaczenia jak w Nowej-Anglji. Sumienność jest tu kamieniem węgielnym, na którym opierają się wszystkie postępki kobiety; poczucie obowiązku panuje nadewszystkiem i przenika do głębi każde poruszenie duszy.

Panna Ofelja była w całkowitem znaczeniu tego słowa niewolnicą

obowiązku. Byle tylko nabrała przekonania, że „droga obowiązku", jak się zazwyczaj wyrażała, idzie w takim a takim kierunku, a już wtedy nie potrafiłby nikt skierować jej w inną stronę. Gdyby udało się w nią wmówić, że spuszczeniem się na dno studni lub ustawieniem się przed otworem nabitego działa, w chwili kiedy lont ma być przytknięty, dopełni swojego obowiązku, — poświęciłaby się bez namysłu. Jej ideał obowiązku miał tak niepojęcie wielkie rozmiary, tak ogarniał i rzeczy wielkie i drobiazgi, tak mało zostawiał miejsca pobłażaniu słabościom ludzkim, że pomimo bohaterskich wysiłków, ona sama nie mogła mu sprostać, — a wskutek tego nie miała pokoju od natrętnego i często bolesnego uczucia niezadowolenia z siebie samej. To nadawało jej religijnym przekonaniom wyrazu surowego i posępnego.

Lecz, zapyta może czytelnik, jakim cudem panna Ofelja poznała się z Augustynem Saint-Clare, z tym wesołym, niedbałym, ustawicznie przeciw akuratności wykraczającym człowiekiem, z tym, który bez zgryzot sumienia na każdym kroku lekkomyślnie poniewierał jej najdroższe przyzwyczajenia i przekonania?

Powiedzmy prawdę, panna Ofelja nabrała ku niemu przywiązania; kiedy bowiem był jeszcze chłopięciem, uczyła go katechizmu, miała staranie o jego sukienki, czesała go i myła, słowem, pełniła obowiązki opiekunki; a ponieważ czyniła to z poświęceniem, przeto Augustyn potrafił zawładnąć na zawsze jej sercem, to też i w chwili obecnej bez mozołu potrafił w nią wmówić, że „droga obowiązku" leży właśnie w kierunku Nowego-Orleanu, że koniecznie potrzeba, żeby z nim jechała, przyjęła na siebie opiekę nad jego córką, zajęła się gospodarstwem pozostawionem na łaskę i niełaskę służby i ochroniła dom jego od strat, na które jest narażony wskutek niedomagań jego żony. W duszy panny Ofelji wzbudziło się poczucie obowiązku; postanowiła go spełnić, a uczyniła to z tem większą chęcią, że pokochała od pierwszego razu małą Ewunię. Augustyna uważała za człowieka bez wiary, nieoledwie poganina; ale że go również kochała, śmiała się z jego żartów i była dla niego pobłażliwą, jakiej to pobłażliwości u niej nie znano i dziwiono się temu. W toku opowiadania zapoznamy się z nią bliżej.

Otóż panna Ofelja siedzi w kajucie wśród niezliczonych kufrów, walizek, pudełek, które stara się z wielką powagą zebrać razem, aby mieć je w pogotowiu, gdy trzeba będzie wysiadać.

— No, Ewuniu, czy masz wszystkie swoje rzeczy? Pewnie jeszcze nie, dzieci nigdy o tem nie myślą. Oto torba, pudełko z twoim czepeczkiem, to dwa; dalej worek, to trzy; skrzyneczka do robótek, to cztery; pudełko z moim czepeczkiem, pięć; drugie pudełko z mojemi kołnierzykami, sześć; i jeszcze walizka — wszystkiego siedm. Gdzie podziałaś swój parasolik? Daj mi go, trzeba go zawinąć w papier i związać z moim parasolikiem... ot tak...

— Ależ ciociu, do domu mamy blisko, na cóż to związywać?

— Żeby nie zgubić, moja duszko; rzeczy należy strzec. Powiedz mi teraz, gdzie twój naparstek, czy go schowałaś?

— Doprawdy, ciociu, nie wiem!

— No, dobrze; ja zaraz przejrzę sama twą skrzyneczkę: naparstek, wosk, dwie łyżki, scyzoryk, nożyczki, igielniczek — wszystko w całości. Teraz postaw to tutaj. Co też robiłaś, jadąc sama z tatką? Mnie się zdaje, że wszystko porozsiewałaś po drodze.

— Tak, ciociu, zgubiłam wiele rzeczy, a za każdym razem, skoro się gdzie zatrzymaliśmy, tatko kupował mi inne.

— Panie Boże! ale do czegóż to podobne, moja Ewuniu?

— To było bardzo dogodnie, ciociu.

— To było niedbalstwo! — zauważyła ciocia.

— Obaczże ciociu, co teraz począć? — rzekła Ewunia. — Ta waliza tak mocno napchana, że żadną miarą nieda się zamknąć.

— Musi się zamknąć, — odparła ciocia i poczęła wpychać rzeczy, przyciskając je z wierzchu kolanami; lecz pomimo wysiłku zawsze pozostawała szpara.

— Stań tutaj, Ewuniu — rzekła panna Ofelja. — Co można była raz zrobić, to i drugi raz da się. Waliza na to zrobiona, żeby się zamykała, więc musi się zamknąć.

I w istocie, rzeczy jak gdyby się skurczyły, zameczek się zasunął i panna Ofelja, przekręciwszy klucz z miną triumfującą, włożyła go do kieszeni.

— No, teraz wszystko gotowe. Gdzie twój tatko? Zdaje mi się, że już czas najwyższy wynieść bagaże na pokład. Obejrzyj się, czy go gdzie nie zobaczysz.

— Ot tam stoi, ciociu, i je pomarańczę.

— Zapewne nie wie, że dobijamy do brzegu, — rzekła ciotka. — Czyby nie lepiej było, żebyś pobiegła i powiedziała mu o tem?

— Ojczulek nigdy się nie spieszy, — odrzekła Ewunia; — jeszcze do brzegu też nie dopłynęliśmy. Proszę cię, ciociu, wyjdźmy na pokład. Ot tam, na tej ulicy, to nasz dom.

W tej chwili statek, ciężko sapiąc i stękając, jak potwór zmordowany długim biegiem, gotował się zająć miejsce w środku mnóstwa swoich towarzyszów, odpoczywających w przystani. Ewa uradowana, pokazywała ciotce wieże i kopuły kościołów i innych budowli, po których poznawała swoje rodzinne miasto.

— Tak, tak, moja duszko, — odpowiedziała z roztargnieniem panna Ofelja. — Ale cóż się z nami stanie? Statek się już zatrzymał; a ojca twego nie widać.

W tej chwili rozpoczął się zgiełk i zamęt, towarzyszący zwykle wylądowaniu; faktorowie biegają w różne strony, mężczyźni odbierają paki, skrzynki, worki; kobiety pomięszane, z obawą przywołują do siebie dziatwę, — i wszystko ciżbą pcha się w tę stronę, gdzie na brzeg rzucono deskę.

Panna Ofelja usiadła z powagą na tej samej walizie, nad którą niedawno odniosła tak świetne zwycięstwo, i nadawszy wszystkim swym kufrom i węzełkom szyk bojowy, wyglądała, jak gdyby chciała ich bronić.

— A waliza pani? Czy pani rozkażesz wziąć tę walizę? Proszę mi pozwolić, ja wezmę rzeczy pani. Czy pani rozkażesz zanieść? — Takie pytania sypały się ze wszystkich stron na bezbronną pannę Ofelję.

Ta zaś, płonąca od gniewu, siedziała wyprostowana jak trzcina, trzymając drogocenny pęczek parasolików w ręku i opędzając się tak nieprzystępnie brzmiącemi uc.nkowemi wyrazami, że te mogły odegnać najnatrętniejszego nawet faktora. W chwili wolnej między jednym a drugim napadem wypowiadała Ewie swe zadziwienie: „Co sobie twój ojciec myśli? Chyba nie spadł z pokładu do wody, ale doprawdy coś szczególnego się stać musiało“. Właśnie w chwili, kiedy już nabrała przekonania, że coś niedobrego się przytrafiło, właśnie pan Saint-Clare zbliżył się ku nim powoli, a dawszy Ewuni kawałek pomarańczy, zapytał głosem spokojnym:

— No, kuzynko, spodziewam się, że jesteś całkiem przygotowana do wyjścia.

— Od godziny jesteśmy gotowe i czekamy tutaj — odrzekła panna Ofelja — byłam naprawdę w strachu, czy się tobie co złego nie przydarzyło.

— Jesteś bardzo dobrą, kuzynko, ale patrzaj tylko, czy nie wybornie wszystko urządziłem? — rzekł Augustyn. — Powóz czeka nad brzegiem, ciżba się ustała, i my możemy teraz przejść swobodnie, jak przystoi na dobrego chrześcijanina, nie narażając się na zgniecenie lub zepchnięcie do wody... Hej! — dodał obracając się do faktora — zabierz te rzeczy.

— A ja pójdę zobaczyć, jak je ułoży w powozie, — rzekła panna Ofelja.

— Ej, kuzynko, tego wcale nie potrzeba...

— Niech i tak będzie; ale to i to poniosę sama, — rzekła Ofelja, przysuwając do siebie trzy pudełka i mały podróżny worek.

— Posłuchaj mię, moja kochana pani z Vermontu, proszę cię na prawdę, racz w naszym klasztorze postępować według naszej reguły zakonnej. Bądź pani tyle dobrą i postaraj się przejąć choć trochę naszego południowego charakteru, i na miłość Pana Boga, proszę tak siebie nie objuczać, bo tu pomyślą, że pani jesteś pokojówką. Proszę oddać walizki ot temu zuchowi i chciej pani być przekonaną, że postąpi z niemi tak ostrożnie jak ze szkłem.

Rozpacz ogarnęła pannę Ofelję, gdy krewny poodbierał jej skarby; lecz wszystko w karecie znalazła w całości.

— Gdzież Tomasz? — zapytała Ewunia.

— Na koźle, mój kotku! On u twojej mamy zastąpi miejsce owego pijaka, który to wywrócił karetę.

— O! Tomasz będzie wybornym woźnicą, ja to widzę, — rzekła Ewunia — on nie będzie się upijał.

Kareta stanęła przed domem zbudowanym w stylu na pół francuskim na pół hiszpańskim, a który w Nowym Orleanie jeszcze się widuje. Podwórze w kształcie regularnego czworoboku było otoczone zewsząd budowlami; wjeżdżało się nań przez sklepioną bramę. Urządzenie podwórza mogło zadowolić najwybredniejsze gusty: obszerne galerie otaczały je wkoło, arkady mauretańskie, cieniutkie kolumny; arabeski, jakby w śnie czarodziejskim przenosiły widza w czasy panowania wschodniego romantyzmu w Hiszpanji. W środku podwórza znaj-

dował się wspaniały wodotrysk, strzelający wysoką, srebrzystą strugą wody, która kroplistym deszczem spadała do szerokiego basenu, otoczonego szeroką wstęgą wonnych fijołków. Woda przejrzysta jak kryształ wrzała od ruchu mnóstwa złotych i srebrnych rybek, co jaśniały w niej i migotały jak żywe brylanty. Dokoła fontanny wzorzysta ścieżka wysłana mozaiką z różnokolorowych kamyków ułożona w mnóstwo fantastycznych figur; ścieżkę oblamowywała darniowa zielona taśma, mięciuchna jak aksamit; a poza nią ciągnęła się gładka jak stół droga dla powozów, zajeżdżających przed ganek. Dwa wielkie pomarańczowe drzewa, obsypane w tej chwili kwiatem, rzucały miły cień. Wokoło wodotrysku rozstawione były na trawniku arabskie, marmurowe wazy, w których się znajdowały najpiękniejsze i najrzadsze rośliny podzwrotnikowe. Cieniste drzewa granatowe, odziane lśniącemi liśćmi i wielkiemi jasnoczerwonemi kwiatami, jaśminy, już to obsypane srebrzystemi gwiazdami, już też połyskujące złocistą szatą, rozliczne gatunkiem i krasą geranie, przepyszne krzewy róży zginające się pod ciężarem kwiatów, werbena rozlewające zapach pomarańczy, tchnęły rozmaitością barw i woni. A wpośród tych jaśniejących młodością roślin stoi zgrzybiały, dziwacznych kształtów kaktus; rzekłbyś, że to stary czarodziej z dumnym spokojem patrzy na znikomą piękność i wonność otaczającej go roślinności. Galerje, otaczające, podwórze dla ochrony od upałów, obwieszone były firanami z jedwabnej materji, tkanej w guście maurytańskim. Wszystko to razem połączone stanowiło widok wspaniały, fantastyczny.

Gdy się kareta zatrzymała przed gankiem, Ewunia uradowana, wesoła, podobna była do ptaszyny gotującej się, by wylecieć z klatki.

— Jaki piękny, jaki miły nasz dom! nieprawdaż ciociu? — zawołała zwracając się do panny Ofelji. — Nieprawdaż, że tu bardzo pięknie?

— Bardzo pięknie, — odrzekła panna Ofelja, zstępując na ziemię, — chociaż, mówiąc prawdę, jakoś tu po pogańsku wygląda.

Tomasz, zszedłszy z kozła, przypatrywał się wszystkiemu z wyrazem spokojnego, dobrodusznego zadowolenia. Murzyn, dziecko natury, w którego umyśle tkwi pamięć przecudnych lasów rodzinnego kraju, kocha wszystko co piękne i fantastyczne. Wskutek tego naraża się często na szyderstwo białych, nie umiejących cenić zamiłowania jego do piękna i nierozumiejących głosu, jakim do nas natura przemawia.

Pan Saint-Clare, poeta duchem, uśmiechnął się, posłyszawszy zdanie panny Ofelji; a zwróciwszy się do Tomasza, który stał ciągle na jednem miejscu i przypatrywał się z twarzą promieniejącą zodowoleniem, zapytał go:

— Cóż, Tomaszu, podoba ci się tutaj?

— Tak, panie, tu bardzo pięknie!

— Zaczęto zdejmować bagaże i zanosić do domu; na wszystkich wyższych i niższych galerjach poczęły się tłoczyć gromady kobiet, mężczyzn i dzieci, aby zobaczyć powracającego pana. Jeden z nich, młody mulat, widocznie mający w domu pewne znaczenie, elegancko ubrany, wyjął z kieszeni naperfumowaną chusteczkę i wiewał nią na powitanie.

Zwracając się do służby, zaczął ją spędzać na drugi koniec ganku.

— Cofnijcie się! — zawołał rozkazująco. — Czy się nie wstydzicie tak pchać? Pozwólcie się panu przywitać wprzód z rodziną.

Wszyscy cofnęli się zbitą masą w jeden kąt; tylko dwóch barczystych murzynów znosiło bagaże do domu.

Dzięki zarządzeniom pana Adolfa, gdy się pan Saint-Clare, zapłaciwszy woźnicy, obrócił, już nikogo nie było, tylko sam pan Adolf w całej swej postaci, jaśniejący pięknym strojem, w jedwabnej kamizelce, z złotym łańcuszkiem u zegarka, kłaniający się w pas swemu panu.

— A, to ty, Adolfie! jak się miewasz, kochanku? — rzekł Saint-Clare, podając mu rękę. Adolf tymczasem z zadziwiającą biegłością wypowiedział powitalną mowę, którą od dwóch tygodni pracowicie układał.

— Wybornie! wybornie! — rzekł pan Saint-Clare, przerywając mu i przechodząc mimo ze zwykłą sobie niedbałością; — z ciebie wyborny mówca, ani słowa. Przypilnuj tu pakunków; do ludzi przyjdę zaraz.

Następnie poprowadził pannę Ofelię do wielkiej sali, której drzwi wychodziły na werandę.

Gdy to się dzieje, Ewunia lekka jak ptaszyna, przebiegła galerję, sale, i wpadła do maleńkiego buduaru, którego drzwi wychodziły także na werandę.

Wysoka, wychudła dama, z chorowitą, żółtą cerą i dużemi, czarnemi oczyma, podniosła się na wpół z kanapy, na której leżała.

— Mamo! — zawołała Ewunia, nieposiadając się z radości i rzuciła się jej na szyję i obsypywała pocałunkami.

— Na miłość Boga, ostrożnie, Ewuniu, bo spowodujesz mi znowu ból głowy — odrzekła matka, składając zimny pocałunek na czole dziecięcia.

Wtem wszedł pan Saint-Clare do komnaty, ucałował żonę, jak na męża przystało, a następnie przedstawił swą krewnę. Marja zwróciła na pannę Ofelję badawcze oczy i powitała ją bardzo chłodno.

Tymczasem do drzwi komnaty zaczęli się tłoczyć murzyni, a na czele ich piękna mulatka, drżąca z wzruszenia i niekłamanej radości.

— Ach, Mami, Mami! — krzyknęła Ewunia, i przebiegłszy przez pokój, rzuciła się w objęcia mulatki, obsypując ją pocałunkami i pieszczotami.

Mami nie odezwała się, że od pocałunków dostanie bólu głowy; przeciwnie, to tuliła do siebie dziecię, to śmiała się, to płakała naprzemian, tak że patrząc na to, możnaby sądzić, iż rozum straciła. Wyrwawszy się z objęć Mami, Ewunia przebiegła od jednego murzyna do drugiego, ściskała każdego za ręce i tuliła się ku każdemu z takim zapałem, że Ofelji, mówiąc jej własnemi słowami, przewracały się od wstrętu wnętrzności.

— No! — rzekła panna Ofelja — wasze dzieci na Południu robią to, czegobym ja za nic w świecie zrobić nie mogła.

— A cóż takiego, kuzynko? — zapytał Saint-Clare.

— Jestem także łagodną i uprzejmą dla każdego, nikogo nie skrzywdzę; — ale całować...

— Murzynów! — dokończył pan Saint-Clare — tego nie zdołałabyś przemóc na sobie... Czy tak?

— Muszę się przyznać, że tak. Jakże to można? — Pan Saint-Clare roześmiał się i wyszedł na werandę.

— A gdzieżeście? Chodźcie tu wszyscy! — zawołał. — Czyście radzi, że przyjechałem? — Mówiąc to przechadzał się od jednego do drugiego, i kolejno podawał wszystkim rękę. Usuńcie dzieci! — dodał potknąwszy się o czarnookiego mulata, który leżąc na posadzce, przebierał rękoma i nogami. — Jeśli którego nadepnę, niech się do mnie zgłosi.

Głośne śmiechy i życzenia zdrowia kochanemu panu rozlegały się wokoło, który tymczasem obdzielał swą służbę drobną monetą.

— No, a teraz idźcie sobie z Panem Bogiem! — rzekł, i cała gromada, czarnych i miedzianych postaci znikła za drzwiami. W ślad za nimi udała się Ewunia z ogromnym workiem, który w powrocie przez całą drogę naładowywała jabłkami, orzechami, cukierkami, kawałkami wstążek i tym podobnemi drobiazgami.

Wróciwszy do komnaty, spostrzegł pan Saint-Clare Tomasza, stąpającego z nogi na nogę i widocznie niewiedzącego co z sobą począć, gdy tymczasem pan Adolf oparty łokciem o kratę galerji, ze szkiełkiem na oku, mierzył go wzrokiem od stóp do głowy.

— Ach, ty niedołęgo! — zawołał Saint-Clare, odrywając mu szkiełko od oka, — także to godzi się obchodzić ze swym towarzyszem? — Ale co ja widzę, zdaje mi się, Adolfie, — dodał dotykając palcem jego atłasowej kamizelki, którą ten tak się pysznił — zdaje mi się, że to moja kamizelka?

— O, panie! ta kamizelka cała zlana winem, cała splamiona! Taki wielki pan, żadną miarą nosić jej nie może. Otóż zdało mi się, że ją wziąć powinienem: dla biednego jak ja murzyna, to dobra.

Adolf potrząsnął głową i z wdziękiem pogładził ręką naperfumowaną czuprynę.

— Teraz zaprowadzę Tomasza pokazać pani — rzekł pan Saint-Clare — a potem odprowadzisz go do izby czeladniej. Tylko proszę cię, nie odgrywaj przed nim pana; on wart dwóch takich, jak ty, mizgusiów.

— Pan zawsze lubi żartować, — odrzekł uśmiechając się Adolf; — cieszę się niezmiernie, że widzę pana w tak dobrem usposobieniu.

— Chodź tutaj, Tomaszu — rzekł Saint-Clare, zwracając się ku drzwiom salonu.

Wszedłszy do środka, z podziwieniem oglądał się Tomasz wokoło po aksamitnych kobiercach, ogromnych zwierciadłach, obrazach, posągach, jedwabnych zasłonach, wszędzie przepych, o którym nie miał przedtem pojęcia, — i jak niegdyś królowej Sabie, gdy weszła przed oblicze Salomona, tak i jemu zabrakło w piersiach tchu; lękał się stąpać na kobierzec.

— Spojrzyj Maryniu, — przemówił Saint-Clare, wprowadzając Tomasza, — kupiłem ci woźnicę, jakiego sobie życzyłaś; jest trzeźwy i pojedzie z tobą tak wolno, jak na pogrzeb, jeśli będziesz tego sobie ży-

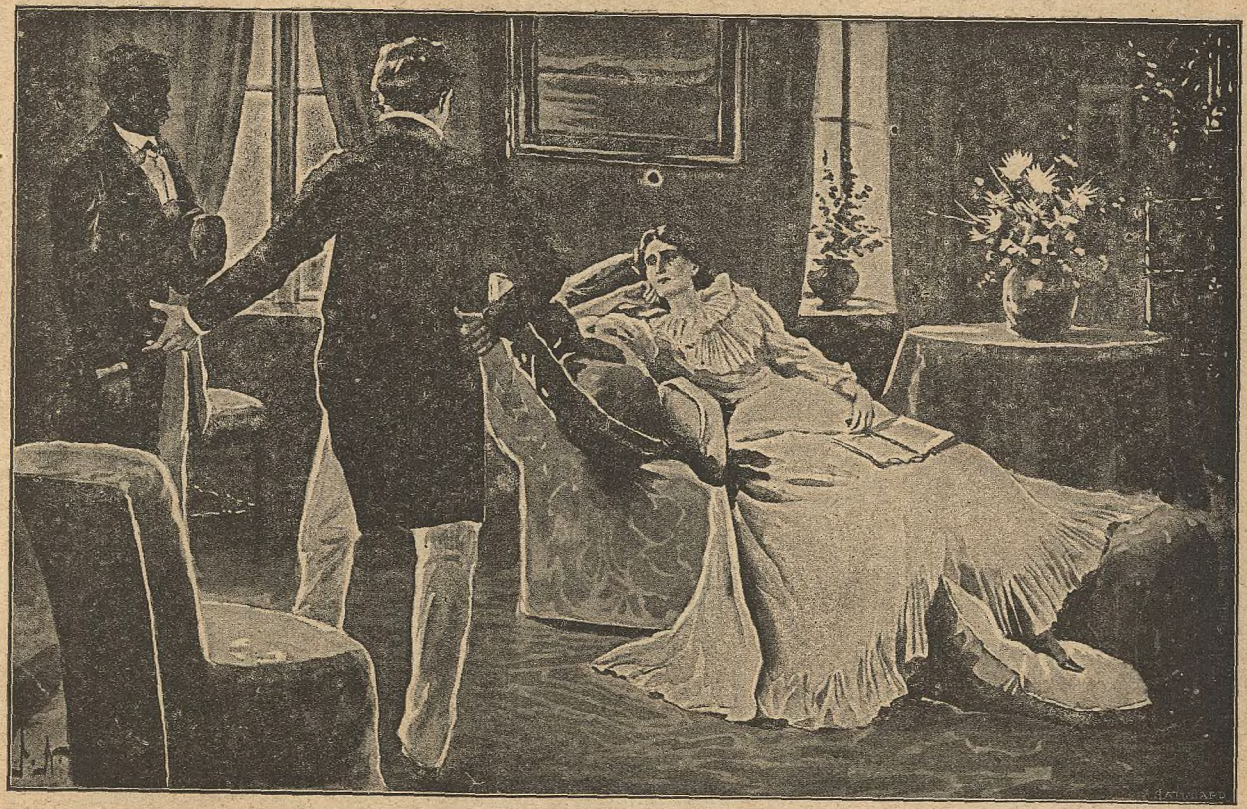

Proszę cię, spojrzyj — kupiłem ci woźnicę . . .

czyła. Otwórz, proszę oczki, moja duszko, i popatrz na niego. A nie mów, że gdy jestem w drodze, o tobie nie myślę.

Marja podniosła powieki i nie ruszając się z kanapy, wlepiła wzrok w Tomasza.

— Jestem przekonana, że i ten będzie się upijał.

— Nie, moja duszko, — odezwał się Saint-Clare; — zapewniono mnie, że jest porządnym i trzeźwym człowiekiem.

— Gotowam uwierzyć, chociaż nie bardzo ufam.

— Adolfie, — rzekł Saint-Clare; — odprowadź Tomasza na dół; a proszę pamiętać o tem, co ci mówiłem przed chwilą.

— Adolf poszedł przodem drobniutkiemi krokami, a Tomasz stąpając ciężko i niezgrabnie, udał się za nim.

— To prawdziwy kloc, — odezwała się Marja.

— Moja Maryniu, — rzekł Saint-Clare, siadając na krześle obok kanapy, — bądźże też grzeczniejszą, odezwij się do mnie nieco łagodniej.

— Dlaczego bawiłeś dwa tygodnie dłużej? — zapytała Marja z miną zadąsaną.

— Przecież zawiadomiłem cię, dla jakich przyczyn nie mogłem przyjechać prędzej.

— A prawda, powiadomiłeś mnie krótkim listem, tak od niechcenia.

— Moja duszko, poczta odchodziła za pięć minut; uważałem, że lepiej napisać choć kilka słów, niż wcale nie pisać.

— Tyś zawsze taki sam, zawsze wynajdujesz przyczynę, dla której listy twoje są krótkie, a powrót zwlekasz Bóg wie do jakiego czasu.

— A teraz, — ciągnął dalej Saint-Clare, wyjmując z kieszeni prześliczny aksamitny futeralik i otwierając go przed Marją, — obacz jaki ci upominek przywiozłem z Nowego Jorku.

Był to dagerotypowy portret Ewuni i jej ojca, odbity na jasnej powierzchni wyraziście i delikatnie jak staloryt; oboje przedstawieni byli w postawie siedzącej.

Marja spojrzała z nieukontentowaniem na portret.

— Co cię mogło spowodować do wybrania tak dziwacznej pozycji?

— To rzecz smaku. A jak uważasz podobieństwo?

— Jeżeli w jednej rzeczy sąd mój sobie lekceważysz, to z pewnością i druga odpowiedź nie będzie miała dla ciebie znaczenia, — odpowiedziała, zamykając futeralik.

— Nieznośna kobieta! — pomyślał w duchu pan Saint-Clare, głośno dodał: — ależ powiedz mi, czy znajdujesz podobieństwo, bądź przecież rozsądną.

— Jesteś bezwzględny, dręcząc mnie pytaniami. Wiesz, że cierpię na migrenę i przez dzień cały leżę na kanapie; od chwili twego przyjazdu w całym domu zgiełk nie do zniesienia; umieram prawie ze zmęczenia.

— Pani cierpisz na migrenę? — zadźwięczał niespodzianie głos panny Ofelji, wstającej z ogromnego fotelu, na którym spokojnie siedziała i w myśli oceniała znajdujące się w komnacie meble.

— Tak, jestem prawdziwą pod tym względem męczennicą.

— Bardzo skutecznem lekarstwem na migrenę jest wywar z jałowcowych jagód, — odezwała się znowu panna Ofelja; — tak przy-

najmniej utrzymywała zawsze matka naszego księdza proboszcza; a trzeba wiedzieć, że to zawołana lekarka.

— Muszę dać polecenie, żeby w tym celu zebrano pierwsze jakie dojrzeją jagody z jałowcu rosnącego w naszym ogrodzie nad jeziorem, — wyrzekł Saint-Clare z największą powagą, i pociągnął za sznurek od dzwonka; — a tymczasem kuzynko, nie zawadziłoby, żebyś przeszła się do swego pokoju i odpoczęła nieco po nużącej drodze. — Dolfie, — rzekł potem, — zawołaj tu Mami.

Po upływie minuty weszła do komnaty ta sama przyjemna mulatka, którą Ewa całowała z takim zapałem. Ubiór jej był staranny i czysty: na głowie miała turban w jasno czerwone i żółte pasy, dar tylko co otrzymany od Ewuni, która właśnie ułożyła go na głowie swej ulubionej Mami.

— Mami, — rzekł Saint-Clare, — poruczam twoim staraniom tę damę, która zmęczona podróżą, potrzebuje wypoczynku. Odprowadź panią do jej pokoju i postaraj się, żeby mogła odetchnąć bez przeszkody!

Panna Ofelja odeszła w towarzystwie Mami.

———o———

ROZDZIAŁ XVI.

Nowa właścicielka Tomasza i jej sposób myślenia.

Obecnie nastaną dla ciebie lepsze chwile, moja droga — odezwał się pan Saint-Clare kilka dni później po przyjeździe swoim, siedząc w gronie rodziny przy śniadaniu, do żony. — Mamy ciotkę Ofelję, znającą się znakomicie na gospodarstwie, tak że możemy na niej zupełnie polegać. Ceremonja wręczenia jej kluczy mogłaby się odbyć natychmiast; byłoby to najlepiej. Ty zaś odpoczniesz i wrócisz do sił.

— Nie mam nic przeciwko temu, — odrzekła Marja, oparłszy głowę na ręku. — Jestem pewna, że i ona przekona się, że tu na Południu prawdziwymi niewolnikami są nie murzyni, ale my sami, panowie.

— O! bez wątpienia przekona się i o tem i o bardzo wielu innych pożytecznych rzeczach.

— A wielu zarzuca nam, że w ogóle trzymamy niewolników, jak gdybyśmy to czynili dla naszej własnej korzyści. — Sądzę, że gdybyśmy myśleli tylko o sobie, tobyśmy natychmiast rozpuścili wszystkich do ostatniego.

Aniela wlepiła w matkę swe duże, rozumne oczęta i z zdziwieniem zapytała:

— Więc na cóż ich trzymasz, mamuniu?

— Jeżeli nie na nasze udręczenie, to doprawdy nie wiem na co. Jestem pewna, że oni to są najgłówniejszą przyczyną mego cierpienia; ale też nasi niewolnicy są ze wszystkich najgorsi.

— W niedobrem wstałaś dziś usposobieniu, moja droga, — zauwa-

żył Saint-Clare. — Sama wiesz, że tak nie jest. Oto naprzykład Mami, — najpoczciwsze stworzenie: cobyś ty bez niej zrobiła?

— No, można powiedzieć, że Mami jest najlepsza z wszystkich — odrzekła Marja; — a jednak jest ona samolubna! Na nieszczęście, jest to wada wszystkim czarnym przyrodzona.

— Tak, masz słuszność: samolubstwo jest ogromną wadą, — wyrzekł z powagą pan Saint-Clare.

— Otóż, dajmy na to Mami; czyż to nie samolubstwo z jej strony spać przez całuteńką noc jak zabita? Wie, że w czasie gwałtownych ataków migreny, co chwilę prawie potrzebuję jej pomocy, a dobudzić jej się nie można. Tak też i dzisiaj czuję się o wiele więcej chorą, bo musiałam wszystkie siły natężyć, żeby jej się dobudzić.

— Mamo, a czyż ostatniemi czasy nie siedziała ona z tobą po całych nocach, tak że nieraz oka nie zmrużyła? — zapytała Ewunia.

— A skąd wiesz o tem? Z pewnością się skarżyła?...

— Nie, mamo, wcale się nie skarżyła; mówiła mi tylko, że ostatniemi czasy bardzo niespokojne i bezsenne miałaś noce.

— Wypadałoby ci zamiast Mami wziąć na kilka nocy Janinę albo Rózię, a niechby ona odpoczęła — zauważył pan Saint-Clare.

— Nie pojmuję wcale, jak można gadać podobne rzeczy. Ty zupełnie nie wiesz, co mi doradzasz! Przy takiem rozdrażnieniu nerwów, tobie chce się, żebym zdała się na łaskę ludzi nie umiejących usłużyć, — toby mnie zabiło! Gdyby Mami miała ku mnie choć trochę przywiązania, które mieć przecież powinna, to zapewne nie pozwalałaby mi tak się dręczyć. Bywają jednak ludzie szczęśliwi, którzy mogą pochwalić się wiernymi sługami, ale ja tego szczęścia nie mam.

Marja westchnęła głęboko.

Panna Ofelja słuchała tej rozmowy z poważnym, spostrzegawczym wyrazem twarzy i mocno zaciśniętemi ustami, jak gdyby chciała wprzód dobrze ocenić pozycję, nim się wmięsza do rozmowy.

— Nic przeciw temu nie mówię, — ciągnęła dalej Marja, — że Mami ma pewne zalety, jest pokorna, posłuszna, ale w duszy wielka samolubka! Oto naprzykład będzie przez całe życie płakała po mężu! Widzisz bo, kuzynko, kiedy wyszłam za mąż i tu trzeba było się przenieść, nie mogłam nie zabrać jej z sobą, a mój ojciec znowu nie może oddać jej męża, ponieważ mu również jest potrzebny.. Przewidziałam, że tak będzie, i zawczasu radziłam Mami, że lepiej zrobi, jeśli się rozłączy z mężem całkiem: ponieważ żyć razem z sobą już nigdy nie będą. Żałuję bardzo, żem nie postawiła na swojem: należało mi wtedy zmusić Mami, żeby zaraz wyszła za mąż za kogo innego; ale wtedy nie miałam jeszcze tyle doświadczenia, zanadto byłam łagodna i nie chciałam jej przymuszać. Wszelako uprzedziłam Mami, żeby nie łudziła się daremną nadzieją ujrzenia swego męża więcej nad kilka razy w całem życiu, a to dlatego, że klimat w majątkach mego ojca szkodzi mojemu zdrowiu i nie pozwala mi tam przebywać; ale kiedy poczęłam jej wmawiać, żeby wyszła za drugiego, proszę sobie wyobrazić, nie chciała ani słuchać. W charakterze Mami jest bardzo dużo uporu; ale prócz mnie, nikt tego nie widzi.

— A czy ma dzieci? — zapytała panna Ofelja.

— Ma dwoje.

— Mnie się zdaje, że ona także musi cierpieć z powodu rozdziału z nimi.

— Bardzo być może; ależ nie sposób mi było wozić z sobą jej czarnych potworków i codzień na nie patrzeć. Przytem wiele zabierałyby czasu samej Mami; a jednak wiem dobrze, że dotąd o nich nie zapomniała. Nie chce pojąć drugiego męża, i jestem przekonana, że choć wie, jak mi gwałtownie jest potrzebną przy mojem osłabieniu, gdyby mogła, jutroby pewnie uciekła. Otóż tacy są oni wszyscy, żadnego nie mają przywiązania.

— Smutno pomyśleć, jaka to czarna niewdzięczność! — wtrącił pan Saint-Clare.

— Panna Ofelja spojrzała na niego z uwagą i dostrzegła na twarzy jego ślady ukrytego przykrego uczucia, a na ustach wyraz jadowitego szyderstwa.

— Gdybyś widziała, jak ja tę Mami pieszczę! — ciągnęła dalej Marja, zwracając się do panny Ofelji. — Radabym była, żeby która z waszych pokojówek na północy zajrzała do szafy z jej garderobą, czego tam u niej nie ma: suknie jedwabne, muślinowe, a nawet jedna z prawdziwego batystu. Nie uwierzysz pani, że niekiedy całe godziny traciłam nad wyborem jednego z jej kapeluszy, gdy się zdarzyła potrzeba zabrania jej z sobą dokądkolwiek. Postępuję z nią łagodnie; przez cały czas, jeśli się nie mylę, tylko dwa razy otrzymała chłostę. Każdego dnia ma mocną herbatę albo kawę słodzoną. Jest to w istocie bardzo niepotrzebne pobłażanie; ale proszę tu dać radę, kiedy Saint-Clarowi chce się koniecznie, żeby nasza służba żyła po pańsku; otóż i żyją, jak im się podoba — a to właśnie dlatego, żeśmy ich zepsuli pieszczotami i zrobili przez to jakiemiś moralnemi półpotworami. Nieraz były między nami o to gniewy; ale obecnie mam tego dosyć.

— I ja mam tego dosyć — dodał pan Saint-Clare, zabierając się do czytania gazety.

Śliczna Ewunia stała przez cały ten czas, słuchając ze skupioną uwagą słów matki. Nareszcie podeszła z cicha do krzesła i drobniutkiemi rączkami objęła ją za szyję.

— A cóż tobie, Ewuniu? — zapytała matka.

— Mamusiu, pozwól mi pobyć przy tobie przez jedną nockę, tylko przez jedną. Sądzę, że mi się uda nie rozdrażnić twych nerwów, ani nie zasnąć. Mnie się często zdarza, że przez całą noc nie zamknę oczu i ciągle coś myślę.

— Ach, ciągłe dziwactwa, zawsze powiesz jakieś głupstwo! — rzekła Marja. — Jesteś doprawdy nieznośna!

— Pozwól, pozwól, droga mamusiu; mnie się zdaje — dodała z nieśmiałością, — że Mami nie całkiem zdrowa; przyznała mi się niedawno, że w tych dniach cierpi ciągle na ból głowy.

— Otóż to, ciągle jakieś wymysły! Mami taka sama jak wszyscy czarni, dla jakiegoś głupiego bólu głowy, dla rozcięcia palca nożem, Bóg wie co gotowi wyrabiać; nie trzeba przytakiwać ich dziwactwu, nigdy! Wzięłam to sobie za prawidło. Obaczysz pani, — dodała, zwracając

się do Ofelji, — że inaczej nie można sobie z nimi dać rady. Pozwólmy tylko sługom kaprysić wedle ich woli, skarżyć się na lada dzieciństwo, to zupełnie zatrują nam życie. Uważam za powinność cierpieć w milczeniu... i cierpię.

Pan Saint-Clare spojrzał na pannę Ofelję i dostrzegł w jej dużych oczach tyle niedowierzania i zdziwienia, że nie mogąc się dłużej powstrzymać, rozśmiał się w głos.

— Saint-Clare zawsze się śmieje, skoro tylko wspomnę o mych udręczeniach, — rzekła Marja bolesnym głosem: i przycisnęła chustkę do oczu — daj Boże, ażeby tego kiedy nie pożałował.

Nastąpiło ogólne milczenie. Nareszcie pan Saint-Clare wstał z krzesła i spojrzawszy na zegarek, rzekł, że ma interes do miasta. Ewunia pobiegła cichutko za nim; pani Ofelja pozostała sama z Marją.

— Otóż Saint-Clare zawsze taki, jak dzisiaj, — rzekła Marja, odejmując ze złością chustkę od oczu, widząc że mąż już wyszedł. Nie może, nie chce zrozumieć, ile ja cierpię, ile wycierpiałam. Gdybym się przynajmniej liczyła do rzędu tych, co skwierczą dla lada lichego powodu, byłaby jakaś przyczyna do podobnego ze mną postępowania! Bez wątpienia, że dla mężczyzn przykrą jest żona, która wiecznie płacze, wiecznie narzeka. Lecz z zaparciem się siebie samej, znosiłam wszystko; aż na koniec mąż mój nabył przekonania, że mogę wszystko znosić.

Panna Ofelja nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Przecież, zanim się namyślała, coby odpowiedzieć, Marja, pomału otarła łzy, poprawiła ubiór, jak synogarlica swe pióra po deszczu, i zwróciła się do swej krewnej z pełnemi żywości i swobody wyrazami, mówiąc o sprzętach stołowych, o bieliźnie, śpiżarni i innych szczegółach domowej gospodarki, co wszystko wskutek zobopólnej umowy miało przejść w zawiadywanie panny Ofelji; obsypała ją takim gradem nauczek, przestrog i poleceń wszelkiego rodzaju, że kto inny na miejscu Ofelji, mniej rozsądny, samby nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Teraz — mówiła dalej Marja — zdaje mi się, że wiesz pani już wszystko o co chodzi, i gdy przyjdzie dla mnie znowu czarna chwila, sądzę, że będziesz mogła dać sobie radę beze mnie. Pozostaje mi tylko powiedzieć jeszcze słówko o Ewuni: nad nią potrzeba pilnego dozoru.

— Mnie się zdaje, — rzekła panna Ofelja, — że Ewunia jest bardzo dobrem dzieckiem. Nie zdarzało mi się widzieć tak milutkiej dzieweczki.

— Ale ma dużo przywar, — rzekła matka, — bardzo dużo; zupełnie niepodobna do mnie, całkiem niepodobna, — wymówiła z westchnieniem, jak gdyby w samej rzeczy było nad czem ubolewać.

— I Bogu dzięki za to! — pomyślała w duchu panna Ofelja, ale będąc rozsądną, wolała milczeć.

— Ewunia przestaje z chęcią ze sługami; w ogólności nie miałabym nic przeciw temu; ja sama nawet w dzieciństwie bawiłam się z służebnemi mego ojca, i nic mi się nie stało. Ale Ewunia bawi się z niemi jak z równemi sobie: jest w niej coś dziwnego, czego pojąć nie mogę. Trudno mi odzwyczaić ją od tego dziwactwa; a Saint-Clare, zdaje mi

się, że naumyślnie podsyca w niej tę zgubną skłonność. Na nieszczęście Saint-Clare pieści wszystkich w domu — oprócz żony.

Panna Ofelja zachowała głębokie milczenie.

— Ze sługami nie można inaczej dać sobie rady, — mówiła dalej Marja, — jak trzymać ich krótko. Od dziecka miałam takie usposobienie. Ale Ewunia w kilka dni gotowa mi zepsuć wszystkich. Nie wiem doprawdy, co się stanie, gdy sama pocznie rządzić w domu. Ja lubię być dobrą dla sług i zawsze jestem dobrą, ale wymagam, żeby wiedzieli, że są sługami. Ewunia nie umie trzymać ich na wodzy i żadnym sposobem nie można wbić jej do głowy najprostszego pojęcia, gdzie powinno być

Panna Ofelia poczęła pracować drucianemi pręcikami z niezwykłym zapałem . . .

miejsce dla sługi! Słyszałaś pani sama, jak projektowała mi, że będzie mnie pielęgnowała w nocy, bylebym nie turbowała Mami. Oto próbka jej postępowania; coby się to działo, gdyby tylko mogła robić coby chciała.

— Jednak — rzekła na koniec panna Ofelja — nie może pani zaprzeczyć, że słudzy są także ludźmi i że po trudach również potrzebują wytchnienia.

— Któż temu przeczy? Ja pierwsza z całą usilnością staram się o to, żeby mieli wszystko, co im potrzeba, wszystko, co nie wykracza poza właściwe granice. Mami może się wyspać, kiedy tylko zechce; o to nie ma powodu się troszczyć. Takiego śpiocha, jak Mami, jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć: czy to stoi, czy siedzi, czy szyje, czy się modli, — skiwnie się i śpi. Wypoczywa za wiele... nie miejmy o nią

kłopotu. Śmieszna jest owa czuła delikatność, z jaką mąż mój obchodzi się ze służbą, jak gdyby to były jakieś wrażliwe podzwrotnikowe roślinki, albo naczynia z chińskiej porcelany, na które wolno tylko patrzeć, ale je nie dotykać. — Dokończając słów tych, ujęła stojący na stoliku flakonik z orzeźwiającym perfumem i rzuciła się na miękkie poduszki na sofie.

— Widzisz pani, — odezwała się po chwili cichym, delikatnym, na pół smętnym głosem, — widzisz, kuzynko Ofelio, nie mam zwyczaju mówić o samej sobie. To się nie zgadza z mojemi przekonaniami, — nie lubię tego. A jednak nie wszystko można przemilczeć. Między mężem a mną zdarzają się często różnice w zapatrywaniach; nigdy bowiem mnie nie rozumiał, ani też chciał zrozumieć, nigdy nie umiał mnie należycie cenić. Z pewnością nie mylę się, gdy powiem, że to jest właśnie powód moich cierpień. Może czyni to w najlepszej wierze, przecież, nie da się zaprzeczyć, że mężczyźni są wobec kobiet samolubni i bezwzględni. Mówię to z doświadczenia.

Panna Ofelja, nie lubiąca się zajmować cudzemi sprawami, mianowicie dotyczącemi wewnętrznych stosunków rodziny, spostrzegła z niepokojem, że grozi jej podobne niebezpieczeństwo. Twarz jej pokryła się chmurą niezadowolenia; wyjąwszy z kieszeni prawie na łokieć długą pończochę, którą zawsze miała przy sobie, jako skuteczny środek na odpędzenie pokus szatańskich, najnatarczywiej napastujących wtedy, gdy człowiek siedzi z próżnującemi rękoma, poczęła pracować drucianemi pręcikami z niezwykłym zapałem. Zaciśnięte jej usta zdawały się mówić: daremne twoje usiłowania, ani słowem się nie odezwę; nie chcę znać tajników waszego pożycia. Panna Ofelja wyglądała w tej chwili jak wykuty z kamienia posąg.

Ale Marja nie zwracała na to uwagi; rada była, że znalazła osobę, przed którą mogła się wygadać do woli. Pokrzepiła się tedy kilkorazowem powąchaniem orzeźwiającej w flakoniku wody i tak mówiła dalej:

— Trzeba wiedzieć pani, że prócz majątku, otrzymałam w posagu pewną liczbę niewolników; to też sądzę, że mam niezaprzeczone prawo rozporządzać nimi wedle własnej woli. Saint-Clare ma swój majątek, swoich ludzi, niech sobie ze swymi postępuje, jak sam zechce, lecz jemu chce się koniecznie mięszać i w moje interesy. W niektórych sprawach postępuje sobie zupełnie niedorzecznie: i tak naprzykład, prócz mnie, nie pozwoli nikomu w domu swoim uderzyć niewolnika i w tym względzie tak się uparł, że sama boję się mu sprzeciwić! Teraz zrozumiesz pani, co stąd wynika. Saint-Clare nie trąci niewolnika, choćby na głowach stawali. Przecież ja ich bić nie będę, bo to nad moje siły; a bez kary, tak samo jako dzieci, obyć się nie mogą. Pani sama to wiesz najlepiej.

— Ja nic nie wiem i dziękuję Bogu, że nie wiem.

— Dobrze, dobrze; jak pani tu pomieszkasz, to się dowiesz; ani pojąć możesz, jak ci ludzie są nieznośni, obrzydliwi, niewdzięczni.

Jak tylko Marja o tym przedmiocie zaczynała mówić, ożywiała się i jakby cudem nabierała sił. Tak się stało i teraz: odsłoniła ożywione oczy, i zdaje się, że całkiem zapomniała o niedomaganiu.

— Pani nie pojmujesz i nie możesz pojąć, jakie męczarnie musi cierpieć gospodyni domu na każdym kroku od tych bydląt. Skarżyć się mężowi, na nicby się nie zdało. Zawsze będzie ich brał w obronę; powiada naprzykład, że my sami zrobiliśmy ich takimi, i dlatego powinniśmy cierpliwie znosić ich wady. W nas samych, powiada, leży przyczyna ich wad; postępowalibyśmy z nimi nie po ludzku, gdybyśmy ich karali za nasze winy. Lecz mało tego jeszcze; twierdzi nadto, że my sami nie bylibyśmy lepszymi na ich miejscu, — jak gdyby można porównywać ich z nami!

— Więc pani nie zgadzasz się na to, że oni tak samo, jak my, są dziełem rąk Bożych, równemi nam dziećmi jednej wielkiej rodziny? — zapytała sucho panna Ofelja.

— Oni równi nam?... Przenigdy! Jeszcze tylko tego potrzeba... to plemię skazane jest na poniżenie.

— Czyż pani sądzisz, że nie mają oni nieśmiertelnej duszy, tak samo jak my?

— Owszem, owszem, — odrzekła Marja poziewując; — to nie podlega żadnej wątpliwości. Ale stawiać ich na równi z nami, to niedorzeczność. A jednak pewnego razu Saint-Clare na prawdę gadał takie dziwne rzeczy, że naprzykład rozdzielić Mami z jej mężem, to tak samo, jak rozdzielić mnie z moim. Czyż można robić takie porównania? Czyż Mami może mieć takie uczucia, jak ja? Co ja — to nie Mami, co Mami — to nie ja, o tem niema co i gadać, a jednak Saint-Clare nie chce zrozumieć tej różnicy. To zupełnie tak samo, jak gdyby kto chciał twierdzić, że Mami kocha tak samo swoich czarnych potworków, jak ja moją Ewunię! A jednak Saint-Clare pewnego razu wcale nie żartem począł we mnie wmawiać, że obowiązkiem moim jest: pozwolić Mami powrócić do męża i poszukać sobie innej sługi! Tego było mi za wiele. Przekonałam się, że jest bezwzględny dla mnie, nieczuły na moje cierpienia. Więc chociaż znoszę krzyż mój jako kobieta zamężna w milczeniu, zabrakło mi jednak cierpliwości; wypowiedziałam mu moje zdanie, wszystko co myślę. Od tego czasu już mnie w tym przedmiocie nie zagaduje i mam najzupełniejszy spokój. Czuję jednakże, że jeszcze wciąż o tem myśli, widzę to po całem jego zachowaniu się; i to mnie jeszcze dręczy i gniewa, że mogłabym oszaleć.

Panna Ofelja walczyła ze sobą, żeby nie wyrwać się z nieodpowiedniem słówkiem; energicznie postukiwanie drucianych prąków wyrażało dobitnie jej myśli, tylko że Marja nie była zdolną tego zrozumieć.

— Teraz widzisz pani, co cię czeka: gospodarstwo, w którem ani za grosz porządku; gdzie słudzy żyją, jak się im zamarzy, robią, co sami chcą. Dotychczas ja sama podtrzymywałam, jak mogłam, tę na wszystkie strony walącą się budowę. Mam zawsze przy sobie bacik i niekiedy używam go w potrzebie; ale to mnie męczy niewypowiedzianie! Żebyż Saint-Clare choć w tym względzie postępował tak jak inni.

— A jakże to inni postępują?

— W bardzo pojedyńczy sposób... każą ich chłostać: tak tylko można przyjść z nimi do ładu. Gdybym nie była tak słaba i chora, pro-

szę mi wierzyć, że postępowałabym z niewolnikami energiczniej, niż Saint-Clare.

— A jak czyni Saint-Clare? Powiadasz pani, że nie pozwala niewolnika uderzyć.

— W całym postępowaniu mężczyzny jest coś rozkazującego, łatwiej im panować. Saint-Clare, jak musiałaś pani zauważyć, ma coś osobliwego w swoim wzroku: gdy mówi o czem stanowczo i bez żartu, to oczy mu błyszczą szczególnym ogniem. W takiej chwili ja sama drżę przed jego wzrokiem. Czy wierzysz pani, że wszystkie moje łajania i pogróżki mniej sprawiają na niewolnikach wrażenia, niż jedno jego spojrzenie? Gdy pani obejmiesz zarząd gospodarstwa, sama się przekonasz, że z niewolnikami trzeba postępować surowo: trzeba ich karcić na każdym kroku, — to ludzie bardzo nieudolni, kłamliwi, leniwi.

— Znowu ta sama, stara piosnka! — odezwał się Saint-Clare, wchodząc do pokoju. — Jakże ciężko będą musieli odpowiadać przed Bogiem owi grzeszni ludzie, szczególniej za swoje lenistwo!... Czyż nie prawda, kuzynko? — zapytał, siadając na kanapie stojącej naprzeciw sofy, na której leżała Marja, — czyż nie prawda, że lenistwo ich jest rzeczą nie do darowania, szczególniej, że patrzą na tak świetne przykłady pracowitości, jakie Marja i ja im dajemy?

— Posłuchaj mię, mężu, to co gadasz jest krzyczącą niedorzecznością! — odpowiedziała Marja.

— Doprawdy? A mnie się zdawało, że powiedziałem coś bardzo słusznego. Wiesz przecież, że ci nigdy nie przeczę, zgadzam się zawsze na twoje zdanie.

— Sam wiesz o tem, że to nieprawda, — zawołała z oburzeniem Marja.

— To chyba się mylę. Dzięki ci, moja duszko, żeś mię przestrzegała.

— Zdaje mi się, że postanowiłeś dzisiaj koniecznie mnie gniewać.

— Nie mam zamiaru ci przeczyć; dzień zaczyna się upalny, a miałem już sprzeczkę z Adolfem, którą znużyłem się niewymownie; pozwól mi więc spocząć i popatrzeć na twoją spokojną twarz, opromienioną łagodnym uśmiechem.

— Cóż miałeś z Adolfem? — przerwała Marja. — Bezczelność tego niegodziwca już doprawdy nie do zniesienia. Bardzo byłabym rada, gdyby choć na chwilę dostał się w moje ręce... nauczyłabym go...

— Masz słuszność, moja droga. To co powiedziałaś, dowodzi twej zwykłej bystrości umysłu. Oddawna stara się mnie we wszystkiem naśladować, tak, że przewróciło mu się w głowie i zdaje mu się, że jest panem; musiałem tę sprawę mu nieco wyświetlić i wykazać dobitnie, że się trochę myli.

— Ciekawa jestem, jakeś to uczynił? — zapytała Marja.

— Zmuszony byłem przypomnieć mu po ojcowsku, że niektóre z moich sukien przeznaczyłem wyłącznie na użytek własny; następnie poprosiłem go, żeby trzymał się pewnych granic w używaniu kolońskiej wody, bo nadużycie zawsze jest wadą; nakoniec byłem do tyle okrutny, że przeznaczyłem mu tylko tuzin batystowych chustek. To nadzwyczaj

nie podoba się Adolfowi; żeby go choć nieco uspokoić, musiałem wypalić mu długie ojcowskie napomnienie.

— O Saint-Clare! Saint-Clare! — zawołała Marja, — kiedyż się nauczysz inaczej obchodzić się z murzynami? Aż strach patrzeć na to wszystko, co wyprawiają.

— Sądzę, że w tem niema nic karygodnego, że chce być podobnym mnie. Wina to moja, że go źle wychowałem; jeżeli jednakże do szczęścia jego potrzeba tylko kilka chustek batystowych i wody kolońskiej, to dlaczegóż mam mu tego odmawiać?

— A dlaczegóż go lepiej nie wychowałeś? — zapytała dobitnym głosem panna Ofelja.

— Na to potrzeba byłoby wiele mozołu, wiele starań. Jestem za leniwy, kuzynko. Przyznasz sama, że lenistwo gubi najwięcej ludzi. Gdyby nie lenistwo, byłbym prawdziwym aniołem.

— Mnie się zdaje, — rzekła panna Ofelja, — że wy, posiadacze niewolników, przyjmujecie na siebie nader wielką odpowiedzialność. Za żadne szczęście ziemskie nie odważyłabym się wziąść na siebie takiej odpowiedzialności. Obowiązkiem waszym jest, starać się o wykształcenie swych niewolników, postępować z nimi jak z istotami obdarzonemi rozumem i duszą nieśmiertelną, istotami, za które trzeba będzie wam odpowiedzieć na strasznym sądzie Pańskim, to jest przekonanie; — rzekła panna Ofelja, puściwszy wodze bolesnemu uczuciu, które od rana coraz mocniej ogarniało jej duszę.

— Dosyć, dosyć, kuzynko! — zawołał Saint-Clare, szybko się zrywając z kanapy; — nie poznałaś nas jeszcze do tyla, żebyś mogła o tem wyrokować.

Siadłszy do fortepjanu, począł grać jakąś wesołą kompozycję. Augustyn miał niezwykły talent do muzyki. Gra jego była pełna uroku; palce zdawały się nie dotykać klawiszów, a jednak każdy ton był czysty i wyraźny. Skończywszy jeden utwor, począł grać drugi, po tym nastąpił znowu inny; rzekłbyś, że chce zagłuszyć nieprzyjemne myśli, wirujące po głowie. Wstawszy nareszcie od fortepjanu, odezwał się wesołym jak zwykle tonem:

— Dzięki ci, kuzynko, za wyborną naukę; postąpiłaś tak, jak ci doradzało sumienie, i poważam cię za to więcej niż przedtem. Przyznaję, iż rzuciłaś mi w oczy nieocenioną prawdę, brylant najczystszej wody; ale cios tak był trafnie i silnie rzucony, że nie mogłem w tej chwili przyjść do siebie, żeby poznać się na jego wartości.

— A ja przyznam się otwarcie, że nie widzę żadnej w słowach tych słuszności, — odezwała się Marja. — Ciekawa byłabym dowiedzieć się, kto więcej od nas robi dobrego dla murzynów? A czyż stali się przez to lepszymi? — Ani trochę; przeciwnie, codzień są gorsi. A czyż to nie mówiono im o tem? Zmęczyłam się i ochrypłam, siląc się wmówić im jakie mają obowiązki i co z tego kolejno wypływa. Lecz nie koniec na tem: pozwala im się chodzić do kościoła, kiedy tylko zamarzą, chociaż z całej nauki nie rozumieją nic więcej, ileby zrozumiało stado bydła, gdyby je zapędzono do kościoła, i dlatego nie pojmuję wcale, po co oni chodzą na nabożeństwo; korzyści z tego nie mają ża-

Ewunia włożyła na szyję jego wieniec z róż . . .

dnej, a jednak ich puszczają: jakichże jeszcze potrzeba środków dla ich udoskonalenia? Powtarzam i będę powtarzać, że są oni plemieniem odrzuconem i takiem zostaną, i choćbyście Bóg wie co z nimi robili, niczego dokazać nie potraficie. Ty ich nie znasz jeszcze, kuzynko, więc zaufaj mojemu doświadczeniu; urodziłam się i wzrosłam pomiędzy nimi, to też wiem co to za ludzie.

Panna Ofelja pomyśliła w duchu, że i tak już wygadała się za wiele, postanowiła przeto milczeć. Saint-Clare wygwizdywał jakąś piosenkę.

— Saint-Clare, — odezwała się doń Marja, — radabym była, żebyś zaprzestał gwizdać; gwizdanie twoje sprawia mi jeszcze większy ból głowy.

— Z największą chęcią, moja duszko, przestanę, — rzekł na to Saint-Clare. — Może jeszcze chcesz, żebym co zrobił, albo żebym czego nie robił?

— Chciałabym, żebyś miał choć trochę współczucia dla mnie cierpiącej; ty nie masz ani odrobiny litości.

— Luby aniele oskarżycielu!...

— Doprawdy, ckliwa odpowiedź.

— Jakże mi każesz odpowiadać, moja duszo? Rozkazuj tylko, gotów jestem zrobić wszystko, byleby tobie dogodzić.

W tej chwili doleciał ich uszu srebrny śmiech dziecięcy. Saint-Clare wyszedł na galerję i uchyliwszy nieco zasłony, począł także śmiać się na głos.

— Cóż tam tak osobliwego? — spytała panna Ofelja, zbliżając się do kraty.

Na dole siedział Tomasz na maleńkiej kanapce z darni; w każdej dziurce od guzika jego sukni sterczała zatknięta wiązanka jaśminu; Ewunia śmiejąc się wesoło, okręcała mu około szyi równiankę z róż uplecioną, a potem jak ptaszyna wskoczyła mu leciutko na kolana, głaszcząc go po twarzy.

— Żebyś wiedział, jak pięknie teraz, Tomaszu, wyglądasz!

Na twarzy Tomasza jaśniał szczery, poczciwy uśmiech; podzielał najzupełniej radość dziewczynki. Nagle spostrzegł pana Saint-Clare na werandzie; spojrzał na niego wzrokiem, jak gdyby prosił o przebaczenie.

— Jak możesz jej na to pozwalać? — zapytała panna Ofelja.

— Dla czegożbym miał zakazywać? — odrzekł Saint-Clare.

— Doprawdy, nie wiem; ale zimno mię przechodzi, patrząc na podobne stosunki.

— Gdyby jednak Ewunia pieściła wielkiego psa, choćby nawet ów pies był czarnym, niebyś w tem złego nie widziała; a toż przecież istota rozumna, umiejąca czuć i myśleć, nieśmiertelną obdarzona duszą! I w tobie to obudza odrazę? Wiem dobrze, jakie niektórzy z was, mieszkańców Północy, mają pod tym względem uprzedzenia. U nas na Południu takie uprzedzenia rzadko się spotyka: nie mówię wcale, że to zasługa z naszej strony, ale przyzwyczajenie dokonało w nas tego, co powinno było stać się wskutek poczucia obowiązków chrześcijanina, — przyzwyczajenie osłabiło w nas przesądy co do koloru skóry. Gdy byłem na Północy, nieraz zdarzało mi się doświadczyć, jak mocno jesteście

uprzedzeni w tym względzie. Patrzycie na murzyna jak na żabę lub węża, a w tejże chwili oburzacie się na samą myśl o ucisku niewolników. Niepodoba się wam ich uciemiężenie, a równocześnie jak od zarazy uciekacie od zetknięcia się z nimi. Chcielibyście ich wszystkich hurmem odesłać do Afryki, żeby się wam na oczy nie pokazywali, a potem wysłać tam kilku misjonarzy, zwalić na nich cały ciężar kształcenia biednego plemienia i takim tanim sposobem wypełnić chrześcijański obowiązek miłości i zaprzania się samego siebie. Czyż nieprawda?

— Jest w tem nieco prawdy, — odrzekła, zamyśliwszy się głęboko, panna Ofelja.

— Coby poczęli ci biedni i uciśnieni, gdyby nie było dzieci? — mówił dalej Saint-Clare, opierając się o kratę i goniąc oczyma za Ewunią, która wesoło podskakując, oddalała się z miejsca, gdzie ją spostrzeżono, i ciągnęła za sobą Tomasza. — Dzieci, ale tylko dzieci, to prawdziwi demokraci. W oczach Ewuni Tomasz jest bohaterem, jakiego jeszcze nie było na świecie; jego życie, to cały szereg niezwykłych zdarzeń; pieśni jego brzmią w jej uszach piękniej niż muzyka w operze; jego kieszeń z rozmaitemi zabawkami, to niewyczerpana kopalnia skarbów; Tomasz dla niej, to człowiek niezwykły, jakiego nigdy jeszcze nie znała. Nasza Ewunia jest jedną z tych aniołków rajskich, które Bóg niekiedy zsyła na ziemię ku pociesze biednych i uciśnionych, którym nie wiele dano innych pociech.

— Dziwna rzecz, kuzynie, — rzekła panna Ofelja, — słuchając ciebie, możnaby myśleć, że jesteś księdzem.

— Księdzem?... — zagadnął Saint-Clare.

— Tak, głoszącym słowo Boże.

— Nie, kuzynko, nie jestem teologiem, nie znam się na teologji; sądzę nawet, nie bez pewnej obawy, że jestem człowiekiem niedobrym, nie wykonującym należycie przykazań Boskich.

— I dlaczegoż mówisz tak pięknie?

— Nic łatwiejszego jak mówić, — odrzekł Saint-Clare. — Shakespeare (czytaj Szekspir) mówi w jednem z swoich dzieł: łatwiej pouczać dwudziestu słuchaczy, jak być jednym z owych dwudziestu i postępować według własnych nauk. — Nic praktyczniejszego nie można było wymyśleć nad zasadę podziału pracy. Ot naprzykład, mojem zadaniem niechaj będzie mówić, a twojem, kuzynko — działać.

Tomasz nie mógł na położenie swoje się skarżyć. Ewunia pokochała go bardzo, a mając serduszko szlachetne, przepełnione dla niego wdzięcznością, uprosiła ojca, żeby pozwolił Tomaszowi towarzyszyć jej we wszystkich przechadzkach i konnych przejażdżkach. Z tego powodu dano polecenie Tomaszowi, ażeby na każde zawołanie Ewuni rzucił wszelkie inne zatrudnienie i natychmiast wypełniał jej życzenia. Czytelnicy łatwo się domyślą, że taki rozkaz nie był nazbyt uciążliwym dla Tomasza. Odzież jego była czysta i porządna, gdyż Saint-Clare pilnie przestrzegał tego, aby słudzy jego nie byli ladajako ubrani. Odtąd miał Tomasz tylko nadzór nad stadniną pańską; gdy wszedł do stajni, to

tylko nato, aby obejrzeć, czy wszystko w porządku, i aby wydać dalsze rozkazy stajennym; gdyż Marja żądała, aby Tomasz, gdy go każe przywołać, nie pachniał mierzwą końską; taki bowiem zapach oddziałuje straszliwie na jej nerwy i mógłby jej śmierć spowodować. „Taka niemiła woń — mawiała — zabija mnie". Mimo tego jednakże, że choć woń ta zdołałaby skrócić jej ziemskie męczarnie, nie pozwoliła Tomaszowi się zbliżyć.

Czarny, starannie wyczyszczony surdut, futrzana czapka, błyszczące buty, kołnierzyk i mankietki śnieżnej białości, w połączeniu z poważnym i dobrodusznym wyrazem twarzy, sprawiały, że Tomasz przedstawiał się jak człowiek, mogący wzbudzić szacunek.

Dodajmy jeszcze do tego, że mieszkał w prześlicznem miejscu, co dla niego, kochającego naturę, było nie małej wagi. Z rozkoszą przysłuchiwał się świergotowi ptaszków, napawał się wonią kwiatów, widokiem wodotrysków, przestronnością podwórza. Wnętrze domu ozdobione było statuami, jedwabnemi zasłonami, zwierciadłami, pięknemi robotami snycerskiemi, obrazami itd.

Gdy nadejdzie czas, że i Afryka wyda ucywilizowane społeczeństwo — co napewno się stanie, bo stać się musi — wtenczas rozwinie ona przepych, o jakim my, mieszkańcy krajów północnych, wyobrażenia mieć nie możemy. Naówczas w tej dalekiej, tajemniczej krainie, obfitującej w złoto i drogie kamienie, bogatej w bujną a cudowną roślinność, wśród której wysmukłe palmy pierwsze zajmują miejsce, zrodzą się nowe kształty sztuki, wspanialsze, piękniejsze, — i to biedne, czarne plemię, wyzwolone nakoniec z pod ucisku podwójnego: niewoli i pogardy, wskaże może ludzkości nowe, dotąd nieznane ideały w rozwoju ducha ludzkiego. I ten udział, godzien zazdrości, nie może ich ominąć, będzie dla nich nagrodą za ich wieloletnią cierpliwość, za niezachwianą wiarę w Opatrzność, za dziecięcą czystość serca w przywiązaniu, za odepchnięcie nienawiści. Wszystko to rozrośnie się w nich jako wzór wyższego, chrześcijańskiego życia. A ponieważ kogo Bóg kocha, krzyżyki na niego zsyła, toć kto wie... może biedną uciśnioną Afrykę wybrał właśnie na to, aby, doświadczywszy niezmiernemi cierpieniami, dać jej potem pierwsze miejsce w owem wielkiem królestwie, które zbuduje, gdy wszystkie państwa na ziemi położy na szali i okaże się, że są małej wagi; albowiem pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi.

Czy o tem myślała Marja Saint-Clare, gdy pewnego niedzielnego poranku, stojąc na werandzie, zapinała brylantową bransoletkę na kształtnej i delikatnej ręce? Nie wiemy; ale to pewna, że była zajęta w tej chwili jakąś piękną myślą; bo Marja lubiła zajmować się sprawami społeczno-religijnemi i brała udział w nabożeństwie. Właśnie i teraz, ubrana w bogate stroje, brylanty, jedwabie, udawała się do jednego z kościołów w Nowym Orleanie z nader pobożnemi zamiarami. Marja chciała być nabożną, choćby tylko każdej niedzieli, — i oto już gotowa do drogi, kształtna, leciuchna, idealna, pełna wdzięku w każdym ruchu, osłonięta, jakby mgłą jaką, jedwabnemi koronkami. W samej rzeczy była w tej chwili czarującą, a piękność ta wraz z pogodnem usposobieniem ducha, dodawała jej ujmującego serce uroku. Całkiem przeciwnie

przedstawiła się panna Ofelja, stojąca obok niej. Jedwabna jej suknia i szal były wprawdzie niemniej bogate, batystowa chusteczka była niemniej cienka; ale nieruchoma, wyprostowana jak kół, wyglądała dziwnie kanciato.

— Gdzież Ewa? — zapytała Marja.

— Zatrzymała się na schodach, aby powiedzieć coś Mami.

Cóż mogła Ewunia Mami powiedzieć? Dowiesz się o tem, miły czytelniku, chociaż Marja tego nie słyszała.

— Mami, kochana Mami, wiem, że cię głowa boli.

— Prawda, panienko, od niejakiegoś czasu boli mnie bardzo głowa, ale, proszę, nie kłopoc się o to.

— Cieszę się, że choć dziś możesz wyjść z domu; ale oto — dodała Ewunia, obejmując Mami za szyję, — weź ten flakonik z perfumem, orzeźwisz się nieco.

— Nie, panienko, nie mogę go przyjąć, to nie dla mnie, cały ze złota, wysadzony brylancikami.

— Czemuż nie może być dla ciebie? Tobie się przyda, a mnie nie potrzebny. Mama zawsze wącha z niego, gdy cierpi na ból głowy; powąchaj i ty, to ci ulży. Zróbże mi tę przyjemność, weź go.

— Kochane dziecię, gołąbko moja! — rzekła Mami, gdy Ewunia włożyła jej spiesznie flakonik za gors, a ucałowawszy ją, pobiegła po schodach na dół.

— Czegoś się tam zatrzymywała?

— Zatrzymałam się tylko chwilkę dla oddania mojego flakoniku Mami, żeby go wzięła z sobą do kościoła, bo ją boli głowa.

— Ewuniu! — zawołała Marja, tupnąwszy niecierpliwie nogą — jak można dawać Mami złoty flakonik? Kiedyż się nauczysz przyzwoitości? Idź natychmiast, odbierz jej flakonik! idź mi zaraz!

Ewunia bardzo posmutniała.

— Daj jej pokój, Marjo, niech robi, co jej się podoba, — odezwał się Saint-Clare.

— Ależ na miłość Boga, — odparła Marja, — cóż z tego dziewczęcia będzie?

— To Pan Bóg wie najlepiej, — odrzekł Saint-Clare; — wiem tylko to, że na tamtym świecie będzie jej lepiej niż mnie i tobie.

— Ach, tatko, nie mów tak, bo to mamę zasmuca! — odezwała się Ewunia, dotykając usteczkami z lekka ręki ojca.

— A ty, kuzynie, gotów jesteś do kościoła? — spytała panna Ofelja, zwracając się nagle do pana Saint-Clare.

— Nie, nie jadę.

— Ach, jakbym była rada, gdyby Saint-Clare uczęszczał więcej do kościoła; — rzekła Marja. — Ale w nim niema wcale ducha pobożności. To doprawdy wstyd.

— Wiem o tem, — odrzekł Saint-Clare, — wy, kobiety, jeździcie po to do kościoła, ażeby świecić strojami i szczycić się swą pobożnością. Ale ja, jeżeli pójdę do kościoła, to tylko na nabożeństwo, na które chodzi Mami, gdzie lud śpiewa pieśni i modli się prawdziwie pobożnie.

— Wolisz więc słuchać tego ryku nieokrzesanych ludzi? Za nic w świecie nie zniosłabym tego.

— Jak ci się podoba; wolę ja, jak tam nazywasz, ów ryk, niż wasze spoglądanie bokiem po osobach i oglądanie ich strojów. W moich uszach brzmi śpiew ludu jak najwspanialszy hymn, to modlitwa płynąca z serca i niebo przebijająca. A ty, Ewuniu, chcesz także jechać? Zostań ze mną, będziemy się bawić.

— Dziękuję tatce, ale wolę jechać do kościoła.

— Czy ci tam nie nudno? — zapytał pan Saint-Clare.

— Jest trochę nudno; czasami oczki mi się kleją do snu, ale staram się, żeby nie zasnąć.

— A pocóż idziesz do kościoła?

— Wiesz tatko —szeptała mu w ucho dzieweczka — mówiła mi ciocia, że wszystko od Boga mamy, więc godzi się iść Mu podziękować. Ale też tak bardzo nudno tam nie jest.

— Moja ty pieszczotko! — rzekł Saint-Clare, całując córkę; — jedź, moja ptaszyno, to bardzo pięknie... a pomódl się tam i za mnie.

— O, ja za każdym razem modlę się za ciebie, ojczulku, — zawołała Ewunia, a oglądając się z słodkim uśmiechem na ojca, weszła za matką do powozu.

Saint-Clare stał jeszcze przez kilka minut na ganku i posyłał jej ręką pocałunki, aż powóz znikł z widnokręgu; rzęsiste łzy spłynęły po twarzy jego.

— O moja Anielko! — rzekł sam do siebie — jakże słusznie nosisz to imię, w tobie dał mi Bóg prawdziwego aniołka.

Jeszcze chwilę stał zadumany, ulegając wzruszeniu, potem zapalił cygaro, przeczytał gazetę i zapomniał na chwilę o swojej maleńkiej Anielce. Czyż mało był podobnym innym ludziom?

* * *

— Posłuchaj mię, Anielo, — rzekła do niej matka, — słuszna, żebyś była sprawiedliwą i dobrą dla sług, ale nie wypada postępować z nimi jak z krewnymi lub nam równymi. Gdyby naprzykład Mami zachorowała, czybyś pozwoliła położyć jej się w twoje łóżeczko?

— O niezawodnie, mamo; wtedy łatwiejby było pielęgnować ją, a oprócz tego miałaby więcej wygody, bo moje łóżko jest lepsze niż jej.

Taki zupełny brak taktu, objawiający się u Ewuni, przyprowadzał Marję do rozpaczy.

— Co z nią począć? Kiedyż mnie wreszcie zrozumie? — zawołała Marja.

— Nigdy! — odrzekła z naciskiem panna Ofelja.

Ewunia posmutniała bardzo; ale na szczęście wrażenia u dzieci łatwo się zacierają; po chwili znów się uśmiechała, biegała, bawiła się, jak swobodna ptaszyna.

— No, moje panie, cóżeście tam nowego widziały w kościele? — zapytał Saint-Clare po powrocie pań z kościoła.

— O, było bardzo śliczne kazanie, — odrzekła Marja. — Warto było go posłuchać; wypowiedział kaznodzieja nieoledwie wszystkie moje przekonania.

— Jeżeli tak, to kazanie musiało być niewątpliwie bardzo pouczające... — wyrzekł Saint-Clare; — temat musiał być nadzwyczaj obszerny...

— Chciałam powiedzieć: moje poglądy na społeczeństwo i tym podobne sprawy — dorzuciła Marja. — Mówił na temat: „wszystko uczynił dobre czasu swego“ i wykazał, jak mądrze urządził Bóg, iż jednych wzniósł na wyżyny społeczne, drugich umieścił na dole, jednych przeznaczył do rządzenia, drugim nakazał posłuszeństwo itp. Żałuję, żeś nie był dzisiaj w kościele i słów tych nie słyszał.

— A ja przyznam się otwarcie, że wcale tego nie żałuję, — przerwał jej pan Saint-Clare — widzę jasno, że pragniesz zastosować słowa kapłana do twych własnych zapatrywań o niewolnictwie, chcesz je do swego sposobu myślenia naciągnąć. Nie obrazisz się chyba, gdy ci powiem: że nie odniosłaś dzisiaj właściwego z kazania pożytku; że tego, co mówisz, kapłan nie powiedział, ale to jest twoje własne zdanie: ty chcesz, aby jego słowa tak pojmowano.

— Ty zatem, kuzynie, jesteś przeciwnikiem niewolnictwa? — zapytała panna Ofelja.

— Wiadomo ci, kuzynko, że nie należę do liczby obdarzonych promieniem łaski oświecającej, i dlatego nie jestem w stanie godnie ocenić religijnych poglądów na takie zagadnienia, jak niewolnictwo. Gdyby chciano posłyszeć ode mnie moje osobiste zdanie w tym przedmiocie, bez żadnych wykrętów powiedziałbym otwarcie: niewolnictwo, to nasz interes, ciągniemy stąd korzyści, więc je podtrzymujemy. To przynajmniej każdy zrozumie. Wszystkie inne gadaniny służą tylko, żeby wykazać, że interes jest słuszny.

— Zdaje mi się, Augustynie, że dla ciebie niema nic świętego! — rzekła Marja. — Słuchając cię, włosy powstają na głowie!

— Czy być może? A jednak jest to niezaprzeczoną prawdą!

— Powiedzże mi, proszę — rzekła panna Ofelja, — czy niewolnictwo uważasz za rzecz słuszną czy niesłuszną?

— Nie mam chęci o przedmiocie tym rozprawiać! — odrzekł, śmiejąc się Saint-Clare. — Gdybym ci odpowiedział na to pytanie, wiem dobrze, że zasypałabyś mnie dziesiątkami innych twierdzeń, które masz w pogotowiu, a na które również nie chcę odpowiadać. Należę do liczby tych, którzy przez całe życie rzucają kamyki na cudze szklane domy, ale sam takiego szklanego domu, aby inni mogli nań rzucać, nie pobuduję.

— Taki on zawsze! — rzekła Marja. — Z nim nigdy nie dojdziesz do końca. Mnie się zdaje, że to pochodzi głównie stąd, że jest tak lekkomyślny w sprawach religijnych?

— Religijnych? — zapytał Saint-Clare takim tonem, że obie damy mimowolnie spojrzały na niego. — Religijnych? Więc wy nazywacie religją to, coście mi przed chwilą opowiadały? To wy chciałybyście religię naciągać do waszych zapatrywań, dlatego jedynie, że wam z tem wygodnie, dobrze? Zasady, w których mniej jest miłości i współczucia

dla bliźnich, niżeli w mojej grzesznej, zaślepionej, cielesnemi więzami spętanej duszy, mają być religją? O nie! to nie są zasady wiary; nie da się ona naginać, jakby kto chciał: ona jest wyższa ponad wszystko!

— Więc ty nie wierzysz, że wolno mieć niewolników? — zapytała znowu panna Ofelja.

— Matka moja była kobietą pełną wiary, — odrzekł Saint-Clare — żyła według nauk Kościoła św. i w Wierze św. umarła. Największą

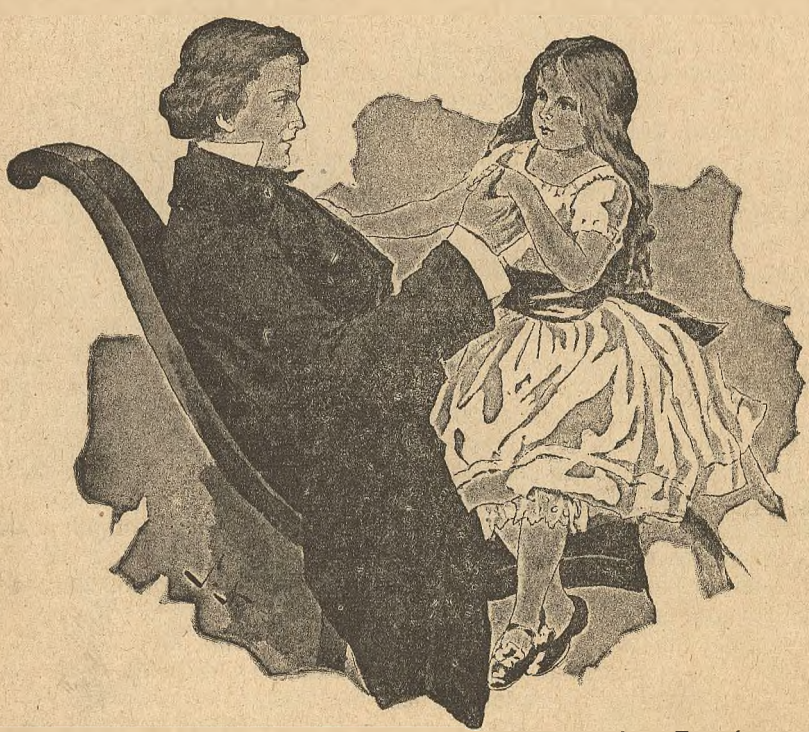

Czy to tak coś niedorzecznego, ojczulku? — zapytała po cichu Ewunia . . .

boleść sprawiłby mi ten, ktoby mi powiedział, że była ona zwolenniczką niewolnictwa. Pragnę — ciągnął dalej Saint-Clare, wracając do zwykłego, żartobliwego tonu, — nazwać rzecz właściwem nazwiskiem. Otóż jeśli kto szczerze i otwarcie powie mi, że niewolnictwo nam potrzebne, bo bez niewolników obejść się nie możemy, bo bez nich stalibyśmy się żebrakami, że dlatego popieramy obecny stan rzeczy, że to interes nasz tego wymaga, — to będzie to odważne wypowiedzenie nagiej prawdy. Świat nas za to nie potępi, będzie dla nas wyrozumiałym. Jeśli jednak zjawi się jaki wymuskany panek, o długiej szyi, gadający przez nos, mrużący oczy, i będzie chciał na udowodnienie słuszności obecnego stanu rzeczy przytaczać ustępy z Pisma św., o wtenczas wzbudza on we mnie wstręt, bo chce zagłuszyć sumienie, usprawiedliwić własne grzechy, — a prócz tego w niegodny sposób krzywdzi religję.

— Ty nie masz ani trochę chrześcijańskiego pobłażania.

— Przypuśćmy, — mówił dalej Saint-Clare, — że ni stąd ni zowąd, jakimś cudem, spadła gwałtownie i na zawsze cena bawełny, a skutkiem tego, samo przez się zniżyła się wartość niewolnika; obaczylibyście, jak natychmiast zjawiłyby się nowe poglądy oparte na Piśmie św.! Jakie niesłychane światło zstąpiłoby wówczas na głowy wszystkich tych, którzy w tak haniebny sposób nadużywają słowa Bożego.

— Tak, czy owak, — rzekła Marja, kładąc się na sofie, — dziękuję Bogu, że mi pozwolił urodzić się w kraju, gdzie istnieje niewolnictwo; wierzę niezachwianie w jego prawność i czuję, że bez niego żyćbym nie mogła.

— No, a ty lubko, co myślisz o tem? — zapytał Saint-Clare Ewuni, która w tej chwili weszła do komnaty z kwiatkiem w ręku.

— O czem papo?

— Co ci się więcej podoba: czy żyć tak, jak u twego wuja w Wermoncie, czy mieć dużo sług, jak u nas?

— Ani wątpić, papo, u nas lepiej.

— Dlaczegóż to? — zapytał Saint-Clare, gładząc ją po główce.

— A to dlatego, — odrzekła Ewunia, patrząc ojcu z dziecinną szczerością w oczy, — dlatego, że u nas jest więcej osób, które można kochać.

— To godne Ewuni; ona zawsze niedorzecznie się odzywa — zauważyła Marja rozgniewana.

— Czy to tak coś niedorzecznego, ojczulku? — zapytała po cichu Ewunia, siadając ojcu na kolanach.

— Według pojęć świata, niezawodnie; ale gdzież to córunia moja bywała podczas obiadu?

— Byłam, tatuniu, na górze u wuja Tomasza, słuchałam jego pieśni; Dina przyniosła mi obiad do jego pokoiku.

— Słuchała śpiewu Tomasza...

— Tak, on śpiewa takie śliczne piosenki, o jasnych aniołkach, o wiośnie, o kwiatkach...

— Więc śpiew Tomasza podoba się tobie, nieprawdaż?

— O bardzo! Tomasz obiecał nauczyć mię owych pieśni.

— Co?... lekcji śpiewu chce ci udzielać?... Coraz to lepiej! — zawołała Marja.

— On mi śpiewa, a ja mu czasem czytam głośno, a jeśli czego nie rozumiem, to mi tłomaczy.

— Słowo daję, — nic śmieszniejszego w życiu nie słyszałam — odezwała się znowu Marja, nie mogąc ukryć gniewu.

— Śmiej się, jeśli ci się podoba — rzekł Saint-Clare — w moich oczach jest Tomasz nielada człowiek! Jeżeli nie ma nauki, to nie zbywa mu za to na wrodzonem rozumie. Dziś rano szedłem do stajni; po drodze, mijając mieszkanie Tomasza, posłyszałem, że się modli i wzięła mię chęć podsłuchania. Proszę mi wierzyć, że nigdy nie słyszałem podobnej modlitwy, tak słodko płynącej z duszy, a trzeba wiedzieć, że modlił się z niezwykłą gorliwością właśnie za mnie...

— Nie wątpię, spostrzegł pewnie, że go podsłuchujesz. Słyszałam nieraz, że murzyni to przebiegli ludzie.

— W takim razie nie tęgi z niego polityk, bo szczerze wypowiadał przed Bogiem niebardzo pochlebne o mej osobie zdania. Jeżeli się nie mylę, Tomaszowi się zdaje, że ja powinien byłbym się nawrócić, i zasyła gorące modły ku niebu, ażebym wszedł na drogę prawdy.

— Mam nadzieję, — rzekła panna Ofelja, — że weźmiesz to sobie do serca.

— Jak widzę, to i ty, kuzynko, podzielasz zdanie Tomasza. Dobrze, zobaczymy, nieprawdaż, Ewuniu?

———o———

ROZDZIAŁ XVII.

Walka o wolność.

Już słońce zaczęło się schylać ku zachodowi. W domu Kwakrów krzątano się żywo, ale w milczeniu, jak gdyby jakaś ostrożność była potrzebna. Racheli Halliday chodziła, sama doglądała, aby wszystko, żywność i potrzebne do drogi rzeczy dla podróżnych naszych były spakowane tak, żeby jak najmniej zajmowały miejsca. Cień popołudniowy padał w stronę wschodnią, a na zachodniem niebie widniała czerwona tarcza słoneczna, łagodne jej promienie wpadały do niewielkiej sypialni, w której siedzieli obok siebie Jerzy z żoną swoją, trzymając na kolanach małego Henrysia; oboje w głębokiej zadumie, a na licach ich widniały ślady łez.

— Tak, moja Elżbieto — odezwał się Jerzy — wiem, że wszystko, coś mówiła, jest prawdą. Tyś dobra, stokroć lepsza ode mnie; odtąd będę się starał postępować tak, jak pragniesz: działać, jak człowiek wolny; czuć, jak dobry chrześcijanin. Bóg wszechmocny widzi, że chciałem być dobrym, że śmiało walczyłem wówczas, kiedy wszystko było przeciw mnie. Zapomnę o całej przeszłości, wyniszczę w sobie wszelkie uczucia gorzkie i uczucia zemsty, będę czytał Żywoty Świętych i zostanę gorliwym chrześcijaninem.

— Skoro przybędziemy do Kanady, — rzekła Elżbieta, — będę ci w pracy pomagała; umiem doskonale szyć, prać najdelikatniejszą bieliznę, prasować. Bóg dopomoże, że we dwoje zapracujemy na życie.

— O, tak! moja droga, żebyśmy tylko mogli żyć jedno dla drugiego i dla dziecięcia naszego. O Elżbieto! gdyby oni tylko poczuli, jakie to wielkie szczęście leży w wewnętrznem przeświadczeniu człowieka, że żona i dziecię jest ich własnością. Jakże często, patrząc na ludzi używających tego przywileju, nie mogłem pojąć, dlaczego oni gonią jeszcze za czemś innem, jeszcze czegoś pragną. O tak! dziś jestem bogaty i silny, choć prócz rąk do pracy nic nie posiadamy. Nie ośmieliłbym się nawet i prosić Boga o coś więcej. Chociażem dożył lat dwudziestu pięciu, ciężko, okropnie każdodziennie pracując i nie mam ani szeląga, ani dachu, pod którymbym mógł spokojnie spocząć, piędzi ziemi, którąbym mógł nazwać swoją własnością, lecz niech tylko mnie zostawią spokojnie,

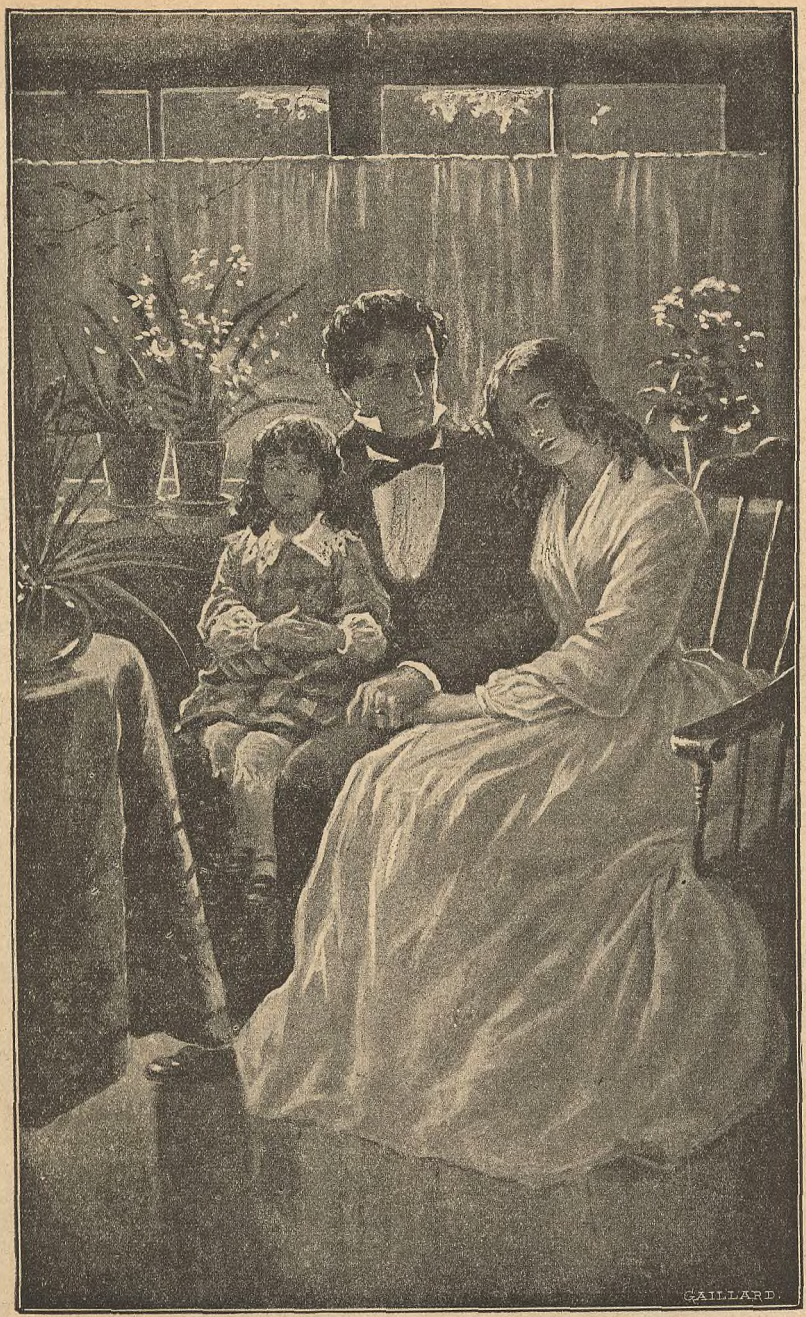

Jerzy siedział z żoną, trzymając małego Henrysia na kolanach.

a będę zupełnie szczęśliwym. Pracowałbym, zebrałbym potrzebne pieniądze na wykupienie ciebie i dziecięcia naszego. Co zaś do mego dawnego pana, tom mu już stokrotnie wrócił pracą moją to, com go mógł kosztować — jam mu nic nie dłużny.

— Lecz nie jesteśmy jeszcze bezpieczni, — z trwogą wyszeptała Elżbieta, — jeszcześmy nie w Kanadzie.

— Prawda, — rzekł Jerzy, — lecz zdaje mi się, że w powietrzu już czuję wolność, i to mi dodaje sił i odwagi.

W tej chwili z sąsiedniego pokoju doleciała ich ożywiona rozmowa, a wkrótce zastukano do drzwi. Elżbieta poszła otworzyć.

Wszedł Halliday w towarzystwie drugiego Kwakra, którego przedstawił pod imieniem Fineasza Fletczera. Był to wysoki, barczysty mężczyzna, z ryżemi włosami; w fizjonomji jego malowała się przenikliwość i trochę chytrości; nie znać w nim było wcale tego spokoju, szczerości ani tej pogardy znikomych rzeczy świata, które cechowały Szymona. Jego pamięć o sobie, która się malowała w każdym ruchu, baczne i pilne zwracanie badawczego oka na wszystko, co go otaczało, tworzyło uderzające przeciwieństwo z jego kapeluszem o szerokim brzegu, i staranem wyrażaniu się.

— Przyjaciel nasz Fineasz odkrył coś, — rzekł Szymon, — dobrzeby było, gdybyś go chciał posłuchać.

— W istocie, — rzekł Fineasz — sprawdza się, co często powtarzałem, że w pewnych miejscach człowiek śpiąc, powinien jednem uchem słuchać. Wczoraj wieczorem zatrzymałem się w małej osamotnionej oberży, w miejscu, gdzie, jeżeli pamiętasz Szymonie, roku przeszłego sprzedaliśmy trochę jabłek jakiejś kobiecie otyłej, z dużemi kolczykami. Będąc zmęczony długą podróżą, położyłem się po wieczerzy zaraz w kącie na kupie worków, nakrywszy się skórą bawołu i czekałem, aż mi przyrządzą łóżko, i zasnąłem w najlepsze jak kloc.

— Na jedno ucho, Fineaszu, — przerwał spokojnie Szymon.

— O nie, tym razem na oba, i spałem tak głębokim snem dłużej niż godzinę, bo byłem strasznie zmęczony. Gdy się począłem powoli przebudzać, spostrzegłem, że w tymże pokoju jacyś ludzie, siedzący za stołem, piją i rozmawiają. Hm, myślę sobie, nie zawadzi poleżeć spokojnie i posłuchać ich rozmowy, tem więcej, że mówią coś o Kwakrach. „O bez wątpienia, — rzekł jeden, — muszą być jeszcze w kolonji“. Zacząłem słuchać pilniej obu uszami i przekonałem się, że mówili o was. Nie dając po sobie znaku życia, podsłuchałem cały ich plan. Młodego zbiega postanowili odesłać nazad do Kentucky, aby jego pan, gdy go pochwycą, mógł się na nim zemścić. Dwaj z pomiędzy nich mieli jego żonę sprzedać w Nowym Orleanie na swój rachunek i obiecywali sobie wziąść za nią od 1600 do 1800 dolarów. Dziecię mieli wrócić kupcowi, który je był już kupił; Jima i jego starą matkę oddać dawnemu ich panu. Mówili jeszcze, że mają przybyć dwaj konstablerowie z przyległego miasta, aby im dopomóc w pojmaniu zbiegów. Młodą kobietę mają stawić przed sąd i jeden ze spiskowych, mały, z wyprawnym językiem, złoży przysięgę, że ona do niego należy; a gdy ją mu przysądzą, wywiezie na Południe. Wiedzą doskonale, jaką drogą mamy przejeżdżać tej nocy

i w sześciu czy ośmiu napadną nas. Oto rzecz cała; uradźmy, co należy czynić.

Opowiadanie to przeraziło słuchających, wszyscy stali jak skamieniali z przestrachu i oburzenia, grobowa cisza zapanowała na czas pewien. Rachela Halliday zaprzestała zarabiać ciasto, aby nie opuścić i jednego słowa z opowiadania, z wyrazem śmiertelnej trwogi wzniosła ręce pokryte ciastem ku niebu; Szymon zdawał się głęboko zamyślonym; Elżbieta objęła swego męża dookoła szyi i bolesnym wzrokiem błagała, aby nie wydawał jej na pastwę oprawcom; Jerzy stał z zaciśniętemi pięściami, z okiem pełnem oburzenia, jak człowiek, który zna niebezpieczeństwo, wie, że mają mu wydrzeć żonę, aby sprzedać na rynku, dziecię, aby oddać handlarzowi niewolników i to pod protekcją praw narodu chrześcijańskiego.

— Jerzy mój, i cóż poczniemy? — spytała bojaźliwym głosem Elżbieta.

— Wiem, co zrobię, o wiem! — odpowiedział Jerzy i poszedł do małego przyległego pokoiku opatrzyć swe pistolety.

— Ej, ej, — odezwał się Fineasz, dając głową znak właścicielowi gospody, — widzisz Szymonie, jak rzeczy pójdą!

— Widzę, — odrzekł Szymon, — i błagam Boga, aby do tego nie przyszło.

— Nie chcę, abyście się narażali na niebezpieczeństwo ze mną, lub za mnie, — rzekł Jerzy. — Dajcie mi tylko, jeżeli łaska, konie, wskażcie drogę, pojadę sam do następnej stacji. Jim ma siłę olbrzymią i jest nieustraszony, ją także pewny jestem siebie.

— Doskonale, mój przyjacielu, — przemówił Fineasz, — zawsze jednak potrzebujesz przewodnika. Co się tyczy obrony, ty przewybornie dasz sam sobie radę, w tem ci nie pomogę; lecz znam lepiej od ciebie drogę i mogę ci być użytecznym.

— Ale ja nie chciałbym was narażać.

— Narażać? — powtórzył Fineasz, mierząc go okiem dziwnie przenikliwym. — Mnie tak zaraz nie zaczepią.

— Fineasz jest mądry i przebiegły, — rzekł Szymon. — Dobrzebyś zrobił, gdybyś chciał słuchać jego rad; a kładąc rękę na ramieniu Jerzego i wskazując palcem na pistolety, dodał: unikaj użycia tego, nie bądź zbyt prędkim... młoda krew zbyt gorąca...

— Ja napastować nie myślę nikogo, — rzekł Jerzy, — domagam się tylko, aby mi pozwolili spokojnie odjechać. Ale...

Zatrzymał się na chwilę, czoło jego nagle się zachmurzyło, rysy twarzy przybrały wyraz boleści.

— Siostrę moją sprzedali na rynku w Nowym Orleanie. Wiem, dlaczego sprzedają dziewczęta i co robią z niemi ci, którzy je kupują. I ja mam pozwolić, aby wyrwano mi żonę i sprzedano, skoro mam dwoje silnych rąk dla jej obrony? O nie! będę się bił przy pomocy Boga do ostatniej kropli krwi, a nie pozwolę, aby mi porwano żonę i syna! I czyż za to mię potępicie?...

— Żaden człowiek nie może cię za to potępić, Jerzy. Biada światu za zgorszenie, lecz stokroć biada temu, przez kogo zgorszenie przychodzi!

— Wy sami, na mojem miejscu, czyżbyście inaczej postąpili? — spytał Jerzy.

— Z pewnością, że nie — odpowiedział Szymon — lecz hamuj gniew, aby ci nie odjął bystrości umysłu: człowiek bowiem słaby jest.

— Co do mnie, czuję się dość silnym, — rzekł Fineasz, wyciągając obie ręce jak śmigi wiatraku — i nie zarzekam się, że nie przytrzymam jednego z tych łajdaków, gdy będzie tego potrzeba.

— Człowiek ze złem walczyć powinien, — rzekł Szymon, — i Jerzy ma prawo walczyć w swojej obronie jakoteż żony i dziecięcia, — to nie ulega wątpliwości; lecz prośmy Boga, żeby dał mu łaskę panowania nad sobą i żeby obyło się bez krwi rozlewu.

— O to właśnie i ja proszę, — rzekł Fineasz; — lecz jeżeli pokuszenie będzie zbyt silne, niech się mają na baczności. Oto rzecz cała.

— Jak to zaraz widać, żeś się nie urodził Kwakrem, — odpowiedział Szymon, uśmiechając się. — Stary człowiek silnie jeszcze w tobie przemawia.

I rzeczywiście Fineasz przez długi czas uprzednio był śmiałym mieszkańcem lasów, namiętnym myśliwcem, dzielnym strzelcem; lecz się zakochał w prześlicznej Kwakierce, jej wdzięki skłoniły go do przyłączenia się do tej sekty. Był on uczciwym, trzeźwym i użytecznym członkiem społeczeństwa; jednak gorliwsi ganili w nim brak pokory i miłości bliźniego.

— Przyjaciel Fineasz chce zawsze postępować według swej myśli, — rzekła Rachela Halliday, — lecz znamy dobrze prawość jego serca.

— Czy nie lepiejby było przyspieszyć naszą ucieczkę? — spytał Jerzy.

— Wstałem dzisiaj o czwartej godzinie i wcale nie traciłem czasu, — przemówił Fineasz. — Kawał drogi oddalimy się, jeżeli nie wyjadą wcześniej, jak to ułożyli.

— W każdym razie nie powinniśmy się ruszać przed zmierzchem; w miasteczkach, przez które musimy przejeżdżać, jest dużo nieuczciwych ludzi, którzy na widok naszego furgonu, gotowi szukać z nami sprzeczki, co nam więcej zaszkodzić może niż zwłoka. Za parę godzin, jak sądzę, będziemy mogli puścić się w podróż. Uproszę Michała Krossa, aby nam towarzyszył konno dla lepszego wybadywania drogi; on nas ostrzeże za każdym razem o niebezpieczeństwie, a ma konia dobrego, który z łatwością prześcignie wszystkie inne; w potrzebie więc, w jednej chwili może się złączyć z nami. Pójdę teraz wszystko przysposobić; powiem także Jimowi i matce jego, aby byli gotowi. I tak już uprzedziliśmy pogoń i możemy być pewni, że dojedziemy do stacji, nim nas doścignq. Bądź więc dobrej myśli, Jerzy, przyjacielu, bo to nie pierwszy raz zdarza mi się wybawić z niebezpieczeństwa ludzi twego plemienia — rzekł Fineasz, zamykając za sobą drzwi.

— Fineasz jest przezorny; spuść się na niego, mój Jerzy, on ci wiele pomoże, — dorzucił Szymon.

— Jedno mię tylko martwi, — rzekł Jerzy, — że się narażasz dla nas na niebezpieczeństwo.

— Zrób mi tę łaskę, przyjacielu, nie wspominaj więcej o niebez-

pieczeństwie. To, co czynię, jest powinnością, inaczej postępować nie możemy. A ty, matko, — rzekł, zwracając się do Racheli, — pospiesz się, nie podobna wyprawić naszych przyjaciół bez posiłku.

Kiedy Rachela z dziećmi uwijała się około przygotowania kolacji, piekąc placki, baraninę, kurczęta, Jerzy i Elżbieta rozmawiali z sobą czule w pokoiku, jak małżonkowie, którzy znają niebezpieczeństwo następnej godziny, którzy wiedzą, że jedna chwila — śmierć, może ich rozerwać na zawsze.

— O, Elżbieto moja! ludzie, którzy mają przyjaciół, majątki, bogactwa i wszystko, czego mogą sobie życzyć, nie są zdolni tak się kochać, jak my, — my, którzy prócz naszej wzajemnej miłości nic nie mamy na świecie. Nim ciebie poznałem, nikt mię nie kochał, prócz mojej biednej nieszczęśliwej matki i siostry. Widziałem biedną Emilję tego samego ranka, kiedy ją kupiec wywoził. Podchodząc do kąta, w którym leżałem, rzekła: „biedny mój Jerzy, tracisz ostatnią przyjaciółkę; co z tobą się stanie, chłopcze mój drogi?“ Skoczyłem, objąłem ją, płakałem, narzekałem, byłem rozpaczony; ona płakała także. Odtąd przez dziesięć lat nie słyszałem słowa pociechy, słowa miłości; serce we mnie zamarło, zastygło. Lecz Bóg pozwolił mi spotkać ciebie. O! twoja miłość ożywiła mnie, powstałem jak z grobu, stałem się innym zupełnie człowiekiem! A teraz chcą mi ciebie wyrwać! Nie! nie pozwolę! O, będę cię bronił do ostatniej kropli krwi! dojdą do ciebie chyba po moim trupie!

— Boże, miej litość nad nami! — zawołała, płacząc Elżbieta. — Dozwól nam spokojnie wyjść z tego kraju, o nic Cię więcej nie proszę!

— Mocny Boże! czyś Ty z nimi? — przemówił Jerzy, dając wolny bieg smutnym myślom, nie zwracając uwagi na pytania żony. — Ażali widzisz wszystko, co oni robią? dlaczego cierpisz podobną niesprawiedliwość? Oni bogaci, zdrowi, szczęśliwi, życie płynie im spokojnie, swobodnie, wszystko im się uśmiecha. A biedni, uczciwi, prawowierni chrześcijanie, nie gorsi od nich, o! stokroć może lepsi, tarzają się w prochu u nóg ich. Oni ich kupują, sprzedają, kupczą ich krwią, sercem, ich łzami i boleścią! O Boże! dlaczego cierpisz, aby tyle nieprawości kalało ziemię naszą!...

— Przyjacielu! — zawołał Szymon z przyległego pokoju — nie rozpaczaj: Bóg jest miłosierny; prowadził cię dotąd, poprowadzi i dalej. Ufaj Bogu, bo jest Pan dobry i sprawiedliwy, przygarniający wszystkich uciśnionych: pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę — mówi Pan. A więc w górę serca, młody przyjacielu; spełnij, co ci sumienie każe, a resztę zleć Bogu.

Święte te wyrazy, płynące z ust starca jak niebieska melodja, padły na zbolałe serce Jerzego, i zwolna piękne rysy twarzy przybrały słodki wyraz spokoju i poddania się woli Najwyższego.

— Żeby się wszystko kończyło, mój Jerzy, tu na ziemi, z życiem naszem, — zaczął Szymon, — wówczas byś mógł spytać: gdzież jest Bóg? Lecz najczęściej Stwórca nagradza królestwem niebieskiem tych, których najmniej obdarza w tem życiu. Złóż więc całą twą przyszłość w ręce Jego i cokolwiek cię czeka, pamiętaj, że sprawiedliwość wymierzoną ci będzie.

Gdyby te słowa wyrzeczone były przez usta jakiego kaznodziei, spieszącego z słowami pociechy, które często z ust jego zwykło się słyszeć, mogłyby chybić celu; lecz w ustach człowieka prostego, który codziennie się naraża z dziwnym spokojem na kary i więzienie, służąc ludziom i Bogu, słowa te uczyniły głębokie wrażenie i natchnęły biednych zrozpaczonych zbiegów otuchą.

Rachela, wziąwszy za rękę Elżbietę, przyprowadziła ją do stołu. Gdy zaczęli wieczerzać, zapukano z cicha do drzwi. Weszła Rut.

— Biegłam bardzo prędko, — zawołała, — aby oddać te pończoszki dla malutkiego; oto trzy pary wełnianych, dobrych, ciepłych, bo tam chłodno w Kanadzie! Ty nie tracisz energji, moja Elżbieto. nieprawdaż? — dodała, idąc ku niej naokoło stołu. I uścisnąwszy ją serdecznie, wsunęła Henrykowi ciasto z kukurydzy. — Przyniosłam mały węzełeczeń ciastek, — i z trudnością zaczęła dobywać go z kieszeni, — weź go Elżbieto, dzieci często wołają jeść.

— O! dziękuję ci, tyś zawsze dla nas taka dobra, — zawołała Elżbieta.

— Usiądź, powieczerzaj z nami, — dorzuciła Rachela.

— Nie mogę. Zostawiłam biszkopciki w piecu i Jana z dzieckiem; jeżelibym się dłużej zatrzymała, Jan gotów mi spalić ciastka. Do widzenia więc, droga Elżbieto; do widzenia, Jerzy. Niech Bóg was broni w podróży! — I Rut wybiegła lekkim krokiem.

Wielki kryty wóz wkrótce zajechał przed ganek. Fineasz szybko zeskoczył z kozła, aby pomóc swoim podróżnym wsiąść do niego; Jerzy, trzymając jedną ręką żonę, na drugiej niosąc swego syna, wyszedł krokiem pewnym, ze spokojem i poddaniem się, za nim postępowali Rachela i Szymon. Natura zdawała się im sprzyjać, niebo gęsto zasiane gwiazdami, uśmiechało się im.

— Zejdźcie na chwilę, — rzekł Fineasz do tych, którzy już siedzieli we wozie; — urządzę siedzenie w tyle, aby było wygodniej kobietom i dzieciom.

— Weź te dwie skóry bawole, — rzekła Rachela, — urządź wygodnie, o ile można, biedni, i tak się zmęczą całonocną jazdą.

Jim, zeskoczywszy pierwszy, z troskliwością prawdziwie synowską pomógł wysiąść starej swej matce, która trwożliwie uczepiła się jego ręki, oczekując co chwila jakiejś zasadzki.

— Jim, czy masz pistolety nabite? — spytał z cicha Jerzy.

— Tak w zupełnej gotowości, — odrzekł Jim.

— Wiesz co masz robić, gdy nas dogonią. Czy się nie zawahasz?

— Ja, wahać się? — odrzekł Jim, rozkrywając szeroką swą pierś, aby swobodniej odetchnąć. — Czy sądzisz, że gotów jestem wydać im matkę moją?...

W czasie krótkiej tej rozmowy Elżbieta, pożegnawszy się z Rachelą, wsiadła przy pomocy Szymona do pojazdu i ulokowała się z dzieckiem w tyle na skórze bawolej, za nią wsiadła staruszka. Jerzy i Jim usiedli na przedniem siedzeniu, Fineasz na koźle.

— Żegnam was, przyjaciele moi! — zawołał na pożegnanie z ganku Szymon.

— Niech ci Bóg wynagrodzi! — odpowiedzieli jednogłośnie wszyscy.

I bryka ruszyła, turkocąc po zmarzłej drodze.

Zrazu siedzieli wszyscy, pod wrażeniem oczekiwanych wypadków, w milczeniu. Wóz toczył się środkiem ogromnych lasów, obszernych, jałowych, samotnych równin, przez wzgórza i doliny, coraz dalej a dalej. Dziecię głęboko usnęło na kolanach matki. Staruszka zapomniała o swoich przywidzeniach, trwożliwość opuściła nawet Elżbietę, a sen skleił jej powieki, i jechali dalej wśród głuchej, ciemnej nocy. Jeden tyl-

Zdaje się, że to Michał.

ko Fineasz czuwał, uprzyjemniając sobie drogę poświstywaniem wesołych piosnek, jak gdyby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

Około godziny trzeciej posłyszał Jerzy przyspieszony tętent kopyt końskich i trącił łokciem Fineasza. Fineasz zatrzymał konie i zaczął się przysłuchiwać.

— Zdaje się, że to Michał, poznaję galop jego konia. — Mówiąc to, powstał ze swego siedzenia i pilnie wpatrywał się w miejsce, skąd go tętent dochodził.

Jeździec pędził wyciągniętym kłusem. Tak, to on — zawołał Fineasz — bez wątpienia, to on.

Jerzy i Jim wyskoczyli z bryki, nie wiedząc jeszcze, co mają począć, czekali twarzą zwróceni ku stronie goniącego. Tenże zbliżał się spiesznie, nagle znikł w dolinie, lecz tętent kopyt końskich nie ustawał i jeździec wkrótce znowu pokazał się na pobliskiem wzgórzu.

— To on, to Michał — rzekł Fineasz i zaczął wołać: — Michale, hola, bywaj!

— To ty, Fineasz? — spytał Michał.

— Tak, jakie masz nowiny? Czy daleko od nas oddaleni?

— Kilkaset kroków za mną, jest ich ośmiu czy dziesięciu, rozgrzani wódką, klną, złorzeczą, rozbestwieni jak dzicy wilcy.

Zaledwie wyrzekł te słowa, wiatr przyniósł słabe echo dalekiego galopu.

— Siadajcie co prędzej, przyjaciele! Jeżeli już musicie się bić, to wybiorę wam przynajmniej korzystniejsze miejsce. Jerzy i Jim wskoczyli na siedzenia i Fineasz puścił w cwał konie; Michał pędził obok nich. Bryka w podskokach sunęła naprzód, a raczej leciała pędem ptaka po twardej drodze; jednak tętent goniących jeźdźców stawał się coraz wyraźniejszym, coraz bliższym. Usłyszawszy go kobiety, z trwogą zaczęły się oglądać wokoło i na niezbyt odległem pagórku ujrzały kilku jeźdźców, których ciemne postacie wysuwały się na tle widnokręgu, ozłoconego pierwszemi promieniami jutrzenki. Goniący, przebywszy jeszcze jeden wzgórek, ujrzeli brykę, której białe pokrycie widniało z daleka; okrzyk triumfu doleciał uszu uciekających. Elżbieta przycisnęła dziecię do piersi; staruszka, stękając, modliła się; Jerzy i Jim chwycili za pistolety. Dzieląca ich przestrzeń coraz się zmniejszała; nagle wóz zawrócił w bok i zatrzymał się przed łańcuchem urwistych, najeżonych skał, tworzących samotną, olbrzymią masę w pośrodku obszernej nagiej równiny; czarne te urwiska, piętrzące się w górę, dawały bezpieczne schronienie.

Miejsce to doskonale było znane Fineaszowi, na niem odpoczywał w swoich dalekich, długich wycieczkach myśliwskich, i właśnie dlatego, aby się na nie dostać, pędził tak niemiłosiernie konie.

— Dalej na skały! — zawołał, zeskakując z kozła, — za mną! a żwawo! tam na te urwiska! Michale! przywiąż swego konia do wozu i biegnij do Amarja, niech przyjdzie nam na pomoc!

W mgnieniu oka wszyscy byli na ziemi.

— Za mną! — powtórzył Fineasz, biorąc małego Henrysia na ręce, — a wy, pomagajcie kobietom! prędzej, prędzej!

Niepotrzebna była zachęta, prędzej jak to opowiedzieć można, wszyscy przebyli ogrodzenie i biegli ku skałom; a Michał, przywiązawszy swego konia, oddalił się co tchu.

— Naprzód! — wołał Fineasz, rozpoznawszy przy świetle ślad drożyny słabo w skałach wydeptanej. — Tam jedna z naszych myśliwskich jaskiń, żywiej! za mną!

Biegł naprzód, czepiając się skał, skacząc z jednej na drugą jak sarna, zawsze trzymając dziecię na rękach; za nim pospieszał Jim, niosąc na plecach swą starą matkę, Jerzy i Elżbieta tworzyli straż tylną.

Jeźdźcy, przebywszy ogrodzenie, krzycząc i klnąc, zsiedli z koni, by dalej pieszo gonić uciekających.

W kilka chwil zbiegowie nasi dostali się na wierzchołek skały, skąd schodziła ścieżyna w bardzo wąski parów, tak że tylko jeden za drugim iść mogli; wreszcie doszli do wyłomu mniejwięcej trzy stopy szerokiego. Tuż stała inna skała zupełnie odosobiona, ściany jej pionowe, trzydzieści stóp wysokie, — podobna była do obronnego zamku. Fineasz jednym susem przeskoczył przepaść i złożył dziecię na niewielkiej płaszczyźnie porosłej miękkim mchem.

— Za mną! — zawołał. — Spieszcie się, jeżeli miłe wam życie.

Nie czekając rozkazu, biedni nasi zbiegowie jeden za drugim przeskakiwali przepaść i drapali się na skały z dziwną zręcznością. Porozrzucane głazy służyły im za wał ochronny, zasłaniający przed ścigającym wzrokiem pogoni.

— Jesteśmy więc tu wszyscy, — rzekł Fineasz, śledząc z poza głazu granitowego nieprzyjaciela, wdrapującego się daremnie na skałę. Niechże teraz nas biorą, jeśli zdołają. Nikt tu inaczej wnijść nie może jak pojedyńczo przez tę ciasną szczelinę między skałami i to w obrębie naszych strzałów. Czy wy to widzicie, dzieci?

— Widzę, — odpowiedział Jerzy; lecz ponieważ tu idzie jedynie o nas, pozwól, że sami walkę podejmiemy.

— Zgadzam się, skoro tego żądacie, — rzekł Fineasz; — lecz mam nadzieję, że nie zechcesz mnie pozbawić przyjemności przypatrzenia się bitwie. Patrz, jak się naradzają i spoglądają w górę, jak kury, gdy wracać mają na noc do kurnika. Czy nie powiesz im słowa przestrogi, że śmierć ich czeka, jeśli pokuszą się, by was pojmać.

W grupie znajdującej się na dole, oświeconej pierwszemi promieniami słońca, znajdowali się dawni nasi znajomi: Tomasz Loker i Marks, prócz tego dwóch konstablerów; reszta była to zbieranina włóczęgów, zachęconych szklanką wódki w nieodległej karczmie do ścigania zbiegłych niewolników.

— Przewybornie, Loker, oto zwierzyna wpadła w pułapkę — rzekł jeden.

— Widziałem ich, jak się wdrapywali na skały — odrzekł Loker — a oto i ścieżka, którą szli. Najlepiej będzie, gdy pogonimy natychmiast za nimi; uciec nie mogą, złowimy wszystkich.

— Chyba przewraca ci się w głowie; toć z poza skał mogą bezpiecznie do nas strzelać — zauważył Marks.

— Tfuj! — zawołał Loker — znowu się lękasz o swą zajęczą skórkę! Ale nie obawiaj się, murzyn jest zanadto tchórzliwy.

— Nie wiem, dlaczego mam narażać życie — odrzekł Marks — nie mam innej skóry na zamianę. Murzyni biją się czasem jak lwy.

W tej chwili zjawił się Jerzy na wierzchołku skały, sterczącej ponad nimi, i głosem donośnym, lecz spokojnym, zapytał:

— Panowie, kto jesteście i czego żądacie?

— Gonimy zbiegów — odrzekł Loker — Jerzego Harrys, Elżbietę Harrys i ich syna, Jima Seldena i jego matkę; mamy z sobą urzędników sądowych i rozkaz uwięzienia zbiegów; nie ustąpimy na krok, musimy

ich ująć. Czy słyszycie? A ty, czy nie jesteś Jerzy Harrys, należąc do pana Harrys w hrabstwie Szelby w Kentucky?

— Tak jest, jestem Jerzy Harrys. Niejakiś pan Harrys w Kentucky nazywał mię swoim niewolnikiem. Lecz teraz jestem wolny i stoję na ziemi, którą Bóg wolną stworzył; stoję z moją żoną i dzieckiem, które mam prawo nazywać mojemi. Jim i stara jego matka są z nami. Mamy pistolety na naszą obronę i będziemy się bronili do ostatniego tchu. Chodźcie, jeżeli chcecie; lecz pierwszy, który się zbliży na strzał pistoletu, padnie trupem, czeka toż samo drugiego, trzeciego aż do ostatniego z was!

— Jesteś młody i zuchwały, młodzieńcze! — zawołał jakiś zadyszany, tłusty jegomość, postępując naprzód i ocierając pot z czoła. Wstrzymaj swój niepohamowany język! Jesteśmy stróżami sprawiedliwości; za nami prawo i władza, poddajcie się więc dobrowolnie, bo i tak będziecie musieli to uczynić.

— Wiem bardzo dobrze, że macie za sobą prawo i władzę, — odpowiedział Jerzy z goryczą. — Chcecie wziąść mi żonę, aby ją sprzedać w Nowym Orleanie; mego syna, aby go jak cielę zamknąć w chlewie kupca niewolników; starą matkę Jima chcecie pojmać, aby ją oddać oprawcy, który ją chłostał i znęcał się nad nią dlatego, że na synu zemsty wywrzeć nie mógł. Jima i mnie chcecie oddać w ręce okrutników, żeby mogli nad nami się pastwić i deptać nas. Prawo was wspiera, na hańbę wam i sobie. Tak! ono was upoważnia do tego. Hańba narodowi, rządzącemu się podobnemi prawami! hańba wam! Ale nie macie jeszcze nas! Nie uznajemy praw waszych, ojczyzna wasza nie jest naszą ojczyzną! Jesteśmy tutaj, pod otwartem niebem, wolni, równi wam i przy pomocy Wszechmocnego będziemy bronili naszej wolności aż do śmierci!

Jerzy stał na wierzchołku skały, gdy przemawiał w obronie swej osobistej wolności. Światło porannej zorzy oblało szkarłatem twarz jego; gniewem pałały oczy jego; rękę podniósł w górę, jak gdyby błagał nieba o sprawiedliwość.

Znajdujący się na dole prześladowcy, pod wpływem uroku, jaki na nich wywarł, ucichli na chwilę. Odwaga ma coś w sobie, że nawet najbrutalniejszych ludzi zmusza do szacunku.

Jedyny Marks stał niewzruszony. Wyjął nieznacznie pistolet i wypalił w Jerzego.

— Nagroda, którą otrzymamy w Kentucky, jest taka sama, czy go dostawimy żywego lub umarłego — rzekł ocierając z zimną krwią pistolet połą surduta.

Jerzy skoczył w tył, Elżbieta krzyknęła boleśnie; kula musnąwszy włosów jej męża, przeszła koło jej twarzy i utkwiła w drzewie za nimi.

— Nic mi się nie stało; — zawołał spiesznie Jerzy.

— Lepiej się ukryj i nie odzywaj się do nich więcej — zawołał Fineasz, — to łotry!

— Jim, opatrz swoje pistolety i chodź za mną strzec szczeliny. Ja strzelę do pierwszego, ty do drugiego i tak po kolei. Pamiętaj, że nie powinniśmy tracić dwóch strzałów na jednego człowieka.

— A gdy chybisz? — spytał Jim.

— Nie chybię — odrzekł Jerzy spokojnie.

— Odważny z niego młodzieniec! — wyrzekł sam do siebie Fineasz.

Po wystrzale Marksa, nieprzyjaciele zdawali się chwilę wahać.

— Sądzę, że kula nie chybiła, słyszałem krzyk.

— Ja idę wprost na górę; nigdym się nie lękał tych psów i nie ulęknę się ich teraz. Kto idzie za mną? — zawołał Loker i puścił się na skały.

Jerzy słyszał doskonale te słowa, obejrzał swój pistolet, wziął na cel punkt szczelinę, gdzie pierwszy, któryby chciał wejść na skałę, musiał się zjawić.

Jeden z odważniejszych poszedł za Lokerem, a za tym, pobudzeni przykładem, rzucili się wszyscy jeden za drugim naprzód, popychając idących przodem i zmuszając ich do większego pospiechu, aniżeli sobie ciż życzyli. Wkrótce ukazała się w szczelinie olbrzymia postać Lokera.

Jerzy dał ognia, — kula ugodziła go w prawy bok, lecz chociaż ranny, nie cofnął się, i wydając nieludzki ryk, przeskoczył z wściekłością rozjątrzonego bawołu przepaść.

— Przyjacielu! tyś nam tu niepotrzebny! — zawołał Fineasz, zjawiwszy się nagle przed Lokerem, i silnym kułakiem strącił go w przepaść.

Spadł z góry trzydzieści stóp wysokiej, tłucząc się o kamienie, drzewa i stare pniaki. Byłby zabił się niechybnie, gdyby nie był zahaczył połą surduta o gałęź, tuż blisko dna przepaści, co pęd jego znacznie osłabiło.

— Niech Bóg broni! a to szatani, nie ludzie! — zawołał Marks, zawróciwszy ze skały z o wiele większym pospiechem, aniżeli na nią się wdrapywał. Inni poszli za jego przykładem, uciekając, ile komu sił starczyło; a najbardziej zmykał ów tłusty konstabler, dysząc i kaszląc od zmęczenia.

— Pospieszcie na pomoc Lokerowi i podnieście go — rzekł Marks — a ja skoczę tymczasem na konia i postaram się o pomoc. I nie zważając na szyderstwa swoich towarzyszów, puścił się galopem ku drodze.

— Czy widział kto tak podłego tchórza? — odezwał się jeden z bandy. — Ściągnął nas tutaj dla własnej korzyści i uciekł, zostawiając nas samych.

— Będziemy musieli go jednak podnieść — zauważył inny — chociaż dali Bóg, mało mnie to obchodzi, czy żyje lub nie żyje.

Przedzierając się między pniami i krzakami, doszli do miejsca, gdzie leżał Tomasz Loker, jęcząc i złorzecząc na przemian.

— Jęczysz okropnie, człowieku — odezwał się pierwszy doń zbliżający. — Bardzoś się potłukł?

— A czyliż ja wiem? Pomóżcie mi wstać. Oj! oj! przeklęty Kwakier. Gdyby nie on, wszystkich byłbym pospychał na dół, ażeby wiedzieli, jak to przyjemnie.

Z wielką trudnością postawili na nogi rannego bohatera i powoli, podtrzymując go pod ramiona, zaprowadzili na miejsce, gdzie stały konie.

— Zawieźcie mnie z powrotem do gospody, którąśmy minęli. Daj-

Przyjacielu, tyś nam tu niepotrzebny!

cie mi chustkę lub cośkolwiek, aby zatamować krew; przeklęta jucha... leje się potokiem.

Jerzy patrząc z za skały, widział, jak się starano wsadzić go na siodło, lecz po daremnych usiłowaniach, stoczył się z konia na ziemię jak ciężka, bezwładna bryła.

— Zdaje mi się, że żyje — zauważyła Elżbieta, przypatrująca się wraz z innymi całemu zajściu.

— Gdyby nie żył, nicby nie szkodziło — odrzekł Fineasz — zasłużył na taką karę.

— A cóż się stanie z jego duszą?

— O biedny on, biedny — zawodziła matka Jima.

— Prawdopodobnie go zostawią zauważył Fineasz.

W istocie tak się stało. Po krótkich naradach wsiedli wszyscy na konie i odjechali. Gdy już zniknęli z oczu naszych zbiegów, rzekł Fineasz.

— Zejdźmy, bo mamy jeszcze kawał drogi. Prosiłem Michała, aby poszedł poszukać pomocy i wrócił z bryką, lecz zrobimy lepiej, gdy pójdziemy na jego spotkanie. Dałby Bóg, aby się nie spóźnił. Jest jeszcze dość wcześnie, na drogach ruch niewielki, mamy jeszcze tylko dwie mile przed sobą. O, gdyby nie te złe drogi, już byśmy tam byli.

Gdy się zbliżyli do ogrodzenia, spostrzegli na drodze brykę i kilku jeźdźców.

— Oto i oni: Michał, Stefan i Amarja — zawołał radośnie Fineasz. — Teraz jesteśmy tak bezpieczni, jakbyśmy już byli na miejscu.

— A więc zatrzymajmy się na chwilę, — rzekła Elżbieta — i pomóżmy temu biednemu człowiekowi! Serce się kraje gdy się słyszy, jak jęczy!

— Tak, to po chrześcijańsku, — rzekł Jerzy, — podnieśmy go i weźmy z sobą.

— Dla oddania pod opiekę jakim poczciwcom, nieprawdaż? — nie źle myślicie — rzekł Fineasz. — Nie mam jednakże nic przeciwko temu, ale obejrzyjmy go sobie bliżej...

Fineasz w ciągu swego myśliwskiego zawodu nabył pewnej praktycznej wiadomości w chirurgji, ukląkł więc i pilnie zaczął oglądać ranę.

— Marks, to ty? — zapytał Loker słabym głosem. — Czy to ty?

— Nie, przyjacielu, to nie Marks; myśli on jedynie o swojej skórze, a wcale o ciebie się nie troszczy, czmychnął za dziesiątą granicę.

— O! już po wszystkiem — rzekł Loker; — ten pies, ten przeklęty tchórz, zostawił mnie samego, abym umarł. Moja biedna, stara matka powtarzała mi często, że to się tak skończy!

— O, dobry Boże! Czy słyszycie? on ma także matkę, — biadała stara murzynka. — O biedny! bardzo biedny! Żal mi go niezmiernie.

— Pomału, przyjacielu, tylko nie mrucz i nie gryź — rzekł Fineasz do Lokera, który odepchnął jego rękę. — Wyleczysz się, jeśli mi się uda zatamować ci krew. Pozbierawszy Fineasz od wszystkich obecnych chustki, zrobił z nich bandaż i owinął ranę Lokerowi.

— To ty mię zepchnąłeś w przepaść? — spytał słabym głosem Loker.

— Gdybym nie był zepchnął ciebie, tobyś ty był pospychał nas wszystkich — odpowiedział Fineasz, nachylając się dla obwiązania mu rany. — No, pozwól, niech ci obandażuję ranę. Pragniemy twego dobra, nie mamy już do ciebie urazy. Zaprowadzimy cię do domu, gdzie będą cię opatrywać z troskliwością, z jaką cię zaledwo własna twoja matka opatrywać potrafiłaby.

Loker zamknął z bólu oczy. U ludzi tej klasy energja i odwaga są czysto tylko fizyczne i z upływem krwi nikną.

Boleśnie było patrzeć na tego człowieka, złamanego na duchu.

Gdy wóz nadjechał, wyjęto z niego siedzenia, a rozesłano skóry bawole; czterech mężczyzn ujęło ciało Lokera i z wielkim trudem położyli go na wozie. Stara murzynka, uniesiona litością nad nieszczęśliwym, usiadła obok niego i ułożyła głowę jego na swych kolanach. Elżbieta, Jerzy i Jan ścisnęli się, jak mogli, w pozostałej części wozu i wszyscy puścili się w dalszą drogę.

— Jak mu jest? — spytał Jerzy, usiadłszy obok Fineasza.

— Rana jest dość głęboka: więcej ucierpiał wskutek spadnięcia ze skały; upłynęło mu dużo krwi, dlatego widzimy u niego duchowe przygnębienie; ale się wyleczy, a nauka nie pójdzie może w las...

— O, uszczęśliwiasz mię, — rzekł Jerzy, — myśl, żem był przyczyną śmierci, choć w sprawie sprawiedliwej, ciężyłaby mi wiecznie.

— O tak, zabijać — czy to ludzi, czy też zwierzęta, zawsze to podłe rzemiosło. Byłem zawołanym myśliwym swego czasu, widziałem Daniela śmiertelnie ranionego; patrzał na mnie oczami, które wyraźnie mówiły mi, żem zły człowiek, bom zabił niewinne, biedne zwierzę. A cóż dopiero zabić człowieka! — To nie żarty. Żona twoja powiedziała, że po śmierci następuje sąd. Nie sądzę więc, aby skrupuły naszych braci w tym względzie były przesadne; i pamiętając na moje wychowanie, muszę przyznać im wiele słuszności.

— Cóż uczynimy z tym biednym? — spytał Jerzy.

— Zawieziemy go do Amarja. Jest tam babka Stefana, którą nazywają Dorkas, sławna z pielęgnowania chorych; to jej żywioł, uważa siebie za najszczęśliwszą, kiedy ma chorego pod swą opieką. Możemy go zostawić u niej na jakie pare tygodni.

Po godzinie drogi, przybyli nasi zbiegowie do ślicznej farmy, gdzie na nich czekano ze śniadaniem. Lokera złożono na łóżku, czysto i wygodnie usłanem, na jakiem nigdy jeszcze nie leżał. Opatrzono i przewiązano ranę z wielką troskliwością. Otwierając, jak zmęczone dziecię, oczy, spoglądał na białe firanki u okna i na łagodne światło, wkradające się do pokoju.

Porzućmy na chwilę rannego i zbiegów naszych.

—o—

ROZDZIAŁ XVIII.

Zasady i doświadczenia panny Ofelji.

Tomasz w niewinnych swych marzeniach porównywał szczęśliwą swą niewolę do niewoli Józefa w Egipcie; i nim więcej pan jego poznawał go, tem podobieństwo to stawało się trafniejsze.

Niedbały i mało ceniący pieniądze Saint-Clare, powierzał wszystkie starania, dotyczące zaopatrzenia domu swemu kamerdynerowi Adolfowi, niemniej niedbałemu i rozrzutnemu, jak on sam. Przy takim zarządzie rozchody były ogromne. Tomasz, oddawna przyzwyczajony mieć na oku przedewszystkiem interes swego pana, z niespokojnością, którą zaledwo mógł utaić, widział nieoględną rozrzutność, i przy zdarzającej się sposobności odważał się robić swoje uwagi, wprawdzie z pokorą i ostrożnością.

Z początku powierzył mu pan Saint-Clare jakiś sprawunek; lecz później, zdziwiony jego zdrowym rozsądkiem i zdolnościami, używał go coraz częściej, i Tomasz tak się dobrze wywiązywał z położonego w nim zaufania, że wkrótce oddał mu do załatwiania większą część domowych interesów.

— Dość, przestań, — rzekł pewnego dnia Saint-Clare do Adolfa, skarżącego się, że władza z rąk jego przechodzi w inne. Ty znasz moje fantazje i wymagania, a on widzi dobrze, ile mię one kosztują. Rychłoby nam zabrakło na codzienne potrzeby, gdyby ktoś trzeci nie zaczął czuwać nad wydatkami. Chcę, aby Tomasz odtąd miał dozór nad niemi: taka jest moja wola!

Używając nieograniczonej ufności swego pana, który zwykle dawał mu pieniądze i odbierał resztę, nie przeliczając jej, Tomasz nie miał innego stróża, prócz swojej prawości, popartej wiarą chrześcijańską, i to mu było dostatecznem; a ta nieograniczona ufność, najlepszą stała się dla niego zachętą do sumiennego wypełnienia obowiązków.

Zupełnie inny był Adolf. Lekkomyślny, egoista, zepsuty przez swego pana, znajdującego, że łatwiej potakiwać aniżeli rządzić, doszedł do tego, że wcale nie widział różnicy między co moje, a co twoje, i że sam Saint-Clare zaczął się trwożyć, rozumiejąc dobrze, że podobne postępowanie z podwładnymi jest niebezpieczne. Pewien rodzaj chronicznego wyrzutu sumienia prześladował pana Saint-Clare wszędzie, lecz nietylko że nie wzbudził w nim koniecznej energji, by zmienić postępowanie, ale nawet stał się z czasem przyczyną zbytecznego pobłażania, przebaczania przekroczeń bardzo ważnych i tłómaczył siebie tem, że gdyby on sam wypełniał swą powinność, słudzy jego nie zaniedbaliby również swojej.

Tomasz czuł do swego młodego, przystojnego, pełnego szlachetnych zasad pana, uszanowanie, połączone z pewną troskliwością rodzicielską. Nie mógł spokojnie patrzeć na to, że jego pan nie czyta nigdy książek treści religijnej, nie chodzi do kościoła, że żartuje ze wszyst-

kiego, że przepędza wieczory w święta w operze lub w teatrze, że uczęszcza do klubu, miejsc publicznych i często wieczerza nie w domu, co było w jego przekonaniu niesłusznem. Wywiódł więc z tego wniosek, że „pan nie jest chrześcijaninem"; lecz nie zwierzając się przed nikim ze swą obawą, bardzo często w samotnej swej stancyjce zanosił modły do Najwyższego za swojego pana. Czasami, gdy się nadarzyła po temu odpowiednia okoliczność, odważył się mu wypowiedzieć swoje zdanie, ale czynił to z wielkiem uszanowaniem i bardzo ostrożnie. Pewnego razu przywieziono pana jego po nocnej pohulance prawie bezwładnego do domu. Tomasz i Adolf wynieśli go z powozu i położyli w łóżko. Adolf bawił się widokiem swego upitego pana i naigrawał się z Tomasza, że tenże go żałował i całą noc przepędził przy nim na modlitwie.

— I czego czekasz? — spytał Saint-Clare, siedząc nazajutrz w bibljotece w szlafroku i pantoflach, Tomasza, który to chociaż otrzymał już pieniądze i rozkaz zrobienia niektórych zakupów, nie myślał wychodzić. — Czy się co zdarzyło? — dodał, widząc, iż stoi jeszcze.

— Tak, panie! — odrzekł Tomasz poważnie.

Saint-Slare położył dziennik, postawił filiżankę z kawą na stole, a pilnie spojrzawszy na Tomasza, powtórnie spytał:

— A więc cóż się stało? Wyglądasz bardzo smutnie...

— Źle się dzieje, panie. Sądziłem, że jesteś pan dobrym dla wszystkich.

— Czyż nim nie jestem? Zapewne masz jaką prośbę...

— O! pan był zawsze dobrym dla mnie, nie mogę się skarżyć; ale jest ktoś, dla kogo pan nie jest dobry...

— Cóż znowu?... gadaj, czego chcesz!...

— Przeszłej nocy, między pierwszą a drugą godziną, myślałem i długo rozważałem; pan nie jest dobrym dla siebie! — rzekł Tomasz zwrócony tyłem do pana i trzymając za klamkę drzwi. Twarz Saint-Clara oblała się rumieńcem, jednak przymusił się do uśmiechu.

— Czy to wszystko? — spytał żartobliwie.

— Wszystko! — zawołał Tomasz, lecz nagle się odwrócił i padł na kolana. — O mój drogi, młody panie! lękam się o ciebie.

Głos Tomasza drżał i łzy spływały obficie po jego licach.

— Biedny prostaczku — zawołał Saint-Clare, mając także oczy pełne łez. — Wstań, nie chcę, aby nade mną płakano.

— Tomasz klęcząc, patrzał na swego pana okiem dziwnie błagalnem.

— No, dobrze, dobrze, nie pójdę więcej na ich rozpustne biesiady — rzekł Saint-Clare. — Na mój honor, Tomaszu, nie pójdę więcej. Nie rozumiem, dlaczego od dawna nie zaprzestałem tam uczęszczać; zawszem się brzydził podobnym rodzajem życia i za każdym razem wyrzucałem sobie moją słabość. Otrzyj więc łzy i idź wypełnić, com ci polecił. Nie dziękuj! — dodał — nie jestem wcale przykładnym pokutnikiem, — i z lekka posunął Tomasza naprzód ku drzwiom. — Na słowo, Tomaszu, już nie ujrzysz mię więcej w takim stanie, w jakim widziałeś.

Tomasz wyszedł, ocierając łzy, które się zamieniły w łzy radości.

— Dotrzymam mu słowa, — rzekł Saint-Clare sam do siebie, kie-

— Ach, mój drogi, dobry panie — zawołał Tomasz i upadł na kolana.

dy Tomasz zamknął drzwi. I dotrzymał, co nie było mu trudnem, gdyż zawsze odczuwał wstręt do zmysłowych uciech.

* *
*

Któż zdoła opisać zmartwienia, kłopoty, jakie panna Ofelja, objąwszy zarząd domu, musiała przechodzić.

Gdziekolwiek znajduje się wiele służby, tam potrzeba niezwykłej umiejętności, rozsądku, żeby ją w należytych utrzymać karbach. Pani domu nie powinna być przykrą, bo ją służba znienawidzi. Żeby służbę uczynić posłuszną, państwu życzliwą, do tego potrzeba niezwykłego talentu. Posiadała go w zupełności pani Szelby. Ale takich pań domu, łagodnych, sprawiedliwych, umiejących do siebie służbę przywiązać, jest nie wiele; ale każda ma sposobność w tym względzie talent swój rozwinąć.

Marji Saint-Clare do takich wzorów doskonałych gospodyń, tak samo jak jej matki, zaliczyć nie możemy. Jako pani domu, była leniwa, dziecinna, nierozsądna, przykra; nie można więc było się spodziewać, żeby służba, wychowana w takiej szkole, mogła być dobrą. Trzeba przyznać, że panna Ofelja miała słuszność, opisując bezładność całej gospodarki, — tylko że nie znała właściwej tegoż przyczyny.

Pierwszego już dnia wstała, po objęciu zarządu gospodarstwa, panna Ofelja już o godzinie czwartej i po starannem uprzątnieniu swego pokoju, co czyniła ku wielkiemu zadziwieniu dziewcząt pokojowych, rozpoczęła codziennie przegląd szaf i składów, od których klucze miała sobie powierzone.

Nic nie uszło jej baczności, zajrzała wszędzie: do spiżarni, bufetu, pralni, kuchni i sklepu. Niejedno wyszło na jaw, co spoczywało w ukryciu; a rozmiary nieporządku przechodziły wszelkie domysły. To też w służbie wzbudziło się niezadowolenie, zaczęto narzekać na „damę z Północy".

Stara Dina, główna kucharka, najwyższa władczyni w swym wydziale, wściekała się na niesłychane wdarcie się, jak mówiła, w jej dział pracy. Czuła się straszliwie pokrzywdzoną.

Dina była znakomitością w swoim rodzaju; sprawiedliwość wymagała, abyśmy ją przedstawili naszemu czytelnikowi. Była to urodzona kucharka, podobnie jak ciotka Klotylda, — murzynki bowiem mają niezwykłą wrodzoną zdolność do kuchcenia. Nie uczyła się wprawdzie kucharstwa, jak to miała szczęście Klotylda, ale co zrobiła, to z własnego rozumu.

Był to pewien rodzaj geniuszu, dlatego też była dumną na swoją umiejętność i innego zdania nie znosiła; polegała tylko na własnym rozumie i nikt nie zdołałby w nią wmówić, że tak a tak byłoby lepiej, — bynajmniej, swój sposób uważała za najlepszy. Było to przyzwyczajenie, do którego nawykła jeszcze w domu dawniejszej pani, matki Marji; a dzisiaj — Marja sama w niczem jej ne przeszkadzała, bo było jej z tem wygodnie, że nie potrzebowała sobie suszyć głowy. Tak więc Dina rządziła, jak sama chciała; a czyniła to z niezwykłą łatwością, gdyż

z jednej strony umiała być pokorną wobec pani, a z drugiej strony — rozkazywać kuchtom i kuchcikom, i zawsze wolę swoją przeprowadzała.

Jeżeli cośkolwiek jej się nie zdarzyło, umiała zawsze się uniewinnić, a spędzić winę na któregokolwiek z kuchcików, których w każdej większej kuchni bywała wielka ilość. Ona sama — była zawsze niewinną i jej zdolności kucharskich nie zdołał nikt podać w podejrzenie.

Trzeba jednak przyznać, że Dina doskonale się znała na swojej sztuce. Chociaż w kuchni panował nieład i chaos, przecież obiad wystawiała na oznaczony czas i tak smaczny, że najwybredniejszy smakosz nic nie mógłby zarzucić.

Jaki obiad przyrządzić, co podać itd. obmyśla zwykle po śniadaniu. Do tego potrzeba jej było spokojnej głowy. Usiadła więc na podłodze i zapaliła krótką fajeczkę, bo to dodawało jej pewnego natchnienia.

Dokoła niej siedziała gromada dziatwy. W południowych bowiem Stanach w każdym domu jest dzieci bardzo dużo. Jedni łupali groszek, drudzy strugali ziemniaki, inni skubali drób, a ponad niemi wszystkiemi panowała nieograniczenie Dina z warzęchwią w ręku, — berło, którego nigdy z ręki nie puszczała. Od czasu do czasu dawała temu kułaka, tamtemu szturchańca i tak utrzymywała wśród tej krzykliwej czeredy pewien rygor.

Po uskutecznionym przeglądzie różnych działów zarządu domowego, weszła panna Ofelja do kuchni. Dina, uwiadomiona już o tem, co się działo, postanowiła trzymać się obronnie, nie ustąpić w swych prawach i przywilejach ani na krok.

W dużej, cegłą wyłożonej kuchni stał wzdłuż ściany piec. Pan Saint-Clare chciał go przebudować na mniejszy, zgrabniejszy, podług nowszych wymagań, lecz próżne były jego usiłowania, Dina się na to nie zgodziła.

Po powrocie swoim z podróży na Północ, gdzie nie mógł się dość nadziwić porządkowi panującemu w kuchni stryja, postanowił również wprowadzić podobny porządek w swojej kuchni; kazał więc pobudować regały z szufladkami, szafy i inne sprzęty. Lecz Dina, zamiast pochować w nie przedmioty, dla których były zrobione, powkładała w szuflady grzebienie, szczotki, podarte pończochy, dziurawe trzewiki, sztuczne, pomięte kwiaty — wogóle wszystkie jej sercu drogie pamiątki...

Gdy panna Ofelja weszła do kuchni, Dina nie powstała według zwyczaju, lecz paliła spokojnie dalej fajeczkę, śledząc z ukosa każde poruszenie nieprzyjaciołki, choć na pozór zajęta była dozorowaniem prac, jakie naokoło niej się odbywały.

Panna Ofelja zaczęła przegląd od szafy, a wysuwając jednę szufladę, spytała:

— Do czego ona ci służy, Dina?

— Prawie do wszystkiego, ponieważ to pod ręką i wygodne.

Rzeczywiście był to skład wszystkiego, bo i czegóż tam nie było? Naprzód wyciągnęła stamtąd panna Ofelja deseniową serwetę uwalaną w krwi, znać musiała służyć do owijania surowego mięsa.

— A cóż to, czy chodzisz do jatek z najdelikatniejszą serwetą swojej pani?

— To znowu nie! Nie było żadnej ścierki, więc wzięłam serwetę; lecz położyłam ją właśnie pod ręką, aby oddać do prania.

— Wszędzie nieład, — mówiła sama do siebie panna Ofelja, przeglądając dalej komodę, gdzie znalazła torbę do muszkatowych gałek, książeczkę do nabożeństwa, parę zabrukanych chusteczek jedwabnych, indyjskich, wełnę, pończochę, kapciuch z tytuniem i fajeczkę, dwa porcelanowe złocone talerzyki z pomadą, stare trzewiki, kilka cebul owiniętych w flanelową szmatę, kilka deseniowych serwet, brudne ścierki, igły, igliczki i mnóstwo małych podartych tutek papierowych, z których wysypały się aromatyczne ziółka.

— Gdzie chowasz muszkatowe gałki, Dina? — spytała panna Ofelja z wyrazem męczenniczki, wołającej o cierpliwość do Boga.

— Prawie wszędzie. Są tam na półce w zbitej filiżance, jest trochę i w szafie i tam także.

— A i tu, — rzekła Ofelja, pokazując Dinie szufladę.

— A tak, położyłam je dziś z rana, bo muszę mieć je pod ręką, — odpowiedziała Dina. — A ty, czego się gapisz? — zawołała na chłopca, dziwiącego się temu, co się dzieje — dam ja ci! pilnuj swojej roboty!

— A to co? — spytała panna Ofelja, podnosząc talerzyk z pomadą?

— To, to moja pomada; położyłam ją tam, abym miała ją pod ręką...

— I do tego używasz najpiękniejszych talerzyków?

— Mój Boże! byłam bardzo zajętą, nie miałam chwili swobodnej! Właśnie dziś miałam ją przełożyć.

— A te duże deseniowe serwety?

— Miałam właśnie oddać je w tych dniach do prania.

— Czyż nie masz osobnego miejsca na brudną bieliznę?

— Dlaczegoby nie? Pan Saint-Clare kupił umyślnie ten tu oto wielki kufer, lecz ja na nim zarabiam ciasto; włożyłam w niego już dużo innych rzeczy, bo jest bardzo nieporęczny, trzeba wciąż wieko podnosić.

— A dlaczego nie zarabiasz ciasta na stole?

— Bo jest zastawiony półmiskami, talerzami, to tem, to owem, miejsca na nim niema.

— Mogłabyś pomyć naczynia i odstawić.

— Ja! ja mam myć naczynia! — krzyknęła Dina, nie mogąc pohamować gniewu. Chciałabym wiedzieć, jak panie pojmują nasz obowiązek? Nieprędkoby się doczekał pan Saint-Clare obiadu, gdybym traciła czas na mycie i ustawianie naczyń. Moja pani jeszcze mi nic podobnego dotąd nie powiedziała.

— A te cebulki?

— A, to rzadkie cebulki, zapomniałam zupełnie, że je zawinęłam w tę starą flanelę, właśnie potrzebne dzisiaj... A cóż się ich naszukałam!...

Panna Ofelja podniosła pakiecik z aromatycznemi roślinami.

— Prosiłabym panią, nie ruszać tego, — zawołała Dina stanowczo. — Lubię, aby wszystko leżało tam, gdzie co położę.

— Sądzę jednakże, że dziury w papierze nie są potrzebne?

— Przez nie daleko wygodniej sypać.

— Tak, ale przez nie sypie się i do szuflady.

— Rzecz naturalna, dlatego, że pani wszystko przewracasz. Patrzcie, jaki porządek, — zawołała z gniewem Dina, podchodząc do komody. — Gdyby pani raczyła wrócić do salonu i poczekać, aż ukończę moją czynność, to potem znajdzie prawie każdą rzecz na swojem miejscu — nie umiem pracować, gdy mi kto na karku stoi...

— Sama zaprowadzę tutaj porządek i mam nadzieję, że utrzymasz go i nadal.

— Nie, panno Ofeljo, to być nie może; nigdym jeszcze nie widziała, żeby panie o takie rzeczy się starały.

— I Dina wzburzona chodziła po kuchni, gdy tymczasem panna Ofelja ustawiła w porządku cały stos talerzy, filiżanek, wsypała cukier z kilkunastu naczyń w jedno wielkie, odłożyła kilkadziesiąt ścierek do prania i to z takim pospiechem i zręcznością, że Dina stała zdumiona.

— Jeżeli damy w takie sprawy się wdają, to to wogóle nie damy... — odezwała się z oburzeniem Dina w należytem oddaleniu, żeby panna Ofelja nie mogła jej słyszeć. — Mam ja moje rzeczy zwykle w należytym porządku i gdy nadejdzie pora po temu, sama wszystko pouprzątam; nie potrzeba mi dam, które tylko jeszcze większy sprawiają nieład, tak że nic nie będzie można znaleźć...

Trzeba przyznać, że Dina od czasu do czasu zaprowadzała pewien w kuchni ład, a właściwie — starała się ład zaprowadzić. Wtenczas to wyrzucała, co tylko było w szufladach, na podłogę lub stół i nieład powstawał jeszcze kilka razy większy. Gdy kto zapytał, co robi? — odpowiadała: dzisiaj robi się porządek!... Chłopcom kazała szorować podłogę, stoły, ławki, czyścić naczynia, a gdy się wszystko jak śnieg bieliło, poczęła znowu wszystkie graty z powrotem ustawiać i chować po kątach, coby mogło razić oko. Potem zapaliła fajeczkę, zapasała biały fartuch, owinęła wkoło głowy jedwabną chustkę i nuże wyganiać rabiatę z kuchni, aby jej podłogi nie zabrudzili.

W przeciągu tygodnia zaprowadziła panna Ofelja w całem gospodarstwie zupełnie inny ład, według pewnych, z góry ułożonych reguł. Ale praca ta, o ile była potrzebna do niej pomoc sług, na niewiele się zdała, bo nieporządek znowu wszystkiemi kątami wkradał się z powrotem. Zrozpaczona postanowiła prosić pana Saint-Clare, aby w sprawę tę zajrzał i w jakikolwiek sposób jej dopomógł.

— Niema sposobu dojść do jakiegokolwiek ładu — rzekła.

— Masz zupełną słuszność, — odpowiedział Saint-Clare.

— Jakiż bezład, jakaż nieoględna rozrzutność! W życiu mojem nic podobnego nie widziałam.

— Wierzę najzupełniej!

— Nie patrzałbyś na to z taką zimną krwią, gdybyś sam był gospodynią.

— Kochana kuzynko, pamiętaj, że my, panowie, dzielimy się na dwie klasy: ciemiężycieli i uciemiężonych. Ci, którzy, jak ja, są dobrzy i nie cierpią srogości, muszą bardzo wiele znosić. Jeżeli nam się podoba trzymać w rzeczy pospolitej dla naszej wygody tłumy próżniaków, nieuków, powinniśmy cierpieć także skutki tego. Widziałem, lecz to bar-

dzo rzadko, osoby obdarzone szczególniejszym taktem, które bez użycia srogości utrzymują służbę w porządku, tak że każdy robi swą powinność. Ja nie jestem z liczby tych uprzywilejowanych, a więc od dawna dałem za wygraną i zgodziłem się z tem, jak jest. Nie chcę, aby ci biedacy byli ćwiczeni, bici; oni doskonale to pojmują i naturalnie nadużywają mej dobroci.

— Ale nie oznaczyć ani czasu, ani miejsca, ani nie mieć pewnego porządku, w jakim się mają odbywać czynności, puścić tak wszystko na łaskę... — rzekła panna Ofelja.

— Kochana Ofeljo, wy mieszkańcy Północy, za wiele przywięzujecie ceny do czasu. Na co on potrzebny człowiekowi, który ma go dwa razy więcej, niż może użyć. Co zaś do porządku, w istocie wszystko mi jedno, czy podadzą obiad lub kolację godzinę wcześniej lub później, skoro nie mamy nic innego do roboty jak czytać gazety i leżeć na kanapie. Zważże dobrze: Dina podaje przewyborne obiady, zupy, potrawy z sosami, pieczyste, kremy, lody itd., i tworzy to z chaosu, z pomroki kuchennej. Mnie się zdaje, że to nielada sztuka i wydziwić się temu nie mogę. Lecz strzeż się zajrzeć w ten chaos kuchenny; nie patrz, co się tam dymi, gotuje, warzy w rondlach, nie patrz na wszystkie przedwstępne przygotowania, bo stracisz apetyt i łyżki do ust nie weźmiesz. Posłuchaj mię, kuzynko, uwolnij siebie od tej srogiej męki; żadnej korzyści ona ci przynieść nie może: tracisz wesołość, a Dina rozum. Pozwól więc, niech robi, jak jej się podoba.

— Ale, mój Augustynie, ty nie wiesz, w jakim stanie znalazłam rzeczy.

— Co? ja? Ja nie mam wiedzieć? — Wałek do ciasta leży pod jej łóżkiem, torba od muszkatołowych gałek w jej kieszeni z tabaką; jest pięćdziesiąt pięć cukiernic, każda w innym kącie kuchni; raz wyciera talerze serwetą stołową, innym razem łachmanem ze starej spodnicy. Jednak to wszystko nie przeszkadza jej przyrządzać doskonałych obiadów, zgotować przewybornej kawy. Powinniśmy ją oceniać jak wojowników i ludzi stanu, według ich powodzenia.

— A bezład, rozchód, złodziejstwo? — pytała panna Ofelja.

— A więc zamknij, co można zamknąć; wydawaj pod miarą, lecz nie żądaj niczego z powrotem. Oto co możesz uczynić najlepszego.

— To mnie zasmuca, mój Augustynie; że lękam się, wasza służba nie jest poczciwą. Czyś pewny, że można jej zaufać?

Augustyn rozśmiał się serdecznie, patrząc na przedłużoną, poważną twarz panny Ofelji.

— Nie, kuzynko, chyba żartujesz! Poczciwi? Czyż można tego od nich żądać? Poczciwi! O zapewne, że nie są i dla czegoby mieli być? co ich zmusza, żeby byli poczciwymi?

— A czy nie mógłbyś ich pouczyć?

— Pouczyć? ja miałbym ich pouczać? Ciekawy jestem, jak jabym wyglądał — uczący murzynów. Marja, tak, Marja umiałaby ich uczyć, że pomarliby z rozpaczy, słuchając jej; ale naprawić ich nie potrafiłaby.

— Czyż więc niema między nimi poczciwych?

— Bywają czasami, znajduje się ten i ów, których natura utworzyła tak prostymi, tak uporczywie prawdomównymi i wiernymi, że najgorsze przykłady nie zdołają ich zepsuć. W kołysce już czarny widzi i czuje, że dla niego otwarta jest tylko droga fałszu, że tą tylko drogą może się wkraść w łaskę swoich rodziców, swojej pani, młodego pana i na koniec swych towarzyszów. Chytrość, podstęp i fałsz stają się jego koniecznemi, codziennemi zwyczajami. Byłoby niesprawiedliwością wymagać od niego czegoś innego; nie można go za to karać. Co zaś do uczciwości, niewolnik znajdując się od dziecka w zależności, nie jest w stanie pojąć, co moje, a co twoje; wszystko jest jego, co tylko może sobie przywłaszczyć. Przyznam się, że niewiem, jakim sposobem mógłby być poczciwym. Człowiek taki, jak Tomasz, na honor, to cud!

— I cóż się stanie z ich duszami? — spytała panna Ofelja.

— Skądże mam to wiedzieć? — odrzekł pan Saint-Clare. — Obecnie omawiamy sprawy ziemskie. Toć zresztą wiesz, że powszechnie głosi się, że dla naszej wygody i korzyści całe to plemię, bez wyjątku, oddane jest w tem życiu pod władzę szatana, jak będzie w przyszłem... nie wiadomo.

— To okropnie, — zawołała z zapałem panna Ofelja, — powinniście się wstydzić samych siebie.

— Zdarza mi się to czasami. Ale przecież idziemy wszyscy szeroką drogą, a więc w licznem i dobranem towarzystwie. Spojrzyj tylko dokoła siebie, na klasy wyższe i niższe: wciąż powtarza się jedno i to samo: klasa wyższa wyzyskuje niższą. Tak się dzieje w Anglji, tak się dzieje wszędzie.

— Nie tak jednak jest w Stanie Wermont.

— Zgadzam się, że w Nowej Anglii i w Stanach wolnych jesteście o krok przed nami. Ale oto już dzwonią na obiad. Dajmy spokój, kuzynko, naszym przesądom, a idźmy do stołu.

Gdy panna Ofelja pod wieczór znajdowała się w kuchni, zaczęły wołać niektóre dzieci: „Patrzcie! patrzcie! ciotka Pru idzie, zrzędząc jak zwykle".

Wysoka, koścista murzynka weszła, niosąc na głowie koszyk z ciastkami i ciepłemi bułeczkami.

— No, wreszcie przyszłaś, Pru! — zawołała Dina.

Fizjonomja Pru wyrażała złośliwość, głos miała niski, grobowy. Postawiła koszyk na ziemi, przykucła koło niego, a opierając się łokciami o kolana, rzekła:

— O Boże! pragnęłabym już umrzeć.

— I dlaczegóżbyś chciała umrzeć? — spytała panna Ofelja.

—Skończyłaby się moja nędzna dola, — odpowiedziała kobieta tonem opryskliwym, nie podnosząc oczu.

— Nie upijaj się, to ciebie i bić nie będą, Pru, — rzekła piękna, młoda mulatka, mająca w uszach śliczne koralowe kolczyki.

Pru spojrzała na nią ponuro.

— I ty możesz się tam dostać, o! cieszyłabym się, gdybym się tego doczekała, a wówczas i ty w kieliszku starałabyś się utopić swoje zgryzoty.

— Podaj ciastka — rzekła Dina. — Pani ci za nie zapłaci.

Panna Ofelja wybrała dwa tuziny ciastek.

— Tam na półce w rozbitym dzbanku są bilety, — rzekła Dina. Jacuś, wleźno i podaj je.

— Bilety? a do czego one? — spytała panna Ofelja.

— Kupujemy bilety u jej pana, a ona daje nam za bilety ciastka i bierze je z powrotem.

— A oni, gdy przyjdę do domu, przeliczają marki i pieniądze, i jeżeli się nie zgadza, biją mnie na śmierć.

— Postępują z tobą, jak zasługujesz, — rzekła pokojówka — a dlaczegoż przepijasz ich pieniądze? O, pani, jak ona okropnie pije!

— I nie przestanę pić, bo nie mogę żyć inaczej, przynajmniej na chwilę zapominam o mojem nieszczęściu!

— To jest bardzo brzydko okradać swego pana i za skradzione pieniądze szukać tak zwierzęcej uciechy, — rzekła z oburzeniem panna Ofelja.

— Tak, być może, że to źle; jednak nigdy pić nie przestanę. O! gdyby Bóg zesłał mi śmierć, skończyłyby się wszystkie moje cierpienia! — Stara zwolna się podniosła, postawiła koszyk na głowie, a rzucając złośliwym wzrokiem na śliczną pokojówkę, rzekła:

— Ty sądzisz, żeś bardzo ładna z temi kolczykami, zadzierasz nosa, z góry patrzysz na biednych, a zapominasz, że i ty, gdy pożyjesz, staniesz się taką, jak ja; będą cię tak samo bić. Przyjdzie i na ciebie kolej i zobaczymy wówczas, czy nie zaczniesz pić; do djabła! he, he, zobaczymy! — i wyszła, śmiejąc się złowrogo.

— Odrażające stare bydlę! — rzekł Adolf, wchodząc do kuchni po ciepłą wodę do golenia pana. — O! gdybym ja był jej panem, nie takbym ją siekł!

— Tegobyś uczynić nie mógł — odrzekła Dina — jest bowiem tak zbita, że ani sukni zapiąć nie może.

— Nie powinni posyłać podobnych istot do porządnych domów. Co myślisz o tem, panie Saint-Clare? — rzekła Janina, przymilając się Adolfowi.

Adolf między wielu innemi rzeczami swego pana przywłaszczył sobie także jego imię i podpis. Mieszkańcy Nowego-Orleanu nazywali go panem Saint-Clare.

— Jestem zupełnie twojego zdania, panno Benoir.

Benoir nazywała się pani Saint-Clare z domu, Janina była jej pokojówką.

— Czy wolno się zapytać, żali kolczyki te będziesz miała na jutrzejszym balu?

— Zanadto jesteś zuchwały, panie Saint-Clare, — rzekła Janina, potrząsnąwszy swą śliczną główką. — Nie będę tańczyła przez cały wieczór, jeżeli będziesz stawiał podobne pytania.

— O! nie będziesz tak okrutną! Chciałbym tylko jeszcze zapytać, czy ubierzesz się w swoją prześliczną, tarlatanową, różową suknię?

— Co, co takiego? — spytała Róża, również mulatka, pełna życia, zbiegając lekko ze wschodów.

— Pan Saint-Clare taki bezwstydny...

— Na mój honor, — rzekł Adolf, — oddaję się pod sąd panny Róży.

— Wiem, że jest zuchwały, — zawołała Róża, kręcąc się na swej małej nóżce, i rzucając złośliwe spojrzenie na Adolfa. — Niema dnia, żeby mnie nie gniewał.

— O moje panie, bo pęknie mi serce! Pewnego poranku znajdą mnie nieżywego w łóżku i wy będziecie tego przyczyną.

— Czy słyszycie? — zawołały obie panny, wybuchając śmiechem.

— Wychodźcie stąd! — przerwała im Dina. — Nie dla was tu miejsce, przeszkadzacie mi tylko.

— Ciotka Dina zła, że nie może iść na bal, — rzekła Róża.

— Drwię z waszych balów — odpowiedziała Dina, — napróżno naśladujecie białych, zawsze tylko jesteście murzynkami jak ja.

— Ciotka Dina codzień pomaduje sobie wełnę, aby leżały gładko, — zauważyła żartobliwie Janina.

— A wełna jednak pozostanie wełną, niczem więcej — dorzuciła Róża, trzęsąc swemi długiemi jedwabnistemi kędziorami.

— Ej, toć... pewnie, wełna nie gorsza od końskiego włosia — rzekła Dina. — Chciałabym, żeby sama pani rzekła: z kogo ma więcej korzyści, czy z was nygusów, czy ze mnie. No, precz stąd, próżniaki wynoście się!

Nagle odezwały się dwa głosy, powołujące próżnującą służbę do obowiązku. Saint-Clare wołał z góry na Adolfa, aby przyniósł wody do golenia; równocześnie weszła do kuchni panna Ofelja: Janino, Różo, czy nie macie nic do czynienia, że tak ten czas marnotrawicie? — zapytała tonem ostrym.

Nasz przyjaciel Tomasz, który znajdował się w kuchni w czasie rozmowy ze starą Pru, roznoszącą chleb, wyszedł za nią na ulicę. Szła ona powoli, czasem ciężko, boleśnie stękając. Nakoniec, składając swój ciężar na progu drzwi pewnego domu, zaczęła poprawiać na sobie stary szal, który zaledwie przykrywał poranione jej plecy.

— Pozwól, poniosę ci koszyk, — rzekł Tomasz głosem pełnym współczucia.

— Poco? — spytała kobieta. — Nie proszę cię o to.

— Wyglądasz, jakbyś była chorą, bardzo nieszczęśliwą... jestem pewny, że ci coś ciężyć musi!

— Wcale nie jestem chorą — odpowiedziała opryskliwie.

— O, gdybym mógł odwieść ciebie od picia! — zawołał Tomasz z uczuciem politowania. — Wiesz przecież, że gubisz ciało i duszę.

— Wiem dobrze, że pójdę do piekła — odrzekła z goryczą staruszka — nie potrzebujesz mi tego mówić. Jestem brzydka, stara, złośliwa, pójdę prosto do piekła. — O mój Boże! chciałabym już tam być.

Dreszcz zgrozy przejął Tomasza, gdy słyszał słowa te, wypowiedziane głosem wyrażającym prawdziwe żądanie.

— Oby Bóg miał litość nad tobą, biedna kobieto! Tobie nikt nie mówił o Jezusie Chrystusie?

— O Jezusie Chrystusie... któż on taki?

— Pan nasz i Zbawiciel.

— Zdaje się, że słyszałam coś o Zbawicielu, o sądzie, o piekle. O tak, słyszałam.

— Czy ci nikt nie mówił, jak Pan Jezus nas grzesznych kochał, jak umarł za nas.

— Nie, nic o tem nie wiem; od śmierci mego męża nikt mnie jeszcze nie kochał.

— Skąd jesteś? — spytał Tomasz.

— Z Kentucky. Należałam do człowieka, który pozwalał mi wychowywać moje dzieci, aby je potem sprzedać; na ostatku i mnie sprzedał handlarzowi, który znowu odprzedał mnie dzisiejszemu mojemu panu.

— Co cię skłoniło do picia? — spytał Tomasz.

— Nieszczęście, bieda! Gdy tu nastałam, miałam dziecię i sądziłam, że mój pan, który nie był handlarzem, zostawi mi je. Ach, jaki to był prześliczny, tłuściutki chłopczyk! a nigdy nie płakał! Pani moja z początku bardzo go kochała. Lecz gdy zachorowałam sama na gorączkę, straciłam pokarm i mój malutki zaczął okropnie chudnąć, bo pani nie chciała kupować mleka. Napróżno mówiłam, że nie mam w piersiach pokarmu, ani słuchać nie chciała; odpowiadała mi, że mogę je karmić tem, co wszyscy jedzą... i biedne małe jagniątko tak schudło, że strach było patrzeć, zostały tylko kosteczki i skóra... dzień i noc ciągle krzyczało... To nudziło moją panią; gniewało ją, mówiła, że psuję swego synka, że chciałaby, aby umarł... Zabraniała mi mieć go przy sobie, utrzymując, że z przyczyny jego po całych nocach nie śpię, i dlatego niepodobna, abym należycie ją obsłużyła. Kazała mi spać w swoim pokoju, a synka mego musiałam zanieść na śpichrz, gdzie biedaczek nieustannie krzyczał... i umarł... Zaczęłam pić dla zagłuszenia jego krzyku, który ciągle rozlegał się w moich uszach. Piłam i pić będę, choćby to mnie zaprowadziło do piekła. Pan mój mówi, że pójdę do piekła, a ja powiadam, że już jestem w piekle!

— O biedna ty! Nikt ci nie mówił, że Chrystus Pan ciebie kocha i śmierć dla ciebie poniósł? Nikt ci nie mówił, że przyjdzie dopomóc tobie, że możesz pójść do nieba i tam dusza twoja się uspokoi i będziesz szczęśliwą.

— Ja... do nieba? Jakim sposobem mogłabym tam trafić! — rzekła staruszka. — Tam idą biali; przypuśćmy, że mnie złowią i tam jeszcze? O! wolę iść do piekła, skończyć i nie mieć więcej ani pana ani pani. O tak, tak, wolę iść do piekła, — rzekła biedna kobieta i biorąc koszyk na głowę, oddaliła się zwolna, stękając i złorzecząc.

Ze smutną, zwieszoną głową wrócił Tomasz do domu. Na dziedzińcu spotkał małą Ewę z gierlandą hiacyntów na głowie, z okiem radośnie promieniejącem.

— Nakoniec znalazłam cię, Tomaszu; ojczulek pozwolił mi przejechać się trochę, załóż więc kucyki do nowego kocza. Ale Tomaszu, co ci to? dlaczegoś taki smutny? — spytała z głębokiem uczuciem Ewunia.

— Prawda, panienko, mam smutek, — odrzekł Tomasz; — ale zaprzęgę natychmiast.

— Powiedz mi, mój Tomaszu, co ci jest? Widziałam, żeś długo rozmawiał ze starą Pru.

Tomasz opowiedział Ewie historję nieszczęśliwej Pru z całą właściwą sobie naiwnością i prostotą.

Ewunia nie wyrażała swego oburzenia, nie dziwiła się, nie płakała, jak zwyczajnie robią w podobnych zdarzeniach inne dzieci. Bladość tylko okryła jej twarzyczkę; obie ręce przycisnęła do piersi i westchnęła głęboko.

ROZDZIAŁ XIX.

Doświadczenia i zapatrywania panny Ofelji.

Tomaszu, nie zaprzęgaj koni, już nie pojadę — rzekła Ewunia.

— Dlaczego panienko?

— O! bo to tak głęboko przenika serce, mój Tomaszu, to tak boli, — mówiła z smutkiem Ewunia. — O nie, nie pojadę — i zostawiając Tomasza, weszła do pokoju.

W kilka dni, zamiast starej Pru, przyniosła ciastka inna kobieta. Panna Ofelja była właśnie w kuchni.

— A cóż, gdzie biedna Pru? — zawołała Dina.

— Pru nie wróci więcej, — odpowiedziała tajemniczo kobieta.

— Dlaczego? — umarła? — spytała Dina.

— Nie wiemy tego dokładnie — odpowiedziała kobieta, rzucając znaczący wzrok na pannę Ofelję — jest na dole w piwnicy.

Gdy panna Ofelja wybrała potrzebną ilość ciastek, wyprowadziła Dina kobietę aż za drzwi.

— Cóż się stało z Pru? — spytała, oglądając się, czy kto nie słucha.

Kobieta niby to chciała mówić, niby też nie — walczyła z sobą; wreszcie rzekła zniżonym głosem:

— Ale nie powiesz nikomu? Pru upiła się, wrzucili ją do piwnicy i zostawili przez cały dzień. Słyszałam, jak mówiono, że już ją muchy obsiadły, że już nie żyje.

Dina przejęta zgrozą, wzniosła ręce ku niebu, a gdy się obróciła, spostrzegła Ewunię; jej wielkie, pełne myśli oczy, wyrażały oburzenie, twarz pokryła się śmiertelną bladością.

— O mój Boże, pannie Ewuni niedobrze, o! ja nierozsądna, panienka nas słyszała! Ojczulek, gdy się dowie, będzie się gniewał.

— O nie, Dina, mnie nie jest źle, — rzekło dziecię stanowczo. — I dlaczegożby nie wolno było mi słyszeć? Boleśniej zapewne było starej Pru to wszystko wycierpieć, niż tylko o tem słyszeć.

— Takie delikatne dziecię, jak panienka, nie powinno słyszeć podobnych historyj, bo to mogłoby przyprawić panienkę o życie.

Ewunia westchnęła i wolnym krokiem poszła na górę.

Ale nikomu tego nie mów . . .

Gadatliwa Dina opowiedziała o całem zdarzeniu pannie Ofelji; Tomasz dodał do tego jeszcze, co sam słyszał od biednej starej Pru.

— O, to okropne! przerażające! — zawołała panna Ofelja, wchodząc do salonu, w którym Saint-Clare czytał gazety.

— Cóż takiego? — zapytał.

— O, hańba! Ci kaci zasiekli na śmierć biedną Pru! — i z oburzeniem opowiedziała panna Ofelja ze wszystkiemi szczegółami całe to wydarzenie.

— Byłem pewny, że wcześniej czy później to nastąpić musi — odpowiedział obojętnie Saint-Clare, czytając dalej gazety.

— Byłeś pewny? Dlaczego nie przeszkodziłeś temu? Czy niema prawa, zapobiegającego podobnym wypadkom? Czy nie zostanie wdrożone śledztwo?

— Powszechnie mniemają, że interes właściciela w utrzymaniu swej własności jest dostatecznem tejże zabezpieczeniem. A jeżeli się komu podoba zniszczyć swą własność, nie rozumiem, jak temu chcianoby zapobiec. Mówią, że biedne to stworzenie kradło i upijało się; to wcale nie może obudzić dla niej sympatji.

— Ale to okropne! — to hańbiące! — to woła o pomstę do nieba!

— Moja kochana kuzynko, cóż ja mam zrobić? Ja nic nie mogę! Gdyby ode mnie zależało, to bez wątpienia nie dopuściłbym do tego. Jeżeli ludzie ograniczeni ,zezwierzęceni słuchają swych hańbiących, zmysłowych popędów, cóż chcesz, abym uczynił? Oni mają za sobą prawo, to są nieodpowiedzialni despoci. Do czegożby posłużyło moje wmieszanie się? Niema zresztą prawa, któreby się dało zastosować w podobnym przypadku. Cóż więc nam pozostaje? Oto zamknąć oczy i uszy i nie dbać o podobne sprawy.

— Ale jakże można patrzeć na to tak obojętnie, na podobne bezeceństwo?

— Droga kuzynko, sama nie wiesz, czego żądasz! Oto cała klasa istot spodlonych, niedołężnych, leniwych, wydana bez żadnej umowy i warunków w ręce ludzi niesumiennych, nieumiejących panować nad swemi namiętnościami, nawet nie pojmujących dobrze własnego interesu; a taką jest większa część rodu ludzkiego. I cóż, pytam, może uczynić człowiek szlachetny, wspaniałomyślny, w podobnie zorganizowanem społeczeństwie? Jedno mu pozostaje: zamknąć oczy i nakazać sercu milczenie. Nie jestem w stanie wykupywać każdego uciśnionego murzyna, którego spotkasz. Nie mogę zostać błędnym rycerzem i walczyć przeciw każdemu niesprawiedliwemu czynowi w takiem mieście, jak nasze. Jedno co mogę uczynić, to usunąć się i nie brać udziału w ohydnem prześladowaniu nieszczęśliwych.

Śliczna twarz pana Saint-Clare zachmurzyła się, na chwilę posmutniał, lecz wkrótce uśmiechnął się wesoło i rzekł:

— Ale chodź, moja droga kuzynko, usiądź sobie spokojnie. Gdybyśmy we wszystkie sprawy społeczne zaglądać chcieli, zgorzknielibyśmy, życie nie miałoby dla nas żadnego uroku. To tak samo jak gdybyś chciała wszystkiemu z osobna przyjrzeć się w kuchni Diny.

I pan Saint-Clare położył się znowu na kanapie.

Panna Ofelja usiadła na krześle, wyjęła robótkę i zaczęła heklować. Pracowała, nic nie mówiąc, choć gniew ją dławił; aż po pewnym czasie, nie mogąc się pochamować, odezwała się znowu.

— Tak obojętnie, jak ty, na podobne sprawy patrzeć nie mogę. To brzydko z twej strony, że bronisz podobnego systemu.

— Co? — zawołał Saint-Clare, podnosząc oczy. — Jeszcze...

— Powtarzam, że broniąc podobnego systemu, hańbisz się! — zawołała panna Ofelja ze wzrastającym zapałem.

— Ja... bronię? Kto ci to mówił, że ja bronię? — zawołał z oburzeniem Saint-Clare.

— Bez zaprzeczenia bronisz; wy wszyscy to czynicie, mieszkańcy Południowych Stanów, bo inaczej, czyżbyście cierpieli niewolnictwo?

— Czy jesteś, droga kuzynko, do tyle naiwnie dziecinną, że sądzisz, iż wszyscy robią tylko to, co uważają za dobre? czyż sama nie zrobiłaś w swem życiu nic takiego, co cię oddalało od drogi prostej?

— Jeżeli mi się to zdarza, żałuję tego, pokutuję, — odpowiedziała panna Ofelja, z żywością pracując drucianemi prątkami.

— Ja także, — rzekł Saint-Clare, obierając pomarańczę, — całe moje życie jest ciągłą skruchą, nieustannym żalem.

— Więc dlaczegóż nie przestajecie tak postępować?

— Czyż ty, kuzynko, po szczerym żalu nie popełniłaś tegoż samego występku nigdy?

— Być może, kiedy pokusa była zbyt silną, — odpowiedziała panna Ofelja.

— Przewybornie! Dla mnie pokusa jest także zbyt silną, — odpowiedział Saint-Clare, — w tem właśnie cała trudność.

— Lecz ja przynajmniej staram się wystrzegać się złego.

— Ze sto razy w ciągu ostatnich lat dziesięciu — przerwał Saint-Clare, — postanawiałem toż samo, i nie wiem jakim sposobem nie postąpiłem ani kroku naprzód. A ty, kuzynko, czy jesteś wolną od wszystkich wad, grzechów?

— Kuzynie, — zawołała panna Ofelja serjo, odkładając robotę, — bez wątpienia, masz słuszność, naganiając mi moje błędy. Wszystko, co mówisz, jest prawdą; nikt nie czuje tego tak silnie jak ja: jednak, jak mi się zdaje, jest różnica między nami. Wolałabym oderznąć sobie prawą rękę, jak z dnia na dzień popełniać to, co uważam za złe. Moje postępowanie nie jest wprawdzie w zupełnej zgodzie z mojemi przekonaniami religijnemi, i w tem właśnie zasługuję na naganę.

— Nie bierz, moja kuzynko, — rzekł Augustyn, siadając na posadzce i kładąc głowę na kolanach panny Ofelji, — nie bierz tego tak serjo! Wiesz dobrze, żem zawsze był urwiszem, sprzeciwiam się tobie, bo lubię, gdy się gniewasz. Uważam cię jednak za doskonałość, za wcielenie niewzruszonej cnoty, co właśnie mię niecierpliwi, zabija.

— Lecz tu chodzi o rzecz poważną, mój kochany kuzynie, — rzekła pani Ofelja, kładąc rękę na czoło jego.

Za nadto poważna! Ja nie umiem rozprawiać o niczem poważnie, kiedy takie gorąco, a w dodatku muchy i komary tną niemiłosiernie; to niepodobna wznieść się myślą w wysokie sfery moralności. Teraz

też pojmuję, dlaczego wy, mieszkańcy północni, jesteście lepsi od nas, mieszkających na Południu.

— O! Augustynie, jesteś bardzo lekki! — zawołała panna Ofelja.

— Tak, jestem lekki, zgadzam się na to. Lecz teraz będę umyślnie poważnym; podaj mi, kuzynko, koszyk z pomarańczami, bo wprzód, jeżeli chcesz, abym tyle siły woli okazał, musisz mnie nasycić słodyczami. A więc — dodał przysuwając do siebie koszyk, — zaczynam. Jeżeli w biegu wydarzeń ludzkich, człowiek widzi się zmuszonym trzymać w niewoli dwa, trzy tuziny podobnych, wcale nie gorszych od siebie istot, wymaga pewne poszanowanie dla przesądów społecznych...

— Wcale nie widzę, abyś był poważniejszy, — przerwała panna Ofelja...

— Cierpliwości! już zaczynam; zobaczysz, kuzynko, zacznę natychmiast. — Śliczna postawa i twarz jego przyjęły nagle wyraz pełen powagi i głębokiego zastanowienia. Sprawa przedstawia się tak — mówił dalej — a pojęcie o niewolnictwie może być tylko jedno: Plantatorzy, którzy na niewolnictwie zarabiają gruby pieniądz, i politycy, pragnący plantatorom się przypodobać, starają się we wszelki godziwy i niegodziwy sposób niewolnictwo usprawiedliwić i Bóg wie co niewymyślają, byleby społeczeństwu piaskiem zasypywać oczy; ale sami w to, co mówią, nie wierzą. Niewolnictwo wymyślił chyba szatan, i to dowodzi, mojem zdaniem, jego zaciekłości i siły.

Panna Ofelja zaprzestała pracować i z wielkiem zdziwieniem spojrzała na pana Saint-Clare, który widocznie rad był z wrażenia, jakie słowa jego zrobiły, i tak mówił dalej:

— Ale posłuchaj mnie kuzynko spokojnie. Ponieważ sama sprawę tę poruszyłaś, pozwól więc, że ci serce moje otworzę. Czemże jest ta instytucja, przeklęta przez Boga i ludzi? Jakież jej cele i zamiary? Ponieważ czarny brat mój jest słaby i niewykształcony, ja zaś posiadam i siłę i wykształcenie, wolno mi więc okradać brata mego, wziąść mu co jest jego, a zostawić mu tylko tyle, ile zechcę. Ponieważ nie lubię pracować, niech więc on pracuje; ponieważ nie znoszę upału, niech jego słońce piecze; niech zarabia, a ja będę trwonić; niechaj osusza trzęsawiska, abym, gdy tamtędy przechodzić będę, nóg sobie nie zamoczył. Przez całe życie ma spełniać moją wolę, a nie swoją; a wreszcie do nieba dostanie się, gdy na to pozwolę. To jest niewolnictwo. Niechaj mi nikt nie mówi o nadużyciach, popełnionych na samych niewolnikach: rzecz sama jest niesłychanem nadużyciem. Kraj cały musiałby zginąć jak Sodoma i Gomora, gdybyśmy chcieli korzystać ze wszystkich przywilejów, jakie prawo nam daje, szczęściem jesteśmy względniejsi i łagodniejsi. Jednych wstrzymuje obawa, drugich litość, innych wstyd, ponieważ urodziliśmy się ludźmi, a nie zwierzętami. To są przyczyny, dla których wielu z nas nie korzysta z praw, jakie nam ustawodawstwo daje. Ale zaręczam, że najokrutniejsi nawet nie przekroczą granic, jakie zakreśla prawo.

Pan Saint-Clare przechadzał się po pokoju i mówił z niezwykłem ożywieniem. Twarz jego pałała oburzeniem, a całe ruchy wyrażały do-

bitnie, co się wewnątrz, w głębi jego duszy działo. Panna Ofelja nie widziała go nigdy jeszcze takim i z zachwyceniem nań patrzała.

— Powiem ci otwarcie, — zawołał, zatrzymując się nagle przed panną Ofelją. — Ale cóż pomoże czuć, myśleć, mówić! Są chwile, w których przychodzi mi myśl, że gdyby kraj ten ze wszystkiemi swemi nieprawościami chciał się zapaść i pogrzebał w gruzach swoich całą ową nędzę, chętniebym się zgodził zginąć z nim razem. W moich wycieczkach po kraju spotykałem tylu ludzi ciemnych, ograniczonych, nikczemnych, apatycznych, niegodnych imienia człowieka, że myślałem sobie: o mój Boże! i prawa nasze pozwalają każdemu z nich zostać nieodpowiedzialnym, absolutnym despotą nad tylu nieszczęśliwemi istotami, ile tylko mogą kupić za pieniądze nabyte niesumiennie: przez złodziejstwo, oszukaństwo, szulerkę. Gdym widział w ich mocy dzieci, niewinne dziewczęta, kobiety, o! wtedy przychodziła mi chęć przekląć kraj własny i cały naród.

— Dosyć, dosyć, Augustynie, dość już powiedziałeś. W życiu mojem nie słyszałem nic podobnego, nawet na Północy.

— Na Północy, — rzekł Saint-Clare, zmieniając nagle ton i wpadając w zwykłą sobie niedbałość. — O! na Północy macie krew zimniejszą, jesteście nieczuli na wszystko. Nie odważycie się przeklinać z taką zawziętością, zapalczywością, jak my, skoro już zaczniemy.

— Lecz chciałabym wiedzieć... — przerwała panna Ofelja.

— Tak, tak, w istocie, — ciągnął dalej Saint-Clare, — kwestja była... o szatańska kwestja! jakim sposobem doszliśmy do tego nadmiaru cierpień i niesprawiedliwości? Otóż wskutek grzechu pierworodnego. Moi niewolnicy byli niewolnikami ojca mego, a co jeszcze więcej, że i matki mojej; teraz są oni moimi; oni i ich potomstwo, co może utworzyć już ogromną liczbę. Mój ojciec, jak wiesz, przybył z Północy, odznaczał się, jak i wasz ojciec, niezłomnym hartem duszy; był energiczny, prawy, z duszą szlachetną i żelazną wolą, prawdziwy typ starego Rzymianina. Wasz ojciec zamieszkał w Nowej Anglji, aby tam na gruncie skalistym znaleźć utrzymanie, mój zaś zamieszkał w Luni-siania, został właścicielem plantacji.

— Matka moja, — mówił dalej Saint-Clare, wstając i zatrzymując się w drugim końcu pokoju przed jej portretem, z głęboką czcią; — matka moja była kobietą anielskiej dobroci. Co tak patrzysz, kuzynko, na mnie? Rozumiesz zapewne, co chcę mówić. Była ona istotą śmiertelną, lecz nigdym nie mógł w niej dopatrzyć cienia słabości ludzkich, żadnej wady; ci wszyscy, którzy ją pamiętając, niewolnicy czy wolni, słudzy czy przyjaciele, powiedzą toż samo. O tak, kuzynko, i ta matka moja była uosobieniem dobroci. O matko! matko droga! — zawołał wyciągając ręce ku jej portretowi — tyś mi była jedyną podporą, aniołem-stróżem, kiedym stanął nad przepaścią zupełnego zwątpienia. — Pokonawszy jednakże wzruszenie, usiadł na otomance i mówił spokojnie dalej:

— Miałem brata, bliźniaka, ale wbrew ogólnemu zdaniu, w niczem nie byliśmy sobie podobni. On miał oczy czarne, pełne ognia, włosy jak heban, cerę śniadą, profil rzymski i był silnie zbudowany. Ja zaś

mam oczy błękitne, włosy blond, rysy greckie, jestem biały i delikatnej budowy. On był czynny i obserwujący, ja marzący i niedbały. Był wspaniałomyślny dla przyjaciół i sobie równych, lecz dumny, rozkazujący, srogi dla niższych i nielitościwy dla tych wszystkich, którzyby się ośmielili mu się sprzeciwić. Obaj miłujemy prawdę, on przez wyniosłość i odwagę, ja przez miłość ideału. Kochaliśmy się, jak zwyczajnie bracia się kochają. On był ulubieńcem mego ojca, ja — matki.

Jam był chorobliwie drażliwy, lada co rozdrażniało mnie, czego ojciec i brat nie mogli zgoła pojąć; gdy tymczasem matka rozumiała mnie zupełnie. Kiedym się pokłócił z Alfredem i ojciec spojrzał na mnie ostro, biegłem zwykle do pokoju matki i siadałem u jej nóg. Pamiętam ją dobrze, blade jej lica, wzrok łagodny, poważny, — ubrana była biało, — zawsze w bieli chodziła; ile razy czytałem opis Świętych Pańskich, w sukniach lśniącej białości, myślałem zawsze o niej. Natura ją obdarzyła geniuszem pod wielu względami, a szczególniej w muzyce. Bardzo często siadała do fortepjanu i śpiewała prześlicznie; ja, z głową opartą na jej kolanach, płakałem, puszczając wodze mym uczuciom; błądziłem w marzeniach bez granic, dla których nie miałem wyrazu.

W one dni jeszcze nie rozmyślano, nie sprzeczano się tak jak dzisiaj, o kwestji niewoli, nikt w tem złego nie widział.

Mój ojciec był arystokratą, chociaż nie pochodził z arystokratycznej rodziny; a brat mój wydał się najzupełniej w niego. Jak wiesz, pociąga arystokracja pewne w społeczeństwie linje, przy których zanikają u nich uczucia ludzkie. To, co u siebie nazywaliby srogością, surowością, nieszczęściem, niesprawiedliwością, to u stanów niższych uważają za rzecz właściwą, samo się przez się rozumiejącą. W Anglji sięga ta granica pewnej wysokości, w państwie Birmańskiem innej, w Ameryce jeszcze innej; ale arystokrata tych różnych krajów nie przekroczy jej nigdy. Ojciec uważał kolor skóry za ową linję graniczną. Nie było człowieka sprawiedliwszego, wspaniałomyślniejszego nad niego wobec sobie równych; ale murzyna wszystkich możebnych odcieni uważał tylko za coś pośredniego między człowiekiem a zwierzęciem, i na tem pojęciu osnował wszystkie swoje idee o sprawiedliwości i wspaniałomyślności. Gdyby go spytano, bez obwijania w bawełnę: „czy sądzisz, że murzyni mają duszę nieśmiertelną?“ jestem pewny, że po długim zaledwo „hm, hm!“ odwarzyłby się odpowiedzieć: „tak“. Ale mój ojciec niezbyt się troszczył o duchowe potrzeby człowieka; religijnym był o tyle, o ile było w wyższych sferach zwyczajem.

Ojciec mój miał około pięciuset niewolników. Nieugięty, wymagający, akuratny, wszystko u niego powinno było postępować systematycznie i z ścisłą dokładnością. Jeżeli weźmiemy teraz na uwagę, że tej matematycznej dokładności wymagano od tłumu niewolników nieprzyzwyczajonych do porządku leniwych, niechętnych, niepojmujących, co to jest obowiązek, zrozumiesz łatwo, że na jego plantacjach zachodziły wypadki, na które ja, jako chłopczyk z niezwykle czułem usposobieniem, patrzałem ze smutkiem.

Prócz tego był u nas rządzcą chłop wysoki, olbrzymi, obdarzony silnemi pięściami, odznaczający się srogością i brutalnością. Matka moja

nie cierpiała go, ja tak samo; ale ojciec mój lubił go i dlatego robił, co tylko chciał.

Będąc jeszcze chłopięciem, odwiedzałem z chęcią chaty robotników, których naturalnie byłem wielkim ulubieńcem; opowiadali mi oni o swoich nieszczęściach, skarżyli się, co ja wiernie powtarzałem matce i z nią we dwoje składaliśmy rodzaj komitetu w celu wynagradzania za krzywdy. Przeszkadzaliśmy wielu nadużyciom, i musieliśmy przyznać sami sobie, żeśmy dużo dobrego uczynili. Wtem, jak się to często zdarza, przekroczyłem w gorliwości granicę i Stubs użalił się przed ojcem, że nie ręczy nadal za posłuszeństwo niewolników, zagroził nawet porzuceniem służby. Ojciec mój, dla matki mojej zresztą czuły i pobłażliwy, nie ustępował jej jednakże w sprawach, które uważał za konieczne; stanął więc jak niewzruszona opoka między nami i niewolnikami. Z największem uszanowaniem, ale stanowczo zapowiedział matce, że ona jest zupełną panią służby wewnątrz domu, lecz że nie powinna się wcale wtrącać do pracujących poza domem. Szanował moją matkę, jak może żaden mąż, ale nie dozwalał jej naruszać pod żadnym względem systemu wprowadzonego w zarządzie plantacjami.

Czasami słyszałem, jak matka moja rozprawiała z nim o niewolnikach, aby wzbudzić w nim dla tych nieszczęśliwców litość. Słuchał z grzecznością, przywodzącą ją do rozpaczy, najczulszych próśb i wezwań. „Wszystko daje się zebrać w jedno pytanie, — odzywał się na koniec, — czy mam odprawić Stubs'a, czy też go zatrzymać? Stubs, to wcielona, matematyczna dokładność, rzetelność, uczciwość, czynny w interesach, a przytem ludzki. Na świecie trudno o ludzi doskonałych, a jeśli mam go zatrzymać, powinienem zachować jego system administracyjny w całości, chociażby czasami zachodziły jakieś wyjątki. W każdem postępowaniu wychowawczem potrzebną jest pewna surowość. Oczywiście, że reguły ogólne w zastosowaniu w pojedyńczych wypadkach są dość ciężkie.

Zdaje się, że dlatego też uniewiniał nadużycia spełnione na niewolnikach. Skończywszy mówić, miał zwyczaj kłaść się na kanapie i zabierał się do spoczynku lub czytania gazet.

Ojciec mój posiadał wszelkie przymioty potrzebne człowiekowi stanu. Bacząc na ogólne interesy, przed niczemby się nie cofnął. Nakoniec musiała matka moja zaniechać obrony tak bardzo w oczach jej słusznej sprawy. I zapewne nigdy się nie dowiemy, ile serca czułe, tak jak matki mojej, cierpieć muszą, gdy widzą, że w powziętych, a tak bardzo szlachetnych zamiarach, nic się zdziałać nie da. I cóż jej pozostało? Dzieci i ta pociecha, że wpoiła w nie swoje własne przekonania i zasady. Często najlepsze wychowanie nie zdoła zmienić natury człowieka. Alfred był już w kołysce arystokratą i z latami wszystkie jego sympatje, uczucia, myśli i przekonania coraz wzrastały widoczniej w tym kierunku; nie pomogły żadne nauki, żadne napomnienia matki; na mnie przeciwnie, uczyniły one niestarte wrażenie, które głęboko zakorzeniło się w sercu. Matka nigdy nie zaprzeczała otwarcie temu, co ojciec mój mówił; nawet zdawało się, że panuje między nimi zgoda zdań; jednak z całą potęgą swoich szlachetnych zasad wyryła na dnie duszy mojej

łaskrawemi głoskami, niedającemi się zatrzeć, ideę cudownej doskonałości duszy ludzkiej. O! z jaką czcią, z jakiem drżeniem patrzałem w tę anielską twarz, kiedy wskazując mi niebo, zasiane gwiazdami, mówiła: „patrz Augustynie, widzisz te gwiazdy, one wszystkie przeminą, ale dusza człowieka, dusza najlichszego nędzarza, ostatniego z naszych niewolników istnieć będzie! bo dusza jest nieśmiertelna!“

Matka moja miała kilka bardzo ładnych starych obrazów, które silne na mnie robiły wrażenie, szczególniej jeden z nich przecudowny, przedstawiał Jezusa Chrystusa uzdrawiającego ślepego. „Patrz mój Augustynie, — mówiła mi, pokazując obraz, — ślepy jest odrażającym nędzarzem, biednym, i właśnie dlatego nie chciał go uzdrowić zdaleka, lecz przywołał i włożył nań ręce Swoje. Spamiętaj to sobie dziecię“. O! gdyby i Pan Bóg dozwolił mi wychować się przy niej, byłbym innym człowiekiem, lepszym... Lecz inaczej się stało; jam się rozstał z matką w trzynastym roku życia i już jej więcej nie ujrzałem.

I Saint-Clare ukrył twarz w obu dłoniach, milczał czas jakiś, potem podniósł głowę i mówił dalej:

— Jak słabą, jak wątłą jest cnota ludzka, od jak drobnych zależy okoliczności! Szerokość, długość, położenie geograficzne w połączeniu z wrodzonemi skłonnościami, — wszystko należy od przypadku. Naprzykład, wasz ojciec, kuzynko, zamieszkał w stanie Wermont, gdzie wszyscy są wolni i równi, przyłączył się do partji abolicjonistów i uważa nas prawie za pogan. A jednak przez swe skłonności, przyzwyczajenia, jest kubek w kubek podobny ojcu mojemu. Widzę w nim tego samego ducha dumnego, hardego, lubiącego panować. Wiesz doskonale, że niepodobna przekonać niektórych mieszkańców twojej wsi, że dziedzic wioski Saint-Clare nie uważa się za coś wyższego od nich; chociaż więc ojciec twój przejął się zasadami demokratycznemi, przecież w duszy, to dumny i wyniosły arystokrata, to portret mego ojca, który władał nad pięciu do sześciu set niewolnikami.

Panna Ofelja chciała zaprzeczyć i odłożyła robotę na stronę, lecz Saint-Clare nie dając jej czasu, mówił dalej:

— Wiem, co chcesz mi zarzucić. O nie! ja nie mówię, że oni we wszystkiem są sobie podobni. Jeden znalazł się w położeniu, gdzie wszystko się sprzeciwiało jego naturalnej skłonności; drugi zaś — gdzie wszystko jej sprzyjało; pierwszy więc został upartym demokratą, drugi — upartym, dumnym arystokratą. Lecz gdyby obaj mieli plantacje w Luizanie, byliby wówczas tak sobie podobni, jak dwie kule wylane z jednej formy.

— Uchybiasz im, mój Augustynie, — rzekła panna Ofelja.

— Wcale nie myślę im uchybiać — odpowiedział Saint-Clare — zresztą, wiesz dobrze, moja kuzynko, że temu sprzeciwia się cała moja natura.

— Ojciec mój umierając ,zostawił całą swą fortunę do naszego podziału. Niema pod słońcem duszy szlachetniejszej, człowieka wspaniałomyślniejszego, jakim jest Alfred w stosunkach z sobie równymi. Ukończywszy więc cały interes, z łatwością zadziwiającą, bez żadnego nieporozumienia, bez najmniejszej sprzeczki, postanowiliśmy rządzić

wspólnie na plantacji i Alfred, który czynną pracą rozwinął w sobie i energję, i siły, został doskonałym plantatorem.

Lecz nim dwa lata upłynęły, jam się przekonał, że spółka między nami istnieć nie może. Posiadanie siedmiuset istot ludzkich bez osobistej ich znajomości, bez udziału w ich duchowych sprawach, przedawanie, kupowanie, lokowanie ich w schroniskach, karmienie, układanie jak psów, ciągnienie z nich zysków jak ze stada bydląt, pozbawienie ich wszelkich najpospolitszych przyjemności życia w celu osiągnięcia największej sumy pracy, potrzeba trzymania dozorców, poganiaczy, używanie batoga jako pierwszego i ostatniego, prawie jedynego argumentu, o! to wszystko było dla mnie okropnem, nieznośnem; a gdym jeszcze wspomniał z jaką czcią się moja matka odzywała o duszy najnędzniejszego nędzarza, wówczas trwoga ściskała mi serce i czułem odrazę do podobnego położenia.

Co za nierozum sądzić, że niewolnicy są zadowoleni ze swego stanu. My sami widzimy całą prawdę. O! hańba tym, którzy utrzymują, że człowiek z przyjemnością może pracować od wschodu do późnej nocy pod czujnem okiem dozorcy, codzień rozpoczynać tę samą męczącą, bezkorzystną dla siebie pracę, bez możności wypełnienia najmniejszej swej woli. I za co? — O mój Boże sprawiedliwy! za dwie nędzne pary spodni, i parę trzewików na rok, za nędzny przytułek i za trochę lichej strawy, koniecznej dla utrzymania sił potrzebnych do pracy. Kto utrzymuje, że człowiek może przywyknąć do podobnego sposobu życia z takąż łatwością jak i do każdego innego, zasługuje, aby na nim sprawdzono to zdanie. Jest to niegodziwe nadużywanie mowy, tego najwspanialszego daru Stwórcy. Jabym kupił jakiego nędznika i wystawił na próbę bez najmniejszego wyrzutu sumienia.

— Tożem się okropnie myliła, jak uważam, sądząc, — rzekła panna Ofelja, — że wy mieszkańcy Południa pochwalacie podobne stosunki.

— Nieprawda! jeszcześmy nie doszli do tego poniżenia. Alfred, despota w całem znaczeniu, a nigdy się nie poniża do podobnych dowodów. On w swej dumie szuka podstawy w starem prawie: kto silniejszy, ten ma prawo. Utrzymuje i słusznie, według mego zdania, że plantator amerykański postępuje zupełnie tak, jak arystokraci i kapitaliści w Anglji względem klas roboczych, przywłaszczając ich sobie zupełnie z ciałem i duszą, by ciągnąć z nich korzyści; różnica jest tylko w formie. Broni on swego i ich systemu, utrzymując, że wyższa cywilizacja zdobywa się tylko przez ujarzmienie klas niższych. Konieczną jest — mówi — klasa niższa, pracująca fizycznie i ograniczająca się na najmniejszych zapotrzebowaniach, aby klasa wyższa miała bogactwa i czas dla niezbędnego się kształcenia, rozwijania się umysłowego, aby zostać duszą rządzącą klas niższych. Tak rozumuje, ponieważ się urodził arystokratą; ja znów jestem wręcz przeciwnego zdania — bom demokrata.

— Lecz jak możesz porównywać robotnika angielskiego z waszym niewolnikiem! — przerwała panna Ofelja. — Robotnika nikt nie może kupić, ani sprzedać, ani w jakikolwiek sposób przehandlować; nikt go nie bije, ani od rodziny rozłącza.

— Lecz on zależy od tego, który go najmuje, zupełnie tak, jakby był sprzedany. Plantator zasiecze niewolnika za przewinienie na śmierć, kapitalista zamorzy głodem. Co zaś do zrywania związków rodzinnych, nie wiem, co mniej boli: czy widzieć swe dzieci sprzedane, czy umierające z głodu?

— Lecz że niewola nie jest gorszą od innego nadużycia, wcale to jeszcze nie usprawiedliwia samej niewoli, — zarzuciła panna Ofelja.

— Ja też tego nie twierdzę; przeciwnie, powiadam, że panujące u nas stosunki wołają o pomstę do nieba. Kupując człowieka za pieniądze, zaglądając mu w zęby, jak koniowi, czy zdrów, — próbując jego muszkułów, czy silny, — każąc mu skakać, biegać, czy dość zwinny, — jest to postępowanie jawne. W rzeczywistości jestto to samo, co się dzieje w Anglji: bo tu tak samo, jak i tam, jedna klasa ujarzmia drugą, aby z niej ciągnąć zyski.

— Nigdym jeszcze nie rozważała tej sprawy z tego stanowiska — przerwała panna Ofelja.

— Podróżując po Anglji, miałem sposobność badania stanu klas niższych i nie sądzę, żeby można było zaprzeczyć Alfredowi, że niewolnicy jego mają się lepiej, niż wielka część mieszkańców Anglji. Alfred wcale nie jest okrutnym panem, chociaż jest nieubłaganym dla nieposłusznych; gotów strzelić w łeb zuchwale sprzeciwiającemu się negrowi z takąż obojętnością, jak i do jelenia; ale dba o to, aby jego niewolnicy byli dobrze karmieni i wygodne mieli pomieszkania. Będąc jeszcze w spółce, nalegałem, aby oświecał naszych niewolników. I Alfred trzymał kapłana z obowiązkiem uczenia ich katechizmu; lecz jestem pewny, że uczynił to jedynie dla spełnienia mego żądania.

— I co cię skłoniło do porzucenia życia na plantacjach? — spytała panna Ofelja.

— Jakiś czas żyliśmy razem, — mówił dalej Saint-Clare, — lecz wkrótce przekonał się Alfred, że ja wcale nie umiem być plantatorem. Nazywał mnie nierozsądnym, ponieważ nie pochwalałem wszystkiego, co czynił, chociaż zrobił niejedno ulepszenie dla zadowolenia mnie. Przyczyną mego niezadowolenia było to, że nie mógłem patrzeć na niewolę ludzi, pracujących w upodleniu, wyzyskiwanych niemiłosiernie jedynie dlatego, żebym miał więcej dochodów i mógł żyć wygodnie. Prócz tego, sam próżniak, zawsze się wtrącałem w drobnostki, litowałem się nad leniwymi. Kiedy ci biedni niedołędzy przez wybieg kładli kamienie na dno swych koszów z bawełną, aby więcej ważyły, albo worki napełniali ziemią, i tylko na wierz kładli bawełnę, nie pozwoliłem ich karać, bom był przekonany, że w ich miejscu czyniłbym to samo. Oczywista, że wskutek tego upadał wszelki ład. Pewnego dnia powiedział mi Alfred, że jestem zanadto uczuciowym, zniewieściałym, do handlu niezdolnym i dlatego lepiej zrobiłbym, gdybym objął gotówkę, znajdującą się w banku, na własność i zrezygnował z gospodarowania na plantacjach. Tak się też stało, — rozłączyliśmy się.

— I dlaczegoś, kuzynie, nie oswobodził swoich niewolników? — spytała panna Ofelja.

— Nie umiałem się wznieść do tej doskonałości. Oburzałem się

wprawdzie na myśl używania ich za proste narzędzie dla powiększania mych dochodów, lecz przy ich pomocy mogłem bez pracy łatwiej i więcej wydawać. Niektórzy byli to starzy słudzy domu naszego, do nich się przywiązałem, młodsi są po większej części ich dziećmi a wszyscy byli dość radzi ze swego położenia.

Tu się zatrzymał na chwilę i przechadzał się w zamyśleniu.

— Był czas w życiu mojem, kiedym tworzył plany i miał nadzieję zrobić coś lepszego, a nie tak wiecznie tylko pływać po wierzchu, bez pewnego naprzód zakreślonego celu. Marzyłem o oswobodzeniu, o wybawieniu ojczyzny mojej od tej hańbiącej plamy, od tej niszczącej ją gangreny.

— I dlaczego nie rozpocząłeś dzieła? — przerwała panna Ofelja.

— Powinieneś był rozwinąć czynność śmiało, energicznie, nie biorąc na nikogo względu.

— Stało się wszystko inaczej, nie tak, jakem sobie życzył, i życie mi się przykrzy. Ale zdaje mi się, że to było koniecznem i że dlatego nabyłem doświadczenia; lecz zamiast pracować dla społeczeństwa, kręcę się bez celu za powiewem okoliczności w tę lub w ową stronę, jak chorągiewka na dachu. Ile razy się zejdziemy, Alfred mię upomina, gderze, i muszę przyznać, że ma słuszność; on zawsze coś działa, jego życie jest logicznem wypełnieniem jego przekonań; a moje, moje poronionem płodem.

— I czy jesteś zadowolony, mój drogi kuzynie, z tego rodzaju życia? — spytała panna Ofelja.

— Zadowolony? Czyż nie mówiłem przed chwilą, że mi się życie przykrzy? Ale, o czem chciałem mówić?... A! o sprawie oswobodzenia z niewoli murzynów. Nie sądzę, aby ta myśl była wyłącznie moją. O nie! wiele osób tak samo myśli, tak samo czuje. Ojczyzna nasza jęczy pod jarzmem niesprawiedliwości, tak okropnem dla niewolnika, jak niemniej zgubnem dla właściciela. Nie trzeba mikroskopu, aby widzieć że tak liczna klasa istot zepsutych, spodlonych, nieoględnych, jest szkodliwą sama sobie i nam. Kapitalista angielski nie czuje tego, bo niema bezpośrednich stosunków z klasą, którą wyzyskuje. My przeciwnie, trzymamy ich w domach naszych i są towarzyszami dzieci naszych; wywierają na te młode umysły większy wpływ niż my sami; bo dzieci chętnie z nimi obcują i naśladują ich. Gdyby Ewa nie była nadzwyczajnem anielskiem dziecięciem, byłaby zgubioną. Utrzymywać, że zetknięcie z istotami spodlonemi, ciemnemi, nie może mieć wpływu na nasze dzieci, to to samo, jak byśmy dozwolili szerzyć się ospie w domu naszym, w nadziei, że dziatki nasze się nie zarażą. Jednak prawa nasze wyraźnie zabraniają kształcenia murzynów i postępują mądrze; ponieważ skoroby jedno pokolenie zostało oświecone, mielibyśmy rewolucję: gdybyśmy nie dali im wolności, sami zdobyliby ją sobie.

— I jak sądzisz, czem się to zakończy? — spytała panna Ofelja.

— Nie wiem. To tylko niewątpliwe, że masy w całym świecie zaczynają się porozumiewać i wcześniej czy później nastąpi dzień obrachunku. Widzimy to w Europie, w Anglji i u nas. Matka moja często mi mówiła o spełnieniu się czasów, kiedy wszyscy ludzie będą wolni

i szczęśliwi i Chrystus zapanuje nad nimi. Gdym był dzieckiem, uczyła mię modlić się: „przyjdź królestwo Twoje". Czasem przychodzi mi myśl, że wszystkie westchnienia, wszystkie jęki, ten groźnie poczynający się trzask kości zastarzałego szkieletu, są przepowiednią spełnienia się tego, czego mnie matka uczyła. Nikt nie zdoła się oprzeć jego przyjściu.

— Słuchając ciebie, myśleć bym mogła, że chwila ta blisko jest, że królestwo Boże zapanuje na całym świecie i żeś ty blisko niego.

— Dziękuję za tak pochlebne zdanie! Lecz wpadam zwykle z jednej ostateczności w drugą, w teorji sięgam wyżyn nieba, w praktyce tarzam się w prochu i pyle. Lecz dość na dzisiaj, dzwonią na śniadanie. Pójdźmy! Nie powiesz teraz, kuzynko, żem nie prowadził w całem mem życiu rozmowy poważnej.

Przy herbacie Marja przemówiła o wydarzeniu z nieszczęśliwą Pru, a zwracając się do panny Ofelji, spytała:

— Sądzę, kuzynko, że musisz nas wszystkich uważać za barbarzyńców.

— Czyn jest oburzający, barbarzyński — odpowiedziała panna Ofelja — lecz nie mam prawa was wszystkich za barbarzyńców uważać.

— Co do mnie, — odpowiedziała Marja, — wiem z doświadczenia, że z niektóremi z tych istot niepodobno dać sobie rady; są bowiem tak źli, że w istocie nie warci, że żyją. W podobnych wypadkach nie mogę się zdobyć na najmniejsze nawet współczucie. Gdyby byli dobrzy, nie spotykałaby ich kara.

— Ale mamo, — rzekła Ewunia, — ta biedna kobieta była bardzo nieszczęśliwą i to było przyczyną, że piła.

— Dziecko jesteś i nie rozumiesz tego. Ja sama, ileż razy jestem nieszczęśliwą... a pewną jestem, — dodała, pogrążając się w zamyślenie, — żem więcej wycierpiała, niż ona i to z przyczyny ich złości. Niektórych żadną srogością poprawić nie podobna. Pamiętam, był u mego ojca murzyn tak leniwy, że uciekał jedynie, aby nie pracować; ukrywał się w bagnach, kradł i dopuszczał się wiele karygodnych postępków. Łowili go i siekli, prawdziwie niewiem ile razy! a jednak wcale się nie poprawił. Po ostatniej karze, chociaż ledwo mógł stąpać, zawlókł się do bagna i tam umarł. A nie było najmniejszej przyczyny do tego, bo u mego ojca niewolnicy mieli się bardzo dobrze.

— Mnie jednak się udało, — rzekł Saint-Clare, — poprawić pewnego negra, nad którym napróżno pracowali wszyscy dozorcy i właściciele.

— Tobie! — zawołał Marja. — O, chciałabym wiedzieć, kiedy ci się coś podobnego udać mogło.

— Zaraz opowiem. Był to olbrzym zadziwiającej siły. Afrykanin z niezłomnym, instynktownym, dzikim pociągiem do wolności. Prawdziwy lew afrykański; nazywano go Scypionem. Nikt nie mógł dać sobie z nim rady, przedawali więc go i odprzedawali dalej, zmieniał ciągle właścicieli, nakoniec kupił go Alfred w nadziei, że go zdoła ułagodzić. Pewnego pięknego dnia Scypion zbił dozorcę i uciekł w błota. Właśnie przyjechałem wówczas odwiedzić brata mego, bośmy nie byli już w spółce. Alfred był oburzony do najwyższego stopnia; jam mu wręcz powie-

dział, że on sam temu winien i chciałem sam ułagodzić tego zuchwałego buntownika. Zgodziliśmy się więc, że jeżeli go pojmę, wezmę go do siebie na próbę. Z sześciu czy siedmiu ludźmi, z fuzjami i psami poszliśmy na polowanie. Ludzie z takim samym zapałem mogą polować na człowieka, jak i na zwierzynę, — to zależy od przyzwyczajenia; przyznam się, że i na mnie samego działała ta obława, chociaż byłem w roli tylko pośrednika. Psy wyły, szczekały, my galopowaliśmy; nakoniec zabłąkał się w gąszcz trzcin, i psy go opadły. Ach, jak się dzielnie bronił! rzucał psami jak piłka na lewo, na prawo, trzech ubił pięścią, ale ugodzony strzałem, upadł u moich prawie nóg, zbroczony krwią. Biedny patrzał na mnie wzrokiem pełnym odwagi i rozpaczy. Odpędziłem psy i ludzi, którzy okrążyli swą zdobycz i ogłosiłem go za mego jeńca; tem tylko jedynie mogłem powstrzymać rozwścieklonę zgrają. Alfred, według przyrzeczenia, musiał mi go sprzedać! Wziąłem się do dzieła i w dwóch tygodniach zupełnie go obłaskawiłem; stał się pokornym, uległym, o ile tego można było wymagać.

— Jakżeś to zrobił? — spytała Marja.

— Postępowanie moje było zupełnie proste. Kazałem dla niego przysposobić wygodne łóżko w moim własnym pokoju, przewiązałem mu ranę i troskliwie sam go opatrywałem, aż wyzdrowiał. Po niejakim czasie napisałem kartę uwalniającą, oznajmując mu, że może się udać, gdzie mu się podoba.

— I cóż, opuścił cię? — spytała panna Ofelja.

— Nie, rozdarł papier, mówiąc, że nie porzuci mnie nigdy. Nie miałem dzielniejszego i lepszego sługi; był dziwnie wierny i prawy. Później przyjął chrzest i został tak spokojnym, posłusznym, jak dziecię. Powierzyłem mu zarząd moich posiadłości nad jeziorem; trzeba było widzieć, jak sumiennie pełnił swą powinność. Biedny umarł na cholerę, poświęcając za mnie swoje życie. Gdym był śmiertelnie chory i strach paniczny odegnał ode mnie wszystkich, on jeden pozostał i jego jedynie troskliwości winienem życie; lecz zaraz potem zachorował sam, żadne środki nie pomogły. O! nigdym jeszcze nie uczuł straty tak boleśnie.

W ciągu opowiadania, Ewa zwolna zbliżyła się do ojca i z na wpół otwartemi ustami, z okiem nań zwróconem, uważnie słuchała. Gdy skończył, objęła go za szyję swemi drobnemi rączkami i zaczęła konwulsyjnie płakać.

— Ewo, droga Ewunio, co ci jest? — spytał Saint-Clare, czując drżenie całego jej ciała z przyczyny gwałtownego wzruszenia. — Tyś nie powinna słuchać podobnych opowiadań, zanadtoś nerwowa.

— Nie, drogi ojcze, nie jestem nerwowa, — zawołała Ewa, pokonując wzruszenie z niezwykłą jak na jej wiek energją, — nie jestem wcale nerwową, ale podobne historje przenikają mnie do głębi.

— Co rozumiesz przez to, moja Ewo? — spytał ojciec.

— Nie umiem tego wytłómaczyć, ojczulku, wiele, bardzo wiele różnych mi rzeczy przychodzi na myśl. Ja ojczulkowi opowiem to kiedy, — odpowiedziała Ewa.

— Myśl, moja droga, co ci się tylko podoba, ale nie płacz, bo to

Wstrzymałem psy . . .

zasmuca twego ojca — rzekł Saint-Clare, — patrz jak ładną brzoskwinię mam dla ciebie.

Ewa wzięła owoc, roześmiała się, chociaż usteczka drgały jeszcze nerwowo.

— Pójdźmy zobaczyć do złotych rybek — rzekł ojciec, i podając jej rękę, poprowadził na werandę.

Wkrótce rozlegały się wesołe śmiechy za jedwabnemi zasłonami. Ewunia i Saint-Clare rzucali się wzajemnie różami i gonili po alejach.

Lecz straciliśmy z oczu postać naszego cichego, pokornego przyjaciela, Tomasza, i o mało o nim nie zapomnieliśmy; lecz jeżeli czytelnik zechce nam towarzyszyć, odwiedzimy go w jego izdebce.

W pokoiku małym ale schludnym stało łóżko, stołek i stół, na którym leżało kilka książek. Tom, pochylony nad tablicą z łupku, z całą uwagą był zajęty jakąś pracą, która widocznie sprawiała mu wiele mozołu.

Dręczony tęsknotą za swą rodziną, poprosił Ewunię o arkusz papieru, a przyzywając na pomoc wszystkie swoje literackie wiadomości, zaczerpnięte z nauk dawniejszego swego panicza, Jerzego, powziął myśl napisania listu do swej żony Klotyldy. Właśnie w tej chwili był zajęty jego układaniem. Już niejednę literę zapomniał, a tych, które sobie spamiętał, nie umiał użyć. Ewunia, jak ptaszek, usiadła na poręczy krzesła i zaglądała przez ramię na hieroglify, które stawiał.

— Ach, wuju Tomaszu, jakież to zabawne kreślisz figurki.

— Chcę napisać list do mojej biednej żony, panno Ewuniu, i do moich małych dziatek, — rzekł Tomasz, przecierając ręką oczy; — tylko wątpię czy dokażę tego.

— Możebym mogła tobie pomóc, Tomaszu; uczyłam się trochę pisać w roku przeszłym i znałam już wszystkie litery, tylko nie wiem, czy już nie zapomniałam.

— Ewa przyłożyła złocistą swą główkę do głowy Tomasza i rozpoczęli poważną rozprawę z jednakim zapałem i prawie równi pod względem wiadomości. Po naradzie nad każdym wyrazem, ożywieni silną wolą, zaczęli pisać.

— Teraz, wuju Tomaszu, to wcale nieźle wygląda, — rzekła Ewunia, patrząc z zadowoleniem na gryzmoły. — O jakże twoja żona i małe dziatki będą rade! Ach, jak mogli was rozłączyć! Poproszę ojczulka, aby cię zwolnił, to wrócisz do nich.

— Dawniejsza moja pani mówiła, że jak tylko będzie mogła, przyśle pieniądze, aby mnie wykupić, — rzekł Tomasz. — Może Bóg da, że to wnet nastąpi. A młody panicz przyrzekł przyjechać po mnie i jako zakład dał mi ten oto medalik. — Tom wyjął z pod odzienia drogi talizman.

— O! jeśli tak, to pewnie przyjedzie, — rzekła Ewunia, jakże jestem szczęśliwa.

— Dlatego to chciałem pisać, aby wiedzieli, gdzie jestem i aby

oznajmić mojej Klotyldzie, że mi dobrze; ona biedna, tak bardzo odczuwała rozstanie się nasze.

— Tomaszu! — zawołał Saint-Clare i w teiże prawie chwili zjawił się we drzwiach.

Tomasz i Ewa zadrżeli.

— Co to jest? — spytał, zbliżając się i spoglądając na tabliczkę.

Ach, wuju Tomaszu, jakież to zabawne kreślisz figurki . . .

— To list Tomasza; ja mu pomagam pisać. Prawda ojczulku, że nieźle? — rzekła Ewa.

— Nie chciałbym was zniechęcać — odpowiedział Saint-Clare, ale zdaje mi się, że lepiej będzie gdy ja sam go Tomaszowi napiszę, gdy wrócę z przechadzki.

— Trzeba koniecznie pisać, ojczulku, bo dawniejsza pani Tomasza przyrzekła mu przysłać pieniądze na jego wykupienie.

— Saint-Clare był pewny, że to było przyrzeczenie, jakiem zwykle dobrzy właściciele pocieszają swych niewolników dla zmniejszenia

im bolesnego uczucia rozstania, lecz wcale nie myślą o wypełnianiu go; jednakże nie rzekłszy o tem ani słowa, aby nie odbierać nadziei biednemu, kazał przygotować konie.

Tegoż samego jeszcze wieczora oddano list, napisany przez pana Saint-Clare.

Panna Ofelja z nieustannym zapałem pełniła obowiązki zarządczyni domu. Od Diny aż do ostatniego pachołka jednogłośnie przyznali wszyscy, że rzeczywiście jest ciekawą osobistością.

W taki sposób ma zwyczaj służba południowych stanów wyrażać swą niechęć do przełożonych.

Wyższe towarzystwo: Adolf, Janina i Róża uważali, że nie może być damą, ponieważ damy nie pracują tak bez odpoczynku, a do tego panna Ofelja nie miała pańskiego ułożenia; dziwili się nawet, że jest krewną pana Saint-Clare. Sama Marja upewniała, że się okropnie męczy, widząc pannę Ofelję ciągle przy pracy. I rzeczywiście, czynność jej była zadziwiającą. Od rana do wieczora obrąbiała, haftowała, szyła z takim zapałem, jakby była do tego przynaglaną konieczną potrzebą. Patrząc na nią, można było samym widokiem się męczyć.

———o———

ROZDZIAŁ XX.

Topsy.

Proszę cię, zejdź na dół kuzynko, pokażę ci coś, — zawołał Saint-Clare pewnego poranku, kiedy panna Ofelja zajęta była, jak zwykle, gospodarstwem.

— Cóż tam takiego? — spytała, schodząc ze schodów.

— Patrz, com kupił dla ciebie! — rzekł Saint-Clare, przedstawiając jej małą murzynkę, mogącą mieć ośm do dziewięciu lat.

Była ona nadzwyczaj czarną; jej okrągłe, błyszczące, niespokojne oczy biegały z dziwną szybkością po wszystkich przedmiotach, znajdujących się w pokoju; dwa rzędy zębów lśniącej białości połyskiwały przez wpół z zadziwieniem na widok tylu bogactw otwarte usta. Wełniste włosy, podzielone w małe kędziory, sterczały zabawnie w różne strony. Na twarzy malowała się chytrość, przebiegłość z dziwnie uroczystym wyrazem jakiejś płaczliwej powagi. Pokryta do połowy odrażająco brudną koszulą w rodzaju zeszytego z łachmanów wora, stała bojaźliwie ze skromnie skrzyżowanemi na piersiach rękoma. Powierzchowność jej odpowiadała jej wewnętrznemu usposobieniu. Panna Ofelja później sama przyznała się, że „dzika ta i pogańska figurka przejęła ją z razu trwogą". Zwracając się do pana Saint-Clare, zawołała z przerażeniem:

— Na miłość Boską, Augustynie, pocoś przyprowadził nam to stworzenie?

— Aby ją tobie ofiarować; ty zajmiesz się jej wychowaniem, wpro-

wadzisz ją na drogę prawdy. Wydaje mi się ona dziwnie zabawną i śmieszną. Hola Topsy! — i Saint-Clare świsnął jak na psa, — potańcz i zaśpiewaj.

Oczy małej błysnęły szatańską wesołością i w powietrzu rozległa się dzika melodja murzyńska w towarzystwie dziwacznych drgań wszystkich części jej ciała. Kręciła się, wirowała, klaskała w ręce, uderzała niespodzianie kolanami, dobywając dziwne, gardłowe tony, cechujące pierwotną muzykę jej plemienia. Nakoniec po dwóch zadziwiających podskokach, syknąwszy ostro, przeciągle na zakończenie śpiewu, stanęła nieporuszenie na dywanie z rękoma pokornie skrzyżowanemi, z uroczystą miną świętoszka, tworzącą dziwną sprzeczność z ukradkowym, ukośnym, przebiegłym wzrokiem, błyskającym z kątów jej oczu.

Panna Ofelja zdziwiona, przejęta zgrozą, stała nieporuszona w milczeniu.

Saint-Clare ze złośliwem zadowoleniem figlarza bawił się jej osłupieniem, a zwracając się do dziecka, rzekł:

— Topsy, uważaj dobrze! — zawołał! — oto twoja nowa pani. Pamiętaj, abyś się dobrze sprawowała.

— Tak, panie, — odrzekła z powagą, rzucając bystre spojrzenie.

— Żebyś mi była zawsze dobrą; czy mnie rozumiesz?

— O tak, panie, — odpowiedziała Topsy, zawsze z rękoma skromnie złożonemi.

— Ależ mój Augustynie, to chyba żarty! — zaczęła znowu panna Ofelja. — Czyż w domu naszym mało jeszcze tego? To istna plaga... gdziekolwiek stąpisz, wszędzie napotykasz murzyńskie dzieci. Rano, gdy wstaniesz, jedno śpi pode drzwiami, drugie na kobiercu, trzecie wychyla się z pod stołu, kulają się po podłodze w kuchni, pełno tego na schodach, — czy jeszcze tego więcej potrzeba?

— Powiedziałem ci, że kupiłem ją na to, żebyś ją wychowała. Daruję ci ją, ponieważ prawisz zawsze o wychowaniu: pokaż, co umiesz... to zupełnie nietknięty egzemplarz.

— A nacóż mi to? Mam dość zajęcia w gospodarstwie domowem. Nie potrzebny mi, niechcę je.

— Oto próbka waszej doskonałości chrześcijańskiej! Tworzycie towarzystwa dobroczynne, wysyłacie nieszczęśliwych misjonarzy, aby pędzili dni tęsknoty i udręczenia wpośród pogan, daleko od swojej ojczyzny; lecz skoro sami macie spełnić dzieło miłosierdzia, o!... wtenczas się nudzicie, praca nadto uciążliwa — najróżniejsze wynajdujecie wymówki.

— Wiesz bardzo dobrze, mój Augustynie, że nie jestem tego zdania. Być może, że to jest obowiązek prawdziwie chrześcijański, — rzekła, rzucając na murzynkę wzrok przyjaźniejszy. — Saint-Clare dotknął drażliwej struny szlachetnej, uczuciowej duszy panny Ofelji, która widocznie zmiękła. — A jednak, — dodała, w każdym razie niewidzę, aby była potrzeba kupowania tego dziewczęcia; mamy ich dosyć, a i pracy aż nadto.

— Przebacz, kuzynko, moje lekkomyślne słowa; jesteś tak doskonałą istotą, tak dobrą, że są one zupełnie zbyteczne. Rzecz się miała tak:

mała należała do pewnego małżeństwa, utrzymującego lichą garkuchnię, około której musiałem codzień przechodzić. Znudził mię nieustanny krzyk dziecięcia i jej pijanych właścicieli, pastwiących się nad nią! A widząc tę fizjonomję tak konieczną, żywą, sądząc, że można coś z niej zrobić, — kupiłem ją jedynie w celu ofiarowania jej tobie. Daj jej dobre, surowe wychowanie, nowo-angielskie, a zobaczymy, co z tego wyniknie. Jak wiesz, nie mam daru nauczycielskiego, lecz lubiłem patrzeć na twoją pracę.

— Niech i tak będzie; zrobię co będę mogła — rzekła panna Ofelja, zbliżając się do dziewczynki z uczuciem, z jakiem się podchodzi do odrażającego robaka, nie mając jednak nieprzyjaznego zamiaru.

— Ale jakże ona brudna, prawie naga — rzekła panna Ofelja.

— Każ ją umyć — odpowiedział Saint-Clare.

Panna Ofelja zaprowadziła dziewczynkę do kuchni.

— Nie wiem, na co naszemu panu jeszcze więcej potrzeba murzynek, — odezwała się Dina, mierząc nieprzyjaźnym wzrokiem przybyłą. — Tylko mi nie zawadzaj!

— Fe! — zawołały równocześnie Janina i Róża z największą odrazą, — nie pokazuj nam się na oczy, obrzydliwa czarnucho! Ciekawam, — mówiła dalej Róża — czy jeszcze mało ma pan Saint-Clare takich podłych murzynów?

— Patrzcie ją... podłych murzynów... — zawołała oburzona Dina. — A co ty jesteś? Ni to, ni sio. Wolę być czystą murzynką, a uczciwą.

Nikt nie miał ochoty zająć się umyciem małej murzynki i dobra panna Ofelja widziała się zmuszoną, przy pomocy Janiny, sama ją obmyć.

Niejeden czytelnik wzdrygnąłby się na widok odzienia dziewczynki. Są na świecie istoty, które żyją i umierają w takim stanie i położeniu, że ludzie nerwowi nie znieśliby samego opisu. Panna Ofelja, jako kobieta bardzo praktyczna, obmyła dziewczynkę gruntownie. Po wyrazie jej twarzy było można poznać, że czynność ta, to najwyższy szczyt jej poświęcenia i że ze wstrętem na ten brud patrzała. Lecz skoro ujrzała ramiona i plecy małej murzynki poorane głębokiemi bliznami, jeszcze niezagojonemi, zrozumiała, w jakich warunkach dotąd się znajdowała. Litość wzruszyła zacne jej serce.

— Oto dowód, jaki to djabeł w dziewusze — zawołała Janina, pokazując czerwone pręgi i sińce. Narobi nam ona kłopotu... nienawidzę murzynów, to takie odrażające stworzenia... Jak nasz pan mógł kupić coś podobnego?

Mała murzynka słuchała słów tych z miną płaczliwą, spoglądając równocześnie ukradkiem na błyszczące w uszach Janiny kolczyki. Kiedy już stała ubrana w czyściutkie odzienie, z włosami krótko ustrzyżonemi, panna Ofelja patrzała na nią z pewnem zadowoleniem, — widziała już w niej pewien początek cywilizacji chrześcijańskiej.

— Ile masz lat Topsy? — zapytała ją.

— Nie wiem! — odpowiedziało dziewczę, wykrzywiając twarz.

— Jakto, nie wiesz, ile masz lat?... i nikt ci tego nie powiedział? Któż jest twoja matka?

— Wcale nie miałam matki! — odpowiedziała Topsy z temże samem wykrzywieniem twarzy.

— Co, nie miałaś matki? A gdzie się urodziłaś?

— Ja się nigdy nie urodziłam! — odpowiedziała Topsy z tym samem złośliwym grymasem. Gdyby panna Ofelja miała trochę słabe nerwy, mogłaby sądzić, że w małej murzynce siedzi rzeczywiście djabeł. Lecz będąc rozsądną, praktyczną, dążącą wprost do celu, dodała tonem ostrym:

— Nie odpowiadaj mi w ten sposób, bo wcale nie myślę z tobą żartować. Powiedz mi, gdzieś się rodziła i kto są twoi rodzice?

— Czyż ja kiedy się rodziłam? — powtórzyła mała — nie miałam ani ojca, ani matki, nie miałam nikogo. Wykarmił mnie jeden handlarz wraz z innemi dziećmi, a stara ciotka Sue miała opiekę nad nami.

Mówiła widocznie prawdę.

— To się często zdarza — odezwała się Janina. — Handlarze kupują niemowlęta za tanie pieniądze i hodują na sprzedaż.

— Jak długo byłaś u twoich ostatnich państwa? — spytała panna Ofelja.

— Nie wiem.

— Może rok, a może dłużej, lub krócej?

— Nie wiem.

— Zwykli murzyni — wtrąciła Janina — nie znają się na tem: nie wiedzą co to rok; nie wiedzą nawet, ile mają lat.

— Czy słyszałaś kiedy o Bogu, Topsy? — spytała panna Ofelja.

Dziecię spojrzało z widocznem pomięszaniem i znowu wykrzywiło złośliwie twarz.

— Czy wiesz, kto cię stworzył?

— Nikt, o ile wiem — odrzekła ze śmiechem.

Musiało się jej pytanie to wydać bardzo zabawnem, bo okrągłe oczy błysnęły filuternie i dodała:

— Sądzę, że urosłam sama, że mnie nikt nie stworzył.

— Czy umiesz szyć? — spytała panna Ofelja, widząc, że trzeba przejść do spraw praktycznych, dostępniejszych.

— Nie, nie umiem.

— Cóż umiesz robić? Co robiłaś u swoich poprzednich właścicieli?

— Nosiłam wodę, myłam talerze, szorowałam noże i usługiwałam gościom.

— Czy byli oni dobrzy dla ciebie?

— Być może, że byli dobrzy, — i dziewczynka rzuciła badawcze, przebiegłe wejrzenie na pannę Ofelję.

Po tak mało obiecującej rozmowie chciała panna Ofelja odejść; wstając, spostrzegła pana Saint-Clare wspartego na poręczy jej krzesła.

— Oto masz, kuzynko, rolę zupełnie dziewiczą; zasiewaj na niej ziarno zdrowe, — nie będzie potrzeba wiele pleć.

Zasady miała panna Ofelja, jak we wszystkich sprawach, tak i pod względem wychowania, stanowcze, niewzruszone.

Panowały one powszechnie przed wiekiem w Nowej Anglji. Za-

leżały one głównie na rozwinięciu w dziecku pilnej uwagi i baczności, na nauce katechizmu, szycia, czytania i na karceniu kłamstwa.

Chociaż pod wpływem postępu i oświaty zmieniono zupełnie system wychowania i odrzucono zasady, które nazywają dzisiaj ogólnie przestarzałemi, jednak nie możemy zaprzeczyć, że nasze prababki i praojcowie, rządząc sie niemi, wychowywali dzielnych mężów i dzielne kobiety. Jakkolwiek bądź, panna Ofelja, przejęta temi zasadami, wzięła się do dzieła z całą energją, z silnem postanowieniem użycia całej swej znajomości rzeczy, wszystkich sił i środków.

Topsy weszła do domu jako własność panny Ofelji, która, widząc jak złego doznała przyjęcia w kuchni, postanowiła dawać jej lekcje we

— Ile masz lat Topsy?

własnym pokoju; była to wielka z jej strony ofiara, którą potrafi ocenić niejedna z naszych czytelniczek. Do tej pory miała panna Ofelja zwyczaj, pomimo nalegań panien pokojowych, sama uprzątać swój pokój, lecz dla dobra swej uczennicy powierzyła jej te czynności. Były to dni próby i męczarni dla panny Ofelji! Ci tylko mogą pojąć całą ważność takiego poświęcenia, którzy doświadczyli czegoś podobnego.

Panna Ofelja pierwszego poranku przyzwała do swego pokoju Topsy i z całą powagą rozpoczęła kurs wychowania.

Weszła Topsy umyta, ostrzyżona, w czystej sukni, w wykrochmalonym fartuszku, lękliwa, z wyrazem twarzy jakby się gotowała na wielkie męczarnie, i stanęła u drzwi, czekając na rozkazy panny Ofelji.

— Uważaj, Topsy, jak trzeba pościełać łóżko. Jestem bardzo wymagającą co się tyczy mego posłania; pamiętaj więc, abyś zupełnie tak robiła, jak ci pokażę.

— Tak pani — odpowiedziała Topsy z głębokiem westchnieniem i twarz jej znacznie się przedłużyła.

— Patrz, Topsy! to jest prześcieradło; oto obrąbek, to prawa strona a to lewa; czy będziesz pamiętała?

— Tak, pani! — i Topsy znowu westchnęła.

— Dobrze, teraz uważaj! prześcieradło dolne powinno leżeć bardzo równo na materacu, w ten oto sposób, i podwiniesz je w nogach pod materac, zupełnie równo, gładko, tak jak ja to robię, czy widzisz?

— Tak, pani.

— Prześcieradło wierzchnie spuścisz i podwiniesz pod spód bardzo mocno, bardzo prosto, oto tak, obracając obrąbkiem węższym do nóg.

— Tak, pani! — odpowiedziała Topsy, zawsze tym samym tonem.

Kiedy dobra panna Ofelja odwrócona była tyłem, zajęta nauczaniem, młoda murzynka z nadzwyczajną zręcznością, ściągnąwszy parę rękawiczek i wstążkę, schowała je do rękawa swej sukni i skromnie, ze skrzyżowanemi rękoma słuchała nauk swej pani.

— Pokażże teraz, Topsy, czy potrafisz sama usłać, — rzekła panna Ofelja i rozrzuciwszy posłanie, usiadła z powagą, aby widzieć, jakie też będą owoce tej pierwszej lekcji.

Topsy spełniła zadanie z niezwykłą zręcznością ku wielkiemu zadowoleniu panny Ofelji. Położyła prześcieradło, ugładziła najmniejsze fałdy, a pewnością, z jaką wypełniała swą robotę, zadziwiła nauczycielkę. Lecz gdy kończyła swą czynność, na nieszczęście koniec wstążki wysunął się z rękawa i zwrócił uwagę panny Ofelji.

— A to co? Ach, niegodna dziewczyno! — zawołała gniewnie panna Ofelja — toś ukradła.

Panna Ofelja wyciągnęła jej z rękawa wstążkę; ale bynajmniej to nie zatrwożyło dziewczynki; z najniewinniejszą w świecie miną zawołała:

— Czyżby to rzeczywiście była wstążka pani... jakim sposobem dostała się do mojego rękawa?...

— Topsy, niedobra dziewczyno, nie kłam! Wstążkę tę skradłaś!

— O pani, napewno nie skradłam; pierwszy raz ją dzisiaj widzę.

— Topsy, czyż ty nie wiesz, że to bardzo brzydko jest kłamać?

— Ja, pani, ja nigdy nie kłamię, nigdy! — rzekła Topsy z świętą miną. — Mówię czystą prawdę.

— Będę zmuszona kazać cię obić, jeżeli będziesz kłamała, rozważ to sobie dobrze.

— Żeby mię bili cały dzień, — zawołała Topsy, poczynając płakać — nic innego nie powiem. Nie widziałam tej wstążki! musiała ją pani położyć na pościel i dostała się do mego rękawa.

Panna Ofelja, oburzona do najwyższego stopnia bezczelnem zuchwalstwem dziewczyny, trzęsąc nią silnie, zawołała:

— Nie mów mi tego; nie kłam tak zuchwale, obrzydliwa istoto!

Wskutek silnego wstrząśnięcia murzynką, wypadły z drugiego rękawa rękawiczki.

— A to co? I ty śmiesz jeszcze utrzymywać, żeś nie wzięła wstążki? — zawołała panna Ofelja.

Topsy przyznała się, że rękawiczki ukradła, ale wstążki wcale nie widziała...

Słuchaj, Topsy — rzekła panna Ofelja — jeżeli się przyznasz, to nie każę cię bić.

Zagadnięta w ten sposób Topsy, przyznała się do podwójnego złodziejstwa i tonem płaczliwym przyrzekła poprawę.

— Zobaczymy!... Mów teraz prawdę! Jestem pewną, żeś musiała ukraść dużo innych rzeczy od czasu, jak jesteś u nas; wczoraj za wiele pozwoliłam ci biegać. Jeżeli co jeszcze wzięłaś, przyznaj się, a tym razem ci przebaczę.

— Ach, pani, wzięłam te piękne czerwone korale, które panna Ewunia nosiła około szyi.

— Ach, obrzydliwe stworzenie! i co jeszcze więcej?...

— Jeszcze czerwone kolczyki, które miała Róża...

— Przynieś to wszystko natychmiast!

— Pani, nie mogę, spaliłam je!

— Spaliłaś?... Kłamiesz! Przynieś je natychmiast! Czy słyszysz? Inaczej każę cię siec!

Topsy upewniała ze łzami, że nie może tego uczynić, ponieważ wrzuciła w ogień i wszystko się spaliło.

— I dlaczegoś spaliła? — spytała panna Ofelja.

— Ponieważ jestem zła; tak, dlatego że jestem zła, bardzo zła, — nie mogę się od tego powstrzymać.

Przypadkiem weszła w tejże chwili Ewunia do pokoju, o niczem nie wiedząc, i miała na szyi sznurek korali.

— Gdzieś znalazła, Ewunio, swój naszyjnik? — spytała panna Ofelja.

— Jakto, gdziem znalazła? Ja go noszę ciągle — odpowiedziała Ewunia.

— A wczoraj, czyś go miała na sobie?

— Tak, ciociu, i co jeszcze zabawniejsze, zapomniałam go zdjąć, spałam więc w nim całą noc.

Panna Ofelja nie mogła pojąć, co się z nią dzieje! Wtem i Róża weszła, niosąc na głowie kosz ze świeżo wyprasowaną bielizną i dzwoniąc swemi koralowemi kolczykami.

— O mój Boże! nie wiem co począć z tą dziewczyną? Panie, miej litość nade mną! Dlaczegoś mi powiedziała, żeś to wszystko skradła, Topsy?

— Pani kazała mi przyznać się do czegokolwiek, a nie mogłam do niczego więcej — odpowiedziała Topsy, trąc oczy.

— Nie mówiłam ci przecież, abyś się przyznawała do tego, czegoś nie zrobiła — mówiła panna Ofelja. — To jest kłamstwo, tylko innego rodzaju, zawsze jednak kłamstwo!

— A do czegoż mam się przyznać? — odpowiedziała Topsy z prostotą.

— To kłamliwy ród! — zawołała Róża, rzucając pełne pogardy

wejrzenie na Topsy. — Gdybym była panem Saint-Clare, siekłabym ją aż do krwi, pamiętałaby mnie!

— Nie, nie, Różo — przerwała Ewunia tonem rozkazującym, którym umiała czasem przemówić. — Nie mów tak, bo nie lubię tego!

— Ach panna Ewunia! — odpowiedziała Róża — taka dobra, litościwa i dlatego nie rozumie, jak trzeba postępować z tymi murzynami!... A ja mówię, że niema na nich innego środka.

— Milcz, Różo! ani słowa więcej! — zawołała Ewunia i oczy jej groźnie błysnęły, twarz oblała się rumieńcem.

Róża umilkła natychmiast i wyszła, mrucząc półgłosem:

— Znać, że w żyłach panny Ewuni płynie krew Saint-Clare i mówi zupełnie tak, jak jej ojciec.

Ewunia stała nieporuszona z oczami zwróconemi na Topsy.

Oto dwie przedstawicielki dwóch ostatecznych krańców społeczności obok siebie. Dziecię śliczne, białe, arystokratyczne, z jasną główką, z wyniosłym, rozsądnym czołem, z ruchami pełnemi szlachetności i powabu; druga — czarna, żywa, zręczna, uniżająca się, a jednak przebiegła. Twarzą w twarz stały te dwa żywe typy dwóch różnych plemion, — jedna plemienia saksońskiego, dziedziczka oświaty, druga Afrykanka, córka długich lat hańby, ucisku, niewoli, pracy i występku.

Być może, że myśli podobne nie jaśnie krążyły w główce Ewuni, bo myśli dziecka zwykle niepewne, instynktowe, nie dają się określić. Lecz widocznem było, że w głębi tej szlachetnej duszy kiełkuje zarodek wzniosłych zasad, których dziecię nie mogło jeszcze ująć w formę. Gdy panna Ofelja gniewała się na występki Topsy, anielska twarz Ewuni pokryła się chmurą smutku i dzieweczka przemówiła łagodnie:

— Biedna Topsy, dlaczego kradniesz?... Teraz będą się ciebie wszyscy wystrzegali. Wierzaj mi, moja Topsy, że wolałabym oddać ci wszystko co posiadam, jak widzieć, że sama bierzesz.

Były to pierwsze słowa przyjazne, które mała murzynka słyszała w swem życiu. Ton słodki, anielski, łagodny wyraz twarzy, dziwnie poruszyły to nieuprawione, gburowate serce, coś wilgotnego pokryło okrągłe, przenikliwe jej oczy; lecz wkrótce śmiech urwany, krótki, zimny przerwał błogą chwilę rozczulenia. Ucho, przyzwyczajone li tylko do obelg i łajań, nie mogło odrazu pojąć słów miłości i współczucia, wydały jej się dziwaczne, niepojęte, nie mogła w nie wierzyć.

Co począć z małą murzynką? Była to prawdziwa zagadka dla panny Ofelji. Jej zasady wychowania wcale nie dały się w tym przypadku zastosować. Zamknęła przeto małą Topsy do ciemnej komórki już to dlatego, że sama pragnęła korzystać z czasu, aby się namyślić, jak dalej z nią postępować, już też, że miała nadzieję, iż osamotnienie w ciemnicy wpłynie na wychowanicę jej korzystnie.

— Prawdziwie nie wiem, czy dam sobie radę z Topsy bez karania jej cieleśnie — rzekła do pana Saint-Clare.

— Bij ją, jeżeli serce tak ci dyktuje, masz pełne prawo; działaj według swych zasad, używaj wszelkich środków.

— Wszak zawsze biją dzieci — odpowiedziała panna Ofelja. —

Biedna Topsy, ale dlaczego kradniesz? . . .

Nigdym nie słyszała, żeby się obeszło wychowanie bez mniej lub więcej rózg.

— Zgadzam się na wszystko — przerwał Saint-Clare — postępuj, jak chcesz. Pozwól mi tylko jednę zrobić uwagę. Widziałem, jak bito ją koczergą, miotłą, szczypcami, wszystkiem, co się nawinęło pod rękę! Ona, zdaje mi się, jest tak oswojona z tym środkiem wychowawczym, że będziesz musiała ją prawie katować dla uczynienia jakiegokolwiek wrażenia.

— Cóż więc mi pozostaje, co mam począć? — pytała panna Ofelja.

— Masz trudne zadanie i życzę ci pomyślnego rozwiązania. Co robić z człowiekiem rządzonym jedynie batogiem, kiedy ten batog przestaje nareszcie już działać? O! u nas podobne wypadki są bardzo zwyczajne.

— Rzeczywiście nie wiem, co czynić; nie widziałam podobnego dziecka.

— Takich dzieci, ba, nawet mężczyzn i kobiet u nas pełno. Ale jak z niemi postępować? Oto cała trudność! — rzekł Saint-Clare.

— Właśnie nie umiem na to odpowiedzieć — rzekła z westchnieniem panna Ofelja.

— I ja niemniej nie umiem odpowiedzieć. Zadziwiające okrucieństwa, barbarzyństwa, wydarzenia podobne temu, jakie spotkało Pru, a o których tak często możemy czytać w gazetach, skąd pochodzą? Z postępowo wzrastającej zatwardziałości z obu stron. Właściciel staje się coraz sroższym w miarę tego, jak niewolnik staje się mniej czułym. Bat i obelżywe postępowanie są jak opium, skoro czułość tępieje, trzeba podwajać dozę. Zostawszy właścicielem, dość wcześnie pojąłem moje położenie; cofnąłem się nie wiedząc, gdziebym się zatrzymał: tem przynajmniej uchroniłem się przed zagłuszeniem sumienia. Z tego wynikło, że moi słudzy postępują jak zepsute dzieci; co jest lepiej, jak sądzę, i dla nich i dla mnie, aniżeli byśmy się mieli wspólnie zezwierzęcić. Mówiłaś wiele o naszej odpowiedzialności za wychowanie niewolników; bardzobym chętnie chciał widzieć, jakie skutki odniesie sposób twojego wychowywania. Dziewczynka ta jest słabym tylko wzorem tysiąca niewolników, mieszkających między nami.

— Wasz to systemat tworzy podobne dzieci — przerwała panna Ofelja.

— Tak, zgadzam się! lecz dzieci te już są: cóż więc mamy z niemi zrobić?

— Nie powiem, abym była mogła ci być wdzięczną za nałożenie mi tej pracy; lecz ponieważ widzę w niej chrześcijańską powinność, chcę przeto wytrwać do końca, nie żałując sił i czasu — odpowiedziała panna Ofelja.

W istocie pracowała z wzrastającą energją i troskliwością nad swoją uczennicą. Wyznaczyła godziny czytania, pisania i szycia.

Do czytania miała Topsy wielkie zdolności. Z zadziwiającą prędkością poznała litery i już mogła nawet krótkie wyrazy czytać; ale za to z szyciem szło bardzo tępo. Ruchliwa jak małpa, giętka jak kotka, nie mogła znieść siedzenia. Łamała więc igły, wyrzucała przez okno,

lub wtykała w szpary; plątała, rwała, brudziła nitki, albo cały kłębek zarzucała gdziekolwiek. Jej ruchy były tak prędkie jak u kuglarzy; a przytem z niesłychaną łatwością umiała panować nad wyrazem swej twarzy. Panna Ofelja była przekonana, że wychowanica jej płata takie figle umyślnie, nie mogła jej jednak chwycić na gorącym uczynku, — trzebaby mieć bezustannie czujną baczność, a na to nie miała czasu.

Wkrótce Topsy stała się sławną w całym domu. Miała niezwykłe zdolności do wszelkiego rodzaju psot, śmiesznych naśladowań, do tańców, skoków, wskrabywania się na drzewa, do śpiewu, gwizdania, naśladowania różnych głosów. W godzinach zabawy wszystkie dzieci otaczały ją kołem i dziwowały się jej figlom. Nawet Ewunię oczarowała swemi sztukami i przyciągała ją ku sobie, jak wąż wzrokiem gołębia. Panna Ofelja niespokojna, że Ewa tak chciwie szuka towarzystwa jej uczennicy, mówiła o tem panu Saint-Clare.

— Ej! pozwól jej — odrzekł pan Saint-Clare — zabawi się trochę figlami Topsy.

— Ale Topsy jest bardzo zepsuta! czy się nie lękasz o Ewunię?

— Na Ewę nie wywrze Topsy złego wpływu. Może ona być bardzo niebezpieczną dla innych dzieci, lecz o Ewę się nie lękam. Złe spływa po jej anielskiem umyśle, jak krople rosy po liściu rośliny, nie wsiąkając wewnątrz.

— Nie bądź zbyt ufny! — rzekła panna Ofelja. — Nigdybym nie pozwoliła dziecku mojemu, gdybym je miała, bawić się z Topsy.

— Owszem, twoje dzieci nie potrzebowałyby z nią się bawić, ale moim pozwolę. Gdyby Ewunia mogła się zepsuć, jużby była się zepsuła.

Zrazu Topsy była celem pośmiewiska i pogardy główniejszych służących, lecz wkrótce zmusiła ich do zmiany postępowania z sobą. Spostrzegli oni wnet, że za najmniejszą krzywdę, wyrządzoną małej murzynce, następowała zawsze jakaś kara.

To tej zginęły kolczyki lub inny jaki drogi przedmiot, tamtej zlano suknie tłuszczem; kto inny przewrócił się przez wiadro z wrzącą wodą, stojącem przypadkiem na kurytarzu; albo wylano komu na głowę pomyje, właśnie, kiedy miał na sobie nowe ubranie itd. Winowajcy nie zdołano nigdy wykryć. Nieraz Topsy, wypytywana przez sługi, dowodziła z najzimniejszą krwią swoją niewinność. Nikt nie wątpił, że to ona jest sprawczynią tylu nieprzyjemnych wydarzeń, lecz nikt nie mógł najmniejszego dowodu przedstawić; a panna Ofelja, jako sędzia sprawiedliwy, nie mogła karać bez przekonywających dowodów.

Na te psoty wybierano zawsze odpowiednią chwilę, i sprawca ich umiał uniknąć za każdym razem kary. Zemsty na Róży lub Janinie, wtenczas właśnie dokonano, kiedy popadły w niełaskę u swojej pani, co bardzo często się zdarzało; żadna więc skarga nie odniosła skutku. Jednem słowem Topsy doskonale każdego przekonała, że daleko mądrzej i bezpieczniej zostawić ją w spokojności. I dopięła swego celu, prześladowania bowiem ustały.

Topsy okazywała zadziwiającą zręczność, wielką energię i ochotę do robót ręcznych. Z dziwną łatwością pojmowała w krótkim bardzo czasie wszystko, czego ją uczono, i nie trzeba było dużo lekcyi, aby

w uprzątaniu pokoju swej pani potrafiła zadowolić tak wymagającą, tak drobiazgową pannę Ofelję. Niepodobna było posłać i wygładzić prześcieradła z taką dokładnością, ułożyć poduszki tak systematycznie, wymieść, wytrzeć kurzawy z takim staraniem, uporządkować wszystko z takim gustem, jak to robiła Topsy, skoro tylko chciała; lecz na nieszczęście nie zawsze jej się chciało. Gdy tylko panna Ofelja po dwóch, trzech dniach troskliwego dozoru, będąc zupełnie zadowoloną z Topsy, zajęła się czem innem, zostawiając uczennicę samej sobie, wówczas Topsy przez parę godzin utrzymywała w pokoju swej nauczycielki istny chaos. Zamiast posłać łóżka, zdejmowała poduszki, a włożywszy je sobie na głowę, bujała po pokoju, i gdy w jej czarnej, lnianej czuprynie sterczały w różne strony białe pióra, zadowolona psotnica, jak kotka czepiała się słupów podtrzymujących zasłony nad łóżkiem i z wierzchołka ich zwieszała się w dół głową, lub z prześcieradłami kręciła się po pokoju, wycierając posadzkę; innym razem, ubrawszy wałek z pod poduszki w nocne odzienie swej pani, śpiewając i pogwizdując, tańczyła z nim przed zwierciadłem.

Pewnego razu zostawiła panna Ofelja przez zapomnienie, co się jej nigdy nie zdarzało, klucz w szufladzie. Topsy wyjęła z komody najśliczniejszy różowy turban swej pani z drogiego szalu chińskiego, okręciła go około głowy i deklamując uroczyście przed zwierciadłem, stawała w różnych pozycjach.

— Topsy! — zawołała panna Ofelja, wchodząc do pokoju, — jak śmiesz tak dokazywać?

— Nie wiem dlaczego — odpowiedziała Topsy najpokorniej — może dlatego, że jestem taka zła.

— O mój Boże! cóż ja poczne z tobą, Topsy?

— Trzeba mnie bić, pani! Stara moja pani zawsze mnie siekła. Ja nie umiem pracować, kiedy mnie nie biją.

— Ale, Topsy, ja nie mam najmniejszej ochoty ciebie bić; możesz być dobrą i bez bicia, bylebyś chciała.

— Ja byłam zawsze bita, proszę pani! Może mnie koniecznie bić trzeba!

Panna Ofelja popróbowała tego środka. Topsy krzyczała, jęczała, wyła, płakała, wypraszała się, lecz w kwadrans potem opowiadała ze śmiechem przed tłumem małych czarnych swych zwolenników, głośno o całem wydarzeniu.

— Śmiech patrzeć, jak panna Ofelja bije, — mówiła, naigrawając się — tak i komara nie zabije. O! gdybyście widzieli mego poprzedniego właściciela, ten to bił, aż ciało pryskało.

Topsy, uważając wszystkie swoje głupstwa i wykroczenia za rodzaj szczególniejszego odznaczenia się, szukała w nich chluby.

— Ej, wy murzyni! — mówiła do swoich słuchaczy — co wy... wy może niewiecie, że wy grzeszniki? tak, wy grzeszycie, i biali grzeszą, to mnie panna Ofelja mówiła, ale ja myślę, że negry to największe grzeszniki; ale wy jesteście niczem wobec mnie: ja zła, ale tak zła, że nikt ze mną rady sobie nie da! Dawniejsza moja pani wściekała się ze

złości, trzeba wam było słyszeć, jak mnie przeklinała. Oj, oj, oj!... Topsy najgorsza z najgorszych...

I podskakiwała z podniesioną głową, dumna z tak wielkiego odznaczenia się wśród innych.

Każdej niedzieli uczyła panna Ofelja z uroczystą powagą i gorliwością katechizmu Topsy, która, mając szczególniejszą pamięć, z łatwością wszystko pojmowała, co bardzo zachęcało nauczycielkę.

— Myślisz, kuzynko, że to przyniesie jej korzyść? — spytał Saint-Clare.

— Spodziewam się; toć to rzecz ważna nauczyć dzieci pierwszych zasad wiary.

— Bez względu na to, czy rozumieją lub nie?

— Z początku dzieci wszystkiego nie pojmują, ale tego, czego się nauczyły, z pewnością nie zapomną i rychlej — czy później zrozumieją.

— Przyznam się, nie rozumiem wielu rzeczy z katechizmu do tej pory, chociaż uczyłaś mnie bardzo gorliwie, gdym był mały.

— O, jakżeś się pilnie uczył, mój Augustynie, rokowałeś jak najlepsze nadzieje.

— Czyżem zawiódł oczekiwania, kuzynko? — spytał Saint-Clare.

— Chciałabym, mój Augustynie, abyś był teraz tak doskonałym, jak byłeś dzieckiem jeszcze.

— Tego i ja sobie życzę. Dobrze więc, kuzynko, uzbrój się w odwagę i cierpliwość, ucz katechizmu Topsy; a być może, że coś z tego wyniknie dobrego.

W czasie tej rozmowy Topsy ze skromnie złożonemi rękoma stała z pokorną miną, i za danym znakiem zaczęła mówić:

— Nasi pierwsi rodzice, zostawieni własnej woli, straciwszy pierwiastkową swą niewinność, w której ich Bóg stworzył, wypadli ze stanu...

Jakaś ciekawość i chęć zapytania widocznie odbiły się na jej twarzy.

— Czego chcesz? — pytała panna Ofelja.

— Za pozwoleniem, proszę pani — rzekła Topsy — czy to ze stanu Kentucky?

— Co? jaki stan?

— Stan, z którego oni wypadli? — odpowiedziała Topsy; — pan Saint-Clare mówił, że my przybyli ze stanu Kentucky.

Saint-Clare parsknął głośnym śmiechem.

— Objaśnij ją, kuzynko; bo jeżeli nie wytłómaczysz jej tekstu, to ona sama go sobie wytłómaczy... i to w sposób, jak co dopiero słyszałaś.

— Zmiłuj się, Augustynie, nie żartuj! Cóż ja zdołam zdziałać, jeżeli będziesz się śmiał ze wszystkiego? — rzekła poważnie panna Ofelja.

— Dobrze, przyrzekam więc nadal nie przeszkadzać, — rzekł Saint-Clare i wziąwszy gazety, poszedł do salonu.

Topsy odpowiada na pytania doskonale, czasami tylko przestawiając, przekręcając wyrazy w sposób dziwnie śmieszny, nie zważając na poprawki panny Ofelji. Pomimo przyrzeczeń, Saint-Clare nie zważając

na prośby panny Ofelji, skoro chciał ją pogniewać, wołał do siebie Topsy i kazał jej powtarzać ustępy, które zwykle przekręcała.

— I jakże chcesz, abym ją czegoś nauczyła, jeśli ze wszystkiego drwisz, — mówiła panna Ofelja rozdrażniona.

— Tak, przyznaję, że to źle, nie będę więc w przyszłości przeszkadzał; ale jakże zabawnie się słyszy, jak to dziwne małe stworzenie potyka się przy dłuższych zdaniach! — mówił Saint-Clare.

Ty ją utwierdzasz w omyłkach.

— Co to szkodzi? Dla niej ten lub inny wyraz ma zupełnie toż samo znaczenie.

— Chciałeś sam, abym ją wychowała, jak się należy; nie zapominaj więc, że to istota myśląca, a więc trzeba z nią postępować z wielką ostrożnością.

— O tak, kuzynko, wiem o tem dobrze; ależ cóż ja za to mogę, skoro jestem, jak mówi Topsy, tak zły!

Wychowanie dziecka przez dwa lata kręciło się po tych błędnych drożynach. Topsy stała się dla panny Ofelji prawdziwem chronicznem cierpieniem, z którem biedna nauczycielka oswoiła się jak z migreną lub newralgią. Saint-Clare bawił się z Topsy jak z papugą, lub pieskiem; a przebiegła dziewczyna, rozumiejąc swe położenie, skoro tylko zasługiwała na karę, uciekała za krzesło pana Saint-Clare, który zawsze stawał w jej obronie. Często, dostawszy od swego pana kilka groszy, kupowała sobie za nie orzechów lub lodowatego cukru i hojnie niemi obdarzając całą czeredę dzieciaków; bo trzeba oddać sprawiedliwość Topsy, przy wszystkich swoich psotach i figlach, które były tylko osobistą obroną od prześladowania, miała serce dobre.

———o———

ROZDZIAŁ XXI.

Kentucky.

Może czytelnik raczy wrócić z nami do Kentucky dla zajrzenia, co też tam się dzieje.

Wieczorem po upalnym dniu, drzwi i okna mieszkania pana Szelby były pootwierane. W długiej, wiodącej przez cały dom sieni, z drzwiami prowadzącemi do salonu, z balkonami po obu końcach, siedział pan Szelby z cygarem w ustach w fotelu, wygodnie ulokowawszy nogi na krześle.

Pani Szelby siedziała przy drzwiach i szyła; a mając coś na sercu, oczekiwała dogodnej chwili, aby zacząć rozmowę.

— Czy wiesz — rzekła nakoniec — Klotylda otrzymała list od Tomasza...

— Czy być może? Więc Tomasz znalazł tam przyjaciela... jakże mu się powodzi?

— Kupiła go jakaś rodzina, jak się zdaje, dość znakomita — odpowiedziała pani Szelby, — dobrze go traktują, nie ma dużo pracy.

— A tem lepiej! Jestem z tego bardzo zadowolony! — odpowiedział szczerze pan Szelby. — Spodziewam się więc, że wżył się w nowe stosunki i nie myśli wcale o powrocie.

— Przeciwnie, z wielką niespokojnością pyta, czy pieniądze na jego wykupienie są już zebrane?

— Na honor, nie mogę dać żadnego zapewnienia. Gdy interesa zaczną się krzyżować, to już niema końca niepowodzeniom; skaczę jak z kępy na kępę, muszę pożyczać u jednego, żeby oddać drugiemu, później u trzeciego dla oddania pierwszemu i tak ciągle; a te przeklęte weksle, jak grad padają ze wszech stron. Człowiek nie ma nawet czasu wypalić cygara, jeden list goni za drugim... wszystkie z groźbami; coraz to więcej kłopotów wali się na moją głowę.

— Mnie się zdaje, mój drogi, że można temu zaradzić. Naprzykład, gdybyśmy sprzedali wszystkie nasze konie i jeden z naszych folwarków, moglibyśmy wszystkie długi spłacić gotówką.

— E! to nie ma sensu, moja droga Emiljo; ty jesteś najdoskonalszą ze wszystkich kobiet z Kentucky, ale nie pojmujesz wcale interesów. — Kobiety zwykle nie mogą pojąć i nie pojmą nigdy, jak się prowadzą interesy.

— Wytłómacz mi przynajmniej te swoje interesy, — rzekła pani Szelby. — Daj mi listę naprzykład tych, którym jesteśmy dłużni i którzy nam winni; jabym może ci pomogła coś oszczędzić w wydatkach.

— Ależ zmiłuj się Emiljo, nie męcz mnie! Nie mogę ci powiedzieć nic stanowczego, sam nie wiem, jak stoją nasze interesy; ale czyż można im nadać taką lub ową formę z łatwością, z jaką Klotylda robi ciastko? Nie zrozumiałabyś nic zgoła, upewniam cię. Pan Szelby podniesionym głosem zakończył z żoną rozmowę o interesach.

I ona zamilkła, tając w sobie boleść. W istocie, chociaż była tylko kobietą, jak mówił pan Szelby, miała jednak pojęcie jasne, pogląd praktyczny i siłę charakteru, czego brakowało właśnie jej mężowi. W jej żądaniu wcale nie było niezrozumienia sprawy i mógł śmiało ją wezwać ku pomocy w zarządzaniu dobrami. Pragnąc szczerze dotrzymać danego przyrzeczenia Tomaszowi i Klotyldzie, smuciła się biedna kobieta każdą w tym względzie trudnością.

— Czyż niema już środka żadnego? Suma to nie tak wielka; jakże się martwi biedna Klotylda, która wzięła to sobie tak bardzo do serca!

— Przykro mi niewymownie; przyrzekłem bez zastanowienia się. Czy nie lepiej otwarcie powiedzieć ciotce Klotyldzie, aby się nie łudziła? Za parę lat Tomasz pojmie inną żonę; dobrzeby było, gdyby i ona pomyślała o sobie.

— Nigdy tego jej nie powiem; jam ją uczyła, że ślub ich jest równie święty, jak nasz.

— Nie dobrze, żeś wpoiła im zasady wyższej moralności nad ich położenie i nadzieje; myślałem o tem często, — odpowiedział pan Szelby.

— Wszakże to jest tylko moralność chrześcijańska.

— Dobrze, dobrze, moja Emiljo, nie mam wcale zamiaru zaprze-

czać twym religijnym zasadom, tylko z nich, jak mi się zdaje, niewolnicy nie wielką odnoszą korzyść.

— Poniekąd masz słuszność; właśnie dlatego z całego serca nienawidzę niewoli i wszystkich jej skutków. Powtarzam ci, że nie mogę siebie uwolnić od przyrzeczenia, które im daliśmy. Jeżeli nie będę mogła inną drogą dostać przyrzeczonych pieniędzy, zacznę dawać lekcje muzyki i jestem pewną, iż będę miała tyle uczniów, że wkrótce zbiorę potrzebną sumę.

— Nigdy nie pozwolę, abyś do takiego stopnia miała się poniżyć.

— Co to za poniżenie! Czyż nie więcejbym się poniżyła, gdybym nie dotrzymała słowa?

— O, na honor! zawsze jesteś heroiczną, pływasz po obłokach, — odpowiedział pan Szelby; — lecz radzę ci wprzód się dobrze namyślić.

W tej chwili zjawiła się na balkonie ciotka Klotylda.

— Prosiłabym panią na chwilkę tylko! — zawołała Klotylda.

— Co chcesz Klotyldo? — spytała pani Szelby, powstawszy z miejsca i podchodząc ku niej.

— Przyniosłam zwierzynę, może pani zobaczy.

Pani Szelby uśmiechnęła się na widok Klotyldy, stojącej z powagą nad stosem leżących na ziemi kur i kaczek.

— Możeby pani pasztet z kurcząt?

— Mnie wszystko jedno, ciotko Klotyldo; rozrządź jak się tobie podoba.

Klotylda przebierała ptastwo z roztargnieniem, widocznie czem innem umysł jej był zajęty. Nakoniec urywanym, krótkim śmiechem, który to zwyczajnie u ludzi jej plemienia poprzedza drażliwą prośbę, rzekła:

— O mój Boże! poco państwo suszą sobie głowy, jak powiększyć dochody, kiedy mogą użyć z tego, co mają pod ręką, — i zakończyła zwykłym śmiechem.

— Nie rozumiem cię, Klotyldo! — rzekła pani Szelby, domyśliwszy się, że podsłyszała jej rozmowę z mężem.

— O mój Boże! inni państwo wynajmują swych negrów i biorą ogromne pieniądze; a tu taki tłum ludu je za darmo.

— Dobrze, Klotyldo, kogoż, jak ci się zdaje, moglibyśmy wynająć? — spytała pani Szelby.

— Sam opowiadał, że w Luizwilu jest cukrownik, czy jak ich tam nazywają, któryby chciał mieć kobietę, umiejącą piec dobrze ciastka i pierożki i dałby jej cztery dolary na tydzień, tak mówił...

— Dobrze, więc cóż?

— Mnie się zdaje, że Sally mogłaby miejsce przyjąć; uczyłam ją piec i piecze nie źle; żeby się jeszcze trochę poduczyła i gdyby pani pozwoliła, to jabym sama poszła na zarobek. Ja się nie powstydzę położyć moich ciastek i pierożków obok ciast najlepszego cukrownika.

— Cukiernika, moja Klotyldo, nie cukrownika! — zawołała pani Szelby.

— O mój dobry Boże, czy to nie wszystko jedno? Te wyrazy są tak sobie podobne, że my biedni nie możemy ich rozróżnić.

— Ale, moja Klotyldo, musiałabyś zostawić swoje dzieci...

— Chłopcy już podrośli, a i nie głupi, sami potrafią pracować, a moja malutka zostanie pod opieką Salusi; ona taka miła, spokojna, nie będzie sprawiała wielkiego kłopotu.

— Luizwil, to bardzo daleko! — zauważyła pani Szelby.

— Ja się tego nie lękam, to gdzieś nad rzeką, może niedaleko mego Tomasza? — rzekła Klotylda głosem pytającym, uważnie patrząc w twarz swej pani.

— Nie, Klotyldo, to jeszcze kilka set mil dalej.

Twarz Klotyldy przedłużyła się od smutku.

— No, nie trać nadziei, Klotyldo, zawsze będziesz trochę bliżej twego męża, niż teraz; a wszystko, co zapracujesz, do ostatniego grosza, będę odkładała na wykupienie poczciwego Tomasza.

Jak jasny promień słoneczny rozświetla ciemny obłok, tak słowa te rozpromieniły nagle czarną twarz Klotyldy i zajaśniała blaskiem szlachetnego poświęcenia.

— Ach, jaka pani dobra! już od dawna nad tem rozmyślałam. Mnie nie potrzeba ani sukni, ani trzewików, niczego! ach! niczego nie potrzebuję, będę oszczędzała każdy szeląg! Ile tygodni mamy w roku?

— Pięćdziesiąt dwa — odpowiedziała pani Szelby.

— Cztery dolary na tydzień, to będzie na rok?...

— Będziesz miała, moja Klotyldo, dwieście ośm dolarów.

— Ach, mój Boże — zawołała Klotylda uszczęśliwiona, — ileż lat trzeba pracować, aby zebrać całą sumę?

— Cztery do pięciu lat; lecz nie będziesz potrzebowała tak długo czekać, ja dołożę, ile będę mogła, — odrzekła pani Szelby.

— O nie mogłabym przenieść po sobie, aby pani dawała lekcje, albo coś podobnego! Pan ma słuszność, że nie zgadza się na to! To tak nie może być! Nikt z waszej rodziny nie będzie potrzebował zniżyć się do tego stopnia, póki biedna Klotylda ma zdrowe ręce.

— Bądź spokojna, Klotyldo, ja będę czuwała nad honorem rodziny — odpowiedziała pani Szelby z uśmiechem. — Lecz kiedyżbyś chciała puścić się w drogę?

— Nie wiem! Sam jedzie do rzeki ze źrebiętami i mówił, że może mnie zawieźć; przyznam się, że już spakowałam rzeczy swoje w węzełek. Jeżeli pani pozwoli, to pojadę jutro z rana z Sanem; pani da mi paszport i może jaki list polecający.

— Dobrze, zajmę się tem, skoro tylko pan na to się zgodzi. Jeszcze z nim dziś o tem pomówię. — Pani Szelby poszła na górę.

Nieposiadająca się z radości Klotylda, zajęła się przygotowaniem do drogi.

— Aha! panicz nie wiedział, że ja jutro pojadę do Luizwilu, — zawołała Klotylda do Jerzego, który wchodząc do chaty, spostrzegł, jak przebierała rzeczy dziecinne.

— Chcę przejrzeć odzienie moich dzieci, i zanim wyjadę, trochę naprawić. Jutro jadę, paniczu, jadę i będę brała po cztery dolary na tydzień, a pani będzie je odkładała, aby wykupić mego Tomasza.

— Brawo! — zawołał Jerzy — to mi czyn heroiczny! I z kimże jedziesz, ciotko Klotyldo?

— Z Samem. A teraz, paniczu, bądź łaskaw napisać mi list do mego męża. Czy panicz to uczyni?

— O bez wątpienia! Wuj Tomasz będzie bardzo rad. Czekajcie, pobiegnę po atrament i papier. Zarazem oznajmię mu, że są młode źrebięta, napiszę o wszystkiem! Czy rozumiesz, ciotko Klotyldo?

— Dobrze paniczu. Niech panicz idzie, a ja dla panicza przygotuję kurczątko lub jaką inną łakotkę. Już nie będzie panicz miał takich smacznych obiadów i kolacyj, jak przy ciotce Klotyldzie.

———o———

ROZDZIAŁ XXII.

Kwiatek więdnieje.

Czas nie zna odpoczynku, upływają godziny i dni i giną jak krople w morzu przeszłości; dwa lata, lata ciężkiej próby przeszły nad głową Tomasza. Rozłączony ze wszystkiemi, których kochał, gonił za nimi myślą z boleścią w sercu, a jednak nie czuł się zupełnie nieszczęśliwym. Jeżeli przebieżemy myślą długie lata próby i cierpień naszych, przekonamy się, że każda godzina boleści przyniosła nam z sobą jakąś ulgę, osłodę nadspodziewaną, jakby balsam na zagojenie rany, którą zadała i nie możemy powiedzieć, żeśmy w tej godzinie byli zupełnie nieszczęśliwymi.

W książce, która była całem bogactwem literackiem Tomasza, czerpał naukę, że człowiek powinien z myślą wesołą i nadzieją w sercu przyjmować wszystko, co się mu przytrafi, znosić wszystkie niepomyślne losy, które go spotkać mogą; że nie powinien nigdy szemrać przeciw Opatrzności boskiej.

Na tę mądrą naukę zgadzał się zupełnie; i nie trudno mu było według niej postępować.

Na swój list do domu otrzymał już odpowiedź napisaną przez Jerzego. Pismo było wyraźne, tak, że było można je czytać — jak sam Tomasz mawiał — z drugiego końca pokoju. Dowiedział się z tego listu, że ciotka Klotylda, korzystając ze swoich wiadomości piekarskich, będzie pobierała u cukiernika w Luizwilu wielką pensję, którą postanowiła zbierać na wykupienie jego; że chłopcy jego znacznie wyrośli, a mała chodzi już po całym domu pod dozorem Salusi. Ulubiona Tomasza chatka jest wprawdzie w tej chwili zamknięta, ale Jerzy robi plany nad upiększeniem jej na powrót Tomasza. Pod koniec listu wyliczał Jerzy, jakie pobiera nauki; a początkowe wyrazy każdego zdania ozdobił wspaniałymi inicjałami; dalej pisał o czworgu źrebiętach, które przyszły na świat po wyjeździe już Tomasza, i list zakończył pozdrowieniem od rodziców. Styl listu wydał się Tomaszowi rzadkim wzorem wymowy tegoczesnej;

czytał go i odczytywał i długo się naradzał z Ewunią, czy nie byłoby dobrze ślicznie go oprawić i zawiesić na pamiątkę na ścianie; lecz trudność wystawienia na widok obu stron, była jedyną przyczyną, dla czego projekt nie przyszedł do skutku.

Przyjaźń Tomasza i Ewuni z latami ciągle wzrastała, tak że trudno było powiedzieć, jakie ona miejsce zajmowała w czułem i wiernem sercu Tomasza. Kochał Ewunię, jako istotę słabą, delikatną, a zarazem oddawał pewien rodzaj czci jej anielskiej dobroci. Najwyższą rozkoszą Tomasza było uprzedzać niewinne fantazje, tysiące drobnych chęci, które zwykle tworzą kolorową tęczę dziecięctwa. Zrana wyszukiwał starannie na rynku najrzadsze, najpiękniejsze dla niej kwiaty; wybierał najkosmatsze brzoskwinie, złotawe pomarańcze, aby po powrocie do domu ofiarować je małej Ewuni, która czatowała u drzwi na swego starego przyjaciela. O! z jakąż rozkoszą patrzał Tomasz na rozpromienioną od radości twarzyczkę dziecięcia, gdy melodyjnym głosem pytała go: wuju Tomaszu, cóż mi dziś przynosisz?

Ewunia umiała też być wdzięczną. Choć była tak jeszcze małem stworzeniem, czytała jednak już doskonale; muzykalne jej ucho i żywy, poetyczny umysł, wrodzona sympatja do piękna i dobra nadawały jej głosowi, gdy czytała, jakiejś tajemniczej potęgi, do głębi poruszającej serce Tomasza. To też często czytywała mu Żywoty Świętych Pańskich, a cudowne przykłady miłości ku Jezusowi i gorące pragnienie nieba napawały błogiem uczuciem tak Ewunię jak i Tomasza.

Było upalne lato. Ktokolwiek miał środki po temu, opuszczał duszne miasto i wyjeżdżał na świeże powietrze. Niemniej i pan Saint-Clare wybrał się z całym swoim domem do uroczo nad jeziorem leżącej wili Pontchartrain (czytaj: Ponszartren).

Było to prześliczne, w guście indyjskim zbudowane mieszkanie, z werandą z bambusowego drzewa, wpośród wonnych ogrodów i parków. Wielki salon, gdzie się zbierała cała rodzina, wychodził na ogród, w którym rosły prześliczne rośliny podzwrotnikowe; pośród tej wspaniałej roślinności wiły się kręte drożyny, wiodące do samego jeziora, którego srebrne fale tworzyły czarujący widok, ciągle nowy, a coraz cudniejszy.

Promienie zachodzącego słońca rozniecily po niebie krwawe łuny, odbijające się w zwierciadle jeziora a tworzące na dnie jego różowy drugi firmament; po nim jak duchy skrzydlate sunęły gondole o białych żaglach; gwiazdki kąpały się w toniach jeziora, drżąc od lekkich poruszeń fal. Tomasz i Ewunia siedzieli w altanie na kanapie darniowej. Ewunia miała na kolanach otwartą książkę i czytała.

Nagle spojrzała na jezioro i zawołała:

— Czy widzisz Tomaszu, całe niebo tonie w płomieniach...

— Prawda Ewunio.

— I gdzież jest niebieskie Jeruzalem?

— Wysoko nad nami, nad gwiazdami i nad tą zorzą wieczorną.

— Tam Aniołowie tron Boży otaczają i chwałę Jego głoszą, śpiewając Mu: święty, święty, święty!...

— Tak, Ewunio, tam jest szczęście, jakiego my tu na ziemi nie

Czy widzisz, Tomaszu, całe niebo tonie w płomieniach . . .

znamy, szczęście wiecznie trwające; a otrzymają je ci, którzy Bogu wiernie służą.

— I ja tam niedługo pójdę...

— Dokąd Ewunio?...

— Do aniołków, którzy Bogu śpiewają.

Ewunia wstała i rączką wskazała na niebo. Z oczami zwróconemi w górę, ozłocona promieniami zachodzącego słońca, z rumieńcem na bladej twarzy, jaśniała nadziemskim blaskiem.

— Idę tam, Tomaszu, nie długo tam pójdę... do aniołków czystych — powtórzyła.

— Głęboka boleść przejęła serce Tomasza. Przypomniał sobie, że od sześciu miesięcy jej małe rączki chudną, płeć staje się przezroczystszą, oddech krótszy, że dawniej bawiła się całemi godzinami w ogrodzie, teraz pobiega trochę, a już się męczy i nie prędko wraca do sił; słyszał, jak panna Ofelja narzekała, że uparty kaszel pomimo wszelkich środków nie przestawał męczyć Ewuni i w tym nawet momencie rozpalona jej twarzyczka i drobne rączki jawnie świadczyły o trawiącej ją gorączce. Zadrżał na myśl, że straci najlepszą przyjaciółkę, że będzie się musiał z nią na zawsze rozstać.

Czy istnieją dzieci podobne do Ewy? O tak, bez wątpienia, tylko imiona ich wypisane są na kamieniach grobowych: a ich słodki uśmiech, niebieski wzrok, słowa pełne miłości i natchnienia przechowują się w sercach pozostałych jako drogie wspomnienie.

To aniołkowie schodzą na tę ziemię płaczu i niedoli, maluczko goszczą i wracając do nieba, pociągają za sobą serca, które się do nich przywiązały w czasie tej krótkiej wędrówki, a które bez tego możeby upadły pod ciężarem gniecących zabiegów doczesnych. Kiedy ujrzycie w dziecięciu wzrok jaśniejący jasnem, nadziemskiem światłem, kiedy duszyczka jego zawcześnie się przebudza, a usta mówią słowa jakby pod wpływem natchnienia, wtenczas pewno długo z wami tutaj gościć nie będzie, gdyż niebo wycisło na czole jego znamię swoje a w oczach promień nieśmiertelności. I ty, ulubiona Ewunio, jasna gwiazdko domu rodzicielskiego, zgaśniesz wkrótce! A jednak ci, którzy cię tak gorąco kochają, nie domyślają się tego! Zgaśniesz, lecz świecić będziesz u Boga w raju.

Ewunia przerwała rozmowę, gdyż usłyszała wołanie swej ciotki.

— Ewunio! Ewunio! już późno i chłodno się zrobiło, chodź do domu!

Ewunia i Tomasz wstali i poszli.

Panna Ofelja, nie pierwszej już młodości, spędziwszy długie lata na czuwaniu przy chorych, nabrała wiele doświadczenia; a wychowana w Nowej Anglji, znała dobrze pierwsze oznaki nieubłaganej choroby, zabierającej z pośród społeczeństwa niezliczone ofiary.

Kiedy nikt jeszcze nie zauważył choroby w organiźmie dziewczęcia, czuwające jej oko spostrzegło już pierwsze jej ślady; wypieki na twarzyczce, suchy kaszel, zapadające się policzki, nienaturalny blask oka wielce ją zaniepokoiły.

Chciała odkryć swoją obawę panu Saint-Clare, lecz i słuchać jej nie chciał; odganiał od siebie myśl tę z gwałtownością, dziwnie sprzeczną z jego zwyczajną, obojętną niedbałością.

— Zmiłuj się kuzynko, zaprzestań tego złowieszczego krakania; znieść tego nie mogę! Czyż nie widzisz, że dziecię rośnie? Nie znajdziesz młodej dziewczyny, którąby w tym czasie nie mizerniała!

— Ale ten kaszel!...

— Głupstwo! to tylko lekki katar!

— Ale zupełnie tak się zaczynało u biednej Janiny, Heleny i Marji Sanders...

— Tylko mi nie wyliczaj wszystkich nieboszczek; lubujesz się w przewidywaniu i przepowiadaniu najgorszych rzeczy. Dziecko zaledwie kichnie, już przepowiadasz śmierć. Strzeż jej, żeby się nie zaziębiła, żeby zbyt późno po dworze nie chodziła i aby przy zabawie się nie zgrzała!

Taką odpowiedź dawał zwykle pan Saint-Clare, jednakże sam zatrwożony, niespokojny, z gorączkową troskliwością czuwał nad Ewunią i jakby dla odpędzenia od siebie natrętnych myśli, powtarzał często: „dziecię moje zdrowe, zupełnie zdrowe; kaszel pochodzi z zaziębienia; niema zresztą dziecka, które nie miałoby kaszlu". Pocieszał siebie jak mógł biedny ojciec, jednak już odtąd nie spuszczał Ewuni z oczu; towarzyszył jej w konnych przejażdżkach, przynosił zawsze jakieś leki wzmacniające, i mówił: „wprawdzie tego nie potrzebuje, ale to nie zaszkodzi, a zawsze wzmocni".

Lecz najsilniej bolało ojcowskie jego serce, gdy widział tak przedwcześnie dojrzewający umysł i serce Ewuni. Nie straciła ona wprawdzie nic zgoła z prostoty i naiwności dziecinnej, ale bardzo często wyrywały się jej słowa tak głębokie i wzniosłe zawierające pojęcia, że widocznie musiały wypływać z natchnienia. Wówczas dreszcz trwogi przejmował pana Saint-Clare, ściskał Ewunię serdecznie, jakby uściśnieniem chciał ją zatrzymać i niezmierna boleść rozpierała pierś jego.

Dusza i serce Ewuni były zawsze przepełnione miłością, współczuciem dla biednych, szlachetną litością, ale dziś widocznie rozwinęła się w niej jakaś głębsza uczuciowość, zastanawianie się wcale niewłaściwe jej wiekowi. Towarzyszyła w swawolach Topsy i innych dzieci, ale tylko się przypatrując; często po półgodzinnym śmiechu z zabawnych figlów Topsy, twarz jej nagle pokrywała się smutkiem, łza zwilżała śliczne oczy i z politowaniem patrzała na igrające dzieci.

— Mamo — rzekła pewnego dnia do matki — dlaczego nie uczymy czytać sług?

— Co za dziwne pytanie... tego nikt nie robi!

— Dlaczego, mamo? — pytała Ewunia.

— Ponieważ niewolnicy wcale nie potrzebują umieć czytać, to zresztą odciągałoby ich od pracy, do której są jedynie stworzeni — odpowiedziała pani Saint-Clare.

— Ale toby ich uszlachetniło. Czytając dobre książki, nauczyliby się wiele pożytecznych rzeczy.

— Jakie śmieszne z ciebie dziecko! — przerwała matka.

— A jednak ciocia Ofelja nauczyła Topsy czytać...

— I Topsy nic z tej nauki nie skorzystała: była zła, jest złą i taką też w przyszłości będzie.

— A biedna Mami, jakby ona pragnęła umieć czytać! Z prawdziwą rozkoszą słucha, gdy jej cośkolwiek czytam. Cóż pocznie, gdy jej już czytać nie będę?

Marja przeglądała w tej chwili szufladki w swoim biurku.

— Bez wątpienia przyjdzie czas, kiedy nie będziesz mogła czytać książek wszystkim z kolei niewolnikom — nie dlatego, żebym ci to na-

Mamo, czy to dużo kosztuje? — spytała.

ganiała, o nie! jabym sama może czytała, gdyby mi zdrowie służyło; ale skoro podrośniesz, będziesz musiała ubierać się, przyjmować i oddawać wizyty, nie stanie więc ci czasu na to. Patrz, jakie ci brylanty podaruję; miałam je na pierwszym balu i mogę cię upewnić, Ewunio, żem zrobiła wielkie wrażenie.

Ewunia wzięła pudełko, wyjęła brylanty, popatrzała na nie, lecz myśl jej błądziła daleko.

— Cóżeś taka zamyślona Ewunio?

— Mamo, czy to dużo kosztuje? — spytała.

— A bardzo dużo, — odpowiedziała pani Saint-Clare, — ojciec mój sprowadził je z Paryża, stanowią one majątek.

— Chciałabym je mieć, ale tak, żebym mogła z niemi zrobić co tylko zechcę! — zawołała dzieweczka.

— I cóż byś z niemi zrobiła, Ewunio?

— Sprzedałabym je i kupiłabym za otrzymane te pieniądze kawał ziemi w Stanach wolnych, przeprowadziłabym tam wszystkich naszych niewolników i opłacałabym nauczycieli, aby ich uczyli czytać i pisać.

Matka w głos się rozśmiała.

— A to cudownie! założyłabyś więc szkołę... Zapewne uczyłabyś ich grać na fortepjanie, malować na aksamicie...

— Nauczyłabym ich czytać i pisać — rzekła Ewunia stanowczo. — O! ja wiem, jak to im przykro być musi nie umieć tego wszystkiego! Jak się tem smucą Tomasz, Mami, i wielu innych. Zdaje mi się, mamo, że to bardzo niesłusznie...

— Jesteś dzieckiem i na tem się nie znasz; niedorzecznem twojem gadaniem powiększasz mi ból głowy...

Marja dostawała bólu głowy na zawołanie, ile razy rozmowa stawała się dla niej niemiłą. Ewunia wyszła powoli z pokoju. Od tego dnia z całą pilnością uczyła czytać biedną Mami.

———o———

ROZDZIAŁ XXIII.

Henryk.

W tymże czasie przybył na kilka dni w odwiedziny brat pana Saint-Clare z najstarszym swoim synem, dwunastoletnim chłopczykiem. Miły a zarazem dziwny widok przedstawiali obaj bracia bliźnięta; natura zamiast wzajemnem podobieństwem, obdarzyła ich wręcz przeciwnemi przymiotami pod każdym względem, a jednak był między nimi jakiś tajemniczy związek, łączący ich najściślejszą przyjaźnią.

Błękitnych oczu Augustyn, lekki, zręczny postawą, o ruchach żywych, przechadzał się po ogrodzie pod ramię z Alfredem, przedstawiającym typ zupełnie przeciwny; oczy miał bowiem czarne, profil rzymski, był muskularny i pełen powagi. Sprzeczność zasad i myśli, wzajemne naganianie swych postępków wcale nie zmniejszało przyjemności, jaką znajdowali w wspólnych pogadankach. Zdawało się, że właśnie brak wszelkiego podobieństwa ściślej ich łączył z sobą.

Starszy syn Alfreda, Henryk, posiadał czarne, rozumne oczy, ruchy żywe, szlachetne, pełne wdzięku. Przy pierwszem spotkaniu się ze swą kuzynką Ewą, był olśniony jej cudownemi wdziękami.

Ewa miała małego ulubionego konika śnieżnej białości; był on tak spokojny, jak ona sama, a nosił jeźdźca jak w kołysce. Tomasz przyprowadził tego konika pod tylną galerję, a obok niego szedł młody mulat,

wiodący za uzdę małego karego arabczyka, sprowadzonego niedawno za bardzo znaczną sumę dla Henryka.

Dumny Henryk ze swej własności, wziął trenzle z rąk sługi i zaczął troskliwie oglądać swego konia; nagle twarz jego przybrała wyraz groźny i niezadowolony.

— Cóż to znaczy, Dodo, psie leniwy! nie czyściłeś dzisiaj mego konia?

— Czyściłem, paniczu — odrzekł z pokorą Dodo — lecz w tej chwili sam się zapalił.

— Milcz niedołęgo! jak śmiesz kłamać! — krzyknął groźnie Henryk i podniósł szpicrutę.

Był to śliczny mulat równego wzrostu z Henrykiem, miał oczy pełne ognia, a wysokie, śmiałe czoło okalały kędziory włosów. Znać było, że w żyłach jego płynęła krew białych, bo nagły rumieniec pokrył twarz jego, wzrok się zaiskrzył i pospiesznie zaczął:

— Paniczu!...

Lecz Henryk uderzył go szpicrutą po twarzy, a chwyciwszy za rękę i cisnąwszy na kolana, bił go, póki sił starczyło.

— A zuchwały psie, masz naukę! Kiedy ja mówię do ciebie, nie powinieneś odpowiadać! Odprowadź konia i oczyść go natychmiast! Ja cię nauczę!

— Paniczu — rzekł Tomasz — mnie się zdaje, iż Dodo chciał powiedzieć, że prowadząc ze stajni pełnego ognia konia, nie mógł go utrzymać; koń się wyrwał, a tarzając się po ziemi, zabrukał się; ja sam widziałem, jak go czyścił.

— Milcz, gdy ciebie nie pytają! — krzyknął Henryk, zawrócił się i wszedł na wschody, aby pomówić z Ewunią ubraną w amazonkę i czekającą na konia.

— Śliczna kuzynko — rzekł — jakże mi przykro, że z przyczyny tego osła musisz czekać. Usiądźmy nieco i zaczekajmy, aż wrócą. Co tobie kuzynko? Dlaczegoś tak zagniewana?

— Jak mogłeś tak okrutnie obejść się z biednym Dodo? — spytała Ewunia.

— Okrutnie? — rzekł Henryk z nieudanem zdziwieniem. — Co rozumiesz przez to miła Ewunio?

— Nie nazywaj mnie miłą Ewunią, skoro tak postępujesz.

— Śliczna kuzynko, ty nie znasz Dodo; to jedyna droga, którą można dojść z nim do ładu, inaczej dla swej obrony gotów Bóg wie co nakłamać. O! trzeba zamknąć mu odrazu gębę; ojciec tak zawsze postępuje.

— Lecz wuj Tomasz mówił, że to przypadek zrządził, a on nigdy nie kłamie.

— O jeżeli tak, to Tomasz jest jakimś nadzwyczajnym murzynem! — odrzekł Henryk. — Dodo słowa prawdy nie powie.

— Twoje z nim postępowanie pozbawiło go zupełnie odwagi i dlatego kłamie.

— Moja Ewunio, z takim zapałem bronisz Dodo, że może to prawdziwie obudzić we mnie zazdrość.

— Ale dlaczegoś go bił kiedy nato nie zasłużył?

— A drugim razem może ciężko zawinić i kary uniknie. Wierzaj mi, Ewunio, że dla Dodo kilka uderzeń nigdy nie jest zbytecznych, on dziwnie uparty. Zresztą, jeżeli ci się to nie podoba, nie będę go bił w obecności twojej.

Odpowiedź taka wcale nie zadowoliła Ewuni, lecz zrozumiała, że napróżnoby tłómaczyła pięknemu kuzynowi swoje pojęcia w tym względzie.

Wkrótce przyprowadził Dodo napowrót konia.

— O! teraz, Dodo, zrobiłeś wszystko, jak się należy — rzekł młody Henryk łagodnie. — Trzymajże konia panny Ewuni, póki nie pomogę jej wsiąść.

Poszedł Dodo do konia Ewuni z twarzą smutną, ze śladami łez jeszcze nieuschłych.

Henryk, który uważał siebie za wzór grzecznego i zręcznego kawalera, w jednej chwili posadził na siodło śliczną swoją kuzynkę i podał jej cugle.

Ewunia zwróciła się w stronę, gdzie stał Dodo, z rąk którego w tej chwili pan jego wziął trenzle, a dziękując mu ukłonem, rzekła:

— Zuch z ciebie, Dodo, dziękuję ci!

Dodo z zdziwieniem podniósł głowę, spojrzał na anielską twarz dziewczęcia, krew nabiegła mu do twarzy, w oczach błysnęły łzy.

— Chodźno — zawołał rozkazująco Henryk.

Dodo przytrzymał konia, którego dosiadał jego panicz.

— Oto masz kilka groszy na cukier lodowaty — rzekł Henryk. — Idź, kup sobie.

I Henryk pojechał za Ewunią. Dodo stał nieporuszony, patrząc za oddalającemi się dziećmi. Jeden dał mu pieniędzy, druga, co było dla niego droższe, — dobre słowo z współczuciem wyrzeczone. Biedny Dodo niedawno jeszcze rozstał się z swą matką. — Młody pan kupił go w magazynie; ładna twarz chłopaka zdawała mu się doskonałą do utworzenia harmonijnej całości z prześlicznym jego koniem; i sam starał się go wychować.

Bracia Saint-Clare, przechadzając się w drugiej części parku, byli świadkami sceny, co dopiero opisanej.

Rumieniec pokrył twarz Augustyna, jednak rzekł ze zwyczajną sobie żartobliwą obojętnością:

— Nieprawdaż Alfredzie, że to jest, co nazywamy republikańskiem wychowaniem?

— Henryk, to czysty djabełek, gdy go kto podraźni, — odrzekł machinalnie Alfred.

— I cóż, zapewne znajdujesz, że podobne postępowanie jest dla niego pożytecznem ćwiczeniem na później? — zapytał chłodno Augustyn.

— Tego już się nie da zmienić, chociażbym i chciał. Henryk jest nadzwyczaj popędliwy; wszelkie perswazje na nic się nie zdadzą, wszelako i Dodo wielki roztrzepaniec, najsroższe baty nie pomogą.

— Wszystko to powinno posłużyć Henrykowi do lepszego zrozumienia pierwszego wiersza naszego republikańskiego katechizmu...

— Czy tak? — zapytał Alfred. — To gadaniny Tomasza Jeffersona; francuska czułostkowość, zresztą niedorzeczność. Dziwne i śmieszne zarazem, że u nas podobne rzeczy są w modzie.

— To prawda — odpowiedział znacząco Augustyn.

— Człowiek oświecony, rozumny, bogaty, wykształcony może i powinien mieć swe prawa, — mówił dalej Alfred, — lecz ten motłoch...

— Tak, ale ten motłoch nie podziela tego przekonania.

— Rzecz naturalna, trzeba go naginać stopniowo, silnie, tak jakbym to ja uczynił, — odpowiedział Alfred, tupnąwszy nogą, jakgdyby chciał kogoś zgnieść.

— A jak to nieprzyjemnie, gdy ten motłoch powstaje! — zauważył Augustyn — naprzykład w San-Domingo...

— E! — zawołał Alfred — postaramy się, aby u nas nic podobnego nie nastąpiło. Trzeba tylko zwalczyć wszystkie domagania się o wychowanie i oświecenie murzynów, co dzisiaj jest w takiej modzie. Dolne warstwy społeczeństwa nie powinny mieć udziału w cywilizacji.

— O zapóźno już temu się sprzeciwić, — odrzekł Augustyn; — już nikt temu prądowi nie położy granic; ale od nas zależy nadać temuż kierunek. Sposób naszego wychowania podtrzymuje w nich gburowatość i zabija najszlachetniejsze uczucia. Rozrywając między nimi wszystkie węzły stosunków człowieczeńskich, robimy z nich istne zwierzęta; takimi będą oni względem nas, ile razy wezmą przewagę nad nami.

— Dlatego tu nigdy jej nie otrzymają...

— Otrzymają! — rzekł Saint-Clare. — Dodaj pary, zamknij wentyl, siądź na kocieł, a zobaczysz, jak w powietrze wylecisz!

— Zaczekajmy! — odrzekł Alfred. — Nie zlęknę się usiąść i na kocieł, byleby tylko był mocny, a cały mechanizm w doskonałym porządku.

— Tak sądziła szlachta za Ludwika XVI! Ale pewnego pięknego poranku kocieł pęknie i wy, wyrzuceni w powietrze, będziecie się tłuc jeden o drugiego.

— Dies, declarabit, czas to wykaże — rzekł śmiejąc się Alfred.

— A ja ci powiadam — odrzekł Augustyn — że nic w nowszych czasach nie objawia się z taką siłą elementarną, jak walka klas niższych o swe prawa.

— To jest jedna z licznych twych czerwono-republikańskich fantazyjek, Augustynie! Powinieneś był zostać mowcą ludowym, masz po temu talent. Jestem pewny, że wprzód umrę i nie doczekam się państwa, któremby rządziły masy brudnego ludu.

— Brudni, czy niebrudni — odpowiedział Augustyn — będą oni takimi względem was, jakimi ich uczyniliście. Chciała szlachta francuska trzymać lud w poniżeniu, i doczekała się owoców, jakich najmniej się spodziewała. W Haiti...

— Ej, po co to wspominać o Haiti! Mieszkańcy Haiti nie są Anglosasami; gdyby nimi byli, byłoby wszystko wzięło inny obrót. Dziś panują na świecie Anglo-sasi i panować będą.

— Dzisiaj i w żyłach niewolników naszych jest wielka doza krwi anglo-saskiej — rzekł Augustyn. — Wielu z nich tyle tylko zachowało

w sobie krwi afrykańskiej, ile potrzeba dla nadania zwrotnikowego ciepła i serdeczności naszej wyrachowanej wytrwałości i przezorności. Jeżeli kiedy dla nas nastąpi czas San-Domingo, krew anglo-saksońska da nam się we znaki. Potomkowie białych ojców, w żyłach których grają wszystkie nasze samolubne uczucia, wkrótce nie dozwolą kupować i sprzedawać siebie i handlować swemi duszami. Powstaną oni, a z nimi połączy się plemię ich matek.

— Głupstwa... marzenia...

— Rzeczywiście, byłbyś doskonałym podróżującym kaznodzieją, — rzekł, śmiejąc się Alfred. — Nie lękaj się o nas! Prawne władanie dostatecznie nas ochrania. Władza przy nas. A to poddańcze plemię, jest zupełnie zwyciężone i takiem p o z o s t a n i e! Znajdzie się u nas potrzebna doza energji a przytem mamy na jej poparcie dostateczną ilość prochu.

— Młodzież wychowana tak jak twój Henryk, bez wątpienia będzie doskonałą strażą zachowawczą waszych magazynów prochu! — odpowiedział Augustyn, — zimna, władająca swemi namiętnościami... Przysłowie mówi, że kto nie umie rządzić sobą, nie potrafi rządzić i innymi.

— To właśnie nieszczęście, — odpowiedział w zamyśleniu Alfred. — Bez wątpienia przy naszym politycznym systemacie trudno wychowywać dzieci; on zanadto dozwala rozwijać się namiętnościom, które i bez tego w naszym klimacie są zbyt silne. Bardzo jestem niespokojny o Henryka. Szlachetny, dobrego serca, lecz kiedy się zapali, to istny ogień. Chciałbym go posłać na północ na wychowanie; tam posłuszeństwo w większej modzie, a przytem częstsze będzie miał tam stosunki z równymi sobie.

—Dziś, kiedy wychowanie dzieci stało się najważniejszą kwestją społeczną, musimy sami przyznać, że nasz społeczny system, nie wiele co wart i należałoby go porzucić!

— Pod niejednym względem — być może; trzeba jednak przyznać, że system nasz rozwija w dzieciach męstwo i odwagę, a wady plemienia niewolniczego umacniają ich w cnotach. Sądzę, że Henryk dlatego tak pojął i ocenił piękność prawdy, że w jego przekonaniu fałsz i oszukaństwo są nieodłącznemi przymiotami niewoli.

— Oto pogląd głęboko chrześcijański! — zawołał Augustyn.

— Chrześcijański — czy niechrześcijański; w każdym razie jest to fakt bynajmniej niemniej chrześcijański od wielu innych.

— Być może!

— E! co za przyjemność spierać się w tym przedmiocie, Augustynie? Sądzę, żeśmy już pięćset razy przebiegali tę drogę. Ot lepiej zagrajmy w szachy!

Obydwaj bracia weszli po wschodach na galerję i usiedli przy stoliku do gry w szachy. Alfred, ustawiając figury, rzekł:

— W rzeczy samej, gdybym tak myślał jak ty, jużbym dawno cośkolwiek uczynił.

— Nie wątpię o tem. Ty należysz do liczby ludzi czynu; powiedz, cóż ja mam przedsięwziąć ?

— Choćbyś oświecał własne swoje sługi, — odpowiedział Alfred z pogardliwym uśmiechem.

— O! to zupełnie byłoby toż samo, jak gdybym przywaliwszy ich Etną, kazał im powstać. Jeden człowiek nie podoła nigdy przeciw jednozgodnemu parciu całego społeczeństwa.

— Zaczynaj — rzekł Alfred. Obaj bracia z całem zajęciem oddali się grze, na nic zgoła nie zwracając uwagi, aż do chwili, kiedy usłyszeli tętent koni.

— Ot i dzieci wróciły — odezwał się Augustyn, wstając z krzesła. — Spojrz Alfredzie, czyś widział coś śliczniejszego?

Rzeczywiście, widok był zachwycający. Henryk jechał przegięty w stronę swej kuzynki, z uśmiechem pełnym zadowolenia. Ona była ubrana w błękitną amazonkę i takiż kapelusz. Od szybkiej jazdy twarz jej pokryła się rumieńcem, co dodawało niewymownego uroku przezroczystej jej cerze i złotawym kędziorom włosów.

— To uderzająca piękność! — zawołał Alfred. — Powiadam ci, Augustynie, że wkrótce wiele serc zapłacze po niej!

— O tak, wkrótce, bardzo prędko!... Bóg widzi, ile się tego obawiam! — zawołał Saint-Clare z nieudaną trwogą i pobiegł, aby ją z konia zsadzić.

— Ewunio, serce moje! Tyś się bardzo zmęczyła — zawołał, biorąc ją na ręce.

— O nie, ojcze! — odpowiedziało dziewczę; lecz ciężki, utrudzony jej oddech przestraszył go.

— Dlaczego tak prędko jeździsz, moje kochanie? Wiesz, że ci to szkodzi.

— Było mi dobrze, podobała mi się przejażdżka, tak że o tem zapomniałam.

Saint-Clare wniósł ją na swych rękach do salonu i położył na kanapie.

— Henryku, tyś powinien strzec Ewuni — rzekł do promieniejącego szczęściem młodzieńca. — Nie jeźdź z nią tak szybko.

— Biorę ją pod swą opiekę — odrzekł Henryk, siadając obok kanapy i ściskając rękę Ewuni.

Gdy Ewunia odzyskała siły, ojciec jej i stryj zasiedli do swej partii, zostawiając dzieci same.

— O, jak mi smutno, Ewunio! Ojciec zabawi tutaj tylko dwa dni i znowu ciebie przez długi czas nie zobaczę! Gdybym był z tobą, starałbym się poprawić, nie krzywdzić Doda i podobać się tobie. Nie chciałbym źle się obchodzić z Dodą; lecz jestem bardzo porywczy. Nie zawsze jednak jestem takim; czasem daję mu pieniędzy, ubieram go elegancko. Sądzę nawet, że jemu wcale nie źle.

— A jakbyś się czuł, gdybyś nie znał żadnego serca, któreby cię kochało?

— Byłoby mi bardzo źle!

— A tyś oderwał Dodo od tych wszystkich, którym on był drogi i teraz niema nikogo, ktoby go kochał. Czegóż więc można od niego wymagać?

— To prawda; ale czyż jestem w stanie temu zaradzić? Matki dla niego nie podobna mi kupić, ja sam nie mogę go kochać, bo i któżby mógł?

— Dlaczegożbyś nie mógł? — spytała Ewunia.

— Kochać Doda? Czyż to podobna? Dość tego, że nie mam do niego odrazy, ale kochać... Wszakże ty nie kochasz swoich niewolników?

— Ja ich kocham.

— To zabawne!

— A czyż nie mamy bliźnich naszych kochać?

— A któż przykazanie to wypełnia; przeważnie nikt o tem nawet nie myśli.

Ewunia nic nie odpowiedziała; na chwilę się zamyśliła, a wzrok jej tonął w nieskończoności.

— A jednak — rzekła nakoniec — mój miły Henryku, kochaj Dodo, bądź dobrym dla niego przez miłość dla mnie!

— Przez miłość dla ciebie będę kochał wszystko, co tylko zechcesz, miła kuzynko! W życiu nie widziałem nic milszego nad ciebie.

Henryk mówił z wielkim zapałem i śliczna twarz jego pokryła się rumieńcem. Ale Ewunia słuchała z całą naiwnością; żadnej zmiany nie można było dostrzec na jej cudnym licu; rzekła tylko:

— O! jeżeli to prawda, tom wielce z tego uradowana; mam nadzieję, że nie zapomnisz o swem przyrzeczeniu.

Głos dzwonka zwołujący na obiad przerwał dalszą rozmowę.

———o———

ROZDZIAŁ XXIV.

Smutne przepowiednie.

Wdwa dni potem Alfred pożegnał Augustyna. Ewunia, zmęczona wizytą swego stryjecznego brata, zapadła jeszcze więcej na zdrowiu, tak że pan Saint-Clare czuł się zniewolonym przywołać lekarza.

Marja Saint-Clare, będąc sama zajętą badaniem kilku chorób, których, jak dowodziła, jest ofiarą, nie widziała stopniowego upadku sił i zdrowia małej Ewuni. Będąc przekonaną, że nikt nie był i nie mógł być tak cierpiącym jak ona, nie wierzyła w chorobę czyjąkolwiek; widziała u drugich li tylko lenistwo, lub brak energji. Często powtarzała, że gdyby inni cierpieli tak jak ona, wnetby się przekonali, o ile ona więcej cierpi.

Panna Ofelja napróżno usiłowała obudzić w niej macierzyńską troskliwość o zdrowie Ewuni. Na jej uwagi odpowiadała Marja:

— Nie widzę, aby Ewunia była niezdrowa... biega, bawi się...

— Ale bardzo kaszli! — przerwała panna Ofelja.

— Kaszli? Nie mów mi o kaszlu; ja całe życie cierpię na kaszel.

Kiedym była w wieku Ewuni, wszyscy mówili, że mam suchoty. Mami całe noce siedziała przy mnie. Ewy kaszel, to drobnostka.

— Przecież traci siły, oddech jej utrudniony...

— Ja na to cierpiałam całe lato... To osłabienie nerwów, nic więcej.

— W nocy leży cała w potach...

— To samo było ze mną w ciągu dziesięciu lat. Prawie każdej nocy cała bielizna była mokrą aż do suchej nitki.

Panna Ofelja, widząc bezskuteczność swych napomnień, zamilkła. Lecz gdy choroba Ewuni znacznie postąpiła, gdy przywołano lekarza, wtedy Marja oświadczyła, że to wszystko już naprzód przewidziała.

Widziała, przeczuła, że przeznaczeniem jej jest być najnieszczęśliwszą matką... Przy tak nadwątlonem zdrowiu zmuszona była patrzeć, jak jej ulubione dziecię zstępuje do mogiły. I Marja po całych nocach nie dawała spać Mami, po całych dniach wzdychała i płakała nad swem nowem nieszczęściem.

— Nie mów tego, kochana Marjo, nie powinniśmy przedwcześnie tracić nadziei — pocieszał ją Saint-Clare.

— Ty nie masz serca matki, ty nie możesz mię zrozumieć, ty nie wiesz...

— Ale przynajmniej nie mów o tem jakby o rzeczy, która się już stała.

— Ja nie mogę na to patrzeć tak obojętnie jak ty. Jeżeli ty nie cierpisz, widząc swą jedyną córkę w tak opłakanym stanie, to ja nie mogę nie cierpieć. To zbyt bolesny dla mnie cios, szczególnie po tem wszystkiem, com uprzednio wycierpiała.

— Prawda, wiem od dawna — odpowiedział Saint-Clare, — że Ewunia jest słabowita. Zbyt szybko rosła i z tego powodu nie może być silną, a przytem zmęczyła się szybką jazdą, do której ją Henryk zachęcał. Lekarz utrzymuje, że niema jeszcze powodu rozpaczać.

— Jesteś szczęśliwy, że wszystko widzisz w różowem świetle, — nie wszyscy tak umieją. I dla mnie byłoby lepiej, gdybym była mniej uczuciową... to mnie zabija. Pragnęłabym być również tak spokojną, jak inni...

I ci inni mieli słuszną przyczynę życzyć Marji spokoju, bo dręczyła wszystkich ciągłem narzekaniem na swoje nieszczęście i choroby. Co tylko kto mówił lub czynił, świadczyło w jej mniemaniu, że jest otoczona ludźmi okrutnymi, bez czucia, nie mającymi względu na jej cierpienia. Biedna Ewa słyszała narzekania matki i oczy chciała sobie biedaczka wypłakać, że jest przyczyną smutku matki.

Po upływie dwóch tygodni, stan zdrowia Ewy znacznie się polepszył; była to jedna z tych złudnych nadziei, któremi nielitościwa choroba oszukuje cierpiące serca, nawet nad samym grobem. Ewa znowu biegała po ogrodzie, po galerjach, znowu się bawiła, śmiała, a ojciec rozpromieniony radością, utrzymywał, że wkrótce zupełnie będzie zdrową. Tylko panna Ofelja i lekarz nie dali się uwieść zwodniczym pozorom. Było jeszcze jedno serce przeczuwające całą prawdę — to serce małej Ewy. Jest coś, co szepce w duszy naszej cicho, ale zrozumiale,

że pobyt nasz na ziemi jest krótki. Jestże to tajemny instynkt gasnącego ciała, czy zachwyt duszy, patrzącej w wieczność? Sercem Ewy owładnęło ciche, słodkie, prorocze przekonanie, że niebo jej się otwierało; i była spokojna, jak światło zachodzącego słońca, jak cisza jesieni. Bolało ją tylko, że musi opuścić tych, którzy ją tak gorąco kochali.

Chociaż żyła w dostatkach, otoczona najczulszą opieką i miłością ojca, nie żal jej było siebie, ale tych, których kochała. Wierzyła, że czeka ją lepsze życie, że idzie do Chrystusa, który dziatki kocha i miłość ku Niemu napełniała jej niewinne serduszko uczuciem nadziemskiem.

Jednak serce Ewy wyrywało się z głęboką czułością i do tych, których porzucała na ziemi, a szczególniej do ojca; pojęła, że dla niego była droższą, niż dla kogokolwiek. Bolała i nad matką swoją, bo chociaż przebijające się w Marji samolubstwo zasmucało ją i trwożyło, chociaż widziała w niej coś, czego nie mogła zrozumieć, jednak, jako dobre dziecię, kochała ją całem sercem.

Żałowała, że porzuca dobre, kochane sługi, dla których była światłem słonecznym. Dzieci bardzo rzadko uogólniają pojęcia; ale Ewa była nadzwyczajnem dzieckiem. W jej główce powstała niejasna myśl zrobienia czegoś dla nich, dania im pomocy, bo czuła ich niedolę. Chęć ta, będąc za nadto silna na słaby organizm, rujnowała nadwątlone jej zdrowie.

— Wuju Tomaszu — rzekła pewnego razu — ja wiem, co było przyczyną śmierci Chrystusa za nas.

— Cóż takiego, Ewunio?

— Ja to czuję, nie umiem tego tylko wytłómaczyć. Chrystus Pan umarł na krzyżu, żeby zerwać pęta niewoli, które nas krępowały i żeby nas wybawić od śmierci wiecznej. Czy pamiętasz owe matki na okręcie płaczące za dziećmi swemi, od których je oderwano? Jest to wprawdzie inna niewola, ale z chęcią poświęciłabym się za wszystkich tych nieszczęśliwych okutych w kajdany.

Tomasz patrzał na nią ze czcią, a kiedy na głos ojca odeszła, rozczulony otarł gorące łzy.

— Daremne zabiegi utrzymania przy życiu Ewuni — rzekł, spotkawszy Mami. — Pan Bóg weźmie niedługo ją do Siebie.

— Tak, tak — odpowiedziała Mami, wznosząc ręce ku niebu. — W jej oczach było zawsze coś tajemniczego, co jawnie mówiło, że nie pogości z nami długo. Tyle razy mówiłam o tem pani, a oto teraz się sprawdza, wszyscy to widzimy. Drogie, kochane dziecię porzuci nas!...

Ewunia wbiegła po stopniach werandy. Dzień się chylił ku końcowi, promienie zachodzącego słońca okalały ją wieńcem światła. Szła do ojca w białem ubraniu, w splotach złocistych swych włosów, z rozgorączkowaną twarzyczką i z niewypowiedzianym blaskiem w oczach, powiększonym niszczącą gorączką.

Saint-Clare przywołał ją, aby pokazać jej małą statuę, którą kupił dla niej; lecz widok Ewy przeraził go boleśnie.

Jest pewien rodzaj piękności tak zupełnej, lecz zarazem tak znikomej, że nie czujemy odwagi patrzeć na nią. Saint-Clare ujął Ewę w swoje objęcia i zapomniał, co jej chciał powiedzieć.

— Kochanie moje, tobie lżej teraz? nieprawdaż, wszak ci lepiej?

— Ojczulku — rzekła Ewa — od dawna chciałam ci wiele powiedzieć; powiem ci teraz, póki mi siły starczą.

Saint-Clare zadrżał, Ewa usiadła na kolanach ojca, a kładąc główkę na piersiach jego, mówiła dalej:

— Nie mam potrzeby przed ojczulkiem dłużej taić. Zbliża się chwila, w której was pożegnam i już nigdy do was nie wrócę! — Ewa westchnęła.

— Co ci to, moje drogie dziecię? — spytał drżącym głosem, lecz wesołość udając; — tyś nerwowa, upadłaś zupełnie na duchu, nie oddawaj się tak smutnym myślom. Patrz, jaką ci kupiłem statuę!

— Nie, mój ojcze — rzekła Ewa, zlekka usuwając podarunek — nie łudź siebie. Mnie nic nie lepiej; czuję, że niedługo pozostanę z tobą. Wcale nie jestem nerwową, wcale nie straciłam energji i niczego się nie lękam. I gdyby nie ty, drogi ojcze! i nie ci, których całem sercem kocham, byłabym bardzo szczęśliwą! Ja tęsknię do nieba, muszę tam iść, tam mnie wołają!...

— Co ci się stało, dziecię moje? Czemu się smuci twoje serduszko?. . Tu masz wszystko, co może cię uczynić szczęśliwą.

— Tam w niebie lepiej. Tu wiele, o! bardzo wiele mię zasmuca. Idę do nieba... a jednak żal mi was porzucić...

— Powiedz, cóż cię tak zasmuca?

— To, co tutaj zawsze się działo i dzieje. Żal mi naszych biednych sług. Oni mnie kochają i wszyscy są tacy dobrzy dla mnie: pragnęłabym, aby wszyscy byli wolni.

— Dlaczego, moje dziecię? Czy sądzisz, że im u nas źle?

— Nie myślę tego, lecz jeżeli ciebie, drogi ojcze, spotka nieszczęście, cóż się z nimi stanie?... Czy dużo takich ludzi, jak ty, kochany ojcze? Stryj Alfred nie taki i mama nie taka. Przypomnij tylko sobie, jakich państwa miała biedna Pru. Jak okropne rzeczy ludzie mogą robić i robią... i Ewa zadrżała.

— Miłe dziecię, tyś nazbyt wrażliwa. Żałuję, żem pozwolił ci słuchać podobnych opowiadań.

— Ach, to mię tylko zasmuca, drogi ojcze... Ty się troszczysz tylko o to, abym była szczęśliwa, żebym nie znała smutku, nigdy nie cierpiała, a nawet nie słyszała smutnych opowiadań wówczas, kiedy tylu biednych ludzi w nieszczęściach i troskach pędzi życie. O! drogi ojcze, to za wiele miłości własnej. Ja powinnam wiedzieć o tem wszystkiem, aby mieć spółczucie dla nędzy. Wszystko to przygniata mnie i bardzo boli... Wiele o tem rozmyślałam. Drogi ojczulku, czyż nie możnaby zrobić, aby wszyscy byli wolni?

— To trudne zadanie, moja droga. Niema najmniejszej wątpliwości, że te stosunki są niesprawiedliwe; wielu tak myśli i ja jestem tego zdania. Gorącobym sobie życzył, aby w całym kraju nie było ani jednego niewolnika; lecz jak do tego dojść, jakie środki przedsięwziąć, rzeczywiście nie wiem.

— Tyś taki dobry, mój ojcze, taki szlachetny, litościwy, taką masz przekonywającą wymowę; czyżbyś nie mógł obejść wszystkich i nakło-

Spojrzyj, jak piękną kupiłem ci figurkę św. Anioła Stróża.

nić ich, żeby uczynili, jak sprawiedliwość i miłość bliźniego nakazuje? Kiedy umrę, ojcze, ty wspomnisz o mnie i uczynisz to dla mnie. O, jabym to uczyniła, gdybym mogła...

— Ty nie umrzesz, Ewo! — zawołał pan Saint-Clare głosem pełnym boleści. — O, nie mów tego, dziecię moje! moje wszystko na świecie!

— I dziecię nieszczęsnej Pru było jej wszystkiem na świecie... A ona słyszała krzyk jego i nie mogła mu pomóc! Ojcze, wszakże ci nieszczęśliwi kochają dzieci swoje tak czule, jak ty mnie. Ojcze! pomóż im! I biedna Mami kocha swe dzieci; widziałam, jak gorzko płakała, gdy o nich mówiła. I Tomasz kocha swoich. Czyż to nie bolesne, drogi ojcze, że podobne rzeczy dzieją się na świecie?

— Dość, dość tego, mój aniele! — przerwał z czułością ojciec, — tylko się nie smuć, nie mów o śmierci; wszystko zrobię, co zechcesz.

— Przyrzecz mi, ojcze, że uwolnisz Tomasza, kiedy ja... — nagle urwała, później drżącym głosem dodała: — kiedy ja odejdę tam!...

— Dobrze, mój aniołeczku, uczynię wszystko, wszystko, co tylko zażądasz!

— Najdroższy mój ojcze — mówiła dalej, przykładając swą rozpaloną twarzyczkę do twarzy ojca — o! jakbym ja chciała, żebyśmy razem tam poszli!

— Dokąd, moje dziecię? — spytał Saint-Clare.

— Do mieszkania Ojca naszego; tam dobrze, spokojnie, tam panuje wieczna miłość! — zawołało dziecię jakby o krainie, w której często przebywało. — Ty nie chciałbyś iść ze mną, ojcze mój drogi? — spytała naiwnie.

Saint-Clare milcząco przycisnął ją do swych piersi.

— O! ty przyjdziesz do mnie — zawołała Ewunia głosem pełnym wewnętrznego przekonania, którym tak często bezwiednie mówiła.

— Tak, ja pójdę za tobą! Ja nie mogę żyć bez ciebie.

Zmrok wieczorny coraz to więcej zapadał; Saint-Clare trzymał w milczeniu na kolanach tę słabą istotkę. Nie mógł już widzieć ciemnych oczu dziecięcia, ale słyszał w jej głosie jakby wołanie niewidomego ducha i przeszłe życie jego przedstawiło się przed myślącym jego wzrokiem jakby obraz ostatniego sądu. Słyszał modlitwy i pieśni swej matki, przypomniał sobie młodość i swe dążenia ku dobremu i lata zwątpień i światowego, jak ludzie nazywają, błędnego życia. O, wiele możemy pomyśleć w jednej chwili. I on myślał, przeczuł wiele, bardzo wiele; lecz nie rzekł ani słowa i kiedy zupełnie ściemniało, zaniósł Ewę do sypialni; a skoro ją rozebrano i słudzy odeszli, wziął jedyne swe dziecię znowu na ręce i nosił zanim usnęła.

———o———

ROZDZIAŁ XXV.

Mała zwiastunka szczęścia.

W niedzielę po południu pan Saint-Clare siedząc na werandzie na wygodnem bambusowem krześle, palił cygaro. Żona jego, zasłonięta od natrętnych moskitów przezroczystą gazą, leżała na sofie naprzeciw okna i drzemała, trzymając w ręku, jak tego wymagał dzień niedzielny, prześlicznie oprawną książkę do nabożeństwa, niby to ją czytała.

Panna Ofelja, pojechała z Ewą pod opieką Tomasza w odwiedziny do sąsiedztwa.

— Mój Augustynie — rzekła Marja po chwilowym namyśle — proszę cię, poślij do miasta po mego lekarza Posey: jestem chorą na serce, jestem tego pewną.

— Czyż to koniecznie posyłać po pana Posey? Zdaje mi się, że lekarz, sprowadzony do Ewy, doskonale zna się na swej sztuce.

— W tym przypadku nie mogę mu zawierzyć — odpowiedziała Marja — to rzecz ważna. Ostatnie dwie czy trzy noce rozmyślałam o tem; mam tak okropne boleści...

— To tylko ci się zdaje, moja Marjo; ja nie wierzę w twoją chorobę serca.

— Wiem, że nie wierzysz — odrzekła Marja — tegom się spodziewała. Ty drżysz cały przy najmniejszym kaszlu, przy byle jakiem niedomaganiu Ewy, ale gdy ja... cóż ja cię mogę obchodzić?

— Jeżeli koniecznie chce ci się mieć chorobę w sercu, to dla uczynienia ci przyjemności gotów jestem i w to uwierzyć — rzekł Saint-Clare — przecież dotąd nigdy o tem nie mówiłaś...

— Nie życzyłabym ci jednak, abyś się spostrzegł za późno... Zresztą wierz czy nie, ale smutek mój na widok choroby Ewy i troska o nią rozwinęły we mnie chorobę, którą już od dawna czułam w sobie.

Trudno było w istocie pojąć, w czem mianowicie się okazywała troskliwość Marji względem Ewy. Nad tem właśnie Saint-Clare się namyślił i jako nieczuły mąż najspokojniej palił dalej cygaro, aż nie zajechał pojazd, z którego wysiadły panna Ofelja i Ewa.

Panna Ofelja poszła wprost do swego pokoju, aby według zwyczaju zdjąć kapelusz i szal wprzódy, nim do kogokolwiek przemówi. Saint-Clare przywołał Ewę. Usiadłszy mu na kolanach, zaczęła opowiadać, co widziała i słyszała.

Nagle rozległ się donośny głos z pokoju panny Ofelji, którego drzwi wychodziły także na werandę. Panna Ofelja karciła kogoś.

— Co tam znowu nabroiła Topsy? — rzekł Saint-Clare. — Jestem pewny, że to ona w czemś się spsociła.

Po chwili weszła panna Ofelja, prowadząc za rękę winowajczynię.

— Chodź tutaj, chodź, opowiem wszystko twojemu panu.

— Cóż tam się stało? — spytał Augustyn.

— A to się stało, że odtąd nie chcę dłużej się męczyć tem dzieckiem, to nie do zniesienia! Tego nikt nie wytrzyma. Posłuchaj tylko; zamknęłam ją i kazałam jej uczyć się na pamięć wiersza; a ona podpatrzyła gdzie chowam klucze, otworzyła komodę, wyjęła najpiękniejszy kapelusz i porznęła go na sukienki dla swojej lalki! W życiu mojem podobnej dziewczyny nie widziałam!

— Ja ci mówiłam, kuzynko — przerwała jej Marja — że z temi zwierzętami nie dasz sobie rady. Gdyby to ode mnie zależało — mówiła dalej, zwracając ironiczne spojrzenie na męża, — posłałabym tę dziewczynę do Kalabuzy [1]), aby ją tam porządnie osiekli, ale tak, żeby i powstać nie mogła.

— Nie wątpię o tem — odrzekł Saint-Clare. — Mówi się wiele o szlachetności kobiet, a w życiu mojem nie widziałem nawet pół tuzina takich, coby najmniej, gdyby tylko mogły, nie umęczyły na świecie sługi.

— Twoje żarty na niewiele się zdadzą — odezwała się Marja — kuzynka jest rozsądną kobietą i widzi wszystko tak samo, jak ja.

Panna Ofelja, jak każda troskliwa gospodyni, prędko i łatwo się gniewała, a tym razem tem więcej, gdyż poniosła dość znaczną szkodę. I któż w podobnych przypadkach nie dałby się unieść gniewowi? Lecz słowa Marji chybiły celu i zupełnie ostudziły gniew panny Ofelji.

— Za nic w świecie takbym nie postąpiła — zawołała panna Ofelja. — Ale rzeczywiście, Augustynie, nie wiem, co mam począć... Uczę ją, tłómaczę, karzę często, — nic nie pomaga: jaka była, taka jest.

— Zbliż się tu, Topsy — zawołał Saint-Clare.

Topsy podeszła. Okrągłe, błyszczące jej oczy wyrażały jednocześnie trwożliwość i zwyczajne filuterne usposobienie.

— Cóżeś znowu nabroiła? — spytał Saint-Clare, którego śmieszył wyraz twarzy dziecka.

— To dlatego, że jestem zła — odpowiedziała płaczliwie Topsy. — Panna Ofelja mówi, że to dlatego.

— A czy ty nie widzisz, ile dla ciebie się panna Ofelja poświęcała? Już sama nie wie, co ma z tobą począć...

— Tak, panie. Dawniejsza moja pani toż samo mówiła; biła mnie, och! jak biła! Wyrywała mi włosy i tłukła głową o drzwi, nic jednak nie pomogło. — A chociażby była wyrwała mi wszystkie włosy z głowy i takbym lepszą nie była; już jam taka zła, wszakże ja tylko prosta murzynka!...

— Wyrzekam jej się, — rzekła panna Ofelja — poco mnie taki kłopot.

— Pozwolisz mi jedno uczynić pytanie? — przemówił Saint-Clare.

— Jakie?

— Jeżeli twoje morały nie są w stanie zbawić jednej małej poganki, która ciągle jest w domu, w twojej władzy, nacóż zda się posyłać biednych misjonarzy między tysiące zupełnie podobnych pogan? Wszak to dziecię jest doskonałym wzorem pogan, żyjących za morzami.

Panna Ofelja nic na to nie odpowiedziała. Ewa, która była niemym

[1]) Dom karny.

świadkiem całej tej sceny, skinęła na Topsy i obie weszły do małego pokoiku na końcu werandy, który służył za czytelnię panu Saint-Clare.

— Pójdę zobaczyć, co Ewa z nią zrobi — rzekł Saint-Clare.

Cicho, na palcach zbliżywszy się do drzwi, uchylił firanki i dał znak pannie Ofelii, aby także się zbliżyła. Obie dziewczynki siedziały na ziemi, przodem do drzwi. Topsy ze zwykłym wyrazem nieoględnej wesołości; Ewa, przeciwnie, z głębokiem uczuciem na twarzy, ze łzami w oczach.

— Dlaczegoś ty taka zła, Topsy? dlaczego nie sprobujesz być dobrą? Czy nikogo nie kochasz Topsy?

— Kogoż mam kochać? Ja lubię lodowaty cukier i inne dobre rzeczy! — odrzekła Topsy.

— Jednak ty kochasz swego ojca, matkę?

— Ja ich nigdy nie miałam, wszakże panna Ewunia wie o tem.

— Tak, wiem — odpowiedziała smutnie Ewa. — Lecz czyż nie masz ani brata, ani siostry, ani ciotki, ani...

— Nie mam nikogo, — przerwała Topsy, nigdy nie miałam.

— Jednak, moja Topsy, żebyś się postarała być dobrą, tobyś mogła...

— Ja nie mogę być niczem więcej, jak murzynką, choćbym była najlepszą — odpowiedziała Topsy. — Żebym ja mogła zedrzeć z siebie tę czarną skórę i zostać białą, o! wówczas rzecz zupełnie inna,

— Jednak ciebie można kochać, nie zważając, żeś czarna, Topsy; panna Ofelja kochałaby cię, gdybyś była dobrą.

Śmiech urywany, którym zwyczajnie okazywała swe niedowierzanie, był całą odpowiedzią Topsy.

— Nie wierzysz? — spytała Ewa.

— Nie, nie wierzę; ona mnie nienawidzi, bo ja czarna. Dotknie się prędzej żaby, niż mnie. Nikt nie może kochać murzynów, ale co to mnie może obchodzić...

Topsy zaczęła świstać.

— O Topsy, biedna ty moja, ja ciebie kocham! — zawołała Ewa z silnem uczuciem, kładąc swą małą, delikatną, białą rączkę na ramię Topsy. — O, tak! ja kocham ciebie, boś ty nie miała ani ojca, ani matki, ani przyjaciół, boś ty biedna, skrzywdzona dziewczynka; kocham ciebie i chcę, abyś była dobrą. Ja bardzo jestem chora, moja Topsy, niedługo już, jak sądzę, pożyję; mnie tak przykro patrzeć na to, żeś niedobra. Bądź dobrą przez miłość dla mnie. Ja niedługo będę z tobą, Topsy!

Okrągłe, pojętne oczy małej murzynki napełniły się łzami; duże, ciężkie krople powoli się toczyły i padały na białą rączkę Ewy. Była to chwila stanowcza. Promień wiary, boskiej prawdy padł w głąb pogańskiej duszy! Położyła głowę na kolana Ewy i wzruszona zaczęła rzewnie płakać, a prześliczne dziewczę nachylone nad nią, zdawało się być jasnym aniołem, zesłanym z nieba dla jej podniesienia.

— Biedna, droga Topsy, czyż nie wiesz, że Zbawiciel nasz kocha zarówno wszystkich? — spytała Ewa. — On kocha ciebie o wiele więcej, niż ja cię kochać mogę, stokroć razy więcej, dlatego,, że jest nieskończenie dobrym, że jest Bogiem. On ci dopomoże być dobrą i ty

możesz pójść do nieba i zostać aniołem, choć nie jesteś białą. Pomyśl o tem, moja Topsy, ty możesz być jednym z tych szczęśliwych i jasnych duchów, o których wuj Tomasz tak prześlicznie umie opowiadać.

— O droga, najdroższa panno Ewunio! — zawołała rozczulona Topsy — poprobuję być dobrą. Do tej pory nie myślałam o tem.

Saint-Clare spuścił zasłonę.

— To mi przypomina matkę moją — rzekł zwracając się do Ofelji — prawdę mówiła: że jeżeli chcemy ślepym przywrócić wzrok, tośmy powinni czynić to co Chrystus, przywołać ich do siebie i włożyć na nich ręce.

— Miałam zawsze wstręt do murzynów — mówiła panna Ofelja — to prawda, nigdym nie mogła się zdecydować, aby dotknąć się tej dziewczyny; alem nie sądziła, aby mogła to zauważyć.

— Ukryć tego przed dziećmi — powiedział Saint-Clare — niepodobna. A jestem nawet pewny, że jeśli w głębi twej duszy jest choć mała iskra odrazy do dziecka, to żadne starania, żadne usługi, żadna pomoc nie obudzi w niem wdzięczności. To może się wydawać dziwnem, ale tak jest.

— Cóż ja na to poradzę? — rzekła panna Ofelja. — Ja ich wszystkich nie lubię, a szczególniej tej dziewczyny. Nie mogę uniknąć wrażenia, jakie na mnie murzyni robią.

— A jak postąpiła Ewa?

— Tak!... ale bo ona taka kochająca. Ona postępuje bardzo prosto, lecz w duchu prawdziwie chrześcijańskiem... O! pragnęłabym być jej podobną — rzekła panna Ofelja. — Dała mi dobrą naukę.

— Bardzo ślicznie — rzekł Saint-Clare. — Nieraz Bóg zsyła maje dzieci, aby uczyły starszych.

———o———

ROZDZIAŁ XXVI.

Śmierć.

Sypialnia Ewy, był to duży pokój, jak wszystkie inne w tym domu; mieściła się pomiędzy sypialnią panny Ofelji a pana Saint-Clare i wychodziła również na werandę. Pan Saint-Clare przyozdobił pokoik Ewuni według swego własnego gustu, odpowiednio do wieku i usposobienia tej, dla której był przeznaczony. Okna były zawieszone różowym i białym muślinem; posadzka pokryta wydanem roboty paryskiej, według wzoru jego własnego pomysłu; w pośrodku znajdowała się wyszyta śliczna róża, dokoła otaczał ją szlak z pączków róż i lilij, tworząc ozdobną girlandę. Łóżko, krzesła i fotele bambusowe. Nad głową, na wystającym alabastrowym murku, stała prześliczna statua anioła z rozwiniętemi skrzydłami, z mirtowym wiankiem w wyciągniętych rękach; od wianka w lekkich fałdach spadała zasłona z różowej gazy, wyszytej srebrem, dla ochrony od moskitów, co jest niezbędnem w tym

klimacie. Ponad różowemi jedwabnemi poduszkami, ozdabiającemi prześliczny bambusowy fotel, wzniosiły się figury, trzymające podobne zasłony. W pośrodku pokoju stał misterny, lekki bambusowy stół, na nim marmurowa waza w formie wielkiej lilji z pączkami, zawsze pełna kwiatów. Na nim leżały książki Ewy, różne jej cacka i prześliczny pulpit ze słoniowej kości; ojciec dał go jej w prezencie, gdy zauważył, że Ewa pilniej zaczęła się uczyć pisać. Nad kominkiem, na marmurowej desce stał prześlicznie rzeźbiony Chrystus, przyzywający dzieci ku sobie, a po bokach marmurowe wazony. Tomasz przynosił codziennie z największą przyjemnością świeże bukiety i kładł je w wazony. Na ścianach wisiały dwa czy trzy obrazy, przedstawiające dzieci w różnych postawach. Jednem słowem, wszystko nosiło tam charakter, piękna i niewinności dziecięcej. Przebudziwszy się z rana, oczy Ewy spotykały same przedmioty, mogące w jej duszy obudzić li tylko uczucia spokojne, myśli wzniosłe.

Zwodnicze uczucie sił prędko zaczęło znikać, coraz rzadziej widziano ją przechadzającą się po galerji, coraz częściej widywano ją leżącą na kanapie przy otwartem oknie, ze zwróconemi oczami na igrające fale jeziora.

Pewnego wieczora, gdy podobnie spoczywała na kanapie, trzymając delikatne paluszki między kartami wpółotwartej książki, usłyszała głos rozgniewanej matki.

— A to co znowu? — wołała Marja. — Tyś się ośmieliła rwać kwiaty? — I słychać było silne uderzenie.

— O Boże! to dla panny Ewuni — odpowiedział głos inny, był to głos Topsy.

— Dla panny Ewuni? Doskonała wymówka! Cóż ona będzie robiła z twojemi kwiatami? Ach, ty przeklęta murzynko! Precz stąd!

W tej chwili zerwała się Ewunia z kanapki i pobiegła na balkon.

— Nie gniewaj się, droga mamo! Jam bardzo rada tym kwiatkom; oddaj mi je, są mi potrzebne...

— Jakto, Ewo, w twoim pokoiku dosyć kwiatów.

— Ja kocham kwiatki... Topsy, daj mi je.

Mała murzynka, stojąca opodal ze spuszczoną smutnie głową, podeszła i oddała kwiaty. W jej całej postawie było coś niepewnego, niezwykłego w całem jej kiedyindziej hardem, niedbałem usposobieniu.

— Jaki prześliczny bukiet — rzekła Ewa, przypatrując się kwiatom. Raczej był on oryginalnym niż pięknym. Pośród jaskrawo-ponsowych geranji wyglądała biała kamelja ze swemi połyskującemi liśćmi. Widocznie ten sam dziwaczny gust, który się odznaczył w doborze tak sprzecznych z sobą kolorów, przewodniczył w starannem ułożeniu każdego liścia.

— Jak widzę, Topsy, masz dobry gust w doborze kwiatów. Oto próżny wazon — mówiła dalej Ewa — proszę cię, przygotuj codziennie świeży bukiet.

Topsy była oczarowana temi słowami.

— A to dziwaczna myśl — rzekła Marja — i powiedz naco ci tyle kwiatów?

Topsy weszła do pokoju i podała kwiatki Ewuni.

— Lubię kwiatki, a tobie, moja mamo, pewnie wszystko jedno, kto kwiatków nazrywa?

— Z pewnością. Topsy, słyszysz, co twoja młoda pani mówi?... Pamiętaj, byś pilnie spełniała jej polecenie.

Topsy ukłoniła się, spuściła oczy i gdy się odwróciła, aby odejść, spostrzegła Ewa, jak po jej czarnej twarzy potoczyły się łzy.

— Widzisz, droga mamo, byłam pewna, że biedna Topsy chciała coś dla mnie zrobić — rzekła Ewa półgłosem do swej matki.

— Co za dzieciństwo! To była tylko swawola. Ona wie, że jej nie wolno zrywać kwiatów, a więc rwie. Lecz jeżeli taka twoja fantazja, żeby ogałacała klomby, niech i tak będzie.

— Mamo, mnie się zdaje, że Topsy nie jest taką, jaką była dawniej, stara się być dobrą.

— Jeszcze jej do tego daleko! — rzekła z szyderczym uśmiechem Marja.

— Ale biedna Topsy przez całe swe życie nie spotkała nikogo przychylnie dla siebie usposobionego.

— U nas czyni się dla niej wszystko, co tylko zrobić można, a jednak jest zła i taka pozostanie.

— Ale mamo! pomyśl, jaka to różnica w mojem a jej wychowaniu. Mnie otaczało tylu przyjaciół, krewnych, którzy o tem tylko myśleli, aby mnie uczynić dobrą i szczęśliwą; a biedna Topsy, nim się tu dostała, była zupełnie opuszczoną.

— Być może — rzekła poziewując Marja. — Ach mój Boże, jakże gorąco!

— Mamo, wszak ty wierzysz, że Topsy mogłaby się stać tak jak i my aniołem, gdyby tylko była chrześcijanką?

— Topsy aniołem! — spytała z zadziwieniem Marja. — Dziwaczne myśli! podobne myśli chyba tylko tobie mogą przyjść do głowy!

— Ale, moja mamo, czyż Bóg nie jest również jej ojcem jak i nam? Czyż Chrystus Pan i dla niej na krzyżu nie umarł?

— Być może, Bóg zapewne wszystkich stworzył — rzekła Marja. — Gdzie mój flakonik?

— O szkoda, wielka szkoda, — westchnęła Ewunia, patrząc na jezioro.

— Czego szkoda! — spytała Marja.

— Tego, że jest istota, którąby mogła być aniołem i żyć z aniołami, a jednak upada... upada coraz głębiej... i nikt jej nie poda ręki. O Boże mój!...

— Ponieważ nie możemy zaradzić temu, nie powinniśmy się tem dręczyć. Według mnie, niema na to lekarstwa. Powinniśmy być Bogu wdzięczni za nasze przywileje...

— Nie rozumiem, co to są przywileje — odrzekła Ewa. — Boli mnie, gdy myślę o tych biednych istotach, które nie mają tego, co im się słusznie należy.

— Dziwne dziecię! Religja uczy nas używać nadanych nam przywilejów i być wdzięcznemi za nie.

— Chciałabym, mamo moja, — aby mi ustrzyżono włosy.

— Naco? — spytała Marja.

— Chciałabym rozdzielić między moich przyjaciół, póki sama mogę jeszcze to uczynić, proszę poprosić ciotkę, aby mi je ustrzygła.

Marja zawołała pannę Ofelję z przyległego pokoju.

Skoro przywołana weszła, dziewczę powstało z poduszki a trzęsąc zwojami ciemno-złotawych włosów, rzekło żartobliwie:

— Moja ciociu, chodź, proszę, ostrzyż owieczkę.

Panna Ofelja podeszła z nożyczkami w ręku.

— Ostrożnie, nie zepsuj! — rzekł ojciec — podstrzyż z dołu, aby nie było widać. Jestem dumny na złociste sploty mojej Ewy.

— Ojczulku! — zawołała Ewa smutnie.

— Chciałbym je zachować w całej piękności — rzekł wesoło Saint-Clare, gdyż pojedziemy z tobą, mój aniołku, na plantacje stryja, do kuzyna Henryka.

— O nie! już tam nie pojadę; pojadę w inne, lepsze kraje, wierzaj mi, ojcze. Czyż nie widzisz, że codzień więcej upadam na siłach?

— Ewo! niebaczna Ewo! poco mi to mówisz? — zawołał z boleścią ojciec.

— Dlatego, mój ojcze, że to jest prawdą i gdybyś temu uwierzył, być może, że myślałbyś o tem z uczuciem, jakie jest we mnie, gdy patrzę tam!...

Saint-Clare boleśnie zacisnąwszy usta, patrzał smutnie na długie, prześliczne kędziory, które jedne po drugich podstrzyżone, układały się na kolanach Ewy. Brała je z uwagą, przyglądała im się, nakręcała na swoje chude paluszki, rzucając trwożliwe wejrzenie na ojca.

— Wszakże to przepowiadałam — jęknęła Marja. — To właśnie ruinuje moje zdrowie coraz to więcej, a nakoniec doprowadzi mnie do grobu. Od dawna sarałam się zwrócić twą uwagę, Saint-Clare, na to; a teraz sam ujrzysz, żem miała słuszność.

— I zapewne będziesz z tego bardzo rada! — powiedział oschle Saint-Clare.

— Marja położyła się w fotelu i zakryła oczy batystową chustką.

Ewa spoglądała na przemian to na ojca, to na matkę. Był to spokojny wzrok duszy w pół oswobodzonej od ziemskich więzów. Widać w nim było, o ile czuła i oceniła różnicę między ojcem i matką.

Dała znak ręką ojcu, który się przybliżył i usiadł przy niej.

— Ojcze mój drogi, siły mię coraz więcej opuszczają; czuję, że wkrótce umrę. Mam wiele do powiedzenia a ty nie chcesz słyszeć i słowa jednego. — To jednak musi nastąpić, nie można dłużej zwlekać. Gdybyś pozwolił, wypowiedziałabym ci to natychmiast.

— O moje dziecię, mów! — zawołał Saint-Clare głosem rozdzierającym, zakrywając jedną ręką oczy, a drugą ściskając dłoń Ewy.

— Dzięki ci, ojcze! Chciałabym, aby wszyscy słudzy się zebrali. Mam im wiele do powiedzenia — rzekła Ewa.

— Dobrze — rzekł Saint-Clare, ukrywając głęboką rozpacz.

Panna Ofelja posłała po służbę i wkrótce wszyscy się zeszli.

Ewa leżała na poduszce, włosy jej swobodnie błądziły po twarzy, której różowe jagody tworzyły dziwną i zarazem smutną sprzeczność

z cerą zadziwiającej białości; jej duże błękitne oczy, w których cała dusza się wyrażała, patrzyły uważnie na przytomnych.

Słudzy stali głęboko rozczuleni. Anielskie lica dziewczęcia, długie kędziory ustrzyżonych włosów, leżące na jej kolanach, smutna twarz pana Saint-Clare, łkanie Marji, wszystko to razem silnie działało na czułe

Saint-Clare przy łożu Ewuni.

serca zebranych. Spoglądali po sobie, wzdychali, kiwali smutnie głowami — głęboka cisza zaległa komnatę.

Ewa podniósłszy się trochę, poważnym wzrokiem obejrzała przytomnych, na wszystkich twarzach widać było smutek. Niektóre kobiety zakrywały twarz fartuchami.

— Wezwałam was, mili przyjaciele — rzekła Ewa, — bo was kocham, kocham was wszystkich i co wam powiem, błagam was, nie zapominajcie nigdy... Wkrótce odejdę, opuszczę was. Jeszcze kilka tygodni, a już mnie więcej z wami nie będzie.

Westchnienia, łkania i jęki zebranego tłumu przerwały wyrazy i zagłuszyły jej głos. Wstrzymała się na chwilę; później głosem zniewalającym tłum do uspokojenia się, zaczęła dalej mówić:

— Jeżeli tak mię kochacie, nie przerywajcie więc. Słuchajcie mnie. Chcę z wami pomówić o duszach waszych... Drżę na myśl, że wielu z was nie myśli o tem, zajmuje się tylko doczesnością... Proszę was, przypomnijcie sobie, że jest inny świat cudowniejszy, mieszkanie Chrystusa. Idę tam, i wy tam pójdziecie. Ale jeżeli chcecie tam przyjść, nie prowadźcie życia próżniaczego, obojętnego, bezmyślnego; trzeba, abyście zostali chrześcijanami... Pamiętajcie, że każdy z was może przyjść do raju... Jeżeli chcecie być chrześcijanami, Matka Najświętsza wam dopomoże do tego... proście Ją o to...

Na chwilę się wstrzymała i wzrokiem pełnym litości spojrzawszy na nich, mówiła dalej:

— O drodzy moi! wy nie umiecie czytać; o, wy biedni moi! — i ukrywszy twarz w poduszki, zaczęła płakać. Łkania przytomnych, powstrzymane przed chwilą, nagle z większą siłą wybuchły.

— Nie — zawołała nagle, podnosząc główkę i uśmiechając się przez łzy. — Jam się modliła za was, Pan Jezus pomoże wam, choć i nie umiecie czytać. Starajcie się postępować, jak można najlepiej... módlcie się... wołajcie do Zbawiciela i Matki Najświętszej o pomoc.

— Wiem — rzekła Ewa — że mnie kochacie.

— O tak, tak, droga panno Ewo; niech cię Bóg błogosławi — zawołali wszyscy jednogłośnie.

— Byliście dla mnie bardzo dobrzy. Chcę więc zostawić pamiątkę, dam wam moje włosy; patrząc na nie, przypomnijcie sobie, że was kochałam.

Nie podobna opisać sceny, jaka nastąpiła po tych słowach. Wszyscy murzyni ze łzami w oczach i głośnem łkaniem otoczyli drogą dzieweczkę dla przyjęcia z rąk jej ostatniego dowodu jej miłości. — Klękali, płakali, modlili się i całowali jej suknię. Starcy obsypywali ją serdecznemi słowy, modląc się za nią i błogosławiąc jej.

Panna Ofelja, lękając się złych skutków podobnej sceny, każdemu, skoro otrzymał swój podarunek, dawała znak ręką, aby wyszedł z pokoju.

Wszyscy wyszli, prócz Tomasza i Mami.

— Wuju Tomaszu — rzekła Ewunia — patrz jaki śliczny kędzior ci przygotowałam. Jakżem szczęśliwa, wuju Tomaszu, gdy pomyślę, że ujrzę ciebie kiedyś w niebie. O tak, ty tam przyjdziesz! i Mami, moja dobra, kochana Mami! — dodała z czułością, obejmując starą swoją piastunkę — mam nadzieję, że się kiedyś u Boga znowu zobaczymy.

— O, Ewunio! jakże będzie mogła żyć stara Mami, gdy ciebie nie będzie — zawołała staruszka. — Z tobą pójdzie wszystko do grobu i w domu będą pustki! — I zalała się gorzkiemi łzami.

Panna Ofelja, wyprawiwszy ją i Tomasza, sądziła, że już wyszli wszyscy; lecz zdziwiła się niezmiernie, gdy spostrzegła Topsy.

— A ty tu skąd? — spytała.

— Ja tu byłam — odrzekła Topsy, ocierając łzy, które zaciemniały

jej wzrok. — Ach panno Ewunio, ja byłam zła... czyż mnie już nic nie da panna Ewunia?

— A jakże, biedna Topsy, dam! Oto dla ciebie, skoro spojrzysz na to, pomyśl, że cię kochałam i pragnęłam, żebyś była dobra.

— O panno Ewunio, staram się być dobrą! — odpowiedziała Topsy z uczuciem. — Tylko to tak trudno, mój Boże, nie przywykłam do tego!...

— Pan Bóg ci dopomoże.

Topsy cicho wyszła z pokoju, zakrywając oczy fartuszkiem i chowając tak drogi podarunek na piersiach.

Kiedy wszyscy wyszli, panna Ofelja zamknęła drzwi. W czasie tej sceny sama nieraz łzy ocierała, chociaż przemagającem w niej uczuciem była bojaźń o szkodliwy wpływ tak rozczulającej sceny na zdrowie małej chorej.

— Ojcze — rzekła Ewa cicho, dotykając jego ręki.

Biedny ojciec zadrżał i nic nie odpowiedział.

— Drogi ojcze! — powtórzyła Ewa.

— Nie przeżyję tego! — rzekł Saint-Clare, wstając z krzesła. — Nie! to być nie może! Bóg za ciężko mnie doświadcza! — zawołał jeszcze z większą boleścią w głosie.

— Augustynie! czyż Bóg nie jest panem Swego stworzenia? — przemówiła panna Ofelja.

— Być może, ale to ulgi wcale nie przynosi! — odrzekł Saint-Clare z głęboką boleścią.

— Mój drogi ojcze, ty mi serce rozrywasz! — rzekła Ewa, rzucając się w objęcia ojca. — Nie powinieneś tak mówić! — I zapłakała gwałtownie. Myśli ojca przyjęły inny kierunek.

— No, Ewo, tylko uspokój się. Moja wina, źlem mówił... jam grzeszny... Będę myślał i robił, jak tylko zechcesz, ale się nie rozczulaj, nie płacz — poddam się losowi.

Ewa, jak zmęczony gołąbek, położyła głowę na piersiach ojca, który pochylony nad nią, starał się ją uspokoić najczulszemi pieszczotami.

Marja wstała, wyszła pospiesznie do swego pokoju, gdzie się poddała atakowi swej zwyczajnej chorobie nerwów.

— A mnieś nie dała, moja Ewo, włosów — rzekł ojciec z bolesnym uśmiechem.

— One wzsystkie twoje — odrzekła, uśmiechając się — twoje i mamy; daj także cioci, ile zechcesz. Naszym służącym sama rozdałam, bo o nich moglibyście zapomnieć, gdy mnie już nie będzie; uczyniłam to także dlatego, aby łatwiej przypomnieli sobie, że jest jeszcze inne życie... A ty ojcze, tyś chrześcijanin, wszakże tak? — dodała z lekkiem powątpiewaniem.

— Dlaczego się pytasz o to?

— Bo sama nie wiem. Aleś ty taki dobry, ojcze, że nie możesz nie być chrześcijaninem.

— Lecz co to znaczy być chrześcijaninem, moja Ewo?

— Kochać Boga nade wszystko — odpowiedziało dziewczę.

— I ty go tak kochasz?

— O! bez wątpienia!

— Tyś go nigdy nie widziała? — spytał ojciec.

— A cóż to może przeszkadzać — odrzekła Ewa. — Wierzę w Niego i wkrótce go ujrzę!

Na twarzyczce jej widać było promienną radość. — Saint-Clare zamilkł. Już dawniej widział objawy podobnych uczuć u swej matki, tylko że wówczas serce jego było na nie głuche.

Od tej chwili Ewa coraz widoczniej traciła siły, nie było wątpliwości, że niema nadziei jej uratowania. Śliczny jej pokoik zamienił się w izbę szpitalną, a panna Ofelja dzień i noc czuwała przy łóżku chorej i wszyscy jednogłośnie jej przyznawali nieocenione zdolności w tym względzie. Stała się niezbędną. Umiała zastosować do chorej rady lekarza, była punktualną w wykonywaniu jego rozporządzeń, nie uchybiła w tym względzie ani o źdźbło. Na niej jednej Saint-Clare z całą ufnością polegał. Ci, którzy poprzednio ruszali ramionami, pomawiając ją o dziwactwa i przyzwyczajenia tak sprzeczne z wolnemi zwyczajami południa, musieli wyznać, że tu właśnie nikt jej nie potrafiłby wyręczyć.

Wuj Tomasz często był przy chorej, która cierpiąc na silne rozdrażnienie nerwów ,czuła wielką ulgę, kiedy ją noszono na rękach. Dla Tomasza było to największem szczęściem, gdy mógł nosić drogi skarb po pokoju lub galerji. A kiedy od jeziora wiał orzeźwiający wietrzyk i Ewa od rana czuła się silniejszą, Tomasz wynosił ją do ogrodu i chodził z nią pod cieniem pomarańczowych drzew, lub siadał w jakiem miejscu przez nią ulubionem.

Nosił ją i ojciec; ale będąc mniej silnym, prędko się męczył. Ewunia mawiała wtenczas:

— Ojczulku, pozwól Tomaszowi mię nosić. Biedny, kochany Tomasz! to jemu sprawia tyle szczęścia, a teraz jedynie tem może mi się przysłużyć; a przecież wiesz, ojczulku, jak chętnie służy.

— I ja także, moja Ewo — rzekł ojciec — pragnę cię nosić.

— Ojcze, ty możesz robić wszystko, co ci się podoba, jesteś ciągle ze mną; czytasz mi, czuwasz przy mnie w nocy, a Tomasz może mnie tylko nosić. A przytem czuję, że jemu lżej mnie nosić niż tobie, bo jest silny.

I niejeden Tomasz tak gorąco pragnął być użytecznym Ewie, każdy z domowych czuł tę konieczną potrzebę i biegł z usługą, jak tylko mógł.

Serce biednej Mami wyrywało się do tego miłego dziecięcia, ale nie mogła odejść od Marji, która wmawiała w siebie coraz to nowe choroby; po kilkanaście razy budziła w nocy biedną Mami, kazała nacierać sobie nogi, lub zwilżać głowę świeżą wodą, szukać chustki do nosa, lub dowiadywać się co za przyczyna szumu dolatującego z pokoju Ewy: kazała zapuścić firanki, bo raziło ją światło, to znowu podjąć je, gdyż było za ciemno. We dnie, kiedy Mami się wyrywała, by czemkolwiek usłużyć swej wychowanicy, Marja z dziwną zręcznością wynajdywała dla niej jakie zatrudnienie, lub zajmowała swą własną osobą, tak że biedna Mami widywała Ewę tylko ukradkiem.

— Za najświętszy swój obowiązek uważam szanowanie swego zdrowia — mówiła Marja; — bo choć jestem słabą, jednak wszystkie

Tomaszowi sprawiało największą rozkosz móc nosić Ewunię na rękach.

kłopoty i czuwania, jakich wymaga choroba tego miłego dziecięcia, leżą na mnie.

— Sądziłem, że nasza kuzynka — odrzekł Saint-Clare — uwolniła ciebie od tego kłopotu.

— Mówisz, jak każdy mężczyzna; jakby matka mogła się kim wyręczyć w troskliwości około swego dziecka w podobnem położeniu! Ty nie pojmujesz, ile ja cierpię; nie mogę być tak obojętną, jak ty...

Saint-Clare roześmiał się. Darujcie mu, że mógł się jeszcze śmiać. Spokojne były ostatnie chwile pielgrzymki tej młodej duszyczki; lekki, boski podmuch gnał łódkę ku niebieskiej przystani. Niepodobna było wierzyć w przybliżającą się śmierć. Dziecię nie czuło żadnej boleści, tylko cichą, niewidomie zwolna zwrastającą słabość. Widząc ją tak czarującą, przepełnioną miłością, wiarą i nadzieją lepszego szczęścia, nikt nie mógł się oprzeć wpływowi tej czystej, pełnej spokoju atmosferze, która ją otaczała. Saint-Clare uczuł w swej duszy jakiś dziwny spokój. Nie była to nadzieja, bo już jej być nie mogło, nie było też poddania się, lecz spokojne przejęcie się teraźniejszością, tak, że nawet nie myślał o przyszłości. To słodki odpoczynek, jaki się czuje w jesieni, gdy wpośród wielkiego, cichego lasu, patrząc na drgające różowo lśniące liście, na ostatnie kwiatki pochylone nad brzegiem ruczaju, dusza się napawa rozkoszą, a tem chętniej, iż czuje, że prędko, bardzo prędko uschną.

Ewunia zwierzała się najchętniej Tomaszowi, swemu przyjacielowi, który ją tak często nosił. Mówiła mu i to, czegoby nie powiedziała ojcu, bojąc się go zatrwożyć. Powierzała te tajemnicze, prorocze przeczucia, jakie drgają w duszy, w miarę, jak węzły łączące ją z ciałem zaczynają słabnąć i dusza gotuje się do opuszczenia swego ziemskiego więzienia.

Tomasz przestał nocować w swoim pokoiku, przepędzał noce na werandzie, gotów na każde zawołanie.

— Ojcze Tomaszu, co za dziwna fantazja u ciebie — spać byle gdzie jak pies — rzekła panna Ofelja. — Sądziłam, że jako człowiek porządny, lubisz wygodnie, na posłaniu.

— Tak, pani, dawniej — odpowiadał tajemniczo Tomasz — dawniej!... lecz teraz...

— No i cóż takiego jest teraz?

— Mówmy ciszej, pan Saint-Clare nie powinien tego słyszeć, bo to wie pani, że trzeba, aby ktokolwiek był w pogotowiu, gdyby Pan Bóg powołał...

— A czyż ci, Tomaszu, Ewunia mówiła, że jej gorzej?

— Nie, lecz dziś rano powiedziała, że bliski jest czas...

Było to około godziny jedenastej wieczorem, gdy panna Ofelja, skończywszy wszystkie przygotowania na noc, chcąc zamknąć zewnętrzne drzwi, ujrzała Tomasza leżącego na progu.

Panna Ofelja nie była zbyt wrażliwych nerwów, jednak głos Tomasza pełen powagi i szczerości zastanowił ją.

Ewunia była przez cały wieczór weselszą niż zwykle; siedziała na swej pościółce, przeglądała wszystkie swoje małe bogactwa i przeznaczała każdemu ze swych przyjaciół tę lub ową drobnostkę. Od dawna nie była tak ożywioną, nie miała głosu tak silnego i naturalnego.

Ojciec uszczęśliwiony, że ją widział weselszą niż kiedykolwiek w czasie choroby, gdy na dobranoc ją uścisnął, zwrócił się do panny Ofelji: „Kuzynko! — zawołał — my ją jeszcze uratujemy; jej znacznie lepiej". I poszedł na spoczynek z taką radością, jak nigdy przedtem.

Ale o północy! — cudowna to, tajemnicza chwila, kiedy zasłona między znikomą teraźniejszością i wieczną przyszłością się przedziera... — O północy posłaniec z Nieba nawiedził ten dom.

W pokoju Ewy dały się słyszeć pospieszne kroki panny Ofelji. Strwożona słowami Tomasza, postanowiła przesiedzieć całą noc przy chorej; o północy dostrzegła to, co doświadczone, czuwające przy chorych osoby, nazywają kryzysem. Drzwi na zewnątrz wiodące otworzyły się i Tomasz w mgnieniu oka był już na nogach.

— Biegnij po lekarza, Tomaszu! nie trać ani chwili! — wyrzekła panna Ofelja i równocześnie zapukała cicho do drzwi pana Saint-Clare.

— Kuzynie — zawołała — proszę cię!

Słowa te padły na serce pana Saint-Clare jak żarzewie. I w tejże chwili biedny ojciec stanął pochylony nad śpiącą Ewunią.

Serce jego oblał chłód śmiertelny. Dlaczego ani on, ani panna Ofelja nie rzekli ani słowa? Odpowiedzcie, którzyście widzieli coś podobnego na twarzach wam miłych, drogich osób, którzyście widzieli wyraz niedający się opisać, niedopuszczający najmniejszego wątpienia, zabijający wszelką nadzieję, a który wyraźnie mówi, że ukochana istota już nie należy do was.

Nie było nic przykrego na tej anielskiej twarzyczce; rozlał się na niej wyraz nadziemskiej potęgi, zwiastun obecności posłańca nieba, przedświt wiernego przejścia dla tej niewinnej duszyczki.

Panna Ofelja i Saint-Clare stali z wzrokiem na nią zwróconym, z taką martwą cichością, że uderzenie wahadła zegaru było zanadto głośnem? — Po kilku minutach Tomasz przyprowadził lekarza. Wszedł on, spojrzał i stanął niemy, nieruchomy jak i inni.

— Kiedy nastąpiła ta zmiana? — spytał nakoniec cicho panny Ofelji.

— Około północy!

Marja, obudzona przyjściem lekarza, wbiegła przestraszona do pokoju Ewy.

— Augustynie! kuzynko! cóż się dzieje? — zawołała.

— Ciszej! — rzekł Saint-Clare głosem pełnym boleści. — O n a u m i e r a!

Słysząc te słowa Mami, pobiegła zbudzić służbę. Wkrótce wszyscy byli na nogach. Migały ognie, rozlegały się stąpania, strwożone twarze tłoczyły się na werandzie; wszyscy z płaczem zaglądali przez oszklone drzwi. — Saint-Clare nic nie widział, nic nie słyszał, wzrok i uwaga jego były zajęte tą dziwną zmianą w twarzyczce śpiącego dziewczęcia.

— O! gdyby choć raz jeszcze otworzyła oczka... raz jeszcze przemówiła... choć raz jeden! — rzekł, a schylony nad nią, szeptał jej do ucha: Ewunio! aniołku!

Otworzyła swe błękitne oczy, — po jej twarzyczce przebiegł uśmiech. Podniosła główkę i usiłowała coś powiedzieć.

— Czy poznajesz mię, Ewunio?

— Miły, drogi ojcze — wymówiła z miłością i objęła ojca za szyję; lecz rączki jej natychmiast opadły i gdy Saint-Clare podniósł jej główkę, ujrzał na twarzyczce wyraźnie przedśmiertną walkę. Usiłowała jeszcze westchnąć, wyciągała swe drobne rączki.

— O mój Boże, jak to okropnie! — zawołał ojciec odwracając się i bez pamięci schwyciwszy rękę Tomasza, silnie ją ścisnął. — O mój Tomaszu, to mnie zabija!

Tomasz wziął ręce swego pana i trzymał je w swoich; łzy potoczyły się z oczu zwróconych ku niebu; oczekiwał pomocy z góry, gdzie zawsze jej szukał.

— Módl się, aby to trwało niedługo! — zawołał Saint-Clare, — a! to okropne!

— Chwała niech będzie Stwórcy! już przeszło, wszystko się skończyło, mój miły panie! — rzekł Tomasz. — Spojrzyj pan.

Dziecię wpół zemdlałe, zaledwie oddychające, leżało na poduszkach; jej wielkie, jasne nieruchome oczy, zwrócone były w niebo a tyle w wzroku tym było blasku, tyle tajemniczości, że pod jego wrażeniem ustały nawet bolesne łkania. Wszyscy się zgromadzili wokoło w głębokiem milczeniu.

— Ewo! — rzekł Saint-Clare cicho.

Ona nie słyszała.

— Ewo moja, powiedz, co ty widzisz?... Co widzisz? — pytał ojciec.

Anielski uśmiech opromienił jej lica i rzekła urywanym głosem:

— O!... Jezus... Marja... Józef!...

Westchnęła i przeszła przez śmierć do nowego życia!

Żegnaj nam, miłe dziecię! jasne drzwi wiodące do nieśmiertelności zamknęły się za tobą, nie ujrzymy cię już więcej. Biedni, którzy byli świadkami twego zgonu; dla nich pozostały łzy i smutek.

———o———

ROZDZIAŁ XXVII.

Tak się kończy wszystko, co jest ziemskie.

Obrazy i biusty w pokoju Ewy obwinięto w białe zasłony. Poważną ciszę przerywały czasami tylko ciężkie westchnienia i ostrożne stąpania. Przez gęste żaluzie światło z trudnością tylko wkradało się do pokoju.

Na łóżku biało pokrytem, pod statuą pochylonego anioła, spoczywała mała istotka, snem wiecznym. Leżała w prostej białej sukience, którą zwykle za życia nosiła. Promień światła przedarłszy się przez różowe zasłony, rzucał trochę ciepła na śmiertelną bladość twarzy, głowa trochę się skłoniła na bok, jak w zwyczajnym śnie; lecz każdy rys tej niewinnej istotki był nacechowany wyrazem niebieskim, — tem po-

łączeniem zachwytu i spokoju, który wymownie świadczy, że to nie ziemski, czasowy sen, ale długi odpoczynek, aż Bóg sam przez swego Anioła zeń nie zbudzi.

Saint-Clare stał przed zwłokami córki ze skrzyżowanemi rękoma, pogrążony w smutku; któż odgadnie, gdzie myśli jego błąkały. Od tej chwili, kiedy w pokoju umierającej wymówiono słowo „umarła", wszystko dla niego oblekło się kirem żałoby; ciężki smutek, przytłaczający myśl, owładnął nim całym. Słyszał naokoło siebie głosy, pytania; zapytywano go, kiedy pogrzebią ciało i gdzie, odpowiadał, że mu wszystko jedno.

Adolf i Róża ubierali pokój; zwykle trzpiotowaci, dziś do głębi byli rozczuleni i smutni.

Na wszystkich półkach stały białe kwiaty, rozkoszne, pachnące z prześlicznemi, w dół opuszczonemi liśćmi. Na małym stole Ewy, pokrytym białym batystem, stał ulubiony jej wazon z pojedyńczym pączkiem białej centyfolji. Z zręcznością odznaczającą czarne plemię, Adolf i Róża ułożyli starannie draperje i zasłony w bogate fałdy. W chwili, kiedy Saint-Clare stał nieruchomy, pogrążony w myślach, mała Róża weszła z koszykiem białych kwiatów i na widok swego pana zatrzymała się i cofnęła wstecz z uszanowaniem; lecz przekonawszy się, że jej nie widzi, podeszła do zmarłej i zaczęła ją przyozdabiać kwiatami. Saint-Clare widział jakby we śnie włożony w malutkie rączki prześliczny jaśmin, a innemi kwiatkami z dziwnym gustem przystrojony cały pokój.

Otworzyły się drzwi i weszła Topsy z zapuchniętemi od płaczu oczami, niosąc coś pod fartuszkiem. Róża dała jej znak ręką, aby nie wchodziła, lecz dziewczę nie zważając, postąpiło naprzód.

— Idź precz! — szepnęła rozkazująco Róża. — Nie potrzebnaś tutaj.

— Wpuść mię, ja przyniosłam kwiatek... a jaki prześliczny! — zawołała Topsy, trzymając w ręku wpół rozwinięty ciemny pączek prześlicznej róży. — Pozwól mi położyć tylko ten jeden kwiatek.

— Ruszaj precz stąd! — zawołała jeszcze raz Róża.

— Pozwól jej! — odezwał się pan Saint-Clare — niech się zbliży...

Róża oddaliła się z pospiechem. Topsy, zbliżywszy się, położyła u nóg zmarłej kwiatek i nagle z bolesnem łkaniem rzuciła się na podłogę obok posłania.

Panna Ofelja wbiegła, starała się ją uspokoić, lecz napróżno.

— Ach, panno Ewunio! panno Ewunio! i ja chcę umrzeć z tobą, ja pójdę z tobą!

Było coś okropnie rozdzierającego w jej głosie! Marmurowa, blada twarz Saint-Clare powlokła się rumieńcem i pierwsza łza od śmierci Ewy trysnęła z pod jego powiek.

— Wstań, moje dziecię! — rzekła łagodnie panna Ofelja. — nie płacz, panna Ewa poszła do nieba, ona teraz aniołem.

— Lecz ja nie obaczę już jej więcej — rzekła Topsy — nigdy jej nie zobaczę!

I znowu zaczęła łkać. Przez chwilę panowało grobowe milczenie.

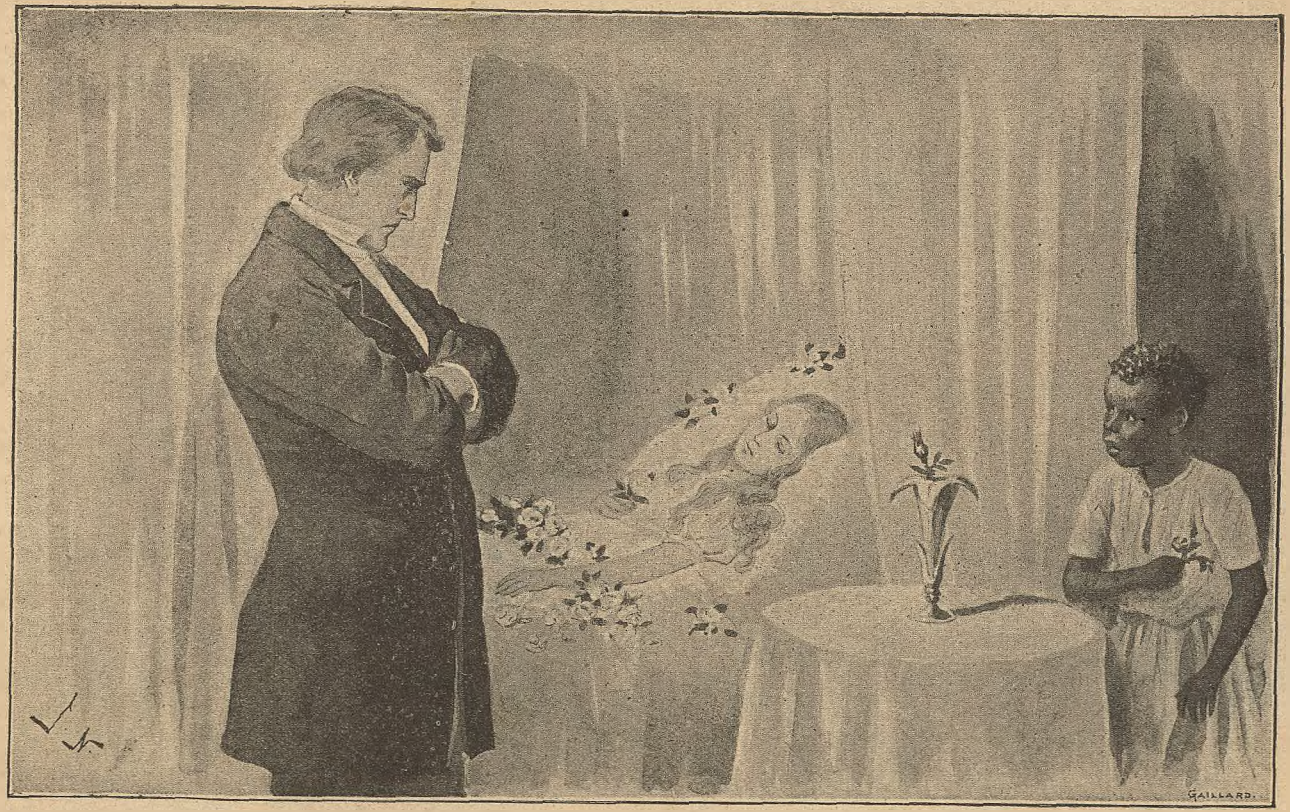

Topsy weszła po cichuteńku i położyła kwiat róży u nóg Ewuni.

— Ona mówiła, że mnie kocha — wołała Topsy, — tak mówiła mi... O Boże mój! Boże! nikogo nie mam już teraz, nikogo!

— Na nieszczęście jest to prawdą — rzekł Saint-Clare, zwracając się do panny Ofelji, — sprobujcie ją w jakikolwiek sposób pocieszyć.

— O, poco ja przyszłam na świat! — wołała Topsy — niepowinnam była się rodzić!... i naco mam żyć?...

Panna Ofelja łagodnie podniosła ją i wyprowadziła z pokoju i kilka łez zrosiło jej policzki.

— Topsy, biedne moje dziecię! — rzekła panna Ofelja, wprowadzając ją do swego pokoju — nie rozpaczaj! Ja mogę ciebie kochać, chociażem niepodobna do tego dobrego aniołka. O! jam się nauczyła od niej miłować po chrześcijańsku: będę ciebie kochała. Ja cię kocham i będę starała się ci dopomóc, abyś została dobrą chrześcijanką.

Głos panny Ofelji był więcej rozczulający od jej słów; a szlachetne łzy, które płynęły po jej twarzy jeszcze więcej mówiły. Od tej chwili podbiła serce osieroconego dziecięcia, a podbiła na zawsze.

— O moja Ewo! kiedy tak krótkie chwile twego pobytu na ziemi sprawiły tyle dobrego — pomyślał Saint-Clare — jakiż rachunek będę musiał zdać z tak długiego mego życia.

Jakiś czas rozlegały się w pokoju kroki i ciche szeptania; domownicy jeden za drugim podchodzili, aby spojrzeć po raz ostatni na zmarłą. Wkrótce przyniesiono małą trumienkę i włożono w nią Ewunię; pojazdy zajechały przed ganek, wysiadali z nich obcy ludzie. Krewni i domownicy z bialemi wstęgami, z krepą czarną tłoczyli się do małego pokoju; przyjechał miejscowy ksiądz proboszcz w towarzystwie kilku innych kapłanów, odmówił modlitwy, poświęcił ciało i trumienkę zamknięto. Kondukt ruszył na cmentarz, gdzie ją pochowano w grobie familijnym.

Wszyscy się rozeszli i wrócili do domu, który już nigdy nie miał gościć w pokojach swoich małej Ewy. Marja zamknęła się w gabinecie, położyła się do łóżka, a szlochając niemiłosiernie, co chwilę przyzywała pomocy wszystkich sług swoich; biedni, nie mieli czasu nawet popłakać. I pocóżby miała służba płakać! Wszak to nieszczęście ją tylko dotyka; a głęboko była przekonaną, że nikt na świecie nie czuł i nie może czuć tak, jak ona.

— Saint-Clare nie wylał ani jednej łzy — mówiła Marja — on mało współczuje. Dziwna nieczułość! Czyż nie widzi, ile ja cierpię?

Dla ludzi często dość powierzchowności. Wielu służących, sądząc według tego, co widzieli lub słyszeli, mniemali, że rzeczywiście Marja cierpiała więcej niż inni, a szczególniej, kiedy zaczęła spazmować i posyłała po lekarza. Zaczął się chaos, bieganie. To było dla niej zbawienną rozrywką w smutku.

Tomasz czuł jednak w głębi serca większy pociąg do swego pana. Pilnie śledził każdy jego krok. Widząc pana Saint-Clare bladego, siedzącego spokojnie w pokoju Ewy, trzymającego w ręku książeczkę, w którą patrzał, nie widząc ani jednej litery, zrozumiał, że spokój ten dowodzi stokroć większej boleści, aniżeli wszystkie narzekania i jęki Marji.

Po kilku dniach państwo Saint-Clare wrócili do miasta, szukając

w zmianie miejsca zapomnienia świeżych a tak smutnych wypadków. Porzucili dom, ogród i mogiłę. Saint-Clare, przebiegając ulice Nowego Orleanu, w wirze świata i w zajęciu się interesami szukał zapełnienia nieznośnej próżni w sercu. Widząc go na ulicy lub w kawiarni, tylko po żałobie można było poznać, że stracił drogą osobę; rozmawiał, czytał gazety, zajmował się polityką, rozpytywał o kursa na giełdzie. Nikt nie mógł przeczuć, że ten uśmiechnięty człowiek kryje w głębi duszy straszliwą boleść.

— Mąż mój, to dziwny człowiek — rzekła żałosnym głosem Marja do panny Ofelji. — Jam zawsze sądziła, że on tylko jedne Ewę kochał na ziemi, lecz jednak, jak mi się zdaje, już o niej zapomniał; nie mogę nawet wciągnąć go w rozmowę o tym aniołku. W rzeczy samej sądziłam, że on okaże więcej uczucia.

— Mówią, że ciche wody są zwykle głębokie — odrzekła panna Ofelja poważnie.

— Nie wierzę temu, to czcze słowa! Jeżeli człowiek ma czucie, musi je okazać, nie może go ukryć. Ach, być czułą, to wielkie nieszczęście! Chciałabym być podobną Saint-Clarowi. Czułość mnie gubi!

— Pan Saint-Clare widocznie mizernieje, chodzi jak cień — rzekła Mami — nic nie je... Niech pani wierzy, nie zapomniał on Ewuni... i któż może zapomnieć tej miłej, małej istotki — dodała, ocierając łzy.

— W każdym jednak razie nie zwraca najmniejszej uwagi na moją boleść — rzekła Marja. — Jam od niego nie słyszała i jednego słowa pociechy; a jednakże powinien wiedzieć, ile silniej czuje matka stratę córki od ojca.

— Serce zna tylko swoją własną boleść — rzekła sucho panna Ofelja.

— I ja tak sądzę. Ja jedna wiem, co czuję; nikt się ani domyśla, co się w mem sercu dzieje; Ewa przeczuwała, tak, ona jedna, lecz jej już niema!

I Marja rzuciła się na kanapę, gorzko płacząc. Ona należała do liczby tych nieszczęśliwych istot, dla których wszystko niepowrotnie stracone nabywa ceny, jakiej nigdy nie miało, kiedy było w ich posiadaniu. Zdawało się, że na to jedynie posiada przedmiot, aby w nim wynajdywać wady; lecz skoro go straciła, wówczas widziała w nim doskonałość najwyższą.

Gdy się rozmowa ta toczyła w salonie, w bibljotece pana Saint-Clare inna miała miejsce.

— Tomasz z niespokojnością śledzący kroki swego pana, zauważył, że kilka godzin temu wszedł do biblioteki; a nie mogąc się go doczekać, aż wyjdzie, postanowił sam wejść pod jakimkolwiek pozorem, i zwolna otworzył drzwi. Saint-Clare leżał na kanapie w najdalszym kącie pokoju, twarzą zwróconą w dół. Książeczka Ewuni leżała otwarta przed nim. Tomasz podszedł i stanął obok kanapy, a gdy się namyślał co począć, Saint-Clare nagle powstał. Szlachetna twarz murzyna, pełna wyrazu wielkiego smutku i głębokiej miłości zastanowiła go; położywszy rękę na ramieniu Tomasza, rzekł:

— O mój miły Tomaszu! świat pusty, cały świat pusty, jak łupina, z której jądro wyjęto.

— Tak, panie, wiem o tem — rzekł Tomasz — lecz gdyby pan chciał tylko spojrzeć w górę, gdzie nasza droga Ewunia, gdzie nasz Zbawiciel...

— Ach! Tomaszu, ja patrzę, lecz na nieszczęście nic nie widzę. O gdybym to ja mógł coś spostrzec!

Tomasz ciężko westchnął.

— Zdaje się, że jest danem tylko dzieciom i pokornym, niewinnym, jak ty, Tomaszu, widzieć to, czego my nie możemy. — Dlaczego to tak?

— Wiary potrzeba!

— Tomaszu, ja nie wierzę, ja nie mogę wierzyć; jam się zrósł z wątpieniem! Chciałbym wierzyć, a nie mogę.

— Drogi panie, módl się do Matki Najświętszej, ona cię wspomoże.

— Któż może cośkolwiek wiedzieć o niczem! — mówił Saint-Clare sam do siebie, błądząc wzrokiem. — Ta czysta miłość, ta zadziwiająca wiara, czyżby miały być tylko jedną ze zmiennych faz uczuć człowieka, niemających żadnej rzeczywistej podstawy, znikomych, jak lekki podmuch? Czyż niema niczego?

— Jest, dobry panie, o! jest! jest! Ja wiem, jestem przekonany, że jest — rzekł Tomasz, padając na kolana. — Miej wiarę! drogi panie, miej tylko wiarę!

— Skąd wiesz, że jest Bóg, Tomaszu; tyś go nigdy nie widział?

— Ja wiem, że jest, ja to czuję i czuję teraz. Kiedy mnie oderwali od mojej drogiej żony, od małych mych dziatek, byłem w okropnej rozpaczy. Zdawało mi się, że wszystko zginęło dla mnie; ale Bóg się zlitował nade mną i rzekł mi: „nie bój się, Tomaszu". Światło i wesele weszły w serce moje i pokój był we mnie. Jestem szczęśliwy, kocham wszystkich i proszę tylko o to, aby Bóg dał mi siły do wypełnienia woli Jego i żeby wola Jego spełniła się nade mną, jak mu się spodoba. Wiem, że to nie dla moich zasług, bo ja biedny i nędzny; ale wiem, że Pan Bóg ciebie, dobry panie, ma w łasce Swojej.

Tomasz mówił, płacząc, głosem przytłumionym. Wzruszony Saint-Clare ściskając przyjaźnie szorstką, czarną rękę murzyna, oparł głowę swoją na jego ramieniu.

— Ty mnie kochasz, Tomaszu? — spytał.

— Dziś nawet jestem gotów oddać życie moje za pana, gdybym wiedział, że to byłoby potrzebne dla pańskiego nawrócenia.

— Jesteś niedorzeczny — wyrzekł Saint-Clare, wyprostowawszy się. — Nie jestem godny miłości tak dobrego, uczciwego serca, jak twoje.

— O panie, jest jeszcze ktoś inny, co cię więcej kocha... Jezus Chrystus...

— Skąd to wiesz? — spytał Saint-Clare.

— Ja to czuję w głębi mej duszy. Miłość Jezusa Chrystusa jest źródłem wszelkiej prawdziwej mądrości.

— To dziwnie! — rzekł, odwracając się Saint-Clare. — Dzieje „człowieka", który żył i umarł ośmnaście wieków temu, mają taką władzę nad sercami ludzi. — Lecz On nie był li tylko człowiekiem — dodał nagle — człowiek nie może mieć tak potężnej i wiecznie trwałej władzy! O! gdybym mógł wierzyć, jak uczyła mnie matka moja i tak się modlić, jak się modliłem, będąc dzieckiem.

— Panie — rzekł Tomasz — panna Ewunia czytała tak prześlicznie z tej książeczki... może pan przeczyta co dla mnie; od śmierci drogiej Ewuni nikt mi już nie czytał.

Pan Saint-Clare wziął książkę do ręki i zaczął czytać głośno. Natrafił na ustęp o wskrzeszeniu Łazarza. Czytał z niemałem wzruszeniem, tak, że często musiał przestawać, aby je opanować. Spokojna twarz jego opromieniona była miłością, wiarą i nadzieją.

— Tomaszu — spytał Saint-Clare — czy ty w to wszystko wierzysz?

— Panie, mnie się zdaje, jak gdybym to widział.

— Chciałbym mieć twoje oczy.

— Pan będzie je miał, jeżeli Bóg nie poskąpi łaski Swojej.

— Ty wiesz, że mam więcej nauki od ciebie. I cóż gdybym ci powiedział, że w to nie wierzę.

— O panie! — zawołał Tomasz, składając błagalnie ręce.

— Czy się nie zachwiejesz w swej wierze?

— O nie, ani na chwilę.

— A jednak nie wątpisz, że więcej wiem od ciebie.

— Lecz we wszystkiem potrzeba łaski nieba. Ale pan nie mówił teraz na serjo, wszakże prawda? — pytał Tomasz zaniepokojony.

— O nie, Tomaszu, nie jestem zupełnie niedowiarkiem... wierzę, że wiara jest człowiekowi koniecznie do zbawienia potrzebna; lecz sam jednak nie mam jeszcze wiary... Złe to przyzwyczajenie, mój Tomaszu.

— Gdyby tylko pan chciał się pomodlić.

— Skąd wiesz, że ja tego nie czynię?

— Czy modli się pan kiedy?

— Jabym się modlił, gdybym widział tego, do którego się mam modlić; lecz nie widzę nikogo i kiedy się modlę, zdaje mi się, że słowa moje giną w próżni. Ty umiesz się modlić Tomaszu? Pokaż mi, jak się to robi...

Przepełnione serce Tomasza wylało się w modlitwie, która płynęła z ust jego, jak żywy potok długo groblą wstrzymywany, gdy ją przerwie. O! znać było, że Tomasz wierzył, iż będzie wysłuchanym, choć nie widział nikogo. Saint-Clare porwany tym wybuchem żywej wiary, przeniesiony prawie do wrót nieba, które mu biedny niewolnik z takim zapałem przedstawił, czuł, że się zbliża do swej Ewy.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu, dziękuję ci serdecznie! — zawołał Saint-Clare, kiedy Tomasz skończył. — Lubię ciebie słuchać, kiedy się modlisz; lecz teraz zostaw mnie samego. Drugim razem dłużej pomówimy.

Tomasz odszedł w milczeniu.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Połączenie.

Upływały dni i tygodnie, w domu pana Saint-Clare nic się nie zmieniło. Obojętna na nasze boleści rzeczywistość nie pozwala nam się zbytnio im oddawać. Musimy jeść, pić, spać, kupować i sprzedawać, pytać i odpowiadać, jednem słowem musimy sprawować tysiączne czynności pozbawione wszelkiego interesu.

Cała przyszłość, wszystkie nadzieje pana Saint-Clare łączyły się w jego ulubionem dziecięciu. Dla Ewy powiększał swe dobra, dla niej przyozdabiał swe mieszkanie, dla niej jedynie żył. Kupić, ulepszyć, przemienić, urządzić, lub przygotować coś dla niej, było miłem jego przyzwyczajeniem i kiedy umarła, zdawało mu się, że nie miał już wcale o czem myśleć, że nie miał nic do czynienia.

Było wprawdzie drugie życie, życie dla mającego wiarę, życie wzniosłe, wieczne; Saint-Clare wiedział to dobrze. Często w chwilach tęsknej samotności słyszał czuły dziecinny głos, wołający na niego z wysokości nieba i malutką rączkę wskazującą mu drogę życia. Lecz nieszczęście przytłaczało go, jak ciężki kamień, od którego się oswobodzić nie mógł. Był to jeden z tych charakterów, które staczając walkę duchową, nie pozbawieni łaski Bożej, w pewnych chwilach jaśniej pojmują religijne prawdy od wielu chrześcijan pobożnych z nawyknienia. Zdolność ocenienia i poczucia najdrobniejszych odcieni i delikatnych przepisów moralności często jest własnością tych właśnie ludzi, których całe życie było jakby dowodem obojętnego lekceważenia onych. W takich ludziach obojętność religijna jest straszną zdradą wobec ich powołania i podwójnie śmiertelnym grzechem.

Saint-Clare nigdy nie myślał poddać się jakimkolwiek religijnym przepisom. Pojmował on doniosłość wymagań chrześcijańskich, lecz nie chcąc się niczem krępować, usuwał się od nich.

Teraz, gdy go dotknęła ręka Opatrzności, pod wielu względami zmienił się zupełnie. Z uwagą czytywał studja treści religijnej. Zaczął więcej rozmyślać i rozsądniej pojmować stosunki wiążące go z sługami i poczuł się niezadowolonym z przeszłego i teraźniejszego sposobu życia. Natychmiast po powrocie swoim do Nowego Orleanu, rozpoczął starania około uwolnienia Tomasza, które wymagało zachowania wielu prawnych formalności. A jednak codzień się silniej przywiązywał do niego, bo mu nikt na świecie nie przypominał tak żywo Ewy. Chciał go mieć ciągle przy sobie, i ostrożny, niedostępny w swych uczuciach, przed nim nie miał tajemnicy. I któżby się mógł temu dziwić, widząc z jaką miłością, poświęceniem Tomasz towarzyszył wszędzie swemu panu?

— No, mój Tomaszu! — rzekł Saint-Clare na drugi dzień po rozpoczęciu kroków w celu jego uwolnienia — uczynię ciebie wolnym człowiekiem, składaj swoje rzeczy i bądź gotów w drogę do Kentucky.

Nagły promień radości, który błysnął na twarzy Tomasza, gdy podnosząc ręce ku niebu, zawołał: „Błogosławiony Pan niech będzie!“ zasmucił pana Saint-Clare. Przykro mu było, że Tomasz z taką radością przyjął myśl o rozstaniu się z nim.

— Czyż tobie tutaj źle, żeś się tak ucieszył? — spytał Saint-Clare.

— Nie! nie panie! nie cieszę się, że odjadę, lecz że będę wolnym człowiekiem.

— Czyż nie uważasz, że twoje teraźniejsze położenie jest dla ciebie wygodniejszem od wolności?

— Nie, o nie, panie! — odpowiedział Tomasz z energią — w istocie nie!

— Powiedz, mój Tomaszu, czyż mógłbyś mieć takie utrzymanie, takie ubranie z swej pracy, jakie ja ci daję?

— Pan jesteś dobrym, bardzo dobrym! lecz wolę mieć nędzne ubranie, biedny domek i wszystko biedne, byle własne!

— I ja tak sądzę. A więc za miesiąc, Tomaszu, wrócisz do domu, rozstaniemy się na zawsze — rzekł smutnym tonem. — Zresztą nie widzę przyczyny, dlaczegobyś, otrzymawszy wolność, nie miał mnie porzucić i wrócić do swoich? — dodał trochę weselej, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

— Nie, póki pan mój nieszczęśliwy, ja go nie porzucę — rzekł Tomasz. — Zostanę, póki mogę być w czemkolwiek użytecznym.

— Póki ja nieszczęśliwy, Tomaszu? — spytał Saint-Clare, spoglądając smutno w okno. — Kiedyż moje nieszczęście się skończy?

— Wówczas, kiedy pan zostanie chrześcijaninem — odpowiedział Tomasz.

— I ty w rzeczy samej nie porzucisz mnie aż do tej chwili, — wyrzekł z uśmiechem Saint-Clare, odwracając się od okna, położył rękę na ramieniu Tomasza. — Ach! dobry, naiwny Tomaszu, nie! tak długo nie będę cię zatrzymywał; tego się nie doczekasz. Idź do swej żony i dzieci i powiedz im, że kocham ich przez miłość dla ciebie!

— Ja wierzę, że się doczekam — rzekł Tomasz ze łzami w oczach. — Pan Bóg przeznaczył pana do pracy...

— Pracę? — zawołał Saint-Clare — a zmiłuj że się Tomaszu, powiedz mi, do jakiej pracy jestem zdolny? Chciałbym to wiedzieć.

— Jeżeli człowiek tak biedny jak ja, mam wyznaczoną sobie pracę od Boga; a pan uczony, bogaty, mający tylu przyjaciół, jakże wiele możesz uczynić!

— Ty, jak mi się zdaje, Tomaszu, sądzisz, żeśmy bardzo Bogu potrzebni... — rozśmiał się Saint-Clare.

— Wszystko, co uczynimy dobrego, to dla większej chwały Bożej...

Służący oznajmieniem wizyty przerwał tę rozmowę.

Marja Saint-Clare czuła stratę Ewy tak mocno, jak tylko mogła uczuć. A ponieważ miała zadziwiającą zdolność robienia wszystkich naokoło siebie nieszczęśliwymi, skoro tylko sama miała jaki smutek, słudzy więc mieli ważne przyczyny płakać nad stratą Ewuni, która serdecznem postępowaniem i troskliwem swem pośrednictwem, często ochraniała ich od kaprysnych wymagań matki. Szczególnie biedna, stara

Mami, która w rozłączeniu ze wszystkimi swymi krewnymi znajdowała prawdziwą pociechę jedynie w tem prześlicznem, miłem dziecięciu, boleśnie czuła jej stratę. Płacząc w dzień i w noc, znękana swem nieszczęściem, nie mogła usługiwać swej pani tak zręcznie jak pierwej, za co właśnie na jej bezbronną głowę padał grad najwymyślniejszych obelg.

Panna Ofelja również odczuwała stratę Ewuni. Lecz poczciwa, dzielna jej dusza umiała wyciągnąć z tej straty naukę dla życia przyszłego. Stała się czulszą, lepszą; wypełniała swe powinności z tąż samą gorliwością, lecz spokojniej, więcej z pobudek sercowych; znać było, że nie na próżno zgłębiała swe serce. Uczyła Topsy z daleko większą cierpliwością; nie unikała już więcej dotknięcia się jej i niepotrzebowała ukrywać odrazy, bo już jej nie doznawała. Topsy nie stała się odrazu dobrą; ale że się nią stała, był to wpływ jedynie Ewuni.

Pewnego razu, gdy panna Ofelja posłała Różę po Topsy, taż chowała coś lękliwie na piersiach.

— Ty mała, złośliwa czarownico, co tam chowasz? jestem pewną, że coś skradłaś? — zawołała Róża, chwytając ją za rękę.

— Daj mi spokój! — zawołała Topsy, wyrywając się jej. — Co tobie do tego.

— Co za grubiaństwo! — zawołała Róża. — Czyż nie widziałam, że coś chowałaś?... Znam ja twoje wybiegi!

I chwyciła ją jedną ręką, a drugą usiłowała wsunąć za odzienie; lecz Topsy z największą energią broniła się przeciw temu.

Na krzyk Topsy zjawili się panna Ofelja i Saint-Clare.

— Ona coś ukradła! — rzekła Róża.

— Nieprawda, ja nic nie ukradłam! — wołała Topsy, zanosząc się od płaczu.

— Oddaj mi, co tam masz! — odezwała się rozkazująco panna Ofelja.

Topsy się zawahała, lecz za powtórnym rozkazem, wyjęła z pod odzienia mały węzełek, zawinięty w koniec starej pończochy.

Panna Ofelja wywróciła pończochę na drugą stronę i znalazła w niej malutką książeczkę do nabożeństwa, a w papierku starannie zawinięty kędzior włosów, który Ewa dała jej przy pożegnaniu.

Wzruszyło to do głębi pana Saint-Clare. Książeczka była zawinięta w długi pas krepy, oderwanej od pogrzebowych draperji.

— Dlaczegoś ty książeczkę w to zawinęła? — spytał pan Saint-Clare, trzymając w ręku czarną krepę.

— Dlatego... dlatego... że to pozostało po pannie Ewuni... Na miłość Boską! nie odbierajcie mi tego! — prosiła błagającym głosem, a rzucając się na podłogę, zakrywszy twarz fartuszkiem, zaczęła głośno płakać!

Mały kawałek starej pończochy, czarna krepa, książeczka do nabożeństwa, prześliczny kędzior blond włosów i rozpaczająca Topsy — było to coś czułego a zarazem śmiesznego.

Saint-Clare śmiejąc się, lecz z oczami pełnemi łez, rzekł:

— Nie płacz, weź to sobie napowrót. — zawinąwszy wszystko razem rzucił jej na kolana i wyszedł z panną Ofelją do salonu.

— Zaczynam wierzyć, że rzeczywiście możesz zrobić coś z tej

dziewczynki. — Kto zdolny czuć prawdziwą boleść, do tego dobre ma przystęp.

— W wielu względach się poprawiła — odpowiedziała panna Ofelja. — Augustynie! — mówiła dalej, położywszy rękę na jego ramieniu: — powiedz mi tylko, do kogo ona należy, do ciebie czy do mnie?

— Wszakżem ją darował tobie — odpowiedział Saint-Clare.

— Ale prawne kroki nie dopełnione; a jabym chciała, aby ona do mnie należała prawnie — mówiła panna Ofelja.

— Fi, kuzynko — rzekł Augustyn — co powie na to towarzystwo abolicjonistów? Naznaczą przynajmniej jeden dzień postu z przyczyny twego odstępstwa, skoro staniesz się właścicielką niewolnicy.

— Dzieciństwo! Ja chcę ją mieć na własność, abym mogła wziąść ją z sobą do Stanów wolnych i nadać jej wolność, aby nie przepadły trudy mojej pracy.

— Ach, kuzynko, ileż złego przyczyną może być zbytnia twoja gorliwość w czynieniu dobrze. Nie, nie mogę cię zachęcać do tego.

— Ja mówię na serjo, wcale nie żartuję — rzekła panna Oelja. — Według mnie, niema poco starać się o uczynienie ją chrześcijanką, jeżeli nie da się jej wolności. Jeżeli chcesz mi ją rzeczywiście dać, uczyń to.

— Dobrze, dobrze! — rzekł Saint-Clare — zrobię, jak chcesz.

Usiadł i wziął gazetę.

— Ale jabym chciała, żebyś to zaraz zrobił — rzekła panna Ofelja.

— I nacóż taki pospiech?

— Dlatego, że teraz najdogodniejsza pora. Oto papier, pióro i atrament, napisz zaraz zrzeczenie się.

Saint-Clare, jak wielu z podobnym charakterem, nie cierpiał żadnego działania w tej chwili; dlatego natrętność panny Ofelji była dlań nieznośną.

— Poco taka natarczywość? — spytał. — Czyż nie dość mego słowa? zdawałoby się, żeś się podobnego postępowania uczyła u żydów.

— Ja chcę być pewną mego prawa — rzekła panna Ofelja. — Możesz umrzeć, lub zbankrutować i wówczas sprzedadzą Topsy na licytacji pomimo wszelkich moich starań.

— Rzeczywiście, jesteś bardzo przewidującą. Cóż robić, jestem w rękach kobiety, powinienem więc uledz.

Saint-Clare będąc doskonale obeznanym z formami prawa, napisał zrzeczenie się z wielką łatwością i podpisał swoje imię wielkiemi literami, ozdabiając je zamaszystym wykrętasem.

— Oto masz czarne na białem, panno Wermont — rzekł, oddając jej papier.

— Kochany kuzynie! — przemówiła śmiejąc się panna Ofelja — wszakże potrzeba podpisu świadka.

— O, co za męka! No dobrze, już dobrze, Marjo! —rzekł, otwierając drzwi do pokoju żony — kuzynka żąda twego podpisu; podpisz swoje imię tu na dole.

— Cóż to jest? — spytała Marja, przebiegając bystro wzrokiem papier. — Ale to zabawne! Sądziłam, że kuzynka zanadto nabożna, aby mogła myśleć o takiem zgorszeniu — dodała niedbale, podpisując swe

imię. — Jeżeli to dziewczę jej się tak podoba, winszuję wyboru.

— Teraz Topsy twoja, duszą i ciałem — rzekł Saint-Clare, oddając pannie Ofelji papier.

— Nie więcej, jak była przedtem — rzekła panna Ofelja. — Lecz teraz mogę nią więcej się zająć.

— Więc dobrze, teraz ona twoją według prawa — rzekł Saint-Clare, wracając do salonu.

Panna Ofelja nie lubiąc towarzystwa Marji, poszła za nim, starannie składając papier.

— Augustynie — rzekła przerywając nagle swą robótkę — czy uczyniłeś już jakie rozporządzenie względem niewolników na przypadek twojej śmierci?

— Nie — odpowiedział Saint-Clare i czytał dalej.

— W takim razie twoje łaskawe postępowanie może być przyczyną okrutnej tyranji.

Saint-Clare sam często myślał o tem, lecz odpowiedział obojętnie:

— Tak, myślę tem się zająć.

— Kiedyż? — spytała Ofelja.

— W tych dniach.

— A jeżeli umrzesz pierwej?

— Co to znaczy, kuzynko? — spytał Saint-Clare, kładąc gazety i wpatrując się w nią. — Czy widzisz już we mnie oznaki żółtej gorączki lub cholery, że się tak gorliwie zajmujesz mojemi przedśmiertnemi rozporządzeniami?

— Jakże często w kwiecie wieku śmierć nas czeka — rzekła panna Ofelja.

Saint-Clare wstał, położył gazetę i zwolna zwrócił się ku drzwiom, wiodącym na galerję, aby położyć koniec tak niemiłej rozmowie. Mimowoli powtórzył słowo „śmierć", wsparł się o balustradę, patrzał na wodę fontanny, wznoszącą się i opadającą i jakby we mgle widział kwiaty, drzewa i wazony ozdabiające dziedziniec. Znowu powtórzył tajemniczy wyraz śmierć, tak często powtarzany przez każdego, lecz mający jednak niesłychaną potęgę!

— Dziwne — rzekł nakoniec — że jest taki wyraz i taka rzeczywistość, a my wciąż zapominamy o tem. — Istota ożywiona, prześliczna, pełna nadziei, chęci i wymagań, — jutro nieruchoma, zimna, martwa, jutro zaginie na wieki.

Wieczór był ciepły, miły. Podszedłszy na drugi koniec galerji, ujrzał Saint-Clare Tomasza pilnie czytającego jakąś książkę, wodząc palcem po wyrazach, które z zapałem wymawiał pół głosem.

— Jeśli chcesz, to ci poczytam Tomaszu — rzekł, siadając niedbale obok niego.

— Jeżeli wola — odpowiedział Tomasz z wdzięcznością — pan czyta biegle.

Pan Saint-Clare wziął książkę do ręki i natrafił na ustęp o sądzie ostatecznym.

— Tomaszu — rzekł po przeczytaniu ustępu tego pan Saint-Clare — ludzie, których taka czeka kara, postępują chyba tak, jak ja; wiedli

życie słodkie, spokojne, przyzwoite, nie troszcząc się wcale o swych bliźnich, pragnących, chorych, więzionych.

Tomasz nie odpowiedział.

Tomasz słuchał z zachwyceniem wzniosłej pieśni . . .

Saint-Clare wstał i zaczął pogrążony w myślach przechadzać się po galerji, tak że Tomasz musiał mu dwa razy przypomnieć, że dzwoniono na herbatę. W czasie herbaty był Saint-Clare bardzo roztargniony.

Po herbacie Marja położyła się na kanapie, i osłoniona od moskitów jedwabną zasłoną, wkrótce usnęła. Panna Ofelja zajęła się swoją robotą; Saint-Clare usiadł do fortepjanu i zagrał łagodną, pełną melodji pieśń. Pogrążony w głębokiem zamyśleniu, wylał w muzyce całą swoją duszę. Potem odemknął jedną ze szuflad, wyjął stare pożółkłe już pod wpływem czasu nuty i zaczął przewracać karty.

— To są nuty po mojej matce — rzekł do panny Ofelji — a to jej podpis. Chodź, zobacz, kuzynko. Ona to przepisała i ułożyła na temat Requiem Mozarta.

Panna Ofelja zbliżyła się do instrumentu.

— Ona to często lubiła śpiewać — rzekł Saint-Clare. — Pamiętam jej głos; zdaje się, że słyszę ją teraz.

Uderzył kilka poważnych akordów i zaśpiewał wzniosły, stary łaciński hymn „Dies irae".

Tomasz słuchał poprzednio ze swego miejsca na galerji, lecz, zachwycony muzyką, zbliżył się i stanął u drzwi z wyrazem głębokiej uwagi. Nie rozumiał on wyrazów, lecz melodja z uczuciem odśpiewana wywarła silny wpływ na niego. Tomasz zapewnieby więcej doznawał rozkoszy, gdyby rozumiał znaczenia prześlicznego tekstu.

Recordare, Jesu pie,
Quod sum causa tuae viae,
Ne me perdas illa die:
Quaerens me, sedisti lassus,
Redemisti crucem passus;
Tantus labor non sit cassus![1])

Pan Saint-Clare śpiewał z rzewnem, głębokiem uczuciem. Przyszły mu na myśl lata młodości i zdało mu się, że słyszy głos swej matki jemu towarzyszący. Głos i instrument zerwały się w jedną, pełną życia harmonję, utworzoną przez nieśmiertelnego Mozarta dla jego własnego Requiem, kiedy wzniosła jego dusza była bliską opuszczenia ziemskiego mieszkania.

Pan Saint-Clare przestał śpiewać; jakiś czas pozostał nieruchomy z pochyloną głową, później wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Jakież to wzniosłe pojęcie — sąd ostateczny! — rzekł — rozsądzenie wszelkich spraw przez najwyższą mądrość, jedyną, najwyższą sprawiedliwość!

— Straszna to dla nas będzie rzeczywistość! — zawołała panna Ofelja.

— Dla mnie szczególniej — rzekł Saint-Clare, zatrzymując się w zamyśleniu. — Dzisiaj czytałem Tomaszowi po obiedzie rozdział, w którym święty Mateusz opisuje sąd Boży; to wywarło na mnie silne wrażenie. Możnaby, zdaje się, sądzić, że ci, którzy są wyłączeni z nieba, to sami tylko zbrodniarze, gdy tymczasem i ci będą karani, którzy nie pełnili dobrych uczynków...

— Być może — przerwała panna Ofelja — że dla tych, którzy nie czynią dobrze, niepodobieństwem jest nie robić źle.

— A cóż powiesz o człowieku — rzekł Saint-Clare z głębokiem wzruszeniem — którego serce wykształcone i potrzeby społeczności napróżno wołały, ukazując szlachetne cele, a który zamiast przyłożenia ręki do dzieła, pozostał wahającym się, obojętnym widzem walki, cierpień i niedoli swych braci?

[1]) Pomnij, Zbawicielu błogi, Żem przyczyną Twojej drogi; Nie gubże mnie w on dzień trwogi. Tyś mnie szukał w krwawym pocie, Zbawił krzyżem na Golgocie, Nie daj przepaść Twej robocie.

— Według mnie, powinien szczerze żałować przeszłości i wziąść się natychmiast do dzieła.

—Wieczna praktyczność, wieczne dążenie prosto do celu! — zawołał Saint-Clare i uśmiech przebiegł po jego poważnej twarzy. — Nigdy nie zostawiasz, kuzynko, czasu do namysłu nad ogólnem rozumowaniem; krótko, bardzo krótko zatrzymujesz się nad przeszłością. Ty zawsze tylko myślisz o teraźniejszości.

— Bo tylko teraźniejszość jest jedynym czasem, którym mogę rozporządzać — rzekła panna Ofelja.

— Droga, mała Ewa... biedne dziecię! — przemówił Saint-Clare — jej niewinna, dziecinna dusza wskazała mi wielkie dzieło do wypełnienia.

Pierwszy to raz od śmierci Ewy przemówił o niej, usiłując widocznie uspokoić wzburzone serce.

— Nie pojmuję — mówił dalej — aby człowiek, skoro zostanie gorliwym chrześcijaninem, nie powstał z całą potęgą swej istoty przeciw potwornemu systemowi niesprawiedliwości, służącemu za podstawę naszemu społeczeństwu, chociażby musiał poświęcić swą głowę; przynajmniej nie mógłbym być chrześcijaninem inaczej. A znam wielu chrześcijan pobożnych i światłych, którzy i nie myślą o tem. Wyznaję, że ta apatja ludzi religijnych, ta ich dziwna obojętność na widok niesprawiedliwości, które mnie oburzają i najwięcej się przyczyniły do rozwinięcia we mnie niedowiarstwa.

— Czując podobnie, dlaczego nie starałeś się coś przedsięwziąć? — spytała panna Ofelja.

— Wiem, że całe moje dążenie ku dobremu zawiera się w tem, żeby leżeć na kanapie, złorzeczyć Kościołowi i duchowieństwu, że nie jest armją męczenników. I cóż łatwiejszego być może, jak wskazywać innym drogę do męczeństwa...

— Czy myślisz więc odtąd zacząć inaczej postępować? — spytała panna Ofelja.

— Jednemu Bogu wiadoma przyszłość — odpowiedział Saint-Clare; — mam teraz więcej odwagi, bom wszystko utracił, a kto nie ma nic do stracenia, ten może się narażać na niebezpieczeństwa.

— Cóż zamierzasz przedsięwziąć?

— Chcę wypełnić moją powinność względem biednych i wzgardzonych — rzekł Saint-Clare — zacznę od moich niewolników, dla których jeszczem nic nie uczynił. Może przyjdzie dzień, w którym będę mógł uczynić cośkolwiek dla całej tej nieszczęśliwej klasy, aby wyrwać moją ojczyznę z poniżającego położenia, w którem się dobrowolnie znajduje wobec wszystkich oświeconych narodów.

— Masz więc nadzieję, że naród oswobodzi kiedyś dobrowolnie niewolników? — spytała panna Ofelja.

— Nie wiem — odpowiedział Saint-Clare. — Żyjemy w czasach wielkich czynów. Szlachta węgierska uwolniła miljony poddanych z ogromną stratą dla siebie. I dlaczegóżby między nami nie miały się znaleźć szlachetne dusze, któreby nie oceniały honoru i sprawiedliwości wartością dolarów.

— Zaledwie się ośmielam wierzyć temu — odpowiedziała panna Ofelja.

— Lecz przypuśćmy, że jutro całą masą przystąpimy do dzieła uwolnienia niewolników. Kto się poświęci wychowaniu tych miljonów, nauczaniu ich, jak mają używać i korzystać z wolności? Oni nigdy sami nie podołają temu, aby stanąć na równi z nami. Trudność cała w tem, że my z naszem lenistwem i naszą bezradnością, nie pouczymy ich o tej czynności i energji, jaką koniecznie powinni w sobie budzić, aby mogli zostać ludźmi. Będą musieli emigrować na północ, gdzie praca jest w modzie i przeszła w zwyczaj. Powiedz mi, proszę, czyż się znajdzie w waszych Północnych Stanach tyle miłości chrześcijańskiej, żeby się one podjęły wychowania murzynów i zgodziły się przyjąć ich do grona obywatelstwa? Posyłacie tysiące dolarów obcym misjonarzom; lecz czyż ścierpicie, aby w łonie waszych miast i wsi byli poganie?... czyż poświęcicie swój czas, zajęcia i dochody dla uczynienia z nich chrześcijan? Oto co chciałbym wiedzieć! Czyż przyjmiecie na siebie oświatę negrów, skoro im damy wolność? Czy dużo się znajdzie u was rodzin gotowych wziąć murzyna z jego żoną, oświecać ich, znosić ich wady, uczynić ich lepszymi? Któryż kupiec weźmie do siebie Adolfa, jeślibym go chciał wyuczyć handlu, lub któryż rzemieślnik przyjmie go w celu nauczenia go swego rzemiosła? Czy wiele się znajdzie szkół na Północy, któreby przyjęły Janinę i Różę, chociaż niemniej są białe, jak dużo kobiet Północy i Południa. Widzisz, kuzynko, ja tylko chcę, aby sprawiedliwość nam była przyznaną. Tak! położenie nasze jest hańbiące, jesteśmy uznani ciemiężycielami negrów; lecz wasz przesąd na Północy niemniej okrutnie ich prześladuje.

— Zgadzam się na to — rzekła panna Ofelja; — ja sama podzielałam ten przesąd, nim się nie przekonałam, że powinnością jest moją go przełamać, i mam nadzieję, że tego dokazałam. O, bez wątpienia! jest dużo ludzi poczciwych na Północy, którym wskażcie tylko ich powinność, a z całą energją będą ją wypełniać. W istocie, potrzeba mieć więcej miłości chrześcijańskiej dla przyjęcia pogan pośród siebie, jak dla posyłania do nich misjonarzy; lecz sądzę, że i to się stanie.

— Ty, kuzynko, postępowałabyś, z zaparciem się siebie; jesteś gotową spełnić każdą swoją powinność, nie wątpię o tem.

— Nie jestem wcale jakąś doskonałością — przerwała panna Ofelja. — I inni uczyniliby to samo, skoroby patrzeli na rzeczy z tegoż samego punktu widzenia. Wezmę Topsy z sobą, gdy będę wracała do domu. Z początku będą na to patrzeli wielkiemi oczami, lecz z czasem, mam nadzieję, ujrzą w tem to, co ja dziś widzę. Wierzaj mi, jest wielu na Północy, którzy postępują zupełnie tak, jak w tej chwili mówisz.

— Znaczna mniejszość — rzekł Saint-Clare. — Lecz skoro zaczniemy uwalniać niewolników trochę większemi masami, przekonamy się, ile tam u was takich się znajdzie.

Panna Ofelja nic nie odpowiedziała. Jakiś czas panowało milczenie. Ożywiona dotąd twarz pana Saint-Clare pokryła się smutkiem.

— Nie rozumiem! — odezwał się znowu pan Saint-Clare. — Skąd i przychodzą nieustannie myśli o mojej matce. — Jestem w jakiemś dzi-

wnem usposobieniu. Zdaje mi się, że ona tuż obok mnie; przychodzi mi na myśl wszystko, o czem miała zwyczaj mówić. Dziwnie, że przeszłość czasami się przedstawia naszym oczom tak jasno jakby na jawie.

I zaczął się przechadzać po pokoju, po niejakim czasie dodał:

— Pójdę się przejść, może się dowiem cośkolwiek nowego.

Wziął kapelusz i wyszedł. Tomasz poszedł za nim, pytając, czy ma mu towarzyszyć?

— Nie, dobry mój Tomaszu — odpowiedział — wrócę za godzinę.

Wieczór był prześliczny, księżyc świecił w całym swym blasku. Tomasz usiadłszy na galerji, patrzał na fontannę, przysłuchując się szumowi podnoszącej się i opadającej wody. Marzył o swojej ojczyźnie, o tem, że wkrótce będzie wolny i będzie mógł wrócić do niej, gdy zechce. Z radością dotykał swych muskularnych rąk, myśląc, że wkrótce będą wolne i będą musiały się poświęcić pracy dla wykupienia żony i dzieci i westchnął na myśl, że będzie musiał porzucić młodego, szlachetnego swego pana i mimowiednie usta jego zaczęły szeptać modlitwę, którą za niego odmawiał. Nakoniec stanęła mu w myśli prześliczna Ewa, którą z głębokiem wewnętrznem przekonaniem widział szczęśliwą w gronie aniołów. Zdawało mu się, że jej miła twarzyczka ze złocistemi kędziorami spogląda na niego z poza fontanny. W tych marzeniach poczciwy Tomasz zasnął i we śnie widział, jak Ewa, skacząc według zwyczaju, podbiegła ku niemu z wiankiem jaśminowym na głowie, z rumieńcem na twarzy, z blaskiem szczęścia w oczach... Patrzał na nią z zachwyceniem, powoli zaczęła się oddalać, twarzyczka jej pobladła, złote promienie otoczyły jej główkę... i... znikła. Wtem silny stuk do drzwi i wiele na raz głosów rozbudziło Tomasza. Przelękniony pobiegł odemknąć.

Kilku ludzi krokiem ciężkim, zcicha rozmawiając, wnieśli na noszach ciało zawinięte w płaszcz. Światło lampy padło na twarz... rozpaczliwy krzyk Tomasza rozległ się w galerji i doszedł do uszu panny Ofelji, siedzącej ze swą robotą w salonie, dokąd przez otwarte drzwi wniesiono nosze.

Oto krótka historja tego, co się stało: Gdy pan Saint-Clare wszedł do kawiarni, aby przeczytać wieczorne gazety, dwaj obci ludzie w pijani, znajdujący się w tymże pokoju, wszczęli z sobą kłótnię i zaczęli się bić. Przytomni usiłowali ich rozbroić i gdy pan Saint-Clare już miał wyrwać jednemu z nich puginał, nagle został śmiertelnie ugodzony w bok. Gdy rozeszła się wieść o nieszczęśliwym wypadku, płacz, krzyk, narzekanie rozlegały się po całym domu. Murzyni jak pomięszani rwali sobie włosy, padali na ziemię, zbiegali się ze wszystkich stron w najokropniejszej rozpaczy. Tylko Tomasz i panna Ofelja zachowali jakąkolwiek przytomność umysłu. Maria dostała spazmów i ataku nerwowego. Na rozkaz panny Ofelji przyniesiono z sali kanapę i na niej położono krwią zbroczonego pana Saint-Clare. Omdlałemu z bólu i utraty krwi podała panna Ofelja flakonik z spirytusem. Odzyskał przytomność, otworzył oczy, pilnie wpatrywał się w otaczających, a nakoniec wzrok jego błądziwiednie błądząc z przedmiotu na przedmiot, zatrzymał się na portrecie matki.

Promieniała światłością niebiańską i znikła zwolna w obłokach.

Przyszedł lekarz, obejrzał i przewiązał ranę przy pomocy panny Ofelji i Tomasza, którzy jedni tylko zachowali spokój. W twarzy lekarza można było wyczytać, że nie miał żadnej nadziei.

— Teraz — rzekł — proszę wyjść, chory potrzebuje spokoju i długiego wypoczynku.

Pan Saint-Clare otworzył oczy, utkwił wzrok w tych nieszczęśliwych, których panna Ofelja i lekarz zaczęli wyprowadzać.

— Biedni wy! — rzekł i cień bolesnego smutku osiadł na jego twarzy. Adolf, utraciwszy z przestrachu zupełnie przytomność umysłu, upadł na posadzkę; żadną miarą nie można go było nakłonić, aby powstał. Inni, skoro panna Ofelja powiedziała, że zdrowie ich pana zależy od bezzwłocznego wypełnienia zleceń lekarza, natychmiast wyszli.

Saint-Clare mógł zaledwie mówić. Leżał z zamkniętemi oczami; jednak widocznem było, że bolesne myśli odbywały w nim walkę. Po kilku minutach, położywszy swą rękę na ręku Tomasza, klęczącego przy nim, rzekł cicho:

— Tomaszu! biedny mój Tomaszu!

— Co panie? — spytał Tomasz.

— Ja umieram — rzekł Saint-Clare, ściskając jego rękę! — módl się!...

— Czy nie przywołać księdza? — spytał lekarz.

Saint Clare skinął głową na znak przyzwolenia i z większem jeszcze naleganiem powtórzył: „módl się!"

Tomasz modlił się z całym zapałem za duszę, która ulatywała która z głębi tych wielkich błękitnych oczu patrzała na niego z takim smutkiem. Była to modlitwa zroszona łzami rozdartego boleścią serca.

Kiedy Tomasz skończył, Saint-Clare wziąwszy jego rękę, pilnie się weń wpatrywał, ale nie rzekł ani słowa; ściskając tę szorstką, czarną rękę zamknął oczy... U wrót wieczności znika różnica koloru. Saint-Clare szeptał cicho, powoli:

Recordare, Jesu pie.

. . . . . .

Ne me perdas — illa die:
Quaerens me — sedisti lassus.

Słowa, które śpiewał tegoż jeszcze wieczora, — słowa prośby do nieskończonego miłosierdzia. Usta jego coraz rzadziej się poruszały, wymawiając wyrazy hymnu.

— Traci już przytomność — rzekł lekarz.

— O nie! On idzie — zbliża się!... — zawołał Saint-Clare z dziwną siłą: — Jezu mój, miej litość nad grzesznym sługą Twoim. Panno święta pod Twoją opiekę ja grzeszny się oddaję!...

Śmiertelna bladość pokryła twarz jego, lecz wkrótce jakby pod wpływem tchnienia dobrego ducha, pokrył ją wyraz cudownego spokoju, jakby u dziecięcia usypiającego ze zmęczenia.

Tak leżał kilka minut. Przytomni czuli, że prawica Najwyższego rozpościera się nad nim. Otworzył jeszcze raz oczy, nagły promień radości przebiegł po twarzy jego; zdawało się, że kogoś poznał: Jezu

mój, Jezu! — i skonał. Kiedy kapłan przybył, nieszczęśliwy już nie żył; ale pewnie żal serdeczny i pragnienie ostatniej pociechy otworzyło mu bramy nieba.

———o———

ROZDZIAŁ XXIX.

Opuszczeni.

Niema na świecie istoty więcej opuszczonej, godniejszej litości, pozbawionej opieki, wszelkiej protekcji jak niewolnik, który stracił dobrego prana.

Dziecię po stracie ojca ma jeszcze przyjaciół i krewnych, zawsze coś znaczy, ma pewne prawa: niewolnikowi zaś po śmierci dobrego pana nic nie pozostaje. W oczach prawa jest on li tylko własnością i niczem więcej. Jako człowiek z duszą nieśmiertelną, mógł zaspokajać te tylko potrzeby, które wola właściciela uznawała za konieczne i prawne; ale ze śmiercią pana i to ustaje.

Mała tylko liczba ludzi używa sprawiedliwie i wspaniałomyślnie władzy, którą im prawo przyznaje; lecz iluż jest, którzy jej nadużywają! Niewolnik wie dobrze, że na jednego dobrego, sprawiedliwego pana jest dziesięciu okrutnych tyranów; żal więc po stracie dobrego pana, który był jedynym jego opiekunem, musi być szczery, głęboki.

Skoro tylko pan Saint-Clare zamknął powieki, smutek i rozpacz owładnęły wszystkimi jego murzynami; salony, galerje, cały dom rozlegał płaczem, krzykiem boleści i rozpaczy; los odebrał im opiekuna w kwiecie wieku, pełnego jeszcze męskiej siły.

Marja, osłabiona, zdenerwowana, przygnębiona tym ciosem, mdlała nieustannie. Widziała ostatnie chwile człowieka, który był z nią połączony węzłem święty:m, a który ją opuścił na wieki bez słowa pożegnania.

Panna Ofelja, obdarzona energią i nadzwyczajną siłą woli, została aż do ostatniej chwili, robiąc co tylko było w jej mocy, a gdy zabiegi jej były już niepotrzebne, z całą swą szlachetną duszą przyłączyła się do serdecznych, gorących modłów biednego Tomasza, który stracił tak dobrego pana.

Oddając mu ostatnią przysługę, znaleźli na piersiach jego medalion ze sprężyną; był w nim portret prześlicznej, szlachetnej twarzy kobiecej, a na drugiej stronie pukiel czarnych włosów. Zawinęli te smutne relikwje przeszłości i położyli na tej samej piersi, która dla nich niegdyś przepełniona była miłością, a dziś zastygła na zawsze.

Szlachetny Tomasz, cały zajęty wiecznością swego pana, wobec martwych jego zwłok nie ośmielił się pomyśleć, że ten okropny cios może na wieki zapieczętował jego niewolę. On nie rozpaczał, ponieważ w tej uroczystej chwili, kiedy słał gorące modły przed tron Przedwiecznego za duszę swego pana, czuł zupełny spokój i jakieś wewnętrzne przekonanie, że modły jego wysłuchane zostały. Przejęty do głębi serca

szlachetnemi uczuciami, pojmował całą pełnię, całą wzniosłość miłości chrześcijańskiej. Tomasz wierzył, miał zupełną nadzieję, był więc spokojnym.

Po pogrzebie, któremu towarzyszyły gorące modły i szczery żal pozostałych, wszystko wróciło do dawniejszego trybu życia — ale tylko pozornie. Nasunęło się pytanie: cóż teraz będzie?

Panno Ofeljo, ratuj mnie! pani każe mnie obić!

Powstało ono naprzód w myśli Marji. Ubrana w ranny szlafroczek otoczona smutnemi twarzami służących, siedziała w wygodnem krześle przeglądając materje żałobne. Panna Ofelja wybierała się w myśl w drogę na Północ z powrotem do domu rodzicielskiego. Ale niepokó ogarniał całą służbę, znającą doskonale tyrańską nieczułość swojej pan wiedzącą, że za łaskawe, ludzkie ich traktowanie byli jedynie obowią zani swemu panu i po części pannie Ofelji. A dzisiaj, kiedy jedyneg

obrońcy już niema, któż ich osłoni od despotycznych kaprysów i samowoli ich pani, na której doznane nieszczęścia musiały zapewne wywrzeć wpływ silny — a szkodliwy?

We dwa tygodnie po śmierci pana Saint-Clare, panna Ofelja siedziała w swoim pokoju głęboko zamyślona, może nad znikomością świata, nad kruchą budową planów ludzkich. Lekkie pukanie wyrwało ją z zamyślenia, otworzyła drzwi... weszła Róża, śliczna panna pokojowa, mulatka, z włosami rozpuszczonemi, z zapuchłemi od płaczu oczami.

— O panno Ofeljo! — zawołała, padając przed nią na kolana i chwytając ją za suknię. — Panno Ofeljo! zmiłuj się nade mną!... wstaw się za mną u pani, aby mi przebaczyła, posyła mnie, aby mnie osieczono — oto papier...

Był to rozkaz do rządcy domu wyliczenia piętnastu plag temu, kto przyniesie bilecik, napisany ślicznym drobnym pismem Marji.

— I cóżeś uczyniła? — spytała panna Ofelja.

— Pani wiesz, że jestem dość prędką; wiem, że to źle. Przymierzyłam suknię pani Marji, a ona mię uderzyła w twarz; na to odpowiedziałam dość zuchwale i pani powiedziała, cała drżąc od gniewu, że mnie nauczy rozumu, że odzwyczai mnie od przyjmowania tonów księżniczki, jak było dotychczas. Napisała ten list i kazała mi go odnieść... o! wolałabym, aby mię na miejscu zabiła!

Panna Ofelja stała czas jakiś w zamyśleniu, trzymając papier w ręku.

— O panno Ofeljo, ja nie tak się lękam plag, wytrzymałabym je; ale z ręki takiego c z ł o w i e k a, tak okropnego człowieka! umrę ze wstydu!

Panna Ofelja wiedziała dobrze, że istnieje zwyczaj posyłania nieszczęśliwych kobiet, młodych dziewczyn do domu kary, gdzie nie zważając na żadną przyzwoitość, na żaden wstyd, wyliczają im plagi mężczyźni, dość podli już tem samem, że się poświęcili temu rzemiosłu; w i e d z i a ł a to dobrze, ale całą okropność tego barbarzyńskiego zwyczaju pojęła dopiero teraz, gdy ujrzała młodą, ładną dziewczynę z załamanemi rękoma, tarzającą się u jej nóg. Szlachetna krew wstydliwej kobiety, krew wolnej i dumnej córki Nowej-Anglji uderzyła jej do twarzy. Ale przyzywając na pomoc rozsądek i zwykłą sobie moc charakteru, potrafiła zapanować nad pierwszym oburzeniem i drżącym głosem rzekła do biednej Róży:

— Usiądź, moje dziecię, i zaczekaj tutaj, pójdę, pomówię z panią Saint-Clare.

— Ach, jakież to okropne, niegodne barbarzyństwo! — mówiła Ofelja sama do siebie, przechodząc przez salon.

Znalazła Marję siedzącą w wygodnem krześle; Mami, stojąca z tyłu, czesała ją; Janina siedziała na podłodze i nacierała jej nogi.

— Jakże zdrowie? — spytała panna Ofelja.

Marja ciężko westchnęła, zamknęła oczy i nie rzekła ani słowa. Po niejakim czasie się odezwała.

— W istocie, nie wiem, co mam odpowiedzieć, kuzynko; zdaje się, jak zwykle — i otarła oczy batystową chustką z szeroką czarną koronką.

— Przyszłam — rzekła panna Ofelja — poprzedzając swe słowa krótkim kaszlem, który to zwyczajnie u wielu osób jest oznaką, iż mają ważną sprawę do załatwienia — przyszłam do ciebie w interesie biednej Róży.

Marja otworzyła szeroko oczy, żółta jej twarz oblała się rumieńcem i odpowiedziała tonem ostrym:

— A więc cóż chcesz mi powiedzieć?

— Ona bardzo żałuje nierozważnego swego postępku — rzekła panna Ofelja.

— W istocie? — odrzekła z przekąsem Marja. — Będzie go jeszcze bardziej żałowała... — Długom nosiła jej zuchwalstwo, lecz teraz chcę ją upokorzyć.

— Lecz czy nie możesz ukarać ją innym sposobem, mniej hańbiącym? — spytała panna Ofelja.

— Właśnie chcę ją shańbić! Przez całe życie chłepiła się swą pięknością, tak że zapomniała, czem jest w istocie! — rzekła Marja.

— Lecz pomyśl kuzynko, jeżeli zniszczysz wstyd, delikatność w młodej dziewczynie, zdemoralizujesz ją.

— Delikatność! — zawołała Marja z pogardą — wielkie słowo! bardzo stosowne dla niej i jej podobnym. Ja ją nauczę, że pomimo tych tonów, jakie sobie nadaje, wcale nie jest lepszą od ostatniej w łachmanach dziewczyny, włóczącej się po ulicach. W przyszłości nie odważy się nadawać sobie wobec mnie jakichkolwiek tonów.

— Odpowiesz przed Bogiem, kuzynko, za taką okropną srogość!

— Srogość?... Chciałabym wiedzieć, w czem widzisz srogość? Kazałam jej dać tylko piętnaście rózg i to nie mocno. Sądzę, że to wcale nie sroga kara!

— Jakto, ty nie widzisz w tem srogości? — zawołała z oburzeniem panna Ofelja. — O! bądź pewną, że każda młoda dziewczyna wolałaby sto razy umrzeć, jak ponieść taką karę!

— Bierzesz to z własnego punktu widzenia rzeczy, kuzynko. Lecz te istoty prędko przywykają do tego, to jedyny środek, jakim jeszcze można utrzymać je w posłuszeństwie. Pozwól im raz tylko mieć uczucie delikatności z jego następstwami, a ci wlezą natychmiast na kark, potrafią z tego korzystać ze szkodą swych panów, jak to było i z naszemi dziewczętami. Chcę je wprowadzić na drogę przyzwoitszą i mogą być pewne, że każę siec jedną po drugiej za najmniejsze przewinienie! — I Marja rzuciła naokoło wzrok mówiący, że dotrzyma postanowienia.

Janina spuściła głowę i bardziej się nagięła, bo się domyśliła, że słowa jej pani szczególniej do niej się odnosiły. Panna Ofelja zaledwie mogła powstrzymać swe oburzenie, ale wiedząc dobrze, że próżno byłoby się spierać z podobnym charakterem, zacisnąwszy usta, wyszła z pokoju.

— Z boleścią wielką oznajmiła Róży, że prośba jej nie była wysłuchaną. Wkrótce przyszedł służący z rozkazem zaprowadzenia młodej mulatki do domu kary, i nie zważając na płacz, narzekanie i prośby, pociągnął za sobą biedną dziewczynę.

W kilka dni potem Adolf, niepocieszony po stracie swego pana,

zbliżył się do Tomasza, stojącego w głębokiem zamyśleniu na balkonie, dla oznajmienia mu smutnej nowiny. Mulat wiedział dobrze o antypatji, jaką miała Marja do niego, ale za życia swego pana mało o nią dbał, lecz teraz był w wielkim strachu i drżał o swoją przyszłość. Marja po częstych konferencjach ze swoim rządcą i idąc za radą brata swego nieboszczyka męża, postanowiła sprzedać ziemię i niewolników, zatrzymując tych tylko, których otrzymała w posagu i z nimi miała wkrótce wrócić do majętności swego ojca.

— Czy wiesz, Tomaszu, że nas mają wszystkich sprzedać — spytał Adolf.

— Skąd słyszałeś o tem, Adolfie?

— Byłem ukryty za zasłoną, kiedy pani rozmawiała ze swoim rządcą; za kilka dni mają nas wszystkich wyprowadzić na sprzedaż — rzekł Adolf.

— Niech się stanie wola Boża! — zawołał Tomasz, składając ręce, i ciężko westchnął.

— Nie znajdziemy już nigdy pana tak dobrego, jakim był nasz — zawołał Adolf niespokojnie — lecz wolę być sprzedany i popróbować losu, jak zostać pod jednym dachem z naszą panią.

Tomasz odwrócił się z sercem przepełnionem boleścią. Nadzieja wolności, myśl uściśnienia żony, dzieci, stanęły przed duszą jego, jak błyszczące krzyże na kościołku, jak dachy rodzinnego miasta z poza spienionych fal morza, gotowych na pochłonięcie biednego marynarza, który ginąc z wzrokiem w nie utkwionym, przesyła ostatnie p o ż e g n a n i e! Biedny Tomasz miał dziwny, niewytłomaczony pociąg do wolności; Bóg go ciężko dotknął, ciężko doświadczył! Biedny, zacisnął konwulsyjnie ręce, połknął gorzkie łzy, gwałtem tłoczące się do oczu, i zmusił siebie do modlitwy; lecz im częściej powtarzał „niech się stanie wola Twoja, Panie“, tem silniej czuł swe nieszczęście. Smutny wszedł do pokoju panny Ofelji, która od śmierci Ewy traktowała go bardzo łaskawie, a nawet z pewnym rodzajem szacunku.

— Czy wie pani, panno Ofelio — rzekł — że pan Saint-Clare obiecał mi wolność, i zaczął nawet starać się o to? Może pani będzie łaskawa pomówić o tem z panią; ona zapewne zechce wypełnić wolę męża swego.

— Dobrze, Tomaszu, pomówię — odpowiedziała panna Ofelja — zrobię co się da; ale jeżeli to zależy od pani Saint-Clare, nie mam wielkiej nadziei... jednak popróbuję.

Było to zaraz po wydarzeniu z Różą, i panna Ofelja już się wybierała do wyjazdu. Zamyśliła się głęboko, a wyrzucając sobie, że może działała zbyt pospiesznie w pierwszej sprawie, postanowiła tym razem czynić z większem zastanowieniem i oględnością. Ze zwykłą swą robótką w rękach, z postawą pokorną, weszła do pokoju pani Marji z mocnem postanowieniem użycia całej dyplomacji w interesie Tomasza.

Pani Saint-Clare, wyciągnięta na kanapie, wsparta na poduszkach, przeglądała stos czarnych materyj, które Janina przyniosła z różnych magazynów.

— Ta mi się podoba, — rzekła Marja, wskazując jedną sztukę — tylko nie jestem pewną, czy to dość żałobne.

— Prześliczne... — przemówiła Janina — pani generałowa Derbennon właśnie miała taką samą suknię przeszłego lata, po śmierci swego męża generała, i wyglądała bardzo ładnie.

— Jak myślisz, kuzynko? — spytała Marja panny Ofelji.

— To zależy od zwyczaju — odpowiedziała Ofelja. — Ty znasz się na tem lepiej, niż ja.

— Nie mam żadnej porządnej sukni; a ponieważ chcę wyjechać w przyszłym tygodniu, muszę więc koniecznie się oporządzić.

— Czyż tak prędko myślisz wyjechać? — spytała Ofelja.

— Tak, brat Saint-Clare pisał, że podziela zupełnie zdanie mego rządcy; radzi mi, abym sprzedała niewolników i ruchomości, a dom powierzyła jakiemu biegłemu prawnikowi do sprzedania później.

— Chciałabym pomówić z tobą — rzekła panna Ofelja. — Augustyn przyrzekł Tomaszowi dać wolność, a nawet rozpoczął kroki pewne w tym celu; mam nadzieję, że zechcesz wypełnić wolę męża?

— Nie! nie zrobię nic podobnego — odrzekła Marja cierpko; — Tomasz jest właśnie jednym z niewolników, za którego najlepiej mogą mi zapłacić, nie możesz wymagać ode mnie podobnej ofiary. A zresztą, po co jemu wolność? czyż nie lepiej mu w tym stanie, w jakim się teraz znajduje?

— Przeciwnie, on bardzo pragnie wolności i Saint-Clare przyrzekł na pewno go uwolnić — odpowiedziała panna Ofelja ze znaczącym przyciskiem.

— Nie wątpię zresztą, że pragnąłby być wolnym — przerwała Marja. — Oniby wszyscy tego chcieli; bo ta banda niezadowolonych zawsze pragnie tego, czego niema. Lecz ja kieruję się zasadą nie uwalniać nikogo. Trzymajcie negra w grozie, to pół biedy jeszcze; ale uwolnijcie go tylko, a niezawodnie go zgubicie; nie będzie chciał pracować, rozpije się, rozhultai. Widziałam tysiączne tego przykłady. Nadając im wolność, wcale nie robimy im przez to przysługi.

— Ale Tomasz trzeźwy, pracowity, nabożny!

— Nie mów mi o tem — odpowiedziała Marja — znałam tysiące podobnych jemu. Jest on dobrym, póki czuje pilny dozór nad sobą.

— Lecz zastanów się dobrze! — rzekła panna Ofelja; — a jeżeli dostanie się w ręce złego pana?

— To bagatela! — zawołała Marja — bądź pewną, że może zaledwo jeden ze stu dobrych niewolników trafi na złego pana. Właściciele negrów, pomimo opinji jaką mają, po większej części są dobrzy ludzie. Wzrosłam na Południu i mogę zaręczyć, że nie widziałam ani jednego właściciela, któryby nie traktował swych niewolników po ludzku, przynajmniej o ile na to zasługują. Nie mam więc żadnej obawy pod tym względem!

— Dobrze więc! — zawołała panna Ofelja z energją — lecz ostatnia wola męża twego była, aby Tomasz był wolny; on to obiecał nawet umierającej drogiej Ewie; nie sądzę, abyś się odważyła niedopełnić ostatniej woli męża i córki.

Marja na wspomnienie męża i córki zakryła twarz chustką i we flakoniku z orzeźwiającym płynem szukała pokrzepienia sił.

— Wszyscy przeciw mnie! — zawołała głosem wzywającym litości. — Nikt niema najmniejszego względu na moje cierpienia! Nie spodziewałam się, abyś i ty w ten sposób przypominała mi moje nieszczęście; ale któż może pojąć, co ja czuję! Stracić jedyną córkę, którą tak kochałam, męża, który we wszystkiem ze mną się zgadzał. O! to okropnie! Trzeba mieć bardzo mało współczucia, aby mi to wszystko przypominać w taki sposób, z taką obojętnością. Wierzę, żeś mogła mieć najlepsze chęci, aleś postąpiła bez najmniejszego względu na mój stan i położenie.

I zaczęła gwałtownie płakać, konwulsyjnie oddychać, kazała Mami odemknąć okno, zmoczyć sobie głowę spirytusem kamforowym, rozpiąć suknię. Rozkaz po rozkazie wylatywał z ust Marji; a panna Ofelja korzystała z tego chaosu, wymknęła się do swego pokoju.

Przekonała się, że bezskuteczne byłyby wszelkie starania, bo Marja miała niesłychaną skłonność do ataków nerwowych, skoro widziała tego potrzebę; przyzywała je z niesłychaną łatwością, ile razy wspominali jej o ostatniej woli męża lub Ewy względem niewolników. Panna Ofelja napisała więc do pani Szelby list, przedstawiając jej nieszczęśliwe położenie Tomasza i wzywając ją, aby pospieszyła go wybawić.

Nazajutrz odesłano Tomasza, Adolfa i pół tuzina innych towarzyszów niewoli do magazynu niewolników, zostającego pod zarządem pewnego spekulanta, który chciał tylko dopełnić liczby, aby wystawić ich na publiczną sprzedaż.

—o—

ROZDZIAŁ XXX.

Magazyn niewolników.

Magazyn niewolników! Niejeden z naszych czytelników może pod tem nazwaniem wyobrażać sobie ciemną, duszną, smrodliwą jaskinię, jakieś okropne piekło. Omyliłbyś się, mój niedoświadczony czytelniku! Za naszych czasów i sztuka robienia źle doszła do pewnego stopnia doskonałości; postęp, oświata nakazują unikania wszystkiego, co może razić oko, rozdrażniać czułe nerwy prześwietnej publiczności. Towar człowieczy w cenie; karmią go więc dobrze, czyszczą, czeszą, troskliwie doglądają, aby na rynku wyglądał przyzwoicie, powabnie. Magazyn niewolników w Nowym Orleanie, czysto bardzo utrzymany, nie różnił się wcale od magazynów innych towarów; przed nim codzień mogliście widzieć pod szopą równo w linję ustawionych mężczyzn, kobiety — to wystawa oznajmująca, co się w nim sprzedaje.

I zapraszają was bardzo grzecznie, abyście weszli oglądać towar. Znajdziecie tam mężczyzn, kobiety, braci, siostry, ojców, matki, małe dzieci, sprzedaje się ich pojedyńczo, po kilku, lub jak się wam spodoba.

Nieśmiertelna dusza człowieka, odkupiona krwią Syna Bożego, który się stał człowiekiem, a gdy umarł, ziemia drżała, skały się rozpadały i groby się pootwierały; nieśmiertelna dusza tutaj się sprzedaje, wynajmuje, oddaje się w zastaw, wymienia się na inny towar, według potrzeb handlowych lub fantazji kupca.

Tomasz, Adolf i ich towarzysze, powierzeni zostali troskliwej opiece pana Skeggs, właściciela magazynu, który ich nazajutrz miał wyprowadzić na sprzedaż.

Na noc umieszczono ich w długim pokoju, dokąd spędzono wielu innych murzynów różnego wieku, wzrostu i koloru skóry; panowała tam dziwna wesołość, nieustanne śmiechy:

— A, a, ślicznie, dobrze! tak to lubię — rzekł Skeggs. — Moi ludzie zawsze powinni być weseli, zadowoleni! Dobrze, Sambo! — rzekł tonem zachęcającym do tłustego murzyna, który wyrabiając różne figle, pobudzał towarzyszów do ogólnego śmiechu!

Tomasz nie był w stanie podzielać dzikiej tej wesołości niewolników, postawił swój kuferek z odzieniem, którego mu jeszcze nie odjęto, w kącie, opodal od wesołego tłumu i usiadł na nim ze smutnie spuszczoną głową.

Targujący ludźmi używają wszelkich sposobów dla obudzenia w gronie swego towaru głośnych śmiechów, w celu zabicia w nich wszelkiego zastanowienia się nad swym losem, nad okropnem położeniem. Zwyczajnie kupują murzynów na Północy i prowadzą ich na sprzedaż na Południe. Przedewszystkiem kupiec stara się swych niewolników, nim dojdzie na Południe, doprowadzić do stanu zwierzęcej spokojności, zabić w nich potęgę myślenia. Kupiwszy w Wirginji lub Kentucky, prowadzi swą trzodę w wygodne, zdrowe miejsce, najczęściej gdzie są źródła ciepłej wody i tam ją tuczy doskonałą, obfitą strawą; a ponieważ wielu z nich odznaczało się skłonnością do melancholji, cały więc dzień każe grać na skrzypkach i tańczyć. Kto unika zabaw, w kim zanadto jeszcze żywa pamięć żony, dzieci, ojczystego ducha nie dozwala oddawać się wesołości, ten jako ponure, niebezpieczne, złośliwe stworzenie, musi wycierpieć straszliwe męczarnie, na jakie zatwardziały, okrutny i nieodpowiedzialny despota może się zdobyć. Biedne istoty, wyjęte z pod wszelkich praw, służących człowiekowi, udają wesołość, zadowolenie, szczególniej wobec kupujących, sądząc, że tym sposobem łatwiej znajdą dobrego pana i unikną okrutnego katowania, jakie czeka nieszczęśliwych, jeśliby właściciel magazynu nie mógł ich sprzedać.

— Co ten murzyn tutaj robi! — zawołał ośmielony pochwałą Sambo, podchodząc do Tomasza, gdy pan Skeggs wyszedł. Sambo był czarny jak węgiel, ogromny, żywy, wielomowny murzyn, wielki ochotnik do iglów i kuglarstwa.

Co ty tu robisz? — spytał powtórnie Sambo, częstując Tomasza figlarnie w bok kułakiem. — Nad czem rozmyślasz, he?

— Jutro mnie sprzedadzą na licytacji — odpowiedział Tomasz głosem spokojnym.

— Sprzedadzą na licytacji! he! he! chłopcy, słyszycie? Nieprawda, to zabawne! A ja chciałbym być sprzedany! He, powiedz, wiec jutro

cała partja ma być sprzedaną? — pytał Sambo, kładąc rękę poufale na ramieniu Adolfa.

— Zostaw mię, zmiłuj się! — zawołał dziko Adolf, cofając się z odrazą.

— Ej, chłopcy! czy widzicie murzyna białego, koloru mleka, uperfumowanego — i zbliżając się do Adolfa, zaczął go jak pies wietrzyć. — E! patrzcie go! doskonały do wyprzedaży tabaki, sam jeden zaperfumowałby cały sklep, przyciągnąłby tłumy kupujących! ha, ha, ha!

— Milcz, powtarzam ci, bądź ostrożnym! — krzyknął rozgniewany Adolf.

— Ho! ho! jacyście drażliwi, wy biali murzyni! — I Sambo zaczął drażnić Adolfa. — Oto postawa, oto maniery, widać, że byliście w dobrym domu!...

— Tak! miałem pana — odpowiedział Adolf rozgniewany — któryby mógł was wszystkich kupić za stare swe rupiecie, nic do nich nie dodając.

— Ho, ho! silentium! — zawołał Sambo — byłeś własnością wielkiej arystokracji...

— A tak! należałem do rodziny Saint-Clare — odpowiedział Adolf z dumą.

— Ha, ha! w istocie? Dam się powiesić, jeśli to nie prawda, że ta szanowna familja życzy sobie ciebie się pozbyć! Wielki los ciebie czeka! Może pójdziesz na zmianę za pobite garnki i stare zużyte imbryki!

Przywiedziony temi drwinami do ostateczności Adolf, rzucił się na swego przeciwnika, klnąc i bijąc go obiema pięściami przy powszechnem śmiechu i klaskaniu w dłonie przytomnych, co sprowadziło właściciela do magazynu.

— Hola! co to chłopcy? Do porządku, na miejsce! — wołał trzaskając długim biczem.

Rozbiegli się wszyscy w różne strony prócz Samba, który rozzuchwalony łaską zdobytą rolą błazna, nie cofnął się z miejsca, stał nieporuszony, chowając głowę z zabawnym grymasem za każdem uderzeniem dozorcy.

— To nie my, panie! to nie my, my spokojni! To oni, nowoprzybyli, złośliwi, ponurzy, krzywdzą nas biednych! — wołał, gestykulując dziwacznie Sambo.

Sprawiedliwy dozorca obrócił się na te słowa do Tomasza i Adolfa, nie troszcząc się wcale o zbadanie prawdy, poczęstował ich obficie kułakami, a zalecając, aby się spokojnie pokładli spać, wyszedł.

Spojrzyjmy, co też się dzieje w tymże samym czasie w oddziale kobiet. Leżą one na podłodze zmorzone snem; są tam kobiety różnych, pod względem barwy, odcieni, od czarnej jak heban do białej jak kość słoniowa; różnego wieku, od małego dziecka do zgrzybiałej staruszki. Ta śliczna dziewczynka, lat dziesięć licząca, opłakująca stratę matki, którą wczoraj sprzedano, nie znalazłszy żadnego pocieszenia, usnęła zmęczona! Tam spoczywa stara murzynka, której chude, pokryte odciskami ręce, zesztywniałe palce, świadczą o życiu spędzonem w ciężkiej pracy — towar to nędzny — jutro ma być sprzedaną za bezcen,

ile z łaski swej kupujący dadzą. Dalej, naokoło tłum różnych kobiet dziwacznie przystrojonych, z głowami ponakrywanemi kołdrami. W kącie na uboczu leżały dwie kobiety, jedna mulatka, około lat czterdziestu, przyzwoicie odziana, twarzy przyjemnej, oczu łagodnych, z głową obwiniętą w turban z prześlicznego szalu kaszmierowego, suknia na niej ze ślicznej drogiej materji; wszystko to dowodziło, że dobra pani musiała się sama zajmować jej tualetą; druga dziewczyna, liczyła lat piętnaście, przytuliła się do niej, ułożyła się jak w gniazdeczku: to jej córka, mulatka, prawie białego koloru, jednak uderzająco podobna do swej matki; te same czarne oczy, łagodne, osłonione długiemi rzęsami, takież włosy czarne, długie, gęste, zwijające się w kędziory. Obie ubrane bardzo przyzwoicie, czysto; a białe i delikatne ręce świadczyły, że ciężko nie pracowały. Obie miały być jutro sprzedane razem z niewolnikami Saint-Clare.

Zuzanna i Ewelina służyły u pewnej pobożnej, miłosiernej damy w Nowym Orleanie, która je wychowała z troskliwością prawdziwie macierzyńską; nauczyła je czytać, pisać, rozwinęła w nich głęboką znajomość prawd religijnych i były one o tyle szczęśliwe, o ile w podobnem położeniu być mogły. Lecz syn owej pani, jedynak, rządząc dobrami, przez niedbalstwo i nierozsądna rozrzutność zadłużył się i przyszedł do bankructwa. Największą sumę był dłużny znakomitej firmie B. et Comp. w Nowym Yorku. Naczelnik więc tej firmy nakazał swemu komisantowi w Nowym Orleanie położyć areszt na jego majątek, którego najgłówniejszem bogactwem były dwie te kobiety i pewna ilość niewolników na plantacji. Komisant napisał o tem do naczelnika firmy, radząc się, jak ma postąpić. Panu B., mieszkającemu w stanie wolnym, nie podobała się ta wiadomość, sumienie nie pozwalało handlować niewolnikami, duszą nieśmiertelną: ale z drugiej strony szło o trzydzieści tysięcy dolarów, a czyż można tak wielką sumę poświęcić dla moralnej zasady, dla wewnętrznego przekonania? Po długim namyśle, po licznych naradach z ludźmi jednakowych zasad, brat pana B. napisał do swego komisanta, aby postąpił tak, jak uważa za najodpowiedniejsze i czemprędzej sumę należną odesłał.

Nazajutrz po otrzymaniu listu, wysłano Zuzannę i Ewelinę do magazynu niewolników dla wystawienia ich na sprzedaż.

Blade, posępne światło księżyca, przedzierając się przez gęstą kratę okna, oświecało matkę i córkę. Nieszczęśliwe płakały, starając się jedna przed drugą ukryć łzy swoje, aby nie przyczyniać sobie wzajemnie większego zmartwienia.

Matko, połóż swą głowę na moich kolanach, możebyś zasnęła — rzekła dziewczynka, udając spokój.

— O, nie! nie zasnę, nie mogę spać! może ostatnią noc spędzamy razem!

— Nie mów tego, matko! — zawołała bolesnym głosem córka. — Kto wie, może nas sprzedadzą jednemu panu!

— Gdyby była inna na twojem miejscu, być może, nie mówiłabym tego! — odpowiedziała kobieta — ale ciebie, o! boję się cię stracić, moja Ewelino... przeczuwam nieszczęście...

W kącie siedziały dwie kobiety o przyjemnej powierzchowności.

— Dlaczego, matko? Ten człowiek mówił, że my dobrze wyglądamy i łatwo się znajdzie kupiec na nas.

Nieszczęśliwa matka spamiętała dobrze wejrzenie i słowa tego człowieka. Ze ściśnionem sercem przypomniała sobie, jakiem okiem patrzał na młodą dziewczynę, jak podejmując kędziory ślicznych jej włosów, głośno mówił, że jest towarem pierwszego rzędu. Zuzanna, wychowana w wierze chrześcijańskiej, czuła, jak każda inna matka, niezwyciężony wstręt na samą myśl ujrzenia dziecięcia swego sprzedanego na pastwę haniebnych żądz. I biedna nie widziała żadnej nadziei, nie spodziewała się znikąd pomocy.

— O! jakby to dobrze było, gdybyśmy trafiły na jakich dobrych, uczciwych państwa; gdyby ciebie, droga matko, zrobili kucharką, a mnie pokojówką lub szwaczką. Możemy się tego spodziewać matko, wszak prawda? — pytała biedna dziewczyna, nie pojmując trwogi matki. — Bądźmy tylko rzeźwe, przyjemne, wesołe, o ile być można, powiemy wszystko co umiemy i może Bóg nam pomoże...

— Jutro uczeszesz sobie włosy gładko, zupełnie prosto, czy rozumiesz? — rzekła Zuzanna.

— Dlaczego? To mi nie do twarzy...

— Tak! ale wówczas prędzej ciebie kupią.

— Nie rozumiem dlaczego? — rzekła córka.

— Ludzie uczciwi prędzej cię kupią, widząc prostą, skromną, aniżeli gdybyś starała się być piękną. Znam ja ich, znam dobrze ich gusta — odpowiedziała Zuzanna.

— Więc dobrze, zrobię, jak każesz.

— Jeżeliby jutro, moja Ewelino — rzekła Zuzanna — rozłączono nas, pamiętaj na to, moje dziecię, jak byłaś wychowaną; przypominaj sobie, czego cię nauczała nasza dobra pani. Bądź pobożną i módl się często do Najświętszej Bogarodzicy.

Tak mówiła biedna kobieta w głębokim żalu, wiedząc, że człowiek podły, nielitościwy, bezbożny, może zostać właścicielem duszy i ciała jej córki — właścicielem absolutnym, nieodpowiedzialnym, skoro ma tylko dość pieniędzy na jej kupienie. Czy dziewczę podoła w chwili ciężkiej próby? Biedna matka, myśląc o tem, przyciskała ją do piersi. O! w tej chwili pragnęłaby ją widzieć mniej piękną. Pozostała nieszczęśliwej matce li tylko m o d l i t w a, jako jedyna pociecha i ucieczka. Ileż podobnych modlitw z tego magazynu, przyzwoicie, czysto utrzymanego, wzniosło się przed tron Boga przedwiecznego!

Łagodny, tęskny promień księżyca, przedzierający się przez kratę okna padał na grupę w pół śpiących. Matka i córka razem zanuciły dziką, smutną pieśń, uświęconą u niewolników jako hymn pogrzebowy.

Biedne dziewczę! wiek twój cały
Przeszedł w łzach i boleści!
Ile męki, cierpień ile
Życie ziemskie w sobie mieści,
Tyś przecierpieć je musiała!
Cóż masz teraz za mąk tyle?

O! łza niebo ci zjednała,
Dostąpiłaś wiecznej chwały!
Nikt nie shańbi więcej ciebie
I nie przeklnie, nie znieważy;
Śmierć cię chroni od potwarzy,
A tyranów niema w niebie!

Słowa te śpiewane głosem słodkim, melancholijnym wpośród westchnień wyrywających się do nieba z za ciemnych krat więzienia, brzmiały jak błagalny jęk zbolałych dusz, wołający litości, spółczucia. Po chwilowym odpoczynku zanuciły pieśń inną:

Gdzie Sylos, Paweł, drodzy przyjaciele?
Los ich być gorszym nie może!
Ach! tu na ziemi wycierpieli wiele,
Miej ich w opiece swej, Boże!
Poszli do nieba po wieczną zapłatę,
Męczeństwem niebo zdobyli.
Nie płaczcie po nich, choć bolesną stratę
Ponieśliśmy, bracia mili!

O! biedne wy i nieszczęśliwe! śpiewajcie, szukajcie w pieśniach pociechy i ukojenia! Noc krótka — a jutro... jutro może rozłączy was na wieki.

Nazajutrz wszyscy bardzo wcześnie powstawali, a najwcześniej pan Skeggs. Jakże żywo się uwijał, troskliwie oglądał swój towar, tualety, zalecał każdemu mieć postawę wesołą, zadowoloną, trzymać się dobrze, prosto. Wszyscy już gotowi, stają w półkole; rozpoczyna się przegląd ostatni przed smutnym marszem na rynek.

Skeggs w kapeluszu z włókien drzewa palmowego, z cygarem w ustach, ogląda jeszcze raz swój towar.

— A cóż to? — zawołał, zatrzymując się przed Zuzanną i Eweliną. — A gdzież twoje pukle, dziewczyno?

Biedna, przelękniona Ewelina spojrzała trwożliwie na matkę, która grzecznie, ze sprytem, zwyczajnym jej klasie ludzi, odpowiedziała:

— Radziłam jej wczoraj wieczorem przyczesać włosy gładko, to daleko przyzwoiciej, przystojniej, niż z rozczochranemi włosami.

— Głupstwo! — zawołał Skeggs, a zwracając się do Eweliny i wywijając nad jej głową trzciną, zawołał tonem rozkazującym: — ruszaj ufryzować swe włosy, no prędko! A ty, idź i pomóż jej — rzekł do matki — no, ruszajcie! Same pukle mogą podnieść cenę najmniej o sto dolarów.

Pod wspaniałem sklepieniem, po marmurowych chodnikach, przechadzali się ludzie różnych narodów. Po końcach wpółokrągłej areny wznosiły się małe trybuny dla taksatorów i woźnych. Dwie z nich były zajęte przez ludzi, którzy dziwnym językiem angielsko-francuskim wychwalali towary i starali się podnieść ich ceny. Trzecią, jeszcze próżną, otoczyła grupa ludzi, niecierpliwie oczekująca otwarcia handlu. W pierwszym rzędzie stali niewolnicy Saint-Clare, między nimi Zuzanna i Ewelina, niespokojnie, trwożnie tulące się jedna do drugiej. Niektórzy wi-

dzowie, nie mając wcale stałego zamiaru kupowania, przez samą li tylko ciekawość oglądają niewolników, macają ich, opatrują, spierają się o ich wartość i cenę z taką obojętnością, z jaką tłum dżokejów kłóci się o wartość konia.

— Hola Alfie, co cię tu sprowadza? — spytał młody elegant, uderzając drugiego młodzieńca, zajętego oglądaniem Adolfa przez lornetkę, po ramieniu.

— Potrzebny mi służący, a powiedziano mi, że dzisiaj sprzedają służbę pana Saint-Clare.

Chwycił Tomasza za szczękę i otworzył mu szeroko usta.

— A! za nicbym nie kupił żadnego ze sług Saint-Clara; zepsuci oni wszyscy do najwyższego stopnia.

— Nie lękaj się! — rzekł pierwszy. — Skoro się do mnie dostaną, potrafię ich do swej woli nagiąć. Poznają wkrótce, że mają właściciela nie p a n a S a i n t - C l a r e. Na honor, ten facecik podoba mi się, kupię go.

— Zobaczysz, że cała twa fortuna pójdzie na jego utrzymanie. Jak widać, musi być djabelnie rozrzutnym!

— Prawda, ale wnet zrozumie, że u m n i e n i e m o ż n a mieć fantazji, kilka wizyt do Kalabuzy potrafią go ułożyć. Upominam was, że to jest jedyny i nieomylny środek dać uczuć podobnym jemu nieprzy-

zwoitość ich postępowania. Ujrzycie wkrótce, jak go zreformuję od stóp do głowy. Kupuję więc go, kupuję na pewno.

Tomasz szukał niespokojnie w tłumie osoby, którąby mógł nazwać swym panem. Gdybyś ty, mój czytelniku, widział się w bolesnej konieczności wybierania sobie nieodpowiedzialnego, nieograniczonego pana twej całej przyszłości, bolałbyś nad tem, że tak mało jest ludzi godnych tego miana. Tomasz widział osoby różnych postaci: wielkich, wysmukłych, małych, ponurych, gadatliwych, tłustych, z twarzą okrągłą, kościstą; ale większość ich składała się z ludzi gburowatych, nieokrzesanych, nieczułych, którzy kupują bliźniego, jak się kupuje wiory dla wrzucenia ich z równą obojętnością w ogień. Biedak szukał napróżno, nie znalazł żadnego Saint-Clara.

Na chwilę przed otwarciem sprzedaży, jegomość pewien, pękaty, muskularny, w koszuli brudnej, w kolorowe pręgi, z odkrytą piersią, w spodniach wyszarzanych, pokrytych błotem, rozpychał tłum z miną człowieka, który ma niezachwiany zamiar kupienia towaru. Zbliżywszy się do niewolników, troskliwie zaczął ich oglądać. Gdy go Tomasz ujrzał, poczuł nieprzezwyciężony, instynktowny wstręt, który się wzmógł za zbliżeniem się jego. Był on wielki, barczysty, widocznie siły olbrzymiej. Okrągła jak kula jego czaszka, szaro-zielonawe oczy, gęste, rude brwi, włosy twarde, prosto stojące, spalone od słońca, nadawały jego fizjognomji odrażający wyraz. Jego szerokie policzki wzdęły się od tytuniu, który żuł, często wypluwając nadzwyczajną siłą ciekący przez grube usta żółty sok. Ogromne, kosmate ręce, odrażająco brudne, pokryte rudemi plamami, paznokcie również brudne i duże. Zbliżywszy się w swym przeglądzie do Tomasza, chwycił go za szczękę, otworzył mu szeroko usta dla obejrzenia zębów; kazał mu zakasać rękawy, oglądał muskuły; kazał się obracać, skakać, biegać i chodzić krokiem.

— Gdzie cię wychowano? — spytał Tomasza po ukończeniu przeglądu.

— W Kentucky — odpowiedział Tomasz — szukając niespokojnie wzrokiem wybawcy.

— Co tam robiłeś?

— Zarządzałem majętnością pana — odpowiedział przerażony Tomasz.

— Bajki! nie łatwo mnie oszukasz! — zawołał i poszedł dalej. Przechodząc koło Adola, ujrzawszy jego lakierowane buty, splunął na nie sokiem tytuniowym i z pogardliwym wykrzyknikiem poszedł dalej. Zatrzymał się przed Zuzanną i Eweliną, przyciągnął biedną dziewczynę do siebie, poprowadził swą ciężką, brudną rękę po jej szyi, talji, rękach, spojrzał w zęby i odepchnął napowrót do matki, której blada twarz okazywała najokropniejsze męczarnie za każdym ruchem odrażającego rubachy.

Wylęknione, biedne dziewczę zalało się łzami.

— No, dość tego, mała małpo! — zawołał groźnie faktor — nie tu miejsce na płacz. Targ się zaczyna. — W istocie, w tej chwili się rozpoczął.

Adolfa kupił za ogromną sumę ów elegant, któremu się tak bardzo podobał. Inni służący pana Saint-Clare dostali się w rozmaite ręce.

— Na ciebie kolej, chłopcze! co! nie słyszysz? — wrzasnął woźny na Tomasza.

Tomasz wszedł na podwyższenie, rzucając niespokojnym wzrokiem naokoło siebie. Wyliczanie woźnego w mowie francuskiej i angielskiej przymiotów Tomasza, krzyżowy ogień licytowania w dwóch językach; stuknięcie młotka przy głośnem wyraźnem wymówieniu ostatniej sumy dolarów, dziwnie zlały się w jakiś chaotyczny szum. Ogłoszono nakoniec ostatecznie ofiarowaną sumę, i Tomasz dostał pana.

Zepchniętego z podwyższenia, gruby jegomość z wołową głową chwycił za ramię, odprowadził na stronę i ochrypłym głosem zawołał: „czekaj tu!“

Tomasz mógł zaledwo pojąć, co się z nim dzieje. Licytacja odbywa się dalej. Języki dwóch najcywilizowańszych krajów, spierają się o pierwszeństwo na rynku dusz nieśmiertelnych i ciał ludzkich; przedstawiciele dumnych tych narodów i tu pierwszeństwa nie chcą nikomu ustąpić. Młotek opada... Zuzanna sprzedana. Schodząc z podwyższenia, obraca się ku biednej swej córce, która z okropną boleścią wyciąga ku niej ręce, błagając z niemą rozpaczą o pomoc. Nieszczęsna matka spojrzała na swego właściciela, był to mężczyzna nie pierwszej młodości, poważny, nakazujący uszanowanie dla siebie, fizjognomji przyjemnej.

— O panie! błagam cię, kup i moją córkę! — zawołała Zuzanna rozdzierającym głosem.

—Chciałbym — ale się lękam, czy dosyć będę miał pieniędzy — rzekł, spoglądając na młodą dziewczynę, która weszła na podwyższenie, niespokojnie rzucając wzrok naokoło siebie.

Krew wzburzona pokryła ślicznym rumieńcem bladą jej twarz, gorączkowy płomień ożywił oczy i matka zadrżała, widząc ją tak piękną, jak nigdy. Woźny korzystając z chwili, z namiętnem zachwyceniem zaczął opisywać przymioty swego towaru dziwnym, anglo-francuskim makaronizmem; cena szybko postępuje w górę.

— Zrobię wszystko, co będzie w mej możności — zawołał właściciel Zuzanny, i łącząc się do kupujących, położył cenę; lecz natychmiast cena niesłychanie poszła w górę i o wiele przewyższyła sumę, którą posiadał. — zamilkł... Taksator się zapala, kupujący odstępują, pozostaje tylko stary arystokrata z Nowego-Orleanu i nasz znajomy z wołowym karkiem i takąż głową. Arystokrata, wzgardliwie zmierzywszy okiem swego przeciwnika, podniósł jeszcze kilka razy cenę; lecz uparty brutal, czując pełną kiesę, zwycięża... spór ustaje... Oto i uderzenie młotka! — Biedna dziewczyno! Jeden Bóg może cię tylko wybawić! — Należy nieszczęśliwa od tej chwili z ciałem i duszą do nieokrzesanego człowieka, do posiadacza ogromnej plantacji bawełny na brzegach rzeki Czerwonej. Płacząc, oddala się, w towarzystwie Tomasza i innych dwóch od matki swojej może na wieki.

Właściciel Zuzanny szczerze się litował nad nieszczęśliwą dziewczyną, lecz „podobne rzeczy zdarzają się codziennie, przy każdej licytacji; tam matki płaczą po stracie córek, córki rozpaczają po matkach

Przez litość, panie, kup i córkę moją!

i jakże temu zaradzić?“ Niema na to sposobu i poczciwiec zwrócił się w swą stronę z swym nowym nabytkiem.

W dwa dni później komisant domu B*** et Comp. w Nowym Yorku wysłał im pieniądze zebrane za towar.

———o———

ROZDZIAŁ XXXI.

Podróż.

Pan Szymon Legris kupił w Nowym Orleanie ośmiu niewolników, włożył na ich ręce i nogi łańcuchy i powiązanych po dwóch pędził na okręt „Pirat“, który miał się udać w górę rzeki Czerwonej. Niebo, jak gdyby dzieliło żal niewolników, pokryło się grubemi chmurami; gwiazdy i księżyc znikły, cała natura zdawała być się pogrążoną w smutku.

Na dnie statku, ze zwieszoną głową siedział Tomasz okuty w kajdany. Wszystko minęło bezpowrotnie i pokryło się grubą żałobą. I chata jego w Kentucky i żona i dzieci jego, dobra pani Szelby, kochana Ewunia, jej jasne, anielskie oczy, młody, wesoły, i dobry jego pan, czuły pod powłoką pozornej niedbałości, i wspaniałe jego mieszkanie i godziny miłej pracy i słodkiego wypoczynku: wszystko, wszystko przepadło dla biednego Tomasza na zawsze.

Taki to los niewolnika! Biedny murzyn, będąc czułym z natury, zbyt łatwo się przywięzuje do wszystkiego, co go otacza; żyjąc na łonie dobrej, uczciwej familji, wykształca swój gust i uczucia. A kapryśny los, igrając nim, oddaje w ręce rozbestwionego brutala. Murzyn, to jak mebel, który kiedyś był ozdobą przepysznego salonu, lecz z upływem czasu, wyszarzany, złamany, idzie w jakieś pyłem pokryte legowisko rupieci, tylko on mniej szczęśliwy, gdyż mebel nie czuje utraty łaski; a prawo, uważające niewolnika li tylko za „własność ruchomą“, zależącą od woli i kaprysu właściciela, który może go sprzedać, zniszczyć, — prawo to, pozbawiając go wszelkich przywilejów, nie może jednocześnie odjąć mu czułej, nieśmiertelnej duszy, zagłuszyć w nim wiary, nadziei, miłości, bojaźni.

Gdy statek odbił od brzegów, Legris z miną gburowatą, zakłopotaną, zaczął oglądać swój nabytek. Przyzwoite odzienie Tomasza naprzód ściągnęło uwagę chciwego właściciela; bo Tomasz według rozkazu dozorcy magazynu, dla lepszego wyglądania przy sprzedaży, włożył najlepszy swój sukienny surdut, najśliczniejszą bieliznę, najzgrabniejsze buty. Pan Legris, zatrzymując się przed nim, zawołał głosem pełnym dzikości i brutalstwa:

— Wstań!

Tomasz wstał.

— Zdejm chustkę z szyi! — Tomasz mając ręce okute, z trudno-

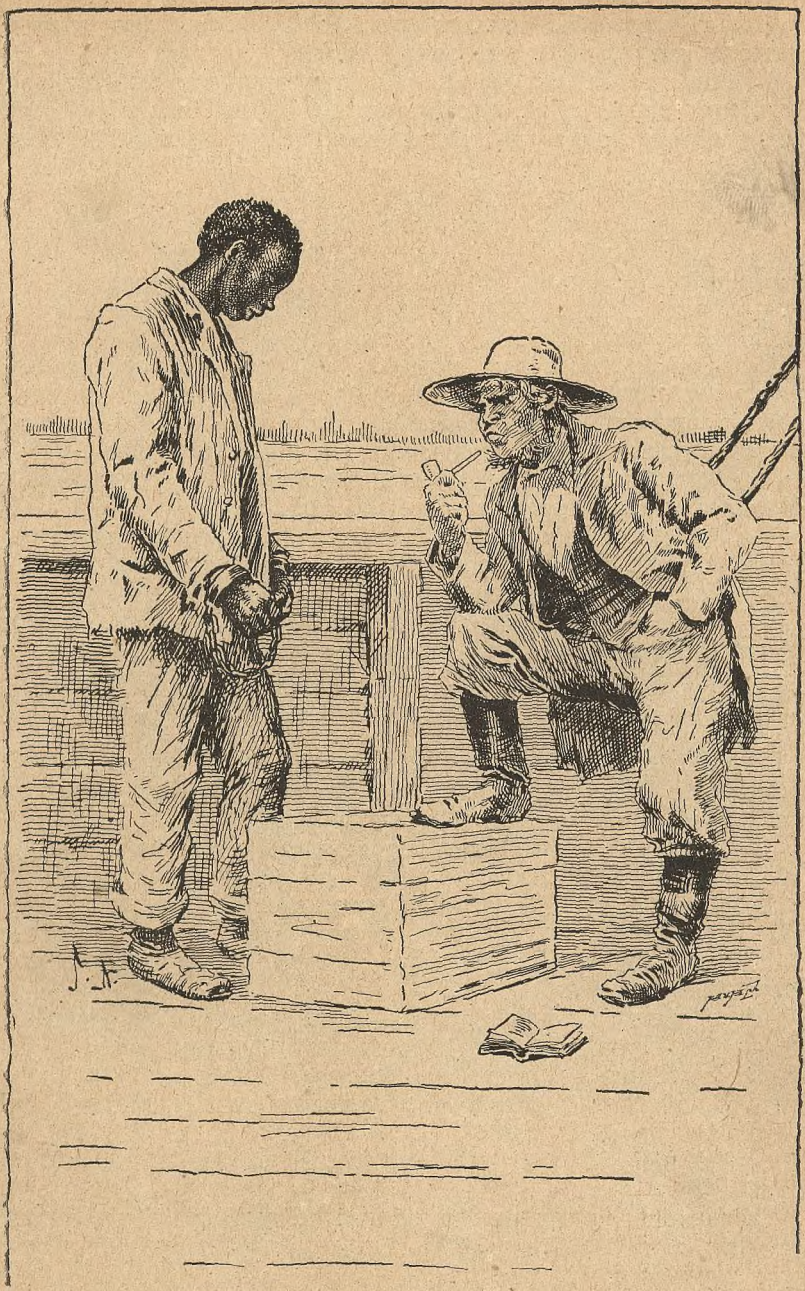

Zostaniesz tem, czem ja chcę, abyś był . . .

ścią zaczął wypełniać rozkaz; niecierpliwy Legris po grubjańsku, zerwawszy mu ją, włożył do swej kieszeni.

Z Tomasza węzełka, już go przejrzawszy poprzednio, wyjął przezorny Legris stare spodnie i podartą kurtkę, które Tomasz nosił podczas pracy, i zdjąwszy mu z rąk kajdany, wskazał na kąt między pakunkami i zawołał:

— Ruszaj tam, zmień odzienie!

Posłuszny Tomasz, w mgnieniu oka uskutecznił rozkaz.

— Zrzuć buty!

Tomasz i to uczynił.

— Masz, włóż to! — i rzucił mu parę grubych trzewików, jakie zwykle noszą niewolnicy.

Szczęściem, że w tym pośpiechu Tomasz nie zapomniał wyjąć z swego odzienia książeczki do nabożeństwa, bo pan Legris, włożywszy napowrót łańcuchy na ręce Tomasza, zaczął rewidować kieszenie jego. Znalazł tam fular i przywłaszczył go sobie, a kilka drobnych cacek, które Tomasz chował jako relikwje po małej Ewie, rzucił z pogardą do rzeki. W kieszeni znalazł jeszcze zbiór pieśni kościelnych.

— Hm! jesteś pobożny, jak się zdaje! Jakże cię tam nazywają? — Jesteś członkiem Kościoła, co, hę?

— Tak, panie! — odrzekł Tomasz śmiało.

— Umnie prędko o tem zapomnisz! nie lubię, kiedy murzyni ryczą, modlą się i śpiewają; o! ja cię nawrócę! Słuchaj, bądź ostrożnym nadal! — zawołał, tupiąc nogą i zmierzywszy Tomasza dzikim wzrokiem. Odtąd ja jestem twoim kościołem, rozumiesz? Zostaniesz tem, czem ja chcę, abyś był!

Tomasz milczał, lecz wewnętrzny głos mówił mu: n i e, n i e!

Szymon Legris nie usłyszał ani słowa odpowiedzi. Popatrzywszy ze zdziwieniem w twarz swej ofiary, odszedł.

W walizie Tomasza były jeszcze niektóre rzeczy bardzo dobre, Legris zabrał je z sobą na przód okrętu, gdzie go zaraz otoczyli podróżni. Rzeczy prędko sprzedał a nakoniec puszczono i próżną walizkę na licytację. Wszystkich to mocno bawiło, tem więcej, że cała ta scena odbyła się w przytomności Tomasza; szczególniej licytacja walizki obudziła ogólne śmiechy.

Po skończonej licytacji, wrócił Legris do swoich niewolników.

— No, Tomaszu! teraz jesteś wolny od niepotrzebnego ciężaru! Pilnuj swego odzienia, długo nie dostaniesz innego. U mnie murzyni muszą być oszczędni, jedno odzienie najmniej na rok starczyć musi.

Zbliżył się do Eweliny.

— No, moja lalko! — rzekł, gładząc ją pod brodę. — Bądź mi weselszą!

Mimowolny wyraz strachu, odrazy, który się wybił na twarzy nieszczęśliwej za zbliżeniem się brutala, nie uniknął jego uwagi, zmarszczył brwi i zawołał groźnie:

— No, tylko bez grymasów, dziewczyno! Staraj się o wesołą fizjognomję, kiedy mówię do ciebie, słyszysz? A ty, stara małpo, koloru księżyca! — rzekł do mulatki, z którą Ewelina była razem zwią-

zana — wystrzegaj się mieć podobnie smutną twarz; radzę ci przybrać trochę więcej wesołości! hę, rozumiesz? Dla nadania więcej znaczenia słowom swoim uderzył ją pięścią.

— No! teraz mówię do was wszystkich — zawołał, cofając się parę kroków w tył: patrzcie mi prosto w oczy!

Wszystkich wzrok, jak pod urokiem laski czarnoksiężnika, zwrócił się na błyszczące, szaro-zielone oczy Szymona.

— No! — a teraz — rzekł ściskając wielką i ciężką swoją pięść jak młot kowalski. — Widzicie tę pięść? Ha, patrzcie, jak silna! — i spuścił ją na rękę Tomasza. — Patrzcie na te kości!... No! mówię wam, że ta pięść tak twarda jak żelazo, z łatwością zgniecie każdego murzyna! Nie spotkałem jeszcze żadnego, któryby mógł wytrzymać jedno uderzenie! — i zbliżył pięść tak blisko do twarzy biednego Tomasza, że tenże cofnął się, przymrużając oczy. Nie mam zwyczaju trzymać dozorców; ja sam dozorca, mam bystre oko i silną rękę. Powinniście się zwijać prędko, zręcznie — oto jedyny środek dogodzenia mi. Nie znajdziecie we mnie najmniejszej słabości, o, najmniejszej! Bądźcie więc ostrożni, bo nie mam litości!

Kobiety wstrzymały oddech; przerażenie opanowało wszystkich. Szymon okręcił się na pięcie i poszedł do bufetu wypić szklankę rumu.

— Tak zwyczajnie przemawiam do moich murzynów — rzekł do jegomościa, który był świadkiem jego przemowy. — Mam zwyczaj groźnie poczynać, aby wiedzieli, czego się mają trzymać.

— W istocie? — odrzekł cudzoziemiec, patrząc nań z ciekawością, z jaką naturalista zwykle bada rzadki dla siebie egzemplarz.

— Tak! Nie jestem jednym z waszych plantatorów z białemi, delikatnemi rączkami, którzy dają się prowadzić i oszukiwać jakiemuś staremu lisowi rządcy! Pomacaj pan tylko stawy moich członków — i wyciągnął rękę. — Spojrzyj na tę pięść, patrz jak muskuły stwardniały by kamień od ciągłego ich używania na karkach murzynów. Dotknijcie, pomacajcie!

Obcy końcem swego palca dotknął olbrzymiej ręki i rzekł bardzo sucho:

— W istocie, bardzo twarde. Sądzę, że taka praktyka zatwardziła niemniej i serce wasze?

— O, tak! mogę się pochwalić — rzekł Szymon z głośnym śmiechem. — Nie sądzę, abym pod tym względem komukolwiek ustąpił pierwszeństwa. Żadne łzy, żadne prośby murzynów nie zdołają wzruszyć mego serca.

— Macie piękny towar?

— Piękny i dobry! — odpowiedział Szymon. — Jest niejakiś Tomasz, jak mówią, istota rzadka. Trochę go przepłaciłem, ale zrobię go dozorcą, czemś w rodzaju rządcy, i mam nadzieję, że będę z niego rad. On u mnie się pozbędzie tych głupich idei, które się obudziły w nim przez niepraktyczne, nierozsądne, pobłażliwe traktowanie, a które gubi murzynów. Na żółtej kobiecie trochę się oszukałem; sądzę, że musi być chorowitą; ale potrafię skorzystać z niej przynajmniej tyle, ile mnie kosztuje. Rok lub dwa lata chyba jeszcze pożyje. Ja nie oszczędzam

murzynów. Używać, zużywać i nowych kupować, to moja zasada. To daleko mniej kłopotu i nawet ekonomiczniej; — i Szymon popił rumu.

— Ile lat oni wytrzymają? — spytał obcy.

— Na honor, nie wiem. To zależy od ich zdrowia. Najsilniejsi żyją od sześciu do siedmiu lat, najsłabsi dwa do trzech lat. W początkach robiłem wszelkie starania dla przedłużenia ich życia, dawałem im lekarstwa, gdy byli chorzy, ciepłe kołdry, wygodne odzienia, djabeł wie poco! To mi nie przyniosło żadnej korzyści, a straciłem pieniędzy dużo, nie licząc już kłopotów. A teraz pracują u mnie zdrowi i chorzy zarówno. Kiedy murzyn nie wytrzyma, umrze; kupuję drugiego i to daleko wygodniej, taniej, nie tak kłopotliwie.

Obcy oddalił się i usiadł przy młodym podróżnym, który słuchał całej rozmowy z widocznem oburzeniem.

— Nie bierzcie tego człowieka za wzór plantatorów południowych — rzekł ostatni.

— Spodziewam się, że nim nie jest.

— To nikczemny, nieokrzesany, bezecny brutal!

— A jednak prawa wasze dozwalają mu trzymać nieograniczoną liczbę murzynów, bez najmniejszej kontroli. I nie zważając na całą jego nikczemność, podłość, musicie się jednak zgodzić, że dużo podobnych się jemu znajduje.

— Lecz znajdziecie pomiędzy plantatorami wielu ludzi bardzo godnych, sprawiedliwych, umiarkowanych.

Wierzę, lecz jesteście odpowiedzialni za wszystkie nadużycia, za wszystkie okrucieństwa brutalnych nikczemników. Bez waszej zgody i waszego wpływu, systemat ten haniebny nie mógłby się utrzymać ani godziny. Gdyby byli tylko tacy plantatorowie — i palcem wskazał na Legris, który stał tyłem do nich — systemat upadłby sam przez się. Wasze to umiarkowanie upoważnia i powstrzymuje ich barbarzyństwo.

— Dziękuję za dobrą o nas opinję — rzekł plantator, uśmiechając się — nie radziłbym jednakże mówić tak głośno, bo na okręcie znajdują się ludzie, którzy nie zawsze lubią słyszeć podobne w tej kwestji zdania. Zaczekaj pan, aż nie przybędziesz do mnie; tam będziesz mógł się nagniewać do woli.

Rumieniec oblał twarz młodzieńca i roześmiał się z przymusem. Zaczęli grać w kości. W tymże czasie na drugim końcu parowca toczyła się inna rozmowa między Eweliną i kobietą, z którą była związaną. Opowiadały sobie niektóre szczegóły z swej przeszłości.

— Do kogo należałaś? — spytała Ewelina.

— Do pana Ellis; mieszkał on na ulicy Lewe. Może widziałaś kiedy nasz dom?

— Czy dobrym był dla ciebie?

— Dość dobrym, dopóki był zdrów. Lecz kiedy zachorował i musiał sześć miesięcy przeleżeć w łóżku, bo czasem tylko wstawał i to na krótko tylko, zaraz tracił siły i musiał wracać do łóżka. O! wtenczas trudno było z nim wytrzymać. Nie dawał nikomu spokojności ani we dnie, ani w nocy! Nikt nie mógł mu dogodzić, coraz stawał się kapryśniejszym! ja siedziałam przy nim po całych nocach, a nie mogąc

dłużej wytrzymać, zasnęłam razu pewnego i za to przyrzekł mię sprzedać najokrutniejszemu panu, jaki być może. A jednak obiecywał poprzednio, że da mi wolność po swojej śmierci.

— Czy masz krewnych? — spytała Ewelina.

— Mam męża, pan mój wynajął go. Mnie tak nagle sprzedali, że nie miałam czasu widzieć i pożegnać się z nim; mam także czworo dzieci. O Boże, Boże, miej litość nad nami! — i biedna zakryła twarz rękoma.

U każdego przy bolesnem opowiadaniu rodzi się chęć niesienia pociechy. Ewelina chciałaby coś powiedzieć; lecz trudno pocieszać, kiedy samą serce boli. Obie jakby ze wspólnej umowy unikały wspomnienia okropnego człowieka, do którego należały i w ręku którego cała ich przyszłość spoczęła.

Religja oświeca swym boskiem promieniem najczarniejsze chwile życia. Mulatka, będąc chrześcijanką, krzepiła się modlitwą; Ewelina była umysłowo wyższą od niej, umiała czytać i pisać. Straszna tu jednak próba dla najgorliwszego nawet chrześcijanina, widzieć się na pozór opuszczonym od Boga, na łasce przemocy nieznającej litości.

Parowiec pędził w górę Czerwonej rzeki, po krętych, mętnych, niespokojnych jej falach. I oko niewolników zmęczyło się, patrząc na monotonne, urwiste brzegi. Nakoniec zatrzymali się przed małem miasteczkiem, gdzie wysiadł pan Legris ze swoim żywym towarem.

———o———

ROZDZIAŁ XXXII.

Zewnętrzne ciemności.

Za nędzną bryką, skakająca po nierównej drodze, postępowali opadli zupełnie z sił Tomasz i jego niedoli towarzysze.

W bryce siedział Szymon Legris, a w tyle za nim między pakunkami — obie kobiety, okute razem. Wszyscy z trwożną myślą o przyszłość, prócz pana Legris, zawsze zadowolonego z siebie, dążyli do jego plantacji niezbyt odległej.

Dzika droga wiła się po nieużytych, samotnych puszczach, w których wiatr smutnie jęczał, przedzierając się przez gałęzie sosen; posępne smutne drzewa, odziane czarnym mchem, wznosiły się spiralnie z bagien; czasem się wąż mokasyński przesunął między nimi, zataczając swoje odrażające kręgi około suchych, przez robactwo stoczonych pni, gniących w niezdrowem, zabójczem bagnie.

Smutna to i ponura okolica, nawet dla oka podróżnego, który ją na dzielnych koniach z pełną kieszenią przebywa, w nadziei rychłego powrotu do rodzinnego ogniska: O! jak musiała się okropną wydać biednym niewolnikom, których każdy krok oddalał od wszystkiego, co kochali, co jedynie uprzyjemniało im życie — a oddalał może na wieki. Można było to łatwo wyczytać w ich smutnych twarzach, w bolesnym wzroku, tęskno spoglądającym na przedmioty, przesuwające się po obu

stronach drogi. Jeden tylko Szymon nie tęsknił, nie smucił się: czerpał energję w nieodstępnej flaszce rumu.

— Hola, chłopcy! — zawołał obracając się do wlokących się z tyłu murzynów. — Zaśpiewajcie, niezdary! no, zaczynajcie!

Niewolnicy smutnie spojrzeli po sobie: Zaczynajcie! — zawołał groźnie Legris, podnosząc w górę bat.

Tomasz zaczął śpiewać:

O Jeruzalem, ojczyzno ma droga,
Ciebie mój tęskny wzrok szuka dokoła,
I w mękach ciężkich dusza ma do Boga
O szczęście dla się nieustannie woła.

— Milcz, przeklęty murzynie! — zawołał Legris. — Co mi po twem piekielnem skomleniu! Zaśpiewajcie coś wesołego. No, słyszycie! Prędzej!

Jeden z murzynów zaśpiewał jednę z tylu pieśni bezsensownych, które niewolnicy zwykli na rozkaz śpiewać.

Ha, pojmałem ja niedźwiedzia,
Hi, hu—ha, hu—ha, niedźwiedzia!
I pan się śmiał to widząc,
Hi, hu—ha, hu—ha, to widząc!

A tam księżyc z poza chmury,
Hi, hu—ha, hu—ha, z za chmury!
Spogląda na nas ponury,
Hi, hu—ha, hu ha, ponury!

Śpiewak zdawał się improwizować, starając się tylko o miarę i końcówkę wiersza, wcale się nie troszcząc o znaczenie i sens. Towarzysze powtarzali każdy drugi wiersz głośno, wrzaskliwie, chcąc tem nadać pewnej wesołości piosence; a jednak jęk bolesny, krzyk cierpienia, gorąca prośba, nie mogą brzmieć tak rozpaczliwie, jak owe dzikie, bezsensowe zwrotki. Zdawało się, że te biedne, nieme, uwięzione dusze, w tych dzikich tonach, w tej tajemniczej melodji, zanoszą swe prośby, swe skargi do Boga, których Legris nie mógł pojąć i nie pojął. Słyszał tylko głośny ich śpiew i dość mu tego było i rad był, że potrafił ich rozweselić.

— No, moja dziewczynko! — rzekł, obracając się do Eweliny i kładąc swą szorstką rękę na aksamitne jej ramię — oto jesteśmy już prawie w domu.

Biedna Ewelina drżała jak liść osiny, kiedy Legris krzyczał, wściekał się; ale w tym momencie, uczuła rękę brutala na swem ramieniu... O! wolałaby, żeby ta ręka ją biła, żeby ten głos ją łajał! Wstrzymała oddech; a widząc namiętny wyraz jego oczu, pomimo woli, przytuliła się do mulatki, jakby u niej szukając opieki.

— Nigdy nie nosiłaś kolczyków... hę? — pytał dotykając palcami jej ślicznych, małych uszu.

— Nie, panie.

— No, dam ci parę ślicznych kolczyków, jak będziemy w domu, jeżeli będziesz dobrą, rozsądną dziewczyną. Hę, rozumiesz? Nie bój

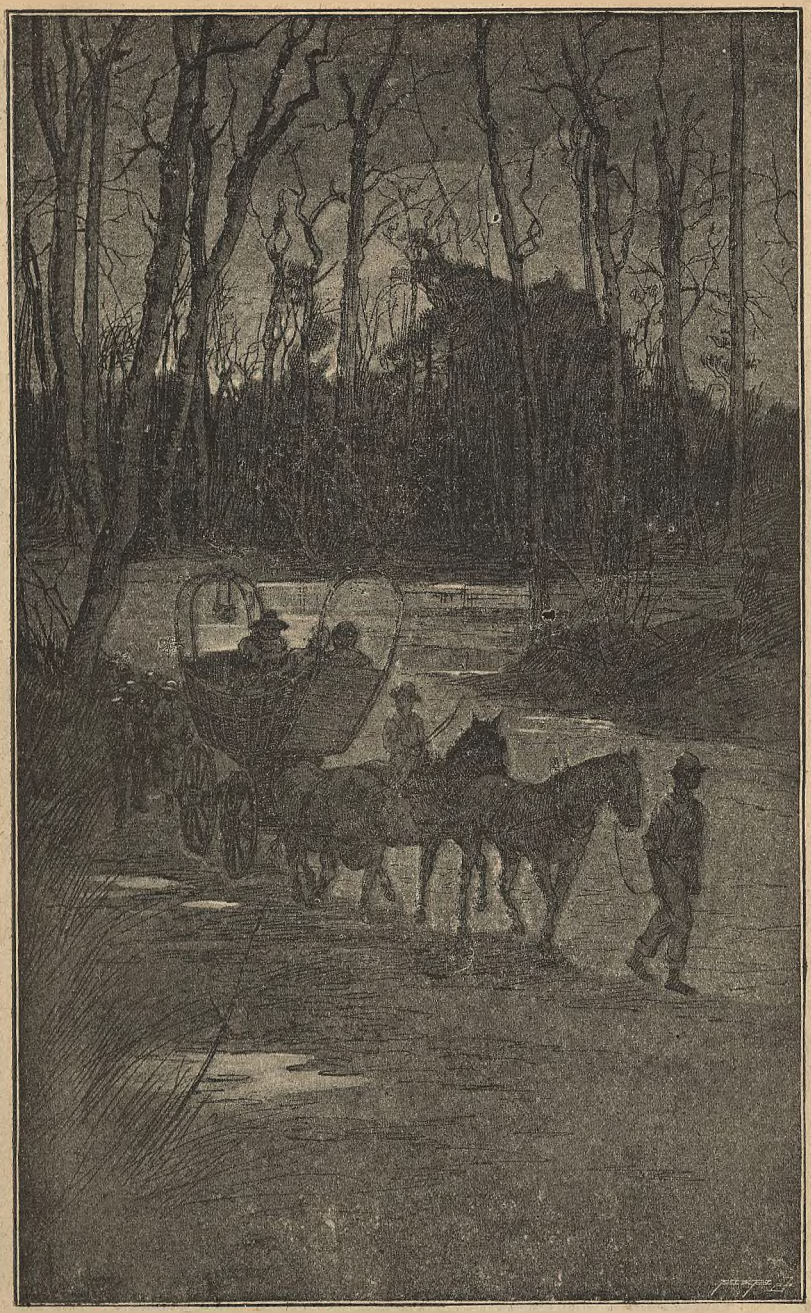

Pochód szedł ku plantacjom pana Legris.

się, moja malutko, nie każę ci ciężko pracować, będziesz przepędzała ze mną czas wesoło, będziesz żyła jak królowa; chcę tylko, abyś była rozsądną, dobrą...

Pod wpływem rumu Legris stał się czułym, przymilającym się; a widok plantacji, którą zdala widzieć było można, podniósł w nim czułość do wyższego jeszcze stopnia. Plantacja ta należała poprzednio do człowieka wysokiego urodzenia, bogatego, z pańskim gustem, który dużo tracił na jej upiększenie i udoskonalenie; lecz przywiedziony do bankructwa, umarł ze zgryzoty, a Legris ją nabył, widząc w niej niezawodny środek powiększenia fortuny. I plantacja miała smutny widok opuszczenia, bezładu, który zwyczajnie cechuje zaniedbanie planu pierwszego właściciela.

Aksamitny, równo skoszony trawnik, z prześlicznemi kwiatami i krzewami, który tak gustownie niegdyś ozdabiał wjazd do domu, dziś zaniedbany, zarośnięty chwastem, służył za rodzaj obory, czego dowodziły słupy, gdzie niegdzie wbite dla przywiązywania bydła. Trawa naokoło stratowana, wydeptana, na niej porozrzucane stare wiadra, połamane kubełki i inne niepotrzebne graty. Zwiędły jaśmin, zesmutniały powój, czepiały się kiedyś ślicznej lekkiej kolumnady, dziś chylącej się do upadku; a z pomiędzy jego gałęzi dziwnie wyglądały kołki powbijane w kolumny dla uwięzywania koni. Z pod dzikiej trawy zarastającej ogród, wyglądały gdzie niegdzie egzotyczne rośliny, skarżąc się na zaniedbanie i opuszczenie. W oranżerji bez okien stały na połamanych pułkach zapomniane wazoniki z tyczkami, około których sterczały uschłe gałęzie z suchemi liśćmi.

Bryka toczyła się po bitej drodze, ocienionej przepysznemi alejami z drzew chińskich, których prześliczne formy i wiecznie zielone liście samotnie żyły pośród powszechnego zaniedbania i upadku.

Śliczny i obszerny dom był zbudowany według planu modnego w Południowych Stanach Północnej Ameryki; weranda o dwóch piętrach, z których drugie spoczywało na kolumnach z cegły, otaczała dom wokoło; wychodziły na nią drzwi ze wszystkich pokoi. Niektóre okna zabite deskami, w innych szyby powybijane, okiennice zawieszone na jednym haku smutnie skrzypiały poruszane wiatrem. Niedbalstwo, opuszczenie przeglądało ze wszystkich kątów.

Kawały drzewa, słoma, beczułki bez dna, pudła, połamane, porozrzucane po całym dziedzińcu tworzyły dziwny widok. Trzy ogromne, dzikie buldogi, zbudzone turkotem kół, z paszczami otwartemi biegło na spotkanie Tomasza i jego towarzyszów za wozem idących. Zaledwo kilku niewolników w łachmanach, spieszących za nimi, zdołało z wielką trudnością obronić od grożącego ich życiu niebezpieczeństwa.

— Ha! widzicie! — zawołał Legris, zwracając się do niewolników i głaszcząc psy z djabelską uciechą — widzicie, co was czeka, jeżeliby przyszła wam ochota uciekać! To doskonałe stróże! ułożone są do polowania na murzynów i każdego z was rozerwą w kawały. Bądźcie więc ostrożni! Czy rozumiecie?

— I cóż, Sambo! — rzekł do murzyna w brudnych łachmanach,

z głową nakrytą kawałkiem kapelusza i który kręcił się około niego z dziwnie uniżoną usłużnością. — Jakże szło beze mnie, dobrze, hę?

— Bardzo dobrze, panie! — odrzekł Sambo.

— Kimbo! — zawołał Legris do drugiego, który różnemi sposobami starał się ściągnąć na siebie jego uwagę. — Czy zrobiono, co rozkazałem?

— Niema już żadnego niebezpieczeństwa panie — odrzekł zapytany.

Ci dwaj byli głównymi wykonawcami woli pana Legris na plantacji. Nauczył ich okrucieństwa, srogości, brutalstwa, tak że mogli śmiało walczyć z buldogami o pierwszeństwo w dzikości. Zauważono powszechnie, że rządca murzyn jest w tyraństwie sroższym, przebieglejszym od białego. Każdy niewolnik staje się stokroć gorszym tyranem, gdy przebiegłością posiędzie władzę.

Legris, na wzór wielu panujących, o których czytamy w historji, dla ulżenia sobie ciężaru panowania, nie dopuszczał jedności i zgody między podwładnymi, obudzał w nich współubieganie się, wzajemną nienawiść. Sambo i Kimbo serdecznie się nienawidzili i również byli nienawidzeni od wszystkich niewolników na plantacji. Legris, podsycając tę nienawiść, obudzając wzajemne szpiegostwo, był pewnym, że się nic nie ukryje przed jego okiem.

Nikt nie może wyrzec się zupełnie towarzystwa. Legris, pierwszych z swych sług dopuszczał do pewnego rodzaju poufałości, co z wielką łatwością według potrzeby umiał obracać na swoją korzyść; na najmniejsze jego skinienie każdy z nich gotów był rzucić się i rozszarpać swego przeciwnika.

O, trzebaby ich widzieć, razem stojących przed obliczem swego pana. Wówczas to w całej pełni okazuje się piekielna sztuka pana Legris. Grube i spodlone rysy ich twarzy przyjmują wyraz okropnej dzikości; ponury wzrok pała nienawiścią i zazdrością, łachmany poruszane wiatrem, mowa pełna dzikiego barbarzyństwa, gardłowy, chrapowaty, nieprzyjemny organ: wszystko to zniżało ich do rzędu zwierząt.

— Hola, Sambo! — zawołał Legris — rozlokuj tych chłopców! Przyrzekłem ci, niedołęgo, kupić żonę, oto masz! — I rozdzielając mulatkę od Eweliny, popchnął ją ku negrowi.

Biedna kobieta zadrżała, a cofając się z przerażeniem, zawołała:

— O panie, ja zostawiłam męża mego w Nowym Orleanie.

— Co? A to zabawne! Co ty mi śpiewasz? — zawołał Legris, podnosząc w górę bat. — Tutaj masz innego męża i nie masz potrzeby się rozwodzić, milcz i ruszaj! No, panienko — rzekł, zwracając się do Eweliny — chodź za mną, no śmielej!

Przez okno wyjrzała dzika, ponura twarz kobiety i znikła, a kiedy Legris wszedł do domu, dał się słyszeć krótki, rozkazujący głos kobiecy. Tomasz z niespokojnością śledząc Ewelinę, zauważył to wszystko i słyszał, jak Legris odpowiedział: Babo! ugryź się w język, ja robię co chcę i nie zważam, czy to się tobie podoba, czy nie!

Tomasz nie mógł słyszeć nic więcej, bo musiał się oddalić za Sambo do mieszkania niewolników. Szli wąską ulicą, między dwoma rzędami nędznych chałup w dość odległej od głównego mieszkania części plan-

tacji. Wszystko tam nosiło charakter okropnego opuszczenia i nędzy. Boleść ścisnęła serce Tomasza na sam tego widok. Biedny! starał się jeszcze pocieszać tą myślą, że będzie przynajmniej miał swoją chałupę, nędzną, straszną bez wątpienia, prawdziwą norę, lecz w której będzie mógł zaprowadzić czystość, porządek, spokój, gdzie w chwilach wolnych od pracy znajdzie spokojne schronienie dla zbolałego serca, dla skołatanego przeciwnościami umysłu. Niespokojnem okiem zaglądał wewnątrz każdej nędznej ciupki, skleconej bez żadnego starania z nieociosanych bierwion; nie dojrzał tam żadnego stołka, posłania, ale tylko przegniłą, brudną słomę, rozrzuconą na stwardniałej gołej ziemi, zoranej niezliczonemi stopami ludzkiemi.

Przyrzekłem ci, niedołęgo, kupić żonę, oto masz . . .

— Która z tych chałup ma być moją? — spytał Tomasz z pokorą swego przewodnika.

— Nie wiem! — odpowiedział Sambo. — Tu może będzie miejsce dla jednego, tam dla drugiego. Teraz dużo jest murzynów na każdą chatę, już nie wiem, czy byłoby miejsca, gdyby ich jeszcze kilku przybyło...

Wieczór się zbliżył. Mężczyźni i kobiety, mieszkańcy tych nor, wracali zmęczeni od pracy, do połowy tylko przykryci odrażającemi łachmanami, smutni, ponurzy, swarliwi, nieradzi wcale z nowo przybyłych. Ożywiła się biedna wioszczyna, ale nie było tam wcale wesołości, zadowolenia, nadziei miłego spoczynku po ciężkiej pracy; grube, chrapowate gardłowe głosy mięszały się z warczeniem ręcznych młynków,

w których każdy z niewolników musiał zemleć jako pożywienie na wieczerzę małą cząstkę wyznaczoną sobie zboża na placek. Był to czas żniw, więc biednych niewolników naganiano do pracy od wschodu słońca do późnego wieczora.

Napróżno szukał Tomasz w tym tłumie choć jednej twarzy sympatycznej. Widział tylko mężczyzn rozbestwionych, cierpkich, kobiety wyniszczone, słabe, lub takie, które tylko z imienia były kobietami. Wszędzie się przebijał brutalny egoizm; silniejszy tyranizował słabszych. Czegoż można było spodziewać się po tych istotach, które uważane za zwierzęta, zeszły rzeczywiście do tak niskiego poziomu. Skrzyp ręcznych młynków dawał się słyszeć do późnej nocy, wielu było głodnych, a młynków mało; słabsi, odpędzeni przez silniejszych, późno w nocy do nich się docisnęli.

— Hola! — zawołał Sambo, rzucając worek zboża pod nogi mulatki — jak ci imię, do djabła?

— Lucja — odpowiedziała zapytana.

— No, Lućka! ty moja żona; masz, zmiel moje zboże i upiecz mi kolację! no, czy ty mnie rozumiesz!

— Ja nie jestem twoją żoną — zawołała z gwałtowną rozpaczą mulatka — zostaw mię w pokoju.

— Ho, to ja cię zaraz nauczę! — zaryczał Sambo i podniósł nogę, by ją kopnąć.

— Możesz mnie zabić, jeżeli chcesz, i to będzie lepiej. O! chciałabym umrzeć — zawołała biedna kobieta.

— Hej, Sambo! powiem panu, że krzywdzisz ludzi, rozumiesz, pójdę go uprzedzić! — rzekł Kimbo, mieląc młynkiem, od którego po barbarzyńsku odpędził kilku słabszych, czekających z swoiem zbożem.

— A ja powiem panu, że ty niedopuszczasz kobiet do młynka, rozumiesz ty, stary murzynie? — odpowiedział Sambo. — Nie mieszaj się do nie swoich spraw.

Tomasz, cały dzień będąc w drodze, wygłodniał okropnie, upadał na siłach z przyczyny braku pokarmu.

— To dla ciebie — krzyknął Kimbo, rzucając mu worek, w którym mogło się zawierać do dziewięciu kwart kukurydzy. — Bierz to! lecz oszczędzaj, bo to żywność na cały tydzień dla ciebie.

Bardzo późno w nocy Tomasz dostał młynek, lecz rozczulony nieszczęśliwem położeniem dwóch kobiet, które osłabione ciężką pracą jakoteż brakiem odpoczynku i pokarmu, nie miały dość sił, aby zmleć swoją porcję — zmeł ich zboże, rozdmuchał ogień na półprzygasły, przy którym tylu już upiekło swe placki, i wówczas zajął się i swą własną wieczerzą. Ten nowy, niewidziany poza tej plantacji miłosierny uczynek, wzruszył odrętwiałe dusze kobiet; z wyrazem wdzięczności, który upiększył ich twarze, umieściwszy na ogniu i Tomasza placek, pilnowały jak się piekł; a Tomasz, usiadłszy przed ogniem, zaczął po cichu się modlić. Biedny! o jakże bardzo potrzebował pociechy!

— Co ty czytasz? — spytała jedna z kobiet.

— Modlę się z książki do nabożeństwa — odpowiedział Tomasz.

— O, mój Boże! ja pierwszy raz widzę książkę od czasu, jak mnie wywieźli z Kentucky.

— Czy ty z Kentucky? — spytał Tomasz.

— Tak, było mi tam dobrze, miałam wszelkie wygody — odpowiedziała kobieta, wzdychając. — O, nigdy się nie spodziewałam znaleść się w tak okropnem położeniu.

— Cóż to za książka? — spytała druga kobieta.

— Tomasz znowu objaśniał.

— A cóż to jest książeczka do nabożeństwa?

— Czyż nie wiesz, że z książki do nabożeństwa można się modlić? Moja dawniejsza pani czasami mi czytała z niej w Kentucky. Lecz tutaj, o! okropnie pomyśleć, tutaj nie słyszy się nic prócz przekleństw i świstu batoga!

— Przeczytaj nam trochę — rzekła zaciekawiona po chwilowym namyśle druga kobieta.

Tomasz czytał: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę".

— To są piękne słowa — potwierdziły kobiety — ale kto to mówi?

— Pan Bóg — rzekł Tomasz.

— O! gdybym wiedziała, gdzie On jest, poszłabym natychmiast do Niego. O! nigdy nie będę miała odpoczynku. Kości, ciało bolą, cała drżę. Sambo cały dzień chodzi za mną, łaje, że nie dość pilnie pracuję. Zaledwie późno po północy mogę upiec sobie placek, położę się, zamknę oczy, a tu już ranek, budzi trąbka do ciężkiej nad siły pracy. O! poszłabym, powiedziałabym to wszystko Panu Bogu, gdybym wiedziała, gdzie on jest!

— On jest tu i wszędzie — odpowiedział Tomasz.

— O! na próżno! nie przekonasz mnie, że Bóg jest tu! niema go tutaj i być nie może! — zawołała kobieta. — Lecz cóż mówić o tem, ot pójdę lepiej położyć się i odpocząć jaką chwilkę.

Kobiety odeszły do swoich chałup, Tomasz został sam jeden przed przygasłem ogniskiem, którego słaby promień czerwonem światłem oświecał jego czarną twarz. Na błękitnem tle nieba srebrny księżyc powoli posuwał się z powagą, a łagodny promień jego oświecił biednego, opuszczonego murzyna, który samotny, z rękoma skrzyżowanemi siedział, trzymając swą książeczkę na kolanach.

„Czy jest więc Bóg tu?" O! z jakąż trudnością umysł przygnębiony może zachować wiarę! jak łatwo może się zachwiać, zwątpić na widok niesprawiedliwości panujących na tym biednym świecie. We wzniosłej duszy Tomasza rozpoczęła się straszna, bolesna walka, upadał pod naciskiem widocznego triumfu złego. Udręczenie, okropne przeczucie bezgranicznej nędzy, wszystkie przeszłe jego nadzieje, tłumnie cisnęły się w jego zbolałem sercu; patrzał obłąkanem okiem jak rozbitek, i widział jak wszystko, co tylko było mu drogiem, unoszą wściekłe fale, ginie w przepaściach bezdennych, nieoświeconych żadnym promykiem nadziei, żadną iskrą miłości. O, jak okropnie, ponuro, ciemno w sercu, gdy nadzieja zamrze, a zwątpienie zastąpi jej miejsce! O jak trudno uwierzyć, przywiązać się z niezachwianym zapałem do tych wielkich,

wzniosłych słów chrześcijanizmu: „Bóg jest sędzia sprawiedliwy, który za dobre wynagradza, a za złe karze".

Zrozpaczony Tomasz wstał i powlókł się, potykając co kroku, do chałupy, którą mu wyznaczono. Cała jej podłoga była zajęta odpoczywającymi po ciężkiej pracy niewolnikami; zaraźliwe wyziewy napełniały chałupę. Cofnął się Tomasz, lecz mroźna noc i skostniałe, zbolałe od zmęczenia członki zniewoliły go wejść napowrót; okrył się więc kołdrą z łachmanów, rzucił się na zgniłą słomę i zasnął.

Zdało mu się, że siedział na miękkiej murawie nad jeziorem Pont-Chartrin, widział siedzącą Ewę z słodkim, poważnym wzrokiem, i słyszał, jak miłym, pełnym pociechy i nadziei głosem do niego przemawiała.

Głos jej napełnił powietrze miłą harmonją, gojącą rany serca, i rozlał się w przestrzeni jakby muzyka niebieska, zesłana na pociechę cierpiącym i udręczonym. Dziecię podniosło swe duże oczy i zwróciło na Tomasza swój słodki, głęboki wzrok, pełen ożywczego ciepła — i spokój wstąpił do jego serca. Ewa uniosła się w powietrze, nagle rozwinęła białe skrzydła, z których polał się potok brylantowych iskier, przejasnych gwiazdek, uleciała w górę i znikła. Przebudził się Tomasz! A więc to był tylko sen? Niestety, tylko sen!

———o———

ROZDZIAŁ XXXIII.

Kassy.

Wkrótce zrozumiał Tomasz, co go czeka w nowem położeniu. Biegły i doświadczony robotnik, był przytem wiernym i pracowitym. Spokojny, cierpliwy, miał nadzieję uniknąć przez gorliwość i pilność przynajmniej choć w części przykrości. Serce go bolało, gdy widział tyle nędzy, tyle cierpień, tyle niesprawiedliwości; lecz postanowił pracować z religijną wytrwałością i cierpliwością, oddając się w opiekę Bogu, który sądzi wszystkich w Swej sprawiedliwości; pocieszał siebie nadzieją, że może się zjawi jaki środek zbawienia.

Legris, tajemnie śledząc zdolności i pracowitość Tomasza, uważał je za wybieg, choć bardzo korzystny dla siebie; czuł jednak do niego nieprzezwyciężoną odrazę, naturalną antypatję człowieka złego do dobrego. Ile razy napadł ze swą gwałtowną brutalnością na słabszego, widział zawsze przenikliwy wzrok Tomasza z wyrazem wyrzutu zwrócony na siebie. Atmosfera opinji jest tak delikatną, że daje się czuć bez słów, i niema myśl niewolnika, istoty wzgardzonej, może krępować pana. Tomasz tysiącem sposobów okazywał towarzyszom swoim współczucie i litość co dla wszystkich było dziwną nowością, a w panu Legris obudzało podejrzliwą zazdrość. Kupił on Tomasza z zamiarem zrobienia go pewnego rodzaju dozorcą, któremu mógłby powierzyć swoje interesy w czasie wyjazdu z domu; lecz nie znajdując w nim tej nieubłagalnej

srogości, którą uważał za konieczny warunek dobrego dozorcy, postanowił w nim ją rozwinąć i nie tracąc czasu, przystąpił do dzieła.

Pewnego poranku, kiedy niewolnicy wychodzili w pole, Tomasz ujrzał między nimi kobietę, której fizjognomja ściągnęła jego uwagę. Była ona wysoka, wysmukła, przyzwoicie, czysto odziana, rąk i nóg nadzwyczajnej delikatności, mogąca liczyć od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat wieku. Postać ta na długo zostająca w pamięci; za pierwszym rzutem na nią oka, rodziła się myśl ofiary okropnego romansowego przeznaczenia. Czoło wyniosłe, brwi równo, prześlicznie zarysowane, nos zgrabny, usta delikatne, kształtna głowa, szyja zgrabna, wskazywały, że była kiedyś przecudnej piękności, a twarz zorana głębokiemi zmarszczkami świadczyła o cierpieniach z dumą i goryczą wytrzymanych. Cera żółtawa, chorowita, policzki zapadłe, rysy ostre, świadczyły o ciężkich przejściach. Duże czarne oczy, ocienione długiemi, gęstemi rzęsami, pełne boleści, cierpień, pełne głębokiej, zastraszającej rozpaczy, wejrzenie ponure, zamglone, nieporuszone, bez wyrazu najmniejszej nadziei tworzyło zadziwiający kontrast z wyniosłością, buntowniczą nieuległością, malującą się w całej jej postawie.

Tomasz nie wiedział, kto ona była i skąd przyszła. Pierwszy ją raz ujrzał, kiedy z dumą i wyniosłością przy słabym jeszcze blasku dnia szła obok niego. Inni musieli ją jednak znać, bo się obracali na nią a było można spostrzec po nich jakiś rodzaj źle ukrywanego triumfu.

— Aha, nakoniec trafiła do nas! o, jak jestem rada! — rzekła jedna z kobiet.

— Hi, hi, hi — mówiła druga — popróbujesz, moja pani naszej pracy; przekonasz się, jak ona miła!

— Zobaczymy, jak się będzie brała do pracy! — przerwała inna.

— O, jakże będę rada, gdy ją obiją!

Nieznajoma zwracała mało uwagi na te urągania, szła z dumą i wyniosłością, jakby nie słyszała wcale, co koło niej mówiono. Tomasz, żyjąc między ludźmi wykształconymi, przeczuł z jej postawy, ułożenia, że musiała należeć do klasy wyższej; ale dlaczego i jakim sposobem doszła do takiego poniżenia, tego rozwiązać nie mógł. Nie spojrzała na niego, nie przemówiła ani słowa, choć szła obok niego od mieszkania aż na pole.

Tomasz, chociaż sam był zajęty, jednak pracując obok niej, z łatwością zauważył, że z przyczyny wrodzonej zręczności i zdolności, praca dla niej była daleko lżejszą, jak dla innych. Zbierała bawełnę bardzo prędko i czysto, z pewnym rodzajem dumy.

Niedaleko Tomasza pracowała także mulatka, kupiona jednocześnie z nim. Widocznie była ona bardzo cierpiącą, ledwo się mogła utrzymać na nogach i gorąco się modliła. Tomasz, zbliżywszy się do niej, nic nie mówiąc, wyjął kilka garści bawełny ze swego kosza i włożył do jej.

— O, nie! nie! — zawołała kobieta z nadzwyczajnem zadziwieniem — nie rób tego, gotowi jeszcze ukarać ciebie za to!

W tej chwili podszedł Sambo, a czując osobistą urazę do niej, trzaskając biczem, zawołał:

— Co ty robisz, Łućka? ha, oszukujesz? — i uderzył ją pięścią a Tomasza ciął biczem przez twarz.

Tomasz pracował w milczeniu dalej, a biedna kobieta utraciwszy resztę sił, upadła zemdlona.

— Podniosę cię wnet — rzekł dozorca z piekielnym uśmiechem. — Dam jej coś silniejszego od kamfory! — wyjął śpilkę z rękawa swojej kurtki i wpakował ją po samą główkę w ciało nieszczęśliwej. Jęknęła biedna z bolu i podniosła się nieco.

— Wstań natychmiast, obrzydłe zwierzę, i pracuj! a nie, to ci pokażę co umiem!

Dobywając na chwilę ostatek sił, biedna z rozpaczliwem płaczem zaczęła pracować.

— No, nie ustawaj! — zawołał barbarzyniec — bo pożałujesz, że jeszcze żyjesz!

— O, chciałabym umrzeć! — jęknęła nieszczęśliwa kobieta. — Boże mój, przyjdź mi ku pomocy.

Słysząc to Tomasz, nie zważając co może nastąpić, zbliżył się do niej i wszystką bawełnę ze swego worka włożył w jej koszyk.

— Co robisz?! Pamiętaj, że cię może spotkać straszliwa kara! — zawołała chora.

— Ja więcej mogę wycierpieć od ciebie — odpowiedział Tomasz i wrócił spokojnie na swoje miejsce. Cała ta scena odbyła się w mgnieniu oka.

Nieznajoma, zbliżywszy się w ciągu pracy do Tomasza, słyszała ostatnie jego słowa, podniosła więc na niego ze zdziwieniem swoje czarne, ponure oczy, a wkładając część bawełny ze swego koszyka do jego, rzekła:

— Gdybyś znał swoje położenie, nie postępowałbyś podobnie; za miesiąc nie będziesz nikomu pomagał, dość ci będzie pracy strzec samego siebie.

— Bóg mię będzie strzegł, pani! — rzekł Tomasz, dając pomimo woli swej towarzyszce pracy tytuł, który zwykł używać, mówiąc do wyższych osób, między któremi żył.

— Bóg nie nawiedza tych miejsc — rzekła kobieta z goryczą, i bolesny uśmiech przebiegł po jej ustach.

Poganiacz widząc tę scenę z drugiego końca pola, z podniesionym biczem pędził ku rozmawiającym.

— Ha, otoż cię mam! — zawołał z miną triumfującą. — I ty także oszukujesz! No, popróbuj tylko, jesteś teraz w mojem ręku, bądźże ostrożną! a nie, to cię poczęstuję.

Czarne jej oczy zaiskrzyły się gniewem, usta drżały, nozdrza się wzdęły, odwróciła się i wyprostowawszy się, cisnęła mu wzrok pełen wściekłości i pogardy.

— Dotknij mię, psie niegodziwy! jeżeli ci stanie śmiałości! Mam dosyć jeszcze władzy! psami cię poszczuję, a rozszarpią cię na kawały. Dosyć jednego słowa!

— Djabeł wie, dlaczego jesteś w takim razie tutaj! — rzekł murzyn, cofając się o parę kroków z miną przelęknioną. — Ja nie chciałem ciebie skrzywdzić, pani...

— Precz więc ode mnie! — zawołała groźnie kobieta. Poganiacz

pod pozorem, że niby zauważył coś na drugim końcu pola, natychmiast się oddalił.

Panna Kassy wzięła się do pracy i biegłością swoją zadziwiła Tomasza. Rzeczywiście, zdawało się, że siła czarodziejska jej pomaga.

Jesteś teraz w mojej ręce, zawołał Sambo . . .

Słońce było jeszcze wysoko, a już napełniła swój koszyk, pomimo, że sowicie udzieliła ze swego zbioru Tomaszowi. Późno już po zachodzie słońca, zmęczeni do najwyższego stopnia robotnicy, niosąc swe koszyki na głowach, szli do magazynu bawełny, gdzie ich kosze zwykle ważono. Legris czekał ich tam, prowadząc żywą rozmowę z dwoma swymi poganiaczami.

— O, ten Tomasz dużo może nam przyczynić kłopotu — mówił Sambo. — Ciągle dokładał bawełny do kosza Łućki; gotów nam zepsuć wszystkich murzynów i jeszcze wmówić im, że są źle traktowani... jeżeli pan nie będzie sam nad nim czuwał.

— A to przeklęty murzyn! — rzekł Legris — trzeba z nim od razu skończyć, czy tak, chłopcy?

Obaj murzyni djabelsko się uśmiechnęli.

— Tak, tak! niech pan sam go ukarze... o! i djabeł nie lepszy od pana w wynajdywaniu kar — rzekł Kimbo.

— Najlepszy początek będzie, kiedy mu każę innych karać... rozumiecie chłopcy? Tym sposobem zmieni prędko swoje zdanie... to go jedynie przerobi!

— Lecz panu trudno będzie zmusić go do tego!

— Trzeba jednak koniecznie czy chce, czy nie — rzekł Legris, żując tytuń.

— Ot jeszcze ta Łućka — mówił Sambo — obrzydliwe stworzenie, najobrzydliwsze z całej bandy.

— Bądź ostrożny, Sambo, zaczynam się domyślać o przyczynie twej nienawiści ku niej.

— Pan wie dobrze, że ona nie posłuchała pana i nie chciała być moją żoną, choć pan jej to kazał.

— O! jabym ją zmusił do posłuszeńswa batogiem, gdyby nie było tyle roboty w polu — rzekł Legris, spluwając; — gdyby nie to, cóż byłoby trudnego natychmiast zmusić ją do wypełnienia mej woli. Lecz ona słaba; a delikatne dziewczyny gotowe się dać zabić, aby tylko na swojem postawić.

— Ale ta Łućka jest djabelnie ponura i gnuśna, nic nie pracowała, Tomasz jej dał ze swego zbioru.

— On jej pomagał? Dobrze, będzie miał więc przyjemność ją bić. To dla niego będzie doskonałą próbą, będzie ją bił oszczędzając, nie tak jak wy, djabli!

— Ho! ho! ho! ha! ha! — zaśmiali się obaj słudzy, a w djabelskim ich śmiechu wylała się cała nikczemność ich charakteru, którą im pan Legris przyznawał.

— Tomasz i Kassy napełnili koszyk Łućki, ręczę — rzekł Sambo — że więcej będzie ważył od innych.

— J a s a m b ę d ę g o w a ż y ł — rzekł Legris znacząco.

Dwaj poganiacze zaśmiali się powtórnie tym samym djabelskim śmiechem.

— A więc panna Kassy ukończyła swą robotę? — spytał Legris.

— Ona tak pracowała, jakby jej sam djabeł z całem piekłem pomagał.

— Opętali ją wszyscy djabli razem — odrzekł Legris i poszedł do sali, gdzie stały wagi.

. . . . . .

Zmęczone, zbite, wyniszczone istoty, drżąc z bojaźni, przychodziły pojedyńczo, przynosząc swoje koszyki.

Legris na tabliczce z łupku zapisywał wagę pod imieniem każdego murzyna.

Kosz Tomasza okazał się dostatecznie napełnionym; spokojny więc o siebie, niecierpliwie oczekiwał na kobietę, której pomagał.

Drżąc ze słabości, zbliżyła się nieszczęśliwa. Jej kosz zaważył więcej, jak było wyznaczone; Legris widział to dobrze, lecz krzyknął z udanym gniewem:

— Ach, ty leniwe zwierzę! i znowu nie dość pełny kosz, odejdź na stronę, zaczekaj, zaraz się porachujemy!

Nieszczęśliwa jęknęła rozpaczliwie i upadła na ławkę.

Podeszła Kassy i niedbale, z dumą podała swój kosz. Legris spojrzał na nią pogardliwie, wyzywająco.

Zwróciła swe czarne oczy na niego i drżącemi ustami powiedziała coś po francusku. Nikt jej nie zrozumiał prócz Legrisa, który z djabelskim wyrazem podniósł rękę jak do uderzenia. Nie cofnęła się, nie zadrżała, lecz zmierzyła go wzrokiem pełnem pogardy i wyniosłej dumy, odwróciła się i odeszła.

— A teraz pomówię z tobą, Tomaszu, no, przybliż się — rzekł Legris. — Już mówiłem ci, że nie kupiłem ciebie wcale do zwyczajnej pracy, chcę cię uczynić dozorcą; od tej więc chwili będziesz wprawiał swą rękę do karania. Weźmij tę dziewkę i osiecz ją. Musiałeś często widzieć podobne operacje, nie potrzebujesz zapewne, aby cię tego uczono.

— Daruj pan — odrzekł Tomasz z godnością — spodziewam się, że nie będziesz mię używał do podobnej czynności. Nie jestem przyzwyczajony, nigdym tego nie robił, nie potrafię zrobić... to niepodobna!...

— Tego wnet się nauczysz i innych rzeczy, których jeszcze nie umiesz — rzekł Legris. A chwyciwszy pas ze skóry bawolej, uderzył nim po twarzy Tomasza, i zaczął go okładać, ile mu sił starczyło. — Ha! — zawołał, zatrzymując się dla odetchnienia — teraz nie powiesz, że nie potrafisz tego uczynić?

— Tak, panie — rzekł Tomasz, ocierając ręką krew ciekącą po jego twarzy. — Jestem gotów pracować dzień i noc, pracować póki siły pozwolą, lecz co uważam za złe, tego nie uczynię. Tak, panie! tego nigdy nie uczynię, n i g d y!

Spokojny, cichy głos Tomasza, postępowanie poważne, pełne względności, przekonały pana Legris, że Tomasz musi być tchórzem i łatwo da się prowadzić. Gdy wymówił te ostatnie słowa, wszyscy zadrżeli z przestrachu, spojrzeli jeden na drugiego, pomimo woli wstrzymali oddech, oczekując wybuchu gniewu pana Legris. Biedna kobieta, podnosząc złożone ręce, zawołała: — O Panie, Boże mój!

Oniemiał Legris, zdrętwiał na chwilę, widząc tyle zuchwałości w prostym niewolniku, którego kupił za złoto jak bydlę, lecz wkrótce tem większa opanowała go wściekłość:

— Ach, ty przeklęty, czarny zwierzu! ty śmiesz uważać to za złe, co ja ci każę robić! a kto z was, czarne djabły, ośmiela się sądzić, co jest dobrem, a co złem. Ha! co ty sobie myślisz, masz siebie za pana, panie Tomaszu? Śmiesz być mędrszym od swego właściciela i uczyc

go, co jest dobrem a co złem! Ach, ty podły murzynie! więc ty uważasz, że to źle ćwiczyć dziewczynę?

— Tak sądzę, panie — odpowiedział spokojnie Tomasz — ona jest jak słabą i chorą, że byłoby okrucieństwem... tego nigdy nie uczynię, nigdy! Jeżeli pan chcesz, zabij mię, ale ja nigdy nie podniosę ręki na nikogo, wolę raczej umrzeć.

Spokojny głos Tomasza nie zostawił żadnej wątpliwości, że to, co mówił, stale dotrzyma. Legris drżał z wściekłości, zielonawe jego oczy dziko błyszczały, włosy się najeżyły; lecz jak okrutne zwierzę, chcąc naprzód nacieszyć się swą zdobyczą, nim ją rozedrze, wstrzymał wściekłość i zaczął drwić.

— Ha, przewybornie! oto pobożne psisko, święty dżentelman, trafił do nas grzesznych, dla nawracania, dla wzywania nas do pokuty za grzechy nasze. Głupcze pobożny! a czy nie wiesz, że powiedziano jest w Piśmie św.: „słudzy bądźcie uległymi swym panom!“ he, ty czarny psie! a czyż ja nie twój pan? czy nie zapłaciłem tysiąc dwieście dolarów brzęczącą monetą za wszystko, co się znajduje w twej obrzydliwej czarnej skórze? Czy ty nie należysz z ciałem i duszą do mnie? — mówił Legris, uderzając Tomasza z całej siły ciężkim batogiem. — No, psie nędzny, odpowiadaj!

W niewypowiedzianej boleści, przybity brutalnem postępowaniem swego pana, Tomasz uczuł radość i pewny triumf w swej duszy, gdy usłyszał to pytanie. Wyprostowawszy się i wzniósłszy oczy, zalane krwią i łzami, w niebo z prośbą o godne wytrwanie w tak ciężkiej próbie, zawołał:

— Nie, panie! moja dusza nie należy do pana! pan nie mógł jej kupić i nie kupił jej: odkupił ją krwią Swoją Ten, który ma moc przywołać ją w każdej chwili do Siebie, a o resztę nie dbam, pan nie możesz uczynić mi nic złego!

— Ha, co? Ja ci nie mogę uczynić nic złego? — ryknął rozwścieczony Legris. — Hola, Sambo! Kimbo! poczęstujcie tego psa tak, żeby nie mógł wstać przez cały miesiąc. Rozumiecie, no! gracko mi się sprawcie!

Dwaj olbrzymi murzyni z djabelską radością chwycili biednego Tomasza w swe żylaste szpony, jak istni służalcy piekła. Nieszczęśliwa mulatka jęknęła przeraźliwie; wszyscy niewolnicy jakby na ogólne hasło powstali ze swych siedzeń, kiedy oprawcy ciągnęli nieopierającego się przez salę Tomasza.

———o———

ROZDZIAŁ XXXIV.

Historja Kassy.

Noc się zbliżyła; krwią zbroczony Tomasz leżał, jęcząc na ziemi w szałasie przytykającym do magazynu, pomiędzy kawałkami połamanych machin, stosu zepsutej bawełny i innych rupieci, nagromadzonych tam przez niedbałość z upływem czasu.

Powietrze wilgotne i nielitościwe roje moskitów powiększały jego cierpienia; a do tego jeszcze pragnienie, najnieznośniejsze z cierpień, paliło jego piersi.

— O, dobry, sprawiedliwy Boże — modlił się Tomasz w swych boleściach — zwróć wzrok Swój na sługę Twego, daj mi siły do wytrzymania cierpień, dozwól mi zwyciężyć ciężką, bolesną próbę, zesłaną na mnie z łaski Twojej!

Wtem dał się słyszeć lekki chód i światło latarki nagle oświeciło szopę.

— Kto tam? Na miłość Boską, daj mi choć kroplę wody — zawołał cierpiący.

Kassy — była to ona — postawiła latarkę na ziemi, nalała wody z butelki i podniosłszy głowę Tomasza, dała mu pić. Biedny z gorączkowem pragnieniem wypił jedną i drugą szklankę.

— Pij, ile chcesz! — zawołała — wiedziałam naprzód, jak się to zakończy. Nie pierwszy to raz chodzę po nocy z wodą, odwiedzając nieszczęśliwych podobnych tobie.

— Dziękuję pani — rzekł Tomasz, gdy się napił.

— Nie nazywaj mię panią — rzekła z goryczą — jestem nędzną niewolnicą, tak spodloną, jak i ty kiedyś będziesz. Obróciwszy się ku drzwiom, wyciągnęła siennik pokryty suknem, zmoczony zimną wodą. — Popróbuj położyć się na nim i staraj się obracać na wszystkie strony.

Bezsilny, zbolały Tomasz nie łatwo mógł wypełnić zlecenie; lecz skoro tylko się położył na sienniku, poczuł wielką ulgę.

Starania Kassy, nauczonej długiem doświadczeniem, nabytem przez doglądanie nieszczęśliwych ofiar dzikiego, okrutnego swego pana, przyniosły wkrótce wielką ulgę cierpiącemu Tomaszowi.

— A teraz — rzekła, podkładając mu pod głowę coś w rodzaju poduszki ze zwiniętej, zbutwiałej bawełny — oto wszystko, co mogłam dla ciebie uczynić.

— Tomasz podziękował. Ona, usiadłszy na ziemi, objęła swe kolana obiema rękoma i patrzała przed siebie z wyrazem pełnym boleści i cierpienia. Słomiany kapelusz zsunął się z jej czoła i długie sploty czarnych włosów otoczyły jakby ramą jej dziwnie melancholiczną twarz.

— Próżna praca, mój biedny poczciwcze! — rzekła po niejakiem milczeniu — bezkorzystne twoje usiłowania. Postąpiłeś odważnie, masz słuszność za sobą; lecz wierzaj mi, walka ta nie wyda owoców. Jesteś w szponach djabła, on jest silniejszy, będziesz musiał nakoniec ulec!

— Ulec, niestety! tak jest; człowiek jest fizycznie słaby i ciało łatwo ulec może. Tomasz zadrżał. Ta kobieta z gorzkim, ironicznym uśmiechem, z dzikim wzrokiem, z głosem drżącym, zdawała mu się być wcielonem p o k u s z e n i e m, z którem nieustannie walczył.

— Panie Boże mój! — zawołał. — I ja mam ulec?

— I co ci pomoże wzywać Boga? On nie usłyszy! — rzekła kobieta. — Niema Boga, a jeżeli jest, to On popiera stronę nam przeciwną. Przeciw nam niebo i piekło się sprzysięgło. Wszystko nas pcha do piekła i dlaczegoż nie idziemy tam?

Słysząc tak straszne, bezbożne słowa, Tomasz ze zgrozą i przerażeniem zamknął oczy, jakby dla odpędzenia piekielnej zmary.

— O! ty nie wiesz — mówiła dalej — co się tu dzieje, lecz ja wiem. Pięć lat w tych miejscach depcze on i ciało i duszę moją swą obmierzłą stopą; nienawidzę go jak szatana! Tutaj jesteśmy w samotnej pośród błot plantacji, o dziesięć mil oddaleni od innych. Nie znajdziesz tu białego, któryby mógł świadczyć, jeżeli cię żywcem usmażą, posiekają na kawałki, lub psom na pożarcie oddadzą, powieszą lub zaćwiczą na śmierć! Niema tu ani praw boskich, ani ludzkich, któreby mogły ciebie lub kogo z nas ochronić. A niema nikczemności, którejby on, ten okrutnik, nie był zdolny popełnić. Najśmielszy, najodważniejszy zadrżałby, gdybym opowiedziała, com ja, ja tylko jedna widziała w tych miejscach! Opór tu niemożebny! Czyż ja chciałam żyć z nim? Czyż nie byłam starannie wychowaną? A on! o dobry Boże! czemże on był i czem jest? A jednak żyłam z nim przez pięć lat, przeklinając we dnie i w nocy każdą chwilę mego życia. Teraz przywiózł sobie dziecię zaledwie piętnaście lat liczące, bogobojne... Dobra jej pani nauczyła ją czytać i pisać.

Kassy zaśmiała się złowieszczo, i śmiech jej dziko się odbił w tej starej zrujnowanej stodole, jakby echo z drugiego świata. Tomasz załamując ręce, zawołał:

— O Jezu, Zbawicielu nasz! czyż rzeczywiście wydałeś nas na pastwę tego człowieka? Wspomóż mię, Panie, wspomóż, bo upadam!

Kassy głosem oschłym mówiła dalej:

— Twoi towarzysze pracy są to nędzne, czołgające się psy! czyż warci oni, abyś się za nich poświęcał? Niema ani jednego, któryby dla nędznego zysku nie powstał przeciw tobie! Wszyscy oni wzajemnie się nienawidzą, wszyscy równie niewdzięczni, okrutni, wynaturzeni. I pocóż dajesz się męczyć za nich?

— Biedni! — zawołał Tomasz. — I cóż ich uczyniło tak złymi? I ja, gdybym uległ, stałbym się im podobnym i powoli zobojętniałbym jak oni. Nie, nie, pani! ja wszystko straciłem: żonę, dzieci, chatę i dobrego pana, któryby mię uwolnił, gdyby pożył jeszcze tydzień. Straciłem wszystko na tym świecie, wszystko i na zawsze; o! czyż mam tracić i niebo! Nie, nie, przenigdy!

— Lecz Stwórca nie może uważać tego za grzech — rzekła Kassy. — Czyż nie przynaglają, nie zmuszają nas? Powinien zażądać rachunku od prześladowców naszych!

— Tak — rzekł Tomasz — lecz to nas nie zwalnia od wypełnienia obowiązków naszych. Jeżelibym kiedy został tak okrutnym jak Sambo, jeżelibym stracił wszelkie uczucie litości, byłbym złym człowiekiem, a to właśnie mnie przeraża.

Kassy zwróciła swój dziki, ponury wzrok na Tomasza, i jakby ją nowa myśl uderzyła, jęknąwszy ciężko, zawołała:

— O Boże miłosierny! tak, ty prawdę mówisz! o... o!... — I upadła na ziemię z okropnem łkaniem, jakby pod ciężarem strasznej moralnej boleści.

Nastąpiła cisza, którą czasami tylko westchnienia przerywały. Nakoniec rzekł Tomasz głosem słabym:

— O! gdyby pani była tak łaskawą?...

Kassy powstała, twarz jej przybrała zwykły wyraz pełen goryczy.

— O! gdyby pani była tak łaskawą — powtórzył Tomasz. — Widziałem, jak rzucili moje odzienie tam, w kąt; w kieszeni mego kaftana jest książka, może pani poda mi ją?

Kassy podała książkę. Tomasz otworzył ją w zaznaczonem miejscu, gdzie karty były więcej zużyte. Było to rozmyślanie o śmierci Zbawiciela.

— Gdyby pani była tak dobrą i przeczytała mi ten ustęp, to większą przyniesie mi ulgę, jak świeża woda.

Kassy wzięła księgę, a przebiegłszy bystro stronicę, zaczęła czytać głosem drżącym, z uczuciem właściwem wzniosłej opisowi męki Pańskiej. Często głos zamierał jej w piersi i musiała się zatrzymywać dla pokonania wzruszenia; a kiedy doszła do słów: „Ojcze mój! przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią“, rzuciła księgę na ziemię i zakrywając swą twarz długiemi włosami, zaczęła konwulsyjnie, gwałtownie płakać.

Płakał i Tomasz, szepcąc po cichu pacierz.

— O! gdybyśmy mogli Zbawiciela naśladować! — zawołał z westchnieniem. — O, Zbawicielu, wspomóż nas! dodaj nam sił! Panno święta, wstaw się za nami u Syna Twego.

— Widzę — zawołał po chwili — że jesteś pani doskonalszą ode mnie; ale jest jedna rzecz, której możesz się nauczyć od biednego nawet Tomasza. Powiadasz pani, że Bóg jest przeciw nam dlatego, że pozwala nas bić i prześladować; a oto widzi pani, co się stało z Jego własnym Synem, z Panem najwyższej chwały! Czyż On nie był zawsze biednym? i któż z nas był tak poniżony jak on? Bóg nie zapomniał o nas, o! jestem tego pewny. Jeżeli będziemy cierpieli z Nim, będziemy z Nim i panowali, lecz jeżeli się Go zaprzemy, i On się nas zaprze. Czyż nie cierpieli oni wszyscy, czyż nie cierpiał sam Zbawiciel i jego wybrani?

— Lecz dlaczego posyła nas tam, gdzie nasze siły za wątłe, abyśmy się mogli oprzeć pokusie? — spytała Kassy.

— Ja wierzę, że Bóg da nam i siły do zwalczenia pokus, skoro je na nas zsyła.

— Zobaczysz! — zawołała Kassy — co z tobą jutro uczynią! jak będą cię znowu męczyli. Znam ich, byłam przytomną wszystkich ich czynów. Drżę na samą myśl, co będziesz musiał jeszcze wycierpieć, a nakoniec ulegniesz.

— O Panie Jezu — zawołał Tomasz — polecam ci mą duszę! Nie dozwól, abym upadł!

— Słyszałam podobne wołania, podobne modły, a jednak wszystkie one przebrzmiały i zamilkły na wieki. Oto Ewelina chce się opierać i ty także, ty próbujesz: i poco? Będziesz musiał, ustępując krok za krokiem, ulec — albo umrzeć.

— A więc u m r ę! — zawołał Tomasz. — Niech mnie prześladują, niech męczą tak długo, jak im się podoba, nie przeszkodzą mi nakoniec umrzeć. A potem nie będą mogli nic mi już uczynić, będę swobodny,

będę wolny! O! wierzę, że Bóg mię nie opuści; On mię poprowadzi przez męki i cierpienia!

Kassy, nic nie odpowiadając, usiadła ze wzrokiem spuszczonym ku ziemi.

— Być może, że to prawda! — przemówiła po chwilowem milczeniu — lecz kto uległ, dla tego niema już żadnej nadziei, tak, żadnej! Żyjemy zanurzeni w brudach i błocie, brzydząc się sobą, żądamy śmierci, a nie mamy odwagi sobie jej zadać, choć żadnej już dla nas niema nadziei!... I ona, biedne dziecię, w tym samym jest wieku, w jakim ja byłam!

— Spojrzyj na mnie — mówiła, zwracając się do Tomasza — spojrzyj, patrz, czem jestem. A urodziłam się otoczona bogactwem, zbytkiem. Pamiętam pyszne mieszkanie, w którem będąc dzieckiem, żyłam; ubierano mię zbytkownie, obsypywano mię pieszczotami, pochwałami. Okna salonu wychodziły na ogród, tam ja z moimi braćmi i siostrami biegałam, chowałam się pod pomarańczowemi drzewami. Oddano mię do klasztoru, gdzie mię uczono muzyki, francuskiego, haftowania, jednem słowem wszystkiego, co stanowi dobre wychowanie. W czternastym roku wystąpiłam, aby oddać ostatnią posługę zmarłemu memu ojcu. Umarł on nagle, i kiedy chciano sprzedać jego majętność, przekonano się, że zaledwo wystarcza na spłacenie długów. Kredytorowie spisali inwentarz i w nim mnie pomieścili, ponieważ matka moja była niewolnicą; ojciec mój, chociaż miał szczery zamiar mię uwolnić, nie uczynił tego przed śmiercią. Wiedziałam dobrze, kim byłam, lecz nigdy się nad tem nie zastanawiałam. Kto się mógł spodziewać, aby człowiek pełen siły i zdrowia tak nagle umarł? Na cztery godziny przed śmiercią był pełen życia, była to pierwsza ofiara grasującej w Nowym Orleanie cholery. Nazajutrz po pogrzebie, żona jego ze swemi dziećmi wyjechała na plantację swego ojca. Widziałam, że ze mną dziwnie postępuje, lecz nie mogłam pojąć dlaczego. Młody adwokat, któremu powierzone były interesy, postępował ze mną z wielką względnością. Pewnego wieczora przyprowadził młodego człowieka, który wydał mi się śliczniejszym, niż wszyscy mężczyźni, których dotychczas widziałam. Nigdy nie zapomnę tego wieczora; przechadzałam się z nim po ogrodzie. Byłam smutną, opuszczoną, a on był taki czuły, taki dobry dla mnie. Mówił, że widząc mnie jeszcze przed wstąpieniem do klasztoru, pokochał mię już wówczas, przyrzekał być moim opiekunem, przyjacielem, i nic mi nie mówiąc, zapłacił za mnie dwa tysiące dolarów. — Zostałam więc jego własnością. — Chętnie zgodziłam się być jego niewolnicą, bo go kochałam. Tak, ja go kochałam! — powtórzyła, zatrzymując się na chwilę. — O! i jakże go kocham jeszcze, i do ostatniej chwili życia mego kochać nie przestanę. On był taki szlachetny, taki dobry. Wprowadził mię w przepyszny dom, napełniony niewolnikami; miałam konie, pojazdy, bogate materje, prześliczne klejnoty; co tylko za pieniądze można mieć, wszystkiem tem mię otoczył, choć mało o to dbałam. Byłam zajętą tylko nim; jam go kochała silniej aniżeli duszę moją i nie mogłam mu się oprzeć, miłość odjęła mi siły. Jednegom tylko żądała, abym mogła zostać żoną jego, żoną prawną. Sądziłam, że jeżeli mię tak kocha, jak się zaklinał,

jeżeli jest tem, czem się być wydawał, że mnie oswobodzi i poślubi; lecz dowodził, że to rzecz niepodobna, a przytem opowiadał, że dość wzajemnej wierności, aby być w obliczu Boga prawymi małżonkami. Jeżeli to prawda, to czyżem nie była jego żoną, bo czyż nie byłam mu wierną? Przez lat siedm czyż się nie uczyłam odgadywać każde jego wejrzenie, każdy ruch? czyżem nie żyła, nie oddychała jedynie dla niego? Zachorował na żółtą febrę i dwadzieścia nocy czuwałam przy nim. — Jam jedna podawała mu lekarstwa, jam jedna i na chwilę go nie odstępowała, on mię nazywał dobrym swoim Aniołem, czule dziękując, żem mu zachowała życie.

— Mieliśmy dwoje prześlicznych dzieci. Starszego chłopczyka nazwaliśmy Henrykiem, dając imię ojca, którego był żywym obrazem; miał takież prześliczne oczy, toż same wyniosłe czoło, włosy także wijące się; tenże głęboki rozsądek, zadziwiające zdolności, niepohamowaną dumę. Młodsza Elżbieta, jak mówiono, była do mnie podobna. Utrzymywał, że byłam najpiękniejszą z kobiet w Luizannie, był dumny ze mnie i z naszych dzieci. Lubił, kiedym sama je ubierała, przejeżdżał się z nami w odkrytym pojeździe; z dumą przysłuchiwał się pochwałom, jakie tłum nam oddawał i z przyjemnością opowiadał mi je. O! były to chwile szczęśliwej błogości! Żadna kobieta na świecie, przynajmniej tak sobie myślałam, nie mogła być więcej szczęśliwą ode mnie; lecz w krótce nastąpiły dni nieszczęścia. Przyjechał jeden z jego krewnych do Nowego Orleanu, przyjaciel jego od serca. Od pierwszego wejrzenia instynktownie się go lękałam: przeczuwałam, że będzie on przyczyną naszego nieszczęścia. Wychodził z nim Henryk codzień i wracał zaledwie o drugiej, trzeciej godzinie w nocy. Nie śmiałam nic mówić, bo Henryk był dumny i popędliwy, a ja bałam się go obrazić. Przyjaciel wciągnął go do domu gry. A Henryk był z tego rodzaju ludzi, którzy, gdy raz tam wejdą, nie łatwo wychodzą. Przyjaciel przedstawił go innej kobiecie i wkrótce przestał mię kochać. Nie powiedział mi tego wprawdzie nigdy, lecz ja to czułam, widziałam codzień jaśniej. Serce moje pękało z boleści, lecz ani jednem słowem nie dałam mu tego uczuć. Nikczemny zwodziciel ofiarował się kupić mnie i nasze dzieci; bo Henryk nie mógł opłacić długów, które mu przeszkadzały się ożenić, a czego jednak pragnął — i s p r z e d a ł n a s. Powiedział mi razu pewnego, że ma interes jakiś dość daleko, że pojedzie na dwa, trzy tygodnie. Mówił do mnie czulej niż zwyczajnie, przyrzekał wrócić; lecz to mię nie mogło oszukać. Przeczuwałam, że przyszła chwila mego nieszczęścia, stałam skamieniała, nie mogłam ani mówić, ani płakać. Ściskał mnie i dzieci po kilka razy i — odjechał. Widziałam, jak dosiadł konia, goniłam za nim wzrokiem, aż zniknął mi z oczu... wówczas nie wiem, co się ze mną stało — zemdlałam.

Przyszedł nikczemnik po swą własność. Pokazał mi papier na dowód, że kupił mnie i moje dzieci. Jam go przeklęła i stanowczo zapowiedziałam, że raczej umrę, a żyć z nim nie będę.

— Jak ci się podoba — odpowiedział — jeżeli mnie nie usłuchasz, sprzedam twoje dzieci i nigdy ich nie ujrzysz. — Przyznał się, że w chwili, w której mnie pierwszy raz ujrzał, zapragnął mię posiąść, że

oszukał Henryka, wciągnął do domu gry, wprowadził go w długi, jedynie, aby go zmusić do sprzedania mnie; powiedział, że on, Botler, połączył Henryka z inną kobietą, że powinnam zrozumieć, że zadawszy sobie tyle trudu, nie będzie zważał ani na krzyk, ani na łzy, ani też na żadne inne grymasy.

— Uległam, ponieważ miałam ręce związane, — on był panem moich dzieci... Skoro się tylko w czemkolwiek jego woli opierałam, natychmiast groził, że je sprzeda i wówczas stawałam się pokorną, posłuszną jak tego sobie życzył. O, co za straszne życie! Serce moje przepełnione było boleścią bez granic i również nienawiścią. Byłam związaną ciałem i duszą z człowiekiem, którego nienawidziłam! Lubiłam głośno czytać Henrykowi, grać, śpiewać... a teraz musiałam robić to wszystko dla kogo innego, o! to była okropna kara. I jednak nie śmiałam mu odmówić, był dla dzieci moich nielitościwy, groźny. Elżbieta była trwożliwą; lecz Henryk miał charakter dumny, popędliwy swego ojca i nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Botler szukał wiecznie z nim zaczepki, znajdował go zawsze winnym, gniewał się nieustannie; byłam więc w ciągłej o syna trwodze. Starałam się nakłonić Henrysia do uległości, bom kochała me dzieci nad życie, lecz wszystkie usiłowania spełzły na niczem. Sprzedał je! Pewnego dnia kazał mi przejechać się konno, i gdym wróciła, nie zastałam moich dzieci. Przyznał się, że je sprzedał, pokazał mi złoto, które wziął za nie. O! wówczas czułam, że wszystko, co było dobrego we mnie, zamarło; bredziłam, przeklinałam, złorzeczyłam ludziom i Bogu, i sądzę, że nędznik ten ulękł się mej rozpaczy; lecz mądrze sobie poradził. Powiedział mi, że choć moje dzieci sprzedane, on może jednak zrobić, że je będę często widywała; a jeżeli się nie uspokoję, one na tem ucierpią. O! można wszystko wymóc na kobiecie, zagrażając jej dzieciom. Jeszcze więc raz uległam, bo robił mi nadzieję, że je odkupi. Tak przeszło kilka tygodni.

— Pewnego dnia, przechodząc niedaleko Kalabuzy, ujrzałam zgromadzony tłum przed drzwiami i usłyszałam głos dziecięcia; nagle mój Henryk wymknął się z rąk dwóch czy trzech ludzi, którzy go trzymali, rzucił się ku mnie i zawisł na mej szyi. Oprawcy biegli za nim, okropnie go łając; jeden z nich, którego fizjognomji w życiu mojem nie zapomnę, zagroził, że to mu nie ujdzie bezkarnie, że go zaprowadzi do Kalabuzy i da mu taką lekcję, której nigdy nie zapomni. Prosiłam, błagałam, — śmiali się ze mnie. Biedny Henryk! jęczał, błagalnie patrząc mi w oczy i tak się mocno uczepił, że oderwano go ode mnie z kawałem mej sukni, porwali go... biedne dziecię krzyczało rozpaczliwie: „matko! matko moja!“ Jeden z tłumu zdawał się odczuwać litość nade mną. — Ofiarowałam mu wszystkie pieniądze, jakie miałam, prosząc go, aby pomógł mi w tej sprawie. Lecz pokiwał głową i rzekł: „właściciel dziecka upewnia, że ono zawsze było zuchwałe, nieposłuszne, że chce je ukarać!“ Uciekłam, słyszałam wciąż bolesny, rozdzierający krzyk mego syna. — Wchodzę do salonu, znajduję tam Botlera, opowiadam mu całą rzecz, proszę, zaklinam, błagam, aby poszedł i wstawił się za synem moim. Odpowiedział mi, śmiejąc się, że syn mój zasłużył na karę, że trzeba

upor jego przełamać i to czem prędzej, tem lepiej. „I czegoż jeszcze czekasz?" spytał drwiąco.

— Zdawało mi się, że coś pękło w mej głowie, byłam wściekłą warjatką. Pamiętam jak przez mgłę, że leżał nóż na stole, porwałam go, rzuciłam się na nikczemnika, potem wszystko mi w oczach ściemniało, i długie tygodnie nic nie widziałam, nic nie pojmowałam.

Kiedym przyszła do przytomności, ujrzałam się w pokoju bardzo przyzwoitym, ale nie w moim. Doglądała mnie stara murzynka, odwiedzał mnie lekarz, obchodzono się ze mną troskliwie. Wkrótce dowiedziałam się, że Botler wyjechał, zostawiając rozkaz sprzedania mnie; to mi rozwiązało tajemnicę, dlaczego się jeszcze o mnie starać kazał.

Nie chciałam żyć, miałam nadzieję, że umrę; lecz na przekorę mym życzeniom, gorączka mię opuściła, powoli przyszłam do zdrowia i wstałam z łóżka. Wówczas kazano mi się codzień stroić, przychodzili mężczyzni, paląc cygara, oglądali mię, wypytywali, spierali się o cenę. Byłam tak smutną i ponurą, że bali się mnie kupić. Grożono, że mię oćwiczą, jeżeli nie będę weselszą i ugrzecznioną dla oglądających. Nakoniec zjawił się dżentleman Stuart; zdawało się, że on pojął moje nieszczęście, odgadł boleść mego serca: przychodził do mnie sam jeden dość często i wymógł nakoniec, że mu powierzyłam przyczynę mego smutku. Kupił mię i przyrzekł użyć wszelkich środków dla wynalezienia moich dzieci. Udał się do domu, gdzie był mój Henryk; powiedziano mu, że go sprzedano plantatorowi z nad rzeki Perłowej; to była ostatnia wiadomość, jaką miałam o biednem mojem dziecku. Dowiedział się także, że moją małą sprzedano jakiejś starej pani; lecz choć ofiarował ogromną sumę, nie ustąpiono mu jej. Botler, gdy się dowiedział, że pan Stuart żąda jej dla mnie, kazał mi powiedzieć, że jej nigdy mieć nie będę. Kapitan Stuart był dobry, czuły; pojechaliśmy do jego prześlicznej plantacji. W rok miałam syna, o biedny, drogi mój mały, jakże on przypominał mi Henryka. Lecz dojrzał we mnie okropny zamiar! stanowczo postanowiłam nie wychowywać więcej dzieci. Przycisnęłam mego małego chłopczyka do piersi, zaledwo miał dwa tygodnie, całowałam go, pieściłam, później dałam mu opium... i na moim ręku zasnął na wieki. O jakżem go żałowała, jak płakałam po nim. Sądzili, że to był przypadek, nieostrożność, nikt nie mógł domyślić się prawdy. To jeden z tych moich postępków, za które i teraz siebie pochwalam... Nie żałuję tego... on przynajmniej jest wolnym od wszelkich cierpień. I czyż mogłam mu dać co lepszego? — Wkrótce nowa epidemiczna cholera zabrała kapitana Stuarta. Wszyscy, którzy chcieli żyć, umarli; a ja — ja, będąca u wrót śmierci, żyję jednak! Byłam sprzedawana, przechodziłam z rąk do rąk; nakoniec shańbioną, spotwarzaną, pozbawioną wdzięków, ze zmarszczkami na twarzy, po strasznej gorączce kupił mię ten nikczemnik i — teraz jestem tutaj!

Zatrzymała się. W ciągu swego opowiadania, Kassy czasem się obracała do Tomasza, czasem jakby mówiła sama do siebie, a opowiadała z taką dziką energją, z taką namiętnością, z takim porywającym zapałem, że Tomasz zapomniał na chwilę o swych boleściach, i podno-

Gdzież On jest? Gdzież mam Go szukać? — odezwała się kobieta.

sząc się na łokciu, pilnie ze współczuciem śledził każdy jej ruch, gdy w gorączce biegała po szopie z rozpuszczonemi włosami.

— I mówisz — zawołała po niejakiem milczeniu — że jest Bóg, Bóg który patrzy na nas i widzi wszystko. Być może, że to prawda... Zakonnice, które mię wychowały, mówiły o sądzie ostatecznym, na którym wszystkie tajemnice będą wykryte! To wówczas może nastanie chwila zemsty... co? Za nic uważają nasze cierpienia; — za nic cierpienia dzieci naszych! To bagatela, powiadają; a jednak błądziłam po ulicach, nosząc ciężar boleści w mem sercu, pod którem mogłoby upaść całe miasto. Chciałam, aby domy się zawaliły na mnie, aby się ziemia rozwarła pod memi stopami. — O, tak i w chwili ostatecznego sądu śmiało stanę przed Bogiem i będę świadczyła przeciw ciemiężcom naszym, którzy zatracili mnie i dzieci moje, zatracili nas z ciałem i duszą!... Będąc jeszcze młodą dziewczynką, byłam pobożną i lubiłam się modlić do Boga. Teraz jestem zgubioną, oddaną na pastwę szatanowi; dręczą mnie bez wypoczynku, prą naprzód i zdaje się, że nakoniec usłucham ich głosu, i uczynię to! — rzekła zaciskając groźnie pięści, z dzikiem, gorączkowem wejrzeniem. — I poślę go tam, gdzie zasługuje być — i poślę najkrótszą drogą — w jednej z tych nocy — niech spalą mię żywcem za to!

I dziki, obłąkany śmiech rozległ się w tej pustej stodole; Kassy w konwulsyjnym płaczu rzuciła się na ziemię i zaczęła się tarzać.

Po kilku sekundach, obłąkanie przeszło, powstała powoli, a pokonywając w sobie wzruszenie, mówiła dalej:

— Cóż mogę jeszcze uczynić dla ciebie, mój poczciwcze? — spytała, zbliżając się do Tomasza. — Czy chcesz jeszcze wody?

I było w jej głosie, gdy wymawiała te kilka wyrazów, tyle słodyczy, spółczucia, które dziwną tworzyły sprzeczność z poprzedniem jej oburzeniem, graniczącem z obłąkaniem.

Tomasz spojrzał z głębokiem wzruszeniem i litością w jej twarz, a gdy się napił wody, jakby dziękując, zawołał:

— O, gdybyś pani udała się do Tego, który jest źródłem żywota!

— Iść do niego? gdzież On jest?... Kto On taki? — spytała Kassy.

— Ten, o którego śmierci tylko co pani czytała: Bóg i Pan nasz.

— Widziałam krzyż jego na ołtarzu, kiedym była jeszcze młodą — mówiła Kassy i zadumała się. — Lecz J e g o t u n i e m a! — zawołała po chwili. — Tu panuje tylko grzech i powolna, zabójcza rozpacz! Och! — położywszy rękę na piersi, boleśnie westchnęła, jakby upadając pod ogromem ciężaru.

Tomasz chciał coś jeszcze mówić, lecz rozkazującym giestem wstrzymała go.

— Dość, mój biedny towarzyszu! Poprobuj zasnąć, jeśli możesz. — Przysunęła dzbanek z wodą, urządziła posłanie jak mogła najlepiej i wyszła ze stodoły.

———o———

ROZDZIAŁ XXXV.

Przypomnienie.

Salon w mieszkaniu pana Legris był bardzo obszerny, z dużym, szerokim kominkiem. Drogie, prześliczne kiedyś obicia, pokrywające ściany, dziś wypłowiałe, zbutwiałe, wisiały kawałami, odkrywając wilgotne plamy. Powietrze cuchnące, niezdrowe, pomieszane z wilgocią, kurzem i zgnilizną, właściwe starym opuszczonym przez długi czas, zamkniętym domom, napełniało całą salę. Na obiciach pełno plam od piwa i wina; a między innemi widać było na nich różne cyfry, jakby się ktoś uczył rachunków. Na ognisku stało naczynie z rozpalonemi węglami, bo pomimo ciepłej pory lata, w tej obszernej komnacie wieczory były wilgotne i chłodne a prócz tego pan Legris potrzebował ognia dla zapalenia cygara i dla zagotowania wody na poncz. Różowe światło nadawało smutnego ponurego widoku sali zawalonej od góry do dołu stosem siodeł, czapraków, różnych form biczów, surdutów i innego zużytego odzienia, a na stosie tych starych rupieci leżały buldogi, najwygodniej się wyciągając.

Legris, przyrządzając sobie poncz, dolewał nieustannie araku, mrucząc przez zęby:

— O gdyby zaraza wzięła tego przeklętego Sambo! skąd jemu przyszło rozzłościć mię na nowoprzybyłych? Teraz ten głupiec nie będzie mógł pracować przynajmniej jaki tydzień, a tyle jest naglącej w polu pracy!

— Postępowanie godne ciebie! — zawołał głos z za krzesła. Była to Kassy, która podsłuchała jego monolog.

— A to ty, przeklęta kobieto, wścibiasz znowu swój nos, i poco powracasz?

— Tak, wracam! — odpowiedziała — robię tak, jak mi się podoba.

— Łżesz, czarownico! Ja dotrzymam słowa. Postępuj więc, jak się należy, albo ruszaj do chałup pracować i jeść razem ze stadem.

— O! tysiąc razy wolę żyć tam, w najobrzydliwszej dziurze, jak być tutaj ciągle w twych szponach! — odpowiedziała Kassy.

— Lecz ty i tam będziesz w moich szponach. Usiądź więc, moja ślicznotko u mnie na kolanach, posłuchaj głosu rozsądku. — I żelazną swą ręką chwycił ją za ramię.

— Ostrożnie, Szymonie Legris! — zawołała kobieta i jej oczy błysnęły tak dziko, groźnie, wzrok tak był przeszywający, obłąkany — straszną była w tej chwili.

— Lękasz się mnie, Szymonie? — mówiła dalej kobieta głosem stanowczym i wyniosłym. — Lękasz się i słusznie! Bądź ostrożny! mam w sobie djabła, on mną rządzi! — Ostatnie wyrazy wymówiła mu nad samem uchem.

— Precz! na honor, masz go w sobie! precz ode mnie, opętana! — i popchnąwszy ją daleko od siebie, patrzał na nią z przerażeniem.

— Jednak, powiedz mi, Kassy, dlaczego nie jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, jak dawniej?

— Jak dawniej! — powtórzyła z goryczą, zatrzymując się na chwilę; uczucia gwałtownie cisnące się do jej piersi, zatamowały jej oddech i nie dozwoliły dokończyć zdania.

Kassy, jak zwyczajnie energiczna, namiętna kobieta, miała zawsze pewien rodzaj wpływu na dziki, nieuprawny umysł Legrisa. Lecz od niejakiego czasu stała się dziwnie złą; wszystko ją gniewało i nieznośne jarzmo niewoli coraz ją silniej, widoczniej niecierpliwiło i często rozdrażnienie jej dochodziło prawie do obłąkania. Legris, który miał przesądną, zwyczajną ludziom umysłu grubego i nieoświeconego bojaźń dla warjatów, bał się jej niewymownie. Za przybyciem Eweliny na plantację, obrażone uczucie kobiece, tajone boleści, wybuchły z gwałtownością i Kassy wzięła stronę młodej dziewczyny, co ściągnęło zażartą walkę między nią i p. Legris. On poprzysiągł w milczeniu, że jeżeli się nie zachowa spokojnie, pośle ją na pola razem z niewolnikami zbierać bawełnę; dumna kobieta odrzekła, że pójdzie i dla okazania pogardy podobnym pogróżkom, poszła, i doskonale wypełniła wyznaczoną sobie pracę.

Cały ten dzień Legris przemęczył się najokropniej, niemogąc się pozbyć przeważnego wpływu Kassy. Spodziewał się, że po takiej lekcji przyniesie swój koszyk z pokorą; chcąc się więc pojednać z nią, odezwał się tonem wpół pojednawczym, wpół rozkazującym; lecz Kassy odpowiedziała mu bolesną wzgardą.

Nikczemne pastwienie się jego nad Tomaszem jeszcze ją więcej rozdrażniło. I poszła do Legris z zamiarem wyrzucenia mu podłego jego tyrańskiwa.

— Radzę ci, Kassy — rzekł Legris — postępuj trochę z większem umiarkowaniem.

— I ty mówisz o umiarkowaniu po tem, coś uczynił? Ty, który nie masz nawet tyle władzy nad sobą, aby się powstrzymać, nie rzucać się z zajadłością, godną twego djabelskiego charakteru, na jednego z najlepszych twych robotników, w tak roboczym czasie.

— Prawda! byłem głupi — odpowiedział Legris — że się tak uniosłem; ale kiedy ten nikczemnik śmiał się sprzeciwić, trzebaż go było ugiąć.

— A ja upewniam, że on ci nie ulegnie — rzekła Kassy.

— Co! nie ulegnie? — krzyknął nagle Legris, zrywając się z krzesła. — Zobaczymy! To pierwszy negr, który mi się odważa sprzeciwić, ja mu połamię wszystkie kości, i musi n a k o n i e c u l e c!

W tej chwili otworzyły się drzwi i zjawił się Sambo. Nieśmiało, z głębokiem uszanowaniem przechodząc, podał coś w papierze.

— Co to jest, psie? — spytał pan.

— To czary, panie — odpowiedział pokornie niewolnik.

— Co, co takiego? — spytał powtórnie Legris.

— To rzecz, którą czarownicy dają negrom, aby nie czuli, kiedy ich biją! On miał to na swej szyi na czarnej wstążce.

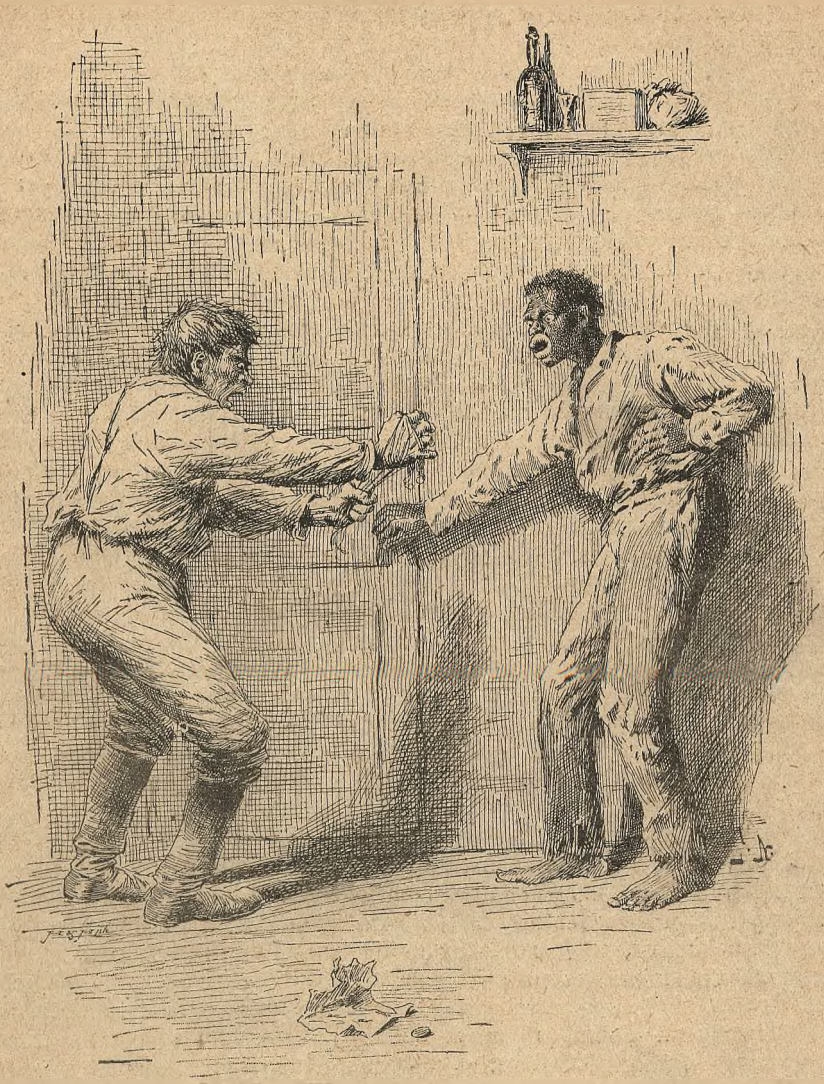

Skąd to? bierzcie je, rzućcie w ogień!

Legris, jak wielu okrutnych, bezbożnych ludzi, był przesądny; wziąwszy więc papier niechętnie, z pewnym rodzajem bojaźni go rozwinął.

Był w nim srebrny medalik i długi, lśniący pukiel blond włosów, który, jakby żywy, okręcił się około palców Legris'a.

— Przeklęte! — krzyknął z wściekłością, uderzając nogą w podłogę i zrywając z gwałtownością włosy, jakby mu palce piekły. — Skąd to? bierzcie je, rzućcie w ogień! spalić je, spalić!

Krzyczał, przeklinał, targał pukiel, zerwawszy go nakoniec wrzucił w ogień, wołając:

— I dlaczego, ty djable, mi to przyniosłeś?

— Przestraszony Sambo stał z gębą otwartą nieporuszenie; Kassy chciała już wyjść, lecz się zatrzymała, spoglądając ze zdziwieniem na nikczemnego służalca.

— Ha, ty! przeklęty psie, nie ośmielaj się przynosić mi drugi raz djabelskich waszych czarów! — zawołał Legris, grożąc pięścią niewolnikowi, pospiesznie cofającemu się ku drzwiom, a wziąwszy medalik, rzucił go przez okno; szyba głośno zadźwięczała, — Sambo umknął co prędzej.

Po jego wyjściu poczuł Legris wstyd, że się dał owładnąć przestrachowi; usiadł na krześle zły, niezadowolony i powoli zaczął popijać poncz.

Kassy, wymknąwszy się niepostrzeżenie z salonu, korzystając z czasu, pobiegła do Tomasza.

Lecz skąd taki przestrach, taka trwoga? Dlaczego prosty pukiel złotawych włosów tak przeraził tego wyrachowanego, oswojonego z wszelkiemi rodzajami okrucieństw barbarzyńcę? Zatwardziały, bezbożny ten człowiek był kiedyś kołysany na łonie matki, usypiał przy śpiewie pieśni pobożnych i modlitw; czoło jego dzisiaj z piętnem szatana, było kiedyś zlane wodą chrztu świętego. Gdy był dzieckiem, kobieta z jasnemi włosami na głos dzwonu wiodła go do przybytku Pańskiego dla oddania czci Panu Bogu. W odległej części Nowej Anglji, z anielską cierpliwością i serdeczną miłością wychowała swego jedynaka; lecz niewdzięczny, poszedł za przykładem ojca swego. Opuścił ją, pogardziwszy jej radami. Odtąd raz tylko się zjawił w domu matki, którą z całem sercem jedynaka przyjęła; błagała, zaklinała na wszystko, aby porzucił życie występne, ściągające potępienie na jego duszę.

Był to dzień łaski, zesłany z nieba dla Legris'a, miłosierdzie Boskie wyciągało do niego rękę; zdawało się, że został nawrócony, serce jego rozczuliło się i rozpoczęła się w nim walka... lecz djabeł zwyciężył. Zagłuszył w sobie sumienie, zwyciężyła zła natura. Pił, przeklinał, stał się jeszcze dzikszym, jeszcze okrutniejszym. Pewnego wieczora, kiedy jego matka w największej rozpaczy rzuciła mu się do nóg, on ją odepchnął i nie zważając, że upadła bez zmysłów na podłogę, piekielnie złorzecząc, uciekł na okręt. Odtąd raz jeden tylko miał wiadomość o matce. Było to w nocy. Gdy bankietował ze swymi towarzyszami rozpusty, oddano mu list; otworzył go — długi pukiel jasnych włosów się rozwinął i otoczył palce jego. List oznajmował o śmierci jego matki, na łożu śmiertelnem przebaczyła, błogosławiła niewdzięcznego syna.

Magiczna, bezbożna potęga ukrywa się w występku, która najświętsze, najdroższe rzeczy zamienia w widziadła zgrozy i trwogi. Ta kochająca matka, z wybladłą twarzą, jej modlitwa, przebaczenie i błogosławieństwo, przesłane z łoża boleści nie zmiękczył go bynajmniej. Legris rzucił list i włosy w ogień; a widząc jak w ogniu się zwijały, kręciły, słysząc syczenie płomieni, zadrżał na myśl ognia wiecznego. Pił więc, ucztował dla zagłuszenia sumienia. Próżne usiłowania!

Często w nocy tajemnicza cisza wzywała grzeszną jego duszę przed jej własny trybunał i widział tę bladą, wychudłą twarz: czuł, jak sploty włosów obwijają mu palce, zimny pot występował na czoło jego i z przerażeniem wyskakiwał z pościeli jak w obłąkaniu.

— Przeklęty djabeł! — zawołał Legris, popijając poncz — i skąd on mógł to wziąść... To zupełnie takie same... Uf!... a sądziłem, żem zapomniał... Niech mię djabli porwą! jeżeli można coś zupełnie zapomnieć!... O przeklęta pamięć!... Lecz dlaczegoż jestem jeden jak puszczyk?... Zawołam Ewcię, — ona mnie nienawidzi, obrzydła małpa; lecz wszystko mi jedno, niech przyjdzie zabawić, rozweselić swego pana.

Legris wyszedł do obszernych sieni, które się łączyły z górnem piętrem zapomocą wspaniałych niegdyś, krętych schodów, dziś ciemnych, brudnych, zniszczonych, zawalonych różnego rodzaju gratami. Blade światło księżyca, przedzierając się przez stłuczone okienko ponad drzwiami, ponuro oświecało zimną, wilgotną sień. Legris zatrzymał się przed schodami i posłyszał śpiew, dziko, nienaturalnie rozlegający się w pustem, posępnem mieszkaniu; a może obudzone w nim uczucie zgrozy i trwogi zmieniało tak tony.

Głos melancholijny śpiewał hymn znany między niewolnikami:

Płacz wielki, płacz bolesny, płacz okrutny będzie,
Kiedy Pan na stolicy sąd czynić zasiędzie...

— Przeklęta dziewka! O, uduszę cię, żmijo! Ewelino, Ewelino! wołał Legris tonem grubym, szorstkim, i echo murów starych echem mu odpowiedziało. Cichy, słodki głos śpiewał dalej:

Po sądzie ostatecznym na czas nieśmiertelny,
Brat z siostrą, ojciec z synem będzie rozdzielony!

I puste sale odpowiadały słowo w słowo:

Płacz wielki, płacz bolesny, płacz okrutny będzie,
Kiedy Pan na stolicy sąd czynić zasiędzie...

Legris zatrzymał się, wstydząc się wyznać przed sobą samym, że wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło, że serce ze strachu, z przerażenia biło gwałtownie; widział białą postać, podnoszącą się w ciemnościach i przechodzącą mimo niego; zadrżał na myśl, że może zmarła jego matka przyszła z tamtego świata z zapowiedzią rychłego piekła.

— Wiem, co zrobię — rzekł i chwiejnym krokiem wszedł do salonu i rzucił się na krzesło. — Dam pokój temu piekielnemu negrowi! I co mnie do jego przeklętego papieru? Zdaje mi się, że djabeł mną włada, że jestem opętany! Od tego czasu cały potnieję, drżę! I skąd ma on te włosy? Czyż mogą być te same! Ja tamte spaliłem... tak, spaliłem!... jestem tego pewny... Byłoby zabawnie, gdyby włosy mogły być wskrzeszone!

Każdy włos tego jasnego pukla rzuca tajemniczą siłą przestrach na tego człowieka-potwora, obudza w nim wyrzuty sumienia; czemuż ci nie związały okrutnych rąk, abyś się nie pastwił nad słabymi i bezbronnymi!

— Ha! wy przynajmniej! — zawołał Legris i tupnąwszy nogą,

świsnął na swe psy — wstawajcie, no, podtrzymajcie odwagą waszego pana! — Lecz i psy ledwo otworzyły zaspane oczy, spojrzały na niego i znowu usnęły.

— Zawołam Sambo i Kimbo, ich piekielne śpiewy i tańce wypędzą z mej głowy te okropne widziadła. — Włożył czapkę na głowę i wyszedł na werandę i zatrąbił na swych poganiaczy.

Kiedy bywał w dobrym humorze, przywoływał często godnych swych satelitów, i podochociwszy ich wódką, kazał im śpiewać, tańczyć, lub się mocować.

Było to około trzeciej po północy. Kassy, wracając od biednego Tomasza, słyszała dolatujące z salonu dzikie krzyki, wycia, śpiewy, szczekanie psów, coś w rodzaju piekielnej muzyki.

Weszła na wschody i zajrzała do sali. Legris i jego dwaj towarzysze rozbestwieni wódką, krzyczeli, śpiewali, wyli, wywracali stołki, krzesła, doskakiwali do siebie i wygrażali sobie — istne piekło.

Oparła o poręcz swą małą, delikatną rękę i pilnie im się przyglądała. Pogarda, tęsknota, boleść, dzika ironja malowały się w jej czarnych oczach.

— I czyż to grzech, oswobodzić świat od podobnego potwora? — spytała sama siebie, i prędko się odwróciwszy, poszła do ukrytych drzwi, przeszła wschody i zastukała do pokoju Eweliny.

———o———

ROZDZIAŁ XXXVI.

Ewelina i Kassy.

Kassy zastała Ewelinę bladą, przerażoną, skuloną w najodleglejszym kącie pokoju. Biedna zadrżała, gdy usłyszała zbliżające się kroki; lecz poznawszy Kassy, rzuciła się ku niej, a chwytając ją za rękę, zawołała:

— O Kassy, to ty? O, jakżem rada, że widzę ciebie. Tak się bałam, żeby to nie był on. O gdybyś wiedziała, jaki straszny hałas tam na dole...

— Znam to — odpowiedziała sucho Kassy — dość się tego nasłuchałam!

— O, powiedz mi Kassy, czy nie możemy uciec? Mniejsza o to dokąd, w bagna, między węże, gdzie chcesz, byle stąd się wydostać.

— Nigdzie, chyba do mogił naszych! — rzekła Kassy.

— Czyż nigdy nie próbowałaś? — spytała Ewelina.

— Widziałam dość prób i ich skutki — odpowiedziała sucho Kassy.

— O! jabym wolała żyć w bagnach, jeść korę drzew. Węże nie straszą mię tyle, wolałabym je widzieć wokoło siebie, byle nie tego człowieka...

— Wielu innych tak samo myślało; lecz i w bagnie nie będziesz bezpieczną, wytropią cię tam psy... a wówczas... wówczas...

— I cóż nam zrobi?...

— Spytaj raczej, czego nie zrobi? — Doskonale się wyuczył swego rzemiosła u piratów zachodnich Indyj. Nie mogłabyś zasnąć, gdybym ci opowiedziała, co sama widziałam i co on sam opowiada jako zabawne, pomyślne wydarzenia. Słyszałam krzyki, które całe tygodnie, miesiące, męczyły mą głowę, których nigdy nie zapomnę. Tam, w stronie chałup niewolników, jest miejsce, w którem możesz widzieć drzewo opalone od ognia; u stóp jego leżą popioły czarnych. Spytaj ich, może ośmielą się opowiedzieć, co się tam działo...

— Co ty mówisz, Kassy? — spytała z przerażeniem Ewelina.

— Nic, nie będę ci tego tłómaczyła. Nienawidzę samej o tem myśli. Mówię tylko, że jeden Stwórca może wiedzieć, co ujrzymy jutro, jeżeli biedny Tomasz będzie chciał wytrwać w swojem postanowieniu.

— Okropnie! — zawołała Ewelina, i krew w jej żyłach zastygła. — O Kassy! powiedz, co mam począć?

— Rób, co ja robię; rób, jak ci się będzie wydawało najlepiej; rób, co ci każą robić i dopełń miary nienawiści i przekleństwa!

— On mię chciał zmusić, abym piła obrzydłą jego wódkę... ja jej nie cierpię!

— Uczynisz lepiej, gdy pić zaczniesz. I ja jej nie cierpiałam, a teraz nie mogę się obyć bez niej. Trzeba czemśkolwiek siebie odurzyć, wówczas wszystko się inaczej wydaje.

— Moja matka zabroniła mi nawet kosztować wódki — rzekła Ewelina.

— T w o j a m a t k a ci zabroniła! — rzekła Kassy, wymawiając wyraz m a t k a ze znaczącym przyciskiem. — I na cóż przydadzą s wszystkie napomnienia matki? Czyż wy wszystkie nie na to się rodzicie, aby was sprzedawano i kupowano? Czyż dusze wasze nie należą do tego, który was kupi? Taki los wasz. — Powtarzam ci: pij wódkę, pij, ile będziesz mogła i wszystko ci łatwiej pójdzie!...

— O Kassy! miej litość nade mną! — zawołało błagalnie dziewczę.

— Mieć litość nad tobą? Czy ja cię nie żałuję? czyż ja nie miałam córki? Bóg jeden wie, gdzie ona i czem jest teraz. Zapewne idzie po drodze, po której jej matka już przeszła, po której jej dzieci pójdą! O! nie będzie chyba nigdy końca temu wiecznemu przekleństwu!

— O Boże mój! wolałabym się nigdy nie rodzić! — zawołała Ewelina, załamując ręce.

— To stare, zużyte wołanie; już dawno zaprzestałam tak mówić. Zabiłabym siebie, gdybym miała śmiałość...

Zatrzymała się; wzrok jej ginący w ciemnościach nocy, wyrażał ponurą, głęboką rozpacz, zwyczajną jej w chwilach milczenia.

— Co ty mówisz, Kassy?... Zabójstwo jest ciężkim występkiem — rzekła Ewelina.

— Nie wiem tego; w każdym razie nie byłoby większym jak to, co robimy codzień. Zakonnice mówiły mi, kiedym była w klasztorze, rzeczy, które mię bojaźnią przejmują i dlatego lękam się umrzeć. Gdyby się wszystko kończyło tutaj, o wówczas!...

O Kassy! miej litość nade mną! — zawołało błagalnie dziewczę.

Ewelina odwróciła się, ukrywając twarz w dłoniach.

Kiedy się ta rozmowa toczyła w górnym pokoju, na dole Legris spił się i zasnął ciężkim snem. Nie był to zwyczajny jego stan. Jego gruba, silna natura potrzebowała silnego bodźca; coby słabszego wyniszczyło zupełnie, on doskonale jeszcze wytrzymywał. Lecz wrodzony instynkt, rozsądna podejrzliwość nie dozwalała mu się oddawać zwierzęcej namiętności aż do utracenia zmysłów.

Tej nocy jednak, usiłując pozbyć się przestrachu i wyrzutu sumienia, które go dręczyło, przebrał miarkę, i skoro odprawił swych współtowarzyszów, rzucił się na krzesło i ciężko zasnął.

O! jak dusza występna może się odważyć wejść w fantastyczny świat snu — w świat, którego niejasne granice stykają się prawie z tajemnicami życia przyszłego? Legris miał sen. W ciężkiem, gorączkowem marzeniu widział obok siebie jakąś istotę, która położyła na nim swą chłodną, lekką rękę. Zdawał się ją poznawać, chociaż była okryta zasłoną — zadrżał z przerażenia; później czuł, jak p u k i e l w ł o s ó w oplątał palce jego i powoli wiąc się otoczył mu szyję i dusił go — i oddechu mu w piersi zabrakło. Nagle ujrzał się nad brzegiem bezdennej, niezgłębionej przepaści, skąd wznoszące się ręce czarnych porwały go i ściągnęły ku sobie; a Kassy z tyłu go popychająca, piekielnie się śmiała. Wówczas tajemnicza postać, zbliżywszy się, uchyliła zasłony — i poznał matkę; a gdy się odwróciła od niego, stoczył się w przepaść wśród krzyków, wycia i śmiechu szatanów... Legris się przebudził.

Zbudził się z przekleństwem na ustach. Spodlony, zezwierzęcony tyran, patrzał na wschodzące słońce bez żadnego uczucia. Powstał, zataczając się, nalał szklankę wódki i wypił do połowy.

— Okropną noc dziś miałem — rzekł do wchodzącej Kassy.

— Będziesz miał wkrótce więcej podobnych — odpowiedziała mu sucho.

— Co rozumiesz przez to, łotrzyco?

— Dowiesz się o tem wkrótce — rzekła tym samym tonem. — A teraz, Szymonie, chcę ci dać małą radę.

— Co znowu u djabła?

— Tak — odpowiedziała z powagą i pewnością siebie, porządkując w pokoju rzeczy. — Radzę ci, nie prześladuj Tomasza.

— A tobie co do tego, nie twoja to rzecz!

— Tak, rzeczywiście! sama nie wiem, po co się mieszam. Jeżeli ci się podoba dla próżnej fantazji zapłacić tysiąc dwieście dolarów za niewolnika i później połamać mu kości w porze właśnie, kiedy najwięcej pracy w polu, jedynie dla dogodzenia swej wściekłości, zapewne, to nie może mnie obchodzić, nie powinnam się w to mięszać... Zrobiłam dla niego, co mogłam.

— Co mogłaś? A kto ciebie prosi mięszać się do moich spraw?

— Zapewne nikt! Zaoszczędziłam ci kilka tysięcy dolarów różnemi czasy, doglądając twoich niewolników, i taką za to otrzymuję nagrodę. A jeżeli zbiór z twoich pól na rynku będzie gorszy i mniejszy jak innych, to co, czy nie przegrasz wtenczas zakładu? czy nie ogłosi Tomkins zwycięstwa? I będzesz musiał zapłacić, co? nie prawda? O widzę, jak płacisz szczerem złotem!

Legris, jak wielu innych plantatorów, miał tę ambicję, że pragnął, aby jego zbiór z pola był najlepszy w całej okolicy, i w sąsiedniem mieście już naprzód z kilku osobami się o to założył. Kassy dotknęła jedynej struny, która mogła się odezwać w jego duszy.

— Dobrze więc, poprzestańmy na tem, co już otrzymał — rzekł Le-

gris; — lecz powinien prosić mnie o przebaczenie i przyrzec, że będzie postępował nadal rozsądniej.

— On tego nie uczyni — odpowiedziała Kassy.

— Co, nie uczyni?

— Nie, nie uczyni — powtórzyła Kassy.

A teraz na kolana, psie szkaradny!

— Chciałbym wiedzieć dlaczego? — spytał Legris z ironją.

— Ponieważ dobrze postąpił, sam wie o tem i za nic się nie przyzna do winy.

— A co mi do tego, co on wie! Będzie słuchał, albo...

— Albo stracisz swój zakład, pozbywając się zdolnego robotnika — przerwała Kassy.

— Ale ulegnie, ulec musi! Czyż ja nie znam negrów... Dziś jeszcze jak pies będzie się czołgał u moich nóg!

— Nie, Szymonie! nie znasz wcale tego rodzaju ludzi. Możesz go zamęczyć, lecz nie wyciągniesz z niego ani jednego słowa fałszu; on się nie przyzna do winy.

— Zobaczymy! Gdzie on jest? — spytał groźnie Legris.

— W szopie przy magazynie — odpowiedziała Kassy.

Chociaż tak stanowczo, z taką pewnością mówił Legris do Kassy, jednak wyszedł z mieszkania z pewnym rodzajem zwątpienia, co się jemu nigdy nie zdarzyło. Marzenia przeszłej nocy i mądre uwagi Kassy dręczyły go. Postanowił, aby nikt nie był przytomną jego widzeniu się z Tomaszem, i kiedy nie będzie mógł groźbą wymóc na nim uległości, odłoży zemstę do czasu pomyślniejszego.

Tajemnicze rady Kassy, zamiast osłabić postanowienie Tomasza, przeciwnie, jeszcze je wzmocniły. Być może, że przeczuwał dzień wyzwolenia i serce w nim biło radością i gorącem pragnieniem szczęścia wiecznego! Bez drżenia, bez strachu, z pewnym nawet rodzajem radości oczekiwał swego prześladowcy:

— Ha, mój chłopcze! — zawołał Legris, pchnąwszy go nogą. Jakże się masz? Czy ci nie mówiłem, że cię nauczę rzeczy, których jeszcze nie umiałeś? Co, lekcja się podobała, skorzystałeś z niej, hę? Czy jeszcze będziesz tak zuchwałym, jak wczoraj?... A czybyś nie potrafił mnie, biednego grzesznika, uraczyć jakiem dobrem kazaniem? Popróbuj!...

Tomasz nic nie odpowiedział.

— No, wstawaj, przeklęty zwierzu! — krzyknął Legris, powtórnie go nogą uderzając.

Zbity, osłabiony Tomasz z trudnością tylko mógł wypełnić rozkaz, co widząc barbarzyńca, zapytał drwiąco:

— Co ciebie uczyniło tak powolnym... może wiatr zawiał w nocy?

Tomasz wstał i śmiało, z wypogodzonem czołem patrzał w oczy swemu panu.

— Hę, do djabła, to ty możesz się jeszcze ruszać? — rzekł Legris z ironją, oglądając Tomasza od stóp do głowy; — mnie się zdaje, że za mało ci dano. No, teraz na kolana, psie, przed swym panem i proś o przebaczenie za wczorajsze twoje głupie postępowanie.

Tomasz się nie ruszył.

— Na kolana, przeklęty murzynie! — powtórzył Legris, uderzając go biczem.

— Panie Legris — rzekł Tomasz — nie mogę tego uczynić. Zrobiłem, co uważałem za powinność moją. Tak samo postąpiłbym, gdyby podobna okoliczność powtórnie się zdarzyła. Nigdy się nie dopuszczę kłamstwa, cokolwiekby miało mnie spotkać.

— Tak, lecz ty się nie domyślasz, panie Tomaszu, co może cię spotkać. Czy będzie ci się podobało być przywiązanym do drzewa i upieczonym na powolnym ogniu?

— Panie — odpowiedział Tomasz — wiem, że możesz się dopuścić okropnych rzeczy, lecz — i Tomasz wyprostował się, składając ręce — lecz po zabiciu ciała, nie będziecie mogli nic więcej uczynić, tak — n i c! A potem... o! potem nastąpi wieczność, p r z e j a s n a w i e c z n o ś ć!

„W i e c z n o ś ć!“ dusza niewolnika zadrżała, o b l a n a ś w i a t ł e m i potęgą tego słowa, zadrżała i dusza zbrodniarza, ale jak od ukąszenia s k o r p i o n a. Oniemiały, wściekły Legris zgrzytał zębami. Tomasz, jakby oswobodzony z ciężkich więzów, głosem spokojnym, triumfującym, mówił dalej:

— Pan Legris kupił mnie i będę wiernym i prawym sługą: oddam panu całą pracę mych rąk, wszystek mój czas, wszystkie me siły; ale nigdy żadnemu człowiekowi nie zaprzedam duszy swojej. Czy mam żyć, czy umrzeć, wytrwam stale przy Bogu i przedewszystkiem będę się starał wypełnić przykazania jego; możesz pan być tego pewny, nie lękam się śmierci. Możesz mię bić, głodem zamorzyć, spalić; prędzej pójdę tam, dokąd z takiem upragnieniem chciałbym już odejść.

— O nie, ja cię zmuszę do uległości, nim skończę z tobą — zawołał rozwścieklony Legris.

— Nigdy tego pan nie dokażesz — rzekł Tomasz — ja mam opiekuna, on mi dopomoże.

— Jaki djabeł ci dopomoże? — spytał ze wzgardą Legris.

— Bóg wszechpotężny.

— Bądź przeklęty! — zawołał Legris i uderzeniem pięści powalił Tomasza.

W tej chwili chłodna ręka dotknęła ręki Legrisa; odwrócił się, ujrzał Kassy. To chłodne, delikatne dotknięcie przyzwało mu na pamięć marzenia nocne i wszystkie okropne widziadła, które go niemiłosiernie męczyły, stanęły mu w myśli i napełniły przestrachem.

— Czyż zawsze będziesz postępował, jak obłąkany? — rzekła Kassy po francusku. — Zostaw go! ja użyję wszelkich starań, aby jak najprędzej mógł wyjść w pole, do pracy. Cóż, nie prawdę ci mówiłam? Utrzymują powszechnie, że chociaż nosorożec i krokodyl odziani są pancerzem, którego kula nie przebija, mają jednak miejsce, w które można je ranić. U najzatwardzialszego, najbezbożniejszego potępieńca, tem miejscem jest przesądna bojaźń.

Legris odwrócił się z zamiarem odłożenia tej sprawy na później.

— Dobrze, rób, jak ci się podoba — rzekł do Kassy tonem opryskliwym, a obracając się do Tomasza, dodał: Słuchaj, nie chcę dziś z tobą się rozprawiać, bo praca w polu nagli, potrzebuję więc wszystkich mych niewolników. Lecz nie zapomnę tego nigdy: przyjdzie dzień, kiedy czarna twoja skóra odpowie mi za to zuchwalstwo.

Po tej groźbie wyszedł.

— Ruszaj! — zawołała Kassy tonem ponurym, patrząc za odchodzącym. — Wkrótce przyjdzie dzień, w którym i ty będziesz musiał zdać rachunek! Cóż, mój przyjacielu, jak się masz? — spytała łagodnym głosem Tomasza.

— Bóg zesłał mi anioła i zamknął paszczę lwu — rzekł Tomasz.

— Tak, tym razem tylko — dodała Kassy. — Lecz odtąd jego nienawiść nie da ci odpoczynku, będzie cię prześladował w dzień i noc; jak pijawka uczepi się gardła twego, wyssie krew twą i po kropli wyniszczy życie twoje. O! znam tego człowieka.

Na miłość Boską, dajcie mi wody! — błagał Tomasz.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Wolność.

Zostawmy na chwilę Tomasza w rękach jego prześladowcy, a wróćmy na folwark przy drodze, dokąd Jerzy ze swą żoną się skryli pod opiekę przyjaciół. Przypomni sobie czytelnik, żeśmy zostawili Tomasza Lokera jęczącego i niecierpliwiącego się w przyzwoitem łóżku, pod prawdziwie macierzyńskim dozorem ciotki Dorkas, która nie znalazła w swoim pacjencie ani tej łagodności, ani tego posłuszeństwa, jakie są konieczne dla prędkiego wyzdrowienia.

Przedstawcie sobie wysoką, pełną powagi postać, rozsądną, przyjemną, w muślinowym lśniącej białości czepcu, pokrywającym srebrzyste włosy, z czołem wyniosłem, oczami czarnemi, myślącemi, z chusteczką z krepy białej jak śnieg, skrzyżowaną na piersiach, w sukni jedwabnej ciemnego koloru, która za każdym krokiem szeleści, a będziecie mieli ciotkę Dorkas.

— E, do djabła! — krzyczał Tomasz Loker, rzucając z siebie kołdrę.

— Proszę cię, nie przyzywaj djabła — rzekła ciotka Dorkas, poprawiając cierpliwie rozrzuconą pościel.

— Zgoda, matko, nie przyzwę go już więcej, jeżeli tylko będę się mógł powstrzymać; ale bo trzymacie mię w takiej łaźni, że i święty nie wstrzymałby się od przekleństw.

Ciotka Dorkas zdjęła kołdrę przykrywającą nogi rannego, i rozpostarłszy ją, podwinęła pod niego tak, że wyglądał, jak poczwarka motyla zamknięta w swym ciasnym domku.

— Chciałabym bardzo, mój przyjacielu — rzekła, porządkując z zadziwiającą cierpliwością pościel, którą Loker w gorączce nieustannie rozkopywał — chciałabym, abyś zamiast złorzeczenia i przekleństw, pomyślał o przyszłem swem życiu.

— A po jakiego djabła będę o tem myślał — odpowiedział chory — nie mam wcale najmniejszej potrzeby nad tem się zastanawiać. Niech djabli wezmą! — zerwał się znowu i powtórnie zrzucił kołdrę.

— Ten człowiek z dziewczyną musi tu jeszcze być, jak sądzę? — spytał po chwilowem milczeniu.

— Tak, jest jeszcze — odpowiedziała Dorkas.

— Uczynią mądrze, jeżeli pospieszą do jeziora; czem prędzej, tem lepiej! — rzekł Loker.

— Zapewne, zwlekać nie będą — rzekła ciotka Dorkas.

— Posłuchaj — odezwał się znowu chory — mamy w Sandusky korespondentów, którzy rewidują statki z naszego polecenia. To nie dobrze, na honor! sumienie każe mi was o tem uprzedzić. Lecz mam nadzieję, że oni umkną, choćby na przekorę temu psu, Marksowi; przeklęty tchórz! niech go djabli porwą!

— Człowieku! człowieku! — zawołała ciotka Dorkas.

— Ja wam mówiłem, dobra matko, że jeżeli zamkniecie butelkę

zbyt silnie, to musi pęknąć; tak samo ze mną! Ale, wracając do dziewczyny, poradźcie, aby się przebrała, bo jej opis już mają tam w Sandusky.

— Nie zapomniemy o tem — rzekła Dorkas ze zwykłym sobie spokojem.

Nim opuścimy Tomasza Lokera, musimy dodać, że po trzech tygodniach, spędzonych w domu swych dobrodziejów, powstał z łóżka po ciężkiej gorączce, trochę smutniejszy, lecz i rozsądniejszy. Zaprzestał swego rzemiosła ścigania zbiegłych niewolników, osiadł w nowej kolonji, gdzie jego zdolności pomyślnie się rozwinęły; polując i łowiąc w sieci wilki i niedźwiedzie, pozyskał wielką sławę w całej okolicy.

Idąc za radą Tomasza Lokera, zbiegowie nasi rozłączyli się. Jim i jego stara matka wyjechali naprzód, w parę dni potem Jerzy ze swą żoną i dzieckiem; w Sandusky wstąpili do przyjaznego im domu i nazajutrz mieli wsiąść na statek.

Niebo już się pokryło szkarłatem poranku i gwiazda wolności zaświeciła nad głowami naszych niewolników. Wolność! słowo pełne elektrycznej potęgi! Czyż ono jest tylko prostem słowem, retoryczną figurą?

Co jest sławnem i drogiem dla narodu, jest sławnem i drogiem dla pojedyńczego członka tego narodu! Czyż wolność narodu nie jest wolnością każdej jednostki? Wasi ojcowie pod wolnością rozumieli święte, nietykalne prawo, jakie ma każdy naród być narodem! A cóż jest wolność dla tego młodego mężczyzny, siedzącego ze skrzyżowanemi rękoma na szerokiej, męskiej swej piersi, z odcieniem krwi afrykańskiej na twarzy, ze zwrotnikowym ogniem w oczach? Dla niego jest ona prawem człowieka być człowiekiem, a nie bydlęciem, prawem, które mu dozwala żonę wybraną sercem, nazywać swoją własną żoną, bronić jej przeciw wszelkim niesprawiedliwym napaściom; bronić i wychowywać dziecię swe, mieć swój dom, właściwy sobie charakter, religię, niezależne od woli i kaprysu kogoś drugiego. Te i podobne myśli zajmowały umysł Jerzego, kiedy ze wspartą głową na ręku, z miłością patrzał na wysmukłą, wiotką postać swej żony, przebranej w odzienie męskie, które uważał za konieczne dla pewniejszego omylenia pogoni.

— A teraz, na nie kolej — rzekła Elżbieta, stojąca przed lustrem i rozpuściła swoje długie, czarne, jedwabne włosy. — Czy nie szkoda ich, mój drogi — i oddzieliła kilka pasm. — Czyż nie szkoda tak jednem cięciem ich się pozbyć?

Jerzy nic nie odpowiadając, smutnie się zaśmiał. I pukle pod nielitościwemi nożycami spadały jedne po drugich.

— Stało się! — rzekła Elżbieta, biorąc szczotkę; — a teraz trochę fantazji, a wszystko powiedzie się doskonale. Cóż, nie jestem ładnym chłopcem? — pytała, obracając się do męża z uśmiechem i rumieniec oblał piękną jej twarz.

— Tyś zawsze piękna — rzekł Jerzy w smutnem zamyśleniu.

— Dlaczego, mój drogi, jesteś taki zamyślony? — spytała Elżbieta, klękając przed nim na jedno kolano i kładąc swą rękę na jego rękę. — Jesteśmy tylko od Kanady, jak mówią, o dwadzieścia cztery godzin drogi. Jeden dzień i noc a będziemy na jeziorze, a potem, potem!...

— O moja Elżbieto! — rzekł Jerzy, przyciskając ją do siebie; — to właśnie przejmuje trwogą serce moje! Teraz cała nasza przyszłość zależy od jednej chwili. Być już tak blisko celu i wszystko tracić! O! to okropnie!... nie przeżyłbym tego!

— Nie lękaj się — odpowiedziała Elżbieta z sercem pełnem nadziei. — Bóg w swej dobroci nie doprowadziłby nas tutaj, gdyby nie chciał się opiekować nami aż do końca. Zdaje mi się, że czuję przytomność Jego, mój drogi, jedyny Jerzy!

— O! tyś dobra, moja Elżbieto! — i Jerzy konwulsyjnie przycisnął ją do siebie. — Lecz powiedz, czyż być może, aby tak wielka łaska była nam daną? Te długie lata cierpień i niedoli, czyż mają się zakończyć czyż będziemy wolni?

— Jestem tego pewną — rzekła Elżbieta z oczami podniesionemi w niebo, i łzy nadziei i zapału perliły się na jej długich rzęsach. — Czuję nawet, że dzisiaj jeszcze Bóg nas wyswobodzi z jarzma niewoli.

— Wierzę, chcę wierzyć, Elżbieto! — zawołał Jerzy. — Lecz pora już w drogę! — i oddalając się nieco od żony, aby lepiej ją obejrzeć, zawołał z zachwyceniem: rzeczywiście, jesteś prześlicznym chłopakiem. Z temi krótkiemi włosami doskonale ci do twarzy! Włóż czapkę. Tak, doskonale, trochę na bok. O nigdym cię tak ładną nie widział. Ale dlaczego bryczki niema jeszcze? Pewnie pani Szmyt już przebrała naszego Henrysia.

W tej chwili otworzyły się drzwi i poważna, niemłoda dama weszła, prowadząc za rękę chłopczyka, przebranego za dziewczynkę.

— Jaka śliczna dziewczynka! — zawołała Elżbieta, obracając go, aby lepiej obejrzeć. — Nazwiemy ją Henryką, to tak mu przypada, nieprawdaż?

Dziecię z minką poważną oglądało nowe i dziwne ubranie swej matki. Milcząc, spoglądało na nią przez czarne sploty włosów, zwieszających się na śliczne czółko.

— Czy Henryś nie poznaje swojej mamy? — spytała Elżbieta i wyciągnęła obie ku niemu ręce.

Dziecię bojaźliwie przytuliło się do pani Szmyt.

— Daj pokój, Elżbieto! po co go oswajać, kiedy wiesz, że nie może być teraz z tobą.

— Wiem, że to dzieciństwo; lecz przykro mi, że mnie unika. Jedźmy! gdzie jest moje palto? A, oto! Pokażże mi, Jerzy, jak mężczyzni wkładają paleto?

— Noś tak — i zarzucił je na jej plecy.

Elżbieta, naśladując ruchy męża, spytała:

— Więc powinnam teraz stukać butami, stawiać wielkie kroki i śmiało, odważnie patrzeć w oczy wszystkim?

— Nie zmuszaj siebie — rzekł Jerzy. — Spotykamy często młodych mężczyzn nieśmiałych, skromnych; będzie ci daleko łatwiej być w tej roli.

— A jakież duże rękawiczki! — Boże miłosierny! toż moje ręce giną w nich zupełnie!

— Radzę ci jednak, nie zdejmuj ich, — twoja malutka, drobna

rączka najłatwiej może nas zdradzić. A teraz pani Szmyt, pamiętaj pani, że podróżujesz z nami jako nasza ciotka; zmiłuj się, nie zapominaj tego.

— Słyszałam — odpowiedziała pani Szmyt — że przychodzili jacyś ludzie ze zleceniem do wszystkich kapitanów, aby pilnie śledzili, czy nie siądzie na który statek mężczyzna z żoną i małym chłopczykiem.

— Czy tak? — rzekł Jerzy. — A więc dobrze, skoro napotkamy tych nieszczęśliwych, oznajmiemy im to.

Bryczka pocztowa zajechała i gościnna rodzina, która przyjęła do siebie zbiegów, okrążyła ich, serdecznie żegnając, z życzeniami pomyślnej ucieczki.

Pani Szmyt mieszkała właśnie w tej części Kanady, dokąd Jerzy miał zamiar się udać, i ponieważ zgodziła się uchodzić za ciotkę Henrysia, powierzono więc jej małego na parę dni przed wyjazdem, aby się oswoił z nową krewną; czułe pieszczoty i obfitość ciasteczek i lodowatego cukru, wkrótce potrafiły przywiązać do poczciwej staruszki mniemaną siostrzeniczkę.

Przybyli na brzeg. Dwaj młodzi mężczyzni, a raczej za takich uchodzący, przeszli przez kładkę na pomost statku. Elżbieta grzecznie podając rękę Pani Szmit, a Jerzy zajmując się pakami. Przy biurze kapitana statku, Jerzy biorąc bilety, podsłuchał rozmowę dwóch nieznajomych, obok niego stojących:

— Śledziłem dobrze każdego z przybywających na statek i mogę upewnić, że jeszcze nie weszli. — Tak mówił komisarz statku do starego naszego znajomego Marksa, który z wytrwałością charakteryzującą go, przybył aż do Sandusky, wietrząc za swą zdobyczą.

— Kobietę z trudnością zaledwo można odróżnić od białej — odpowiedział ostatni — i mulat ma bardzo jasny kolor twarzy, na jednem ręku ma znak wypalony żelazem. — Ręka, którą Jerzy brał bilety, drgnęła; lecz on sam spokojnie, z zimną krwią obracając się, obojętnie spojrzał na mówiących i wolnym krokiem poszedł w drugi koniec statku, gdzie go Elżbieta czekała.

Pani Szmyt z małym Henrysiem udała się do pokoju dam, ciesząc się tysiącami komplementów, jakie ściągnęła na się piękna twarzyczka mniemanej dziewczynki.

Dzwonek dał znak odjazdu i Jerzy spostrzegł Marksa, wracającego na brzeg i kiedy statek odpłynął od brzegu dość daleko, westchnął głęboko, jakby zrzucając ogromny ciężar, tłoczący mu pierś.

Dzień był prześliczny, sinawe fale jeziora Ery przelewały się w tysiączne odcienie, łamiąc przecudne promienie słońca; świeży orzeźwiający wietrzyk dął zlekka od brzegu i statek bystro pruł swą piersią wody jeziora.

O niepojęte, tajemnicze serce ludzkie! ktoby się mógł domyśleć, widząc Jerzego spokojnie przechadzającego się po pokładzie statku ze swoim trwożliwym towarzyszem, że tam wewnątrz, pod tą obojętną na pozór powierzchownością kipiał wulkan trwogi i nadziei. Szczęście, które się zbliżało, zdawało mu się za wielkie, aby się mogło stać rze-

czywistością; wszystkiego się lękał, drżał, aby coś nadspodziewanego nie wyrwało mu tego szczęścia.

Statek lekko posuwał się naprzód, godziny upływały i nakoniec przed stęsknionemi oczami zbiegów rozwinęły się jasną wstęgą błogosławione brzegi angielskie. Tam tajemnicza potęga targa pęta niewoli, kruszy jej zaklęcia, nie zważając w jakim języku były wymawiane, jaka władza je zatwierdziła.

Małżonkowie trzymając się za ręce, niecierpliwie oczekiwali przybycia statku do małej mieściny Amherstberg w Kanadzie. Jerzy w milczeniu, konwulsyjnie ściskał drżącą dłoń swej żony; wzrok mu się zaćmił jakby gęstą mgłą, oddech stawał się coraz krótszy, prędszy. Nakoniec dzwonek się odezwał, statek przybił do brzegu; nieprzytomny Jerzy zbiera swoje paki, zgromadza towarzyszów i... wszyscy wysiadają na brzeg!

Wolni! wolni! Jeszcze, jakby nieufając szczęściu, w milczeniu oczekują, aż statek się oddali; wówczas wzajemnie rzucając się w objęcia, padają na kolana, aby przesłać dziękczynne modły przed tron Najwyższego.

Pani Szmyt zaprowadziła ich do mieszkania pewnego misjonarza, którego miłość chrześcijańska zapędziła w te strony, aby zostać pasterzem błądzących owiec, szukających na brzegach Ery bezpiecznego schronienia.

Kto może opisać bezgraniczną radość pierwszych chwil wolności. Czyż zmysł wolności nie jest szlachetniejszym od innych pięciu zmysłów! Co za rozkosz działać, mówić, oddychać, wychodzić, wracać, kiedy żadne oko cię nie szpieguje, kiedy ci niebezpieczeństwo nie wisi nieustannie nad głową. Kto może opisać ten błogi spokój, który nawiedza łoże człowieka wolnego, zostającego pod prawami, zapewniającemi mu wszelkie przywileje, jakie każdy człowiek ma z rąk miłosiernego Stwórcy. O! jakże twarz drogiego dziecięcia uśpionego wydaje się matce piękną przez mgłę wspomnienia tych tysiąca nieszczęść, które ich otaczały. Niepodobna usnąć po utrzymaniu tak wielkiego szczęścia, i serca naszych zbiegów były zanadto przepełnione radością, aby mogli myśleć o odpoczynku. A jednak nie mieli piędzi ziemi, ani dachu, któryby mogli nazwać swoją własnością; wydali aż do ostatniego dolara, pozostało im tylko to, co ptakom wolno bujającym, co i kwiatkom łąki zdobiącym.

Wy, którzy pozbawiacie najdroższego daru człowieka, wolności, czyż znajdziecie słowo na wasze usprawiedliwienie się przed groźnym w swej sprawiedliwości Bogiem?

———o———

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Zwycięstwo.

Goniąc często po szorstkiej, ciernistej drodze żywota, czujemy, że daleko lżejby było nam umrzeć, niż żyć.

Męczennik wobec okropnej śmierci znajduje w samem przerażeniu pewną potęgę, dającą mu siły do zniesienia mąk i cierpień. Walka, opór, zapał i odwaga, jakieś ożywcze drżenie, wznoszą jego duszę przed tron Boga, gdzie jest wieczna chwała i odpocznienie.

Lecz z dnia na dzień w ciężkiej, niszczącej, hańbiącej niewoli czuć jak siły zwolna słabieją i nikną, jak każde uczucie tępieje, światło myśli gaśnie w tem powolnem, lecz nieustannem, podłącem duszę doświadczeniu, gdzie życie wewnętrzne upływa kroplami, bez żadnej nadziei na przyszłość... O, to okropnie! to istny probierczy kamień dla czystego złota, jakie się znajduje w sercu człowieka.

Póki Tomasz słuchał pogróżek swego kata i stał przed nim twarzą w twarz, póki w głębi swej duszy miał przekonanie, że ostatnia godzina jego wybiła, serce jego było pełne odwagi, zdawało mu się, że z myślą o niebie, które czuł tak bliskiem, z obrazem Zbawiciela, wytrzyma tortury i żadne męczarnie go nie zastraszą. Lecz skoro tyran się oddalił, wewnętrzny zapał zaczął ostygać, cierpienia zbolałych, pokaleczonych członków zdawały się powiększać; zadrżał na myśl spodlenia, nędzy, które miały trwać przez długie dni, bez żadnej nadziei, bez żadnego zbawienia! O, jakże powolnie wówczas dla niego słońce krążyło po swej drodze.

Jeszcze rany nie były się zgoiły, a Legris kazał go pędzić na pole do pracy. I zaczęła się ciężka praca, udręczenie bez końca, obelgi i wszystko, co tylko może wynaleźć zemsta podłego, niskiego umysłu. Nawet w dostatku i wolności, pomimo wszystkich troskliwych starań, jakże jest wielką, nieznośną drażliwość obudzająca fizyczne cierpienia! Tomasz przestał się już dziwować ponuremu i złośliwemu usposobieniu swych towarzyszów niewoli; bo jego spokój, zadowolenie, zwyczajne mu w ciągu całego życia, zaczęły ustępować przed nieustannem prześladowaniem. Liczył, że w chwilach wolnych będzie mógł się pomodlić; lecz nie miał chwili wolnej. W roboczy czas, Legris bez żadnego względu pędził w pole wszystkich niewolników, nie było dla nich święta, ani odpoczynku. Bo i na co im to potrzebne? Tym sposobem pan ich zbierze więcej bawełny i wygra zakład; a jeżeli od zbytku pracy straci kilku murzynów, więc cóż... kupi na to miejsce innych.

I czyż można byłoby się dziwić, gdyby, otoczony tak grubą ciemnością, stracił spokój religijny, zachwiał się w wierze, która go tak silnie poprzednio podtrzymywała? Bolesne, tajemnicze pytania życia naszego, przygniecenie, spodlenie, cierpienia niewolników, zwycięstwo złego, ciągle dręczyły jego umysł. Tygodnie, miesiące upływały i Tomasz przygnieciony smutkiem, musiał ciągle walczyć. Myśląc o liście, wy-

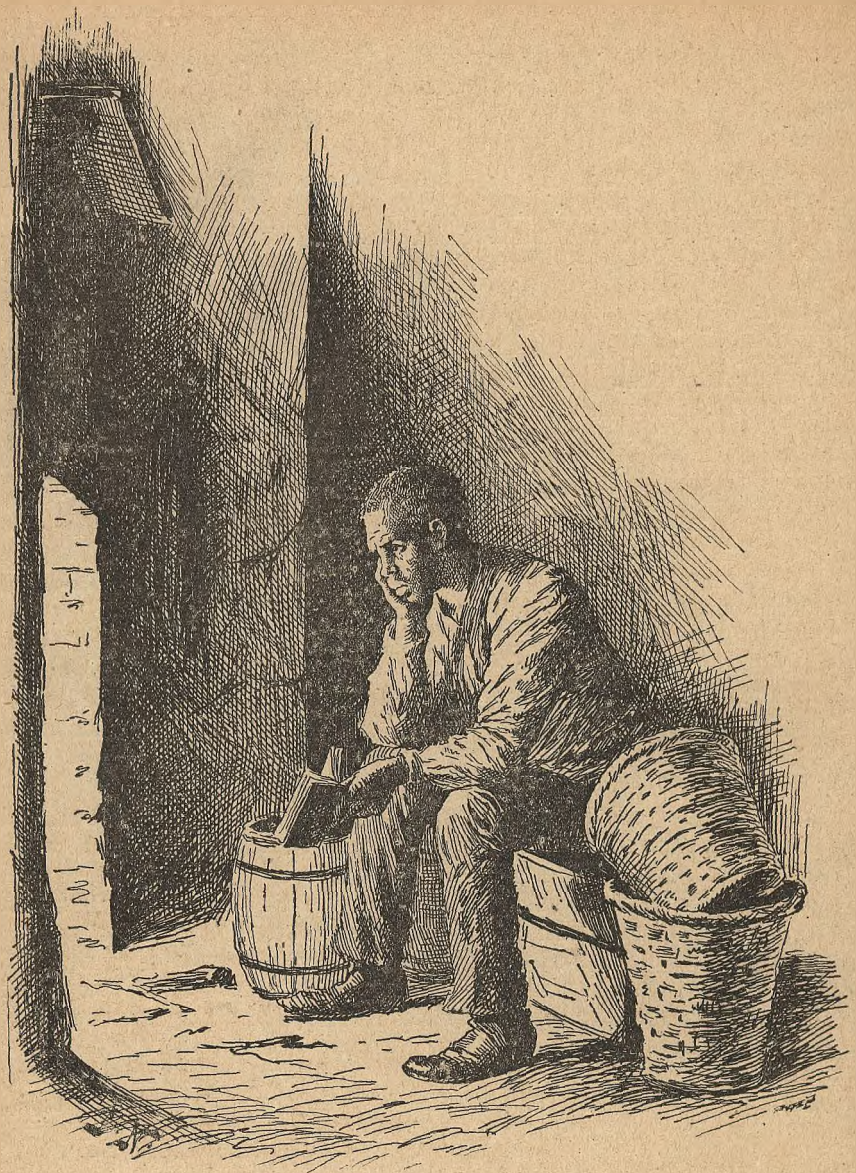

Zmęczony siedział przed słabym ogniem . . .

słanym przez pannę Ofelię do jego przyjaciół w Kentucky, prosił gorąco Boga o swe wyswobodzenie z rąk tyrana i oczekiwał jakiegokolwiek posłańca dla wykupienia go. Lecz nikt nie przybywał i serce się jego przepełniło goryczą. I czyż napróżno tak gorliwie służył Bogu? czyż

Bóg opuścił wiernego sługę Swego? Czasami spotykał Kassy; a gdy był przyzywany do domu, co się rzadko zdarzało, ukradkowo widział melancholiczną postać Eweliny; lecz nie mógł mieć żadnych z niemi stosunków, bo i czasu mu brakowało do rozmowy.

Pewnego wieczora zmęczony, opadły z sił, siedząc przy słabym ogniu, przy którym gotował nędzną swoją kolację, podrzucił doń trochę łuczywa dla powiększenia światła i otworzył książkę do nabożeństwa. Często czerpał w książce tej pociechę, dzisiaj, czyż słowa te straciły swoją siłę? czyż serce jego osłabło tak bardzo, że już się zagrzać nie może? Z ciężkiem westchnieniem włożył księgę napowrót do kieszeni i głęboko się zamyślił. Zwierzęcy śmiech przerwał jego zamyślenie. Zadrżał, podniósł oczy i ujrzał stojącego przed sobą Legrisa.

— Ha, stary psie! — krzyknął brutal — jak widzę, przekonywasz się nakoniec, że twoja religja przestaje działać! Ja nie wątpiłem, że z czasem przez tę szorstką wełnę wpakuję do tego łba trochę więcej rozumu!

Okropny, złośliwy sarkazm był boleśniejszym od głodu, zimna i wszelkiego niedostatku; lecz Tomasz milczał.

— Jesteś głupi! Kupując ciebie, chciałem twego dobra — mówił dalej Legris. — Zależało od ciebie, byś był szczęśliwszym od Sambo, od Kimbo i od nich obu razem. Zamiast być bitym, męczonym każdego dnia, ty sam mógłbyś podnieść głowę nad równych sobie, bić ich, ile by ci się podobało. Czasami nawet miałbyś dla rozweselenia serca czarkę dobrego, ciepłego ponczu. No, Tomaszu, usłuchaj rozsądku! rzuć w ogień cały zbiór tych starych kuglarstw i przejmij się mojemi zasadami.

— O niech mię Bóg strzeże od tego! — zawołał Tomasz z zapałem.

— Czyż ty nie widzisz, że Bóg nie opiekuje się już tobą? bo czyż inaczej dozwoliłby ci wpaść w moje szpony? Twoja religja jest tylko zbiorem starych bredni, kłamstw i oszukaństw. Wiem to z doświadczenia; bądź pewny, że nic nie stracisz, kiedy będziesz mnie słuchał. Wszakże ja jestem czemś i mogę coś!

— Nie, panie — rzekł Tomasz — ja pójdę swoją drogą. Czy Bóg mi będzie pomagał lub nie, nigdy Go nie odstąpię, nie przestanę w Niego wierzyć aż do końca życia!

— Podwójne głupstwo, stare oszukaństwo! — krzyknął Legris, plując mu w oczy i trącając nogą. — Ho! ho! ja cię nagnę, ja cię nauczę pokory; zobaczysz, przeklęty psie! — i wyszedł.

O! jakże często się zdarza, że dusza przygnieciona zbyt ciężkiem prześladowaniem, upadając do ostatecznych granic poniżenia i niemocy, nagle przez gwałtowne oddziaływanie odzyskuje stracone siły, wszystkie jej władze się wytężają i z potęgą niewypowiedzianą zrzuca ciężar ją gniotący. Doświadczył tego prześladowany Tomasz. Bezbożne drwinkowanie wyczerpało siły, wiara jego wprawdzie go podtrzymywała jeszcze, ale było to już ostatnie konwulsyjne wysilenie zrozpaczonej duszy męczennika, i siedział skurczony, przybity przed gasnącym ogniem. Nagle wszystko znikło mu z przed oczu i stanął Syn Człowieczy w ko-

ronie cierniowej skrwawiony, zbity, spotwarzony. Tomasz z zachwytem i czcią patrzał na Boską postać, której głębokie wejrzenie, pełne współczucia i miłości, wzruszyło jego serce, wstrząsło duszą; wyciągając obie ręce, padł Tomasz na kolana. Stopniowo obraz się rozjaśniał, ciernie zamieniły się w przejasne promienie i Boska twarz, olśniewająca blaskiem chwały, nachyliła się nad sługą Swoim i dał się słyszeć głos: „Jam żywot wieczny, kto we Mnie wierzy, żyć będzie na wieki".

Jak długo Tomasz zostawał w tym stanie, sam nie wiedział. Kiedy widzenie znikło i Tomasz otworzył oczy, nie było już ognia na kominie, łachmany jego przesiąkły mroźną rosą nocy: ale zastraszający kryzys minął i, przepełniony błogą radością, nie czuł już więcej ani głodu, ani zimna, ani poniżenia, ani nędzy. W głębi swej duszy w tej chwili znalazł potęgę i zstrząsł z siebie wszystko, co ziemskie i znikome; pozbył się wszystkich nadziei życia doczesnego i na ołtarzu przedwiecznej Mądrości złożył swą wolę w ofierze. Wzniósł oczy w górę na te tysiące spokojnych, wspaniałych gwiazd — z litością patrzących z niedoścignych wyżyn na nędzę i cierpienia człowieka. I w ciszy nocnej rozległa się anielska melodja, triumfalny hymn, który tak często śpiewał w szczęśliwszych dniach, lecz nigdy z taką pełnią szczęścia.

Ziemia, księżyc, jako śnieg stopnieją,
Słońce i gwiazdy światła nie wydadzą;
Lecz opuszczeni cieszmy się nadzieją,
Bo nas anieli ku chwale prowadzą!
Gdy dusze z więzów uwolnią się ciała,
I ciała ziemskie w popiół się obrócą,
Przed nami wieczna zajaśnieje chwała,
I pieśń triumfu anieli zanucą!
I wieki zmieni kolej wieków nowa!
Lecz końca niema żywot chwały wieczny,
Bo swym wybranym zgotował Jehowa
Szczęście bez granic, jak On sam przedwieczny!

I kiedy szary blask poranku zbudził śpiących do ciężkiej pracy, Tomasz między nieszczęśliwymi swymi towarzyszami, drżącymi od chłodu i braku wypoczynku, szedł krokiem pewnym i triumfującym; bo Bóg miłosierny wsparł go Swą potężną prawicą.

Od tej chwili w pokornem sercu prześladowanego zapanował niewzruszony pokój, Zbawiciel założył w niem Swoją świątynię. Przeszły już boleści ziemskie, znikły niepewne nadzieje, pragnienia, bojaźnie, i wola po długiej walce całkiem się zlała z wolą Boską. Jakże krótką się wydała Tomaszowi pozostała część pielgrzymki jego doczesnej, jak bliskie i przejasne szczęście wieczne. O! teraz największe cierpienia, najsroższe męki nie są już w stanie zamącić spokoju jego duszy; dawna wesołość wróciła i z wypogodzonem czołem czekał prześladowania, nawet śmierci.

Zauważyli wszyscy tę nagłą zmianę; Legris czując się nią upokorzonym, mówił do Sambo:

— Djabeł chyba mu pomaga... Niedawno był przygnębiony, przybity; a teraz ożył jak świerszcz!

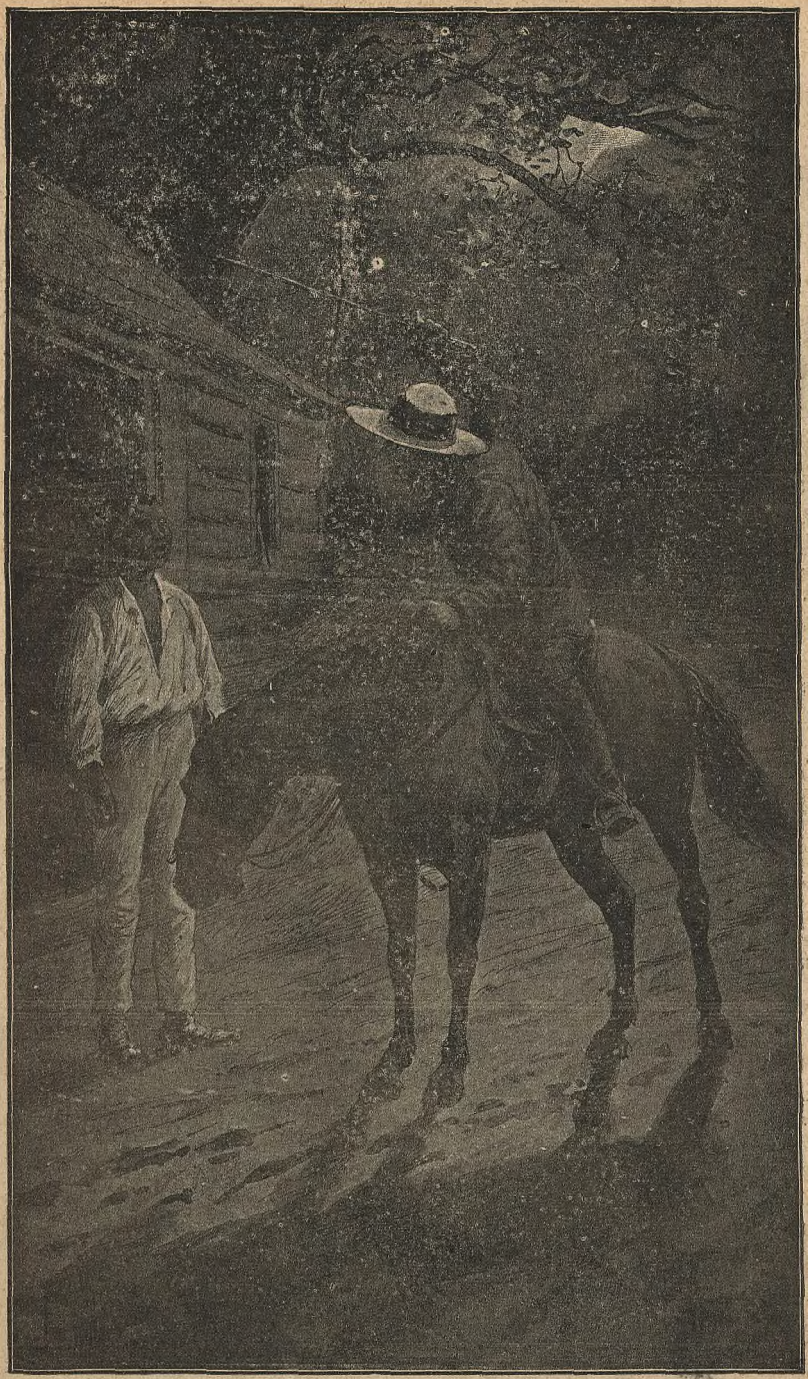

Hola murzynie, jakiem prawem śmiesz tak hałasować? . . .

— Nie wiem, panie; może on przemyśla o jakiej ucieczce.

— Chciałbym tego się doczekać — rzekł Legris, zgrzytając zębami. — Cóż ty mówisz na to, Sambo, hę?

— O, byłoby czem nacieszyć się, ho! ho! ho! — odpowiedział czarny gnom z podłym, schlebiającym uśmiechem. — O, jakże byłoby zabawnie! czarny zapada w błoto, wywija się między krzakami i cierniami, a psy ujadają, dopadają!... A wtenczas, kiedy łowili Molly, co to było śmiechu! ja aż poderwałem sobie boki i myślałem, że tylko kości z niej zostaną, kiedy ją wyrywałem z paszczęk psów! Oh, musi ona dziś jeszcze nosić ślady tej zabawy, ho! ho! ho!

— Spodziewam się, że je poniesie do grobu — rzekł Legris. — Ale miej oko, Sambo, i kiedy negrowi przyjdzie chętka... ha, rozumiesz? no tak... po swojemu, hę!

— Niech pan będzie spokojny...

Legris siadł na konia i udał się do sąsiedniego miasta. Wracając w nocy, przyszła mu myśl zawrócić i objechać chałupy niewolników, dla obejrzenia, czy wszystko jest w porządku.

Była to prześliczna noc księżycowa, cienie wspaniałych drzew alei rysowały na ziemi fantastyczne obrazy, w powietrzu panowała poważna cisza, którą naruszyć zdawałoby się grzechem. Legris, zbliżając się do chałup, posłyszał śpiew; śpiew w tych miejscach był rzeczą nadzwyczajną, zatrzymał się więc, aby podsłuchać. Równy, melodyjny tenor śpiewał:

Wiem, że dusza moja, Panie!
Gdy się wyrwie z więzów ciała,
Przed obliczem Twojem stanie,
Gdzie ją czeka wieczna chwała!
Więc nie straszą mię cierpienia,
Nie zatrwożą żadne wrogi;
Bo w swym Stwórcy wybawienia
Szuka dusza ma bez trwogi.
Niech nieszczęścia z swą potęgą,
I szatani całą zgrają
Zgubę moją poprzysięgą,
Mej słabości urągają;
Niech na męki tu nię wloką,
Niechaj dręczą cierpień roje:
Ma ojczyzna tam — wysoko
Bóg mój, niebo, wszystko moje!

— Ho! ho! to tak! — rzekł do siebie Legris! — patrzcie dokąd on sięga! przeklęte hymny! nienawidzę ich! — No, czarny! tutaj! — zawołał, wpadając nagle na Tomasza z podniesionym biczem — jak śmiesz warczeć, kiedy powinieneś spokojnie leżeć? Zamknij swój przeklęty pysk i ruszaj spać! rozumiesz, hę?

— Tak, panie — rzekł Tomasz pokornie i z uległością wstał, aby wypełnić rozkaz.

Wesoła, spokojna twarz Tomasza rozwścieklila Legris; zawrócił więc konia i zaczął go okładać biczem po głowie i plecach.

— Oto masz, psie! — zawołał. — Ha, jak ci teraz! co? przyjemnie? — pytał drwiąco.

Lecz uderzenia padały tylko na ciało, a wcale nie dotykały jak dawniej serca. Tomasz był zupełnie spokojny, uległy i Legris musiał wyznać przed sobą, że wielką część swej władzy nad pokornym niewolnikiem utracił na zawsze. Gdy Tomasz wszedł do swej chaty, i Legris zawrócił na powrót swego konia. Nagły promień, błysk sumienia, który często nawiedza najwystępniejsze, najczarniejsze dusze, uderzył umysł Legrisa; pojął, że sam Bóg stanął między nim i jego ofiarą, i zaczął złorzeczyć, bluźnić Bogu. Pokorny, cichy, wzgardzony niewolnik, którego żadne groźby, żadne okrucieństwa nie mogły zachwiać, obudzał w nim niepokój.

Tomasz był przejęty współczuciem dla nędzarzy, którzy go otaczali. Uczucie boleści osobistej zamarło w nim; lecz paliła mu pierś gorąca chęć przelania za towarzyszów swej niewoli choć części tego niewyczerpanego skarbu, tej pociechy, spokoju, które się z nieba zlewały na niego. Rzadko okoliczności temu sprzyjały; lecz idąc i wracając z plantacji i w czasie samej pracy, podawał rękę pomocną zmęczonemu, zbolałemu, zrozpaczonemu towarzyszowi. Z razu te biedne istoty zaledwo mogły go pojąć, lecz postępowanie Tomasza, trwające całe tygodnie, miesiące, musiało nakoniec poruszyć struny, tak długo milczące w odrętwiałem ich sercu. I ten dziwny człowiek, cierpliwy, cichy, zawsze gotów pomagać, nie prosząc wcale sam o pomoc; trzymając się na uboczu, był ostatnim i otrzymywał najmniej, a jednak był gotów i tą odrobiną dzielić się z potrzebującym; w chłodne noce chętnie oddawał swoje przykrycie biednej kobiecie, drżącej od zimna; napełniał kosze słabszych, nie zważając, co może go spotkać za to; znosząc najokropniejsze prześladowania wspólnego ich tyrana, do jego przekleństw nie łączył swoich, za obelgi nie odpowiedział obelgą; człowiek ten nakoniec pozyskał przeważny nad nimi wpływ. Kiedy naglący czas pracy przeszedł, niektórzy niewolnicy, mając wolną niedzielę, zbierali się u Tomasza, aby słuchać jego opowiadania o Zbawicielu, wspólnie z nim śpiewać i modlić się; lecz Legris nie dopuszczał tego, z przekleństwem na ustach i bluźnierstwem rozpędzał ich.

Z jakim zapałem, zachwytem biedne istoty, dla których to życie ziemskie było smutną i uciążliwą podróżą ku nieznajomemu celowi, przyjmowały wieść o miłosiernym Odkupicielu i ojczyźnie wiecznej! Misjonarze upewniają, że plemię afrykańskie odznacza się szczególniejszą wrodzoną powolnością i gorącym zapałem w przyjmowaniu Ewangelji. I rzeczywiście, ich natura jest dziwnie wierząca. Słowo prawdy rzucone przypadkowo, zaniesione jakimś pomyślnym wiatrem w te serca naiwne, niewykształcone, jakże często wydają owoce daleko obfitsze, aniżeli u nas, przy najstaranniejszej uprawie.

I dusza tej biednej mulatki, której wiara wygasła pod nawałem nieszczęść i niesprawiedliwości, ożywiła się, słysząc z ust pokornego Tomasza pieśń pobożną. Przypomnijmy, że nawet dziki i napół obłąkany umysł Topsy uspokoił się, złagodniał pod tym opatrznym wpływem.

Kassy, doprowadzona do rozpaczy, prawie do warjacji cierpieniem i nieszczęściami całego życia, w duszy swojej postanowiła się zemścić, zemścić się własną ręką za wszystkie okrucieństwa, których była świadkiem, lub ofiarą.

Tomasz ujrzał w oczach Kassy jakiś dziwny blask . . .

Pewnej nocy, kiedy wszyscy w chacie Tomasza spali snem głębokim, ujrzał on nagle twarz Kassy w oknie, a raczej w dziurze służącej za okno; wzywała go tajemniczym gestem ku sobie.

Tomasz wyszedł z chałupy, mogło już być między pierwszą a drugą w nocy. Tomasz ujrzał w oczach Kassy jakiś dziwny blask, tak różny od zwyczajnego wyrazu ponurej rozpaczy.

— Tutaj, wuju Tomaszu, tu chodź! — i biorąc swą drobną ręką za szorstką i dużą dłoń Tomasza, ciągnęła go z nadzwyczajną siłą. — Chodź tu, mam nowinę dla ciebie.

— Co? jaka nowina pani Kassy? — spytał Tomasz z niepokojem.

— Czy pragniesz wolności, Tomaszu? — spytała.

— Otrzymam ją, gdy się Bogu spodoba! — odpowiedział Tomasz.

— Możesz ją otrzymać nawet tej nocy, natychmiast! — rzekła Kassy z energją. — Chodź!

Tom się wahał.

— Idźmy! — mówiła, zwracając na niego swe czarne, pełne gorączkowego ognia oczy. — Prędko! On śpi snem twardym... Wsypałam mu do rumu to, czego potrzeba, aby sen był długi: szkoda żem nie miała tego więcej, nie potrzebowałabym twej pomocy. Lecz idźmy! Drzwi tylne wpółotwarte, przy nich leży siekiera, przygotowałam ją sama; drzwi do jego pokoju otwarte... Jabym sama wszystko skończyła; lecz moja ręka za słaba... Chodź! chodź...

— Nie, nie! za nic w świecie, pani Kassy — rzekł Tomasz stanowczo, zatrzymując ją.

— Lecz pomyśl o tylu biednych istotach, które jednem cięciem oswobodzimy! Udamy się później gdziekolwiek w błota, na jaką wyspę, tam będziemy żyli wolni. Słyszałam o podobnych rzeczach! O! i jakież życie nie jest lepsze od naszego?

— Nie! — rzekł Tomasz — nie! nigdy złe nie rodzi dobrych owoców. Odciąłbym raczej sobie prawą rękę!...

— Dobrze! więc ja jedna to uczynię! — rzekła Kassy idąc naprzód.

— O, pani Kassy — zawołał Tomasz, rzucając się przed nią na kolana. — Na miłość Zbawiciela, który umarł za nas, nie rzucaj swej duszy na ofiarę djabłu! Zło rodzi tylko zło. Bóg nie wezwał nas do zemsty, powinniśmy cierpieć i oczekiwać Jego miłosierdzia!

— Cierpieć! oczekiwać! — zawołała Kassy. — Czyżem ja nie czekała? Czekam, i głowę straciłam i serca mi zabrakło! Ach! cóżem wycierpiała od niego! co wycierpiało tyle set biednych istot! Czyż nie on cię zbił, okrwawił? O tak! mnie przeznaczono dopełnić tego!... czy rozumiesz?... godzina jego wybiła!... O! wytoczę krew z jego serca!...

— Nie! nie! nie! — zawołał Tomasz, zatrzymując obie drobne jej ręce, konwulsyjnie zaciśnięte w swoich. — Nie, biedna, obłąkana duszo, ty tego nie uczynisz. Miłosierny nasz Zbawiciel nigdy nie przelał niczyjej krwi; ale Swoją poświęcił za nas, za nas występnych. O Boże! wspomóż nas, naucz nas kochać tych, którzy nas nienawidzą; naucz nas postępować drogami Twemi!

— Kochać! — zawołała Kassy z dzikim, obłąkanym wzrokiem. — Kochać! takich wrogów! o! to rzecz niepodobna dla istot z ciała i ze krwi!

— Tak pani, trudno — rzekł Tomasz, wznosząc oczy w górę — lecz Bóg może nam dać tę siłę, a z nią zwycięstwo! Kiedy będziemy mogli kochać wszystkich, modlić się za wszystkich bezwzględnie, nie będzie więcej walki, zwycięstwo pewne! Chwała niech będzie Bogu! — mówił głosem urywanym, wznosząc oczy pełne łez w niebo, z gorącą modlitwą serca.

Głeboka wiara Tomasza, poruszający, słodki ton jego mowy, łzy, modlitwy i boleści, jak rosa niebieska padły na zbolałą a gwałtowną duszę biednej kobiety; ogień jej oczu zagasł, spuściła powieki, Tomasz

czuł, że konwulsyjne ściśnienie jej rąk osłabło, i rzekła łagodniej, spokojniej:

— Czyż nie mówiłam tobie, że zły duch mię prowadzi? O wuju Tomaszu! ja się nie mogę modlić. Ach! gdybym mogła..., ach! ja się nie modliłam od chwili, gdy moje dzieci sprzedano!... To, co mówisz, jest prawdą; wiem, że tak być powinno! Ale zacznę się modlić i nie mogę — nie! tylko przeklinam, nienawidzę! — O! gdybym ja się mogła modlić!

— Biedna duszo! — zawołał Tomasz z współczuciem. — Szatan zastawił na ciebie sidła i chce tobą miotać, jak wiatr pyłem. Będę się modlił za ciebie. O pani Kassy, zwróć się ku Chrystusowi! On zstąpił na ziemię, aby leczyć zbolałe serca, aby pocieszyć tych, którzy płaczą!

Kassy była do głębi wzruszona, łzy dużemi kroplami padały z jej oczu.

— Pani Kassy — rzekł Tomasz, wahając się jakiś czas w milczeniu — gdybyś pani mogła stąd uciec... Radziłbym tobie i Ewelinie uciekać, jeżeli to być może bez zabójstwa i przelewu krwi, ale nie inaczej.

— A czy chcesz popróbować razem z nami, ojcze Tomaszu? — spytała Kassy.

— Nie! — odpowiedział Tomasz. — Był czas, kiedym tego pragnął; lecz Bóg objawił mi wolę Swoją i muszę zostać między tymi nieszczęśliwymi i nieść mój krzyż z nimi aż do końca. Dla ciebie tu za wielka pokusa i trudno, abyś w niej wytrwała. Lepiej uciekaj, jeżeli to podobna.

— Nie widzę innego ratunku, jak grób — rzekła Kassy — ptaki, zwierzęta mają swe schronienie; jaszczurki, gadziny nawet mają swe miejsca spoczynku i ochrony; ale my nie mamy! Tam w gąszczu bagien ich psy wytropią nas. Ludzie, zwierzęta, cała natura przeciwko nam, i gdzież mogłybyśmy się udać?

Po chwilowem milczeniu rzekł Tomasz:

— Ten, który zachował Daniela w lwiej jamie, który wybawił troje pacholąt z pieca ognistego, który szedł po morzu i uciszał wzburzone wiatry, jest wiecznie żywy; wierzę, że On was wybawi. Próbujcie, a ja będę się modlił, całą mą duszą będę się modlił za was.

Według jakich praw myśl długo odpychana, nagle się zjawia w nowem świetle i kamień rzucony jako nieużyteczny, nagle przybiera połysk brylantu?

Kassy tyle razy rozbierała w swej myśli wszystkie możebne i prawdopodobne plany ucieczki i zawsze je odrzucała jako niepraktyczne; lecz w tej chwili powstała w niej myśl i wydała się tak prostą, tak łatwą do wypełnienia we wszystkich swych szczegółach, że nadzieja rozjaśniła jej czoło.

— Ojcze Tomaszu, popróbuję! — zawołała nagle.

— Amen — rzekł Tomasz — niech Bóg wam dopomoże.

———o———

ROZDZIAŁ XXXIX.

Podstęp.

Strych domu Legrisa był niezmiernie obszerny, bez żadnych ozdób, pokryty kurzem i pajęczyną, zawalony staremi, zużytemi meblami, które kiedyś, za czasów bogatych właścicieli plantacji, przepysznie ozdobiały wspaniałe salony; lecz później zapomniane w pustych pokojach, lub stoczone przez robactwo, zostały tam złożone. Kilka ogromnych skrzyń, w których niegdyś przywieziono te meble, stało pustych przy ścianie. Przez brudne, zadymione szyby małej dziury w dachu padało słabe światełko na krzesła o wysokich poręczach, na stoły, pokryte warstwą pyłu, pamiętające lepsze czasy. Sam widok tych rupieci był ponury, a krążące o nich legendy, powiększały stokrotnie przesądną bojaźń murzynów. Pan Legris, rozgniewany na pewną murzynkę, zamknął ją tam na kilka tygodni. Co z nią robiono, nie możemy wiedzieć i sami nawet niewolnicy z niepewnością i cicho tylko szepcą o tem. To jednakże pewna, że trupa nieszczęśliwej nakoniec stamtąd zniesiono i gdzieś pochowano. Odtąd przekleństwa, złorzeczenia, łoskot silnych uderzeń, rozdzierające krzyki, rozpaczliwe jęki, jak upewniają, rozlegały się bezustannie w tych miejscach. Legris, gdy się dowiedział o tych powieściach, wpadł w wściekłość i zagroził, że pierwszego, kto się odważy opowiadać coś podobnego, zamknie tam skutego, aby się osobiście przekonał o prawdzie tego, co opowiadają. Pogróżka okazała się skuteczną, opowiadania ustały, ale wcale się nie zmniejszyła wiara w krążące powieści.

Niewolnicy unikali schodów wiodących na strych, starali się o ile możności omijać nawet kurytarz przed schodami — i legenda poszła w zapomnienie. Lecz przyszło na myśl Kassy ożywić przesądną bojaźń Legris i korzystać z niej, dla oswobodzenia siebie i swej towarzyszki z niewoli.

Pokój sypialny Kassy był tuż pod strychem. Pewnego dnia bez oznajmienia panu Legris, sama kazała przenosić z wielkim zachodem wszystkie meble i rzeczy swoje do pokoju na drugim końcu domu. W chwili, gdy służący, użyci do tego, chodzili tam i napowrót bezładnie i biegali z wielką gorliwością, Legris, wróciwszy z konnej przejażdżki, wszedł do domu.

— Hola, Kassy, co to jest, co ci przyszło do głowy? — spytał głośno.

— Nic, chcę tylko zmienić pokój — odpowiedziała ponurym głosem.

— I dlaczego, jeżeli łaska?

— Dlatego, że chcę — odpowiedziała.

— Lecz dlaczego, do djabła, tak chcesz?

— Bo chciałabym spać gdziekolwiek bądź!

— Spać? A kto ci przeszkadza spać?

— Powiedziałabym ci, gdybyś chciał słuchać — odrzekła obojętnie.

— Hę, opowiedziałabyś, czarownico?

— A cóż w tem dziwnego, sądzę, że to wcale nie powinno cię zatrważać. E, tak... nic! jakieś jęki, uderzenia, jakieś ciała toczące się po podłodze, od północy aż do dnia białego ciągły hałas.

— Ciała tam na górze, na strychu! — rzekł Legris z miną trwożną, przymuszając się do śmiechu — ciała i czyje?

Kassy, podniósłszy na niego swe czarne, ponure, przejmujące oczy, spojrzała takim wzrokiem, że cały zadrżał.

— Czyje ciała, Szymonie? — powtórzyła. — To ty możesz mi powiedzieć... a może nie wiesz sam!

Legris podniósł bicz, lecz Kassy uszła drzwiami, a obróciwszy się, zawołała:

— Połóż się sam w tym pokoju, to się dowiesz dokładniej! Spróbuj! — I zamknęła się na klucz. Legris wściekał się, piorunował, groził, że drzwi wyłamie, lecz po chwilowym namyśle wrócił do salonu cały struchlały. Kassy widziała pomyślny skutek swych usiłowań i odtąd z dziwną przebiegłością prowadziła dalej rozpoczęte dzieło.

Umieściła w dziurze na dachu szyjkę starej butelki; najlżejszy wiatr, napotykając ciasne wejście, cisnął się weń z przeraźliwem, przeciągłem wyciem; a w czasie burzy ostry, głośny przejmujący świst dochodził do uszu bojaźliwych mieszkańców, jakby pomieszane głosy rozpaczy i trwogi.

Niema człowieka przesądniejszego od ateusza. Chrześcijanina uspokaja jego wiara w najmędrszego, wszechmocnego Ojca niebieskiego, który obecnością swoją napełnia próżnię porządkiem i światłością, lecz dla bezbożnika, niewierzącego w Boga, niewidomy świat duchów jest według słów poety hebrajskiego: „państwem ciemności grobowych", gdzie panuje bezład, a światłość staje się ciemnością. Dla niego sferę życia i śmierci napełniają widziadła, pełne grozy i trwogi.

Zetknięcie się z Tomaszem obudziło w Legrisie strunę zupełnie zagłuszoną, zdaje się dlatego tylko, aby w walce ze złem, tak głęboko w nim zakorzenionem, bezpowrotnie zwyciężoną została; ale odtąd modlitwa Tomasza jak iskra elektryczna wstrząsała jego umysłem i budziła w nim bojaźń, z której nie zdawał sobie sprawy.

Chociaż Legris, będąc właścicielem, tyranem, prześladowcą Kassy, sądził, że ma ją bezbronną zupełnie w swej władzy; umysł jego jednak nie mógł się oswobodzić od dziwnego wpływu tej kobiety; bo i najdzikszy brutal, zostając w ciągłych stosunkach z kobietą energiczną, musi nakoniec ulec jej wpływowi. Gdy ją kupił, była jeszcze delikatną, przyjemną, a jednak, nie zważając na to, postępował z nią bez litości, pogardliwie, depcąc jak niewolnicę. Lecz z czasem, kiedy spodlenie, rozpacz, wyziębiły wszelkie uczucia w tej kobiecie i obudziły występne namiętności, wówczas go podbiła i dostała pod swą władzę i bał się jej, choć ją tyranizował. Ten wpływ stał się jeszcze większym, pewniejszym, kiedy wpółobłąkanie nadało słowem i czynem jej charakter dziwaczny, nadnaturalny.

W parę dni po przeprowadzeniu się Kassy, siedział wieczorem Legris w sali przed kominkiem, któ go ogień rzucał niepewne, blade światło. Ciemne chmury, pokrywające niebo zapowiadały burzliwą noc,

noc huraganów, w które to zwyczajnie w pustych, starych domach, rozlegają się całe legiony fantastycznych, dziwacznych głosów. Okna się trzęsły, okiennice z przeraźliwym skrzypem stukały o mur; wiatr jęcząc i świszcząc, wpadał w komin i unosił z sobą kłęby dymu i popiołu, jakby zwiastunów zbliżających się harców złych duchów. Legris robił rachunki i czytał gazety; a Kassy, siedząc w kącie, ponuro patrzała na komin. Legris, kładąc nakoniec gazety na stół i widząc otwartą starą książkę, którą Kassy poprzednio czytała, wziął ją i zaczął przerzucać karty. Był to zbiór historji o upiorach, widzeniach nadnaturalnych, okropnych zabójstwach, które zwykle wydane dużym drukiem z rycinami, jakąś siłą czarodziejską przywiązują czytelnika, skoro je raz zacznie czytać.

Legris się dąsał, krzywił, ruszał ramionami, czytał jednak stronicę po stronicy; nakoniec rzucił książkę o ziemię ze złorzeczeniem i przekleństwem.

— Ty nie wierzysz w upiory, Kassy? — spytał Legris, poprawiając szczypcami ogień. — Mam ciebie za dość rozsądną, abyś się miała lękać głupich zabobonów.

— Co może cię obchodzić, w co ja wierzę? — burknęła Kassy.

— Na morzu, to bardzo często starano się mię straszyć — rzekł Legris — owemi przeklętemi powieściami; lecz nigdy im się to nieudało. I muszę ci wyznać, że jestem za twardych nerwów na podobne brednie.

Kassy patrzała nań pilnie, z uwagą, a w oczach jej pałał ten dziwny blask, który na Legrisie robił przykre, trwożące go wrażenie.

— I cóż znaczą te wszystkie krzyki?... To szczury, wiatr, nic więcej — mówił dalej. — Jaki hałas mogą podnieść jedne tylko szczury, przekonałem się sam, słysząc tak często ich harce na spodzie okrętu. A wiatr? E, do djabła! niema głosów, którychby nie można było z niego wydobyć.

Kassy wiedziała dobrze, że Legris bał się blasku jej oczu, nic więc nie odpowiadając, patrzała na niego wzrokiem przejmującym, ponurym.

— No, ty, babo, odpowiadaj! Czy myślisz tak jak ja?

— Czyż myszy mogą wejść po schodach, przejść kurytarz, odemknąć zamknięte drzwi, które prócz tego jeszcze były zastawione krzesłem? Czyż mogą maszerować, maszerować krok za krokiem, prosto do łóżka i położyć rękę... ot tak?

Mówiąc to, błyszczące swe oczy utkwiła w Legris, który stał jak skamieniały; ale kiedy poczuł lodowate dotknięcie jej ręki, odskoczył gwałtownie w tył, krzycząc:

— Czarownico, co mówisz? Nikt ci tego nie robił!

— O nie! nikt! A czyż ja ci mówiłam o kimkolwiek? — pytała z drwiącym śmiechem.

— Lecz... czy ty rzeczywiście co widziałaś? No, cóż Kassy, powiedz! — błagał przestraszony.

— Od ciebie zależy się przekonać, spróbuj tam spać.

— Czy to pochodziło ze strychu, Kassy?

— Co takiego?

— To, o czem mówisz, Kassy.

— Kassy, czy wierzysz w duchy? . . .

— Ja nie mówiłam o niczem — rzekła Kassy z ponurą złośliwością.

Niespokojny, przerażony Legris przechadzał się po pokoju.

— O, dojdę do samego źródła tej jeszcze nocy nawet; wezmę pistolety...

— Zrobisz to? położysz się w tym pokoju?... O! chciałabym cię tam widzieć! Postrzelaj tam ze swoich pistoletów, postrzelaj!

Legris tupnął gwałtownie nogą i zaczął przeklinać, złorzeczyć.

— Nie przeklinaj! nie wiesz co cię tam czeka... sza! co to jest?

— Co? — rzekł Legris, drżąc na całym ciele.

Stary zegar ścienny w kącie salonu powoli zaczął bić. Pod wpływem okropnego strachu, Legris nic nie mówił, nie ruszał się. Stojąca przed nim Kassy z błyszczącym, utkwionym w niego wzrokiem liczyła uderzenia.

— Ha, północ! — rzekła. — Teraz ujrzymy! — Odemknęła drzwi wiodące na kurytarz i przyłożyła ucho.

— Słuchaj!... Czy słyszysz?... I podniosła palec.

— To wiatr — rzekł Legris — świszcze jak wściekły.

— Szymonie, chodź tu — szepnęła Kassy, ciągnąc go za rękę ku schodom. — Czy wiesz, co to jest? Słuchaj...

Ostry, przeraźliwy świst rozległ się na schodach i zdawało się, że pochodził ze strychu. Legris pobladł jak ściana, kolana mu się zgięły, zaczął drżeć.

— Weźmij pistolety — rzekła Kassy złowieszczo, z ironicznym uśmiechem, tak że krew zamarła w żyłach Legrisa. — Oto właśnie chwila dla zbadania całej prawdy. Dlaczego nie idziesz?... Teraz się właśnie zaczyna.

— Nie chcę! — zawołał Legris gniewnie.

— Dlaczego? Wszakże niema upiorów... ty to wiesz! No chodź! — I Kassy wbiegła na wschody, a widząc, że on nie idzie, zawołała:

— Chodźże, chodź za mną!

— O ty, djablico! zejdź natychmiast! zejdź Kassy! nie chodź tam czarownico!

Lecz Kassy, wstępując wyżej, śmiała się złowieszczo. On słyszał, jak odemknęła pierwsze drzwi, wiodące na strych. Gwałtowny wiatr, niosąc z sobą straszne krzyki, jęki, zagasił świecę, którą trzymał w ręku, bo przezorna Kassy, przewidując, że wieczór będzie burzliwy, poprzednio już odemknęła okno w dachu. Przestraszony Legris wrócił do sali, za chwilę wbiegła za nim i Kassy blada, lecz spokojna, zimna, jak duch mściciel.

— Spodziewam się, że dość ci tego? — zawołała.

— O, żeby cię djabeł porwał! — krzyknął Legris.

— Dlaczego? Weszłam i zamknęłam drzwi, oto wszystko! I jakże sądzisz, co może być tam na strychu, Szymonie?

— A co ci do tego?...

— Tak, dobrze! ale w każdym razie jestem rada, że nie będę spała tam pod strychem.

Przebiegła Kassy tak natrwożyła przesądnego Legrisa, że chętniejby się zgodził włożyć swą głowę w paszczę lwa, jak zbliżyć się do

strychu. A sama każdej nocy wybierając chwile, kiedy wszyscy snem głębokim spali, znosząc tam różne zapasy, powoli przygotowała je na dni kilka; zaniosła także część swej i Eweliny garderoby; i ukończywszy przygotowania, wyczekiwała tylko przyjaznej pory.

Przez czulsze od zwyczajnych pieszczoty, bez trudności otrzymała pozwolenie od Legrisa towarzyszenia mu do sąsiedniego miasta, położonego nad Czerwoną rzeką. Ożywiona nadzieją, z łatwością zapamiętała najmniejszy zakręt drogi i utworzyła sobie pojęcie o kierunku i czasie potrzebnym dla jej przebycia.

Od niejakiego czasu była Kassy dziwnie miłą, przyjemną, słodką dla Legrisa i przynajmniej na pozór zostawała w najlepszych z nim stosunkach. Zbliżyła się nakoniec stanowcza chwila. Legris wyjechał konno dla zwiedzenia plantacji. Korzystając z niebytności jego, obie nasze kobiety wieczorem w pokoju Eweliny zajęły się ułożeniem naprędce dwóch małych węzełków.

— Wystarczą — rzekła Kassy — a teraz włóż kapelusz na głowę, pójdziemy, już czas.

— Mogą jeszcze nas widzieć! — zauważyła trwożnie Ewelina.

— Właśnie tego chcę — odpowiedziała obojętnie Kassy. — Czyż nie wiesz, że w każdym razie będą na nas polowali? Posłuchaj, oto mój plan: wyjdziemy przez tylne drzwi i szybko się przemkniemy przed chałupami. Sambo i Kimbo spostrzegą nas i wybiegną w pogoń, a my umkniemy w błota. Oni, nie mogąc nas tam gonić bez wezwania pomocy, wrócą dla zebrania innych murzynów, zwołania psów i kiedy będą bezradnie biegali tam i owdzie, popychając, wywracając jeden drugiego, jak zwyczajnie przy każdem niespodzianem zdarzeniu — my trzymając się grobli, która się ciągnie poza domem, dojdziemy do tylnych drzwi niepostrzeżone, bo wszyscy wybiegną, aby nas szukać. Ten zwrót zmyli psów, ponieważ woda zaciera ślad. Skryjemy się na strychu, gdzie urządziłam łóżko w jednej wielkiej skrzyni i pozostaniemy tam czas jakiś, bo Legris poruszy całe piekło, aby nas szukano. Wezwie starych, wytrawnych poganiaczy z plantacji, wyprawi ogromne polowanie, przejrzy każdą piędź ziemi na błotach, bo się przechwala, że nikt nie może mu umknąć, użyje więc wszelkich środków, lecz niech sobie poluje, póki mu się spodoba.

— Jakże doskonale obmyślony plan, Kassy — rzekła Ewelina — ty jedna mogłaś tak go ułożyć.

Oczy Kassy nie błyszczały ani radością, ani triumfem, malowała się w nich tylko rozpaczliwa nieugięta wola.

— Idźmy! — zawołała, wyciągając rękę ku Ewelinie.

Wymknęła się niespostrzeżenie z domu i w pomroce wieczornej przebiegły około mieszkań niewolników. Nie było jeszcze zbyt ciemno. Srebrzysty księżyc, rysując się na zachodzie nieba, słabo oświecał ponurą okolicę. Jak przewidziała Kassy, tak się i stało. Dochodząc do błota, posłyszały rozkazujący głos, aby się zatrzymały; tylko że tym razem nie Sambo lecz sam Legris pędził za niemi, złorzecząc i przeklinając. Ewelina straciła zupełnie siły i opierając się na ramieniu towarzyszki, zawołała:

— Nogi mi drżą, słabnę, moja Kassy.

— Nie trać sił, bo cię zabiję! — zawołała energicznie Kassy, wyciągając z pod sukni sztylet i grożąc nim młodej dziewczynie. Widząc połysk żelaza, Ewelina odzyskała siły i wkrótce obie skryły się na błota, w miejscu tak gęsto zarosłem, że byłoby warjacją gonić je tam bez wezwania pomocy.

— Ha! przewybornie! — rzekł z szatańskim śmiechem Legris — same wpadły w matnię, nie umkną stąd, zapłacą mi drogo, łotrzyce! Hola, he! Sambo, Kimbo! za mną, wy przeklęte psy! — wołał, zbliżając się do chałup, kiedy niewolnicy wracali z pola. — W bagnie mamy dwóch zbiegów! pięć dolarów temu, kto je złowi! puście tygrysa, furję i całą psiarnię!

Wiadomość ta uczyniła na niewolnikach silne wrażenie. Wielu rzuciło się naprzód gonić zbiegów przez podłą chciwość nagrody; inni przez służalcze, bezmyślne posłuszeństwo, które jest najobrzydliwszym wypływem niewoli. Jedni biegli na prawo, inni na lewo, ci zapalali pochodnie smolne, tamci spuszczali psy, których dzikie, chrapliwe szczekanie dopełniało chaosu.

— Czy można, panie, strzelać, jeżeli nie będzie można je inaczej pojmać? — spytał Sambo, przyjmując z rąk Legris karabin.

— Możesz strzelać do Kassy, jeżeli chcesz, pora już jej do diabła, do niego już ona od dawna należy; ale do dziewczyny — nie! Wara mi strzelać. No, chłopcy! żywo, prędko! pięć dolarów temu, kto ją złowi, a każdemu po kieliszku wódki!

Przy słabym blasku pochodni, wśród wycia psów i dzikich krzyków cała banda skierowała się ku bagnisku, służba domowa wybiegła także i dom pozostał pusty zupełnie. Ewelina i Kassy pospiesznym krokiem, niepostrzeżone, weszły tylnemi drzwiami do domu. Krzyki napełniały powietrze, a one z okien salonu widziały murzynów, z pochodniami biegających nad brzegiem bagna.

— Patrz Ewelino, polowanie się rozpoczęło! Czy widzisz, jak z światłami biegają? Słuchajmy... Czy słyszysz, jak psy szczekają? Gdybyśmy tam były, jużby nas pochwycili!

— O, przez litość, schrońmy się!

— Nie mamy potrzeby się spieszyć — rzekła obojętnie Kassy. — Wszyscy wybiegli; polowanie zajmie dziś cały wieczór. Zaraz się skryjemy. A tymczasem — mówiła dalej, wyjmując obojętnie klucz z kieszeni surduta, który Legris zrzucił naprędce — potrzeba nam mieć coś na opłacenie naszej podróży.

Otworzyła biurko, wyjęła z niego paczkę biletów bankowych i prędko je przeliczyła.

— O nie róbmy tego! — zawołała błagalnie Ewelina.

— Dlaczego? — spytała Kassy. — Wolisz więc, abyśmy umarły z głodu w bagnie? abyśmy nie miały za co dojść do państwa wolnego? Za pieniądze wszystko otrzymamy, moje dziecię. — I Kassy schowała bilety w zanadrze.

— Ale to złodziejstwo! — rzekła Ewelina głosem smutnym.

— Złodziejstwo! — powtórzyła Kassy z uśmiechem pogardy. —

A! i oni mają moralizować nas za złodziejstwo! oni, którzy kradną ciała i dusze! Każdy ten bilet jest skradziony, skradziony biednym zgłodniałym istotom, z których on wysysa krew i nieszczęśliwe ofiary rzuca djabłu na pastwę. I on miałby posądzić o złodziejstwo!... Ale idźmy, pora już na strych; tam jest zapas świec i książek, które uprzyjemnią nam pobyt. Możesz być pewną, że nie przyjdą nas tam szukać. Jeżeli popróbują... dobrze, odegram rolę upiora.

Gdy weszły na strych, Kassy zapaliła lampę, i przechodząc pod belkami, wprowadziła Ewelinę do ogromnej, próżnej skrzyni, leżącej bokiem i zwróconej tyłem do ściany, a raczej do przepierzenia dachu. Były w niej dwa materace i poduszki, a obok stał kufer, napełniony świecami, jadłem i odzieniem potrzebnem do podróży i złożonem w małe, mocno zwinięte węzełki.

— Oto — rzekła Kassy, zawieszając lampkę na haku, który umyślnie poprzednio wbiła na brzegu skrzyni. — Oto nasz dom, podoba ci się?

— Czy jesteś pewna, że nie przyjdą nas tu szukać? — spytała Ewelina.

— Chciałabym, aby Szymon Legris popróbował. Nie, nie! on się nie zbliży; a niewolnik każdy chętniej się zgodzi być rozstrzelanym, jak się tutaj pokazać.

Trochę uspokojona Ewelina, położyła się na swą poduszkę.

— Co myślałaś, Kassy — spytała naiwnie — grożąc mi sztyletem?

— Chciałam ci dodać siły, i to mi się udało. Ja cię uprzedzam, Ewelino, że powinnaś być odważniejszą, a nie mdleć w żadnem zdarzeniu, bo to do niczego nie prowadzi! I teraz, gdybym niezapobiegła, byłabyś już w rękach tego nikczemnika.

Ewelina zadrżała.

Jakiś czas zachowywały obie milczenie. Kassy zaczęła czytać książkę francuską, a zmęczona Ewelina wrażeniami wieczora, usnęła. Lecz wkrótce hałas, krzyk, galopowanie konnych, szczekanie psów, obudziły ją. Wskoczyła na posłanie, wydając słaby okrzyk trwogi.

— To powracają z polowania — rzekła obojętnie Kassy. — Nie lękaj się! Patrz przez ten otwór, czy widzisz ich tam na dole? Biedny Szymon nie zmruży już dziś oka przez całą noc. Patrz, jak jego koń cały błotem opryskany, musiał dobrze się nabiegać. I psy zmęczone spuściły uszy. A mój dobry właścicielu! nieraz jeszcze rozpoczniesz podobną wycieczkę... zwierzyna twoja nie tam!

— Na miłość Boską! nie odzywaj się, mogą cię posłyszeć.

— Jeżeli usłyszą, tem lepiej, nie odważą się zbliżyć do nas — rzekła Kassy. — Niema niebezpieczeństwa, możemy śmiało rozmawiać, tem skutek będzie lepszy.

Nakoniec o północy wszystko ucichło. Legris się położył, złorzecząc swemu nieszczęściu i zaklinając się, że jutro zemści się za swoje.

———o———

ROZDZIAŁ XL.

Męczennik.

Najdłuższa droga ma swój koniec, najciemniejsza noc rozpływa się w zorzy porannej. Godziny zapadające się w morzu przeszłości, porywają ze sobą wszystko i wszystkich. Dni występnego człowieka nieustannie się zbliżają do otchłani wiecznej ciemności; a noce pełne trwogi i boleści sprawiedliwego, kończą się zorzą wiecznej chwały. Towarzyszyliśmy Tomaszowi, pokornemu, cichemu, naszemu przyjacielowi, przez cały czas jego pielgrzymki po ciernistej drodze niewoli. Widzieliśmy go naprzód otoczonego wygodami i współczuciem; później byliśmy świadkami jego bolesnej rozłąki z tem wszystkiem, co tak drogie sercu człowieka; zatrzymaliśmy się trochę przydłużej na tej szczęśliwej oazie wśród pustyni niewolnictwa, na której szlachetna ręka okryła kwieciem ciężkie kajdany poniżenia. Doprowadziliśmy go nakoniec tam, gdzie zgasły dla niego ostatnie promienie nadziei ziemskiej; a w zamian firmament lepszego świata, usiany gwiazdami wiecznej jasności, rozpostarł się przed duszą męczennika.

I oto gwiazda poranku weszła na szczyty gór i wietrzyk od niej wiejący zapowiedział przyjście wiecznego dnia, dnia chwały i triumfu. Ucieczka Kassy i Eweliny doprowadziła do najwyższej wściekłości gwałtownego Legrisa, a jak łatwo można było przewidzieć, cała ta wściekłość zwróciła się na biedną, bezbronną głowę Tomasza. Legris zauważył, że na wiadomość o ucieczce dwóch mulatek iskra radości błysnęła w oczach Tomasza, że instynktownie wzniósł ręce ku niebu i wcale nie myślał przyłączyć się do pogoni. Zrazu chciał go pędzić razem z innymi murzynami na błota dla szukania zbiegłych; lecz doświadczywszy już niezłomnej stałości tego człowieka, skoro szło o nieludzki jaki czyn, a nie mając czasu do tracenia na bezkorzystną walkę, zostawił go w spokoju.

Został więc Tomasz w tyle z małą liczbą murzynów, którzy się uczyli modlić od niego i wspólnie z nim błagali Przedwiecznego o zbawienie zbiegów.

Kiedy zawstydzony Legris wrócił z pogoni, gotów był rzucić się z całą wściekłością, która wrzała w jego piersi na biednego niewolnika. Czyż ten nędzarz nie urągał jego potędze od pierwszego dnia kupna niezłomną swą stałością? Czyż nie było w tym c z a r n y m jakiejś tajemniczej potęgi, która przejmowała trwogą występnego Legrisa?

— Nienawidzę go! — rzekł Legris do siebie, męcząc się całą noc bezsennością. — Nienawidzę! I czyż on nie jest m o j ą w ł a s n o ś c i ą? Czyż nie mam prawa postąpić z nim według mej woli Kto może mi wzbronić? — I potrząsł zaciśniętą pięścią w powietrzu, jakby obalając niewidomego nieprzyjaciela.

Ale Tomasz jest niewolnikiem wysokiej wartości i sługą wiernym, pracowitym, strata więc byłaby nie mała; Legris pomimo całej nienawiści zawahał się. Postanowił nakoniec poczekać aż do następnego po-

ranku, zebrać z okolicznych plantacyj kilku uzbrojonych ludzi, kilka sfor psów, okrążyć bagno, wyprawić obławę, a może się uda pojmać zbiegłych. A jeżeliby się nie udało... hać wówczas będzie czas przywołać do siebie znienawidzonego murzyna. Pogrążony w tych myślach, zgrzytnął zębami, i żyły nabrzmiały mu na czole.

— O, ulegnie, musi ulec! a nie... ha!... i wymówił bez wzdrygnienia w głębi czarnej swej duszy słowo okropne.

Interes właściciela, powiadacie, jest dla niewolnika dostateczną gwarancją! Jakto? więc człowiek, który w obłędzie swych namiętności, dla dojścia do zamierzonego celu, zaprzedaje swą duszę, będzie oszczędzał ciało swego bliźniego?

— A co!... — rzekła Kassy nazajutrz, szpiegując przez dziurę w strychu — oto obława się rozpoczyna.

W istocie, kilku jeźdźców harcowało na koniach przed domem i kilka sfor psów cudzych, skomląc, szczekając, gryząc się, wyrywało się z rąk murzynów.

Między tymi jeźdźcami dwaj byli dozorcy z pobliskich plantacyj, inni towarzysze kieliszkowi pana Legris; przywabieni głośnem polowaniem, przybyli z sąsiedniej mieściny. Trudno sobie wyobrazić okropniejszą bandę. Legris hojnie częstował ich rumem, nie żałując nawet murzynom zebranym z różnych plantacyj; ponieważ zwyczaj każe, aby polowanie na zbiegłego murzyna było jak można najwspanialszą ucztą dla innych murzynów.

Kassy, przyłożywszy ucho do okienka, słyszała niektóre słowa. Słyszała, jak dzielili bagno na części, jak wychwalali swoich buldogów i wydawali rozkazy, jak się umawiali na przypadek pojmania każdej ze zbiegłych mulatek. — Kassy zaśmiała się ironicznie i cofnęła się od okienka; a składając ręce i wnosząc oczy ku niebu, zawołała:

— O Panie wszechmocny! O Boże miłosierny! jesteśmy wszyscy grzeszni; przecież zlituj się nad nami i wybaw nas z tej strasznej niewoli.

W jej głosie, w wyrazie twarzy przebijało się straszne wzburzenie duszy.

— Gdyby nie ty, dziecię moje! — mówiła dalej, zwracając wzrok swój na Ewelinę — o, gdyby nie ty, poszłabym prosto do nich i podziękowałabym temu, któryby mi odebrał życie. Bo i czem jest wolność dla mnie teraz? Czyż wróci mi ona dzieci moje? Czyż wróci mi to, czem dawniej byłam?

Ewelina w dziecinnej swej prostocie, przestraszona dzikim zapałem Kassy, z niespokojnością, z wzruszeniem, w milczeniu patrząc na nią, chwyciła jej rękę z wyrazem trwożliwej pieszczoty.

— Nie! — rzekła Kassy, zwolna ją usuwając. — Tem możesz mię doprowadzić, że pokocham ciebie; a ja nie chcę, nie chcę już kochać!

— Biedna Kassy! — zawołała Ewelina — nie trać nadziei. Jeżeli Bóg w łasce Swej da nam wolność, być może, wróci ci córkę; lecz cokolwiek nas spotka, ja ci ją zastąpię. Wiem, że nigdy już nie ujrzę matki mojej; i czy będziesz mnie kochała, czy nie, ja cię kochać będę, o moja droga, złota Kassy!

Tkliwe uczucie dziecinne odniosło zwycięstwo. Kassy, usiadłszy

przy dziewczęciu, objęła ją z matczyną czułością i zaczęła się pieścić jej czarnemi, jedwabnemi włosami. Ewelina nie mogła dość się nadziwić jej pięknym oczom, które w tej chwili, zamglone łzą rozczulenia, wyrażały głębokie wzruszenie.

— O moja Ewelino! — zawołała Kassy — rządza ujrzenia mych dzieci pali mą pierś! Oczy moje napróżno szukają ich wszędzie. Tu! — zawołała nagle, uderzając w swą pierś — tu pusto, martwo! i naokoło siebie czuję tylko próżnię, okropną próżnię! O, gdyby Bóg mi wrócił dzieci moje; wówczas, czuję, że mogłabym się modlić!

— Zaufaj Jemu, Kassy! — rzekła Ewelina. — On jest ojcem naszym.

— Jego gniew nas prześladuje! — przerwała Kassy; — On odwrócił od nas Swe oblicze.

— Nie, Kassy, nie! miejmy w Nim nadzieję. O, ja mam nadzieję i wiarę w Opatrzność Boską!

Polowanie było długie, hałaśliwe, a jednak bezskuteczne. Kassy z ironją, z triumfem patrzała na Legrisa, kiedy zmęczony, zmięszany, zsiadał z konia przed domem.

— No, Kimbo! — zawołał, rozwalając się na krześle w salonie; — idź zaraz po tego starego głupca, niech tu przyjdzie natychmiast! Ten z piekła Tomasz musi być sprawcą tego wszystkiego. O, ja wycisnę całą prawdę z tej czarnej skóry. Ha! a jeżeli zamilczy, odpowie mi za to.

Sambo i Kimbo nienawidzieli się wzajemnie, lecz w nienawiści dla Tomasza byli w zupełnej zgodzie. Wiedzieli, że Legris kupił Tomasza z zamiarem zrobienia go dozorcą nad nimi wszystkimi, w czasie swych wycieczek z domu. Nienawiść, którą z tej przyczyny powzięli ku Tomaszowi, powiększyła się jeszcze w sercu tych nikczemnych ludzi, skoro zauważyli, że pan ich także go nienawidzi. Cóż więc dziwnego, że Kimbo z radosnym pospiechem rzucił się wypełnić polecenie Legrisa?

Tomasz przyjął rozkaz z sercem mężnem i domyślił się, co go czeka. Znał on dobrze okrutny, gwałtowny charakter swego właściciela i despotyczną jego władzę; lecz polegając na opiece Boga, był gotów ponieść raczej najokropniejsze męki, jak zdradzić w czemkolwiek biedne niewolnice, choć wiedział o całym planie i o miejscu schronienia. Postawił więc swój kosz między koszami innych niewolników, i wznosząc oczy ku niebu, zawołał:

— Polecam Tobie duszę moją, Panie! Tyś mię odkupił, o Boże sprawiedliwy!...

I bez żadnego narzekania oddał się w ręce Kimbo, który go, bez litości ciągnąc za sobą, bił i potrącał.

— Ho, ho! — rzekł olbrzym, — będziesz dobrze teraz się miał. nie pożałuje skóry twojej, zobaczysz, co to znaczy pomagać negrom uciekać ho, ho, skosztujesz; i na zawsze będziesz pamiętał i djabeł ciebie lepiej nie poczęstuje.

Ale żadne z tych słów nie sięgało serca Tomasza. Głos anielski, głos z nieba wołał nań: „Nie bój się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą“. Na głos ten wstrząsł się jak pod dotknięciem

ręki Boga, uczuł w sobie potęgę tysiąca dusz. Ciągniony gwałtownie przez Kimbo, widział jak drzewa, krzaki, chałupy i wszystko, co było świadkiem jego poniżenia, cofało się w tył, jak okolice przed podróżnym pędzącym na koniu; i serce jego biło silniej i oczami duszy widział ojczyznę swą wieczną, otwierającą się bramę na jego przyjęcie. Godzina wyzwolenia się zbliżała.

— Ha! — rzekł Legris przez zaciśnięte zęby, chwytając Tomasza za kołnierz. — Czy wiesz, że postanowiłem cię zabić?

— Jak sądzę, możesz pan bardzo łatwo to uczynić! — rzekł Tomasz spokojnie.

— Bądź ostrożny, psie nikczemny! — zawołał Legris z zimną, niewzruszoną pewnością; — to już postanowiłem i spełnię! rozumiesz? — Czyba powiesz, co wiesz o tych dziewkach.

Tomasz milczał.

— Czy słyszysz? — krzyknął Legris, tupając nogami w piekielnym gniewie — no mów!

— Nie mam co mówić, panie — rzekł Tomasz głosem spokojnym, lecz stanowczym.

— Czy ośmielisz się utrzymywać, czarny psie chrześcijański, że nic nie wiesz? — pytał, trzęsąc się od gniewu Legris.

Tomasz nic nie odpowiedział.

— Mów! — wrzasnął Legris, uderzając go silnie — czy wiesz cośkolwiek?

— Wiem, panie, lecz nic nie mogę powiedzieć: jestem gotów umrzeć!

Legris silnie odetchnął, i powstrzymując swą wściekłość, chwycił za rękę Tomasza, a zbliżając twarz swoją do jego twarzy, zawołał głosem piekielnym:

— Słuchaj Tomaszu! Ponieważ raz cię puściłem, więc sądzisz, że mówię tylko na wiatr; lecz tym razem już zdecydowałem się i wyrachowałem stratę. Ty zawsze się opierałeś mojej woli, dzisiaj... no, słuchaj! dzisiaj ulegniesz, albo umrzesz! Będę liczył krople krwi twojej, sącząc je jedną po drugiej z żył twoich, aż nie ulegniesz, przeklęty murzynie!

Tomasz podniósłszy oczy na Legrisa, odpowiedział:

— Gdyby pan był chory, albo w nieszczęściu, albo na łożu śmiertelnem, o, oddałbym wszystką moją krew dla dobra pana; jeżeli wytoczenie kroplami krwi z tego starego ciała mogłoby zbawić duszę pana, to chętnie oddałbym moją krew, jak Zbawiciel dał za nas grzesznych Swoją! O panie! nie obciążaj duszy swojej tak wielkim grzechem, on więcej panu złego przyniesie niż mnie! Moje cierpienia wkrótce się zakończą; ale jeżeli pan szczerze żałować i pokutować nie będzie, to cierpienia pana nigdy się nie skończą!

Słowa te, brzmiące dziwną niebiańską harmonją, w czasie strasznego wycia uraganu, płynące z czystego serca, wstrzymały na chwilę Legrisa i ten dziki zwierz stanął nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym w Tomasza. Nastąpiła tak wielka cichość, że uderzenia wahadła starego zegara zdawały się mierzyć wyraźnie, głośno, ostatnie chwile łaski

i miłosierdzia, udzielone tej duszy zatwardziałej, aby się nawróciła i żałowała za tyle zbrodni.

Trwało to chwilę tylko, na tę chwilę zawahała się dusza zbrodniarza, lecz zły duch owładnął nią silniej, daleko straszniej; Legris, zapieniony z wściekłości, powalił swą ofiarę i zaczął ją deptać nogami.

Nie lubimy patrzeć na sceny męczeństwa. Często człowiek nie ma sił słuchać o tem, co uczynić nie zabrakłoby mu odwagi. Co brat

„O Boże potężny, dozwól mi wprowadzić na drogę prawdy te dwie dusze".

nasz ze krwi, brat w Chrystusie musi wycierpieć, boli nas niezmiernie, nie możemy nawet powtórzyć tego sami przed sobą w skrytości, w głębi duszy; samo opowiadanie byłoby już straszną dla nas męką.

W czasie tej długiej, okropnej nocy, Tomasz wytrzymywał straszne męki, nielitościwe bicia w starej szopie, czyż był sam jeden? O nie! obok męczennika, i przez jego tylko oczy widziany, stał Ten, który cierpiał za nas, stał Syn Boga żywego przy nim, cierpiący przy cierpiącym!

Legris, zaślepiony despotyczną i wściekłą wolą, stojąc obok, nalegał od czasu do czasu na swą ofiarę, aby wydała niewinnych; lecz

prawe, szlachetne serce było niewzruszone jak opoka, wsparta na prawdzie przedwiecznej. Tomasz wiedział, że dla wybawienia innych, trzeba siebie poświęcić, i najokropniejsze męczarnie wyrywały z ust jego tylko słowa pełne miłości, słowa świętej modlitwy...

— On już prawie nie żyje, — rzekł Sambo, wzruszony mimowoli cierpieniem ofiary.

— Bij, aż nie ulegnie! No! odważniej, mocniej! — zawył Legris. — Ja wytoczę ostatnią kroplę przeklętej jego krwi, albo musi mi powiedzieć, musi wyznać!

Tomasz odemknął oczy i patrząc na swego pana, rzekł:

— Biedny, nieszczęśliwy człowieku, oto wszystko co możesz ze mną uczynić! Przebaczam ci z głębi mej duszy! — I zemdlał.

— Zdaje się, niech mię djabli porwą, że już po wszystkiem — rzekł Legris, zbliżając się do niego i patrząc na skrwawione ciało. — Tak, skończ! o, nakoniec zamknęliśmy mu przeklęty pysk!

Zbrodniarzu, czyż zdołasz zagłuszyć głos odzywający się w głębi twej duszy — w duszy, dla której niema już skruchy, modlitwy, nadziei, w której wieczny ogień już się zatlił?

Jednak Tomasz nie umarł jeszcze. Cudowne słowa, pełne miłości, modlitwy, wyrywające się z ust ofiary w najokropniejszych męczarniach, wzruszyły nawet spodlonych murzynów, i skoro Legris wyszedł, podnieśli zbite, skrwawione ciało męczennika, starali się je przyprowadzić do życia.

— Dopełniliśmy złego, okropnego postępku — rzekł Sambo. — Sądzę, że pan także będzie za to odpowiadał, a nie my; czyż my mamy zawsze za niego odpowiadać?

Obmyli jego rany, i zrobiwszy posłanie z resztek bawełny, położyli go. Jeden z nich pobiegł zaraz do domu i pod pozorem, że się zmęczył i potrzebuje pokrzepić siły, dostał u Legris kilka kropel wódki, z którą pospiesznie wróciwszy, wlał w usta Tomaszowi.

— O Tomaszu — rzekł Kimbo — byliśmy okrutni, nielitościwi dla ciebie!

— Przebaczam wam z całego serca — szepnął cicho Tomasz.

— Tomaszu, powiedz nam, kto jest Jezus? Powiedz nam — pytał Sambo. — Ten Jezus, którego ty widziałeś obok siebie przez całą tę okropną noc; powiedz, kto on jest?

Pytanie to zatrzymało jeszcze ulatującą duszę na chwilę. W krótkich, ale pełnych energji i natchnienia słowach, opowiedział im o cudownem życiu Zbawiciela, o Jego śmierci, o wiecznej obecności, i o Jego miłości i pragnieniu zbawienia dusz ludzkich.

Obaj zapłakali, — dzicy okrutni barbarzyńcy zapłakali!...

— I dlaczego poprzednio nic o tem nie słyszałem? — rzekł Sambo. — Ale wierzę, i nie mogę nie wierzyć! O Zbawicielu! zlituj się nad nami!

— Biedni wy — rzekł Tomasz — o jakże jestem szczęśliwy, żem

cierpiał, jeżeli tylko cierpienia moje mogą was doprowadzić do poznania prawdy, do poznania Boga! O Boże potężny, dozwól mi wprowadzić na drogę prawdy te dwie dusze; błagam Cię, Panie, dla zasług Syna Twego najmilszego i Najświętszej Marji Panny.

I wysłuchał Pan modlitwę męczennika.

———o———

ROZDZIAŁ XLI.

Panicz.

W dwa dni po tem wydarzeniu, toczył się drogą ku plantacji pana Legris elegancki koczyk, którym jechał młodzieniec, mający lat około dwudziestu, sam sobie powożąc.

Zatrzymawszy się przed domem pana Legris, zeskoczył lekko z kocza, zarzucił lejce na konia i zapytał o właściciela plantacji.

Był to Jerzy Szelby. Dla lepszego zrozumienia, jakim sposobem trafił w te strony, musimy się trochę cofnąć pamięcią wstecz.

Przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności, list pisany przez pannę Ofelję do pani Szelby, przeleżał kilka miesięcy na jakiejś odległej stacji pocztowej, i nim doszedł rąk adresata, Tomasza już zaprowadzono w pośród dzikie, obszerne błota Czerwonej rzeki.

Pani Szelby z głęboką boleścią dowiedziała się o smutnej doli Tomasza, ale nie prędko mogła coś stanowczego przedsięwziąć. Biedna, nieodstępnie czuwała przy łóżku swego męża, ciężką gorączką złożonego. Jerzy, który wyrósł na dorodnego młodzieńca, był wiernym towarzyszem i jedynym doradzcą swej matki w rozmaitych interesach. Panna Ofelja przesłała w liście imię prawnika, któremu powierzono interesy po śmierci p. Saint-Clare; pani Szelby mogła więc tylko napisać do niego, zapytując, co się stało z Tomaszem. W kilka dni pan Szelby umarł, familja jego musiała zająć się mnóstwem naglących, niecierpiących zwłoki interesów. Mając wielką ufność w zdolności swej żony, pan Szelby uczynił ją jedyną egzekutorką swego testamentu; tym sposobem cały jej czas był zajęty nieustannemi kłopotami, ciągłą pracą, bo się wzięła do dzieła z energją, którą się zawsze odznaczała. Postanowiła wyjaśnić wszystkie interesy, nie zważając jakie mogą wyniknąć następstwa z tego, i przy pomocy Jerzego zajęła się przyprowadzeniem do porządku rachunków, przedażą posiadłości, spłaceniem długów itd. W czasie tych kłopotów otrzymała odpowiedź na swój list do prawnika. Pisał jej, że Tomasza sprzedano na licytacji, że przyjął za niego zapłatę w imieniu właścicielki, a zresztą nic więcej nie wie. Podobna odpowiedź nie mogła zadowolić ani Jerzego, ani jego matki. W sześć miesięcy później, Jerzy zmuszony dla interesów udać się na brzegi Dolnej rzeki, postanowił dojechać do Nowego Orleanu dla odszukania i wykupienia Tomasza.

Po kilku miesiącach nadaremnych poszukiwań, spotkał nakoniec

człowieka, który mu udzielił potrzebnych wiadomości; wsiadł więc na statek kursujący na Czerwonej rzece, z mocnem postanowieniem sprowadzenia z sobą starego swego przyjaciela.

Legris przyjął Jerzego w przysionku z przymuszoną gościnnością.

— Dowiedziałem się, żeście kupili w Nowym Orleanie — rzekł młody panicz — murzyna, imieniem Tomasz. Mieszkał on na plantacji ojca mego, przybyłem z zamiarem wykupienia go.

Czoło Legrisa się zachmurzyło i odezwał się suchym, ironicznym głosem:

— Tak, kupiłem głupca tego imienia, piekielny towar... nieposłuszny, zacięty, bezbożny pies namawiał murzynów moich do ucieczki i straciłem z jego łaski dwie dziewki, kosztujące każda od ośmiu set do tysiąca dolarów najmniej; sam się przyznał do tego!... I kiedy zapytałem go, gdzie one, ten pies ośmielił się przyznać, że wie gdzie się ukryły, ale tego nie wyjawi; i dotrzymał przeklęty djabeł słowa, choć dałem mu dobrą naukę, zbiłem go jak jeszcze żadnego z moich negrów. Musi już gdzieś tam zdychać, tylko nie wiem gdzie.

— Gdzie on jest? — zawołał gwałtownie Jerzy. — Gdzie on?

I rumieniec pokrył twarz jego, oczy się zaiskrzyły; lecz powstrzymał się i nie rzekł nic więcej.

— A gdzieś tam pewnie w chałupie — odpowiedział mały niewolnik, trzymający konia Jerzego.

Legris kopnął nogą małego murzynka; Jerzy w milczeniu poszedł w wskazaną stronę.

Tomasz dwa dni tam leżał, nie czując prawie boleści, bo wszelkie czucie w nim już zamarło. Leżał w odrętwieniu; w pomroce nocnej, biedni, jego niedoli współtowarzysze udzielali mu, o ile tylko mogli, pomocy. Nieszczęśliwi! zaledwie mogli się przysłużyć szklanką chłodnej wody — niczem więcej; ale szklanką wody podaną z sercem pełnem miłosierdzia, z okiem zamglonem łzą rozczulenia.

Tak, łzy zasmuconych niewolników padały na cnotliwą, nieczułą już twarz konającego; łzy — świadki spóźnionego żalu biednych, nieoświeconych pogan, których miłość męczennika w chwilach najokropniejszej męki powołała do skruchy i żalu, i oni zanosili modły do Zbawiciela, którego dopiero co poznali, zaledwie z imienia, ale który nigdy nie odpycha od siebie serc prostych a czułych.

Kassy, wychodząc potajemnie z miejsca swego schronienia, dowiedziała się, jaką ofiarę poniósł Tomasz dla niej i Eweliny. W nocy przed przyjazdem Jerzego, narażając się na niebezpieczeństwo zostania odkrytą, przybiegła do Tomasza. Słów kilka, które ulatująca dusza mogła wymówić, rozgrzały chłód serca, roztopiły gruby lód je pokrywający, nagromadzony przez długie lata cierpień i poniżenia, i ta biedna, nieszczęśliwa kobieta rozrzewniona płakała i modliła się.

Jerzy, wszedłszy pod szopę, dostał zawrotu głowy; serce mu się ścisnęło, nogi zadrżały.

— Ach, czyż być może, czy to podobna! — zawołał, padając na kolana przed konającym — wuju Tomaszu! biedny mój przyjacielu! drogi, poczciwy mój przyjacielu!

Słowa te doleciały do uszu umierającego, poruszył lekko głową, i uśmiechnął się słodko.

Łzy potoczyły się po szlachetnej twarzy młodzieńca, pochylonego nad łożem konającego, łzy przynoszące chlubę męskiemu sercu.

— Drogi wuju Tomaszu, spojrzyj... przemów choć raz ostatni!... spojrzyj na mnie!... toż twój mały Jerzy, twój panicz, już mnie nie poznajesz?

— Jerzy, panicz mój — wymówił słabym głosem i otworzył nieprzytomne oczy. — Jerzy, Jerzy!... — powtórzył i myśl jego błąkała się w promieniach przeszłości.

Nakoniec zaczęło się powoli rozjaśniać w duszy jego. Wzrok błądzący zaczął nabierać pewności, oczy się rozjaśniły, rysy przybrały wyraz życia, słabe ręce się skrzyżowały jak do modlitwy i dwie duże łzy potoczyły się po czarnych policzkach.

— Chwała Ci, Panie! to... ach! tak... to... tego właśnie mi jeszcze brakowało!... Oni nie zapomnieli o mnie!... Ach, to dodaje mi życia... to rozwesela biedne moje stare serce! — Teraz... o! umieram spokojnie!... Przedwieczny Boże, przyjmij duszę moją...

— Nie! ty nie umrzesz! ty nie możesz umrzeć! Nie myśl o tem; ja przybyłem, aby cię wykupić; ja cię zabiorę z sobą; — zawołał Jerzy gwałtownie.

— O paniczu!... przybyliście zapóźno;... Chrystus już mię wykupił,... woła mnie do Swego mieszkania... Ja tam pospieszam... lepiej do nieba niż do Kentucky!

— O nie! nie! nie umrzesz! to mię zabije! Serce mi pęknie, myśląc o tem, co ty wycierpiałeś, widząc ciebie leżącego w tej okropnej szopie, o biedny! biedny mój przyjacielu!

— Nie nazywaj mnie, paniczu, biednym — rzekł Tomasz głosem poważnym. — Byłem biednym nędzarzem... ale poprzednio... To już przeszło... przeszło już... Teraz jestem u wrót wiecznej chwały... O paniczu... Chrystus Pan dał mi zwycięstwo!... Chwała Imieniowi Jego!...

Jerzy uderzony powagą i energją, z jaką Tomasz te przerywane słowa wymawiał, patrzał na swego starego przyjaciela z głęboką czcią.

Tomasz ścisnął mu rękę i za każdym wyrazem odpoczywając, mówił zwolna dalej:

— Nie trzeba mówić Klotyldzie... biedna!... dla niej to... okropne udręczenie... Powiedz jej, paniczu, tylko... że znaleźliście mię... bliskim chwały wiecznej i... że nie mogłem... już pozostać dla nikogo... Powiedzcie jej... że Pan Bóg był ze mną zawsze... wszędzie! Ach... O biedne dzieci!... a mała!... Moje stare serce... często pękało od żalu po nich!... powiedz panu i pani... że ich zawsze kocham... Także wszystkim... w starym, drogim domu... czyż wy nie wiecie,... że ja kocham ich... wszystkich... kocham wszystkich, wszystkich i wszędzie,... cały jestem przejęty miłością!... O paniczu!... jakie wielkie szczęście... być chrześcijaninem!...

W tej chwili Legris, błądzący z miną obojętną przed drzwiami szopy, rzucił ponury, pełen złości wzrok wewnątrz i oddalił się.

— Stary djabeł! — zawołał z oburzeniem Jerzy. — Jedyną moją pociechą jest myśl, że przyjdzie dzień, w którym mu djabeł sowicie zapłaci za jego zbrodnie.

— O nie! nie mów tak paniczu! — zawołał Tomasz, silnie przytrzymując jego rękę. — Biedny, nieszczęśliwy!... litość bierze patrzeć na niego!... gdyby tylko uczuł skruchę... Bóg mu przebaczy... ale się lękam... że nie będzie żałował... przeszłego swego życia!...

— O bezwątpienia! bo czyż podobne serce zdolne jest do szczerego żalu? — rzekł Jerzy — zachowaj mię Boże od spotkania się tam z tym człowiekiem!

— Cyt, paniczu!... uspokój się... to mnie zasmuca... nie powinieneś tak myśleć; nie uczynił mi... żadnego... rzeczywistego zła... otworzył tylko wrota do królestwa niebieskiego... przybliżył je... oto wszystko...

Umierający, ożywiony na chwilę przybyciem swego młodego pana, nagle osłabł. Siły go opuściły, zamknął oczy, oddech stał się przeciągły, głęboki. Szeroka jego pierś ciężko wznosiła się i opadała, i na twarzy osiadła tajemnicza, wzniosła myśl, świadcząca o innem życiu.

— O! kto... może... nas... rozłączyć... od miłują... cego... Chry... stusa! — wyrzekł głosem zaledwie dosłyszalnym i z uśmiechem na ustach przeniósł się na łono wieczności.

Jerzy, zamknąwszy powieki swemu przyjacielowi, siedział jakiś czas niemy, przejęty głęboką czcią, jakby czuł przytomność ducha niebieskiego.

Obrócił się — za nim stał Legris, ponury i zły.

Niebieski spokój i pogoda umierającego tajemniczą potęgą powstrzymały krewkość uczuć młodzieńczych. Przytomność tego człowieka obudziła w Jerzym tylko głęboką pogardę i żywą chęć, co rychlejszego pozbycia się przytomności uosobionej zbrodni.

Utkwił swe czarne, groźne oczy w twarzy Legrisa, i wskazując palcem na trupa, rzekł sucho:

— Wyciągnąłeś z niego całą korzyść, jaką mogłeś mieć. Co chcesz za ciało? Chcę je zabrać z sobą i pochować, jak się należy.

— Ja nie sprzedaję ciał zmarłych murzynów — rzekł Legris; — możecie je pochować, gdzie się wam podoba i jak chcecie.

— Chłopcy! — rzekł Jerzy tonem, nakazującym posłuszeństwo, do murzynów, którzy stali patrząc na ciało — pomożcie mi go podnieść i zanieść do powozu i dajcie mi rydel.

Jeden z nich pobiegł po rydel, dwaj inni pomogli Jerzemu zanieść ciało do powozu.

Jerzy nie raczył nawet przemówić ani spojrzeć na Legrisa, który nie ośmielił się wzbraniać wypełnienia rozkazu i stojąc, świstał z udaną obojętnością. Poszedł za nimi aż do powozu, który stał przed drzwiami domu.

Jerzy dla powiększenia miejsca zdjął siedzenie, rozesłał swój płaszcz i na nim położył ciało. Obrócił się, spojrzał znacząco na Legrisa, i pokonywając oburzenie, rzekł:

— Nie powiedziałem ci mego zdania o tym okrutnym postępku;

ani miejsce, ani czas po temu. Lecz ta krew niewinna woła o pomstę i będzie pomszczoną! Ogłoszę to zabójstwo, jeżeli tego będzie potrzeba i zaskarżę cię przed pierwszą władzą, jaką napotkam.

— Skarżcie! — rzekł Legris, klaszcząc wzgardliwie palcami — ha, ha, ha! chciałbym widzieć, jak będziecie się uwijać. Gdzie weźmiecie świadków? Jeśli można spytać, gdzie są wasze dowody? Jedźcie, popróbujcie, życzę powodzenia!

Jerzy pojął całą ważność tych zarzutów. W całej plantacji nie było ani jednego białego, a we wszystkich trybunałach Południa świadectwo ludzi koloru czarnego nie miało żadnej wartości. Jemu się zdało, że okrzyk zgrozy i oburzenia, które w tej chwili musiał przytłumić w swej piersi, przebije niebo i ściągnie sprawiedliwą karę na zbrodniarza.

— Czy warto tyle kłopotu dla jednego umarłego murzyna? — rzekł Legris!

Słowa te padły jak iskra elektryczna. Przezorność nie jest powszechna między ludźmi w Kentucky. Jerzy odwrócił się i gwałtownem uderzeniem pięści powalił Legrisa. A stojąc nad nędznikiem, leżącym twarzą ku ziemi, doskonale przedstawiał swego świętego patrona, zwycięsko gniotącego złego ducha.

Są ludzie, którzy odnoszą rzeczywistą korzyść z podobnego poczęstowania, którzy się natychmiast przejmują głębokiem uszanowaniem dla tego, kto ich tak odważnie przywitał. Legris właśnie należał do tej liczby. Powstał nikczemnik, a opyliwszy odzienie z kurzu, z głębokiem uszanowaniem przeprowadzał wzrokiem powóz zwolna się oddalający, i zaledwo ośmielił się przemówić, gdy go zupełnie stracił z oczu.

Za granicami plantacji, zauważył Jerzy mały wzgórek ze żwiru, suchy, ocieniony drzewami. Tu wykopał grób.

— Czy zdjąć z niego płaszcz pański? — spytał murzyn, gdy grób był gotowy.

— Nie, nie! Spuście z nim razem. Oto wszystko, co mogę ci dać teraz, drogi mój przyjacielu, mój wuju Tomaszu, przyjmij to od swego Jerzego.

Złożyli ciało zawinięte w płaszcz i w milczeniu zarzucili dół ziemią i przykryli darną.

— Możecie odejść, moje dzieci — rzekł Jerzy, wsuwając po dolarze każdemu w rękę, ale oni się wahali, nie odchodzili.

— Gdyby młody pan kupił nas?... — rzekł jeden z nich.

— Służyć będziemy wiernie — dorzucił drugi.

— O jak tu okropnie! — Zawołał pierwszy. — O panie przez litość! kup nas! wybaw nas stąd!

— Nie mogę! nie mogę! — zawołał Jerzy smutnie i dając im znak, aby się oddalili, dorzucił: — to być nie może!

Biedni w milczeniu, ze spuszczonemi głowami odeszli.

— Boże bądź mi świadkiem, Ty, Boże wszechmocny! — rzekł Jerzy, klękając na grobie swego przyjaciela. — Biorę cię na świadka, że od tej chwili wszystko, co tylko człowiek może, co będzie w mej mocy, uczynię, aby wybawić ojczyznę moją od tej haniebnej niewoli!

Niema kamienia nad grobem naszego męczennika, — i naco mu

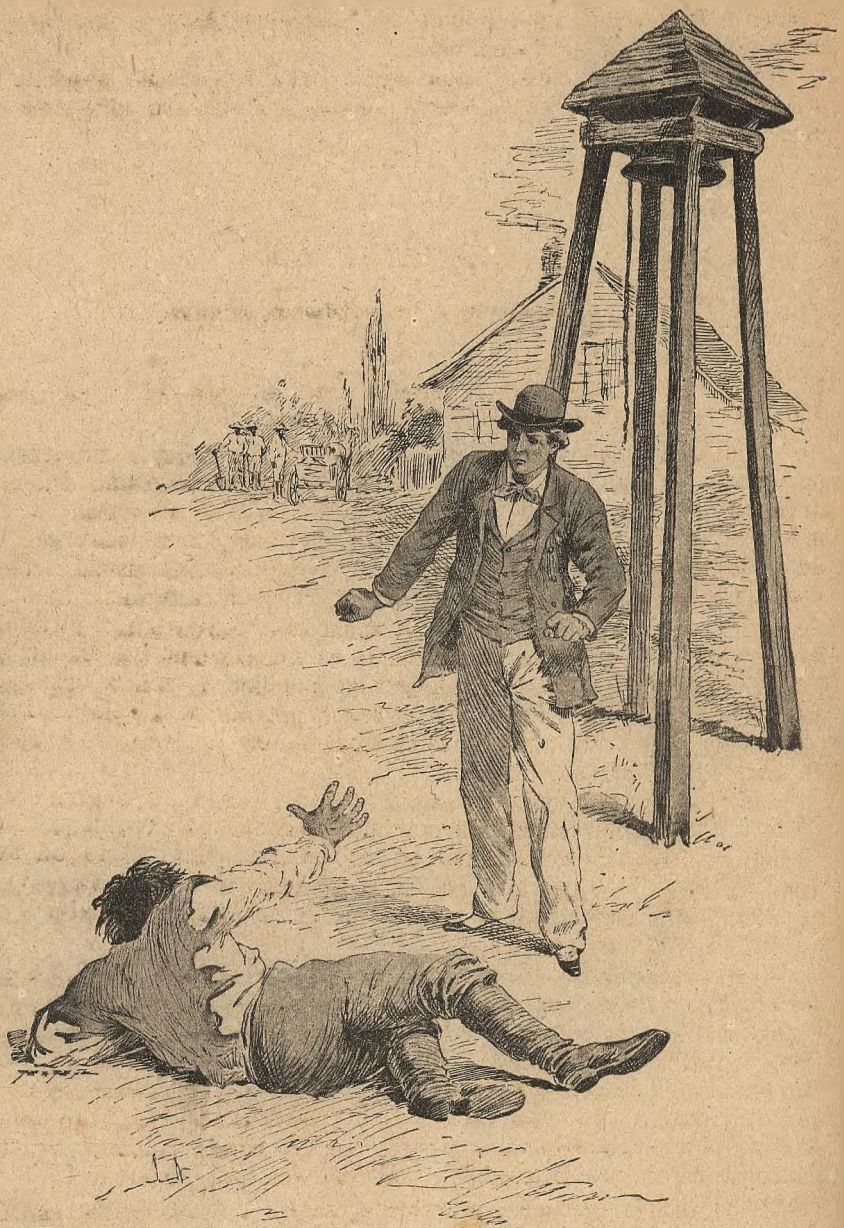

Jerzy odwrócił się i gwałtownem uderzeniem pięści powalił Legrisa.

kamień? Bóg widzi go i powoła do wiecznej chwały, gdy przyjdzie dzień wymierzenia sprawiedliwości.

Nie płaczcie po nim. Takie życie, taka śmierć nie powinny wyciskać łez. „Błogosławieni, którzy płaczą i narzekają, albowiem będą pocieszeni".

—o—

ROZDZIAŁ XLII.

Opowiadanie o prawdziwym upiorze.

Legendy o upiorach odżyły znowu i zaczęły krążyć z większą pewnością, jak poprzednio w domu Legrisa.

Niewolnicy opowiadali sobie, że słyszeli o północy kroki zstępujące po schodach, strychu i po kurytarzu. Napróżno zamykano drzwi górnego piętra; musiał upiór mieć klucz, albo może, używając od niepamiętnych czasów przyznanego mu przywileju, przeciskał się przez dziurkę od klucza: bo jednak każdej nocy o dwunastej godzinie spokojnie, z dziwną śmiałością przechadzał się, wszystkich strasząc.

O zewnętrznej postaci upioru, zdania się niezgadzały. I nie mogło być inaczej. W podobnych zdarzeniach powszechnie czarni, a nawet i biali zamykają oczy i chowają głowę pod kołdrę, lub co się nawinie pod rękę; nie mogą więc dobrze widzieć upioru. A wiemy z doświadczenia, że kiedy oczy ciała są zamknięte, wówczas oczy duszy są czynniejsze, widzą jaśniej.

Niezaprzeczoną było rzeczą, a my nie mamy przyczyny wątpić, że co noc, w godziny wyznaczone dla upiorów, wysoka figura okryta białym prześcieradłem przechadzała się po całym domu, przesuwała się jak cień przez drzwi do sal pustych i po niejakim czasie ukazywała się na wschodach, wiodących na fatalny strych; a jednak nazajutrz wszystkie drzwi były zamknięte.

Te potajemne opowiadania strwożonych niewolników doszły do uszu Legrisa i tem mocniej go przerażały, że starano się je ukrywać przed nim. Dla nadania więc sobie energji i śmiałości, zaczął pić więcej jak zwyczajnie i głośniej przeklinał, złorzeczył; nic to jednak nie pomogło — w nocy męczyły go groźne sny i widziadła, nawiedzające jego umysł. Nazajutrz po wywiezieniu ciała Tomasza, pojechał do sąsiedniego miasta na wieczornicę i wrócił bardzo późno pijany i zmęczony. Zamknął drzwi swego pokoju i schował klucz do kieszeni.

Cóż pomogą wszelkie usiłowania zagłuszenia sumienia, skoro ono już zaczęło się odzywać trwogą i niepokojem. Zły człowiek nie może się pozbyć nieodstępnego towarzysza swej duszy. A kto może zakreślić granice jej czynności, kto może wiedzieć, co dla niej jest możebnem, kto może pokonać jej trwożliwe drżenia, jej niespokojność! — bo czy podobna przeżyć wieczność? Obłąkany zamyka drzwi, sądząc, że się

tem wybawi od duchów, a lęka się zajrzeć wewnątrz siebie, w twarz tego ducha, którego się nie może pozbyć przytomności, którego głos, jak trąba wzywająca nad sąd ostateczny, rozlega się w jego duszy i napełnia niewymowną trwogą.

Legris zamknął drzwi, zabarykadował je krzesłami, zapalił nocną lampkę, położył pistolety przy sobie, obejrzał okiennice, okna, drzwi i zaklinając się, że się nie lęka djabła z całą jego świtą, położył się i — zasnął.

Głosem grobowym powtórzyła mu trzy razy nad uchem: „chodź! chodź chodź!“

Zasnął głęboko, bo był zmęczony. A jednak cienie piekieł otoczyły jego umysł i uczucie trwogi, groźne widzenia zaczęły go męczyć. I widział, jak Kassy, przeklęta Kassy, rozwinęła całun matki jego i drwiąco, urągając, mu go pokazywała. Słyszał pomieszane głosy i jęki boleści. Czuł, że śpi i nie mógł się przebudzić. — Nakoniec, po długich usiłowaniach, odemknął nieco oczy... i sam się przekonał, że — coś weszło do jego pokoju... Drzwi się otworzyły; widział to, nie wątpił; ale przestrach sparaliżował członki jego, nie mógł się poruszyć i nie prędko obrócił się na drugą stronę... drzwi były otwarte i długa trupia ręka zagasiła lampkę.

Przy drżącem, bladem świetle księżyca widział, jak coś białego

prześliznęło się i słyszał lekki szelest po podłodze. Postać się zatrzymała przy jego łóżku i stała nieruchomie... i czuł grobowe zimno od niej wiejące. — Lodowatą ręką dotknęła ręki jego i głosem cichym, grobowym trzy razy powtórzyła mu nad uchem: „Chodź! chodź! chodź!" Zimny pot pokrył mu całe ciało i sam nie wiedział, jak i kędy upiór znikł. Wyskoczył z łóżka, podbiegł do drzwi, lecz znalazł je zamknięte na dwa spusty... i zemdlał z przerażenia.

Od tej chwili Legris zaczął okropnie, bez wypoczynku, bez miary pić.

Wkrótce rozeszła się wieść po okolicy, że umarł; pijaństwo rozwinęło w nim do najwyższego stopnia delirium tremens, które już za życia jest groźną zapowiedzią przyszłych, większych mąk. Nikt nie mógł obojętnie patrzeć na okropny jego stan; bredził, rzucał się, wył, jęczał, opowiadał o strasznych, groźnych widzeniach. Widział przy łóżku swojem zimną jak lód, blada, straszną, nielitościwą postać, która wyciągając kościstą swą rękę, wołała na niego: „Chodź! chodź! chodź!"

Dziwnym zbiegiem okoliczności, nazajutrz po tej strasznej męczącej dla Legrisa nocy, zrana znaleziono drzwi domu otwarte i niektórzy niewolnicy widzieli, jak dwie białe postacie unosiły się w powietrzu środkiem alei, wiodącej ku wielkiej drodze.

Przed wschodem słońca Ewelina i Kassy zatrzymały się w gaiku niedaleko od miasta.

Kassy w czarnym kreolki hiszpańskiej kostiumie, z zasłoną z dużym haftem, spadającą z kapelusza i okrywającą jej twarz, miała odegrywać rolę damy hiszpańskiej, Ewelina jej panny służącej.

Wychowana od dzieciństwa między ludźmi wyższego towarzystwa, Kassy z łatwością potrafiła zachować maniery zgodne z przyjętą rolą. Zabrawszy z sobą pozostałe brylanty i bogate ubranie, mogła się odpowiednio wystroić.

Zatrzymała się na przedmieściu i w magazynie kupiła walizkę podróżną, prosząc kupca, aby ją kazał zanieść za nią. A tak w towarzystwie sługi, ciągnącego jej rzeczy na taczkach i Eweliny, która za nią szła niosąc worek podróżny i inne małe paczki, weszła do niewielkiej oberży z całą powagą bogatej damy.

Pierwszą osobą, którą spotkała, był pan Szelby i bardzo się ucieszyła, gdy się dowiedziała, że i on czeka na statek.

Kassy widziała już go przez otwór na strychu, gdy zabierał ciało Tomasza i zdaleka towarzyszyła z wewnętrzną sympatją jego spotkaniu się z Legris. Później w czasie swych nocnych wycieczek, łowiąc słowa z urywanej rozmowy murzynów, dowiedziała się, kto on jest i co go łączyło z Tomaszem.

Postawa, maniery, a nadewszystko hojność Kassy, nie zostawiły w hotelu nawet cienia wątpliwości co do jej stanu. Ludzie zwyczajnie, chętnie usługują tym, którzy hojnie płacą; przewidziała to dobrze Kassy i dlatego zabrała niemałą sumkę z biurka Legris.

Wieczorem zbliżył się statek. Jerzy z grzecznością, zwyczajną mło-

dzieży z Kentucky, podając rękę Kassy, zaprowadził ją na pokład i zajął się, aby jej na niczem nie brakowało.

Póki płynęli po Czerwonej rzece, Kassy nie wychodziła z swego pokoiku, nie opuszczała łóżka z przyczyny choroby; a służąca, co bardzo naturalnie w podobnych razach, nie odstępowała swej pani.

Kiedy dopłynęli do Mississipi, Jerzy widząc, że cudzoziemka ma zamiar jechać dalej w jednę z nim stronę, zaproponował nająć wspólny salon na tym samym statku; a litując się jej słabego zdrowia, oświadczył się z swemi usługami.

I nasze podróżujące damy bezpiecznie i zdrowe płynęły na statku Cyncynnaty całą siłą pary w górę rzeki.

Zdrowie Kassy znacznie się polepszyło; wychodziła na pokład okrętu, przechadzała się, odpoczywała, jadła przy stole wspólnym, a uderzająca jej piękność nie uszła uwagi przytomnych.

Od pierwszego widzenia Jerzy był uderzony podobieństwem Kassy do kogoś — lecz nie mógł sobie przypomnieć do kogo i to go męczyło. Komu z nas coś podobnego nie zdarzyło się w życiu? Nie mogąc się oprzeć jakiemuś tajemniczemu pociągowi, pilnie się wpatrywał w nią, śledził jej ruchy. U stołu i w salonie oczy młodego mężczyzny były na nią zwrócone i wówczas tylko, kiedy widział, że to ją męczy, zwracał wzrok swój w inną stronę.

Kassy mocno to niepokoiło, i lękając się, aby się sam czego nie domyślał, oddała się na jego wspaniałomyślność i opowiedziała mu całą swą historię.

Jerzy czując wielką sympatję do każdego, ktoby tylko uciekał z nienawidzonej plantacji Legrisa, o której nie mógł wspomnieć bez oburzenia, z mężną wzgardą następstw tak właściwą charakterowi i młodemu jego wiekowi, zapewnił Kassy i Ewelinę, że uczyni co tylko będzie mógł, że bierze je pod swą opiekę i wszystkich dołoży sił, aby ucieczka się udała.

W sąsiednim pokoiku, na tymże statku jechała niejakaś pani de Thoux, francuzka z małą 12-to letnią milutką dziewczynką. Pani de Thoux, gdy się dowiedziała, że Jerzy jest z Kentucky, starała się z nim zapoznać, w czem pomogło towarzyszące jej dziewczę.

Jerzy bawiąc się z małą, często siadał przed drzwiami pokoju pani de Thoux; a Kassy z pokładu mogła słyszeć całą ich rozmowę.

Francuzka zadawała tysiączne pytania o Kentucky, gdzie, jak mówiła, przepędziła część swej młodości. Jerzy dowiedział się, że mieszkała ona w sąsiedztwie jego rodziny.

— Czy nie znacie w waszych okolicach — pytała go — niejakiegoś pana Harrys?

— Rzeczywiście, jest tam stary plantator tego imienia — odpowiedział Jerzy — mieszkający niedaleko nas; ale nie nawiązaliśmy z nim bliższych stosunków.

— On jest właścicielem wielu niewolników, jak słyszałam — rzekła pani de Thoux głosem, który zdradzał więcej interesowanie się tym przedmiotem, jakby chciała okazać.

— Tak — odpowiedział Jerzy zdziwiony, zauważywszy jej pomięszanie.

— Może pan wie... może pan słyszał, że miał on... mulata, imieniem Jerzy?

— A tak, Jerzy Harrys. Znałem go dobrze, ożenił się z panną mojej matki; lecz uciekł i zapewne jest już w Kanadzie.

— Uciekł! o chwała Najwyższemu! — zawołała pani de Thoux.

Jerzy z coraz większą ciekawością i zadziwieniem patrzał na nią.

— To mój brat! — zawołała pani de Thoux, zalewając się łzami.

— Jakto, pani brat?...

— Tak, panie Szelby — i podniosła dumnie głowę. — Jerzy Harrys jest moim bratem!

— Czy być może? — zawołał Jerzy, cofając się i z niedowierzaniem patrząc na panią de Thoux.

— Tak! byłam sprzedaną na Południe, kiedy on był jeszcze małym chłopięciem. Dobry, szlachetny pan mię kupił i zaprowadził do kolonji francuskiej, uwolnił mię i poślubił. Straciłam niedawno mego najlepszego przyjaciela — ze smutkiem mówiła pani de Thoux — wracam do Kentucky z zamiarem odszukania mego brata i wykupienia go.

— W istocie, słyszałem od niego, że miał siostrę Emilję, którą sprzedali na Południe.

— Ja nią jestem. Powiedzcie, proszę was, co się z nim stało, gdzie on?

— Dzielny to był młodzieniec! — odpowiedział Jerzy. — Pomimo wszystkich przeszkód i trudności pozyskał ogromną sławę przez swe zdolności. Mogę o tem panią upewnić; znałem go dobrze, bo wziął żonę z domu naszego.

— I kto jest jego żona? — spytała z niespokojnością pani de Thoux.

— O, to skarb! — zawołał Jerzy. — Rozsądna, pobożna, prześliczna, młoda panna. Moja matka ją wychowała jak własne swoje dziecię, nauczyła ją czytać, pisać, haftować, szyć. A do tego miała prześliczny głos i zachwycająco śpiewała.

— Czy się w domu rodziców pana urodziła?

— Nie! ojciec mój kupił ją, będąc pewnego razu w Nowym Orleanie i ofiarował mojej matce w prezencie. Mogła mieć wówczas od ośmiu do dziewięciu lat. Ojciec mój nigdy nie chciał powiedzieć, ile zapłacił za nią; lecz my przeszukawszy stare papiery, znaleźliśmy kontrakt kupna. Kosztowała go niesłychanie dużo, zapewne z przyczyny zadziwiającej swej piękności.

Mówiąc o tych szczegółach, był Jerzy zwrócony tyłem do Kassy i nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy; lecz ona, przerywając mu opowiadanie lekkiem dotknięciem ręki, z wzruszeniem spytała:

— Czy nie wiecie imienia tych, którzy ją sprzedali?

— Niejakiś Simmons, zdaje się, był głównym jej właścicielem; przynajmniej to imię, jeżeli się nie mylę, znajduje się na czele kontraktu.

— O Boże mój! — zawołała Kassy i upadła nieprzytomna na pokład.

Jerzy i pani de Thoux pospieszyli z pomocą, nie pojmując zgoła przyczyny omdlenia. W pospiechu wywrócił Jerzy dzbanek z wodą

i stłukł dwie szklanki. Damy będące w salonie, gdy się dowiedziały, że ktoś zemdlał, tłocząc się zatarasowały sobą drzwi i tem wstrzymały dostęp świeżego powietrza, tak potrzebnego dla omdlałej.

Kassy, gdy przyszła do przytomności, zakryła dłońmi twarz i rzewnie płakała. Wy, matki, może potraficie odpowiedzieć, co czuła. To pewna, że w tej chwili widziała jawnie, że Bóg się ulitował nad nią i dozwolił jej ujrzeć nakoniec córkę. W istocie, po upływie... ale nie uprzedzajmy biegu wypadków.

—o—

ROZDZIAŁ XLIII.

Skutki.

Pozostaje nam niewiele do powiedzenia. Wzruszony nadzieją i trwogą biednej matki, i pełen uczuć ludzkości, Jerzy Szelby, nie tracąc chwili czasu, odszukał akt sprzedaży i posłał jej imiona, datę, wszystko się zgadzało z przypomnieniami Kassy. Nie było więc żadnej wątpliwości, że Jerzy Harrys poślubił jej córkę. Uszczęśliwiona matka drżała od niepokoju, aby czemprędzej odnaleźć ślad ucieczki swego dziecięcia.

Pani de Thoux i Kassy, połączone szczególniejszem zbiegiem przeznaczeń, udały się natychmiast do Kanady i rozpoczęły poszukiwania na stacjach, gdzie zwyczajnie zbiegli murzyni się zbierali. W Amherstbergu widziały misjonarza, który dał schronienie uciekającym małżonkom i od niego się dowiedziały, że cała rodzina udała się do Montrealu.

Jerzy i Eliza od pięciu lat cieszyli się tam posiadaną wolnością. Jerzy znalazł stałą posadę u pewnego znakomitego mechanika, a pensja, jaką pobierał, wystarczała na przyzwoite utrzymanie całej rodziny, która się już powiększyła o prześliczną córeczkę.

Henryś wyrósł na dzielnego, ślicznego chłopaka; uczęszczał pilnie do szkoły, gdzie postępy jego budziły powszechną uwagę.

Przejdźmy się do Montrealu. Tam na przedmieściu, w małym, schludnym domku, wieczorem przed kominkiem, z którego ogień rzucał wesołe światło na pokój, stoi stół, przykryty białą serwetą, na nim ubogi lecz przyzwoity samowar. W drugim kącie pokoju, stół pokryty zielonem suknem, na nim pulpit do pisania, pióra, papier; u góry niewielka półka z wyborowemi książkami — to gabinet Jerzego. Czynność jego umysłu, która mu dozwoliła pomimo wszelkich przeszkód zmęczenia i pracy niewolniczego życia, wyuczyć się czytać i pisać, zmuszała go i teraz poświęcać godziny wolne czytaniu i nauce.

W tej właśnie chwili Jerzy siedział i robił wyciąg z dziełka, które tylko co skończył czytać.

— Mój Jerzy — rzekła Elżbieta — pracowałeś cały tydzień w fabryce, połóż książkę, chodź do nas porozmawiać. Uczyń to, mój dobry Jerzy.

Mała Elżbieta przyłączyła się do próśb matki. Pobiegła do ojca i zaczęła się piąć na kolana, starając się odebrać mu książkę.

— Mała psotnica! — rzekł Jerzy, ulegając prośbom córki.

— Tak to lubię! — rzekła Elżbieta, krając chleb.

Nie była to już młoda, wysmukła Elżbieta, którąśmy widzieli uciekającą z pod jarzma niewoli; była zawsze jednak ładną, a w jej fizjognomji, przepełnionej miłością macierzyńską, malował się wyraz zadowolenia i prawdziwego szczęścia.

— Henrysiu, jak zrobiłeś swoje zadanie dzisiaj? — pytał Jerzy, kładąc rękę na głowie syna.

I Henryś nie był już dziecięciem z długiemi puklami jedwabnych włosów! ale zachował też same błyszczące oczy, długie i gęste rzęsy, wysokie rozumne czoło, które się pokryło dumą, gdy opowiadał:

— Zrobiłem je sam, sam jeden, ojcze, nikt mi nie pomagał.

— Ślicznie, mój chłopcze! Polegaj zawsze na sobie; okoliczności ci służą, czego nie miał twój biedny ojciec.

Właśnie zapukano do drzwi. Elżbieta pobiegła otworzyć. W tej chwili weszły do pokoju dwie damy. Jerzy powstał i wyszedł naprzeciw i poprosił usiąść.

Obydwie panie postanowiły zacząć rozmawiać obojętnie, żeby małżonkom wprzód objaśnić i przypomnieć koleje lat dziecinnych, ale pani de Thoux, nie mogąc powstrzymać wzruszenia, rzuciła się Jerzemu na szyję, wołając:

— Jerzy mój! czy mię nie poznajesz... ja twoja siostra, Emilja...

Kassy siedziała spokojnie, postanawiając odegrać swą rolę do końca; lecz gdy mała Elżbieta potrząsając długiemi splotami swych włosów, przybliżała się z ciekawie na nią zwróconemi oczami, i swemi rysami, figurką i całą powierzchownością tak żywo przypominała jej córkę dawno utraconą i gorzko opłakaną, nie mogła się dłużej powstrzymać; chwyciła małą, podniósłszy ją, przycisnęła do wzburzonej swej piersi, i zaczęła wołać:

— O moja droga, czy nie poznajesz mnie?... Jam twoja matka!

Jakaż radość panowała w rodzinie, trudno opisać.

Są uczucia tak gwałtowne, tak silne, że mogą się jedynie uspokoić w modlitwie. Wszyscy poklękli i modlili się w cichości. Powstawszy brat, siostra, matka i córka, zaczęli się ściskać, przejęci uczuciem wdzięczności dla Boga, który przez tyle cierpień i niebezpieczeństw, przez nieznane, niepewne drogi wyprowadził ich z niewoli i dozwolił tak niespodziewanie zejść się z sobą.

Kroniki misjonarzy w Kanadzie zawierają historje cudowniejsze od najpoetyczniejszych, najwięcej romantycznych zmyśleń. I czy mogło być inaczej w takim stanie rzeczy, który rozprasza rodziny na wszystkie strony, jak burza liście w jesieni?

Zdarzają się czyny heroiczne. Oto niewolnik, po wybawieniu siebie, urągając najokropniejszym mękom, lekceważąc tortury i śmierć wraca dobrowolnie w piekielne miejsca najeżone niebezpieczeństwem, aby wyrwać matkę, siostrę, żonę lub dziecię z rąk tyrańskich właścicieli.

Pewien młodzieniec, dwa razy był łowiony, najokropniej smagany

za swój heroizm; uciekłszy po raz trzeci, pisał do swoich przyjaciół, że powróci jeszcze, aby oswobodzić siostrę swoją. Czy ten człowiek według twego zdania, łaskawy czytelniku, jest zbrodniarzem, czy też bohaterem? Czy sam dla wybawienia swej siostry nie zrobiłbyś tego? Czyż możesz więc go potępiać za to?

Wróćmy do naszych przyjaciół, którzy, ocierając łzy rozczulenia i radości, zebrali się około przyzwoicie nakrytego stołu, aby się wspólnie cieszyć i używać nowego szczęścia. Kassy nie rychło odzyskała zupełną przytomność i spokój; trzymając małą Elżbietę na kolanach, często z zachwyceniem ją ściskała. Mała, z zadziwieniem patrząc na nią, nie mogła zrozumieć, dlaczego babcia nie chce jeść bułek, które jej do ust gwałtem wkładała. I kiedy Kassy mówiła, że znalazła coś lepszego, słodszego od ciastek i cukierków, mała patrzała na nią dużemi oczami, nie mogąc pojąć, żeby mogło być coś słodszego od cukierków.

W kilku dniach zmieniła się Kassy nie do poznania; wyraz jej twarzy ponury, rozpaczliwy, zmienił się na słodki, łagodny; zdawała się być cała przejęta miłością rodzicielską, cała oddana dzieciom, które przez tyle lat odrywano od jej piersi. Jej serce zdawało się więcej zwracać ku wnuczce, jak ku własnej córce; bo w dziecięciu widziała doskonały obraz tej, którą utraciła i mała Elżbieta była jakby kwiecistym węzłem sympatji i czułości między babką i matką. Niezachwiana, rozsądna, pobożna Elżbieta, wykształcona ciągłem czytaniem książek, była doskonałym przewodnikiem dla niespokojnego, zmęczonego umysłu biednej swej matki. Pod tak zbawiennym wpływem stała się Kassy wkrótce czułą i pobożną chrześcijanką.

We dwa dni potem pani de Thoux, oddając swe interesy w ręce Jerzego, oświadczyła chęć podzielenia z nim swej znacznej fortuny, którą jej mąż zostawił.

— O, droga moja Emiljo! — odpowiedział jej brat — dostarcz mi tylko środków do zupełnego wykształcenia się, czegom zawsze tak gorąco pragnął, o więcej nie śmiem cię prosić.

Po długim, rozważnym namyśle, postanowiono udać się do Francji. Wkrótce cała rodzina wyjechała, zabrawszy z sobą Ewelinę, która wdziękami swemi podbiła serce pomocnika kapitana okrętu i po przybyciu do Hawru została jego żoną.

Jerzy przez cztery lata, z zadziwiającą pilnością uczęszczając na kursa uniwersytetu paryskiego, został prawdziwie wykształconym człowiekiem. Zamieszki polityczne zmusiły całą rodzinę wrócić do Ameryki.

Nie mamy nic szczególnego do powiedzenia naszemu czytelnikowi o innych osobach. Kilka słów tylko o Topsy i o pannie Ofelji i jeden rozdział pożegnalny poświęcimy jeszcze naszemu przyjacielowi, Jerzemu Szelby.

Panna Ofelja wzięła z sobą Topsy do Stanu Wermont, co niemało zadziwiło rozsądne, poważne towarzystwo, które w Nowej Anglji wyłącznie nazywa siebie naszym światem. Nasz świat uważał Topsy za dziwny i wcale niepotrzebny nabytek w swym tak doskonałym organiźmie; lecz gorliwe i wytrwałe usiłowania panny Ofelji w pełnieniu swej powinności, wywarły nakoniec pomyślny skutek.

Dziewczę, rosnąc szybko w mądrości i pokorze chrześcijańskiej, pozyskało przychylność i miłość nietylko osób z najbliższego otoczenia, ale nawet w całej okolicy. Doszedłszy do wieku, w którym mogła pojmować swoje powołanie, prosiła, aby ją ochrzcono; i jako chrześcijanka okazała tyle gorliwości, że wstąpiła do zakonu, poświęcając się z szczególnem zamiłowaniem wychowaniu dzieci murzyńskich. Wrodzona jej przenikliwość okazała się bardzo pomocną w obranym stanie.

Sądzimy, że niektóre matki z przyjemnością się dowiedzą, iż usiłowania pani de Thoux w celu wyszukania syna Kassy zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Młody, energiczny, przedsiębiorczy, umknął on z niewoli na kilka lat przed ucieczką swej matki, został wychowany na Północy przez przyjaciół tych wszystkich, którzy cierpią, i na wiadomość o matce swej czemprędzej do niej pospieszył.

ROZDZIAŁ XLIV.

Oswobodziciel.

Jerzy Szelby uwiadomił listownie matkę o swoim powrocie. Nie wspomniał jednak o śmierci swego starego przyjaciela, zabrakło mu na to odwagi. Kilka razy zaczynał pisać, lecz łzy nie pozwalały mu dokończyć, rozdzierał papier, ocierał oczy i biegł szukać uspokojenia.

Cały dom oczekiwał niecierpliwie przyjazdu Jerzego. Pani Szelby z jakiemś trwożliwem oczekiwaniem usiadła w salonie przed kominkiem, na którym palił się ogień. Przed kominkiem stał stół nakryty do wieczerzy, zastawiony srebrnemi i kryształowemi naczyniami.

W nowej, bawełnianej sukni, z czystym, białym fartuszkiem i w wysokim turbanie, promieniejąca radością, poczciwa, znajoma nam ciotka Klotylda, krzątała się koło stołu z niezwykłą gorliwością, z widocznym zamiarem pozostania przydłużej w pokoju i rozmawiania z „panią".

— No, ot teraz, zdaje się, że wszystko przyrządziłam, jak panicz lubi — rzekła, stawiając talerz na zwykłem miejscu bliżej kominka. — Panicz lubi zawsze miejsce ciepłe. O! ja potrafię zawsze doskonale urządzić!... A dlaczego Salusia nie postawiła imbryczka tego ładnego, nowego, co panicz dał pani na Nowy Rok? Muszę go sama przynieść... Czy ma pani jaką wiadomość od panicza?

— Miałam, moja Klotyldo, ale tylko kilka słów. Pisał, że przyjedzie dziś wieczorem, jeżeli nie zajdzie przeszkoda...

— I panicz nic nie pisał o moim starym?... — przerwała Klotylda, ustawiając filiżanki.

— Nie, nic, moja Klotyldo; pisze tylko, że gdy wróci, opowie nam wszystko.

— Zupełnie jak kiedy był małym, zawsze sam chciał wszystko opowiedziać. O, ja dobrze znam panicza! Doprawdy, nie wiem, jak biali takie listy mogą napisać, to praca taka długa i trudna!

Pani Szelby uśmiechnęła się.

— Mój stary nie pozna chłopców, ani malutkiej. Ach, Boże! wszak moja Paulinka jest już dużą dziewczynką, a taka ładna i mądra. Została w chacie i pilnuje ciastek, są zupełnie takie, jakie mój stary lubi, takie same przygotowałam dla niego wówczas, kiedy go stąd wywieźli. O Boże! miej litość nade mną; wszak ja nie pamiętam; co się ze mną działo tego dnia.

Pani Szelby westchnęła! wspomnienie dnia tego padło jej na serce jak ciężki kamień. Po otrzymaniu listu od syna uczuła wielką niespokojność; bała się, żeby jego milczenie nie ukrywało jakiej niepomyślnej wiadomości.

— Czy pani ma bilety zapracowane przeze mnie — spytała Klotylda z niespokojnością.

— Mam, moja Klotyldo.

— Bo jabym chciała pokazać memu staremu te same bilety, które mnie dawał cukiernik. — I dodała z dumą: — „Klotyldo, mówił mi, jestem bardzo nie rad, że odchodzisz!" „Dziękuję panu, odpowiedziałam mu, nie mogę zostać, mój stary ma wrócić, moja pani nie może obejść się dłużej beze mnie". Oto zupełnie tak, jak było. Człowiek bardzo sprawiedliwy, a taki dobry ten pan Jerzy.

Klotylda prosiła panią Szelby, aby zachowała też same bilety bankowe, które otrzymała za służbę, dla pokazania mężowi na dowód jej zdolności. Pani Szelby zgodziła się na to chętnie.

— Nie pozna Paulinki, nie pozna, to pewna. O Boże! pięć lat, jak go wywieźli. Gołąbka moja mała, ledwo mogła na nóżkach wtenczas się utrzymać. Pamiętam, jak zrywał się ze strachu, aby nie upadła, gdy już zaczynała chodzić; zdaje mi się, jakby to było wczoraj.

Turkot powozu przerwał rozmowę.

— Panicz! — zawołała Klotylda, biegnąc do okna.

Pani Szelby pospieszyła do drzwi na przyjęcie syna, który z zapałem synowskiej czułości zaczął całować jej ręce. Ciotka Klotylda, stojąca nieruchomo przy oknie, wyglądała kogoś jeszcze w pomroce nocnej.

— O biedna ciotko Klotyldo! — zawołał Jerzy z wzruszeniem, zbliżając się do niej i serdecznie ściskając jej czarną, szorstką dłoń. Dałbym wszystko, o! wszystko, co mam, abym tylko mógł go przywieźć z sobą; ale on odszedł... tak, odszedł do lepszego świata...

Pani Szelby krzyknęła boleśnie. Klotylda nic nie rzekła, był to za wielki cios dla biednego jej serca.

Weszli do salonu. Pieniądze, na które przed chwilą Klotylda była tak dumną, leżały na stole.

Zebrała je i podając drżącą ręką pani Szelby, rzekła:

— Proszę, nie chcę ich więcej widzieć. Wiedziałam, że tak się to skończy. Sprzedano i zamordowano go!

Odwróciła się z dumą i chciała wyjść. Lecz pani Szelby podeszła ku niej i ujęła ją za rękę, zwolna sadzając na krześle i sama przy niej usiadła:

Pani Szelby podeszła ku niej, ujęła ją za rękę i zwolna posadziła na krześle . . .

— Biedna, dobra moja Klotyldo! — wymówiła głosem pełnym współczucia.

Poczciwa murzynka położyła głowę na ramieniu swej pani i zaczęła gorzko płakać.

— O pani, darui!... Serce pęka mi z bólu!

— Rozumiem, pojmuję wszystko! — rzekła pani Szelby i łzy potoczyły się jej po twarzy. — Nie mogę ciebie pocieszyć, lecz pocieszy cię Najświętsza Panienka, Ona uspokoi zbolałe serce twoje i zagoi najboleśniejsze rany.

Nastąpiło długie milczenie. Nakoniec usiadł Jerzy przy smutkiem przygniecionej Klotyldzie i w rozczulających słowach opowiedział ostatnie chwile biednego Tomasza.

W miesiąc później wszyscy niewolnicy plantacji pani Szelby zostali zwołani zrana do wielkiej sieni dla wysłuchania, co młody ich pan miał im oznajmić.

Jerzy wyszedł z grubą pliką papierów. Jakież było zdziwienie poczciwych niewolników, kiedy zaczął im czytać i rozdawać świadectwa uwolnienia. Polały się łzy rozczulenia; wielu cisnęło się do niego, prosząc, aby ich nie wypędzał, i pełni niepokoju, drżącą ręką oddawali mu napowrót świadectwa.

— Nie potrzebujemy większej wolności, jak mamy — wołali. — Niczego nam tu nie brak. Nie chcemy porzucać starego naszego domu, ani pani, ani panicza.

— Moi dobrzy przyjaciele! — przemówił Jerzy, skoro płacz i prośby trochę ucichły — nie potrzebujecie mię porzucać. Gospodarstwo zawsze będzie wymagało tyleż rąk, ile dawniej; w domu zatrzymamy takąż samą ilość sług: tylko od dzisiaj jesteście wszyscy wolni. Będę wam płacił za waszą pracę tyle, o ile się z sobą ułożymy. Macie stąd tę korzyść, że jeżeli popadnę w długi, albo umrę, a co bardzo łatwo może nastąpić, nie będą was mogli sprzedać. Jak dawniej, będę gospodarował i będę was uczył tego, czego się w jednym dniu niepodobna wyuczyć, to jest używania i korzystania z praw, jakie wam daję. Wymagam od was cierpliwości, dobrej woli i mam nadzieję, że Bóg i mnie uzbroi w cierpliwość i doda otuchy i energji do tej pracy. A teraz, moi przyjaciele, wznieście dusze i serca wasze ku Bogu, dziękując mu za otrzymaną wolność.

Ślepy, stary patrjarcha murzynów, posiwiały na plantacji, wyprostował się i podnosząc ręce ku niebu, zawołał:

— Dzieci, podziękujmy Bogu!

Wszyscy uklękli i modlili się.

— Jedno słowo jeszcze! — zawołał Jerzy, przerywając starcowi — pamiętajcie wszyscy o naszym kochanym, dobrym wuju Tomaszu.

I opowiedział im pokrótce o jego śmierci.

— Na jego grobie, moi przyjaciele, postanowiłem przed Bogiem nie mieć nigdy żadnego niewolnika. Przysiągłem, że z mej przyczyny nikogo nie wyrwą z rodzicielskiego domu, z pośrodka swoich, aby rzucić gdzieś na plantację, na pastwę jakiegoś tyrana. Ciesząc się więc szczęściem wolności, pamiętajcie, że ją winniście tej szlachetnej i wzniosłej duszy, a okazaniem braterskiej czułości i przyjaźni dla jego żony i dzieci dowiedźcie, że umiecie być wdzięcznymi. Pomyślcie o szczęściu, jakie wolność daje; ile razy spojrzycie na chatę wuja Toma-

sza, niech się obudza w was żądza naśladowania go! Obyście, jak on, byli poczciwymi, wiernymi, gorliwymi chrześcijanínami!

———o———

Zakończenie.

Z wielu stron zapytywano autorkę tego dzieła, czy wydarzenia w niem opowiedziane są zmyślone, czy też prawdziwe? Oto jej odpowiedź:

Szczegółowe wydarzenia tu opowiedziane są po większej części prawdziwe; przy niektórych nawet autorka sama, lub przyjaciele jej byli naocznymi świadkami. Charaktery są wzięte z natury i często całe zdania są dosłownem powtórzeniem słyszanych przez samą autorkę, albo przez osoby wiarogodne, które je autorce powtórzyły.

Postać i cały charakter Elżbiety są obrazem całkowicie wziętym z natury. Moglibyśmy zacytować bardzo dużo przykładów niewzruszonej wierności, tkliwej i gorącej pobożności, niezłomnej prawości, które charakteryzują wtem dziele wuja Tomasza. Z wydarzeń opowiedzianych, tragiczniejsze, więcej interesujące są wiernym obrazem tego, co tak często napotykamy w życiu rzeczywistem. Między innemi historia matki, przebywającej rzekę Ohio po krach jest powszechnie znaną. Tragiczna śmierć starej Pru jest rzeczywistem wydarzeniem, którego naocznym świadkiem był brat autorki, wówczas główny komisant znakomitego domu handlowego w Nowym Orleanie. Znał on plantatora, przedstawionego w tem dziele pod imieniem Legris. Mówiąc w swym liście o tym *nikczemniku, u którego z obowiązku musiał być, tak się wyrażał:* „Dawał mi on dotykać swej pięści, podobnej do młota kowalskiego, chlubiąc się, że ją zahartował grzmoceniem po karkach negrów. Gdym wyjechał z jego plantacji, odetchnąłem swobodniej; zdawało mi się, żem się wyrwał z jaskini ludożercy!

Nie brak nam świadków w naszym kraju, którzy mogliby stwierdzić prawdziwość tragicznego losu Tomasza. Na nieszczęście, podobne przykłady bardzo są liczne. Dość jest wziąć na uwagę, że jedną z najgłówniejszych zasad prawodawstwa Południowych Stanów nie przyznaje żadnej wartości świadectwa czarnego lub mieszańca w sprawie białego a łatwo zrozumiemy, że sceny okropne muszą się wydarzać, ile razy namiętność właściciela weźmie górę nad interesem pieniężnym, a niewolnik znajdzie w sobie dość energji, niezłomnej stałości w swych zasadach dla oparcia się do ostatniej chwili życia swego występnej woli swego pana. W rzeczywistości życie niewolnika zabezpieczone jest tylko osobistym charakterem jego właściciela. Wydarzenia, zanadto bolesne, abyśmy mogli je omawiać, dochodzą przypadkowo tylko do wiadomości publicznej i wywołują sądy i zdania stokroć więcej oburzające, jak one same.

Bezwstydne, publiczne przedaże pięknych mulatek i kwarteronek stały się głośnemi z przyczyny pojmania statku Perła. Podajemy tu

wyciąg mowy szanownego Horacego Manna, jednego z obrońców w tej sprawie.

„W liczbie siedmdziesięciu sześciu osób, — mówi tenże — uciekających w 1848 roku z niewoli ze stanu Kolumbii na statku Perla, którego oficerowie wezwali mię na swego obrońcę, znajdowało się dużo prześlicznych, młodych dziewcząt, obdarzonych wdziękami i rysami, wysoko cenionemi przez znawców piękności kobiecej. Jedna z nich, Elżbieta Russel, wpadła w szpony kupca niewolników i była przeznaczoną na rynek w Nowym Orleanie. Ci, którzy widzieli nieszczęśliwą, byli do tego stopnia rozczuleni jej losem, że dawali aż do tysiąca ośmiu set dolarów za jej wykup. Niektórzy nawet ryzykowali prawie wszystko, co posiadali; jednak niewzruszony handlarz posłał śliczną Elżbietę do Nowego Orleanu. Lecz miłosierny Bóg zachował ją od haniebnego losu, w pół drogi zabrał ją do swej chwały. Były jeszcze dwie inne kwarteronki, młodziutkie, prześliczne Edmundson. Starsza ich siostra rzuciła się do nóg handlarzowi, który je także wyprawiał na rynek do Nowego Orleanu, błagając go na miłość Boską, aby zachował te niewinne ofiary. Nikczemnik zaczął drwić, żartować, wyliczając ładne suknie, bogatą toaletę, które jej siostry będą miały. „Tak — odpowiedziała — to może ujść w tem życiu, lecz co będzie z nami w przyszłem?" I dwie śliczne kwarteronki wywieziono na wielki rynek. Zostały one jednak wykupione za ogromne pieniądze i przywiezione na Północ.

Sądzisz może, że historja Eweliny i Kassy nie jest prawdopodobną? Uczucie sprawiedliwości zmusza autorkę wyznać, że i szlachetny, wzniosły, wspaniałomyślny charakter Saint-Clare'a nie jest obcy mieszkańcom Południa. Oto anekdota dla poparcia tego zdania. Lat kilka temu pewny mieszkaniec ze Stanów Południowych był w Cyncynacie ze swym ulubionym niewolnikiem, który mu od dzieciństwa służył. Niewolnik, korzystając ze sprzyjających okoliczności, uciekł do pewnego misjonarza. Właściciel był oburzony; obchodził się z niewolnikiem z taką łaskawością, okazywał mu tak wielką ufność; był więc pewny, że ktoś musiał go nakłonić do ucieczki, że murzyn sam z swego popędu tegoby nigdy nie uczynił. Udał się więc do misjonarza w pierwszej chwili oburzenia, które jednak nie trwało długo, bo był charakteru żywego, otwartego, szczerego, i oznajmił, że jeżeli sam niewolnik powie mu, iż chce być wolnym, on przyrzeka natychmiast go uwolnić. Sprowadzono więc niewolnika i Natan na zapytanie swego pana, czy może się na co poskarżyć, odpowiedział:

— Na nic, pan był zawsze dla mnie dobrym.

— Dlaczegóż więc chcesz mnie porzucić?

— Pan może umrzeć, a wówczas komu się dostanę? Nie, wolę być wolnym!

Po chwilowym namyśle odrzekł pan:

— Na twojem miejscu, Natanie, bardzo być może, że tak samobym postąpił; jesteś więc odtąd wolnym.

I bez zwłoki przygotował akt uwolnienia, powierzył go misjonarzowi z pewną sumą pieniężną, dla wspomożenia młodego murzyna na

jego nowej drodze i napisał list pełen czułych, mądrych rad dla swego starego sługi. Autorka miała ten list w swoich rękach.

Pochlebia ona sobie, że oddała należną sprawiedliwość wspaniałomyślności, szlachetności, które czasami odznaczają mieszkańców Południa.

Jeżeli dla ludzi, honorem, z sercem miłującem, opinja publiczna jest wędzidłem, powstrzymującem od złego, to czyż wręcz przeciwna opinja nie panuje między ludźmi podłymi, gwałtownymi, nieznającymi hamulca na swe namiętności? a czyż ci nie mają prawa posiadać tyluż niewolników, ile i pierwsi? a ludzie sprawiedliwi i dobrzy czyż stanowią większość na tym świecie? amerykańskie prawa uważały dowóz czarnych na równi z rozbojem morskim; a jednak handel niewolnikami, systematycznie zorganizowany na brzegach Afryki, czyż nie jest koniecznem następstwem niewoli amerykańskiej i kto może wyliczyć wszystkie nieszczęścia i okropności z niego płynące?

Autorka zaledwie słabo naszkicowała te rozpaczliwe cierpienia, które rozdzierały tysiące serc, rozdzielały tysiące rodzin i obudzały wściekłą rozpacz w plemieniu czułem, bez żadnej obrony zostającem. Żyją ci, którzy widzieli, jak matki zabijały swe dzieci, dla wyrwania ich z podłych rąk handlarzy. Nieszczęśliwe, w śmierci szukały obrony dla swego dziecięcia od okropności gorszych nad śmierć samą. Nic nie możemy wymyślić, wymarzyć, coby mogło przejść swą okropnością rzeczywiste fakty, wydarzające się każdego dnia, każdej godziny na brzegach Ameryki pod opieką praw...

Matki Amerykanki, które, pochylone nad kołyską swego dziecięcia, uczycie się miłości w najwznioślejszych jej polotach! w imię tej świętej miłości, którą karmicie w łonie swem dla niewiniątka swego; w imię tej anielskiej radości, jaką w was wzbudza niewinnie igrające dziecię; w imię tej matczynej pobożności, w imię tych tkliwych, serdecznych uczuć, które będą kierowały pierwszemi jego krokami; w imię tych gorących, serdecznych modlitw, zasyłanych przed tron Przedwiecznego o jego doczesne szczęście i wieczne zbawienie: wzywam was, matki, zaklinam, błagam, pomyślcie o matce, która dręczona tąż samą, co i wy trwogą, miłując jak wy całem sercem, nie ma jednak najmniejszego prawa, zachować przy sobie, bronić, wychowywać, pieścić również drogie jej dziecię.

Wy, mieszkańcy Stanów Północnych, czyż zdołacie obmyć ręce wasze, czyż odważycie się powiedzieć, że nie wasza w tem wina, że nie macie nic z tem wspólnego? O, gdyby tak być mogło! ale nie! o nie! Wy, obywatele Stanów wolnych, broniąc systematu niewoli, więcej zawiniliście przed sprawiedliwym, lecz groźnym trybunałem Najwyższego od waszych braci południowych, bo nie możecie dla swego uniewinnienia, jak oni, odwołać się do wychowania, do zwyczajów.

Gdyby matki Stanów wolnych umiały współczuć niedolę bliźnich, gdyby, jak powinny, bolały nad nią, o! wówczas i ich synowie nie byliby nigdy właścicielami niewolników, — właścicielami, których srogość weszła w przysłowie; nie kupczyliby ciałem i duszą biednych istot, jak lichym towarem.

Cóż więc ma począć, spytacie, pojedyńcza jednostka w całem ze-

psutem społeczeństwie? Spytaj sumienia swego; ono ci odpowie, ono ci wskaże odpowiednią drogę. Magnetyczna atmosfera otacza każdego człowieka, i ten, kto myśli sprawiedliwie o wielkich celach społeczeństwa, już jest przez to samo dobroczyńcą swego plemienia, krzewicielem prawdy. Badajcie więc swe uczucia i sympatje, zajrzyjcie czy one są w zgodzie z nauką Chrystusa, czy może pod wpływem widoków doczesnych nie ulegają sofizmom polityki światowej?

Idźmy dalej. Wy, chrześcijanie Północy, możecie jeszcze jedno — m o d l i ć s i ę! Czy wierzycie w skuteczność modlitwy? A więc, módlcie się za pogan, przedzielonych od was morzami; módlcie się i za tych, którzy wpośród was mieszkają! módlcie się za nieszczęśliwych chrześcijan, których wiara jest wystawioną na ciężką próbę, wskutek kapryśnych, nieustannych zmian, których wytrwałość w religijnych i moralnych zasadach staje się często niepodobną, jeżeli z góry nie oświeci ich łaska Boża i nie doda odwagi do zniesienia utrapień.

Powiecie: „Nie mamy z nimi nic do czynienia, niech jadą do Afryki!“

Tak! Opatrzność zgotowała tam przytułek dla tego przygniecionego, prześladowanego plemienia, fakt to wielkiej doniosłości, godzien głębszego zastanowienia!

Zaludnianie Liberji mieszkańcami ciemnymi, niedoświadczonymi, na pół dzikimi, zaledwo oswobodzonymi z więzów niewoli, przedłuży nieskończenie perjod ciężkich walk, bolesnych doświadczeń, perjod, który zwykle towarzyszy wcieleniu się wszystkich idei.

Są na Północy Amerykanie, wprawdzie w liczbie stosunkowo bardzo niewielkiej, i wśród tych mieliśmy już nieraz przyjemność widzieć skutek szlachetnych usiłowań. Widzieliśmy wyzwolonych niewolników bardzo szybko zdobywających sobie pozycję, dobre imię; oświatę. Widzieliśmy nawet talenty znakomite; a prawość, ludzkość, czułość, bohaterskie poświęcenie się dla wyrwania z niewoli braci, krewnych, przyjaciół, rozwinęły się w tem plemieniu do najwyższego stopnia. A nie zapomnijmy w jak zaraźliwej atmosferze, z jak nieprzyjaznemi okolicznościami musieli biedni walczyć.

Autorka tego dzieła, żyjąc długie lata na granicach Stanów niewolniczych, miała często sposobność badania tych, którym się udało zerwać więzy niewoli; wielu z nich nawet służyło u niej i dla braku zakładów naukowych, pozwalała im uczyć się z jej własnemi dziećmi. Jej doświadczenie i świadectwa misjonarzy, przebywających między zbiegłymi do Kanady niewolnikami, przekonały autorkę o niepospolitych często zdolnościach tego plemienia.

Pierwsza myśl niewolnika wyswobodzonego zwraca się ku w y c h o w a n i u. Gotów on wszystko uczynić, wszystko poświęcić dla wychowania swych dzieci. Autorka sama miała sposobność przekonać się, z jaką łatwością to plemię wzgardzone nabywa często wysokiego wykształcenia; a świadectwo nauczycieli, zajmujących się wychowaniem murzynów i powodzenia szkół, założonych w Cyncynacie przez dobroczynne osoby, wymownym są do tego dowodem.

Autorka doskonale pamięta starą murzynkę, która w domu jej ojca była praczką i córkę swą wydała za niewolnika. Zdolna, czynna, prze-

myślna, oszczędna, odmawiająca sobie wszystkiego, zebrała dziewięćset dolarów dla wykupienia swego męża; co zarobiła, natychmiast niosła właścicielowi jego; brakowało jeszcze stu dolarów do umówionej sumy, gdy mąż jej umarł; pieniędzy tych jednak wdowie nigdy nie oddano.

Oto tylko nieliczne przykłady owej wielkiej energji, poświęcenia się, cierpliwości, zaprzania się, prawości, które niewolnik wyswobodzony rozwija w sobie.

Pamiętajmy przytem z jak ogromnemi trudnościami, z jakiemi przeszkodami musiał każdy z nich walczyć dla zdobycia sobie pewnej pozycji w świecie, dla dojścia do niejakiegoś dostatku.

Jeżeli pomimo prześladowań, cierpień, plemię zostające w niewoli, daje nam tyle zadziwiających przykładów, do czegóżby mogło ono dojść pod opieką prawa tchnącego sprawiedliwością! Żyjemy w czasach, kiedy narody, parte wewnętrznym niepokojem, zaczynają działać; potężny duch przenika atmosferę, wzrusza światem, jak siły wewnętrzne wstrząsają powierzchnią ziemi. Prawo, według którego kamień młyński dąży na dno morza, nie jest więcej nieomylne od potężnego prawa zapowiadającego, iż gniew Przedwiecznego spadnie na narody, które zawiniły niesprawiedliwością i okrucieństwem.

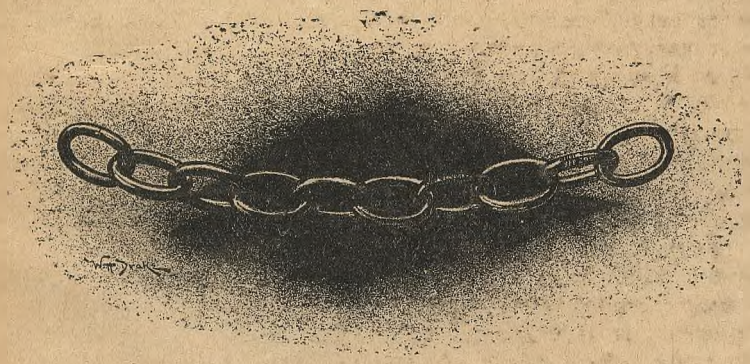

Złota naramiennica,

w kształcie łańcucha, jakiem skuwano niewolników, ofiarowana w 1853, autorce niniejszego dzieła przez księżniczkę Suderlandu wraz z adresem dziękczynnym, podpisanym przez kobiety angielskie. Adres ten wraz z podpisami, których było 562 848, obejmuje 24 grube tomy i przechowany jest na wieczną pamiątkę. Na ogniwach wyryte są ważniejsze daty z ruchu przeciw niewolnictwu i napis: „562 848 19 marca 1853“ t. j. liczba podpisów i data wręczenia adresu.

Śląska Biblioteka

SPIS RZECZY.

Str.

1. W którym czytelnik zapoznaje się z człowiekiem humanitarnym . 3
2. Matka 12
3. Mąż i ojciec 15
4. Wieczór w chacie wuja Tomasza 21
5. Jakie uczucia władną człowiekiem, który, jako własność osobista, przechodzi w posiadanie nowego właściciela 32
6. Odkrycie 39
7. Ucieczka matki 48
8. Prześladowcy Elżbiety 58
9. W którym się wykazuje, że senator, to też tylko człowiek . . . 69
10. Wywiezienie towaru 81
11. Żywy towar zjawia się z poczuciem godności człowieka . . . 90
12. Wypadki, jakie się zdarzają w prawnie dozwolonym handlu . . 102
13. Osada Kwakrów 114
14. Aniela 123
15. O nowym właścicielu Tomasza i wielu innych rzeczach . . . 131
16. Nowa właścicielka Tomasza i jej sposób myślenia 146
17. Walka o wolność 164
18. Zasady i doświadczenia panny Ofelji 179
19. Doświadczenia i zapatrywania panny Ofelji 191
20. Topsy 208
21. Kentucky 221
22. Kwiatek więdnieje 225
23. Henryk 231
24. Smutne przepowiednie 237
25. Mała zwiastunka szczęścia 243
26. Śmierć 246
27. Tak się kończy wszystko, co jest ziemskie 258
28. Połączenie 265
29. Opuszczeni 277
30. Magazyn niewolników 283
31. Podróż 294
32. Zewnętrzne ciemności 299
33. Kassy 307
34. Historja Kassy 313
35. Przypomnienie 323
36. Ewelina i Kassy 328
37. Wolność 336
38. Zwycięstwo 341
39. Podstęp 351
40. Męczennik 359
41. Panicz 365
42. Opowiadanie o prawdziwym upiorze 371
43. Skutki 376
44. Oswobodziciel 379
45. Zakończenie 383

39 —
7294947

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000395783
II 372919